

Wielki człowiek z prowincji w Paryżu





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

HONORIUSZ BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

Stracone złudzenia

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

WIELKI CZŁOWIEK Z PROWINCJI W PARYŻU

OD TŁUMACZA

Komedia ludzka Balzaca, w której powieść niniejsza stanowi ważne ogniwo — niemal punkt centralny — posiada, niezależnie od swoich artystycznych wartości, pierwszorzędne znaczenie historyczno-obyczajowe. Wszystkie bez wyjątku siły składające nowoczesne społeczeństwo znajdują w niej swój wyraz, a ujęcie ich staje się tym ciekawsze przez to, iż pisarz miał sposobność śledzić je i odmalować w samych zaczątkach, w momencie kształtowania. W epoce objętej *Komedią ludzką* (lata 1815–1848) warsztat społeczny wylania się stopniowo w swej nowożytnej, niemal współczesnej nam strukturze, a nie jest jeszcze tak skomplikowany technicznie, aby zmuszać pisarza do rozdrabniania się na utrudniające syntezę szczegóły. Taką siłą rodzącą się dopiero, a przeznaczoną w przyszłości do potężnej roli była *prasa*.

Omawiając na innym miejscu¹ *salon* XVIII w., zaznaczyłem nikłość funkcji, jakie pełniła wówczas prasa skrępowana tysiącnymi względami cenzury; miejsce prasy zastępowały ulotne pamflety, broszury obiegające bezimiennie, często wychodzące spod pióra największych pisarzy (Volter, Diderot), dalej korespondencja prywatna i wspomniane już salony paryskie, będące wówczas niemal instytucją. Dziennikarz zawodowy — zelżywie nazwany *folliculaire*² — otoczony dość powszechną wzdumą, znajdował się poza nawiasem społeczeństwa. Zrozumiałe jest, iż pod żelazną ręką Napoleona prasa, mimo iż wzmoczona w sobie, nie mogła oddychać pełną piersią; dopiero Restauracja³, dająca początek konstytucyjnym i parlamentarnym rządów pod berłem obłaskawionych już Burbonów, stworzyła również potęgę tego przyszłego „mocarstwa”.

Stosunki jednak panujące w królestwie prasy były dość osobliwe. Nie mogąc, jakby niewątpliwie tego pragnął, prasy zdusić, dwór starał się ją kneblować i trzymać w zależności ograniczaniem przywileju na dziennik; zbyteczne dodawać, iż przywilej taki uzyskiwali najczęściej nie ludzie etycznie stojący najwyżej, ale najbardziej sprytni i nieprzebierający w środkach. Ta ograniczona ilość organów publicznych, w których skupiała się opinia i interesy całego wielkiego kraju, wytworzyła kastę kondotierów⁴ pióra toczących z sobą zajadłe walki, ale równocześnie zdolnych w razie potrzeby porozumieć się z sobą dla wspólnej korzyści. Nie od razu zresztą i dziennikarze zorientowali się w swojej rosnącej z każdym dniem potędze. Ta zgryza utalentowanych głodomorów, mających nieraz w ręku losy olbrzymich przedsięwzięć politycznych i finansowych, nie od razu posiadała technikę wybijania dla siebie samych monety z własnego wpływu. Dziennikarze, przeważnie młodzi chłopcy (w gorączkowym tym zawodzie ludzie spalają się szybko), więcej dbali o wyzyskiwanie swej „wszechmocy” za kulisami bulwarowego teatryku niż za kulisami giełdy i wielkiego przemysłu; z czasem dopiero, w miarę jak posuwająca się demokratyzacja coraz większą rolę przyznawała tzw. opinii publicznej, i dziennikarstwo przeszło na właściwy sobie i szerszy teren działania.

Te wszystkie światy grawitujące około dziennika i potrzebujące go, te najrozmaitsze możliwe, wpływowe i wykwiłtne osobistości, ubiegające się o względy dziennikarzy i „nastrajające” ich za pomocą uczt i festynów, tworzą w połączeniu z cygańskim temperamentem wykolejenców literatury ów tak mistrzowsko odmalowany obraz fantastycznego życia, w którym najohydniejsza nędza ociera się o przepychy rafinowanego zbytku. Dlatego też w tej powieści, nie opuszczając ściśle realnego gruntu, mógł Balzac przedstawić kilka miesięcy życia młodego Lucjana niby cudowną feerię, w której zaklęty pierścień lub jakaś lampa Aladyna otwiera mu na chwilę wrota paryskich sezamów. Równocześnie wydana po polsku powieść Balzaca pt. *Muza z zaścianka* stanowi jakby dopełnienie obrazu

¹Omawiając na innym miejscu *salon* XVIII w. — we wstępie do *Listów panny de Lespinasse*. [przypis edytorski]

²*folliculaire* (fr.) — pismak. [przypis edytorski]

³*Restauracja* — okres w historii Francji wyznaczony datami 1814–1830, od powrotu na tron dynastii Burbonów po upadek Napoleona I do rewolucji lipcowej. [przypis edytorski]

⁴*kondotier* — najemny żołnierz. [przypis edytorski]

i ukazuje nam to życie w chwili, gdy go nie złoci już swymi promieniami błogosławiona beztroska młodości.

Balzac nie lubił i nie szanował prasy, i, nawzajem, nie cieszył się jej względami. W jednym ze swych wysoce romantycznych opowiadań pt. *Historia trzynastu* wymarzył pisarz związek trzynastu niepospolitych, a bezwzględnie sobie w razie potrzeby oddanych jednostek i rosi, jak olbrzymią potęgą byłaby taka asocjacja. Życie przekonało go szybko, że instytucja taka istnieje, tylko składa się nie z trzynastu wybitnych, ale z trzydziestu, trzystu czy trzech tysięcy *miernych* jednostek, które bez żadnych regulaminów i porozumień instynktownie a solidarnie współdziałają z sobą. Otóż do tej asocjacji Balzac nigdy nie umiał się nagiąć; za sztywny miał kark do takich kompromisów; przerzynać się przez życie literackie Paryża sam, li⁵ tylko siłą talentu i pracy. Nie iżby nie chciał iść po łatwiejszej drodze sukcesu; chciał zapewne, jak tego dowodzą różne, z dziecięcą naiwnością podejmowane próby, ale *nie mógł*: imperatyw talentu był zanadto kategoryczny. Cichy pracownik d'Artheza, przeciwstawiony zgrai szarlatanów, półtalentów i spekulantów literackich, oto człowiek, jakim Balzac rad przedstawia się własnym oczom. Tylko własnym zresztą, dla nas bowiem bujna, rabelaisowska indywidualność Balzaca bezwarunkowo nie mieści się w tym arcyszlachetnym *prymusie* literatury.

Sąd o ówczesnej prasie wypadł zapewne za czarno — sama postać Teofila Gautiera starczyłaby za odpowiedź bezwzględny oszczercom tego rzemiosła — ale tak w opisie uczt u Floryny i Koralii, jak w posiedzeniu redakcji małego dzienniczka rozsiane są rysy, które, w jednym zdaniu nieraz, genialnie streszczają istotę pewnego typu dziennikarstwa. Dzisiaj brukowe dzienniki paryskie, rozchodzące się w milionach egzemplarzy, posiadają agendy równające się co do rozmiarów i zakresu nieraz agendom jakiego ministerium i niewiele mają już wspólnego z tymi sympatycznie myszką trącącymi stosunkami, gdzie redaktor wpływowego pisma „przechwala się”, że ma dwa tysiące abonentów, i gdzie poważną rubrykę jego dochodów stanowi handel „egzemplarzami recenzyjnymi” książek i gratisowymi biletami do teatru. Dużo natomiast podobieństwa odnalazłoby się, z zachowaniem wszelkiej proporcji, między tym obrazem a naszymi stosunkami, jeżeli nie dzisiejszej (wydawcy naszych „Kurierków” z politowaniem patrzyliby dzisiaj na mikroskopijne dla nich operacje ówczesnych paryskich Finotów!), to wczorajszej doby. Nie wskazując nikogo palcem, znalazłbym w Polsce z łatwością model — i niejeden — dla takiego np. Stefana Lousteau, którego „wiek męski, wiek klęski” maluje nam *Muza z zaścianka*.

Cóż to za kapitalna żywa figura ów Stefan Lousteau! Współczesna fama⁶ wskazywała głośnego felietonistę Juliusza Janina⁷ jako prototyp tej postaci; parę ustępów w korespondencji Balzaca każe raczej dopatrywać się pod nią Juliusza Sandeau, współnika doli George Sand⁸, czyli Aurory Dudevant, w czasie pierwszych jej lat paryskich. Ale przede wszystkim to jest typ: to dziennikarstwo ujęte ze swej niskiej, małej, niemoralnej strony, z zachowaniem całej gibkości i błyskotliwości intelektu, tak uwodzicielsko działających na młodego Lucjana.

Każda zresztą z figur tej galerii ma swoją bardzo odrębną fizjonomię⁹. Zapuszczając się głębiej w dzieło Balzaca, będzie miał czytelnik niejednokrotnie sposobność spotkać się z nimi i ściślej jeszcze wyodrębnić je od tła. Tak na przykład *Córka Ewy* będzie monografią duchową Natana, tego fałszywego wielkiego człowieka, którego tu widzimy w pierwszych blaskach zwodniczej sławy; tam też i gdzie indziej zresztą odnajdziemy jedną z najsympatyczniejszych figur literackiego świata, Blondeta, do którego Balzac, mimo jego sceptycznej bierności i nihilizmu duchowego, ma widoczną słabość i którego na wpół cygańską karierę wieńczy w końcu wspańałością świetnym małżeństwem z hrabiną de Montcornet. W innej znowu powieści zapoznamy się bliżej z panną des Touches, wzorowaną w wielu rysach na postaci George Sand, oraz z Klaudiuszem Vigno-

⁵li — partykuła użyta tu w funkcji wzmacniającej wymowę zdania; znaczenie: tylko, wyłącznie. [przypis edytorski]

⁶fama — pogłoska; rozgłos. [przypis edytorski]

⁷Janin, Jules Gabriel (1804–1874) — francuski pisarz i krytyk literacki. [przypis edytorski]

⁸George Sand — właśc. *Aurora Dudevant* (1804–1876), fr. pisarka epoki romantyzmu, autorka powieści feministycznych i społ.-obycz., przyjaciółka wybitnych twórców kultury. [przypis edytorski]

⁹fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

nem, nieskazitelnym kapłanem krytyki, do którego za model posłużył Gustaw Planche, ów nieszczęśliwie a wytrwale George Sand oddany wielbiciel.

Osobliwej zaprawy dodają obrazowi dziennikarskiego światka figury starych napoleończyków, zamieszane między tych nowoczesnych kondotierów idei. Paradny ten konkubinat cyganerii wojskowej, szukającej naturalnego schronienia wśród cyganerii literackiej, z którą wszystko ją dzieli oprócz skłonności do kieliszka, aktorek i łatwego życia, zaznaczony jest już mimochodem w *Kawalerskim gospodarstwie*; odnajdujemy też tutaj znajomą nam figurę kapitana Giroudeau, pogłębioną rysami wzdorliwego i filozoficznego poddania się duchowi epoki, dającej w rękę fantastyczną potęgę tym „kramikom myśli”, dla których rozpędzenia „wystarczyłoby cesarzowi kaprała na czele kilku ludzi”. A komizmowi tej symbiozy nie ustępuje z pewnością ta, którą powaby kulis stwarzają pomiędzy lekkomyślnymi żonglerami paradoksu a co najgęstsza śmietana osiadłego paryskiego mieszczaństwa.

Wśród utworów Balzaca powieść ta należy do najcenniejszych. Mistrzowska analiza psychologiczna reakcji, jaką w parze prowincjonalnych kochanków powoduje przeniesienie na teatr Paryża; iskrząca werwa w przedstawieniu krótkiej wędrowki Lucjana przez świat dziennikarski, rozsypane rysy gryzącej a trafnej satyry, wreszcie tragiczny patos zakończenia tworzą z powieści tej dzieło przelewające się od bogactwa treści. Faktura powieści Balzaca przedstawia zazwyczaj proces powolnego rozpalania się pod kotłem olbrzymiej maszyny; tutaj — co rzadko się u niego zdarza — wchodzimy *in medias res*¹⁰ dzięki temu, iż powieść ta posiada ścisły związek z opowiadaniem pt. *Dwaj poeci*. Trzecia część, *Cierpienia wynalazcy*, zamyka tę trylogię¹¹, objętą w wielu wydaniach Balzaca wspólnym tytułem *Stracone złudzenia*, przy czym niniejsza część posiada podtytuł: *Wielki człowiek z prowincji w Paryżu*. Dla zorientowania się w całości *Komedii ludzkiej* powieść ta jest bardzo pomocna; cały ów świat, który tutaj naznacza sobie schadzki, kręcąc się bliżej lub dalej około dziennika lub teatru, to uprzywilejowane typy Balzaca, które niemal wszystkie zjawiają się i w innych jego powieściach. Każdy z nich powtarzać się będzie w różnych epokach życia, różnych planach i przekrojach, wciąż pogłębiając uczucie zdumienia nad tą jedyną w swoim rodzaju nowoczesną epopeją.

Boy

Kraków, w marcu 1919

STRACONE ZŁUDZENIA

Ani Lucjan, ani pani de Bargeton, ani Gentil, ani pokojowa Albertyna nie wspominali nigdy o wydarzeniach tej podróży; ale można mniemać, iż ustawiczna obecność służby zepsuła ją kochankowi, który spodziewał się pełnych rozkoszy wykradzenia. Lucjan, który podróżował pocztą pierwszy raz, zdumiewał się, widząc, że droga z Angoulême do Paryża pochłonęła niemal tyle, ile on przeznaczał na życie przez cały rok. Jak ludzie, którzy łączą wdzięk dzieciństwa z siłą talentu, popełniał ten błąd, iż na widok rzeczy tak dla siebie nowych wyrażał naiwne zdziwienie. Mężczyzna powinien dobrze poznać kobietę, nim odsłoni przed nią z całą prostotą swoje wzruszenia i myśli. Tkliwa i szlachetna kochanka uśmiecha się z tych dzieciństw¹² i rozumie je; ale jeśli jest istotą bodaj trochę ambitną, nie przebaczy kochankowi, iż okazał się dziecinny, próżny i mały. Często kobiety wkładają w swój kult tyle przesady, iż chcą wciąż znajdować bóstwo w swoim fetyszu; tylko te, które kochają mężczyznę dla niego bardziej jeszcze niż dla siebie, ubóstwiają jego małość na równi z jego wielkością. Lucjan nie wiedział jeszcze, że u pani de Bargeton miłość narodziła się z dumy. Popelił tę omyłkę, że nie umiał zrozumieć pewnych

Kobieta, Mężczyzna

¹⁰*in medias res* (łac.) — w środek rzeczy (zwykle określenie sposobu opowiadania historii, w którym rezygnuje się z długiego przedstawiania wydarzeń poprzedzających akcję). [przypis edytorski]

¹¹*zamyka tę trylogię* — niezupełnie, gdyż dalsze losy bohatera opisuje powieść *Blaski i nędze życia kurtyzany*. [przypis edytorski]

¹²*dzieciństwo* (daw.) — dziś: dziecinada; postępowanie dziecinne, właściwe dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

uśmiezków Luizy w ciągu tej podróży, kiedy, zamiast panować nad sobą, dawał folę pustotom młodego szczura, który wydobył się z jamy.

Podróżni stanęli o świcie w hotelu Gaillard-Bois przy ulicy de l'Echelle. Oboje byli tak zmęczeni, że Luiza przede wszystkim chciała się położyć, poleciwszy Lucjanowi wziąć pokój o piętro wyżej. Lucjan spał do czwartej po południu. Pani de Bargeton każała go obudzić na obiad. Dowiedziawszy się, która godzina, ubrał się spiesźnie i zastał Luizę w jednym z owych ohydnych pokoiów stanowiących hańbę Paryża, gdzie mimo tylu uroszczeń elegancji nie ma jeszcze ani jednego hotelu, w którym majątny podróżny mógłby odnaleźć dom. Lucjan, mimo iż jeszcze niezupełnie rozbudzony, nie poznał swej Luizy w tym pokoju zimnym, bez słońca, o spłowiałych firankach, gdzie lichy zaciągnięta posadzka świeciła ubóstwem, gdzie meble były wytarte, w złym smaku, stare lub przygodnie kupione. Rzeczywiście istnieją osoby, które zmieniają swój wygląd i swoją wartość, skoro je oddzielić od ludzi, rzeczy, miejsca, które im służyły za ramę. Fizjonomie¹³ posiadają właściwą sobie atmosferę, tak jak światłocien flamandzkich obrazów potrzebny jest do życia tworem geniusza malarza. Mieszkańcy prowincji należą prawie wszyscy do tego typu. Przy tym pani de Bargeton zdawała mu się sztywniejsza, bardziej zadumana, niżby wypadało w chwili, gdy zaczynało się szczęście bez przeszkód. Lucjan nie mógł wynurzyć swoich żalów: Gentil i Albertyna kręcili się po pokoju. Obiad nie miał już owego charakteru obfitości i przedniej dobroci, jakie cechują prowincję. Ścisłe odmierzane dania pochodziły z sąsiedniej restauracji: chudo przybrane, trąciły skąpo obliczoną porcją. Paryż nie jest ładny w tych małostkach, na które skazuje ludzi o miernych środkach. Lucjan czekał końca obiadu, aby pomówić swobodniej z Luizą, której odmiany nie umiał sobie wytłumaczyć. Nie mylił się. Ważne wydarzenie — refleksje bowiem są wydarzeniami życia duchowego — zaszło, gdy on spał.

Okolo drugiej po południu Sykstus du Châtelet zjawił się w hotelu, kazał obudzić Albertynę, oświadczył, iż pragnie mówić z panią, i wrócił, zostawiwszy pani de Bargeton czas do ogarnięcia się trochę. Anais, której ciekawość podrażniła ta osobliwa wizyta pana du Châtelet (wierzyła w swoje najściślejsze incognito), przyjęła barona okolo trzeciej.

— Pędziłem za panią, narażając się na nosa od moich władz — rzekł, składając ukłon — przewidywałem bowiem to, co się stało. Ale choćbym ja miał stracić miejsce, przynajmniej pani nie będzie stracona.

— Co pan ma na myśli? — wykrzyknęła pani de Bargeton.

— Widzę, że pani kocha Lucjana — ciągnął z tkliwą rezygnacją — bo trzeba kochać, aby się nie zastanawiać nad niczym, aby zapomnieć o wszystkich konwenansach: i to pani, która znasz je tak dobrze! Czy myślisz, droga, ubóstwiana Nais, że przyjmą cię u pani d'Espard albo w jakimkolwiek salonie w Paryżu, z chwilą gdy będzie wiadomo, że po prostu uciekłaś z Angoulême z młodym chłopcem, zwłaszcza po pojedynku pana de Bargeton z panem de Chandour? Pobyt męża pani w Escarbas trąci separacją! W podobnych okolicznościach ludzie honoru najpierw biją się za swą żonę, a potem zwracają jej wolność. Kochaj pana de Rubempré, opiekuj się nim, rób, co ci się podoba, ale nie mieszkaćcie razem! Gdyby kto wiedział, że odbyliście podróż w jednym powozie, byłabyś wyklęta w tym świecie, w którym chcesz szukać oparcia. Zresztą, Nais, nie rób takich ofiar dla młodego chłopca, którego jeszcze nie porównałaś z nikim, którego nie poddałaś żadnej próbie i który może tu zapomnieć o tobie dla pierwszej paryżanki, skoro mu się wyda lepszą dźwignią dla jego ambicji. Nie chcę szkodzić człowiekowi, którego pani kocha, ale pozwolisz mi, abym wyżej stawiał twoje dobro. Powiem ci tedy¹⁴: „Przyjrzyj mu się! Poznaj wprzód całą doniosłość swego kroku”. Jeśli znajdziesz wszystkie drzwi zamknięte, jeśli żadna kobieta nie zechce cię przyjąć, nie czuj przynajmniej żalu za tyle ofiar, przekonana, że ten, dla którego je uczyniłaś, będzie ich zawsze godny i zrozumie je. Pani d'Espard jest tym surowsza i tym bardziej uważająca, ile że sama żyje w separacji z mężem, mimo iż świat nie zdołał przeniknąć przyczyn ich niezgody; ale rodziny Navarreins, Blamont-Chauvry, Lenoncourt, wszyscy jej krewni opowiedzieli się za nią, kobiety najdrażliwsze na punkcie cnoty bywają u niej i przyjmują ją, tak iż margrabia d'Espard ponosi w oczach świata całą winę. Od pierwszej wizyty u niej uznasz słusz-

¹³fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

¹⁴tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

ność mych ostrzeżeń. Mogę to pani przepowiedzieć, ja, który znam Paryż: przestąpiwszy próg margrabin, będzie pani w rozpaczy na myśl, iż mogłaby się dowiedzieć, że mieszkaś w hotelu Gaillard-Bois z synem aptekarza, mimo iż przemianowanym na pana de Rubempré. Znajdziesz tu rywalki trochę chytrzejsze i bardziej podstępne niż Amelia: postarają się skwapliwie o wiadomości, kto pani jesteś, gdzie jesteś, skąd przybywasz i co robisz. Liczyła pani, jak widzę, na incognito; ale należysz do osób, dla których incognito nie istnieje. Czy nie spotkasz tu Angoulême na każdym kroku? To posłowie z departamentu Charenty, którzy przybywają na otwarcie Izby; to generał, który spędza urlop w Paryżu. Wystarczy jednego mieszkańca Angoulême, który cię tu zobaczy, aby twoje życie określiło się w szczególny sposób: staniesz się już tylko kochanką Lucjana. Jeśli mnie pani będzie potrzebowała w jakiej bądź sprawie, mieszkam u generalnego poborcy, ulica du Faubourg-Saint-Honoré, dwa kroki od pani d'Espard. Znam na tyle marszałkową de Carigliano, panią de Sérisy i prezydenta ministrów, aby panią przedstawić w tych domach; ale spotka pani tyle osób u pani d'Espard, że nie będziesz mnie potrzebowała. Zamiast by pani miała pragnąć wstępu do tego lub owego salonu, sama będziesz upragniona we wszystkich.

Châtelet mógł mówić bez obawy, aby pani de Bargeton mu przerwała: trafność jego obserwacji oszołomiła ją. Królowa Angoulême liczyła w istocie na incognito.

— Masz słuszność, drogi przyjacielu — rzekła — ale jak to zrobić?

— Pozwól mi pani — rzekł Châtelet — wyszukać sobie umeblowany, przyzwoity apartament; w ten sposób życie będzie cię kosztowało taniej niż w hotelu, a będziesz u siebie. Jeżeli mnie pani zechce posłuchać, przeniesiesz się jeszcze dziś.

— Ale jak się pan dowiedział o moim adresie? — rzekła.

— Nietrudno było poznać powóz; zresztą, jechałem w pani ślady. W Sèvres pocztalion, który panią odwiózł, powiedział mojemu adres. Czy pozwoli mi pani być jej kwartmistrzem? Prześlę niebawem wiadomość, gdzie panią ulokowałem.

— Dobrze więc, proszę — rzekła.

To słówko zdawało się niczym, a było wszystkim. Baron du Châtelet odezwał się językiem świata do światowej kobiety. Ukazał się w całej elegancji paryskiego wykwentu; ładny kabriolet¹⁵ zaprzężony w zgrabnego konika czekał nań pod bramą. Przypadkowo pani de Bargeton zbliżyła się do okna, aby się zastanowić nad położeniem, i spostrzegła podstarzałego dandysa¹⁶ w chwili, gdy odjeżdżał. W chwilę potem Lucjan, spiesźnie zbudzony, spiesźnie ubrany, ukazał się jej w zeszlórocznych nankinowych¹⁷ pantalonach¹⁸, w lichej surducinie. Był piękny, ale śmiesznie ubrany. Ubierzcie Apollina Belwederskiego¹⁹ albo Antinousa²⁰ za nosiwodę, czy poznać wówczas boski twór greckiego lub rzymskiego dłuta? Oczy porównują, nim serce zdoła sprostować ten błyskawiczny machinalny wyrok. Kontrast między Lucjanem a Sykstusem był zbyt gwałtowny, aby uszedł oczu Luizy. Kiedy koło szóstej skończyli obiad, pani de Bargeton dała znak Lucjanowi, aby siadł przy niej na mizernej kanapie — czerwony perkal w żółte kwiaty — gdzie sama też usiadła.

— Mój Lucjanie — rzekła — czy nie jesteś zdania, iż jeśli popełniliśmy szaleństwo jednak obojga, trzeba myśleć nad tym, aby je naprawić? Nie możemy, drogie dziecko, ani mieszkać wspólnie w Paryżu, ani też pozwolić się domyślać, iż przybyliśmy tu razem. Twój los wiele zależy od mojej pozycji, nie powinnam jej narażać w żadnym sposobie. Tak więc jeszcze dziś wieczór znajdę mieszkanie o parę kroków stąd; ty zostaniesz w hotelu; wówczas będziemy się mogli widywać co dzień i nikt nie znajdzie nic do zarzucenia.

¹⁵*kabriolet* (daw.) — lekki jednokonnny dwukołowy powóz ze składaną budą. [przypis edytorski]

¹⁶*dandys* — mężczyzna przesadnie zwracający uwagę na strój i formy towarzyskie. [przypis edytorski]

¹⁷*nankinowy* — wykonany z nankinu, tj. gęstego płótna bawełnianego, przeważnie o barwie płowóżółtej, z którego od XIX w. wykonywano bieliznę i męskie spodnie. [przypis edytorski]

¹⁸*pantalony* (z fr., daw.) — dziś: spodnie. [przypis edytorski]

¹⁹*Apollon Belwederski* — marmurowy posąg Apolla, boga słońca i światła, klasycznego ideału męskiego piękna, będący rzymską kopią greckiego oryginału wykonanego w IV w. p.n.e., odnaleziony w 1489, obecnie w Muzeach Watykańskich. [przypis edytorski]

²⁰*Antinous* (III–130) — grecki młodzieniec, oficjalny kochanek cesarza Hadrian; kiedy utonął w Nilu, na rozkaz Hadrian powstało wiele rzeźb i portretów przedstawiających Antinousa jako ideał młodzieńczej piękności. [przypis edytorski]

Luiza wyłożyła kodeks świata Lucjanowi, który szeroko otwierał oczy. Nie wiedział jeszcze, iż kobieta, która trzeźwieje z szaleństwa, trzeźwieje tym samym z miłości, ale zrozumiał, że nie jest już dawnym Lucjanem z Angoulême. Luiza mówiła mu tylko o sobie, o swoich interesach, o swojej reputacji, o świecie; aby usprawiedliwić swój egoizm, próbowała wytłumaczyć mu, że chodzi o niego. Nie miał żadnych praw wobec Luizy, która tak szybko przedzierzgnęła się w panią de Bargeton, i — rzecz o wiele ważniejsza! — nie miał nad nią żadnej mocy. Nie mógł też powstrzymać wielkich łez, które zakręciły mu się w oczach.

— Jeżeli ja jestem twoją chlubą, ty jesteś dla mnie czymś więcej jeszcze, jesteś mą jedyną nadzieją i przyszłością. Sądziłem, iż jeżeli masz dzielić moje triumfy, winnaś dzielić i moje niedole; i oto już się rozłączamy.

— Sądzisz moje postępowanie — rzekła — nie kochasz mnie więc.

Lucjan spojrział na nią tak boleśnie, iż dodała:

— Drogie dziecko, zostanę, jeśli chcesz, ale zgubimy się oboje i zostaniemy bez oparcia. Ale kiedy będziemy oboje jednakowo nędzni i samotni, kiedy niepowodzenie (trzeba wszystko brać w rachubę) wygna nas do Escarbas, pamiętaj, kochanie, że przewidywałam ten koniec i że radziłam iść do celu wedle praw świata, okazując się im posłusznym.

— Luizo — odparł, obejmując ją — przeraża mnie twój rozsądek. Pomyśl, że jestem dzieckiem, że zawierzyłem się ze wszystkim twojej dobrej woli. Co do mnie, chciałbym ujarzmić świat i ludzi siłą; ale jeśli mogę szybciej dojść z twoją pomocą, szczęśliwy będę, zawdzięczając tobie całą mą dołą. Przebacź! Za wiele nadziei położyłem w tobie, abym się mógł nie lękać... Dla mnie rozłąka jest zwiastunem opuszczenia, a opuszczenie to śmierć.

— Ależ, drogie dziecko, świat żąda od ciebie bardzo niewiele — rzekła. — Chodzi tylko o to, abys sypiał tutaj, a resztą²¹ możesz przebywać cały dzień u mnie, bez zarzutu z czyjejkolwiek strony.

Trochę pieszczot uspokoiło Lucjana. W godzinę potem Gentil przyniósł bilecik, w którym Châtelet donosił, iż znalazł mieszkanie na ulicy Neuve-de-Luxembourg. Pani de Bargeton kazała sobie objaśnić położenie tej ulicy, niezbyt oddalonej od hotelu, i rzekła do Lucjana:

— Jesteśmy sąsiadami.

W dwie godziny później Luiza wsiadła do powozu, który jej przysłał Châtelet, aby się udać do siebie. Apartament, jeden z tych, które tapicerzy meblują i wynajmują zamożnym posłom lub innym znacznym osobom przybyłym na krótko do Paryża, był bogaty, ale niewygodny. Lucjan wrócił do swego hotelu, ujrawszy z Paryża jedynie kawałek ulicy św. Honoriusza, łączący owe dwie ulice. Ułożył się do snu w nędznym pokoiku, który mimo woli porównał w myśli ze wspaiałym apartamentem Luizy. W chwili gdy wychodził od pani de Bargeton, zjawił się baron du Châtelet, prosto z wieczoru u ministra spraw zagranicznych, w całym blasku balowej toalety. Przybył zdać sprawę z zamówień, jakie poczynił w imieniu pani de Bargeton. Luiza była zaniepokojona, przerażał ją ten zbytek. Prowincja wycisnęła na niej swoje piętno; stała się drobiazgowa w wydatkach; była tak gospodarna, że w Paryżu musiałaby uchodzić za skąpą. Wzięła z sobą przekazy bankowe blisko na dwadzieścia tysięcy, przeznaczając tę sumę na nadwyżkę wydatków na przeciąg czterech lat; obawiała się już, że jej to nie wystarczy i że wejdzie w długi. Châtelet objaśnił ją, że mieszkanie będzie kosztowało tylko sześćset franków miesięcznie.

— Nędza, drobiazg — dodał, widząc zachnięcie się Nais. — Ma pani na rozkazy powóz za pięćset franków na miesiąc: razem pięćdziesiąt ludwików²². Pozostają jedynie toalety. Kobieta, która bywa w świecie, nie może urządzić się inaczej. Jeżeli chce pani wykroić z pana de Bargeton generalnego poborcę lub uzyskać dlań posadę na dworze, nie powinna wyglądać na osobę potrzebującą. Tutaj dają tylko bogatym. Bardzo szczęśliwie — dodał — że ma pani Gentila i Albertynę, służba w Paryżu to istna ruina. Jadać u siebie będzie pani rzadko, skoro raz wpłyniesz na szerokie wody.

Zaczęli rozmawiać o Paryżu. Châtelet opowiedział nowinki, tysiąc drobnostek, które trzeba znać, jeśli się chce być paryżaninem. Udzielił rad co do magazynów, wskazał adres

Pieniądz

²¹zresztą (daw.) — co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]

²²ludwik a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791; ludwikami nazywano później tradycyjnie złote 20-frankówki. [przypis edytorski]

krawcowej i modniarki, słowem, dał Luizie odczuć potrzebę „odangulemizowania się”. Następnie światowiec pożegnał ją ze swobodnym żarciem na ustach.

— Jutro — rzekł od niechcenia — będę miał zapewne łóż do jakiegoś teatru; wstąpię, aby zabrać panią i pana de Rubempré. Pozwoli pani, że będę wam robił honory Paryża.

„To szlachetniejszy charakter, niż mniemałam” — rzekła w duchu pani de Bargeton, gdy usłyszała zaproszenie dla Lucjana.

W czerwcu ministrowie nie wiedzą, co począć ze swymi łóżami: posłowie prawicy i ich mandanci²³ pilnują żniw lub winobrania, znajomi siedzą na wsi lub podróżują: toteż w tym okresie w najświetniejszych łóżach widzi się typy dziwnego nabożeństwa, nieznane bywalcom teatrów i dające publiczności wygląd spłowiałego obicia. Châtelet pomyślał, iż dzięki tej okoliczności będzie mógł bez wielkich wydatków dostarczyć Nais uciech najlakońszym mieszkańcom prowincji. Nazajutrz, zjawiwszy się pierwszy raz, Lucjan nie zastał Luizy. Pani de Bargeton wyszła dla paru niezbędnych sprawunków. Udała się, wedle wskazówek barona, na naradę z poważnymi i dostojnymi autorytetami w sprawach damskiej toalety, napisała już bowiem o swym przyjeździe do margrabiny d'Espard. Mimo iż pani de Bargeton posiadała to zaufanie w siebie, jakie daje długie panowanie, drżała, iż wyda się parafianką²⁴. Miała dość taktu, aby rozumieć, jak bardzo stosunki między kobietami zależą od pierwszego wrażenia. Mimo że czuła się na siłach, aby zrównać się szybko z poziomem kobiet tak znakomitych jak pani d'Espard, zgadywała, iż w początkach trzeba jej będzie życzliwości; nie chciała zwłaszcza pominąć żadnej z szans powodzenia. Dlatego była niezmiernie wdzięczna baronowi, że jej wskazał środki dostrojenia się do paryskiego świata. Szczególnym zbiegiem okoliczności margrabinie było w danej sytuacji niezmiernie na rękę, że mogła oddać przysługę komuś z rodziny męża. Bez wyraźnej przyczyny margrabia d'Espard usunął się: nie zajmował się ani interesami, ani sprawami publicznymi, ani rodziną, ani żoną. Stawszy się w ten sposób panią swojej woli, margrabina czuła potrzebę aprobaty świata, była więc rada, iż może w tej okoliczności zastąpić margrabiego, występując jako protektorka jego krewnych. Pragnęła nawet dać temu patronatowi pewną ostentację, aby tym więcej podkreślić winę męża. Tegoż samego dnia napisała do *pani de Bargeton z domu Négrepelisse* jeden z owych bilecików, w których forma jest tak ładna, iż trzeba wiele czasu, nim się dojrzy pod nią brak treści: czuje się szczęśliwa z okoliczności, zbliżających ją do osoby, o której słyszała i którą z dawna życzyła sobie poznać, przyjaźń bowiem w Paryżu nie jest czymś tak trwałym, aby mogła nie pragnąć posiadania jeszcze kogoś bliskiego sercu; gdyby się to nie miało ziścić, będzie to jedno złudzenie więcej, jakie pogrzebie wraz z innymi. Oddaje się cała do rozporządzenia kochanej kuzynki, którą byłaby pośpieszyła²⁵ odwiedzić, gdyby niedyspozycja nie zatrzymała jej w domu; ale uważa się już za zobowiązaną pani de Bargeton za to, że pomyślała o niej.

W czasie pierwszej swej włóczęgi przez bulwary i ulicę de la Paix Lucjan, jak wszyscy nowo przybyli, zajmował się o wiele więcej rzeczami niż ludźmi. W Paryżu zrazu pochłaniają uwagę masy: bogactwo sklepów, wysokość domów, natłok pojazdów; sprzeczności, jakie nastrocza krańcowy zbytek z krańcową nędzą, uderzają przede wszystkim. Zdumiony tym tłumem, któremu był zupełnie obcy, Lucjan, obdarzony żywą wyobraźnią, uczuł jak gdyby straszliwe pomniejszenie samego siebie. Osoby, które cieszą się na prowincji jakimś mirem i które spotykają tam na każdym kroku dowód swej ceny, nie mogą się oswoić z tą zupełną i nagłą niższą. Być czymś w swoim miasteczku, a nie być niczym w Paryżu, to dwa stany, które wymagają przejścia; ci, którzy przechodzą z jednego do drugiego zbyt gwałtownie, popadają w rodzaj unicestwienia. Młodemu poecie, nawykłemu znajdować echo dla wszystkich uczuć, powiernika dla wszystkich myśli, duszę dzielącą najmniejsze wrażenia, Paryż musiał się zdać strasliwą pustynią. Nie pomyślał o tym, aby się przebrać w odświętny niebieski fraczek, tak iż udając się o umówionej godzinie do pani de Bargeton, uczuł się zawstydzony ubóstwem, żeby nie powiedzieć: nędzą swego stroju. Zastał barona, który zabrał oboje na obiad do Rocher de Canca-

List, Pozory

²³mandant — tu: mandatariusz, pełnomocnik. [przypis edytorski]

²⁴parafianka — tu: kobieta z prowincji. [przypis edytorski]

²⁵byłaby pośpieszyła — przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość; dziś: pośpieszyłaby. [przypis edytorski]

le²⁶. Lucjan, oszołomiony paryskim wirem, nie mógł nic szepnąć Luizie, byli bowiem w powozie we troje; ścisnął ją za rękę, ona zaś odpowiedziała przyjaźnie myślom, które wyrażał w ten sposób. Po obiedzie Châtelet zaprowadził swoich gości do teatru Vaudeville²⁷. Lucjana drażnił potajemnie widok Châteleta, przeklinał los, który go zawiódł do Paryża. Dyrektor podatków złożył cel podróży na swoje ambicje: ma nadzieję (mówił), że otrzyma stanowisko generalnego sekretarza i wejdzie jako referendarz²⁸ do Rady Stanu²⁹; przybył upomnieć się o dotrzymanie obietnic, jakie mu poczyniono. Człowiek taki jak on nie może być wiecznie dyrektorem podatków; woli raczej niczym nie być, zostać posłem, wrócić do dyplomacji. Starał się urósć w oczach pani de Bargeton; Lucjan odczuwał niejasno w starym fircyku wyższość światowca zaprawionego w życiu paryskim; wstyd mu było zwłaszcza, iż z jego łaski kosztuje wielkomięjskich przyjemności. Tam, gdzie poeta był nieswój i zakłopotany, dawny sekretarz do szczególnych poruczeń czuł się jak ryba w wodzie. Châtelet uśmiechał się z wahań, zdumień, zapytań, drobnych niezręczności, w które brak obycia wtrącał jego rywala, jak stare wilki morskie dworują sobie z fryców³⁰, którzy nie przebyli jeszcze równika.

Przyjemność znalezienia się pierwszy raz w teatrze paryskim wynagradzała Lucjanowi przykreść, jaką sprawiły mu drobne konfuzje³¹. Wieczór ten był dlań znamienity przez tajemne zaparcie się wielu pojęć zrodzonych na prowincji. Krąg rozszerzał się, społeczeństwo nabierało innych proporcji. Sąsiedztwo ładnych paryżanek, ubranych tak świeżo, tak wykwinnie, zwróciło jego uwagę na starzyznę toalety pani de Bargeton, mimo iż dość wyszukanej: materia, fason, kolory, wszystko było niemodne. Uczesanie, które go tak zachwycało w Angoulême, wydało mu się straszliwie niegustowne w porównaniu do wytwornych pomysłów zdobiących tu główkę każdej kobiety.

„Czy to tak zostanie?” — myślał, nie wiedząc, iż Luiza obróciła ten dzień na przygotowanie transformacji.

Na prowincji nie ma wyboru ani porównania; nawyk oglądania tych samych twarzy sprawia, iż piękność opiera się na konwencji. Kobieta, która uchodzi na prowincji za ładną, w Paryżu nie zwraca najmniejszej uwagi, jest bowiem ładna tylko na zasadzie przysłówia: „W królestwie ślepych jednooki królem”. Oczy Lucjana czyniły to samo porównanie, jakie pani de Bargeton uczyniła między nim a Châteletem. Ze swej strony pani de Bargeton pozwalała sobie na osobliwe spostrzeżenia nad swym ulubieńcem. Mimo wybitnej urody biedny poeta nie przedstawiał się korzystnie. Surducina o przykrótkich rękawach, tanie prowincjonalne rękawiczki, kusa kamizelka czyniły go nader śmiesznym w porównaniu z młodymi ludźmi kręcącymi się po balkonie; w tym sąsiedztwie wydał się pani de Bargeton bardzo niepokąźny. Châtelet, nadskakujący bez pretensji, czuwający nad nią z bacznością, która zdradzała głębokie uczucie, Châtelet wytworny i swobodny jak aktor, który znów się znajdzie na deskach teatru, odzyskał w dwóch dniach cały teren, jaki postradał od pół roku. Mimo iż przeciętny sąd nie uznaje, aby uczucia mogły się zmieniać nagle, to pewne, iż para kochanków rozchodzi się często szybciej, niż się skojarzyła.

W pani de Bargeton i Lucjanie gotowało się wzajemne rozczarowanie, którego przyczyną był Paryż. Życie rozszerzało się w oczach Lucjana, gdy społeczeństwo przybierało nową fizjonomię w oczach Luizy. Trzeba było u obojga jedynie przypadku, aby przeciąć więzy, jakie ich łączyły. Ten cios siekiery, straszny dla Lucjana, niedługo dał na siebie czekać. Pani de Bargeton wysadziła poetę pod hotelem i wróciła do siebie w towarzystwie du Châteleta, co straszliwie zabolalo biednego kochanka.

„Co oni będą o mnie mówili?” — myślał, idąc do swego smutnego pokoiku.

— Ten chłopczyna jest piekielnie nudny — rzekł Châtelet z uśmiechem, skoro drzwiczki się zawarły.

²⁶*Rocher de Cancale* — elegancka restauracja paryska, przy ul. Montorgueil, ciesząca się wielkim powodzeniem w XIX w. [przypis edytorski]

²⁷*teatr Vaudeville* — dawny paryski teatr, otwarty w 1792 przy ul. Chartres, po pożarze w 1838 tymczasowo przeniesiony na bulwar Bonne-Nouvelle, od 1841 do 1869 przy Place de la Bourse. [przypis edytorski]

²⁸*referendarz* — urzędnik administracji państwowej. [przypis edytorski]

²⁹*Rada Stanu* — jeden z organów ustanowionych przez konstytucję Bonapartego: opiniuje projekty ustaw i rozporządzeń oraz sprawuje funkcję najwyższego sądu administracyjnego. [przypis edytorski]

³⁰*fryc* (daw.) — nowicjusz. [przypis edytorski]

³¹*konfuzja* — zmieszanie, zakłopotanie. [przypis edytorski]

— Jak wszyscy, którzy noszą świat myśli w sercu i w mózgu. Ludzie mający tyle rzeczy do wyrażenia w pięknych i długo marzonych dziełach gardzą zazwyczaj rozmową, tym targiem, w którym duch kurczy się, rozmieniając swe skarby na drobną monetę — rzekła dumna Nègrepelisse, która miała jeszcze odwagę bronić Lucjana, mniej dla Lucjana niż dla samej siebie.

— Godzę się z panią chętnie — odparł baron — ale cóż! Żyjemy z ludźmi, a nie z książkami. Posłuchaj, droga Nais, widzę, że jeszcze nie zaszło nic między panią a nim, to szczęście. Jeżeli pani zdecyduje się wprowadzić w życie swoje czynnik, którego zbywało ci dotąd, błagam, niechaj nim nie będzie osoba tego mniemanego geniusza. Gdybyś się miała mylić! Gdybyś za kilka dni, porównując go z prawdziwymi talentami, z naprawdę wybitnymi ludźmi, jakich tu zobaczysz, uznała, droga piękna syreno, iż wzięłaś na swój olśniewający grzbiet i zaniósłaś do portu, miast³² człowieka zbrojnego lirą, małpkę bez wychowania, bez znaczenia, głupią i próżną, która może mieć dość talentu na Houmeau, ale która w Paryżu staje się czymś nader pospolitym! Ostatecznie, drukują tu co tydzień tomy wierszy, z których najlichszy wart jest więcej niż cała poezja pana Chardona. Przez litość, czekaj, pani, i porównuj! Jutro piątek, dzień opery — rzekł, widząc, iż dojeżdżają — pani d'Espard ma do dyspozycji łóżę dworską, zaprosi panią z pewnością. Aby panią oglądać w całej chwale, pójdę do łóżę pani de Sérisy. Grają *Danaidy*³³.

— Do widzenia — rzekła.

Nazajutrz pani de Bargeton postarała się skombinować przyzwoity strój, aby odwiedzić przed południem swą kuzynkę. Było trochę chłodno, nie znalazła w angulemskich rupiecach nic lepszego nad jakąś zieloną aksamitną suknię, przybraną dość krzykliwie. Ze swej strony Lucjan podjął wyprawę po sławny niebieski fraczek, nie mógł już patrzeć na swą surducinę. Postanowił stale być dobrze ubrany, w tej myśli, iż może spotkać margrabinę d'Espard lub otrzymać od niej niespodziane zaproszenie. Wsiadł do dorożki, aby natychmiast przywieźć pakiet. W ciągu dwóch godzin wydał trzy czy cztery franki, co mu dało wiele do myślenia o finansowych proporcjach życia w Paryżu. Dotarłszy do szczytu swoich toaletowych możliwości, udał się na ulicę Neuve-de-Luxembourg, gdzie w bramie spotkał Gentila w towarzystwie wspaniale wystrojonego strzelca³⁴.

— Miałem właśnie iść do pana; pani dała mi ten bilecik dla niego — rzekł Gentil, który, przywykły do prowincjonalnej dobroduszości, nie znał formulek paryskiego uszanowania.

Strzelec wziął poetę za służącego. Lucjan otworzył bilecik, z którego dowiedział się, że pani de Bargeton spędzi dzień u pani d'Espard, a wieczór idzie do Opery, ale poleca Lucjanowi, aby się tam zjawił; kuzynka pozwala jej użyć miejsca w łóżę młodemu poecie. Margrabina — dodawała pani de Bargeton — zachwycona jest, iż może mu sprawić tę przyjemność.

„Kocha mnie zatem! Obawy moje były szalone — rzekł do siebie Lucjan — przedstawi mnie dziś wieczór kuzynce”.

Podsłoczył z radości i chciał wesoło spędzić czas, jaki go dzielił od szczęśliwego wieczoru. Pomknął ku Tuileriom³⁵, mając zamiar przechadzać się tam do chwili, w której pójdzie zjeść obiad u Véry'ego³⁶. I oto Lucjan, rozbawiony, skoczny, lekki szczęściem, wstępuje na terasę Feuillants i przebiega ją, przyglądając się przechodniom, śledząc ładne kobiety w towarzystwie wielbicieli, elegantów przechadzających się parami pod rękę i pozdrawiających się wzajem spojrzeniem i skinieniem dłoni. Cóż za różnica między tą terasą a Beaulieu! Ptaki tej wspaniałej grzędy inny miały blask niż angulemskie kwoczki! Był to cały przepych kolorów, błyszczący w ornitologicznych rodzinach Indii lub Ameryki, w porównaniu z szarymi barwami ptaków Europy. Lucjan spędził w Tuileriach dwie okrutne godziny: poddał się sam straszemu egzaminowi i wydał wyrok. Przede wszystkim nie zobaczył wśród elegantów ani jednego fraka. Jeżeli zdarzył się ktoś we fraku, to

³²miast (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

³³*Danaidy* — opera Antonio Salieriego z roku 1784, na podstawie greckiego mitu o córkach króla Argos, Danaosa. [przypis edytorski]

³⁴strzelec (daw.) — w dawnych dworach: służący do różnych posług, m.in. towarzyszący karecie podczas podróży. [przypis edytorski]

³⁵Tuilerie — paryskie ogrody i istniejący do 1871 pałac, położone między Luwrem a Sekwaną. [przypis edytorski]

³⁶Véry — jedna z najlepszych restauracji paryskich. [przypis edytorski]

chyba jakiś staruszek bez pretensji, biedaczyna, drobny rentier³⁷ z Dzielnicy Marais³⁸, woźny... Zorientowawszy się, że istnieje osobny strój ranny i wieczorowy, poeta, obdarzony wrażliwością i przenikliwym spojrzeniem, ocenił szpetotę swoich sukien: rażące śmieszością niedostatki swego ubrania o niemodnym kroju, niegustownej niebieskiej barwie, szkaradnym rysunku kołnierza, którego znoszone klapy zwieszały się smutnie; guziki były zrudziałe, szwy rysowały się szpetnymi białymi liniami. Dalej, kamizelka była zbyt krótka i miała w sobie coś tak pocieszenie prowincjonalnego, że aby ją ukryć, Lucjan zapiał się mimo woli na wszystkie guziki. Wreszcie spostrzegł, iż nankinowe pantalony nosi jedynie pospólstwo; ludzie wykwinłi noszą prześliczne ineksprymable³⁹ w paski lub lśniące nieskazitelną białością. Przy tym wszyscy mieli spodnie ze strzemiączkami, jego zaś porcięta schodziły się bardzo niedoskonale z obcasami, do których skurczone brzegi materii objawiały gwałtowną antypatię. Lucjan miał białą krawatkę o rogach haftowanych przez siostrę, która, widząc podobne u pana du Hautoy, u pana de Chandour, skwapliwie postarała się o takie same dla brata. Nie tylko nikt, z wyjątkiem ludzi podeszłych, jakichś starych giełdjarzy, zasuszonych urzędników, nie nosił krawatki białej rano, ale jeszcze biedny Lucjan ujrzał po drugiej stronie bariery, na ulicy Rivoli, chłopca ze sklepu, z koszykiem na głowie, na którego szyi elegant z Angoulême dostrzegł koniec krawata wyhaftowane ręką jakiejś ubóstwianej gryzетки⁴⁰. Widok ten był dla Lucjana niby cios w piersi, w ten jeszcze niedokładnie określony organ, gdzie się mieści nasza wrażliwość i gdzie, od czasu jak istnieją uczucia, ludzie kładą rękę tak w nadmiernej radości, jak i bólu. Nie pomawiajcie tych szczegółów o dzieciństwo. Zapewne dla bogaczy, którzy nigdy nie zaznali tego rodzaju cierpienia, jest w tym wszystkim coś mizernego i niewiarygodnego; ale cierpienia nędzarzy tak samo zasługują na uwagę, jak wstrząsy, które łamią życie potężnych i uprzywilejowanych. Czyż nie zdarza się tyleż boleści z jednej, co i z drugiej strony? Cierpienie daje wielkość wszystkiemu. Wreszcie zmieńcie terminy: w miejsce ładnego stroju pomieście wstążeczkę, odznaczenie, tytuł. Te pozornie drobne rzeczy czyż nie były udręką wielu świetnych egzystencji? Kwestia stroju jest zresztą niezmiernie doniosła dla tych, którzy chcą mieć pozór, iż mają to, czego nie mają: często najlepszy sposób, aby to osiąść później. Lucjan oblał się zimnym potem na myśl, iż wieczorem ma się zjawić w tym ubraniu w obliczu margrabiny d'Espard, krewnej wielkiego ochmistrza dworu, kobiety, u której bywały wszelkie znakomitości, i to przesiane przez sito.

„Wyglądam na aptekarskiego synka, na chłopca sklepowego!” — powtarzał sobie z wściekłością, widząc dokoła zgrabnych, zalotnych, wyświeżonych młodych ludzi z arystokratycznych domów. Wszyscy mieli coś wspólnego we wzięciu, coś, co ich upodabniało między sobą wytwornością linii, szlachetnością ruchu, wyrazem; różnili się zaś ramą, jaką każdy sobie obrał, aby uwydatnić indywidualne zalety. Wszyscy podkreślali swoje korzystne strony za pomocą pewnej charakterystyki, na której młodzi ludzie w Paryżu rozumieją się równie dobrze jak kobiety. Lucjan posiadał po matce ową cenną dystynkcję fizyczną, której przewagi połyskiwały mu przed oczami; ale to złoto było w rudzie, nieobrobione umiejętną ręką. Był źle ostrzyżony. Zamiast podtrzymać głowę gibkim halsztukiem⁴¹, chował ją niedbale w szpetnym kołnierzu koszuli; krawat, nie dając szyi oparcia, sprawiał, iż głowa zwieszała się żałośnie. Któż kobieta odgadłaby ładną nogę Lucjana w angulemskich buciorach? Któryż młody człowiek pozazdrościłby mu zgrabnej figury w niebieskim worku, wcielającym dotąd dla Lucjana paradne ubranie? Widział prześliczne spinki w koszulach olśniewającej białości, gdy jego była zrudziała! Wszyscy ci lalusie byli cudownie urękawicznieni, on zaś miał rękawice godne żandarma! Ten igrał sobie rozkosznie oprawną laseczką; ów miał koszulę o mankietach spiętych maleńki-

Moda, Pozycja społeczna

³⁷rentier — osoba utrzymująca się z dochodów z kapitału ulokowanego w banku lub na giełdzie. [przypis edytorski]

³⁸Marais (fr.: bagno) — część Paryża na północnym brzegu Sekwany, w XIX w. zamieszkiwana przez drobnych kupców, rzemieślników i biedotę miejską. [przypis edytorski]

³⁹ineksprymable (przestarz., z fr. *inexprimable*: niewyraźalny) — spodnie. [przypis edytorski]

⁴⁰gryzетка (daw., z fr. *gris*: szary; *grissette*: tania, szara tkanina ubraniowa) — we Francji: młoda dziewczyna pracująca jako szwaczka, ekspedientka, modystka. [przypis edytorski]

⁴¹halsztuk (daw.) — chustka na szyję, noszona przez mężczyzn w końcu XVIII i w XIX w., poprzednik krawata. [przypis edytorski]

mi złotymi guziczkami. Mówiąc z kobietą, jeden wyginał śliczną szpicrózgę⁴², obfite zaś fałdy pantalonów, zbryzgane paroma drobnymi plamkami, dzwoniące ostrogi, obcisły rajtroczek⁴³ świadczyły, iż za chwilę wsiądzie z powrotem na jednego z dwóch koników trzymany w pogotowiu przez maleńkiego gruma⁴⁴. Inny wyjmował z kieszeni zegarek płaski jak pięciofrankówka i spoglądał na godzinę z miną człowieka, który przybył zbyt wcześniej lub zbyt późno na schadzkę. Patrząc na te ładne bagatelki, których istnienia nie podejrzewał, Lucjan ujrzał przed sobą cały świat rzeczy niezbędnych, a zbytecznych i zadrżał na myśl, iż trzeba posiadać olbrzymi kapitał, aby mieć prawo być ładnym chłopcem! Im więcej podziwiał owych młodych ludzi o swobodnych i szczęśliwych twarzach, tym bardziej miał świadomość swej miny człowieka spadłego z księżycy, miny człowieka, który nie wie, skąd ani dokąd idzie, nie wie, gdzie jest Palais-Royal⁴⁵, kiedy uderza weń nosem, i pyta przechodnia o drogę do Luwru, aby otrzymać odpowiedź: „Jest pan w nim”. Lucjan czuł, iż dzieli go od tego świata cała przepaść; pytał sam siebie, jak mógłby ją przebyć, chciał stać się podobny do smukłej i delikatnej paryskiej młodzieży. Wszyscy ci patrycjusze pozdrawiali ukłonem bosko ubrane i bosko piękne kobiety, dla których Lucjan dałby się posiekać za cenę jednego pocałunku, jak paź hrabiny Königsmarck⁴⁶. W czeluściach jego pamięci Luiza, porównana z tymi królewnami, była starą kobietą. Spotkał tę i ową z kobiet, o których będzie się mówiło w historii XIX wieku, których dowcip, uroda, miłostki zaćmiały sławą monarchinie minionych wieków. Ujrzał przechodzącą olimpijską⁴⁷ dziewczynę, pannę des Touches, tak głośną pod mianem znakomitego pisarza Kamila Maupina, równie wielką przez swą piękność, jak przez bogactwa ducha, a której nazwisko powtarzali sobie po cichu przechodnie.

„Ach! — pomyślał w duchu — oto poezja!”

Czym była pani de Bargeton wobec tego anioła lśniącego młodością, nadzieją, przyszłością, o słodkim uśmiechu? Istoty, której czarne oko było rozległe jak niebo, jarzące jak słońce? Śmiała się, rozmawiając z panią Firmiani, jedną z najbardziej uroczych kobiet w Paryżu. Jakiś głos krzyknął w Lucjanie: „Inteligencja to dźwignia, którą porusza się świat”. Ale inny głos odkrzyknął, że punktem oparcia dla inteligencji jest pieniądz. Nie chcąc zostać pośród ruin swych marzeń i na scenie swej klęski, Lucjan skierował się ku Palais-Royal, wypytawszy się wprzód; nie znalazł jeszcze topografii swej dzielnicy. Wszedł do Véry’ego, zamówił, aby się wtajemniczyć w rozkosze Paryża, obiad zdolny pocieszyć go w rozpacz. Butelka bordeaux⁴⁸, ostendzkie ostrygi, ryba, kuropatwa, torcik, owoce stanowiły *nec plus ultra*⁴⁹ jego pragnień. Zanurzył się w tej niewinnej rozpuszczalności, obmyślając skarby dowcipu, jakie roztoczy wieczór przed panią d’Espard, obiecując sobie okupić mizериę dziwacznej garderoby bogactwem intelektualnym. Wyrwała go z marzeń chwila rachunku, wydzierając mu pięćdziesiąt franków, z którymi spodziewał się zająć daleko w Paryżu. Obiad kosztował tyle, co miesiąc egzystencji w Angoulême. Toteż Lucjan zamknął za sobą z szacunkiem drzwi tego pałacu, myśląc, że nigdy więcej nie przestąpi jego progu.

„Ewa miała słuszność — rzekł do siebie, idąc Galerią Kamienną do domu, aby zacerpnąć nowy zapasik ze swej kasy — ceny w Paryżu inne są niż w Houmeau!”

Idąc, podziwiał sklepy krawców, myśląc równocześnie o toaletach, jakie widział rano.

— Nie — wykrzyknął — nie pokażę się w tych łachach pani d’Espard!

Pobiegł z chyżością jelenia do hotelu, wbiegł do pokoju, wziął sto talarów⁵⁰ i pośpieszył z powrotem do Palais-Royal, aby się ubrać od stóp do głowy. Widział, przechodząc,

Uroda

Rozum, Pieniądz

Jedzenie, Pieniądz

⁴²szpicrózga — szpicruta, elastyczny pręt pokryty skórą lub pleciony z rzemienia, używany do poganiania konia. [przypis edytorski]

⁴³rajtrok — dawny surdut z rozciętymi polami używany do jazdy konnej. [przypis edytorski]

⁴⁴grum a. groom (ang.) — chłopiec stajenny opiekujący się końmi. [przypis edytorski]

⁴⁵Palais-Royal (fr.: Pałac Królewski) — pałac położony w centrum Paryża, 150 m od Luwru, zbudowany przez kardynała Richelieu, w latach 1643–1661 siedziba Ludwika XIV, następnie własność książąt orleańskich, którzy w latach 1780–1784 wokół udostępnionych publicznie ogrodów pałacowych zbudowali galerie mieszczące sklepy i kawiarnie, tworząc najważniejsze miejsce handlowe w mieście. [przypis edytorski]

⁴⁶Aurora von Königsmarck (1662–1728) — hrabina szwedzka, faworyta króla polskiego Augusta II. [przypis edytorski]

⁴⁷olimpijska — tu: piękna jak boginie greckie, zamieszkujące górę Olimp. [przypis edytorski]

⁴⁸bordeaux — wino z okolic francuskiego miasta o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

⁴⁹nec plus ultra (łac.) — nic ponad to; kraniec, nieprzekraczalna granica. [przypis edytorski]

⁵⁰talár — w oryginale: écu, w XIX w. potoczna nazwa srebrnej monety pięciofrankowej. [przypis edytorski]

magazyny obuwia, bielizny, kamizelek, zakłady fryzjerskie, słowem, przyszłą swą elegancję rozrzucił w dziesiątkach sklepów. Pierwszy z brzegu krawiec dał mu przymierzyć ubrań, ile Lucjan zechciał, przekonywając go, iż wszystkie są ostatniej mody. Lucjan wyszedł jako właściciel zielonego fraka, białych pantalonów i kolorowej kamizelki za sumę dwustu franków. Rychło znalazł parę trzewików wykwiłtych i leżących jak ulał. Wreszcie zakupiwszy wszystko, czego pragnął, zamówił fryzjera do hotelu, dokąd każdy z kupców dostawił swój towar. O siódmej wsiadł do dorożki i kazał się zawieźć do Opery, utrefiony jak lalka fryzjerska, połyskujący nową kamizelką, krawatką, ale nieco skrępowany w tym futerale. W myśl wskazówek pani de Bargeton spytał o łożę szambelańską. Na widok człowieka, któremu pożyczana elegancja dawała wygląd drużby z podmiejskiego wesela, kontroler poprosił o bilet.

— Nie mam.

— Zatem nie może pan wejść — brzmiała sucha odpowiedź.

— Jestem zaproszony przez panią d'Espard — rzekł.

— Nie jestem obowiązany wiedzieć o tym — rzekł urzędnik, wymieniając niedostrzegalny uśmiech z kolegami.

W tej chwili pod arkadami zatrzymał się powóz. Strzelec, którego Lucjan nie poznał, odchylił stopień pojazdu, z którego wysiadły dwie strojne kobiety. Lucjan, nie chcąc się narażać na impertynencką uwagę kontrolera, aby się usunął, przepuścił obie damy.

— Ależ to właśnie margrabina d'Espard, którą jakoby pan zna — rzekł ironicznie kontroler.

Lucjan był tym bardziej oszołomiony, iż pani de Bargeton wyraźnie nie poznała go w nowym upierzeniu; ale kiedy podszedł bliżej, uśmiechnęła się i rzekła:

— Doskonale się składa, niech pan idzie z nami!

Kontrolerzy przestali się uśmiechać. Lucjan szedł za panią de Bargeton, która wstępując po szerokich schodach, przedstawiła swego Rubemprégo kuzynce. Łoża szambelańska znajduje się w jednym z dwu symetrycznych załomów sali; jest na widoku i widać z niej na wszystkie strony. Lucjan umieścił się za panią de Bargeton, szczęśliwy, iż może znaleźć się w cieniu.

— Panie de Rubempré — rzekła uprzejmie margrabina — jest pan pierwszy raz w Operze, rozejrzyj się po sali, siadaj pan tu, z przodu, pozwalamy.

Lucjan usłuchał; właśnie kończył się pierwszy akt.

— Dobrze użyłeś czasu — szepnęła mu Luiza, po pierwszej chwili zdumienia spowodowanego przemianą Lucjana.

Luiza została ta sama. Sąsiedztwo modnej kobiety, margrabiny d'Espard, owej pani de Bargeton Paryża, szkodziło jej jeszcze: świetna paryżanka tak dobrze podkreślała braki parafianki, iż Lucjan, podwójnie uświadomiony błyszczącym światem w tej wspaniałej sali i towarzystwem niepospolitej damy, ujrzał wreszcie w biednej Anais de Nègrepelisse kobietę rzeczywistą, taką, jaką widzieli mieszkańcy Paryża: kobietę roslą, chudą, upstrzoną na twarzy drobnymi żyłkami, zwiędłą, więcej niż rudą, kościstą, niezręczną, pretensjonalną, sztuczną, parafiańską w sposobie mówienia, źle ubraną przede wszystkim! W istocie, fałdy znoszonej sukni paryskiej świadczą jeszcze o smaku, człowiek tłumaczy ją sobie, zgaduje, czym była; ale stara suknia z prowincji jest czymś niewytłumaczonym, jest śmieszna. Suknia i kobieta nie miały wdzięku ani świeżości: aksamit był wyświechtany zarówno jak cera. Lucjan, zawstydzony, iż mógł kochać ten rybi szkielet, przyrzekł sobie skorzystać z pierwszego napadu cnoty Luizy, aby ją porzucić. Świetny wzrok chłopca pozwalał mu widzieć lornetki skierowane na tę arystokratyczną łożę. Najwykwintniejsze kobiety przyglądały się zapewne pani de Bargeton, wszystkie uśmiechały się. Jeżeli pani d'Espard odgadła po gestach i uśmiechach przyczynę sarkazmów, była na nie zupełnie niewrażliwa. Przede wszystkim każdy musiał odgadnąć w jej towarzystwie ubogą krewną z prowincji, taką, jaka może spaść na głowę każdemu w Paryżu. Następnie kuzynka wspomniała o swej toalecie, wyrażając niejaki obawy; pani d'Espard uspokoiła ją, spostrzegając, iż Anais, raz ubrana, rychło stanie się paryżanką. O ile pani de Bargeton zbywało na światowym obyciu, posiadała w zamian wrodzoną dumę kobiety wielkiej krwi i owo nieokreślone coś, co można nazwać rasą. Zatem w następny poniedziałek doczeka się odwetu. Zresztą pani d'Espard wiedziała, iż z chwilą gdy Paryż dowie się, że ta kobieta jest jej kuzynką,

poniecha szyderstw i wstrzyma się z sądem do nowego egzaminu. Lucjan nie domyślał się odmiany, jaką w osobie Luizy sprawi wstążka na szyi, ładna suknia, modne uczesanie i rady pani d'Espard. Wstępując po schodach, margrabina zwróciła już kuzynce uwagę, aby nie trzymała chustki w ręce. Dobry smak opiera się na tysiącu takich drobnych odcieni, które kobieta pojętna chwytą szybko, a których wiele kobiet nie zrozumie nigdy. Pani de Bargeton, już pełna dobrej woli, aż nadto była zdolna spostrzec się, czym grzeszyła. Pani d'Espard, pewna, iż wychowanica przyniesie jej zaszczyt, godziła się służyć jej za mentorkę. Słowem, stanął między dwiema kobietami pakt umocniony obopólnym interesem. Pani de Bargeton powzięła od pierwszej chwili kult dla modnej kobiety, której wzięcie, dowcip i otoczenie oczarowały ją, porwały, olśniły. Poznała w pani d'Espard potęgę ambitnej wielkiej damy i powiedziała sobie, iż dojdzie do celu, czyniąc się satelitą tej gwiazdy: okazała więc otwarcie swoje uwielbienie. Margrabina, mile pogłaskana tym naiwnym zachwytem, zainteresowała się kuzynką, widząc ją słabą i biedną; przy tym dość było jej na rękę zyskać wychowanicę, stworzyć „szkołę”. Nie była od tego, aby w pani de Bargeton urobić sobie rodzaj damy dworu, niewolnicę, która by śpiewała jej pochwały, skarb jeszcze rzadszy między kobietami w Paryżu niż oddany krytyk w falandze⁵¹ literackiej.

Tymczasem ruch ogólnej ciekawości stawał się zbyt widoczny, aby nowo przybyła nie spostrzegła go, mimo iż pani d'Espard starała się grzecznie odwrócić jej uwagę.

— Skoro nas kto odwiedzi — rzekła margrabina — dowiemy się może, dzięki czemu mamy zaszczyt zajmować te panie...

— Podejrzewam mocno, że ta stara aksamitna suknia i moja angulemska postać bawi paryżanki — rzekła, śmiejąc się pani de Bargeton.

— Nie, to nie to; jest coś, czego nie umiem sobie wytłumaczyć — dodała, odwracając się ku poecie, na którego spojrzała pierwszy raz i który wydał się jej szczególnie ubrany.

— O, pan du Châtelet — rzekł Lucjan, pokazując palcem łóż pani de Sérisy, dokąd stary piękniś, wyświeżony, wszedł właśnie.

Na ten gest pani de Bargeton zagryzła wargi ze złości, margrabina bowiem nie mogła powstrzymać spojrzenia i zdziwionego uśmiechu, które mówiły tak wzgardliwie: „Gdzie się chował ten młody człowiek?” — że Luiza uczuła się upokorzona w swej miłości, uczucie najdotkliwsze dla Francuzki i nie do przebaczenia kochankowi, który ją o nie przyprowadził. W tym świecie, gdzie małe rzeczy stają się wielkimi, jeden gest, słowo gubią nowicjusza. Główną zaletą dobrych form i wykuintnego tonu jest harmonijna całość, w której wszystko się spływa, nic nie razi. Nawet ci, którzy przez nieświadomość lub napór myśli nie przestrzegają prawideł tej wiedzy, rozumieją, iż w owej materii jeden rozdźwięk jest, jak w muzyce, zaprzeczeniem samej sztuki, której wszystkie warunki muszą być zachowane w najdrobniejszej rzeczy, pod groźą nieistnienia.

— Kto jest ten pan? — spytała margrabina, wskazując wzrokiem Châteleta. — Czy znasz już panią de Sérisy?

— A! Ta pani to słynna pani de Sérisy, która miała tyle przygód, a którą mimo to przyjmują wszędzie!

— Rzecz niesłychana, moja droga — odparła margrabina — rzecz dająca się wytłumaczyć, ale niewytłumaczona! Ludzie najwpływowisi należą do jej przyjaciół, a czemu? Nikt nie śmie zgłębiać tej tajemnicy. Więc ten pan to lew angulemski?

— Ależ baron du Châtelet — rzekła Anais (przez próżność przywracała mu w Paryżu tytuł, którego dotąd odmawiała swemu wielbicielowi) — to człowiek, który narobił wiele hałasu. To ów towarzysz pana de Montriveau.

— Ach — rzekła margrabina — nie mogę słyszeć tego nazwiska, aby nie pomyśleć równocześnie o biednej księżnej de Langeais, która znikła niby spadająca gwiazda! Oto — rzekła, wskazując jedną z łóż — pan de Rastignac i pani de Nucingen, żona dostawcy, bankiera, spekulanta, pośrednika na wielką skalę, człowieka, który narzuca się Paryżowi przez swój majątek i który, jak słyhać, niewiele ma skrupułów w jego pomnażaniu. Robi wszelkie wysiłki, aby przekonać świat o swym przywiązaniu do Burbonów; próbował już nawet dostać się do mnie. Biorąc łóż pani de Langeais, żona jego mniemała, iż

⁵¹*falanga* — zwarty szyk ciężkozbrojnej piechoty w staroż. Grecji; dziś przen.: zbity, zwarty szereg ludzi. [przypis edytorski]

odziedziczy także jej urok, dowcip i powodzenie. Wiecznie bajka o sojce, która stroi się w pawie pióra!⁵²

— W jaki sposób państwo de Rastignac, o których wiadomo, że nie mają ani tysiąca talarów renty⁵³, mogą utrzymać syna w Paryżu? — rzekł Lucjan do pani de Bargeton, zdumiony elegancją i zbytkiem, jakim lśniła postać młodego człowieka.

— Łatwo poznać, że pan przebywa z Angoulême — odparła dość ironicznie margrabina, nie odejmując lornetki.

Lucjan nie zrozumiał, pochłonięty obserwowaniem łóż, w których odgadywał sądy świata o pani de Bargeton i ciekawość, jakiej sam był przedmiotem. Co do Luizy, szczególnie była dotknięta obojętnością margrabiny na urodę Lucjana.

„Nie jest zatem tak piękny, jak mniemałam!” — mówiła sobie.

Od tego do obniżenia sądu o jego geniuszu był tylko krok. Skoro kurtyna zapadła, Châtelet, który złożył wizytę księżnej Carigliano w sąsiedniej łoży, skłonił się pani de Bargeton, która odpowiedziała skinieniem głowy. Kobieta światowa widzi wszystko, toteż margrabina zauważyła nieskazitelną elegancję Châteleta. W tej chwili cztery osoby weszły kolejno do łoży margrabiny, cztery paryskie znakomitości.

Pierwszym był pan de Marsay, człowiek słynny przez namiętności, jakie budził, zwracający uwagę zwłaszcza swą urodą iście dziewczęcą, urodą miękką, zniewieściałą, ale podkreśloną spojrzeniem niezłomnym, spokojnym, drapieżnym i ostrym jak spojrzenie tygrysa: kochano go i bano się zarazem. Lucjan był równie piękny, ale jego spojrzenie było tak słodkie, niebieskie oko tak przejrzyste, iż nie wydawał się zdolny do tej siły i potęgi, która tak działała na kobiety. Zresztą nic nie dodawało jeszcze ceny urodzie Lucjana, gdy de Marsay posiadał inteligencję, pewność siebie, strój podkreślający jego zalety; jakoż miażdżył dokoła rywali. Osądźcie, czym mógł być przy nim Lucjan, nieswój, wykrochmalony, sztywny i nowy jak jego ubranie! De Marsay zdobył sobie prawo mówienia impertynencji dzięki dowcipowi i urokowi form, jaki im towarzyszył. Przyjęcie margrabiny od razu objaśniło pani de Bargeton potęgę tej osobistości. Drugim z gości był jeden z braci Vandenesse, ten, który stał się przyczyną skandalu lady Dudley, łagodny, inteligentny, skromny młody człowiek: typ zgoła przeciwny pysznemu de Marsay — inne zatem cechy charakteru zdecydowały o jego karierze. Kuzynka margrabiny, pani de Mortsauf, poleciła go jej gorąco. Trzecim był generał de Montriveau, sprawca zguby księżny de Langeais, czwartym pan de Canalis, jeden z najznakomitszych poetów epoki, młody człowiek jeszcze w zaraniu sławy, który, dumniejszy ze swego szlacheństwa niż z talentu, nadskakiwał ostentacyjnie pani d'Espard, aby ukryć swe miłości z księżną de Chaulieu. Pod powłoką wdzięku, skażonego nieco afekcją, zgadywało się olbrzymią ambicję, która później pchnęła go w burzę politycznego życia. Uroda jego, niemal chłopięca, pieszczotliwe obejście niedostatecznie kryły głęboki egoizm i wieczną rachubę problematycznej wówczas egzystencji; ale wybór jego skierowany na panią de Chaulieu, kobietę przeszło czterdziestoletnią, stał się dlań źródłem dobrodziejstw dworu, sympatii Dzielnicy Saint-Germain⁵⁴ i obelg liberałów, nazywających go poetą zakrystii.

Widząc tych czterech tak wybitnych ludzi, pani de Bargeton zrozumiała, czemu margrabina nie zwróciła uwagi na Lucjana. Następnie, kiedy zaczęła się rozmowa, kiedy każdy z tych umysłów, tak subtelnych, tak delikatnych, odsłonił się paroma błyskami, w których było więcej dowcipu, więcej głębi niż we wszystkim, co Anais słyszała przez miesiąc na prowincji, kiedy zwłaszcza wielki poeta rzucił parę lotnych słów, w których malował się cały zmysł epoki, pozytywny, ale ozłocony poezją, Luiza pojęła to, co Châtelet powiedział jej wczoraj: Lucjan był już niczym. Każdy patrzył na biednego intruza z tak okrutną obojętnością, był on tam tak zupełnie cudzoziemcem nieznającym języka, że margrabinie żal się go zrobiło.

— Pozwoli pan — rzekła do Canalisa — że mu przedstawię pana de Rubempré. Zajmuje pan w literaturze zbyt wysokie stanowisko, aby nie przygarnąć młodego adepta.

⁵²bajka o sojce, która stroi się w pawie pióra — odniesienie do bajki La Fontaine'a (ks. IV, bajka 9). [przypis edytorski]

⁵³renta — tu: dochód z kapitału ulokowanego w banku, w obligacjach, na giełdzie itp.; por. *rentier*. [przypis edytorski]

⁵⁴dzielnica Saint-Germain — właściwie Saint-Germain-des-Prés, lewobrzeżna dzielnica Paryża, od poł. XVIII w. zamieszkiwana przez arystokrację. [przypis edytorski]

Pan de Rubempré przybywa z Angoulême, będzie z pewnością potrzebował pańskiego poparcia u tych, którzy stawiają tutaj talent na świeczniku. Nie ma jeszcze wrogów, którzy mogliby mu stworzyć powodzenie swymi atakami. Czyż nie byłoby dziełem dość oryginalnym, godnym, aby się o nie pokusić, zyskać mu ręką przyjaźni, co pan otrzymał z ręki nienawiści?

Podczas słów margrabinę czterej nowo przybyli spojrzeli na Lucjana. Mimo iż był o dwa kroki, de Marsay podniósł lornetkę, aby się mu przypatrzeć. Spojrzenie jego przechodziło z Lucjana na panią de Bargeton, z pani de Bargeton na Lucjana, kojarząc ich szyderczo w parę, a myśl ta okrutnie upokorzyła oboje; przyglądał się im jak dwojgu osobliwym zwierzętom i uśmiechał się. Uśmiech ten był niby żgnięcie sztyletu dla wielkiego człowieka z prowincji. Feliks de Vandenesse przybrał wyraz miłosierny. Montriveau rzucił na Lucjana spojrzenie zdolne przeniknąć go do rdzenia.

— Pani — rzekł Canalis, pochylając głowę — będę posłuszny, mimo iż osobisty interes każe nie hodować sobie rywali; ale pani przyzwyczaiła nas do cudów.

— Dobrze więc, robi mi pan tę przyjemność, aby przyjść na obiad w poniedziałek z panem de Rubempré, pomówicie swobodniej niż tutaj o sprawach literackich; będę się starała ściągnąć kilku władców literatury oraz znakomitości, które ją popierają, autorkę *Uriki*⁵⁵ i kilku dobrze myślących młodych poetów.

— Pani margrabinio — rzekł de Marsay — jeżeli pani popiera pana de Rubempré dla zalet ducha, ja gotów jestem zająć się nim dla jego urody; dam mu parę rad, które uczynią go jednym z najszcześliwszych dandysów Paryża. Później, gdy zechce, może być poetą.

Pani de Bargeton podziękowała kuzynce pełnym wdzięczności spojrzeniem.

— Nie wiedziałem, że jesteś zazdrosny o ludzi z talentem — rzekł Montriveau do de Marsaya. — Szczęście zabija poetów.

— Czy dlatego może nasz mistrz pragnie się ożenić? — odparł dandys, zwracając się do Canalisa, aby zobaczyć, jak pani d'Espard przyjmie ten docinek.

Canalis wzruszył ramionami, a pani d'Espard, przyjaciółka pani de Chaulieu, zaczęła się śmiać.

Lucjan, który czuł się w zbyt nowych szatach skrępowany jak mumia egipska, wstydził się, że się nie umie zdobyć na żadną odpowiedź. Wreszcie rzekł miękko do margrabinę:

— Dobroć pani skazuje mnie na same sukcesy.

W tej chwili wszedł Châtelet, chwytając w lot sposobność znalezienia oparcia wobec margrabinę w osobie generała Montriveau, jednego z królów Paryża. Skłonił się pani de Bargeton i poprosił panią d'Espard, aby mu przebaczyła śmiałość, z jaką wtargnął do loży: od tak dawna nie miał sposobności spotkać się ze swoim towarzyszem podróży! Montriveau i on widzą się po raz pierwszy, rozstawszy się w szczerzej pustyni!

— Rozstać się w pustyni i odnaleźć się w Operze! — rzekł Lucjan.

— Iście teatralne spotkanie — dodał Canalis.

Montriveau przedstawił barona du Châtelet margrabinie, ta zaś przyjęła ekssekretarza do szczególnych poruczeń Cesarskiej Wysokości tym uprzejmiej, ile że widziała go już mile witanego w trzech łóżach, że pani de Sérisy dopuszczała jedynie ludzi dobrze postawionych i że wreszcie był towarzyszem generała Montriveau. Ten ostatni tytuł miał taką wartość, że pani de Bargeton mogła zauważyć w tonie, w spojrzeniach i obejściu czterech gości margrabinę, iż uznają bez dyskusji Châteleta za jednego ze swoich. Nais zrozumiała nagle sułtańskie tony Châteleta na prowincji. Wreszcie Châtelet ujrzał Lucjana; pozdroził go suchym i zimnym ukłonem, za pomocą którego jeden mężczyzna podcina nogi drugiemu, podkreślając wobec świata jego nicość. Ukłonowi towarzyszył drwiący wyraz, który zdawał się mówić: „Jakim cudem ten tutaj?” Zrozumiano go, de Marsay bowiem nachylił się do generała, mówiąc mu do ucha tak, aby baron go słyszał:

— Niech się pan spyta, kto jest ten lalusz wyglądający jak manekin z magazynu gotowych ubrań.

Châtelet szeptał chwilę do swego towarzysza, odciągawszy go jak gdyby dla omówienia wspomnień, i z pewnością oskubał rywala do nitki. Lucjan był zdumiony ciętością,

⁵⁵ *Urika* — francuska powieść z 1823, autorstwa księżnej Claire de Duras (1777–1828), opowiadająca o młodej Murzynce w Paryżu, wychowanej zgodnie ze standardami dziewcząt z wyższych sfer, lecz nieszczęśliwej z powodu koloru skóry. [przypis edytorski]

przytomnością umysłu, z jaką ci ludzie formułowali swoje odpowiedzi, oszołomiony błyskotliwością ich dowcipu, zwłaszcza lekkością słowa i swobodą wzięcia. Zbytek, który rano przeraził go w szczegółach zewnętrznych, teraz odsłaniał mu się w dziedzinie myśli. Zapytywał sam siebie, za pomocą jakiego sekretu ludzie ci znajdują na końcu języka trafne odpowiedzi, spostrzeżenia, jakie on byłby zdolny wysmażyć chyba po długim rozmyślaniu. A przy tym u tych pięciu światowców czuło się swobodę nie tylko w słowach, ale i w stroju: nie mieli na sobie nic nowego ani nic starego. Nic w nich nie błyszczało, a wszystko wabiło oko. Zbytek ich robił wrażenie czegoś codziennego, wrodzonego. Lucjan czuł, iż wygląda na człowieka, który się ubrał po raz pierwszy w życiu.

— Patrz no, patrz — rzekł Marsay do Feliksa de Vandenesse — ten hultaj Rastignac pomyka jak kula karabinowa! Ot, widzisz go u margrabiny de Listomère, robi postępy, lornetuje nas! Zapewne musi znać pana... — ciągnął dandys, zwracając się do Lucjana, ale nie patrząc nań.

— Trudno przypuścić — odparła pani de Bargeton — aby nazwisko wielkiego człowieka, z którego jesteśmy dumni, nie doszło do pana de Rastignac: siostra jego słyszała niedawno pana de Rubempré, jak nam czytał bardzo piękne wiersze.

Feliks de Vandenesse i de Marsay pożegnali margrabinę i przeszli do pani de Listomère, siostry Vandenesse'ów. Zaczął się drugi akt; pani d'Espard, kuzynka jej i Lucjan zostali sami. Jedni śpieszyli wytłumaczyć postać pani de Bargeton kobietom zaintrygowanym jej obecnością, drudzy obwieścili przybycie poety i żartowali z jego stroju. Canalis udał się do łoży księżnej de Chaulieu i już nie wrócił. Lucjan był wielce rad, iż uwaga zwróciła się na przedstawienie. Obawy pani de Bargeton co do Lucjana wzmogły się pod wrażeniem względów, jakie kuzynka okazała baronowi du Châtelet: przyjęcie to miało zupełnie inny charakter niż protekcyjna grzeczność wobec Lucjana. Podczas drugiego aktu w łoży pani de Listomère zostało pełno gości, bohaterami zaś rozmowy byli pani de Bargeton i Lucjan. Młody Rastignac widocznie zabawiał całe towarzystwo, dawał tempo owemu paryskiemu śmiechowi, który, rzucając się co dnia na inne pożywienie, śpieszy co prędzej wyczerpać swój przedmiot, czyniąc zeń w jednej chwili coś starego i zużytego. Pani d'Espard, niespokojna, wiedząc, iż świat nie zwykł długo zostawiać interesowanych osób w nieświadomości obmowy, czekała końca aktu. Kiedy uczucia raz zaczęły analizować same siebie, jak u Lucjana i u pani de Bargeton, wówczas dzieją się osobliwe rzeczy w niedługim czasie: przewroty duchowe spełniają się na mocy praw działających z nieubłaganą szybkością. Luiza miała w pamięci wytrawne słowa, jakimi Châtelet oświecił jej Lucjana, wracając z Vaudeville. Każde było prorocstwem; Lucjan wziął sobie jakby za zadanie, aby je ziszczyć wszystkie. Tracąc złudzenia co do pani de Bargeton, jak pani de Bargeton co do niego, biedny chłopiec, którego losy podobne były nieco do losów Jana Jakuba Rousseau⁵⁶, naśladował go do tego stopnia, iż dał się olśnić urokowi pani d'Espard i zadurzył się w niej w jednej chwili. Ludzie młodzi albo ci, którzy pamiętają wzruszenia młodości, rozumieją, iż uczucie to było czymś nader prawdopodobnym i naturalnym. Tysiąc wykwintnych drobiazgów w obejściu, delikatny sposób mówienia, szlachetny dźwięk głosu, ta kobieta tak wiotka, tak dumna, tak wysoko postawiona, budząca tyle zazdrości, ta królowa olśniła poetę tak, jak pani de Bargeton olśniła go w Angoulême. Wrażliwość charakteru popchnęła go rychło do zamarzenia o tym wysokim oparciu; najpewniejszym środkiem byłoby zdobyć tę kobietę, wówczas miałby wszystko! Powiodło mu się w Angoulême; czemuż nie miałoby się powieść w Paryżu? Bezwiednie, mimo tak nowych dla niego czarodziejstw Opery, spojrzenia jego, urzeczony przez tę wspaniałą Celimenę⁵⁷, kierowały się do niej; im więcej na nią patrzył, tym więcej pragnął patrzeć! Pani de Bargeton podchwyciła jarzący błysk oczu Lucjana; zaczęła go obserwować i spostrzegła, że więcej zajęty jest margrabiną niż przedstawieniem. Byłaby się zgodziła ustąpić Lucjana pięćdziesięciu córom Danaosa⁵⁸; ale kiedy spojrzenie bardziej ambitne, bardziej namięt-

⁵⁶ *Rousseau, Jean Jacques* (1712–1778) — pisarz francuski, zaliczany do nurtu sentymentalnego, zwolennik życia blisko natury, krytyk cywilizacji, prekursor romantyzmu; jako młody człowiek, który porzucił miasto rodzinne, został utrzymankiem, a następnie również kochankiem starszej o 13 lat baronowej de Warens. [przypis edytorski]

⁵⁷ *Celimena* — piękna młoda wdowa z komedii Moliera *Mizantrop*, inteligentna i zalotna. [przypis edytorski]

⁵⁸ *córy Danaosa* (mit. gr.) — 50 córek króla Danaosa, zwanych Danaidami: zmuszone do małżeństwa ze swymi stryjecznymi braćmi, na rozkaz ojca w noc poślubną zamordowały swoich mężów, za co zostały skazane

ne i wymowne od innych wytłumaczyło jej, co się dzieje w sercu Lucjana, uczuła się zazdrosna, nie tyle o przyszłość, co o przeszłość.

„Nigdy tak na mnie nie patrzył — pomyślała. — Mój Boże, Châtelet miał słuszość!”

Poznała wówczas swą omyłkę. Kiedy kobieta dojdzie do tego, iż żałuje swej słabości, przeciąga niby gąbką po całym życiu, aby wymazać zeń wszystko. Mimo iż każde spojrzenie Lucjana przepełniało ją gniewem, zachowała spokój. W międzyskoku zjawił się de Marsay, prowadząc pana de Listomère. Poważny człowiek i młody wietrzni⁵⁹ uświadomili niebawem dumną margrabinę, że ów wyświeżony družba, którego miała nieszczęście wpuścić do łóża, tak samo nie nazywa się de Rubempré, jak Żyd nie posiada chrześnego imienia. Lucjan jest synem aptekarza nazwiskiem Chardon. Pan de Rastignac, doskonale znający stosunki w Angoulême, ubawił już dwie łoża kosztem mumii, którą margrabina nazywa swą kuzynką, oraz przezorności, z jaką ta dama prowadzi ze sobą aptekarza, zapewne by za pomocą eliksirów podtrzymywać swoje sztuczne życie. Wreszcie de Marsay powtórzył kilka próbek z owego tysiąca żarcików, jakie komponują w lot paryżanie i które, ledwie rzucone, giną w zapomnieniu, ale poza którymi krył się Châtelet, twórca tej iście punickiej zdrady⁶⁰.

Kobieta

— Moja droga — szepnęła spod wachlarza pani d'Espard — powiedz mi, jeśli łaska, czy twój protegowany nabywa się w istocie de Rubempré?

— Przyjął nazwisko matki — rzekła Anaïs, zakłopotana.

— A nazwisko ojca?

— Chardon.

— I co robił ten Chardon?

— Był aptekarzem.

— Byłam pewna, moja droga, że cały Paryż nie może sobie drwić z kobiety, którą ja wprowadzam. Nie mam ochoty czekać, aż przyjdą tu żartownisie, zachwyceni, iż widzą mnie w towarzystwie aptekarskiego synka; jeśli nie masz nic przeciw temu, wyjdziemy, i to natychmiast.

Pozycja społeczna

Pani d'Espard przybrała minę dość impertynencką, tak iż Lucjan próżno łamał sobie głowę, w czym mógł dać powód do tej odmiany. Pomyślał, że kamizelka jego jest w złym smaku, co było prawdą, że krój fraka grzeszy przesadą, co było również prawdą. Przejrzał z tajemną goryczą, iż trzeba się ubierać u dobrego krawca, i przyrzekł sobie udać się nazajutrz do najsławniejszego, aby móc w najbliższy poniedziałek rywalizować z gośćmi margrabin. Mimo iż tonął w refleksjach, czy jego, przykute trzecim aktem, nie opuszczały sceny. Wpatrzony w przepych tego jedyne w świecie widowiska, oddawał się marzeniu o pani d'Espard. Czuł się zgębiony jej nagłym chłodem, będącym w osobliwej sprzeczności z żarem wyobraźni, z jakim on rzucał się w nową miłość, bez troski o ogromne trudności, które spostrzegał i które przyrzekał sobie zwyciężyć. Ocknął się z głębokiej zadumy, aby spojrzeć na swe nowe bóstwo; ale obróciwszy głowę, ujrzał się sam. Usłyszał lekkie szelest; drzwi zamykały się właśnie, pani d'Espard uprowadzała kuzynkę. Lucjan zdumiał się tym nagłym zniknięciem, ale nie myślał o nim długo właśnie dlatego, iż było niewytłumaczone.

Kiedy obie panie wsiadły do powozu, który potoczył się przez ulicę Richelieu ku Dzielnicy Saint-Honoré, margrabina rzekła z ledwie hamowanym gniewem:

— Moje drogie dziecko, co ty wyrabiasz? Ależ zaczekaj, aż syn aptekarza naprawdę będzie sławny, aby się nim zainteresować. Księżna de Chaulieu nie przyznaje się jeszcze do Canalisa, który jest sławny i który jest szlachcicem. Ten chłopak nie jest ani twoim synem, ani kochankiem, prawda? — rzekła ta pyszna kobieta, obrzucając kuzynkę badawczym i przenikliwym spojrzeniem.

„Cóż za szczęście, że trzymałam smarkacza na wodzy i nie dopuściłam go do niczego!” — pomyślała pani de Bargeton.

— Więc dobrze — podjęła margrabina, która wzięła wyraz jej oczu za odpowiedź — zostawże go, zaklinam cię. Uzurpować sobie świetne nazwisko!... Ależ to zuchwałstwo

w Tartarze na napełnianie wodą beczki bez dna. Tylko najmłodsza z nich, Hypermestra, ocalała swego męża. [przypis edytorski]

⁵⁹wietrzni⁵⁹ (daw.) — człowiek lekkomyślny i niestały. [przypis edytorski]

⁶⁰punicka zdrada — wyjątkowo podstępna zdrada; Rzymianie oskarżali walczących z nimi Kartagińczyków (Punijczyków) o podstępne łamanie traktatów i umów. [przypis edytorski]

godne najcięższej kary! Chcę wierzyć, że to nazwisko matki; ależ pomyśl, moja droga, że tylko król ma prawo przyznać dekretem swoim nazwisko de Rubempré synowi córki tego domu. Jeśli popełniła megalomanię, łaska byłaby ogromna; aby ją uzyskać, trzeba ogromnej fortuny, ważnych usług, wysokiego poparcia. Wygląd wystrojonego na niedzielę sklepikarza świadczy, że ten chłopiec nie jest ani bogaty, ani szlachcic; jest przystojny, ale wydaje mi się bardzo ograniczony, nie umie ani zachować się, ani odezwać; słowem, nie jest wychowany. Jakimż trafem ty się nim zajęłaś?

Pani de Bargeton, która zaparła się Lucjana, jak Lucjan zaparł się jej w duszy, uczuła przeraźliwy lęk, aby kuzynka nie dowiedziała się prawdy.

— Droga kuzynko, jestem doprawdy w rozpacz, że cię skompromitowałam.

— Mnie się nie kompromituje — rzekła z uśmiechem pani d'Espard. — Myślę jedynie o tobie.

— Ale zaprosiłaś go na obiad.

— Będę cierpiąca — rzekła żywo margrabina — uprzedzisz go o tym, a ja wpiszę go, pod oboma nazwiskami, na czarną listę u szwajcara⁶¹.

Lucjan postanowił udać się w antrakcie⁶² do *foyer*⁶³, dokąd widział, iż wszyscy śpieszyli. Przede wszystkim żadna z osób, które odwiedziły lożę pani d'Espard, nie pozdrowiła go ani nie zwracała nań uwagi, co wydało się prowincjonalnemu poecie bardzo dziwne. Następnie Châtelet, o którego próbował się zaczepić, śledził go spod oka i wymykał mu się nieustannie. Doszedłszy do przekonania, przez porównanie z mężczyznami krążącymi po *foyer*, że strój jego jest dość komiczny, Lucjan wcisnął się z powrotem w kąt łoży i wytrwał do końca, kolejno pochłonięty baletem wspaniałym, a słynnym — w akcie piątym — dzięki obrazowi piekła, widokiem sali, po której spojrzenie jego wędrowało od łoży do łoży, i własnymi refleksjami, które w obliczu paryskiego społeczeństwa nabrały osobliwej głębi.

„Oto moje królestwo — rzekł do siebie — oto świat, który muszę pokonać!”

Wrócił pieszo, przetrawiając powiedzenia osób, które poznał w łoży; ich wzięcie, ruchy, wszystko odbijało się w jego pamięci z zadziwiającą wiernością. Nazajutrz koło południa pierwszym jego staraniem było udać się do Stauba, wówczas najgłośniejszego krawca. Uzyskał siłą prośb i potęgą gotowizny⁶⁴, iż krawiec obiecał wykończyć suknie na ów sławny poniedziałek. Staub posunął się w ustępstwach tak daleko, iż przyrzekł na ów dzień rozstrzygający prześliczny redyngocik⁶⁵, kamizelkę i pantalony. Lucjan zamówił koszulę, chustki, słowem, całą wyprawkę u bieliźniarki i kazał sobie wziąć miarę na trzewiki i buty u słynnego szewca. Kupił u Verdiera ładną laskę, rękawiczki i spinki do koszuli u pani Irlande, słowem, starał się wspiąć do wyżyn dandysów. Kiedy zaspokoił swe marzenia, udał się na ulicę Neuve-de-Luxembourg, gdzie nie zastał Luizy w domu.

— Pani będzie na obiedzie u pani d'Espard i wróci późno — rzekła Albertyna.

Lucjan spożył dwufrankowy obiad w garkuchni w Palais-Royal i położył się wcześniej spać. W niedzielę o jedenastej udał się do Luizy; jeszcze nie wstała. Wrócił o drugiej.

— Pani nie przyjmuje jeszcze — rzekła Albertyna — ale dała mi list dla pana.

— Nie przyjmuje jeszcze? — powtórzył Lucjan. — Ależ ja nie jestem obcy...

— Nie wiem — rzekła Albertyna z impertynencką miną.

Lucjan, mniej zdumiony odpowiedzią Albertyny niż tym, że otrzymuje list od pani de Bargeton, wziął bilecik i przeczytał na ulicy te okrutne słowa:

Pani d'Espard jest niezdrowa, nie będzie mogła przyjąć Pana w poniedziałek. Ja także nie czuję się dobrze; mimo to ubiorę się, aby jej dotrzymać towarzystwa. Jestem bardzo zmartwiona tą drobną przeciwnością, ale Pańskie talenty dodają mi otuchy, nie wątpię, iż wybijesz się bez szarlatanerii.

— Nie ma nawet podpisu! — rzekł do siebie Lucjan, który znalazł się w Tuilériach, nie wiedząc kiedy.

⁶¹*szwajcar* (daw.) — odzwiercy, człowiek pełniący służbę przy wejściu do budynku. [przypis edytorski]

⁶²*antrakt* — przerwa między jednym a drugim aktem w sztuce teatralnej, operze, koncercie. [przypis edytorski]

⁶³*foyer* — pomieszczenie bądź korytarz w pobliżu sali teatralnej, w którym podczas przerw przebywa publiczność. [przypis edytorski]

⁶⁴*gotowizna* (daw., pot.) — pieniądze w gotówce. [przypis edytorski]

⁶⁵*redyngot* (daw.) — długi surdut z dwoma rzędami guzików, używany do jazdy konnej. [przypis edytorski]

Dar jasnowidzenia, jaki posiadają niekiedy artyści, pozwolił mu przewidzieć katastrofę, którą zwiastował ten chłodny bilecik. Szedł zatopiony w myślach, przed siebie, patrząc na pomniki zdobiące plac Ludwika XV⁶⁶. Była pogoda. Strojne powozy przejeżdżały nieustannie przed oczyma Lucjana, kierując się ku Polom Elizejskim⁶⁷. Wmieszał się w tłum przechodniów i ujrzał kilka tysięcy powozów, które przy pogodzie napływają tu w niedzielę, przywodząc na myśl wyprawy do Longchamp⁶⁸. Oszołomiony zbyt wielką koni, toalet i liberii, szedł wciąż dalej i zaszedł aż do rozpoczętej budowy Łuku Triumfalnego⁶⁹. Cóż się w nim działo, kiedy wracając, ujrzał zbliżającą się ku niemu panią d'Espard i panią de Bargeton w prześlicznie zaprzężonym pojeździe. Ujrzał powiewające z tyłu pióra strzelca, którego poznał po zielonej, haftowanej złotem liberii. Sznur powozów zatrzymał się z powodu natłoku. Lucjan mógł się przyjrzeć Luizie w nowym przebraniu: była nie do poznania. Kolory toalety dobrane były w sposób uwydatniający cerę, suknia zachwycająca, włosy ułożone ze smakiem, kapelusz, w najlepszym guście, nie tracił nawet przy kapeluszu pani d'Espard, która dawała ton modzie. Jest pewien nieokreślony sposób noszenia kapelusza: włożcie kapelusz nieco w tył, wyraz twarzy będzie bezczelny; zańdło naprzód — ponury; na bok — mina zawadiacka; kobiety dystyngowane kładą kapelusz jak chcą i zawsze wyglądają dobrze. Pani de Bargeton od razu rozwiązała ten szczególny problem. Ładny pasek uwydatniał smukłą kibić. Przejęła ruchy i zachowanie kuzynki; siedząc podobnie jak ona, igrała wytwornym puzderkiem z wonnościami, umocowanym na łańcuszku, pokazując, niby bez zamiaru, ładną rękę w zgrabnej rękawiczce. Słowem, upodobniła się do pani d'Espard, nie naśladowując jej niewolniczo; okazała się godną krewniaczką margrabiny, która widocznie była dumna z uczennicy. Przechodnie spoglądali na świetny powóz o herbach d'Espard i Blamont-Chauvry, których godła zespolone były na tarczy. Lucjan patrzył ze zdumieniem, ile osób kłaniało się obu paniom; nie domyślał się, że cały ten Paryż, który mieści się w dwudziestu salonach, wiedział już o ich pokrewieństwie. Młodzi jeźdźcy, między którymi Lucjan zauważył de Marsaya i Rastignaca, przyłączyli się do pojazdu, aby przeprowadzić panie do Lasku. Łatwo było Lucjanowi poznać po ruchach obu fircyków, iż komplementowali panią de Bargeton za jej metamorfozę. Pani d'Espard promieniała wdziękiem i zdrowiem: zatem niedomaganie było pozorem, aby nie przyjąć Lucjana; nie przełożyła obiadu na inny dzień! Poeta, wściekły, zbliżył się wolnym krokiem do pojazdu i kiedy osądził, iż mogą go spostrzec, uklonił się. Pani de Bargeton udała, że nie widzi, margrabina spojrzała przez szkiełka i nie oddała ukłonu. Ostracyzm arystokracji paryskiej inny był niż dąsy potentatów z Angoulême; siłą się zranić Lucjana, tamci szlachetkowie uznawali jego potęgę i uważali go za człowieka, gdy dla pani d'Espard nawet nie istniał. To nie był wyrok, to było przejście nad nim do porządku. Śmiertelne zimno przeniknęło biednego poetę, kiedy de Marsay zwrócił nań swoje szkiełka; lew paryski upuścił lorgnon⁷⁰ tak szczególnym ruchem, iż zdawało się Lucjanowi, że to spada nóż gilotyny. Powóz przejechał. Wściekłość, pragnienie zemsty wstrząsnęły wzgardzonym chłopcem; gdyby miał w rękach panią de Bargeton, udusiłby ją; wcielał się w myśli w jakiegoś Fouquier-Tinville⁷¹, aby sycić się rozkoszą wysłania pani d'Espard na rusztowanie; byłby chciał poddać de Marsaya wyrafinowanym torturom wymyślonym przez dzikich. Ujrzał Canalisa na koniu: wykwinął, jak przystało najpięszczotliwшему z poetów, witał ukłonem najpiękniejsze damy.

„Boże! Złota za wszelką cenę! — mówił sobie Lucjan. — Złoto jest jedyną potęgą, przed którą ten świat pada na kolana. (Nie — wołało mu sumienie — ale sława, a sława

Moda

Pieniądz, Sława, Praca

⁶⁶plac Ludwika XV — ob. plac Zgody. [przypis edytorski]

⁶⁷Polu Elizejskie — reprezentacyjna aleja w Paryżu, łącząca plac Zgody z placem De Gaulle'a (dawniej plac Gwiazdy), na którym znajduje się Łuk Triumfalny. [przypis edytorski]

⁶⁸Longchamp — dawne opactwo pod Paryżem, zamknięte w 1790, zburzone w 1793; jego tereny, położone na skraju Lasku Bulońskiego, stały się ulubionym miejscem przechadzek. [przypis edytorski]

⁶⁹Łuku Triumfalny w Paryżu — pomnik na zachodnim skraju Pól Elizejskich, mający formę jednoarkadowego rzymskiego łuku triumfalnego, zbudowany dla uczczenia wszystkich, którzy walczyli i polegali za Francję w czasie wojen rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich; jego budowę rozpoczęto w 1806, na polecenie Napoleona, ukończono w 1836. [przypis edytorski]

⁷⁰lorgnon (fr.) — rodzaj okularów z długą rączką do trzymania ich przed oczyma, używanych w XVIII i XIX w. [przypis edytorski]

⁷¹Fouquier-Tinville, Antoine Quentin (1746–1795) — francuski prawnik i działacz polityczny, bezwzględny oskarżyciel publiczny Trybunału Rewolucyjnego. [przypis edytorski]

— to praca! Praca! To było hasło Dawida). Mój Boże! Po co ja tu jestem? Ale doczekam się triumfu! Przejadę po tej alei w karocy ze strzelcem! Będę miał margrabiny d'Espard!”

Rzucił te słowa, spożywając dwufrankowy obiad u Hurbaina. Nazajutrz o dziewiątej udał się do Luizy z zamiarem wypomnienia jej tego barbarzyństwa; nie tylko pani de Bargeton nie było dlań w domu, ale nawet odźwierny nie pozwolił mu wejść na górę. Stał na ulicy na czatach aż do południa. O południu wyszedł Châtelet, spostrzegł przez ramię poetę i minął go. Lucjan, dotknięty do żywego, pośpieszył za rywalem; przyciśnięty do muru, Châtelet odwrócił się i uklonił tylko przez grzeczność, z widocznym zamiarem minięcia go.

— Jeśli łaska — rzekł Lucjan — racz mi pan poświęcić sekundę czasu, dwa słowa. Okazał mi pan przyjaźń, odwołuję się do niej, aby go prosić o nader drobną przysługę. Wychodzi pan od pani de Bargeton; niech mi pan wytłumaczy przyczynę mej niełaski u niej i u pani d'Espard.

— Panie Chardon — odparł Châtelet z fałszywą dobroduszością — czy wiesz, czemu te panie wyszły kiedyś z łoży?

— Nie — rzekł biedny poeta.

— Otóż pan de Rastignac podstawił panu, w samych początkach, nogę. Skoro go spytano o pana, młody dandys powiedział po prostu i bez ogródek, że pan się nazywa Chardon, a nie de Rubempré, że pańska matka czuwa przy położnicach, że ojciec był za życia aptekarzem w Houmeau, że pańska siostra, zresztą uroczą panienką, cudownie prasuje koszule i ma wyjść za mąż za drukarza nazwiskiem Séchard. Oto świat! Wystarczy wypłynąć na widownię, a już zaczynają człowieka nicować. Pan de Marsay przyszedł do łoży pobawić się nieco pańskim kosztem i natychmiast te panie uciekły, uważając, iż pańskie towarzystwo jest kompromitujące. Niech pan nie próbuje dotrzeć do którejś z nich. Pani de Bargeton straciłaby wstępną do kuzynki, gdyby pana nadal przyjmowała. Masz pan talent, staraj się w przyszłości o odwet. Świat tobą gardzi, gardź światem. Zagrzeb się na poddaszu, stwórz arcydzieła, chwyć w ręce jaką bądź władzę, a ujrzyś świat u swoich nóg; oddasz mu wówczas z nawiązką rany, jakie ci zadał. Im więcej pani de Bargeton okazywała panu sympatii, tym więcej będzie czuła do pana niechęci. Tak się toczą uczucia kobiet. Ale nie chodzi w tej chwili o to, aby odzyskać przyjaźń Anaïs; chodzi o to, aby nie mieć w niej wroga, i dam panu sposób. Pisywała do pana, odeślij jej wszystkie listy, ujmie ją ten postępek godny szlachcica i później, jeżeli będziesz jej potrzebował, nie będzie panu stała na zdradzie. Co do mnie, mam tak wysokie mniemanie o pańskiej przyszłości, że wszędzie pana bronilem; tak samo nadal, jeżeli mogę co zrobić dla pana, znajdziesz mnie zawsze gotowym do usług.

Lucjan był tak zmartwiał, tak blady, tak zmieniony, że nie oddał staremu fircykowi, odmłodzonemu przez Paryż, oschle grzecznego ukłonu, jakim Châtelet go uraczył. Wrócił do hotelu, gdzie zastał samego Stauba, przybyłego nie tyle dla miary, ile dla wywiedzenia się od gospodyni hotelu, jak przedstawia się finansowo ten nieznany klient. Lucjan przybył pocztą, pani de Bargeton odwiozła go w ubiegły czwartek z Vaudeville powozem. Relacje były dobre. Staub zamianował Lucjana „panem hrabią” i zwrócił mu uwagę na zręczność, z jaką uwydatnił jego śliczne kształty.

— Młody człowiek tak ubrany — rzekł — może iść prosto na przechadzkę do Tuileries i zaślubi bogatą Angielkę, nim miną dwa tygodnie.

Ten żarcik niemieckiego krawca, wytworność ubrań, delikatność materii, wdziek, jaki Lucjan podziwiał w samym sobie, oglądając się w lustrze, wszystkie te drobiazgi rozproszyły nieco jego smutek. Powiedział sobie od niechcenia, że Paryż jest stolicą trafu, i uwierzył na chwilę w traf. Czyż nie posiada w rękopisie tomu poezji i wspaniałego romansu *Gwardzista Karola IX*? Nabral wiary w los. Staub przyrzekł redyngocik i resztę kostiumu na jutro. Nazajutrz przybyli szewc, bieliźniarka i krawiec, wszyscy uzbrojeni w rachunki. Lucjan, nieświadom sposobu odprawiania ich z kwitkiem, Lucjan, jeszcze pod ciśnieniem obyczajów prowincji, wyrównał należność; ale po zapłaceniu z dwóch tysięcy zostało mu ledwie trzysta sześćdziesiąt franków: był w Paryżu tydzień! Mimo to ubrał się i wyszedł się przejść po Tuileries. Tu czekał go odwet. Był tak dobrze ubrany, tak zręczny, tak piękny, iż wiele kobiet patrzyło nań z zainteresowaniem; parę nawet, uderzonych jego urodą, odwróciło się. Lucjan studiował chód i zachowanie młodych ludzi

Pozycja społeczna

Pieniądz

i przeszedł kurs dobrych manier, wciąż myśląc o swoich trzystu sześćdziesięciu frankach. Wieczorem, skoro się znalazł sam w pokoiku, przyszło mu na myśl wyjaśnić problem swego życia w hotelu Gaillard-Bois, gdzie jadał śniadanie złożone z najprostszych potraw, w mniemaniu, iż na tym oszczędza. Poprosił o rachunek, jak człowiek, który ma się wyprowadzić, i dowiedział się, że jego dług wynosi około stu franków. Nazajutrz pobiegł w „kraj łaciński”⁷², którą Dawid polecał mu dla jej taniości. Po długim szukaniu znalazł wreszcie przy ulicy Cluny, opodal Sorbony, nędzny hotelik, gdzie wynajęto mu pokój za możliwą cenę. Natychmiast zapłacił należność w hotelu i zainstalował się przy ulicy Cluny tego samego dnia. Przeprowadzenie kosztowało go tylko kurs dorożki.

Objąwszy w posiadanie swój biedny pokoik, zgromadził wszystkie listy pani de Bargeton, położył ten pakiet na stole i nim się jął⁷³ pisać, zaczął rozpamiętywać ów fatalny tydzień. Nie powiedział sobie, iż on sam, pierwszy, nieopatrznie sprzeniewierzył się swej miłości, nie wiedząc, czym jego Luiza stanie się w Paryżu; nie widział swoich win, widział jedynie obecne położenie; zwałił je na panią de Bargeton: zamiast mu być przewodniczką, zgubiła go. Zakłócało w nim, duma uderzyła mu do głowy i w paroksyzmie gniewu skreślił następujący list:

List

Co powiedziałaś Pani o kobiecie, której spodobało się biedne, nieśmiałe pachole, pełne szlachetnych wierzeń, nazywanych później, w dobie rozczarowań, złudzeniami, i która roztoczyła uroki zalotności, bogactwa umysłu i najpiękniejsze pozory macierzyńskiego uczucia, aby uwieść to niedoświadczone dziecko? Nie kosztują jej nic ani kuszące obietnice, ani domki z kart, którymi migoce mu przed oczyma; porywa go, zagarnia, łaje za brak zaufania, to znów karmi pochlebstwem. Kiedy dzieciak opuszcza rodzinę i idzie za nią ślepo, prowadzi go na brzeg olbrzymiego morza, z uśmiechem każe mu wsiąść w wątle czółenka i rzuca go samego, bez pomocy, w wir burz; następnie ze skały, na której została sama, zaczyna śmiać się i życzy mu szczęśliwej podróży. Ta kobieta to Ty, Pani; to dziecię to ja.

W rękach tego dziecka znajduje się pamiątka, która mogłaby zdradzić zbrodnie Twego dobrodziejstwa i fawory, jakimi je darzyłaś. Może przyszłoby Ci zarumienić się, spotkawszy to dziecię borykające się z falami, gdybyś pomyślała, żeś je trzymała na łonie. Kiedy przeczytasz ten list, pamiątka ta znajdzie się w Twoich rękach. Masz pełną swobodę zapomnienia o wszystkim. Po pięknych nadziejach, jakie palec Twój ukazał mi w niebie, spostrzegam rzeczywistość nędzy w błocie Paryża. Gdy Ty, świetna i ubóstwiana, będziesz kroczyć wśród wielkości tego świata, na którego próg mnie przywiodłaś, ja będę drżał od zimna na nędznym poddaszu, kędyś mnie rzuciła. Ale może pośród uczt i zabaw zdejmie Cię troska; może pomyślisz o dziecku, które wtrąciłaś w przepaść. Proszę Cię, Pani, myśl o nim bez wyrzutu! Z otchłani swej nędzy ofiaruje Ci ono jedyną rzecz, jaka mu została: przebaczenie. Tak, Pani, dzięki Tobie nie zostało mi nic. Nic! Czyż to nie jest materiał, z którego powstał świat? Geniusz winien naśladować Boga: chcę mieć jego wspaniałomyślność, nie wiedząc, czy posiadę jego siłę. Zadrzeć trzeba by Ci jedynie wówczas, gdybym szedł ku złemu: wówczas byłabyś współniczką moich błędów. Niestety! Żał mi Cię, iż straciłaś wszelkie prawo do udziału w sławie, do której będę dążył wiedziony przez pracę.

Napisawszy ten list, napuszony, ale pełen owej posępnej godności, w jaką lubi się stroić dwudziestoletni artysta, Lucjan przeniósł się myślą w krąg rodziny. Ujrzał znów ładne mieszkanko, które Dawid przystroił mu kosztem tylu ofiar, objął oczyma wizję spokojnych, skromnych, mieszczańskich radości, jakich tam kosztował. Cienie matki, siostry, Dawida zbliżyły się ku niemu, ujrzał na nowo łzy, jakie wylewali w chwili jego wyjazdu, i zapłakał, był bowiem w Paryżu sam, bez przyjaciół, bez opiekunów.

W kilka dni potem Lucjan pisał do siostry:

List

⁷²kraj łaciński — Dzielnica Łacińska, uniwersytecka dzielnica Paryża, nosząca nazwę od języka łacińskiego, powszechnie używanego na uczelniach od średniowiecza aż do Rewolucji. [przypis edytorski]

⁷³jąć się czegoś (daw.) — zabrać się za coś; zająć się czymś. [przypis edytorski]

Droga Ewo, siostry mają ten smutny przywilej, iż dzieląc egzystencję braci-artystów, poznają więcej zgryzot niż radości; toteż zaczynam się obawiać, iż stanę Ci się wielkim ciężarem. Czyż nie nadużyłem już dotąd Was wszystkich, którzyście się dla mnie poświęcili? To wspomnienie przeszłości, pełne tak słodkich uciech, dodaje mi mocy w obecnym osamotnieniu. Z szybkością orla wracającego do gniazda przebyłem odległość, jaka nas dzieli, aby się znaleźć w sferze prawdziwego przywiązania, doświadczywszy pierwszych nędz i zawodów paryskiego świata! Czy świece pryskały? Czy głównie osunęły się w kominku? Czy komuś z Was nie dzwoniło w uszach? Czy matka powiedziała może: „Lucjan myśli o nas”? Czy Dawid odpowiedział: „Zmaga się ze światem i z ludźmi”? Ewo moja, piszę ten list tylko do Ciebie jednej. Tobie jednej odważę się zawierzyć dobre i złe, które mnie spotka, rumieniąc się za jedno i za drugie, tutaj bowiem dobre jest tak rzadkie, jak rzadkim powinno być złe. Usłyszysz wiele rzeczy w niewielu słowach: pani de Bargeton powstydziała się mnie, zaparła, odprawiła, odrzuciła świętego dnia po przybyciu. Widząc mnie, odwróciła głowę, a ja, aby podążyć za nią w świat, w który mnie chciała wprowadzić, wydałem tysiąc siedemset franków z dwóch tysięcy przywiezionych z Angoulême i zdobytych z takim trudem! „Na co?” — powiesz. Moja droga siostrzyczko, Paryż to osobliwa czeluść: można tu dostać obiad za osiemnaście su⁷⁴, najskromniejszy zaś posiłek w wykwintnej jadalni kosztuje pięćdziesiąt franków; są kamizelki i pantalony po cztery i po dwa franki; ale modni krawcy nie robią ich niżej stu franków. Płaci się grosz, aby przejść suchą nogą przez rynsztok, kiedy deszcz pada. Wreszcie najmniejszy kurs dorożką kosztuje trzydzieści dwa su. Z pierwotnego mieszkania w najpiękniejszej dzielnicy znalazłem się obecnie w hoteliku przy ulicy Cluny, jednej z najuboższych i najciemniejszych uliczek Paryża, wciśniętej między trzy kościoły i stare budynki Sorbony. Mam pokój na czwartym piętrze; mimo że brudny i nagi, płacę za niego piętnaście franków. Na śniadanie jem niedużą bułkę chleba za dwa su wraz z mlekiem za su, ale za to jem porządny obiad za dwadzieścia dwa su u niejakiego Flicoteaux na placu Sorbony. Do zimy moje wydatki, licząc wszystko, nie przekroczą sześćdziesięciu franków na miesiąc, przynajmniej mam nadzieję. W ten sposób moje dwieście czterdzieści franków wystarczą na pierwsze cztery miesiące. Do tego czasu sprzedam z pewnością *Gwardzistę Karola IX* albo *Stokrocie*. Nie troskajcie się więc o mnie. Jeśli teraźniejszość jest zimna, naga, licha, przyszłość jest błękitna, bogata i wspaniała. Iluż wielkich ludzi przeszło tę nędzę, która podnieca mnie zamiast przygnębiać? Plaut⁷⁵, wielki komediopisarz, był młynarczykiem. Makiawel⁷⁶ pisał *Księcia* wieczorami, spędziwszy cały dzień wśród ciżby robotników. Wielki Cervantes⁷⁷ wreszcie, który stracił ramię pod Lepanto⁷⁸, przyczyniając się do zwycięstwa w owym dniu, nazwany swego czasu przez pismaków „starym, podłym mańkutem”, musiał z braku wydawcy czekać dziesięć lat z drugą częścią swego wspaniałego *Don Kichota*. Dzisiaj nie jest tak źle. Strapienia i nędza mogą być losem tylko nieznanym talentów, ale skoro raz pisarz zabłyśnie, rychło zdobywa bogactwo, i ja też będę bogaty. Żyję jedynie myślą, spędzam pół dnia w Bibliotece św. Genowefy, uzupełniając braki wykształcenia, bez czego nie zaszedłbym daleko. Czuję się dziś prawie szczęśliwy. W kilka dni nauczyłem

Pieniądz

Pieniądz

⁷⁴su, właśc. sou (fr.) — w XIX w. pot. nazwa monety o wartości 5 centymów, tj. 1/20 franka. [przypis edytorski]

⁷⁵Plaut, właśc. Titus Maccius Plautus (ok. 250–184 p.n.e.) — największy z komediopisarzy rzymskich, autor ponad stu sztuk, w większości przeróbek komedii greckich. [przypis edytorski]

⁷⁶Makiawel, właśc. Niccolò Machiavelli (1469–1527) — florencki prawnik i teoretyk polityki; najbardziej znany z traktatu o skutecznym sprawowaniu władzy pt. *Księżę*, w którym przekonywał, że dla dobra państwa obowiązkiem władcy jest skuteczność, nawet jeśli wymaga podejmowania działań nieetycznych. [przypis edytorski]

⁷⁷Cervantes, Miguel de (1547–1616) — najsłynniejszy hiszpański pisarz, autor *Don Kichota*. [przypis edytorski]

⁷⁸bitwa pod Lepanto (7 października 1571) — wielka bitwa morska, w której hiszpańsko-włoska flota Ligi Świętej rozgromiła flotę turecką. [przypis edytorski]

się brać wesoło moje położenie. Oddaję się od rana pracy, którą kocham; utrzymanie mam zapewnione, wiele myślę, studiuję, czuję się silny od chwili, gdy wyrzekłem się świata, gdzie próżność moja cierpiała ustawiczne męki. Ludzie, którzy mają być chlubą swej epoki, powinni żyć na uboczu. Czyż nie są niby ptaki leśne? Śpiewają, czarują naturą, a nikt nie powinien ich widzieć. Tak uczynię, jeśli w ogóle będzie mi dane urzeczywistnić me ambitne plany. Nie żałuję już pani de Bargeton. Kobieta, która postępuje w ten sposób, nie zasługuje na wspomnienie. Nie żałuję również, iż opuściłem Angoulême. Ta kobieta miała słusność, że mnie rzuciła w Paryż, zostawiając mnie własnym siłom. Oto prawdziwy kraj pisarzy, myślicieli, poetów. Tu jedynie wyrasta sława, a widzę dokoła, jakie piękne plony wydaje ona dzisiaj. Tu tylko pisarz może znaleźć w muzeach i zbiorach żywe dzieła dawnych geniuszów, które rozgrzewają i podsycają wyobraźnię. Tu tylko bez przerwy otwarte olbrzymie biblioteki dostarczają duchowej wiadomości i pokarmu. Słowem, w Paryżu, w jego powietrzu, w najmniejszych szczegółach jest duch, którym się oddycha i którym przesiąkają twory literackie. Można się więcej nauczyć w pół godziny z rozmowy w kawiarni, w teatrze niż na prowincji w dziesięć lat. Tutaj naprawdę wszystko jest widowiskiem, porównaniem i nauką. Nadzwyczajna taniość, przeraźliwa drożyzna, oto Paryż, gdzie każda pszczoła znajdzie swą komórkę, gdzie każda dusza przyswaja sobie to, co jej odpowiada. Jeśli tedy cierpię w tej chwili, nie żałuję niczego. Przeciwnie, wspaniała przyszłość roztacza się przede mną i cieszy moje serce, udręczone przez chwilę. Bądź zdrowa, droga siostró! Nie spodziewaj się regularnych listów; jedną z właściwości Paryża jest, że w istocie nie wiadomo, w jaki sposób czas mija. Życie toczy się tu z przerażającą szybkością. Ściskam matkę, Dawida i Ciebie czulej niż kiedykolwiek.

Flicoteaux jest to nazwisko zapisane w pamięci wielu. Mało jest studentów, którzy by mieszkając w Dzielnicy Łacińskiej w pierwszych dwunastu latach Restauracji, nie poznali byli tej świątyni głodu i nędzy. Obiad z trzech dań kosztował osiemnaście su z karafeczką wina lub flaszką piwa, dwadzieścia dwa z butelką wina. Jeśli co przeszkodziło temu przyjacielowi młodzieży zrobić kolosalny majątek, to ten punkt programu wypisany wielkimi czcionkami na afiszach jego konkurentów: *Chleb darmo bez ograniczenia*. Wiele sław wykarmiło się na łonie ojca Flicoteaux. Zaiste, serce niejednego sławnego człowieka musi doznawać rozkoszy tysiąca niewymownych wspomnień na widok wystawy o małych szybkach, wychodzącej na plac Sorbony i na ulicę Neuve-de-Richelieu, którą to wystawę Flicoteaux II lub III uszanował aż do dni lipcowych⁷⁹. Ciemne jej barwy, stary i czcigodny wygląd, wszystko to tchnęło wzdargą dla szarlatanizmu, jaki uprawiają prawie wszyscy dzisiejsi restauratorzy, racząc oczy kosztem żołądka. W miejsce stert wypchanej zwierzyny, w miejsce fantastycznych ryb, usprawiedliwiających koncept Arlekina: „Widziałem ładnego karpia, może mi się uda kupić go za tydzień”, w miejsce wątpliwych nowalii układanych w kuszące sterty ku rozkoszy kaprali i ich krajanek, uczciwy Flicoteaux wystawiał skromne drutowane salaterki, w których stopy gotowanych śliwek cieszyły oko konsumenta, pewnego, iż słowo deser, zbyt hojnie zwiastowane na innych szyldach, nie jest takim samym złudzeniem jak konstytucja Burbonów⁸⁰. Sześciofuntowe bułki chleba, pocięte na cztery kawalki, dodawały wiary w obietnicę chleba „bez ograniczenia”. Oto jakim przepychem zalecała się ta garkuchnia, którą, gdyby za jego czasów istniała, sławiłby Molière. Flicoteaux istnieje, będzie istniał tak długo, jak długo będą na świecie studenci. Je się tam, aby żyć, nie mniej, nie więcej; ale je się tak, jak się pracuje, z posępną lub radosną skrzętnością, wedle charakterów lub okoliczności. Słynny ten zakład obejmował wówczas dwie długie, ciasne i niskie sale, położone wobec siebie pod kątem prostym,

⁷⁹do dni lipcowych — tj. do rewolucji lipcowej w roku 1830, kiedy podczas kilkudniowego powstania udaremnilo próbę powrotu do absolutyzmu dokonaną przez Karola X. [przypis edytorski]

⁸⁰konstytucja Burbonów — ogłoszona przez Ludwika XVIII w 1814, gwarantowała szereg swobód obywatelskich, ale udział społeczeństwa w życiu politycznym był w niej iluzoryczny, sprowadzony do minimum, gdyż wysoki cenzus majątkowy i wieku sprawiał, że z 28 milionów Francuzów zaledwie sto tysięcy miało czynne prawo wyborcze, a piętnaście tysięcy bierne. Dekrety Karola X z 25 lipca 1830 likwidowały większość praw konstytucyjnych, co doprowadziło do wybuchu rewolucji lipcowej. [przypis edytorski]

wychodzące jedna na plac Sorbony, druga na ulicę Neuve-de-Richelieu; obie zastawione stołami pochodzącymi z jakiegoś klasztornego refektarza⁸¹, długość ich bowiem ma coś monastycznego. Każdy stały gość posiada serwetkę w numerowanej metalowej obrączce. Flicoteaux I zmieniał obrus jedynie w niedzielę; ale Flicoteaux II namyślił się podobno zmieniać go dwa razy w tygodniu, odkąd konkurencja zaczęła zagrażać dynastii. Ta restauracja to warsztat pełen narzędzi, a nie sala biesiadna, przeznaczona dla rozkoszy stołu; każdy opuszcza ją co rychlej. Wewnątrz panuje olbrzymi ruch. Chłopcy biegają bez wytchnienia, wszyscy zajęci, wszyscy potrzebni. Potrawy są mało urozmaicone. Ziemniaki są tam wieczne, mogłoby nie być ani jednego ziemniaka w Irlandii⁸², mogłoby ich braknąć wszędzie, u Flicoteaux znalazłyby się jeszcze. Pojawiają się od trzydziestu lat, w owym złotawym kolorze ulubionym przez Tycjana⁸³, upstrzone zieleninką, i cieszą się przywilejem budzącym zazdrość w kobietach: jakie się je widziało w roku 1814, takie są i w roku 1840. Kotlety baranie, filety wołowe są na karcie owego zakładu tym, co bażanty, filety z jesiotra na karcie Véry'ego: potrawy nadzwyczajne, które zamawia się rano. Samica wołu króluje tu, nieletni zaś jej syn objawia się pod nader urozmaiconymi postaciami. Kiedy sielawy, makrele nawiedzają wybrzeża oceanu, roi się od nich u Flicoteaux. Wszystko tu jest w związku z kolejami rolnictwa i kaprysami pór roku. Można się tam dowiedzieć o rzeczach, o których nie mają pojęcia bogacze, próżniacy, ludzie obojętni na fazy natury. Student zamknięty w Dzielnicy Łacińskiej posiada najdokładniejszą świadomość czasu: wie, kiedy obrodziła fasolka i groszek, kiedy Hale⁸⁴ zalane są kapustą i czy urodzaj na buraki zawiódł. Odwieczna potwarz, powtarzana w chwili, gdy Lucjan tam bywał, uporczywie przypisywała pojawienie się befsztyków jakiejś śmiertelności wśród rasy końskiej. Mało restauracji paryskich przedstawia równie powabny wygląd. Tam jedynie spotkasz młodość i wiarę, tam jedynie nędzę dźwiganą z humorem, mimo że nie brak i twarzy żarliwych i poważnych, posępnych i niespokojnych. Stroje przeważnie zaniedbane. Toteż zwraca uwagę każdy bywalec, gdy przypadkowo zjawi się starannie ubrany. Wszyscy wiedzą, że ten nadzwyczajny strój oznacza schadzke, teatr lub dystyngowaną wizytę. Zawiały się tam, jak powiadają, częste przyjaźnie między studentami, którzy później dochodzili do sławy, jak się to pokaże w tym opowiadaniu. Bądź co bądź, z wyjątkiem kółek krajanów, skupionych na jednym końcu stołu, zwykle biesiadnicy zachowują powagę, która niełatwo się rozchmurza, może z przyczyny „katolicyzmu” wi-
na⁸⁵, nie sprzyjającego zbytnej rozlewności. Ci, którzy uczęszczali do Flicoteaux, potrafią sobie przypomnieć wiele ponurych i tajemniczych osobistości zawiniętych w mgły najmroźniejszej nędzy, które mogły tam jadać dwa lata i zniknąć tak, iż żadne światło nie oświeciło tych błędnych ogników Paryża w oczach najciekawszych bywalców. Przyjaźnie naszkicowane u Flicoteaux pieczętowało się w sąsiednich kawiarniach przy płomyku ponczu⁸⁶ lub oparach filiżaneczki czarnej kawy, zakropionej jakimś likworem⁸⁷.

W pierwszych dniach instalacji w hotelu Cluny Lucjan, jak każdy neofita⁸⁸, przestrzegał nieśmiały i regularnych obyczajów. Po smutnej próbie życia na wielką stopę, które pochłonęło jego kapitały, rzucił się w pracę z owym pierwszym zapalem, tak szybko rozpraszającym się pod wpływem trudności i rozrywek, jakie Paryż nastęrcza wszystkim egzystencjom, najzbytówniejszym i najuboższym, a których pokonanie wymaga zacieklej energii prawdziwego talentu lub posępnej a wytrwałej ambicji. Lucjan wpa-

⁸¹refektarz — jadalnia w klasztorze lub w innej instytucji kościelnej. [przypis edytorski]

⁸²mogłoby nie być ani jednego ziemniaka w Irlandii — na pocz. XIX w. ziemniaki stanowiły podstawowe wyżywienie uboższych warstw ludności w Irlandii; stało się to przyczyną wielkiej klęski głodu, kiedy w l. 1845–1849 zaraza niszczyła plony ziemniaków. [przypis edytorski]

⁸³Tycjan, właśc. *Tiziano Vecelli* (ok. 1488–1576) — włoski malarz renesansowy, czołowy przedstawiciel szkoły weneckiej; na swoich obrazach często przedstawiał kobiety o długich, złotorudych włosach, stąd określenie: kolor tycjanowski. [przypis edytorski]

⁸⁴Hale (fr. *Les Halles*) — nazwa dawnego najpopularniejszego targowiska miejskiego w Paryżu, istniejącego do lat 70. XX w., a równocześnie dzielnicy biedoty, gdzie się znajdowały. [przypis edytorski]

⁸⁵„katolicyzm” wi-
na — żartobliwe odniesienie do pot. określenia wina „chrzczonego”, tzn. rozcieńczonego wodą. [przypis edytorski]

⁸⁶poncz — gorący napój alkoholowy, przyrządzany zwykle z wina lub rumu oraz z herbaty, z sokiem cytrynowym, cukrem i przyprawami korzennymi. [przypis edytorski]

⁸⁷likwor — napitek. [przypis edytorski]

⁸⁸neofita — osoba, która niedawno przyjęła jakąś wiarę; przen.: osoba, która zmieniła poglądy i od niedawna stała się zwolennikiem czegoś. [przypis edytorski]

dał do Flicoteaux około wpół do piątej, zauważywszy korzyści pierwszeństwa; potrawy były nieco bardziej urozmaicone; łatwiej było spotkać swoje ulubione dania. Jak wszystkie poetyczne natury, upodobał sobie jedno miejsce, a wybór jego świadczył o bystrej orientacji. Od pierwszego dnia zauważył koło bufetu stolik, przy którym fizjonomie, jak również chwytnie w lot rozmowy zdradziły mu kolegów po piórze. Zresztą pewien rodzaj instynktu szeptał mu, iż sadowiac się blisko bufetu, łatwiej będzie mógł nawiązać dyplomatyczne stosunki z zarządem. Z biegiem czasu wytworzył się znajomość i w dobie finansowej niedoli zdoła z pewnością uzyskać niezbędny kredyt. Usiadł tedy w pobliżu bufetu, przy kwadratowym stoliku, gdzie spostrzegł jedynie dwa nakrycia, zdobne czystymi serwetkami bez obrączki, przeznaczone widocznie dla przygodnych gości. *Vis-à-vis*⁸⁹ Lucjana stanowił szczupły i blade młody człowiek, najwyraźniej równie biedny jak on. Piękna twarz, już przywiedła, świadczyła, iż zawiedzione nadzieje znużyły jego czoło i zostawiły w duszy bruzdy, w których nie wschodziło płodne ziarno. Te ślady poezji oraz jakaś nieprzeparta sympatia pchnęły Lucjana ku nieznanemu.

Ten młody człowiek, pierwszy, z którym poeta z Angoulême, po tygodniu drobnych grzeczności, półsłówek i uwag, mógł wreszcie nawiązać rozmowę, nazywał się Stefan Lousteau. Jak Lucjan, i on opuścił swą prowincję, miasteczko w Berry, przed dwoma laty. Jego wymowne gesty, błyszczące spojrzenie, niekiedy zwięzłe słowo zdradzały gorzką znajomość literackiego życia. Stefan przybył z Sancerre, z tragedią w kieszeni, znęcony tym, co wabiło Lucjana: sławą, władzą i pieniądzem. Ten młody człowiek, który zrazu przychodził na obiad kilka dni z rzędu, później pokazywał się jedynie od czasu do czasu. Po kilku dniach nieobecności, spotkawszy raz znowu swego poetę, Lucjan miał nadzieję, iż ujrzy go nazajutrz; ale nazajutrz zajął miejsce jakiś nieznajomy. Kiedy dwaj młodzi ludzie widują się stale, ogień rozmowy utrzymuje się z dnia na dzień; ale te przerwy zmuszały Lucjana do łamania lodów za każdym razem na nowo i opóźniały zażyłość, która też w pierwszych tygodniach niewielkie uczyniła postępy. Zasięgnąwszy języka u bufetowej, Lucjan dowiedział się, iż jego przyszły druh jest współpracownikiem jakiegoś dzienniczka, że pisuje recenzje z książek i sprawozdania ze sztuk grywanych w Ambigu-Comique, w Gaieté, w Panorama-Dramatique. Młody człowiek urósł w oczach Lucjana. Poeta postanowił wdać się z nim w poufniejszą rozmowę i uczynić wszystko, aby zyskać przyjaźń, tak cenną dla nowicjusza. Dziennikarz nie pojawił się przez dwa tygodnie. Lucjan nie wiedział jeszcze, że Stefan jadał u Flicoteaux jedynie wówczas, kiedy był goły, co dawało mu ten posępny i gorzki wyraz, ten chłód, któremu Lucjan na próżno przeciwstawiał pochlebne uśmiechy i uprzejme słówka. Bądź co bądź, znajomość ta wymagała dojrzałego zastanowienia, ile że ten pokątny dziennikarz zdawał się prowadzić życie kosztowne, przeplatane kieliszczkami likieru, filiżankami kawy, wazkami ponczu, teatrem i kolacyjkami. Otóż przez pierwsze dni po zainstalowaniu się w tej dzielnicy Lucjan kulił się niby biedne dziecko oszołomione doświadczeniami paryskiego życia. Rozpatrzywszy się w cenach tych skromnych posiłków i zważywszy swą sakiewkę, Lucjan nie odważył się wejść w ślady Stefana, lękając się na nowo wpaść w błędy, których jeszcze żałował. Ciągłe był pod uciskiem prowincjonalnych wierzeń; Ewa i Dawid, dwa opiekuńcze anioły, stawali mu przed oczami przy najmniejszej złej myśli, przypominali położone w nim nadzieje, szczęście, jakie był winien starej matce, wszystkie obietnice jego talentu. Spędzał ranki w Bibliotece św. Genowefy, studiując historię. Pierwsze studia uświadomiły mu straszliwe błędy w *Gwardziście Karola IX*. Po godzinach bibliotecznych wracał do zimnego i wilgotnego pokoiku, aby poprawiać swoje dzieło, przerabiać, wyrzucać całe rozdziały. Zjadłszy obiad u Flicoteaux, siedł do Pasażu Handlowego, czytał w publicznej czytelnicy Blosse'a plody współczesnej literatury, dzienniki, przeglądy, poezje, aby się obznajomić ze współczesnym ruchem umysłowym. Około północy zdążył do swego nędznego hotelu, nie zużywając drzewa ani światła. Lektury te tak ogromnie przeobraziły jego pojęcia, że wziął na nowo do ręki zbiór sonetów o kwiatach, swoje drogie *Stokrocie*, i przerobił je tak gruntownie, że ani sto wierszy nie pozostało w dawnej postaci. Tak tedy z początku Lucjan wiódł niewinne i czyste życie biednych chłopców z prowincji, dla których Flicoteaux jest zbytkiem w porównaniu z codziennym trybem rodzinnego domu. Biedacy ci

⁸⁹*vis-à-vis* (fr.) — naprzeciw; tu: osoba siedząca naprzeciw, po drugiej stronie stołu. [przypis edytorski]

przechadzają się dla rozrywki po alejach Luksemburgu⁹⁰, przyglądając się pięknym kobietom spod oka i z sercem nabrzmiałym krwią; nie wychodzą poza Dzielnicę Łacińską i oddają się święcie pracy, myśląc o przyszłości. Ale Lucjan, urodzony poeta, oblegany niezmierzonymi pragnieniami, uczuł się niebawem bezsilny wobec pokus teatru. Komedia Francuska, Vaudeville, Variétés, Opera Komiczna, dokąd chodził na parter, wydarły mu jakie sześćdziesiąt franków. Któryż student mógłby się oprzeć szczęściu oglądania Talmy⁹¹ w jego wielkich rolach? Teatr, ta pierwsza miłość poetycznych dusz, oczarował Lucjana. Aktorzy i aktorki imponowali mu bez granic; nie wyobrażał sobie możliwości przekroczenia rampy i oglądania ich z bliska. Ci twórcy jego uciech byli dlań cudownymi istotami; toć dzienniki poświęcały im tyleż miejsca, co najważniejszym sprawom państwowym. Być autorem dramatycznym, być grany, cóż za marzenie, które paru odważnych, jak Kazimierz Delavigne⁹², zdołało urzeczywistnić! Te płodne myśli, te chwile wiary w siebie, po których następowała rozpacz, pobudzały Lucjana i utrzymywały go na świętej drodze pracy i oszczędności mimo głuchych szemrań niejednego frenetycznego pragnienia. Przez heroizm rozsądku zabronił sobie wstępu do Palais-Royal, owego miejsca zguby, gdzie w ciągu jednego dnia wydał pięćdziesiąt franków u Véry'ego, a blisko pięćset na stroje. Toteż kiedy uległ pokusie oglądania Fleury'ego⁹³, Taimy, obu Baptystów⁹⁴ lub Michota⁹⁵, nie zapuszczał się dalej niż w ciemną galerię, gdzie trzeba było stać w długim szeregu od wpół do szóstej i gdzie spóźnieni musieli kupować za pół franka miejsce w ogonku do kasy. Często po dwugodzinnym wystawianiu słowa: „Nie ma biletów!” rozlegały się w uchu niejednego zawiedzionego studenta. Po przedstawieniu Lucjan wracał ze spuszczonej oczyma, nie patrząc na ulicę wybrukowaną o tej godzinie żywymi pokusami. Może zdarzała mu się tu i ówdzie jakaś przygoda niezmiernie prosta, ale zajmująca wiele miejsca w młodej i lękliwej wyobraźni. Prerażony ubytkiem kapitału, jednego dnia, obliczywszy swój skarbczyk, Lucjan oblał się zimnym potem. Konieczność znalezienia jakiegos księgarza i szukania płatnej pracy stała się nagłą. Młody dziennikarz, którego mianował we własnej wyobraźni swoim przyjacielem, nie pokazywał się w jadalni. Lucjan czekał przypadku, i czekał na próżno. W Paryżu przypadek istnieje jedynie dla ludzi bardzo ruchliwych; ilość stosunków powiększa szanse powodzenia: przypadek jest również po stronie silniejszych batalionów⁹⁶. Zachowawszy jeszcze przeczność mieszkańców prowincji, Lucjan nie chciał czekać chwili, gdy mu zostanie tylko kilka talarów: postanowił zmierzyć się z księgarzami.

W chłodny wrześniowy poranek, z dwoma rękopisami pod pachą, puścił się ulicą la Harpe, dotarł do wybrzeża des Augustins⁹⁷, przeszedł kilkadziesiąt kroków, spoglądając kolejno na Sekwanę i na sklepy księgarzy, jak gdyby dobry geniusz radził mu się rzucić raczej w wodę niż w literaturę. Po okresie pięknych wahań, po bacznych przeglądzie więcej lub mniej łagodnych, wesołych, życzliwych, chmurnych lub smutnych twarzy widzianych przez szyby lub na progu, zauważył dom, przed którym chłopcy sklepowi w pośpiechu pakowali książki. Widocznie przygotowywano je do ekspedycji, mury bowiem pokryte były afiszami:

WYSZŁY Z DRUKU

⁹⁰Luksemburg — tu: Ogród Luksemburski w Paryżu, park miejski przy pałacu księcia de Luxembourg. [przypis edytorski]

⁹¹Talma, François-Joseph (1763–1826) — najslawniejszy aktor francuski swojej epoki, znany z ról w tragediach Woltera, Szekspira, Corneille'a i Racine'a. [przypis edytorski]

⁹²Delavigne, Casimir (1793–1843) — francuski poeta i dramaturg, członek Akademii Francuskiej (1825). [przypis edytorski]

⁹³Fleury, Abraham-Joseph Bénard (1750–1822) — aktor Comédie Française, wybitny komik. [przypis edytorski]

⁹⁴obu Baptystów — Nicolas Anselme Baptiste, zw. Baptystą Starszym (1761–1835) oraz jego brat Paul Eustache Anselme Baptiste (1765–1839), zw. Baptystą Młodszym, francuscy aktorzy komiczni, występujący w Comédie-Française. [przypis edytorski]

⁹⁵Michot, właśc. Antoine Michaut (1765–1826) — francuski aktor komiczny. [przypis edytorski]

⁹⁶Przypadek jest również po stronie silniejszych batalionów — znane powiedzenie Napoleona o Bogu, że „jest zawsze po stronie silniejszych batalionów”. [przypis tłumacza]

⁹⁷wybrzeże des Augustins — ośrodek księgarski położony na lewym brzegu Sekwany. [przypis edytorski]

Samotnik

przez wicehrabiego d'Arlincourt⁹⁸, wydanie trzecie.

Leonidas

przez Wiktora Ducange⁹⁹, 5 tomów in 12^{o100},
na wytwornym papierze. Cena 12 fr.

Wnioski moralne

przez Kératry¹⁰¹

Książka, Pieniądz

— Szczęśliwcy! — wykrzyknął Lucjan.

Afisz, nowa i oryginalna kreacja słynnego *Ladvocata*¹⁰², zakwitł wówczas pierwszy raz na murach. Niebawem naśladowcy tego nowego sposobu ogłaszania się, będącego źródłem jednego z dochodów publicznych, zalali cały Paryż. Wreszcie, z sercem wezbranym krwią i niepokojem, Lucjan, niegdyś tak wielki w Angoulême, a tak mały w Paryżu, przesunął się pod domami i zebrał odwagę, aby wejść do sklepu zapchanego pomocnikami, klientami, księgarzami... „I może autorami!” — pomyślał Lucjan.

— Chciałbym mówić z panem Vidal albo panem Porchon — rzekł do subiekta¹⁰³.

Wyczytał na szyldzie wielkimi literami:

VIDAL I PORCHON

Księgarnia komisowa na Francję i zagranicę

— Zajęci — odparł subiekt.

— Zaczekam.

Zostawiono poetę w sklepie, gdzie przyglądał się paczkom; spędził tak dwie godziny, patrząc na tytuły, otwierając książki, czytając tu i ówdzie jaką stronicę. Wreszcie oparł się o małą szybkę ozdobioną zielonymi firaneczkami, za którą przeczuwał, iż kryje się Vidal albo Porchon, i usłyszał następującą rozmowę:

— Bierze pan pięćset egzemplarzy? Dam po pięć franków, plus trzynasty gratis.

— To by wyniosło po ile?

— Szesnaście su mniej.

— Cztery franki cztery su — rzekł Vidal lub Porchon do oferującego książki.

— Tak — odparł sprzedający.

— Na rachunek? — spytał kupiec.

— Stary kawalarz! I namyślisz się pan zapłacić za półtora roku, weksłami z rocznym terminem?

— Nie, płatne zaraz — odparł Vidal lub Porchon.

— Jaki termin? Dziewięć miesięcy? — spytał księgarz lub autor, który widocznie ofiarowywał książkę.

— Nie, drogi panie, rok — odparł jeden z księgarzy komisowych.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Zarzynasz mnie pan — rzekł nieznajomy.

— Ale czyż my pozbędziemy w ciągu roku pięćset *Leonidasów*? — odparł księgarz komisowy wydawcy Wiktora Ducange. — Gdyby książki szły tak, jak pragną wydawcy, byłibyśmy milionerami, drogi panie; ale idą tak, jak sobie życzy publiczność. Romanse

Książka, Interes, Pieniądz

⁹⁸Prévot Charles-Victor, wicehrabia d'Arlincourt (1788–1856) — francuski powieściopisarz, popularny w l. 20. XIX w.; autor m.in. pseudohistorycznej powieści *Le Solitaire* (Samotnik, 1821), z akcją osadzoną w XV w., mającej kilkanaście wydań w ciągu kilku miesięcy, liczne tłumaczenia, kilka adaptacji operowych, wiele adaptacji teatralnych, parodii itp. [przypis edytorski]

⁹⁹Ducange, Victor Henri Joseph Brabain (1783–1833) — francuski powieściopisarz i dramaturg; autor m.in. powieści *Léonide, ou la Vieille de Suresnes* (Leonid czyli stara z Surenny, 1823). [przypis edytorski]

¹⁰⁰in 12^o a. in duodecimo — tj. w małym formacie, w którym ze złożenia pojedynczego arkusza drukarskiego powstaje dwanaście kart. [przypis edytorski]

¹⁰¹Kératry, Auguste Hilarion de (1769–1859) — francuski publicysta i działacz polityczny; autor m.in. dzieła *Inductions morales et physiologiques* (Wnioski moralne i fizjologiczne, 1817). [przypis edytorski]

¹⁰²Ladvoat, Pierre-François (1791–1854) — paryski księgarz i wydawca. [przypis edytorski]

¹⁰³subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

Waltera Scotta¹⁰⁴ można mieć po osiemnaście su za tom, trzy franki dwanaście su egzemplarz, i pan chcesz, abym sprzedawał pańską książkę drożej? Jeżeli pan żąda, abym pchał ten romans, dajcie mi dobre warunki. — Vidal!

Otyły człowiek opuścił kasę i zbliżył się z piórem zatknętym za ucho.

— Ile pozbyłeś Ducange'a w ostatniej podróży? — spytał Porchon.

— Dwustu *Staruszków z Calais*¹⁰⁵; ale żeby ich wpakować, trzeba było zarznąć dwie inne książki, na których nie dawano nam takiego opustu i które dzięki temu poszły na marynatę.

Później Lucjan dowiedział się, że „marynatą” nazywają księgarze dzieła, które pleśniejają w skrzyniach, w głębokiej samotności magazynów.

— Wiesz zresztą — ciągnął Vidal — że Picard¹⁰⁶ gotuje nowe powieści. Obiecują nam dwadzieścia procent od zwykłej ceny księgarskiej, aby wziąć szturmem rynek.

— Więc dobrze, na rok — odparł żałośnie wydawca, zmiażdżony ostatnią poufną uwagą Vidala do Porchona.

— Zatem porozumieliśmy się? — spytał Porchon nieznanego.

— Tak.

Księgarz wyszedł. Lucjan usłyszał, jak Porchon mówił do Vidala:

— Mamy zamówionych trzysta egzemplarzy, przeciągniemy mu termin, sprzedamy *Leonidasy* po równych pięć franków, z płatnością półroczną, i...

— I — rzekł Vidal — zgarniemy tysiąc pięćset franków na czysto.

— Och! Wiedziałem dobrze, że koło niego ciasno.

— Zarzyna się! Płaci Ducange'owi cztery tysiące za dwa tysiące egzemplarzy.

Lucjan zatrzymał Vidala, zagradzając wyjście z klatki.

— Panowie — rzekł — mam zaszczyt przedstawić się...

Księgarze zaledwie skinęli głową.

— Jestem autorem romansu historycznego w rodzaju Waltera Scotta, pod tytułem *Guardzista Karola Dziewiątego*, i ofiaruję panom nabycie dzieła.

Porchon objął Lucjana chłodnym spojrzeniem, kładąc równocześnie pióro na pulpicie. Co do Vidala, ten spojrzał brutalnie na autora i odparł:

— Panie łaskawy, nie jesteśmy księgarnią wydawniczą, ale komisową. Jeżeli wydajemy coś na nasz rachunek, robimy jedynie w nazwiskach gotowych. Kupujemy zresztą tylko książki poważne, historie, kompendia...

— Ale moja książka jest bardzo poważna: chodzi o odmalowanie w prawdziwym świetle walki katolików, oświadczających się za władzę absolutną, i protestantów, którzy chcieli stworzyć republikę...

— Panie Vidal! — krzyknął subiekt.

Vidal wymknął się.

— Nie wątpię, iż pański utwór może być arcydziełem — rzekł Porchon, czyniąc gest dość niegrzeczny — ale my się zajmujemy jedynie książkami gotowymi. Idź pan do tych, którzy kupują rękopisy: stary Dogueriau, ulica du Coq, koło Luwru: to jeden z tych, którzy robią w powieści. Gdyby się pan zjawił wcześniej, był tu właśnie Pollet, konkurent starego Dogueriau i księgarzy z Galerii Drewnianej.

— Mam także zbiór poezji...

— Panie Porchon! — rozległ się głos.

— Poezji! — zakrzyknął Porchon w gniewie. — Za kogo mnie pan bierze? — dodał, śmiejąc mu się w nos i znikając w czeluściach kantoru.

Lucjan, oblegany tysiącem refleksji, przebył Nowy Most. Dostępne dlań urywki handlowej gwary pozwoliły mu odgadnąć, że dla tych księgarzy książki były tym, czym czapki włóczkowe dla trykociarzy: towarem, który się drogo sprzedaje, tanio nabywa.

— Omyliłem się — powiedział sobie, uderzony brutalną i kramarską postacią, pod jaką objawiła mu się literatura.

Książka, Interes

Książka, Interes

¹⁰⁴Scott, Walter (1771–1832) — szkocki autor powieści historycznych i poeta, bardzo popularny w swojej epoce. [przypis edytorski]

¹⁰⁵*Staruszek z Calais* — dwutomowa powieść Victora Ducange pt. *Agathe, ou le Petit Vieillard de Calais* z 1819. [przypis edytorski]

¹⁰⁶Picard, Louis Benoît (1769–1828) — francuski dramaturg, aktor, powieściopisarz. [przypis edytorski]

Spostrzegł przy ulicy du Coq skromny sklepik, koło którego już przechodził, a nad którym żółtymi literami na zielonym tle namalowane były słowa:

DOGUEREAU — KSIĘGARZ

Przypomniawszy sobie, iż widział tę firmę na okładce romansów czytanych u Blosse'a. Wszedł nie bez owego wewnętrznego drżenia, jakie u wszystkich ludzi obdarzonych wyobraźnią wywołuje pewność walki. Ujrzał w sklepie dziwnego starca, jedną z najoryginalniejszych postaci przemysłu księgarskiego za Cesarstwa. Doguereau miał na sobie czarny frak o wielkich kwadratowych połach, gdy moda ścinała wówczas frak spiczasto. Na kamizelce z pospolitej materii w różnokolorowe kraty zwiślał od kieszonki stalowy łańcuszek i mosiężny kluczyk, tańcząc po obszernych czarnych pludrach. Zegarek musiał być grubości cebuli. Kostium ten uzupełniały grube pończochy stalowego koloru oraz trzewiki ze srebrnymi sprzączkami. Starzec miał gołą głowę, strojną szpakowatymi włosami w dość poetycznym nieładzie. Frak, pludry¹⁰⁷ i trzewiki dawały staremu Doguereau, jak go nazwał Porchon, coś z profesora literatury, kamizelka zaś, zegarek i pończochy coś z kupca. Fizjonomia nie przeczyła temu osobliwemu skojarzeniu: wyraz miał profesorski, dogmatyczny, pooraną bruzdami twarz profesora retoryki¹⁰⁸, żywe zaś oczy, podejrzliwe usta, nieokreślony niepokój księgarza.

— Pan Doguereau? — rzekł Lucjan.

— Tak, panie.

— Jestem autorem romansu — rzekł Lucjan.

— Bardzo pan młody — rzekł księgarz.

— Ależ panie, wiek mój nie ma tu nic do rzeczy.

— Słusznie — rzekł stary księgarz, biorąc rękopis. — Tam do licha! *Gwardzista Karola Dziewiątego*, dobry tytuł. No, młodzieńcze, opowiedz mi w dwóch słowach treść.

— Jest to dzieło historyczne w rodzaju Waltera Scotta. Walka między protestantami a katolikami ujęta jest jako ścieranie się dwóch form rządu, w którym tron jest poważnie zagrożony. Ja wziąłem stronę katolików.

— Ba, młodzieńcze, to myśl. Więc dobrze, przeczytam rękopis, przyrzekam. Wolałbym romans w rodzaju pani Radcliffe¹⁰⁹; ale jeśli umiesz pracować, jeśli masz trochę stylu, poglądów, myśli i umiejętności podania, niczego więcej nie pragnę, jak być panu użytecznym. Czegóż nam trzeba?... Dobrych rękopisów.

— Kiedy będę mógł wstąpić?

— Jadę dziś wieczór na wieś, wrócę pojutrze, przeczytam pańską powieść i jeśli mi się nada, porozumiemy się tego samego dnia.

Lucjan, uwiedziony tą dobroduszością, wpadł na fatalną myśl wydobycia rękopisu *Stokroci*.

— Panie, mam także zbiorek wierszy...

— A, pan poeta! Nie chcę już pańskiej powieści — rzekł stary, oddając rękopis. — Wierszorozy kiepsko się sprawiają, kiedy się wezmą do prozy. W prozie nie ma kwiatków, trzeba koniecznie coś powiedzieć.

— Ale, panie, Walter Scott także pisał wiersze...

— To prawda — rzekł Doguereau, który złagodniał, odgadł trudne położenie poety i zatrzymał rękopis. — Gdzie pan mieszka? Zajdę do pana.

Lucjan podał adres, nie podejrzewając ukrytej myśli starca; nie odgadł w nim księgarza dawnej szkoły, z czasu kiedy księgarze pragnęliby trzymać na strychu i pod kluczem Woltera¹¹⁰ i Monteskiusza¹¹¹ umierających z głodu.

¹⁰⁷pludry — spodnie; szczególnie: sięgające do kolan spodnie o bufiastych nogawkach, stanowiące element stroju męskiego w XVII i XVIII w. [przypis edytorski]

¹⁰⁸retoryka — umiejętność wysławiania się i przemawiania; także: nazwa ostatniej klasy w liceach francuskich. [przypis edytorski]

¹⁰⁹Radcliffe, Ann (1764–1823) — angielska pisarka preromantyczna; zasłynęła jako autorka romansów sentymentalnych oraz powieści gotyckich, które wywarły znaczny wpływ na twórców romantycznych, wprowadzając do literatury estetykę horroru. [przypis edytorski]

¹¹⁰Wolter a. Voltaire, właśc. François-Marie Arouet (1694–1778) — czołowy francuski pisarz, filozof i publicysta epoki oświecenia, znany z walki o wolność słowa i wyznania. [przypis edytorski]

¹¹¹Monteskiusz, właśc. Charles Louis Montesquieu (1689–1755) — francuski filozof i pisarz, teoretyk prawa. [przypis edytorski]

— Wracam właśnie przez Dzielnicę Łacińską — rzekł stary, przeczytawszy adres.

„Zacny człowiek! — pomyślał Lucjan, żegnając księgarza. — Spotkałem tedy przyjaciela młodzieży, człowieka, który rozumie się na czymś. To mi człowiek! Mówiłem Dawidowi, talent łatwo wybije się w Paryżu”.

Wrócił lekki i szczęśliwy, marzył o sławie. Nie myśląc już o złowrogich słowach, jakie obły się o jego uszy w kantorze Vidala i Porchona, pieścił w myśli przynajmniej tysiąc dwieście franków. Tysiąc dwieście franków to rok pobytu w Paryżu, rok, przez który przygotowuje nowe dzieła. Ileż projektów zbudowanych na tej nadziei! Ileż słodkich marzeń na widok perspektywy życia wspartego na pracy! Wynajął (w myśli) mieszkanie, urządził się, niewiele brakło, aby poczynił jakieś większe zakupy. Ledwie zdołał oszukać swą niecierpliwość, zakopując się gorączkowo w książki w czytelni. W dwa dni później Doguereau, zdziwiony bogactwem stylu, zachwycony przesadą charakterów, dopuszczalną dzięki odległej epoce, uderzony rozmachem, z jakim młody autor kreśli zawsze pierwszy projekt — zacny ojciec Doguereau nie był wybredny! — przybył do hotelu, gdzie mieszkał jego przyszły Walter Skocik. Gotów był zapłacić tysiąc franków za zupełną własność *Guardisty Karola IX* i związać Lucjana umową na szereg utworów. Widząc hotel, stary lis rozmyślił się.

„Młody człowiek, który tak mieszka, musi mieć upodobania skromne, lubi naukę, pracę; dam mu tylko osiemset”.

Gospodyni, zapytana o pana Lucjana de Rubempré, odparła:

— Na czwartym.

Księgarz zadarł nosa i ujrzał nad czwartym piętrem tylko niebo.

„Ten młody człowiek — pomyślał — hm! ładny chłopiec, nawet bardzo piękny; gdyby zarabiał zbyt wiele, zacząłby się lampartować¹¹², nie pracowałby. We wspólnym interesie ofiaruję mu sześćset; ale gotówką, bez akceptów¹¹³”.

Wdrapał się na schody, zapukał trzy razy do Lucjana, który podbiegł otworzyć. Pokój przedstawiał obraz rozpaczliwej nagości. Na stole stał garnuszek mleka i dwugroszowa bułka. Ta nędza geniusza uderzyła starego Doguereau.

„Niech zachowa — pomyślał — te proste obyczaje, wstrzemięźliwość, skromność potrzeb”. — Miło mi pana widzieć — rzekł do Lucjana. — Oto, drogi panie, jak żył Jan Jakub, z którym pan posiadasz niejedno podobieństwo. W takich właśnie mieszkaniach błyszczą ogień geniuszu i tworzą się tegie dzieła. Oto jak powinni być żyć ludzie pióra — miast oddawać się hulance po kawiarniach, restauracjach, tracić swój czas, talent i nasze pieniądze.

Usiadł.

— Młodzieńcze, romans jest niegorszy. Byłem profesorem retoryki, znam historię Francji, są tam wyborne rzeczy. Słowem, masz przyszłość.

— Och, panie!

— Tak, powiadam panu, będziemy mogli robić interesy. Kupuję pański romans...

Serce Lucjana rozplynęło się, drżał z rozkoszy, miał wejść w świat literacki, miał być wreszcie drukowany!

— Kupuję go za czterysta franków — rzekł słodko Doguereau z miną mającą oznajmiać wysiłek wspaniałomyślności.

— Tom? — rzekł Lucjan.

— Nie, powieść — rzekł Doguereau, niezaskoczony zdziwieniem Lucjana. — Ale — dodał — płacę gotówką. Zobowiąziesz się dostarczać mi dwa takie rocznie przez sześć lat. Jeżeli pierwszy wyczerpie się w pół roku, zapłacę następne po sześćset. Tak więc, przy dwóch powieściach na rok, będziesz miał sto franków miesięcznie, zapewnione życie, będziesz szczęśliwy. Mam autorów, którym płacę tylko po trzysta. Daję dwieście franków za tłumaczenie z angielskiego. Dawniej była to cena wręcz niesłychana.

— Nie porozumiemy się, proszę pana o rękopis — rzekł Lucjan, zmrózony.

— Służę — rzekł stary księgarz. — Nie rozumie się pan na interesach. Wydaję pierwszy romans młodego autora, księgarz musi ryzykować tysiąc sześćset franków za druk i papier. Łatwiej napisać romans niż znaleźć podobną kwotę. Mam u siebie sto

Interes, Chciwość

Książka, Interes, Pieniądz

¹¹²lampartować się (daw.) — prowadzić hulaszczę, próżniacze, niemoralne życie. [przypis edytorski]

¹¹³akcept — tu: weksel po złożeniu akceptu, tj. złożeniu podpisu na wekslu przez osobę zobowiązującą się w ten sposób do zapłaty wskazanej na wekslu kwoty we wskazanym terminie. [przypis edytorski]

rękopisów, a nie mam stu sześćdziesięciu tysięcy w kasie. Niestety! Nie uciulałem tyle przez dwadzieścia lat, jak jestem księgarzem. Nie robi się majątku na wydawaniu powieści! Vidal i Porchon biorą je na warunkach, które stają się z każdym dniem uciążliwsze. Pan ryzykujesz tylko czas, a ja muszę wyłożyć dwa tysiące franków. Jeśli nas czeka zawód, gdyż *habent sua fata libelli*¹¹⁴, tracę dwa tysiące; co do pana, wystarczy ci wypalić odę przeciw głupocie publiczności. Rozważywszy sobie to, co mam zaszczyt powiedzieć, wrócisz pan do mnie. Wrócisz — powtórzył księgarz z mocą, w odpowiedzi na dumny gest Lucjana. — Nie tylko nie znajdziesz księgarza, który by zaryzykował dwa tysiące dla nieznajomego młodzieńca, ale i ani subiekta, który by zadał sobie trud odczytania pańskich gryzmołów. Ja, który je odczytałem, mogę panu podkreślić sporo błędów językowych... Pisziesz na przykład „oczekiwać na kogoś”, gdy mówi się „oczekiwać kogoś”, a „czekać na kogoś”.

Lucjan stał w milczeniu jak winowajca.

— Kiedy się zobaczymy znowu, stracisz pan sto franków — dodał — wówczas dam już tylko trzysta.

Podniósł się, uklonił, ale na progu rzekł jeszcze:

— Gdybyś pan nie miał talentu, przyszłości, gdybym się nie interesował pracowitymi młodymi ludźmi, nie ofiarowałbym ci tak pięknych warunków. Sto franków na miesiąc! Zastanów się. Ostatecznie romans w szufladzie to nie to, co koń w stajni, nie zjada chleba. Co prawda, też i nie daje!

Lucjan wziął rękopis i rzucił go o ziemię, wołając:

— Wolę raczej spalić!

— Et, poeta! — rzekł stary.

Lucjan pochłonał bułkę, wypił duszkiem mleko i zeszedł na dół. Pokój nie był dość obszerny, musiał się kręcić w kółko niby lew w klatce w Ogrodzie Botanicznym. W Bibliotece św. Genowefy, dokąd zamierzał się udać, Lucjan widywał zawsze w tym samym kącie młodego człowieka lat około dwudziestu pięciu, pracującego z ową niezłomną wytrwałością, której nic nie jest w stanie oderwać ani rozproszyć, a po której poznaje się prawdziwych bojowników literatury. Młody człowiek był tam zapewne od dłuższego czasu, urzędnicy i nawet sam bibliotekarz mieli dla niego względy; wolno mu było brać książki do domu. Pracowity nieznajomy, w którym Lucjan poznał brata po nędzy i nadziei, zabierał je skrzętnie i odnosił nazajutrz. Mały, szczupły i blady ten pracownik ukrywał piękne czoło pod gęstą, czarną, dość lichą utrzymaną czupryną, miał ładne ręce i uderzał pewnym podobieństwem do Bonapartego na rycinie Roberta Lefèvre¹¹⁵. Rycina ta to cały poemat pełnej żaru melancholii, hamowanej ambicji, ukrytej gorączki czynu. Przyjrzyjcie się dobrze: ujrzycie geniusz, powściągliwość, przebiegłość i wielkość. Oczy iskrzą się sprytem jak oczy kobiety. Spojrzenie chciwe przestrzeni, żadne przeszkód i walki. Gdyby nawet nie widniało u dołu nazwisko Bonapartego, i tak patrzylibyście nań równie długo. Młody człowiek, który wcielał tę rycinę, nosił zazwyczaj spodnie wpuszczone w grube trzewiki, surdut z pospolitego sukna, czarny krawat, srokatą kamizelkę zapiętą pod szyję i tani kapelusz. Wzgarda jego dla wszelkiego zbytku była widoczna. Ten tajemniczy nieznajomy, naznaczony piętnem, jakie Duch wyciska na czołe swych niewolników, zjawiał się u Flicoteaux najregularniej ze stałych gości: jadł, aby żyć, nie zwracając uwagi na potrawy, zbyt już widać do nich przyzwyczajony, pił wodę. Czy to w bibliotece, czy u Flicoteaux miał we wszystkim jakąś godność, która płynęła z pewnością ze świadomości życia zaprzątniętego czymś wielkim i czyniła go niedostępnym. Spojrzenie było nabrzmiałe myślami. Medytacja zamieszkiwała piękne, szlachetnie narysowane czoło. Oczy, czarne i żywe, bystre i szybkie, świadczyły o nawyku zgłębiania rzeczy do dna. Ruchy miał proste i poważne. Lucjan czuł wobec niego mimowolny szacunek. Parokroć już u drzwi biblioteki albo restauracji wymienili spojrzenia, jak gdyby chcąc przemówić, ale żaden nie śmiał. Milczący młody człowiek zajmował miejsce w głębi sali, blisko okna wychodzącego na plac Sorbony, Lucjan nie mógł się tedy zbliżyć, mimo iż czuł bezwiedny pociąg do tego młodego pracownika, zdradzającego nieomylnie oznaki wyższości. Obaj, jak to sobie wyznali później, należeli do owych dziewiczych i nieśmiałych natur, wydanych na pastwę wszystkich lęków i wzruszeń właściwych samotnikom. Gdyby nie nagle

¹¹⁴*habent sua fata libelli* (łac.) — książki mają swoje losy. [przypis edytorski]

¹¹⁵*Lefèvre, Robert* (1755–1830) — francuski malarz-portrecista. [przypis edytorski]

spotkanie w chwili nieszczęścia, które dotknęło Lucjana, może nie zetknęliby się nigdy. Wchodząc w ulicę des Grès, Lucjan spostrzegł młodego nieznajomego, który wracał ze św. Genowefy.

— Biblioteka zamknięta, nie wiem, z jakiej przyczyny — rzekł do Lucjana.

W tej chwili Lucjan miał łzy w oczach; podziękował nieznajomemu gestem wymowniejszym niż wszystkie przemówienia, jednym z tych, które między młodymi od razu otwierają serca. Obaj szli ulicą des Grès w stronę ulicy La Harpe.

— Pójdę w takim razie się przejść po Luksemburgu — rzekł Lucjan. — Kiedy się raz wyszło z domu, trudno wrócić pracować.

— Nie ma już potrzebnego skupienia — zauważył nieznajomy. — Ale pan jakiś zmartwiony?

— Zdarzyła mi się szczególna przygoda — odparł Lucjan.

Opowiedział swoją wizytę w księgarni, potem u starego Doguereau i jego propozycję; wymienił swoje nazwisko i wspomniawszy o swym położeniu. Od miesiąca wydał sześćdziesiąt franków na życie, trzydzieści na hotel, dwadzieścia na teatr, dziesięć na czytelną, razem sto dwadzieścia franków, zostało mu już tylko sto dwadzieścia.

— Drogi panie — rzekł nieznajomy — pańska historia jest również moją, i historią tysięcy młodych ludzi, którzy co rok napływają z prowincji do Paryża. Nie jesteśmy jeszcze z najnieszczęśliwszych. Widzisz pan ten teatr? — rzekł, pokazując wierzchołki Odeonu¹¹⁶. — Pewnego dnia w jednym z domów wychodzących na plac osiedlił się człowiek z talentem, pogrążony w otchłani nędzy; żonaty — nadmiar nieszczęścia, które nas obu jeszcze nie dotyka! — z kobietą, którą kochał; biedny lub bogaty, jak pan woli, dwojgiem dzieci; przytłoczony długami, ale pełen ufności w swe pióro. Przedkłada Odeonowi komedię w pięciu aktach, przyjmują ją, przeznaczają do grania przed innymi, próby w toku, dyrektor nagli. Tych pięć szans to pięć dramatów trudniejszych do zrealizowania niż napisanie pięciu aktów. Biedny autor, gnieźdzący się na poddaszu, które może pan stąd oglądać, wyczerpuje ostatnie środki, aby wyżyć do dnia triumfu, żona zastawia suknie, cała rodzina żyje tylko chlebem. W dzień ostatniej próby a wilię¹¹⁷ przedstawienia małżeństwo dłużne było w dzielnicy pięćdziesiąt franków: piekarz, mleczarz, odźwierny. Poeta rachował tylko to, co niezbędne: frak, koszulę, pantalon, kamizelkę i trzewiki. Pewien powodzenia, przychodzi uściskać żonę, oznajmia koniec niedoli. „Wreszcie nic nie stoi między nami a szczęściem!” — wykrzyknął. „Owszem, ogień — odparła żona — patrz, Odeon się pali!” Panie, Odeon się pali! Nie skarż się tedy. Masz ubranie, nie masz żony ani dzieci, masz za sto dwadzieścia franków *możliwości* w kieszeni i nie jesteś nic winien nikomu. Sztuka miała sto pięćdziesiąt przedstawień w teatrze Louvois. Król wyznaczył autorowi pensję. Wszak Buffon¹¹⁸ powiedział, że geniusz to cierpliwość. Cierpliwość to w istocie cnota najbardziej zbliżająca człowieka do systemu, jakiego natura używa przy swoich dziełach. Czym jest sztuka? To skupiona natura.

Młodzi ludzie przemierzali w tej chwili Luksemburg. Lucjan dowiedział się niebawem nazwiska, później okrytego sławą, towarzysza, który się starał go pocieszyć. Młody człowiek był to Daniel d'Arthez, dziś jeden z najznakomitszych pisarzy i jeden z rzadkich ludzi, którzy w duchu podniosłej myśli poety przedstawiają „zgodność pięknego talentu i pięknego charakteru”.

— Nie można być wielkim człowiekiem tanim kosztem — mówił Daniel łagodnie. — Geniusz skrapia swoje dzieła własnymi łzami. Talent to istota duchowa, która, jak wszystkie żywe stworzenia, w dzieciństwie skłonna jest do chorób. Społeczeństwo odtrąca talenty niezupełne, jak natura uprzęta istoty słabe lub niedokształcone. Kto chce się wzniesć nad poziom, winien się przygotować na walkę, nie cofać się przed żadną trudnością. Wielki pisarz jest męczennikiem, który nie umrze, oto wszystko. Masz na czole piętno geniuszu — rzekł d'Arthez, obejmując Lucjana spojrzeniem — jeżeli nie posia-

Pieniądz

Artysta, Praca

¹¹⁶Odeon — teatr w Paryżu, otwarty w 1782 roku dla zespołu Comédie Française, od 1796 siedziba zespołu pod nazwą Odéon; dwukrotnie niszczone w pożarze (1799 i 1818) i odbudowywany. [przypis edytorski]

¹¹⁷wilia (daw., reg.) — dzień poprzedni, poprzedzający; też: wigilia. [przypis edytorski]

¹¹⁸Buffon, Georges Louis Leclerc de (1707–1788) — francuski przyrodnik i filozof, autor liczącego 36 tomów dzieła *Histoire naturelle, générale et particulière* (Historia naturalna, ogólna i szczegółowa, 1749–1789), członek Akademii Francuskiej i Towarzystwa Królewskiego w Londynie; wywarł wielki wpływ na rozwój przyrodoznawstwa w XVIII w. [przypis edytorski]

dasz w sercu jego woli, jego anielskiej cierpliwości, jeżeli bez względu na odległość od celu, w jakiej cię postawią igraszki losu, nie podejmiesz na nowo, jak żółwie, w jakim bądź się kraju znajdują, drogi do nieskończoności, jak one drogi do ukochanego oceanu, daj już dziś za wygraną.

— Zatem pan gotuje się na męki? — rzekł Lucjan.

— Na próby wszelkiego rodzaju, na potwarz, zdradę, niesprawiedliwość rywali, na bezczelność, podstęp, brutalność rzemiosła — odparł młody człowiek zrezygnowanym głosem. — Jeżeli twe dzieło jest piękne, cóż znaczy pierwsza strata?...

— Chce pan przeczytać i osądzić?...

— Zgoda — rzekł d'Arthez. — Mieszkam przy ulicy des Quatre-Vents, w domu, gdzie jeden z najznakomitszych ludzi, jeden z najpiękniejszych geniuszów naszych czasów, fenomen nauki, Desplein, największy chirurg, przecierpiał lata męczeństwa, borykając się z pierwszymi trudnościami życia i sławy w Paryżu. To przypomnienie wlewa mi co wieczór dawkę odwagi, jakiej potrzebuję co rano. Mieszkam w tym pokoju, w którym on często jadał, jak Rousseau, chleb i wiśnie, ale bez Teresy¹¹⁹. Przyjdź pan za godzinę, będę w domu.

Dwaj poeci rozstali się, ściskając sobie dłonie z nieopisanym wylewem melancholijnej czułości. Lucjan pobiegł po rękopis. Daniel poszedł zastawić w lombardzie zegarek i kupić dwa naręcza drzewa, aby nowy przyjaciel zastał ogień, było bowiem zimno. Lucjan stawiał się punktualnie. Ujrzał dom o wyglądzie jeszcze lichszym niż jego hotel! Na końcu długiego, ciemnego korytarza domacał się równie ciemnych schodów. Pokój, na piątym piętrze, miał dwa okienka, między którymi znajdowała się szafka, pełna opatrzonych napisami pudełek. Nędzne, drewniane łóżko przypominające sypialnię w kolegiach, nocny stolik kupiony gdzieś przypadkiem i dwa włosiem kryte fotele zajmowały głąb pokoju, obitego poźółtką od dymu i starości tapetą. Długi stół pełen papierów stał między kominkiem a jednym z okien; naprzeciw licha mahoniowa komoda. Wypełzły dywan wyścielał całą podłogę. Ten niezbędny zbytek oszczędzał opału. Koło stołu czerwony spłowiwały juchtowy¹²⁰ fotel oraz sześć nędznych krzeseł dopełniało umeblowania. Na kominku Lucjan ujrzał stary świecznik z abażurem, dźwigający cztery świece. Kiedy Lucjan, widząc we wszystkich szczegółach oznaki twardej nędzy, zdziwił się tym zbytkiem, d'Arthez odpowiedział, że nie znosi zapachu łojówki¹²¹. Okoliczność ta zdradzała wielką delikatność zmysłów, oznakę wykwiutnej wrażliwości. Czytanie trwało siedem godzin. Daniel słuchał z religijnym skupieniem, nie mówiąc słowa, nie robiąc uwag, jeden z rzadkich dowodów dobrego smaku u słuchacza.

— I cóż? — rzekł doń Lucjan, kładąc rękopis na kominku.

— Jesteś na pięknej i dobrej drodze — odparł poważnie młody człowiek — ale dzieło twoje wymaga jeszcze pracy. Jeżeli nie chcesz po prostu małpować Waltera Scotta, trzeba ci tworzyć w sposób odmienny, ty zaś poszedłeś jego śladem. Zaczynasz, jak on, za pomocą długich rozmów, aby postawić swoje osobistości; kiedy się nagały, przechodzisz do opisów i akcji. Przecistawienie to, potrzebne każdemu dramatycznemu dziełu, zjawia się na końcu. Odwróć cały problem do góry nogami. Zastąp te rozwlekłe rozmowy, wspaniałe u Scotta, ale bezbarwne u ciebie, opisami, do których nasz język tak dobrze się nadaje. Niech dialog będzie u ciebie naturalną konsekwencją, która wieńczy przygotowania. Wejdz od początku w akcję. Ujmij przedmiot to z tej, to z owej strony; zmieniaj kąty widzenia i plany, aby uniknąć monotonii. Odkryjesz nowe źródło, stosując do historii Francji dialog szkockiego pisarza. Walter Scott jest bez namiętności, nie zna jej lub może wzbronila mu jej obłuda jego kraju. Dla niego kobieta jest wcielonym obowiązkiem. Z małymi wyjątkami, heroiny jego są zawsze jednakie: malując je, używa tylko jednej farby. Wszystkie pochodzą od Klaryssy Harlowe¹²²: sprowadzając wszystkie do abstrakcji, umiał stworzyć tylko galerię jednego typu, urozmaiconą mniej lub więcej żywym zabarwieniem. Kobieta, będąc wcielonym uczuciem, wnosi nieład w społeczeństwo. Namiętność posiada nieskończoną skalę przypadków. Maluj więc namiętności, zdobędziesz

Dom

Twórczość

¹¹⁹Levasseur, Thérèse (1721–1801) — partnerka Rousseau, prosta kobieta, poznana przez niego podczas pobytu w Paryżu, urodziła mu pięcioro dzieci, główna spadkobierczyni po jego śmierci. [przypis edytorski]

¹²⁰jucht — wyprawiona skóra bydłęca. [przypis edytorski]

¹²¹łojówka (pot.) — świeca z łoju. [przypis edytorski]

¹²²Klaryssa Harlowe — bohaterka popularnego w XVIII w. romansu pt. *Historia Clarissy Harlowe* (1748), napisanego przez angielskiego pisarza Samuela Richardsons. [przypis edytorski]

olbrzymie zasoby, których pozbawił się ten wielki pisarz w zamian za to, aby go czytano w każdej rodzinie świętoszkowatej Anglii. We Francji możesz przeciwstawić urocze błędy i świetne obyczaje katolickiego świata posępnym typom kalwinizmu; wszystko na tle najbardziej dyszącego namiętnością okresu naszych dziejów. Każde prawdziwe panowanie, poczynając od Karola Wielkiego¹²³, będzie wymagało co najmniej jednego dzieła, a niektóre czterech lub pięciu, jak Ludwik XIV, Henryk IV, Franciszek I¹²⁴. W ten sposób stworzysz malowniczą historię Francji: odmalujesz kostiumy, sprzęty, domy, wnętrza, życie prywatne, dając równocześnie ducha czasu zamiast opowiadać z mozolem znane fakty. Na tej drodze możesz się stać oryginalny, prostując popularne legendy zniekształcające większość naszych królów. Odważ się w pierwszym dziele przywrócić na piedestał wielką i wspaniałą postać Katarzyny¹²⁵, którą poświęciłeś utartym przesądom. Wreszcie, odmaluj Karola Dziewiątego¹²⁶ takim, jakim był, a nie jakim go uczynili protestanccy pisarze. Po dziesięciu latach wytrwałości będziesz miał sławę i fortunę.

Była dziewiąta. Lucjan wszedł w ślady dyskretnego rozrzutności przyjaciela, ofiarując mu obiad u Edona, gdzie wydał dwanaście franków. Podczas tego obiadu Daniel zwierzył mu tajemnicę swoich nadziei i prac. D'Arthez nie uznawał wybitnego talentu bez głębokich wiadomości metafizycznych. W tej chwili nurzał się w bogactwach filozoficznych dawnych i nowych czasów, aby je sobie przyswoić. Chciał być głębokim filozofem, jak Molière, zanim zaczął pisać komedie. Studiował świat pisany i świat żywy, myśl i fakt. Miał przyjaciół uczonych naturalistów, młodych lekarzy, pisarzy politycznych i artystów, samych ludzi pracowitych, poważnych, rokujących przyszłość. Żył ze sumiennych i skąpo płatnych artykułów w dykjonarzach¹²⁷ biograficznych, encyklopedycznych lub przyrodniczych; dostarczał ich zresztą ani mniej, ani więcej, niż było niezbędne, aby wyżyć i móc snuć swoją myśl. D'Arthez miał na warsztacie utwór literacki podjęty tylko po to, aby studiować środki języka. Książkę tę, jeszcze nieskończoną, podejmowaną i rzucaną wedle kaprysu, zachowywał na dni wielkiej nędzy. Był to utwór psychologiczny, kryjący pod formą powieści głębokie perspektywy. Mimo że Daniel, mówiąc o sobie, starał się być skromny, Lucjanowi wydał się olbrzymem. Wychodząc z restauracji o jedenastej, Lucjan powziął żywą przyjaźń dla tej cnoty bez napuszenia, dla tej natury szczernej bez świadomości o tym. Poeta nie roztrząsał rad Daniela, zastosował się do nich dosłownie. Ten piękny talent, już dojrzały przez myśl i krytykę uprawianą w samotności, dla siebie, nie dla drugich, otworzył mu nagle bramę najwspanialszych pałaców wyobraźni. Mieszkaniec prowincji uczuł na wargach dotknięcie żarzącego węgla; słowo paryskiego pracownika znalazło w mózgu poety z Angoulême przygotowaną głębę. Lucjan wziął się do przekuwania swego dzieła.

Szczęśliwy, iż spotkał w pustyni Paryża serce, którego szlachetne uczucia były w harmonii z jego sercem, wielki człowiek z prowincji zrobił to, co czynią wszyscy młodzi ludzie spragnieni uczucia: przywiązał się do d'Artheza jak chroniczna choroba, wstępował po niego, śpiesząc do biblioteki, przechadzał się z nim w pogodne dni po Luksemburgu, towarzyszył mu co wieczór aż do biednego pokoiku, spożywszy obok niego obiad u Flicoteaux, słowem, wtulił się w d'Artheza tak, jak żołnierz przytulał się do sąsiada w mroźnych równinach Rosji. W pierwszych dniach Lucjan zauważył, nie bez

Pieniądz, Jedzenie

Literat

Przyjaźń

¹²³Karol Wielki (ok. 742–814) — król Franków i Longobardów, stworzył pierwsze europejskie imperium od czasu upadku cesarstwa zachodniorzymskiego, koronował się na cesarza rzymskiego w Rzymie w 800. [przypis edytorski]

¹²⁴Ludwik XIV, Henryk IV, Franciszek I — Ludwik XIV (1638–1715): król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej; Henryk IV (1553–1610): król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii Burbonów, obniżył podatki dla chłopów, zredukował dług publiczny, ogłosił edykt nantejski (1598) gwarantujący wolność wyznania i kończący wojny religijne w kraju; Franciszek I Walezjusz (1494–1547): król Francji (od 1515), wzmocnił władzę królewską, usprawnił finanse państwa, językiem urzędowym ustanowił francuski (zamiast łaciny), finansował biblioteki. [przypis edytorski]

¹²⁵Katarzyna Medycejska (1519–1589) — księżna z rodu włoskich Medyceuszy, żona króla Francji Henryka II, po śmierci swego męża w 1559 wywierała decydujący wpływ na politykę swych synów, kolejnych królów Francji: Franciszka II, Karola IX i Henryka III Walezgo. [przypis edytorski]

¹²⁶Karol IX Walezjusz (1550–1574) — król Francji (od 1560); pozostawał pod silnym pod wpływem matki, Katarzyny Medycejskiej, która sprawowała rządy podczas jego małoletności; na jego panowanie przypada początek wojen religijnych we Francji po masakrze hugenotów (francuskich protestantów) w Wassy (1562) oraz krwawa rozprawa z hugenotami w Paryżu (tzw. noc św. Bartłomieja, 1572). [przypis edytorski]

¹²⁷dykjonarz (daw.) — słownik, leksykon a. alfabetyczny spis biografii sławnych osób. [przypis edytorski]

przykrości, pewne skrępowanie jego obecnością, skoro kółko przyjaciół zeszło się razem. Rozmowy tych niepospolitych ludzi, o których d'Arthez mówił mu ze skupionym entuzjazmem, trzymały się w granicach powściągliwości, klóćcej się z oznakami ich żywej przyjaźni. Lucjan wychodził wówczas dyskretnie, odczuwając niejaką przykrość, spowodowaną ostracyzmem, którego był przedmiotem, oraz ciekawością, jaką budziły w nim te nieznane osobistości; wszyscy bowiem nazywali się tylko po imieniu. Wszyscy nosili na czole, jak d'Arthez, piętno geniuszu. Wreszcie, po tajemnej opozycji zwalczanej bez jego wiedzy przez Daniela, uznano Lucjana godnym zająć miejsce w biesiadzie tych wielkich umysłów. Lucjan mógł wówczas poznać bliżej tych ludzi, spojonych najwyższymi węzłami sympatii i powagą intelektu. Schodzili się prawie co wieczór u d'Artheza. Wszyscy przeczuwali w nim wielkiego pisarza: patrzyli nań jak na swego wodza, od chwili gdy stracili jeden z największych umysłów tej doby, mistycznego geniusza, dotychczasowego swego naczelnika, który, dla przyczyn zbytecznych do wyjaśnienia tutaj, wrócił na prowincję i o którym Lucjan nieraz słyszał pod mianem Ludwika. Łatwo zrozumieć, ile ci ludzie musieli budzić ciekawości i zainteresowania w poecie, wedle miary tych, którzy później doszli, jak d'Arthez, pełni swej sławy; wielu bowiem z nich padło w drodze.

Z tych, którzy żyją jeszcze, był Horacy Bianchon, wówczas medyk w szpitalu Bożego Ciała, później jeden ze świeczników szkoły paryskiej, zbyt znany obecnie, aby było trzeba malować jego postać lub tłumaczyć charakter i umysł. Następnie Leon Giraud, ów wielki filozof, śmiały teoretyk, który przetrząsa wszystkie systemy, sądzi je, streszcza, formułuje i wlecze do stóp swego bożyszcza, Ludzkości; zawsze wielki, nawet w swych błędach, uszlachetnionych dobrą wiarą. Ten nieustraszony pracownik, ten sumienny uczony stał się wodzem moralnej i politycznej szkoły, o której wartości czas jedynie może wydać wyrok. Jeżeli przekonania skierowały losy Leona w regiony obce jego towarzyszom, zawsze mimo to pozostał ich wiernym przyjacielem. Sztukę reprezentował Józef Bridau, jeden z najlepszych malarzy młodej szkoły. Gdyby nie tajemne nieszczęścia, na które skazuje go zbyt wrażliwa natura, Józef, który zresztą nie wypowiedział jeszcze ostatniego słowa, byłby mógł podjąć tradycje wielkich mistrzów włoskiej szkoły: ma rysunek rzymski i koloryt wenecki; ale miłość zabija go i kaleczy mu nie tylko serce: miłość topi groty w jego mózgu, paczy mu życie i przyprowadza je o najdziwniejsze zygzaki. Jeśli w danej chwili kochanka zbyt go uszczęśliwia lub unieszczęśliwia, Józef zdolny jest wysłać na wystawę to szkice, na których farba zalewa rysunek, to obrazy, które chciał skończyć mimo brzemienia urojonych niedoli i gdzie znów rysunek zaprzął go tak, iż kolor, nad którym panuje w zupełności, zaginął. Zwodzi nieustannie i publiczność, i przyjaciół. Hoffmann¹²⁸ ubóstwiałby go za zuchwalstwo, z jakim przesuwają słupy graniczne sztuki, za jego kaprysy, fantazję. Kiedy jest w pełni siły, budzi podziw, napawa się nim i gniewa się, skoro nie znajduje pochwał za dzieła chybione, w których oczy jego duszy widzą to, czego brak jest dla oczu publiczności. Fantasta w najwyższym stopniu, nieraz w obecności przyjaciół niszczył skończony obraz, który mu się wydał nadto „wylizany”.

— Znadto wypracowane — mówił — zbyt szkolarskie!

Oryginalny i wzniosły niekiedy, zna wszystkie nieszczęścia i wszystkie rozkosze nerwowych organizacji, u których doskonałość wyradza się w chorobę. Dowcip ma pokrewny ze Sterne'em¹²⁹, ale bez literackiego opracowania. Jego powiedzenia, rzuty myśli posiadają niesłychaną soczystość. Jest wymowny i umie kochać, ale z domieszką kaprysu, który wnosi w uczucia, jak i w *robotę*. Kochano go w Biesiadzie właśnie za to, co świat mieszczański nazwałby wadami. Wreszcie, Fulgencjusz Ridal, jeden ze współczesnych autorów obdarzonych najwyższą werwą komiczną, poeta bez troski o sławę, rzucający teatrowi jedynie swe najtańsze utwory i zachowujący w seraju¹³⁰ swego mózgu, dla siebie, dla przyjaciół, najładniejsze sceny, żądający od publiczności jedynie środków do niezależnego życia, spoczywający na laurach, z chwilą gdy je uzyskał. Leniwy i płodny

Artysta, Miłość

Artysta

¹²⁸ Hoffmann, Ernst Theodor Amadeus (1776–1822) — niemiecki pisarz, rysownik i kompozytor, autor opowiadań fantastycznych. [przypis edytorski]

¹²⁹ Sterne, Laurence (1713–1768) — powieściopisarz angielski, twórca prądu literackiego zwanego sentymentalizmem. [przypis edytorski]

¹³⁰ seraj — pałac władcy w krajach muzułmańskich. [przypis edytorski]

jak Rossini¹³¹, zniewolony jak wielcy poeci komiczni, jak Molier i Rabelais¹³², rozważać świat ze wszystkich stron, był sceptykiem, umiał śmiać się i śmiać się ze wszystkiego. Fulgencjusz Ridal jest wielkim filozofem praktycznym. Jego znajomość świata, geniusz obserwacji, wgarda dla sławy, którą nazywa błazeństwem, nie wysuszyły mu serca. Równie czynny dla innych, jak obojętny na własne interesy, jeśli zadaje sobie trud, to dla przyjaciela. Aby nie kłamać swej masce, w istocie rabelaisowskiej, nie gardzi rozkoszami stołu, ale ich nie szuka, jest równocześnie melancholijny i wesoły. Przyjaciele zwą go „psem pułkowym”; nic nie maluje go lepiej niż ten przydomek. Trzej inni, co najmniej równie niepospolici, jak ci czterej, mieli kolejno ulec walce. Najpierw Meyraux, który umarł, obudziwszy wprzód słynną dysputę pomiędzy Cuvierem a Geoffroyem Saint-Hilaire’em¹³³, poruszywszy wielkie zagadnienie, które miało podzielić świat naukowy między owych geniuszy równej miary, na kilka miesięcy przed śmiercią tego, który oświadczał się za ścisłą i analityczną wiedzę przeciw żyjącemu jeszcze i czczonemu w Niemczech panteiście¹³⁴. Meyraux był przyjacielem owego Ludwika, którego przedwczesna śmierć miała niebawem wyrwać ze świata intelektu. Do tych dwóch ludzi, obu naznaczonych śmiercią, obu nieznanym dziś mimo ogromu wiedzy i geniuszu, trzeba dodać Michała Chrestien, republikanina wielkiej miary, który marzył o federacji Europy i który w 1830 silnie się zaznaczył w ruchu saintsimonistów¹³⁵. Mąż polityczny na miarę Saint-Justa¹³⁶ i Danton¹³⁷, ale prosty i słodki jak panienka, pełen złudzeń i uczucia, obdarzony melodyjnym głosem, który byłby oczarował Mozarta, Webera¹³⁸ lub Rossiniego i śpiewający niektóre piosenki Bérangera¹³⁹ w sposób zdolny upoić serce poezją, miłością i nadzieją, Michał Chrestien, biedny jak Lucjan, jak Daniel, jak wszyscy jego przyjaciele, zarabiał na życie z diogeniczną¹⁴⁰ beztroską. Układał skorowidze do wielkich dzieł, prospekty księgarskie, kryjąc zresztą milczeniem swe poglądy, jak grób kryje tajemnice śmierci. Ten wesoły cygan, wielki mąż stanu, który byłby może przemienił oblicze świata, padł jako prosty żołnierz przy kościele Saint-Merri¹⁴¹. Kula jakiegoś lyka¹⁴² zabiła jedną z najszlachetniejszych istot, jakie stąpały po ziemi francuskiej. Michał Chrestien zginął za nie swoje przekonania. Jego federacja zagrażała o wiele więcej niż republikanizm europejskiej arystokracji; była racjonalniejsza i mniej dzika niż wariactwo nieograniczonej wolności głoszone przez młodych szaleńców, którzy się mienili spadkobiercami Konwentu¹⁴³. Śmierć tego szlachetnego plebejusza oplakali wszyscy, co go znali; nie ma wśród nich żadnego, który by nie myślał, i często, o tym wielkim nieznanym polityku.

Tych dziewięć osób składało Biesiadę, w której przyjaźń i szacunek zapewniały jedność

Przyjaźń

¹³¹Rossini, *Gioachino Antonio* (1792–1868) — włoski kompozytor operowy. [przypis edytorski]

¹³²Rabelais, *François* (ok. 1484–1553) — francuski pisarz, lekarz, były zakonnik; autor arcydzieła francuskiego renesansu, powieści *Gargantua i Pantagruel*. [przypis edytorski]

¹³³Saint-Hilaire, *Étienne Geoffroy* (1772–1844) — francuski zoolog, anatom porównawczy, prekursor myśli ewolucyjnej. W 1794 roku rozpoczął korespondencję z Georges’em Cuvierem, z którym wspólnie opublikował kilka dzieł. W 1830 popadł w ostry spór z Cuvierem i przez dwa miesiące prowadził z nim debatę naukową przed francuską Akademią Nauk na temat planów budowy i stałości gatunków, podkreślając, że wszystkie zwierzęta są uformowane z takich samych zasadniczo elementów, według wspólnego, jednolitego planu, zaś gatunki mogą ulegać zmianom, podczas gdy Cuvier twierdził, że budowa różnych grup organizmów jest różna, a gatunki niezienne. Dyskusja była szeroko komentowana przez europejskich naukowców. [przypis edytorski]

¹³⁴czczony w Niemczech panteista — Johann Wolfgang Goethe (1749–1832), wybitny poeta i pisarz niemiecki. [przypis edytorski]

¹³⁵saintsimoniści — zwolennicy doktryny filoz.-społecznej Henriego de Saint-Simon (1760–1825), socjalizmu utopijnego. [przypis edytorski]

¹³⁶Saint-Just, *Louis de* (1767–1794) — jeden z przywódców Rewolucji Francuskiej, jakobin, zwolennik Robespierre’a, zasłynął z rewolucyjnego zaangażowania i bezwzględności. [przypis edytorski]

¹³⁷Danton, *George* (1759–1794) — mówca i jeden z największych mężów stanu w czasie Rewolucji Francuskiej; oskarżony o działalność kontrrewolucyjną, został stracony. [przypis edytorski]

¹³⁸Weber, *Karol Maria von* (1786–1826) — niemiecki kompozytor, twórca wielu oper i koncertów fortepianowych. [przypis edytorski]

¹³⁹Béranger, *Pierre Jean de* (1780–1857) — francuski poeta, autor piosenek. [przypis edytorski]

¹⁴⁰diogeniczny — taki jak u Diogenesa z Synopy (413–323 p.n.e.), greckiego filozofa znanego z pogardy wobec dóbr materialnych i wygod. [przypis edytorski]

¹⁴¹padł jako prosty żołnierz przy kościele Saint-Merri — podczas powstania republikanów w Paryżu, 5–6 czerwca 1832; przy kościele i klasztorze Saint Merri znajdowała się największa barykada i ostatni bastion powstańców, broniący przez kilkaset osób. [przypis edytorski]

¹⁴²lyk (daw.) — pogard.: mieszczanin. [przypis edytorski]

¹⁴³Konwent — Konwent Narodowy, rewolucyjne przedstawicielstwo ludu francuskiego po obaleniu monarchii w latach 1792–1795. [przypis edytorski]

wśród najsprzeczniejszych idei i doktryn. Daniel d'Arthez, szlachcic pikardzki, oświadczał się za monarchią z równym przekonaniem, z jakim Michał Chrestien głosił swój europejski federalizm. Fulgencjusz Ridal drwił z filozoficznych doktryn Leona Giraud, który znowuż przepowiadał d'Arthezowi koniec chrystianizmu i rodziny. Michał Chrestien, który wierzył w Chrystusa, boskiego prawodawcę równości, bronił nieśmiertelności duszy przeciw skalpelowi Bianchona, umysłu na wskroś analitycznego. Wszyscy dyskutowali, nie dysputując. Nie znali próżności, sami dla siebie stanowiąc audytorium. Dzielili się wynikami prac i wspierali się wzajem radą z cudowną dobrą wiarą młodości. Jeśli chodziło o rzecz poważną, oponent porzucał swoje mniemania, aby wejść w idee przyjaciela, tym gorliwszy w pomocy, ile że był bezstronny w sprawie lub w dziele wychodzących poza obręb jego myśli. Prawie wszyscy odznaczali się słodyczą i tolerancją: dwa przymioty świadczące o ich wyższości. Zawieść, ten okropny przywilej zawiedzionych nadziei, poronionych talentów, chybionych sukcesów, zranionych pretensji, była im obca. Kroczyli zresztą rozmaitymi drogami. Toteż każdy, kogo, jak Lucjana, dopuszczono do towarzystwa, czuł się w nim dobrze. Prawdziwy talent jest zawsze naiwny i dobroduszny, otwarty, nienadęty; dowcip jest zawsze u niego igraszką myśli, nie godzi nigdy w miłość własną. Z chwilą gdy przybysz ocknął się z pierwszego wzruszenia zbudzonego uczuciem szacunku, doświadczał nieskończonej słodyczy w towarzystwie tych rzadkich młodzieńców. Poufalskość nie wykluczała poczucia swej wartości; każdy żywił głęboki szacunek dla drugiego; wreszcie, ponieważ każdy był kolejno dobroczyńcą lub obdarowanym, przyjmowali wzajemną pomoc bez wzdragania. Rozmowy, pełne uroku a nienujące, ogarniały najróżnorodniejsze przedmioty. Lekkie jak strzała słowa wnikały w głębię, mimo iż padały chybką. Materialna nędza i bogactwa intelektu tworzyły osobliwy kontrast. Tam, jeżeli ktoś myślał o realnościach życia, to chyba po to, aby w nich znaleźć przedmiot do przyjacielskich żarcików. Jednego dnia, kiedy zimno przedwcześnie dało się uczuć, pięciu przyjaciół d'Artheza przybyło z tą samą myślą: wszyscy przynieśli pod płaszczem drwa, jak w owych sielskich uctach, gdzie każdy z zaproszonych ma dostarczyć jedno danie i wszyscy przynoszą pasztet. Wszyscy obdarzeni byli ową pięknoscią moralną, która odbija się w formie zewnętrznej i która zarówno jak praca i czuwanie złości młode twarze jakimś boskim odbłaskiem. Rysy mieli nieco zmęczone, ale oczyszczone i zharmonizowane skromnością życia i ogniem myśli. Czoła ich odznaczały się poetyczną wyrazistością. Żywe i błyszczące oczy świadczyły o życiu bez zmyy. Kiedy im doskwierała nędza, umieli ją znosić tak wesoło, dzielić ją z takim zapalem, że nie mąciła ona bynajmniej ich pogody. Pogoda jaśniała też na twarzy tych młodych ludzi, wolnych jeszcze od ciężkich błędów. Nie splamili się żadnym z owych kompromisów, do jakich nagina bunt przeciw ubóstwu, chęć dojścia do celu bez wyboru środków i łatwa pobłażliwość, z jaką ludzie pióra przyjmują albo puszczają w niepamięć zdrady. To, co czyni przyjaźń nierozzerwalną i zdwaja jej urok, to uczucie, którego brak jest miłości: ufność. Byli pewni siebie wzajem: wróg jednego stawał się wrogiem wszystkich, byliby podeptali własne najpilniejsze interesy dla świętej solidarności serc. Niezdolni do podłości, mogli śmiało spojrzeć w oczy wszelkiemu oskarżeniu i bronić się wzajem z zupełną pewnością. Jednakże szlachetni sercem i silni uczuciem, mogli w sferze wiedzy i inteligencji wszystko pomyśleć i wszystko sobie powiedzieć; stąd niewinność ich zachowania i wesołość rozmów. Umysł ich, pewien wzajemnego porozumienia, igrał swobodnie; toteż nie robili z sobą ceremonii, zwierzali sobie troski i radości, myśleli i cierpieli pełnym sercem. Urocze dowody delikatności, które czynią z bajki o *Dwóch przyjaciółach*¹⁴⁴ skarb dla wielkich dusz, były u nich czymś codziennym. Trudność ich w dopuszczeniu nowego przybysza była zrozumiała: zbyt byli świadomi własnej wielkości i szczęścia, aby je mącić nowym i nieznanym elementem.

Ta federacja uczuć i interesów trwała bez wstrząśnięć i zawodów dwadzieścia lat. Śmierć jedynie, zabierając im Ludwika Lambert, Meyraux i Michała Chrestien, mogła uszczuplić tę szlachetną plejadę. Kiedy w roku 1832 ten ostatni padł, Horacy Bianchon, Daniel d'Arthez, Leon Giraud, Józef Bridau, Fulgencjusz Ridal poszli, mimo niebezpieczeństw tego kroku, zabrać jego ciało z Saint-Merri, aby mu oddać ostatnią posługę wobec rozpalonego oblicza polityki. Odprowadzili drogę szczątki w nocy na Père-

Przyjaźń, Miłość

Przyjaźń

¹⁴⁴*Dwaj przyjaciele* — bajka La Fontaine'a (ks. VIII, bajka 11). [przypis edytorski]

-Lachaise¹⁴⁵. Horacy Bianchon usunął wszystkie trudności, nie cofnął się przed żadnym krokiem; uprosił ministrów, wyznając swą dawną przyjaźń dla poległego federalisty¹⁴⁶. Wzruszająca ta scena wyrwała się w pamięci nielicznych przyjaciół, którzy towarzyszyli pięciu sławnym ludziom. Przechadzając się po tym wykwintnym cmentarzu, ujrzenie nabyty na wieczność kawał ziemi, gdzie wznosi się grób z darni i czarny drewniany krzyż. Na krzyżu wyrte są czerwonymi literami dwa słowa: Michał Chrestien. Jest to jedyny pomnik w swoim stylu. Przyjaciele sądzili, iż temu pełnemu prostoty człowiekowi trzeba oddać hołd z tą samą prostotą.

To zimne poddasze urzeczywistniało tedy najpiękniejsze marzenia serca. Tam bracia, wszyscy jednakowo tędzy w rozmaitych gałęziach wiedzy, oświecali się wzajem z dobrą wiarą, wyznając sobie wszystko, nawet swoje złe myśli. Wszyscy posiadali olbrzymie wykształcenie i wszyscy doświadczeni byli w próbach nędzy. Raz dopuszczony między te wyborowe istoty i przyjęty za swego, Lucjan wcielał tam poezję i piękność. Przeczytał swoje sonety, które wzbudziły zachwyt. Dopraszano się o sonet, jak on prosił Michała Chrestiena o piosenkę. W pustyni Paryża Lucjan znalazł tedy oazę przy ulicy des Quatre-Vents.

Z początkiem października Lucjan, obróciwszy resztę pieniędzy na zakup drzewa, został bez środków w pełni najzarliwszej pracy, mianowicie przetapiania swego dzieła. Daniel d'Arthez palił torfem i znosił heroicznie nędzę; nie skarżył się, był systematyczny jak stara panna i podobny do skąpca swą metodycznością. Ten hart podsycił wytrwałość Lucjana, który, niedawno należąc do grona, miał nieprzemyślany wstręt do mówienia o swojej nędzy. Jednego dnia zapuścił się na ulicę du Coq, aby sprzedać *Gwardzistę Karola IX* staremu Doguereau, ale go nie zastał. Lucjan nie wiedział, ile w wielkich duszach mieszka pobłażliwość. Każdy z jego przyjaciół pojmował słabości właściwe poetom, odpływy po napięciach duszy zaognionej kontemplacją natury, której odtwarzanie jest ich posłannictwem. Ci ludzie, tak silni wobec własnych niedoli, byli tkliwi dla nieszczęść Lucjana. Domyślili się jego braków. Słodkie tedy wieczory gawęd, głębokich roztrząsań, poezji, zwierzeń, lotów pełnymi skrzydłami w sfery inteligencji, w przyszłość narodów, w historię Biesiada ozdobiła rysem, który dowodzi, jak mało Lucjan zrozumiał nowych przyjaciół.

— Lucjanie, mój drogi — rzekł Daniel — nie przyszedłeś wczoraj do Flicoteaux, wiemy przyczynę.

Lucjan nie mógł wstrzymać łez, które spłynęły mu po licach.

— Nie miałeś zaufania do nas — rzekł Michał Chrestien — a przecież w dziesięciu potrafimy zapewne czegoś dokonać...

— Wszyscy, jak nas tu widzisz — rzekł Bianchon — znaleźliśmy jakiś dodatkowy zarobek: ja, z polecenia Despleina, pielęgnowałem bogatego mieszcza; d'Arthez machnął artykuł dla „Przeglądu Encyklopedycznego”¹⁴⁷; Chrestien godził się już zaśpiewać publicznie parę piosenek, ale znalazł zamówienie na broszurę dla jegomościa, który pragnie wejść w politykę: uciął mu Makiawela za całe sześćset franków! Leon Giraud pożyczył pięćdziesiąt franków u księgarza, Józef posprzedawał jakieś kicze, Fulgencjusz zaś wystawił w niedzielę sztukę i miał nabitą salę.

— Oto dwieście franków — rzekł Daniel — weź je i niech się to już nie powtórzy.

— Patrzajcie, on się nam na szyję rzuca, jakbyśmy zrobili coś nadzwyczajnego! — rzekł Chrestien.

Aby dać pojęcie o rozkoszach, jakich doznawał Lucjan wśród tej żywej encyklopedii anielskich duchów, tych młodzieńców, z których każdy nosił znamię oryginalności płynącej z uprawianej przezeń gałęzi wiedzy, wystarczy przytoczyć odpowiedzi, jakie otrzymał nazajutrz na list napisany do rodziny, arcydzieło tkliwości, zapału, przeraźliwy krzyk, jaki dobyła zeń rozpacz.

Dawid Séchard do Lucjana

Drogi Lucjanie, znajdziesz w tym liście weksel trzymiesięczny, na Twoje zlecenie, na sumę dwustu franków. Możesz go zrealizować przez pana

¹⁴⁵ *Père-Lachaise* — największy i najslawniejszy cmentarz paryski. [przypis edytorski]

¹⁴⁶ *federalista* — zwolennik federalizmu, tu: ustroju społecznego będącego związkiem samodzielných wspólnot, bez centralnego rządu. [przypis edytorski]

¹⁴⁷ „*Przegląd Encyklopedyczny*” — „*Revue encyclopédique*”, francuski miesięcznik poświęcony nauce, literaturze i sztuce, wydawany w l. 1819–1833. [przypis edytorski]

Métivier, handlarza papieru, naszego dostawcy w Paryżu, ul. Serpente. Mój dobry Lucjanie, nie mamy absolutnie nic. Ewa wzięła się do prowadzenia drukarni i wywiązuje się z tego z poświęceniem, cierpliwością, energią, które każą mi błogosławić niebo, iż dało mi za żonę takiego anioła. Ona sama uznała niemożność udzielenia Ci najłżejszej pomocy. Ale, drogi przyjacielu, sądzę, że jesteś na tak pięknej drodze, w otoczeniu serc tak wielkich i szlachetnych, że nie możesz chybić swego losu, wsparty pomocą boskiej niemal inteligencji owych ludzi, których Twój drogi list dał nam poznać. Bez wiedzy Ewy podpisałem przeto ten oblig¹⁴⁸; znajdę jakiś sposób, aby go wyrównać. Nie schodź ze swej drogi: jest twarda, ale będzie chlubna. Wolałbym przecierpieć tysiąc nieszczęść, niż żyć z myślą, że wpadłeś w jakieś bagno Paryża: widziałem ich tyle!... Unikaj, jak dotąd, podejrzanych miejsc, złych ludzi, wartogłów¹⁴⁹ i pewnego typu literatów, których w czasie pobytu w Paryżu nauczyłem się cenić wedle prawdziwej wartości. Słowem, bądź godnym współzawodnikiem niebiańskich duchów, które dałeś mi pokochać. Postępowanie Twoje znajdzie niebawem nagrodę. Bądź zdrow, ukochany bracie; napełniłeś radością me serce; nie spodziewałem się po Tobie tyle męstwa.

Dawid

Ewa Séchard do Lucjana

Mój drogi, Twój list wycisnął nam łzy. Niech te szlachetne serca, ku którym dobry anioł Cię zawiódł, wiedzą o tym: matka oraz biedna kobieta modlą się za nich rano i wieczór do Boga; a jeśli najzarliwsze modły docho-
dzą Jego tronu, uzyskają nieco łaski dla was wszystkich. Tak, bracie, imiona ich wyryte są w moim sercu. Och, ujrzę ich kiedyś. Pójdę, choćbym miała wędrować pieszo, podziękować im za przyjaźń dla Ciebie, rozlała bowiem niby balsam na moje żywe rany. Tu, drogi bracie, pracujemy jak wyrob-
nicy. Mój mąż, ten nieznany wielki człowiek, którego z każdym dniem więcej kocham, odkrywając coraz nowe bogactwa w jego sercu, zaniedbuje drukarnię i zgaduję, czemu: nędza Twoja, nasza, matki — zabijają go. Nasz ubóstwiany Dawid jest niby Prometeusz pożerany przez sępa zgryzoty, żółtej zgryzoty o ostrym dziobie. O sobie ten szlachetny człowiek nie myśli, wierzy w zdobycie fortuny. Spędza całe dnie na doświadczeniach z dziedziny wyrobu papieru; prosił mnie, abym się zajęła sprawami, w których pomaga mi o tyle, o ile pozwalają mu jego prace. Niestety! Jestem w odmiennym stanie. To wydarzenie, które byłoby mnie przepełniło radością, zasmuca mnie w położeniu, w jakim jesteśmy. Biedna matka odmłodziła jakby i znalazła siłę, aby wrócić do męczącego zawodu pielęgniarstwa. Gdyby nie troski pieniężne, byłibyśmy szczęśliwi. Stary Séchard nie chce dać ani szeląga; Dawid próbował pożyczyć od niego parę talarów, aby Ci dopomóc, list Twój doprowadził go do rozpacz. „Znam Lucjana — mówił — straci głowę i narobi głupstw”. Połajałam go. „Mój brat miałby zboczyć w czymkolwiek z zacnej drogi!... — odparłam. — Lucjan wie, że umarłabym z bólu”. Obie z matką, bez wiedzy Dawida, zastawiłyśmy parę drobiazgów; matka wykupi je, skoro uszkłada trochę. Zdołałyśmy tą drogą uciąć jakieś sto franków, które przesyłam. Nie miej mi za złe, drogi, że nie odpowiedziałam na pierwszy list. Byliśmy w położeniu pochłaniającym dnie i noc, pracowałam jak mężczyzna. Doprawdy nie przypuszczałam w sobie tyle siły. Pani de Bargeton jest kobietą bez duszy i bez serca; nawet nie kochając Cię już, samej sobie była winna, aby się Tobą opiekować i pomagać Ci. Wyrwała Cię z naszych

¹⁴⁸oblig (daw.) — zobowiązanie, zwłaszcza na piśmie. [przypis edytorski]

¹⁴⁹wartogłów (daw.) — narwaniec. [przypis edytorski]

objąć, aby Cię rzucić w straszne morze paryskie, gdzie trzeba istnego cudu, aby spotkać szczerą przyjaźń w tym odmęcie ludzi i spraw! Nie ma jej co żałować. Pragnęłabym przy Tobie kobiety oddanej, drugiej mnie, ale teraz, kiedy wiem, że masz przyjaciół, którzy zastępują Ci nasze uczucia, jestem spokojna. Rozwiń skrzydła, mój piękny, ukochany geniuszu! Będziesz naszą chlubą, jak już jesteś naszą miłością.

Ewa

Moje drogie dziecko, po tym, co Ci pisze siostra, mogę Cię tylko pobłogosławić i zapewnić, że moje modlitwy i myśli są, niestety! wszystkie pełne Ciebie, z uszczerbkiem tych, których mam przy boku; są bowiem serca, w których nieobecni nie tracą, lecz zyskują, i takim jest serce Twojej

Matki

W ten sposób w dwa dni później Lucjan mógł zwrócić przyjaciołom pożyczkę ofiarowaną z takim wdziękiem. Nigdy może życie nie zdało mu się piękniejsze, ale odruch jego ambicji nie uszedł głębokiego spojrzenia przyjaciół oraz ich wrażliwości.

— Można by myśleć, że lękasz się zawdzięczać nam cośkolwiek — wykrzyknął Fulgencjusz.

— Och, radość jego jest według mnie bardzo znacząca — rzekł Michał Chrestien — i potwierdza moje spostrzeżenie: Lucjan jest próżny.

— Jest poetą — rzekł d'Arthez.

— Czy bierzecie mi za złe uczucie tak naturalne w tej chwili?

— Trzeba mu liczyć za dobre, że go nam nie ukrywał — rzekł Leon Giraud — jeszcze jest szczerzy; ale obawiam się, aby w przyszłości nie zaczął się nas lękać.

— Czemu? — spytał Lucjan.

— Czytamy w twoim sercu — odparł Józef Bridau.

— Jest w tobie — rzekł Michał Chrestien — pierwiastek diaboliczny, którym usprawiedliwiasz we własnych oczach rzeczy najsprzeczniesze z naszymi zasadami: miast być sofistą¹⁵⁰ myśli, będziesz sofistą uczynków.

— Och, boję się o to — rzekł d'Arthez. — Lucjanie, będziesz staczał w duchu wzniosłe dyskusje, w których będziesz wielki, a których owocem będą uczynki naganne... Nie będziesz nigdy w zgodzie z sobą.

— Na czym opieracie swój akt oskarżenia? — spytał Lucjan.

— Próżność twoja, drogi poeto, jest tak wielka, że barwisz nią nawet przyjaźń! — wykrzyknął Fulgencjusz. — Wszelka tego rodzaju próżność świadczy o straszliwym egoizmie, egoizm zaś jest trucizną przyjaźni.

— Och Boże! — wykrzyknął Lucjan. — Więc wy nie wiecie, jak bardzo was kocham?

— Gdybyś nas kochał, jak my się kochamy, czy byłbyś z takim pośpiechem i emfazą oddawał nam to, cośmy ofiarowali ci z taką przyjemnością?

— Tu nikt nic drugiemu nie pożycza, ale daje — rzekł szorstko Józef Bridau.

— Nie miej nas za twardych, drogie dziecko — rzekł Michał Chrestien — my jesteśmy tylko przewidujący. Lękamy się, iż któregoś dnia przełożysz może słodczy drobnej zemsty nad uciechy czystej przyjaźni. Czytaj *Tassa*¹⁵¹ Goethego, największe dzieło tego szczytnego geniusza, a ujrzysz tam, że poeta lubi błyszczące materie, uczty, triumfy, blask: otóż bądź Tassem bez jego szaleństwa. Świat i jego uciechy będą cię wołać? Zostań tu... Przenieś w krainę myśli wszystko, czego żądasz od swojej próżności. A skoro już musisz

¹⁵⁰*sofista* (pot.) — filozof uczący fałszywej a skutecznej argumentacji bądź osoba stosująca ją. [przypis edytorski]

¹⁵¹*Torquato Tasso* — sztuka Goethego z 1870, opowiadająca o XVI-wiecznym włoskim poecie, który podziwiany i wychwalany, stopniowo osuwa się w szaleństwo. [przypis edytorski]

splacić dług szaleństwu, niech cnota będzie w twoich uczynkach, a występki w myśli, zamiast byś, jak mówi d'Arthez, dobrze myślał, a źle czynił.

Lucjan spuścił głowę: przyjaciele mieli słuszość.

— Wyznaję, że nie jestem tak silny jak wy — rzekł, rzucając im uroczne spojrzenie. — Nie mam ramion i barków dość krzepkich, aby udźwignąć Paryż, walczyć jak bohater. Natura dała nam odmienne temperamenty i zdolności, a wy znacie lepiej niż ktokolwiek kulisy występków i cnót. Jestem już znużony, wyznaję.

— Będziemy cię podtrzymywać — rzekł d'Arthez — to właśnie rola wiernej przyjaźni.

— Pomoc, jaką otrzymałem, jest znikoma, jesteście wszyscy w biedzie; niebawem potrzeba znowu mnie przycisnąć. Chrestien, wynajmujący przygodnie swe pióro, nie ma wpływu w księgarstwie. Bianchon jest poza kręgiem tego rodzaju spraw. D'Arthez zna jedynie firmy naukowe i specjalne, które nie mają nic wspólnego z wydawcami nowości; Horacy, Fulgencjusz Ridal i Bridau pracują w sferze idei będących o sto mil od wszelkiego handlu. Muszę się zdobyć na decyzję.

— Trzymaj się naszej: cierpieć! — rzekł Bianchon. — Cierpieć mężnie i ufać pracy!

— Ale to, co dla was jest tylko cierpieniem, dla mnie jest śmiercią — rzekł żywo Lucjan.

— Nim kur po trzykroć zapieje — rzekł z uśmiechem Leon Giraud — ten człowiek zdradzi pracę dla lenistwa i grzechów Paryża.

— Dokąd praca was zaprowadziła? — rzekł Lucjan, śmiejąc się.

— Kiedy się jedzie z Paryża do Włoch, nie spotyka się Rzymu w pół drogi — rzekł Józef Bridau. — Dla ciebie groszek zielony powinien rosnąć już przyrządzony na masło.

— Ten cud dzieje się tylko dla pierwotnych synów parów¹⁵² Francji — rzekł Michał Chrestien. — Ale my, biedacy, siejemy groszek sami, podlewamy go i lepiej nam smakuje.

Rozmowa zesłała na żartobliwe tory; zmieniono przedmiot. Te przenikliwe umysły, te delikatne serca starały się zatrzeć małą sprzeczkę w pamięci Lucjana, który od tego czasu zrozumiał, jak trudno ich oszukać. Stopniowo ogarniała go rozpacz, którą starannie ukrywał przyjaciółom, uważając ich za nieubłaganych mentorów. Natura południowca, przebiegająca tak łatwo całą klawiaturę uczuć, rodziła w nim najsprzeczniesze postanowienia.

Kilkakrotnie oświadczał zamiar rzucenia się w dziennikarstwo; zawsze przyjaciele odpowiadali:

— Niechże cię Bóg broni!

— Tam byłby grób pięknego, słodkiego Lucjana, którego znamy i kochamy — rzekł d'Arthez.

— Nie oparłbyś się ustawicznemu kontrastowi pracy i zabawy, który jest treścią życia dziennikarzy; otóż umieć się oprzeć — to podstawa cnoty. Byłbyś tak oczarowany władzą, prawem życia i śmierci nad dziełami myśli, że stałbyś się dziennikarzem w dwa miesiące. Być dziennikarzem — to dzierżyć władzę prokonsula¹⁵³ w republice pióra. Kto może wszystko powiedzieć, dochodzi do tego, że może wszystko zrobić. To Napoleon wyrzekł to zdanie i jest ono dość zrozumiałe.

— Czyż nie będziecie przy mnie? — rzekł Lucjan.

— Nie będziemy! — wykrzyknął Fulgencjusz. — Raz będąc dziennikarzem, tak samo nie będziesz myślał o nas, jak tancerka opery, świetna, ubóstwiana, nie myśli w wybitej jedwabiem karcie o swojej wiosce, krowach i sabotach. Aż nadto posiadasz przymiotów dziennikarza: błyskotliwość i zwinność myśli. Nie zdołasz sobie odmówić dowcipnego słówka, choćby miało wycisnąć łzy z oczu przyjaciela. Spotykam dziennikarzy za kulisami: wstręt budzą we mnie. Dziennikarstwo to piekło, otchłań niesprawiedliwości, kłamstwa, zdrady, której nie można przejść i z której nie można wyjść czystym, chyba mając za przewodnika, jak Dante, boski laur Wergilego¹⁵⁴.

¹⁵²par — członek wyższej izby parlamentu we Francji w latach 1814–1848. [przypis edytorski]

¹⁵³prokonsul — w starożytnym Rzymie tytuł nadawany od I w. p.n.e. konsulom po zakończeniu kadencji, równoznaczny z objęciem funkcji zarządu przydzielonej prowincji, z szerokimi uprawnieniami administracyjnymi, wojskowymi i sądowymi. [przypis edytorski]

¹⁵⁴mając za przewodnika, jak Dante, boski laur Wergilego — w *Boskiej komedii* Dantego jego przewodnikiem po piekle i czyśćcu jest rzymski poeta Wergiliusz. [przypis edytorski]

Im więcej przyjaciele bronili Lucjanowi tej drogi, tym bardziej chęć poznania niebezpieczeństwa wabiła go; już zaczynał zadawać sobie pytanie: czy nie byłoby śmieszne dać się jeszcze raz zagarnąć nędzy, nie spróbowaawszy się jej bronić? Zrażony niepowodzeniem z pierwszym romansem, Lucjan niewiele miał chęci brać się do drugiego. Zresztą, z czegoż by żył? Wyczerpał przez ten miesiąc prywatni¹⁵⁵ zapas cierpliwości. Czyż nie mógłby robić uczciwie i szlachetnie tego, co dziennikarze robią bez sumienia i godności? Przyjaciele obrażali go nieufnością, chciał im dowieść swojej siły ducha. Może zdoła im dopomóc kiedyś, stanie się heroldem ich sławy!

— Zresztą, cóż to za przyjaźń, która cofa się przed solidarnością? — spytał jednego dnia Michała Chrestien, którego odprowadził do domu w towarzystwie Leona Giraud.

— Nie cofamy się przed niczym — odparł Michał Chrestien. — Gdybyś miał nieść śmierć kochance, pomógłbym ci ukryć zbrodnię i mógłbym cię jeszcze szanować; ale gdybyś został szpiegiem, unikałbym cię ze wstrętem, gdyż stałbyś się podły i bezecny świadomie. Oto dziennikarstwo ujęte w dwóch słowach. Przyjaźń wybaczają błąd, odruch namiętności; ale musi być nieubłagana dla rozmyślnego handlu duszą, mózgiem i myślą.

— Czy nie mógłbym zostać dziennikarzem, aby sprzedawać zbiorek poezji i powieści, a później opuścić dziennik?

— Makiawel postąpiłby w ten sposób, ale nie Lucjan de Rubempré — odparł Leon Giraud.

— Dobrze więc — wykrzyknął Lucjan — dowiodę wam, że umiem być Makiawelem.

— Ha — wykrzyknął Michał, ściskając rękę Leona — zgubiłeś go tą uwagą! Lucjanie — rzekł — masz trzysta franków, to znaczy życie bez troski przez trzy miesiące; pracuj, napisz drugi romans, d'Arthez i Fulgencjusz pomogą ci stworzyć plan; pogłębisz się, będziesz powieściopisarzem. Ja zapuszczę się w te lupanary¹⁵⁶ myśli, zostanę dziennikarzem na trzy miesiące, sprzedam twoje książki jakiemuś księgarzowi, napadając na jego wydawnictwa, napiszę ci recenzję, zdobędę je dla ciebie; zorganizujemy triumf, będziesz wielkim człowiekiem, a zostaniesz naszym Lucjanem.

— Nisko mnie cenisz, sądząc, iż zginę tam, skąd ty wyjdiesz cało — rzekł poeta.

— Przebac mu, dobry Boże, to dziecko! — wykrzyknął Michał.

Rozszerzywszy swój horyzont dzięki wieczorom u d'Artheza, Lucjan wziął się do studiowania konceptów i artykułów na szpaltach małych dzienniczków. Pewien, że jest co najmniej równy najzdolniejszym w tym zakresie, próbował się sekretnie w tej gimnastyce myśli. Wreszcie jednego ranka wyszedł z triumfalną myślą poproszenia o służbę u jakiego pułkownika tych lekkich szwadronów prasy. Włożył najwykwintniejsze szaty i minął most z nadzieją, iż autorzy, dziennikarze, pisarze, słowem: przyszli koledzy, okazą więcej czułości i bezinteresowności niż dwa typy księgarzy, o których rozbiły się jego złudzenia. Spotka się zapewne z sympatią, z braterstwem, tak jak je znalazł przy ulicy des Quatre-Vents. Wydany na pastwę wzruszeń i przeczuć, to zwalczanych, to zwycięskich, tak pełnych uroku dla poety, przybył na ulicę Saint-Fiacre, opodal bulwaru Montmartre, pod dom, gdzie mieścił się lokal dzienniczka. Serce biło mu niby młodemu człowiekowi wchodzącemu w bramę podejrzanego domu. Mimo to wszedł do biura położonego na półpiętrze. W pierwszym pokoju, przedzielonym na dwie części przepierzeniem skleconym częściowo z kraty, częściowo z desek, a sięgającym aż do sufitu, zastał inwalidę, który jedną ręką przytrzymywał na głowie pakę papieru, w zębach zaś trzymał książeczkę kontrolną urzędu stemplowego. Ten biedny człowiek, o żółtawej, usianej czerwonymi pryszczami twarzy, która mu zyskała epitet Pomidora, wskazał Lucjanowi cerbera¹⁵⁷ siedzącego za kratą. Był to stary oficer, z wstążeczką Legii¹⁵⁸, o krzaczastych, siwiejących wąsach, w czarnej jedwabnej czapeczce na głowie, zatulony w obszerny niebieski surdut niby żółw w skorupę.

— Od którego dnia życzy sobie szanowny pan abonament? — spytał ów oficer Cesarstwa.

— Nie przychodzę po abonament — odparł Lucjan.

¹⁵⁵prywatni — ograniczenie, obywanie się bez czegoś. [przypis edytorski]

¹⁵⁶lupanar (daw.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

¹⁵⁷Cerber (mit. gr.) — trzygłowy pies, pilnujący wejścia do krainy zmarłych; tu przen.: groźny strażnik. [przypis edytorski]

¹⁵⁸Legia Honorowa — najwyższy order francuski, ustanowiony przez Napoleona I w 1802 r. [przypis edytorski]

W tej chwili poeta spostrzegł nad drzwiami, naprzeciw wejścia, kartę, na której były te słowa:

BIURA REDAKCJI

poniżej zaś:

WSTĘP PUBLICZNOŚCI WZBRONIONY

— Jakaś reklamacja? — podjął napoleończyk. — Och, tak; byliśmy ciężcy dla panny Mariety. Co pan chce? Ja sam nie wiem czemu. Ale jeżeli panu chodzi o satysfakcję, jestem gotów — dodał, spoglądając na florety i pistolety, nowoczesny ryszunek rycerski, dekoracyjnie umieszczony na ścianie.

— Ani to, szanowny panie. Pragnąłbym mówić z naczelnym redaktorem.

— Nie ma tu nigdy nikogo przed czwartą.

— Słuchaj no, mój stary Giroudeau, wypada mi jedenaście kolumn, które po pięć za sztukę czynią pięćdziesiąt pięć franków; dostałem czterdzieści; winien mi jesteś jeszcze piętnaście franków, jak ci mówiłem...

Słowa te wyszły z małej, lisiej twarzy, bezbarwnej jak źle ugotowane białko. Jasnoniebieskie oczki iskrzyły się groźną złośliwością i sprytem. Wszystko to należało do szczupłego młodego człowieka, ukrytego poza korpulentną postacią ekswojskowego. Głos ten zmroził Lucjana, miał coś z miauczenia kota i z astmatycznego dławienia się hieny.

— Tak, młody milicjancie — odparł pensjonowany oficer — ale ty liczysz tytuły i „białe”¹⁵⁹: otóż mam rozkaz Finota zsumować ilość wierszy i podzielić je przez ilość przepisaną dla jednej kolumny. Po dokonaniu na twoich płodach tej bolesnej operacji okazało się o trzy kolumny mniej.

— Nie płaci szpeku¹⁶⁰, opryszek! Ale liczy go współnikowi w koncie wierszowego. Pójdę porozumieć się ze Stefanem Lousteau, z Felicjanem...

— Cóż robić! Rozkaz to rozkaz, mój mały — rzekł oficer. — Jak to! O piętnaście franków podnosisz wrzask przeciw swej żywicielce, ty, który kropisz artykuły tak łatwo, jak ja palę cygaro! Ech, zapłacisz jedną wazkę ponczu mniej swoim kompanom albo wygrasz jedną partię bilardu więcej i już rzecz wyrównana!

— Finot robi oszczędności, które wypadną mu bardzo drogo — odparł dziennikarz, wstając i opuszczając biuro.

— Nie powiedziałby kto, że to sam Wolter i Rousseau w jednej osobie? — rzekł do siebie kasjer, spoglądając na poetę z prowincji.

— Wróć około czwartej, proszę pana — rzekł Lucjan.

Podczas tej sprzeczki Lucjan ujrzał na ścianach portrety Beniamina Constanta¹⁶¹, generała Foy¹⁶², siedemnastu słynnych mówców liberalnych, wiszące między antyrządowymi karykaturami. Patrzał zwłaszcza na drzwi sanktuarium: tam musiał się rodzić dowcipny dzienniczek, który bawił go co dzień i który cieszył się przywilejem ośmieszania królów, najpoważniejszych wydarzeń, słowem, zaczepiania wszystkiego zręcznym konceptem. Lucjan poszedł wałęsać się po bulwarach. Przyjemność ta, zupełnie dlań nowa, pochłonęła go tak, iż ujrzał na zegarze czwartą, nim mu na myśl przyszło, że jeszcze nie śniadał. Wrócił szybko na ulicę Saint-Fiacre, wszedł na schody, otworzył, nie znalazł na dawnym miejscu starego żołnierza; inwalida natomiast siedział na pace stemplowanego papieru¹⁶³, zajadając kromkę chleba i strzegąc posterunku z miną pełną rezygnacji,

¹⁵⁹*białe* (żarg. drukarski) — pusta, niepokryta drukiem część wiersza. [przypis edytorski]

¹⁶⁰*szpek* (żarg. drukarski, z niem. *Speck*: słonina) — pełne wynagrodzenie płacone za skład niepełnego wiersza, tylko częściowo wypełniającego kolumnę druku. [przypis edytorski]

¹⁶¹*Constant, Benjamin* (1767–1830) — polityk i pisarz francuski, autor m.in. powieści *Adolf* i licznych dzieł z zakresu filozofii politycznej. [przypis edytorski]

¹⁶²*Foy, Maximilien Sébastien* (1775–1825) — francuski dowódca i polityk; generał napoleoński, walczył w Portugalii, w Hiszpanii i pod Waterloo; w 1819 wybrany do parlamentu, odznaczył się jako mówca i stał się liderem liberalnej opozycji. [przypis edytorski]

¹⁶³*stemplowany papier* a. *stemplowy papier* — czysty papier opatrzoney stemplem rządowym, sprzedawany przez organ państwowy. Dawniej używany do pobierania podatku od sporządzanych umów i zobowiązań prywatnych, dokumentów sądowych, podań do władz itp. Niekiedy wymagano go także na drukowanych egzemplarzach kart do gry, kalendarzy lub książek. [przypis edytorski]

podwładny dziennikowi jak niegdyś pańszczyźnie, tak samo nie rozumiejąc jego organizmu, jak niegdyś nie rozumiał nagłych obrotów nakazanych przez cesarza. Lucjan powziął szybką myśl oszukania tego groźnego funkcjonariusza: przeszedł, nie zdejmując kapelusza, i otworzył, jakby u siebie w domu, drzwi do sanktuarium. Chciwe jego oczy ujrzały okrągły stół pokryty zielonym suknem i sześć giętych wyplatanych krzeseł z wiśniowego drzewa, ni zdradzających śladów zużycia. Malowana podłoga, mimo że niefroterowana, była czysta, co dowodziło, iż frekwencja publiczności musiała być dość skąpa. Na kominku lustro, pospolity zakurzony zegar, dwa świeczniki, w które jakaś ręka brutalnie wetknęła świeczki, wreszcie porozrzucane karty wizytowe. Na stole stare dzienniki pomięte dokoła ozdobionego zużytymi piórami kałamarza, w którym błyszczał wyschnięty atrament, podobny do laki. Na świszkach ujrzał jakieś artykuły nagryzmołone nieczytelnym, prawie hieroglificznym pismem, przedarte u góry przez zecerów, którym ten znak służy do poznawania skryptów już złożonych. Następnie tu i ówdzie na szarych skrawkach mógł podziwiać karykatury, narysowane dość sprytnie przez ludzi, którzy bez wątpienia starali się zabić czas, zabijając coś lub kogoś dla wprawy. Na zielonkawym obiciu ujrzał dziewięć rysunków piórem, przypiętych szpileczkami, a będących pamfletem na *Samotnika*, książkę zażywającą w tej chwili w Europie niesłychanego sukcesu, który musiał nużyć dziennikarzy. „*Samotnik* na prowincji doprowadza kobiety do szału. — Wspólne czytanie *Samotnika* w zamku. — Działanie *Samotnika* na zwierzęta domowe. — Wykład o *Samotniku* u dzikich ludów osiąga najświetniejszy sukces. — *Samotnik* przełożony na chiński i przedstawiony przez autora cesarzowi w Pekinie. — Elodia gwałcona przez Dziką Górę”. Ta karykatura zdała się Lucjanowi bardzo nieprzyzwoita, ale zabawiła go. „*Samotnik* oprowadzany przez dzienniki pod baldachimem. — *Samotnik*, rozsadzający prasę, kaleczy personel drukarni. — Czytany na wspak, *Samotnik* zdumiewa akademików niepospolitymi pięknosciami”. Lucjan ujrzał na opasce dziennika rysunek przedstawiający dziennikarza wyciągającego kapelusz, a pod tym: „Finot, moje sto franków!” podpisane nazwiskiem, które stało się później głośnie, ale które nigdy nie będzie znakomite. Między kominkiem a oknem stał niski sekretarzyk, mahoniowy fotel, kosz na papiery i wąski dywanik: wszystko pokryte gęstą warstwą kurzu. Okna z taną firaneczką. Na wierzchu sekretarzyka około dwudziestu dzieł złożonych w ciągu dnia: ryciny, nuty, tabakierki z miniaturą konstytucji, egzemplarz dziewiątego wydania *Samotnika*, wciąż stanowiącego temat do konceptów, i dziesiątek zapieczętowanych listów. Kiedy Lucjan napasał oczy tym osobliwym urządzeniem, kiedy się dostatecznie nasycił refleksjami, a zegar wydzwoił piątą, wrócił do inwalidy, aby ponowić indagację. Pomidor skończył swoją kromkę i cierpliwie jak szyldwach¹⁶⁴ czekał powrotu ozdobionego krzyżem wojskowego, który może przechadzał się po bulwarach. W tej chwili zjawiła się w progu dama, napelniwszy wprzód schody szumem spódniczki i odgłosem lekkiego kobiecego kroku, tak łatwego do poznania. Była dość ładna.

— Panie — rzekła do Lucjana — wiem, czemu panowie tak wychwalacie kapelusze panny Wirginii, i przychodzę przede wszystkim wziąć abonament na rok; ale niech mi pan powie warunki, na jakich...

— Pani, ja nie należę do dziennika.

— A!...

— Abonament od października? — spytał inwalida.

— Czego żąda ta pani? — spytał stary wojskowy, który właśnie się zjawił.

Poważny oficer wdał się w pertraktację z piękną kupczynią. Skoro Lucjan, zniecierpliwiony czekaniem, przeszedł do pierwszego pokoju, usłyszał to zakończenie:

— Ależ z największą przyjemnością, proszę pana. Panna Florentyna może przyjść do magazynu i wybrać, co się jej podoba. Mam i wstążki. Zatem wszystko ułożone, nie będziecie już wspominać o Wirginii, fuszerce niezdolnej wymyślić fasonu, gdy ja *tworzę!*

Lucjan usłyszał brzęk talarów wpadających do kasy. Następnie wojskowy zagłębił się w dziennym obrachunku.

— Panie, jestem tu od godziny — rzekł poeta dość kwaśno.

— Nie przyszli? — odparł napoleoński weteran, okazując przez grzeczność zainteresowanie. — To mnie nie dziwi. Już kawałek czasu, jak ich nie widzę. Jesteśmy w połowie

¹⁶⁴szyldwach (daw., z niem.) — żołnierz na warcie, strażnik. [przypis edytorski]

miesiąca, rozumie pan! Te ptaszki przychodzą tylko w porze wypłaty, między dwudziestym dziewiątym a trzydziestym.

— A pan Finot? — rzekł Lucjan, który zapamiętał nazwisko naczelnego redaktora.

— U siebie, ulica Feydeau. Pomidor, mój stary, kiedy będziesz niósł papier do drukarni, zanieś mu dzisiejszą pocztę.

— Gdzież zatem robi się dziennik? — rzekł Lucjan, mówiąc sam do siebie.

— Dziennik? — rzekł urzędnik, odbierając od Pomidora resztę z pieniędzy za stempel.

— Dziennik?... Hum, hum! — Mój stary, bądź jutro o szóstej w drukarni dopilnować roznosicieli. — Dziennik, panie, robi się na ulicy, w domu, w drukarni, między jedenastą a dwunastą w nocy. Za cesarza, panie, nie istniały te kramy do zapaskudzania papieru. Ha, ha! zaraz byłby posłał czterech ludzi i kaprała, żeby wymietli taką budę; nie dałby sobie psuć krwi! Ale dosyć gawędy. Skoro mój siostrzeniec robi na tym pieniądze i skoro gardłuje się za jego synem¹⁶⁵, hum! hum! ostatecznie niech im będzie na zdrowie. Ha! Abonenci nie nacierają jakoś dziś zwartą kolumną, mogą śmiało opuścić posterunek.

— Pan, zdaje się, obeznany z redakcją dziennika?

— Pod względem finansowym, hum, hum! — rzekł żołnierz, odchrząkując flegmę, która zebrała mu się w krtani. — Wedle miary talentu, pięć franków albo trzy franki kolumna na pięćdziesiąt wierszy i czterdzieści liter bez białego, ot i wszystko. Co do współpracowników, to figury osobliwego kalibru. Smarkacze! Nie wziąłbym tego ani za gemajnow¹⁶⁶ do trenu, a te furfanty¹⁶⁷, dlatego że paćkają czarno na białym papierze, puszczają finfy¹⁶⁸ pod nos staremu kapitanowi dragonów gwardii, spensjonowanemu¹⁶⁹ jako szef batalionu, który wkroczył do wszystkich stolic Europy z Napoleonem...

Lucjan popychany ku drzwiom przez napoleończyka, który otrząpywał niebieski surdut i objawiał intencję wyjścia, zdobył się na odwagę zagrozenia mu drogi.

— Przychodzę, aby wstąpić do dziennika — rzekł — i przysięgam panu, że jestem pełen szacunku dla kapitana gwardii cesarskiej, jednego z owych ludzi z brązu...

— Dobrze mówisz, frycu — rzekł oficer i szturchnął go. — Ale do jakiej klasy dziennikarzy chcesz się dostać? — dodał, przepychając się mimo Lucjana i wychodząc na schody. Zatrzymał się, aby zapalić cygaro u odźwiernego.

— Gdyby przyszedł ktoś z abonamentem, odbierzcie pieniądze i zapiszcie nazwisko, pani Chollet. — Wciąż abonament, nie znam nic prócz abonamentu — ciągnął, zwracając się do idącego za nim Lucjana. — Finot jest moim siostrzeńcem, jedynym, który okazał mi serce w moich tarapatach. Toteż ktokolwiek szuka zwady z Finotem, natknie się na starego Giroudeau, kapitana dragonów gwardii, który wyruszył jako prosty kawalerzysta do armii Sambry i Mozy¹⁷⁰, a pięć lat był fehmistrzem w pierwszym pułku huzarów armii włoskiej¹⁷¹. Raz, dwa, i nie ma mego pana z pretensjami! — dodał, niby fechtując się w powietrzu. — Otóż, mój malczyku¹⁷², mamy wśród dziennikarzy dwa różne ciała: dziennikarz, który pisze i bierze lafę¹⁷³, i dziennikarz, który pisze i nie bierze nic, to, co nazywamy wolontariusz; wreszcie ten, który nie pisze, i ten jest najmędrzy ze wszystkich: nie strzela bąków, uchodzi za autora, należy do dziennika, stawia nam obiady, wałęsa się po teatrach, utrzymuje aktorkę i jest bardzo szczęśliwy. Czym pan chcesz być?

— Ależ dziennikarzem dobrze pracującym i, co za tym idzie, dobrze płatnym!

¹⁶⁵jego syn — syn cesarza Napoleona I, Napoleon II (1811–1832), od 1818 znany jako Franciszek, książę Reichstadt, którego bonapartyści mieli nadzieję wprowadzić na tron. [przypis edytorski]

¹⁶⁶gemajn (daw., z niem. *gemein*: zwykły) — szeregowiec w wojsku polskim cudzoziemskiego autoramentu. [przypis edytorski]

¹⁶⁷furfant (daw.) — zarozumialec, blagier, krętacz. [przypis edytorski]

¹⁶⁸finfa a. fimfa (daw.) — dym puszczony komuś w nos; przen.: złośliwy żart. [przypis edytorski]

¹⁶⁹spensjonować (daw.) — odesłać w płatny stan spoczynku, na emeryturę. Oficerów pierwszego Cesarstwa Francuskiego po jego upadku zwolniono z czynnej służby i wypłacano im połowę wcześniejszej pensji wojskowej (żołdu). [przypis edytorski]

¹⁷⁰Armia Sambry i Mozy — jedna z najbardziej znanych armii francuskich okresu Rewolucji, sformowana 29 czerwca 1794 roku z Armii Ardenów wzmocnionej lewym skrzydłem Armii Mozeli i prawym skrzydłem Armii Północy; walczyła przeciwko koalicji antyfrancuskiej na północy. [przypis edytorski]

¹⁷¹armia włoska — tu: Armia Italii, armia francuska stacjonująca na granicy włoskiej i biorąca udział w walkach w samych Włoszech; w 1796 naczelne dowództwo tej armii objął generał Napoleon Bonaparte, który poprowadził zwycięską kampanię włoską, pokonując Austriaków i Sardyńczyków, wskutek czego rozpadła się pierwsza koalicja antyfrancuska. [przypis edytorski]

¹⁷²malczyk (z ros.) — chłopak. [przypis edytorski]

¹⁷³lafę (daw.) — żołd, płaca. [przypis edytorski]

— Ba! Jesteś z tych rekrutów, co to chcą być marszałkami Francji! Wierzą staremu Giroudeau: w lewo zwrot, biegiem, idź pan zbierać gwoździe w rynsztoku, jak ten oto dzielny człowiek, który służył w linii, to widać po wzięciu. Czyż to nie zgroza, aby stary żołnierz, który tysiąc razy szedł w paszczę śmierci, zbierał gwoździe w rynsztokach Paryża? Panie na wysokościach, jesteś skończonym hultajem, skoroś opuścił cesarza! Otóż, mój mały, ten cywil, którego widziałeś dziś rano, zarobił czterdzieści franków w ciągu miesiąca. Czy potrafisz go prześcignąć? A wedle Finota to najsprytniejszy z jego pracowników.

— Kiedy się pan rwał do armii, mówiono panu, że tam niebezpiecznie?

— Do kata!

— A zatem?

— A zatem idź pan pogadać z Finotem, dzielnym chłopcem, najzaczniejszym chłopakiem, jakiego ci się zdarzy spotkać, jeżeli w ogóle uda ci się go spotkać, bo ruchliwy jest jak ryba. W jego rzemiośle nie w tym rzecz, aby pisać, lecz sprawić, by inni pisali! Zdaje się, że najmilszy parafianie woła się barłóżyć z aktorkami niżeli czernić papier. Ho, ho! To osobliwa branża! Mam zaszczyt pozdrowić.

Kasjer kiwnął poufnie straszliwą ołowianą trzcina i zostawił Lucjana na chodniku, równie zdumionego tym obrazem redakcji, jak niegdyś syntezą literatury u Vidala i Porchona. Lucjan biegał dziesięć razy do Finota, naczelnego redaktora, na ulicę Feydeau, nigdy nie mogąc go zastać. Wczas rano Finot jeszcze nie wrócił; w południe był w mieście; miał być na śniadaniu, mówiono, w tej a tej kawiarni. Lucjan szedł do kawiarni i powściągając wstręt, pytał bufetową o Finota: dopiero co wyszedł. Wreszcie Lucjan, wyczerpany, zaczął patrzeć na Finota jako na legendarną i bajeczną istotę: uznał za prostsze czatować na Stefana Lousteau u Flicoteaux. Młody dziennikarz wyjaśni zapewne tajemnicę otaczającą dziennik, do którego należał.

Od dnia po stokroć błogosławionego, w którym Lucjan zawarł znajomość z Danielem, zmienił miejsce w restauracji: przyjaciele siadali razem i rozmawiali z cicha o wielkiej literaturze, o tematach, o sposobie ich przedstawiania, rozpoczęcia, rozwiązania. W tej chwili Daniel poprawiał *Guardzistę Karola IX*, przerabiał rozdziały, wpisywał całe strofice, najpiękniejsze, jakie utwór ten zawiera, kreślił wspaniałą przedmowę, która może góruje nad książką i która wniosła tyle światła w młodą literaturę. Pewnego dnia, w chwili gdy Lucjan siadał obok czekającego nań Daniela i gdy d'Arthez ujmował jego rękę w swoje dłonie, poeta ujrzał Stefana Lousteau zamykającego właśnie drzwi za sobą. Lucjan puścił nagle rękę Daniela i szepnął chłopcu, aby mu podano na dawnym miejscu, koło bufetu. D'Arthez obrzucił Lucjana jednym z owych anielskich spojrzeń, w których przebaczenie splata się z wyrzutem. Spojrzenie to tak żywo zapadło w serce poety, iż ujął ponownie rękę Daniela, aby ją jeszcze raz uścisnąć.

— Chodzi o sprawę wielkiej dla mnie wagi, powiem ci później — rzekł.

Lucjan znalazł się na dawnym miejscu w chwili, gdy Lousteau siadał; pierwszy pozdrowił przybyłego; rozmowa zawiązała się niebawem i potoczyła tak żywo, że Lucjan pobiegł do domu po rękopis *Stokroci*, gdy Lousteau kończył obiad. Uzyskał to, iż dziennikarz zgodził się wysłuchać jego sonetów; miał nadzieję, iż przy jego poparciu uda mu się znaleźć wydawcę lub wejść do dziennika. Za powrotem Lucjan ujrzał w kącie restauracji smutno wspartego na dłoni Daniela, który popatrzył nań melancholijnie, ale żarty nędzą i popychany ambicją, udał, że nie spostrzega swego brata z Biesiady, i wyszedł za Stefanem. Nim zapadł wieczór, dziennikarz i neofita siedli pod drzewami w owej części Luksemburgu, która od wielkiej alei Obserwatorium prowadzi do ulicy de l'Ouest. Ulica ta była wówczas długim śmietnikiem okolonym deskami i bagnami; domy istniały tylko w stronie ulicy Vaugirard. Okolica była tak mało uczęszczana, że w tej chwili, w godzinie obiadowej, para kochanków mogłaby tam pogniewać się i najwymowniej pojednać bez obawy natrętnych spojrzeń. Jedynym osobnikiem zdolnym zakłócić spokój był weteran stojący na warcie u furty od ulicy de l'Ouest, w razie gdyby czcigodnemu żołnierzowi przyszła ochota rozszerzyć wymiar swej jednostajnej przechadzki. W tej alei, na drewnianej ławce między dwiema lipami, Stefan wysłuchiwał sonetów wybranych spośród *Stokroci*. Stefan Lousteau, który po dwóch latach terminu kładł nogę w strzemie dziennikarstwa i liczył paru przyjaciół między sławami epoki, był w oczach Lucjana imponującą osobistością. Toteż rozwijając rękopis, prowincjonalny poeta uważał za potrzebne wygłosić rodzaj przedmowy.

— Sonet jest, wedle mnie, jednym z najtrudniejszych rodzajów poezji. Forma tego małego poematiku uległa powszechnie zaniedbania. Nikt we Francji nie mógł rywalizować z Petrarcką¹⁷⁴, którego język, nieskończenie giętszy od naszego, dopuszcza do igraszek myśli, odrzuconych przez nasz *pozytywizm* (niech mi pan daruje to wyrażenie). Wydało mi się tedy oryginalne zadebiutować zbiorkiem sonetów. Wiktor Hugo wziął odę, Canalis skłania się do poezji ulotnej, Béranger monopolizuje piosenkę, Kazimierz Delavigne zagarnął tragedię, a Lamartine¹⁷⁵ medytację.

— Czy pan jesteś klasykiem, czy romantykiem? — spytał Lousteau.

Zdziwiona mina Lucjana zdradzała tak zupełną nieświadomość spraw literackich, iż Lousteau uznał za potrzebne go objaśnić.

— Drogi kolego, zjawiasz się w momencie zaciętej walki, trzeba się szybko decydować. Literatura w ogóle rozpada się na rozmaite strefy, ale nasi wielcy ludzie dzielą się na dwa obozy. Rojaliści są romantykami, liberały klasykami. Rozbieżność pojęć literackich łączy się z rozbieżnością przekonań politycznych, skąd wojna na wszelki rodzaj broni, potoki atramentu, docinki wyostrzone jak stal, potwarze, jadowne epitety między sławami w załączku a sławami na schyłku. Dziwnym zbiegiem, romantyczni rojaliści żądają wolności literackiej i uprzątnięcia praw określających przyjęte formy w naszej literaturze, gdy liberałi chcą utrzymać trzy jedności¹⁷⁶, aleksandryn¹⁷⁷ i tematy klasyczne. Opinie literackie są tedy w każdym z obozów w niezgodzie z opiniami politycznymi. Jeśli zostaniesz eklektykiem¹⁷⁸, nie będziesz miał za sobą nikogo. Po której stronie się opowiadasz?

— Którzy są mocniejsi?

— Dzienniki liberalne mają o wiele więcej abonentów niż rojalistyczne i ministerialne; swoją drogą, Canalis wybija się, mimo iż monarchista i religijny, mimo iż popierany przez dwór i przez księży. Ba! Sonety to literatura sprzed Boileau¹⁷⁹ — rzekł Stefan, widząc, iż konieczność wyboru między dwoma sztandarami przeraża Lucjana. — Bądź pan romantykiem. Romantycy składają się z młodych, a klasycy to stare peruki: romantycy będą górą.

Słowo „peruka” było ostatnim przydomkiem wynalezionym przez dziennikarstwo romantyczne, które przygważdżało nim klasyków.

— *Stokrotka* — rzekł Lucjan, odczytując jeden z dwóch sonetów, które uzasadniały tytuł i służyły za inaugurację. Lucjan uczuł się niemile dotknięty zupełną obojętnością Stefana w czasie czytania; nie znał jeszcze drażniącej obojętności, jaką daje nawyk krytyki i która cechuje dziennikarzy znużonych prozą, wierszem i dramatem. Poeta, nawykły do pokłasku, przełknął zawód; przeczytał sonet ulubiony przez panią de Bargeton oraz przez kilku przyjaciół z Biesiady.

„Może ten wyrwie mu jakiś znak życia” — pomyślał.

SONET II ¹⁸⁰

Jestem stokrotka, niegdyś najpiękniejsze kwiecie,
Co zdobiło trawników puchy aksamitne;
Bliska ziemi, lecz w niebo wpatrzona błękitne,
wierzyłam, że rósć będę w wiecznotrwałym lecie.

¹⁷⁴Petrarca, Francesco (1304–1374) — włoski poeta; zasłynął cyklem wierszy miłosnych, głównie sonetów, poświęconych Laurze, której tożsamość pozostaje nieznana. [przypis edytorski]

¹⁷⁵Lamartine, Alphonse de (1790–1869) — polityk i pisarz francuski, uznawany za twórcę francuskiego romantyzmu. [przypis edytorski]

¹⁷⁶trzy jedności — zasada zachowania w dramacie trzech jedności: miejsca, czasu i akcji, wywodzona z teatru starożytnego oraz *Poetyki* Arystotelesa, stanowiła podstawową regułę budowy dramatu w klasycyzmie. Stanowi, że akcja musi się toczyć w jednym miejscu, czas jej trwania musi pokrywać się z czasem trwania widowiska lub przynajmniej nie przekraczać doby oraz że akcja musi być jednowątkowa. [przypis edytorski]

¹⁷⁷aleksandryn (lit.) — forma wierszowa, w której szósta sylaba wersu i szósta sylaba po średniówce stanowią ostatnie sylaby akcentowane półwersów; dodatkowym wymogiem w pisaniu aleksandrynem bywa zgodność z formą heksametru jambicznego. Aleksandrynem pisze się utwory o charakterze heroicznym, np. tragedie czy epopeje. [przypis edytorski]

¹⁷⁸eklektyk — twórca lub myśliciel łączący w całość elementy zaczerpnięte z różnych stylów lub doktryn. [przypis edytorski]

¹⁷⁹Boileau, Nicolas (1636–1711) — francuski poeta i krytyk literacki; autor m.in. poematu dydaktycznego *Sztuka poetycka*, stanowiącego kodeks klasycyzmu. [przypis edytorski]

¹⁸⁰SONET II — wszystkie sonety w tłum. Edwarda Leszczyńskiego (1880–1921); w oryginale pierwsze dwa są autorstwa poety Lessailly, trzeci napisał Teofil Gautier. [przypis edytorski]

Literat, Polityka

Poeta, Poezja

Rychło losów przemianą, zbyt częstą w tym świecie,
Dotknęły mnie wyroki twarde, choć zaszczytne;
Odtąd już nie dla piękna, lecz dla prawdy kwitnę
I umieram: bo wiedza jest śmiertelną przecie...

Więc stałam się na ziemi najbiedniejszym kwiatkiem:
Miłość żąda ode mnie, bym sercu ludzkiemu
Ulgę niosła, bolesną pełniąc wiernie służbę;

Niecierpliwy kochanek, rwąc płatek za płatkim,
Odziera moje czoło z białego diademu
I pod stopy mnie rzuca, gdy poznał mą wróżbę.

Skończywszy, poeta spojrział na swego Arystarcha¹⁸¹: Stefan Lousteau wodził wzrokiem po młodych drzewkach.

— I cóż? — rzekł Lucjan.

— Cóż, drogi panie, jedź pan dalej! Czyż nie słucham? W Paryżu słuchać w milczeniu to pochwała.

— Czy ma pan dosyć? — rzekł Lucjan.

— Czytaj pan — odparł szorstko dziennikarz.

Lucjan przeczytał następny sonet, ale przy tej lekturze był wpółżywy: nieprzenikniony chłód Stefana zmroził jego recytację. Gdyby lepiej znał życie literackie, wiedziałby, że u autorów milczenie i szorstkość w podobnej okoliczności zdradzają zazdrość wywołaną pięknym dziełem, tak jak zachwyty wyrażają przyjemność wzbudzoną przez lichotę, która uspokaja ich miłość własną.

Poeta

SONET XXX. Kamelia

Kwiat każdy jakieś słowo natury wyraża:
Triumf piękna, miłości róża głosi światu,
Wdzięk prostoty z fiołków płynie aromatu,
A skromność białej lilii w blask się przeobraża.

Lecz kamelia z potwornych kultur wirydarza¹⁸²
Wyrosla, obca życiu, miłości i latu:
Róża — bez woni, lilia — lecz bez majestatu,
Czczość dziewiczą kaprysem zalotnym rozmarza.

Przecie, w strojnym teatrze, w tych światłach potoku,
Co wewnątrz łóż omgleniem złocistym przystraja,
Jakże cudną pięknnością płonie białość wasza!

Alabastrowe gwiazdy, rozsiane w pomroku
Czarnych włosów tych kobiet, których wdzięk upaja
Jak cudotwórcze piękno marmurów Fidiasza¹⁸³.

— Co pan myśli o moich biednych sonetach? — zapytał wprost Lucjan.

— Chce pan prawdy? — rzekł Lousteau.

— Jestem na tyle młody, iż kocham ją jeszcze, a nadto pragnę zwyciężyć, abym nie miał wysłuchać jej bez obrazu, choć nie bez rozpacz — odparł Lucjan.

— Zatem, drogi panie, zakrętasy pierwszego sonetu zwiastują dzieło rodem z Angoulême, które z pewnością zbyt wiele cię kosztowało, abyś się go mógł wyrzec; drugi

¹⁸¹Arystarch z Samotraki (216–146 p.n.e.) — gramatyk gr., uważany za twórcę krytyki literackiej; autor krytycznych wydań klasycznych utworów literatury gr. oraz kilkuset komentarzy do utworów poetyckich. [przypis edytorski]

¹⁸²wirydarz (daw., z łac.) — mały ogród ozdobny, przeznaczony do przechadzek. [przypis edytorski]

¹⁸³Fidiasz (ok. 490–ok. 430 p.n.e.) — najwybitniejszy rzeźbiarz grecki okresu klasycznego. [przypis edytorski]

i trzeci czuć już Paryżem; ale czytaj pan jeszcze! — dodał, czyniąc gest, który wydał się uroczy wielkiemu poecie z prowincji.

Zachęcony tą prośbą, Lucjan przeczytał z większą odwagą sonet, który upodobali sobie d'Arthez i Bridau, może dla jego koloru.

SONET L. Tulipan

Tulipan moje miano, na harlemskim¹⁸⁴ mule
Wyrośla moja piękność, a flamandzki sknera
Chętnie skrzynie zamczyste swych skarbów otwiera,
By kupić kształt mój, w marną zaklęty cebulę.

Kochają mnie nad wszystko księżęta i króle,
Bo w kielichu mym złotym tkwi feudalna era;
Fascykulów¹⁸⁵ herbowych splendor mnie ubiera
I błyska krew purpury, gdy pęk mój roztulę.

Szatę mą kolorową ogrodnik niebieski
Tkął z promieni słonecznych, z purpury królewskiej
I tęczami grającej wstąg jutrzennych gazy;

Żaden kwiat takim blaskiem jak ja się nie płoni;
Lecz natura, niestety! nie wlała swych woni
W kielich mój, urobiony na wzór chińskiej wazy.

— No i...? — rzekł Lucjan po chwili milczenia, która wydała mu się nieskończonością.

— Mój drogi — rzekł poważnie Stefan Lousteau, spoglądając na trzewiki, które Lucjan przywiózł z Angoulême i które dodzierał — radzę ci czernić buty atramentem dla oszczędzania szuwaksu¹⁸⁶, porobić wykałaczkę z piór, aby nadać sobie minę człowieka, który jadł obiad, gdy wyszedłszy od Flicoteaux, przechadzasz się po tym pięknym ogrodzie, lub wreszcie poszukać sobie jakiej posady. Zostań pacholkiem u komornika, jeśli masz odwagę po temu, subiektem w sklepie, jeżeli masz zdrowie, albo żołnierzem, jeśli lubisz muzykę wojskową. Jest w tym materiał na trzech poetów, ale nim się przebijesz, masz czas sześć razy umrzeć z głodu, jeżeli, aby wyżyć, liczysz na produkty swej muzy. Owóż zamiarem twoim jest, jak tego dowodzą wynurzenia twego młodocianego entuzjazmu, wydobyć mimo wszystko strumień złota z kałamarza. Nie wyrokuję o twoich wierszach; są o wiele lepsze od stosów poezji, które zawałają magazyny księgarskie. Te wytworne słowiki¹⁸⁷ sprzedawane nieco drożej od innych dla ich welinowego papieru¹⁸⁸, ścielą sobie prawie z reguły gniazdko na brzegach Sekwany, gdzie możesz iść studiować ich pienia. Radzę ci któregoś dnia podjąć pouczającą pielgrzymkę po Wybrzeżu, począwszy od wystawy starego Jérôme przy moście Notre-Dame aż po most Królewski. Znajdziesz tam wszystkie *Próby poetyckie*, *Natchnienia*, *Wzloty*, *Hymny*, *Pieśni*, *Ballady*, *Ody*, słowem wszystkie pączuszki rozkwitłe od siedmiu lat, muzy pokryte pyłem, ochłastane przez dorożki, wygniecione przez przechodniów oglądających tytułową rycinę. Nie znasz nikogo, nie masz przystępu do żadnego dziennika: twoje *Stokrocie* zostaną wstydliwie zwinięte, tak jak je trzymasz w tej chwili; nie zakwitną nigdy w słońcu rozgłosu na welinowej łące, orzeźwione kroplami rosy, które rozdaje znakomity Dauriat, księgarz sław, król Galerii Drewnianych. Moje biedne dziecko, i ja przybyłem jak ty z sercem pełnym iluzji, pchany miłością sztuki, niesiony żądzą sławy: zastałem mus rzemiosła, opór księgarni i rzeczywistość nędzy. Egzaltacja, teraz już zdławiona, młodzieńcza gorączka

Poeta, Bieda

¹⁸⁴harlemski — tu: z miasta Haarlem w Holandii, nad rz. Spaarne, 30 km na zach. od Amsterdamu. [przypis edytorski]

¹⁸⁵fascykul (daw., z łac.) — zwój papierów, dokumentów. [przypis edytorski]

¹⁸⁶szuwaks (daw.) — czarna pasta do butów. [przypis edytorski]

¹⁸⁷słowik (fr. rossignol) — w ówczesnej gwarze literackiej książka, która „nie idzie”, zalegając magazyny i antykwarnie. [przypis tłumacza]

¹⁸⁸papier welinowy — cienki, gładki papier wysokiej jakości. [przypis edytorski]

skrywały mi mechanizm świata; trzeba go było zobaczyć, uderzyć nosem o wszystkie kółeczka, potknąć się o osie, otłuścić się o wszystkie smary, usłyszeć chrzęst łańcuchów i śrubek. Jak ja, dowiesz się, że poza tymi pięknymi marzeniami istnieje gra ludzi, namiętności i potrzeb. Wmieszasz się z konieczności w straszliwe walki dzieł, ludzi, partii, gdzie trzeba się bić systematycznie, aby nie być opuszczonym przez swoich. Te niegodne walki wyczerpują duszę, każą serce i zużywają je; wysiłki twoje służą często na to, aby uwięzić człowieka, którego nienawidzisz, jakiś półtalencik, który ty wbrew woli musisz wynosić pod niebiosy. Życie literackie ma swoje kulisy. Sukces, kradziony czy zasłużony, spotyka się z poklaskiem; środki zawsze wstrętne, komparsi¹⁸⁹ otoczeni glorią, klakierzy i posługacze, oto co kryją kulisy. Jesteś dotąd na sali widzów. Jeszcze czas, cofnij się, nim postawisz nogę na pierwszy stopień tronu, gdzie walczy z sobą tyle ambicji; nie paskudź się jak ja, aby żyć. (Tu ła za zwilżyła oczy Stefana Lousteau). Czy wiesz, jak ja żyję? — podjął z akcentem wściekłości. — Trochę pieniędzy, jakie mogła mi dać rodzina, poszło niebawem. Znalazłem się bez środków, mimo iż przyjęto mi sztukę w Komedii Francuskiej. Otóż w Komedii Francuskiej protekcja księcia krwi albo pierwszego ochmistrza dworu nie wystarczy, aby uzyskać przyspieszenie kolei: aktorzy ustępują tylko tym, którzy zagrażają ich miłości własnej. Gdybyś miał moc otrąbienia świata, że pierwszy kochanek ma astmę, heroina fistułę¹⁹⁰ w dowolnym miejscu, że subretce¹⁹¹ czuć z ust, wystawiliby ci sztukę jutro. Nie wiem, czy do dwóch lat ja, jak tu stoję przed tobą, zdobędę taką władzę: trzeba na to zbyt wielu przyjaciół. Gdzie, jak i czym zarobić na chleb? Oto pytanie, jakie sobie zadałem, czując pierwszy skurcz głodu. Po wielu usiłowaniach, napisawszy bezimienny romans kupiony w cenie dwustu franków przez starego Doguereau, który też nie zrobił na nim majątku, doszedłem do świadomości, że tylko dziennikarstwo mogłoby mnie wyżywić. Ale jak dostać się do tego kramu? Nie będę ci opowiadał bezużytecznych starań i wędrówek ani półrocznej pracy jako „wolontariusz”, podczas której słuchałem wymówek, że wypłaszam abonentów, kiedy, przeciwnie, przyciągałem ich. Pomińmy te brudy. Dziś mam sprawozdania z bulwarowych teatrzyków, prawie darmo, w dzienniku należącym do Finota, ciężkawego młodego człowieka, który zachodzi jeszcze parę razy na miesiąc na śniadanie do kawiarni Woltera (ale prawda, pan tam nie bywasz!). Finot jest naczelnym redaktorem. Żyję, sprzedając bilety, jakie mi dają dyrektorzy teatrów, aby opłacić moje pokątne usługi, oraz książki przysyłane przez księgarzy do oceny. Wreszcie, skoro Finot już znajdzie swoje pokrycie, frymarczę naturalnymi produktami składanymi przez przemysłowców, przeciw którym albo za którymi on pozwala mi puszczać artykuły. „Woda karminowa”, „Krem sułtanek”, „Esencja kapilarna”, „Mikstura brazylijska” płacą za sprytną reklamę dwadzieścia do trzydziestu franków. Jestem zmuszony oszczękiwać księgarza, który daje dziennikowi mało egzemplarzy; dziennik bierze dwa, które sprzedaje Finot, trzeba mi wydrzeć dwa dla siebie. Księgarz skąpy na egzemplarze, gdyby nawet wydał arcydzieło, będzie zarżnięty. To podle, ale ja żyję z tego rzemiosła, jak stu innych! Nie sądzę, że świat polityczny jest o wiele piękniejszy niż literacki: tu i tam wszystko jest przekupstwem, każdy albo kupuje, albo sprzedaje się. Kiedy chodzi o większe wydawnictwo, księgarz opłaca mi się z obawy przed napaścią. Toteż dochody moje są w związku z urodzajem prospektów. Kiedy prospekt pojawia się w tysiącznych egzemplarzach, pieniądź płynie strugą do mego mieszkania, goszczę przyjaciół. Nie ma interesów w księgarzni! — wówczas obiad u Flicoteaux. Aktorki opłacają również pochwały, ale najsprytniejsze opłacają i krytyki; przede wszystkim boją się milczenia. Toteż napaść wymierzona w tym celu, aby ją odeprzeć na innym miejscu, warta jest więcej i płaci się drożej niż zwykła pochwała, której świat zapomina nazajutrz. Polemika, mój drogi, jest piedestałem sław. Na tym rzemiośle siepacza idei i reputacji przemysłowych, literackich i teatralnych zarabiam pięćdziesiąt talarów miesięcznie, mogę sprzedać powieść za pięćset franków i zaczynam uchodzić za niebezpiecznego człowieka. Kiedy miałem mieszkać u Floryny na koszt pigularza, który przybiera tony milorda, będę się mógł umeblować, kiedy przejdę do wielkiego dziennika lub zdobędę redakcję felietonu, z tym dniem, mój drogi, Floryna

Literat, Pieniądz,
Przekupstwo, Interes

¹⁸⁹ *kompars* (daw., z fr.) — aktor występujący w roli drugoplanowej, statysta. [przypis edytorski]

¹⁹⁰ *fistula* (med.) — przetoka; fistuła może być wrodzona, powstała w procesie chorobowym lub wykonana chirurgicznie. [przypis edytorski]

¹⁹¹ *subretka* (z fr.) — pokojówka; także: typ postaci sprytnej służącej występującej w komedii. [przypis edytorski]

zostanie wielką aktorką; co do mnie, nie wiem, czym mogę zostać wówczas: ministrem albo uczciwym człowiekiem, wszystko jest jeszcze możliwe. (Podniósł upokorzoną głowę, rzucił ku zielonej gęstwie rozpaczliwe spojrzenie, pełne oskarżeń i grozy). I mam piękną tragedię przyjętą do grania! I mam w moich papierach poemat, który tam zamrze! I byłem dobry! Miałem serce czyste; mam za kochankę aktorkę Panorama-Dramatique, ja, który marzyłem o miłości najwytworniejszych dam! Wreszcie dla egzemplarza, którego księgarz odmówi dziennikowi, zołhdam książkę, która budzi we mnie zachwyt!

Lucjan, wzruszony do łez, uściśnął rękę Stefana.

— Zewnątrz świata literackiego — rzekł dziennikarz, wstając i kierując się ku wielkiej alei de l'Observatoire, dokąd dwaj poeci przeszli, jak gdyby chcąc zaczerpnąć powietrza — nie istnieje ani jedna osoba, która by знаła straszliwą odyseję, przez jaką dochodzi się do tego, co nazywamy, zależnie od miary talentu, powodzeniem, modą, reputacją, uznaniem, rozgłosem, sympatią publiczności, owe rozmaite szczeble, które wiodą do sławy, a które nie zastąpią jej nigdy. Ten tak świetny fenomen moralny składa się z tysiąca przypadków, zmieniających się z taką szybkością, że nie ma przykładu dwóch ludzi, którzy by wybili się tą samą drogą. Canalis i Natan to dwa zjawiska różnorodne, które się nie powtórzą. D'Arthez, który zabija się pracą, zdobędzie rozgłos przez inny przypadek. Ta sława, tak upragniona, jest prawie zawsze koronowaną nierządnicą. Tak, dla niskich twórców literatury to niby biedna dziewczyna, która marznie na rogu ulicy; dla literatury drugorzędnej to utrzymanka, która wyszła z zamtuzów¹⁹² dziennikarstwa i której ja jestem sutenerem! Dla wielkiej, triumfalnej literatury to świetna, zuchwała kurtyzana, która ma własną wilgę, opłaca podatki, przyjmuje wielkich panów, podejmuje ich i tyranizuje, ma liberię, powóz i może wierzycielom kazać czekać w przedpokoju. Och! Ci, dla których ona jest — jak dla mnie niegdyś, dla ciebie dzisiaj — aniołem o przeźroczych skrzydłach, ubranym w białą tunikę, z zieloną palmą w jednej dłoni, błyszczącym mieczem w drugiej, aniołem mającym coś z mitologicznej abstrakcji i coś z biednej dziewczyny z przedmieścia, zarabiającej na życie jedynie mocą szlachetnej wytrwałości i cnoty i odlatującej z powrotem do nieba bez plamy, o ile nie szczególnie splugawiona, udręczona, zgwałcona, zapomniana w dole ubogich; ci ludzie o mózgu z brązu, o sercu jeszcze ciepłym pod śniegiem doświadczenia, rzadcy są w krainie, którą widzisz u naszych stóp — rzekł, ukazując wielkie miasto dymiące w oparach wieczoru.

Wizja Biesiady przemknęła nagle przed oczami Lucjana i wzruszyła go, ale wnet porwały go słowa Stefana, który ciągnął dalej swą przeraźliwą lamentację.

— Rzadcy są i skąpo rozsiani w tej fermentującej kadzi, rzadcy jak prawdziwi kochankowie w świecie miłości, jak uczciwe fortuny w świecie finansów, jak czysty człowiek w dziennikarstwie. Doświadczenie pierwszego, który powiedział mi to, co ja ci mówię, poszło na marne, jak moje będzie z pewnością dla ciebie bez użytku. Zawsze ta sama gorączka ciska tu, z głębi prowincji, tę samą, aby nie rzec: wciąż wzrastającą, liczbę beżwasyh ambicji, które rzucają się z podniesioną głową, z pysznym sercem, aby szturmować do Mody, niby do księżniczki Turandot z *Tysiąca i jeden dni*¹⁹³, dla której każdy chce być księciem Kalafem. Ale nikt nie rozwiązuje zagadki. Wszyscy wpadają w dół nieszczęścia, w błoto dziennika, w bagno księgarni. Owoc, jaki zbierają ci biedni nędzarze, to biografie, kroniki, ploteczki dla dzienników lub książki zamawiane przez szczywanych handlarzy bibuły, którzy wolą głupstwo rozchodzące się w dwa tygodnie niż arcydzieło o powolnej sprzedaży. Te gąsienice, zdeptane, nim się rozwiną w motyla, żyją z hańby i bezwstydu, gotowe kąsać lub chwalić rodzący się talent na rozkazy paszy¹⁹⁴ z „Constitutionnela”¹⁹⁵,

¹⁹²zamtuz (daw.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

¹⁹³*Tysiąc i jeden dni* — fr. *Les mille et un jours*, zbiór opowiadań wzorowanych na modelu baśni *Tysiąca i jednej nocy*, opublikowany w 5 tomach w l. 1710–1712 przez francuskiego orientalistę François Pétiś de la Croix jako tłumaczenie z perskiego. Jedno z nich opowiada o księżniczce Turandot, która swoim zalotnikom zadawała zagadki, a kiedy nie potrafili ich rozwiązać, kazała ścinać im głowy, aż wreszcie książę Kalaf podał poprawne odpowiedzi. Na podstawie tego opowiadania włoski dramaturg Carlo Gozzi napisał sztukę *La Turandotte* (1762), z której powstały liczne tłumaczenia i przeróbki sceniczne oraz operowe. [przypis edytorski]

¹⁹⁴pasza a. basza (z tur.) — wysoki urzędnik turecki; pan. [przypis edytorski]

¹⁹⁵„Constitutionnel” — francuska gazeta polityczno-literacka założona w Paryżu w 1815, podczas Stui Dni Napoleona, organ liberalów, bonapartystów i antyklerykałów. [przypis edytorski]

„Codzienniej”¹⁹⁶ lub „Debatów”¹⁹⁷, na znak księgarni, na prośbę zawistnego kolegi, często po prostu za obiad! Ci, którzy pokonają przeszkody, zapominają o nędzy początków. Ja, jak tu mówię z tobą, pisałem pół roku artykuły, zawierające kwiat moich myśli, dla nędznika, który ogłaszał je za swoje, który na podstawie tych prób został redaktorem felietonu; nie wziął mnie za współnika, nie dał mi ani pięciu franków i ja muszę ścisnąć jego rękę i podawać mu swoją!

— Czemu? — wybuchnął Lucjan.

— Może zająć okoliczność, iż będę potrzebował kilku wierszy w jego felietonie — odparł zimno Lousteau. — Słowem, mój drogi, w literaturze sekret powodzenia jest nie w tym, aby pracować; chodzi o to, aby wyzyskiwać pracę cudzą. Właściciele dzienników to przedsiębiorcy, my jesteśmy murarze. Toteż im człowiek bardziej mierny, tym szybciej dochodzi; taki wszystko strawi, pogodzi się ze wszystkim, potrafi schlebiać podłostkom sułtanów literackich, jak ten świeżo przybyły z Limoges, Hektor Merlin, który już robi politykę w dzienniku prawego centrum, a zarazem pracuje w naszym świstku; widziałem go, jak podnosił kapelusz upuszczony przez naczelnego redaktora. Nie zrażając sobie nikogo, chłopak ten przejdzie pośród rywalizujących ambicji, podczas gdy będą się biły z sobą. Ot, żał mi ciebie. Widzę cię tym, czym byłem niegdyś, a jestem pewien, że za rok lub dwa ty będziesz tym, czym ja dzisiaj. Będziesz przypuszczał jakąś ukrytą zazdrość, jakiś osobisty interes w tych gorzkich radach; dyktuje je po prostu rozpacz potępieńca, który nie może już porzucić piekła. Nikt nie śmie powiedzieć tego, co ja tu krzyczę z bólem człowieka ugodzonego w serce i podobnego biblijnemu Hiobowi na śmietniku: „Oto moje wrzody!”

— Na tym polu czy gdzie indziej, wszędzie trzeba walczyć — rzekł Lucjan.

— Wiesz tedy — odparł Lousteau — że ta walka będzie bez wytchnienia, jeżeli masz talent, najlepiej bowiem dla ciebie byłoby go nie mieć. Sumienie twoje, dziś nieskalane, ugnie się przed tymi, w których rękach ujrzysz swoje powodzenie i którzy, jednym słowem mogąc ci dać życie, nie zechcą wymówić tego słowa; bo wierzą mi, pisarz w *modzie* pysniejszy jest, twardszy dla nowych przybyszów niż najbrutalniejszy księgarz. Tam, gdzie księgarz widzi tylko stratę, autor obawia się rywala: jeden wyprowadza cię w pole, drugi cię miażdży. Aby dawać piękne dzieła, moje biedne dziecko, będziesz czerpał w sercu pełnymi strugami atramentu czułość, sok, energię i będziesz je przelewał w namiętności, uczucia, kadencje! Tak, będziesz pisał, miast działać, śpiewał, miast walczyć, będziesz kochał, nienawidził, żył w swoich książkach; ale kiedy zachowasz wszystkie bogactwa dla swego stylu, złoto, purpurę dla swoich postaci, kiedy będziesz deptał w łachmanach ulice Paryża, dumny, iż wydałeś na świat, rywalizując z samym Stwórcą, żywe istoty zwane Adolfem, Korynną, Klaryssą lub Manon¹⁹⁸, kiedy zrujnujesz własne życie i żołądek, aby dać istnienie swej kreacji, ujrzysz ją spotwarzoną, zdradzoną, sprzedaną, rzuconą w otchłań zapomnienia przez dziennikarzy, pogrzebaną przez twoich najlepszych przyjaciół. Czy potrafisz czekać na dzień, w którym dziecko twego ducha wzbije się, przebudzone przez kogo, kiedy, jak? Istnieje wspaniała książka, *pianto*¹⁹⁹ niewiary. *Obermann*²⁰⁰, książka, która pleśnieje samotnie w pustkowiach magazynów i którą księgarze nazywają ironicznie „marną”: kiedy przyjdzie dla niej dzień? Nikt nie wie! Przede wszystkim spróbuj znaleźć księgarza dość odważnego, aby wydrukować *Stokrocie*. Nie chodzi o to, aby zapłacić, ale tylko *wydrukować*. Ujrzysz ciekawe sceny!

Ta okrutna tyrada, wyrzucona całą gamą namiętnych tonów, spadła niby lawina w serce Lucjana i przejęła je lodowatym zimnem. Stał chwilę nieruchomy i milczący. Wreszcie

Bieda

Literat, Zazdrość

Literat

¹⁹⁶ „Codzienna” — „La Quotidienne”, rojalistyczna gazeta francuska wydawana od 1790 do 1847. [przypis edytorski]

¹⁹⁷ „Debaty” — właśc. „Dziennik debat” (fr. „Journal des débats”), gazeta francuska utworzona w 1789, początkowo jako główne źródło informacji o debatach Zgromadzenia Narodowego; w okresie Restauracji oraz monarchii lipcowej nosiła tytuł „Journal des débats politiques et littéraires” i była najpoczytniejszą gazetą w kraju. [przypis edytorski]

¹⁹⁸ *Adolf*, *Korynna*, *Klaryssa*, *Manon* — tytułowe postaci z popularnych powieści: *Adolf* (1816) Beniamina Constanta, *Korynna czyli Włochy* (1807) Madame de Staël, *Klaryssa czyli historia młodej damy* (1748) Samuela Richardsona i *Historia kawalera des Grieux i Manon Lescaut* (1731) Antoine’a Prévosta. [przypis edytorski]

¹⁹⁹ *pianto* (wł.) — płacz. [przypis edytorski]

²⁰⁰ *Obermann* — preromantyczna, melancholijna powieść epistolarna autorstwa Étienne’a Pivert de Senancour (1770–1846), wydana w 1804, przez długi czas pozostawała niemal niezauważona. [przypis edytorski]

serce jego, jak gdyby podsycone strasliwą poezją walki, wybuchło. Ścisnął rękę Stefana i wykrzyknął:

— Zwycięzę!

— Dobryś! — rzekł dziennikarz. — Jeszcze jeden chrześcijanin wstępuje na arenę bestiom na pożarcie. Mój drogi, jest dziś premiera w Panorama-Dramatique, zacznij się aż o ósmej, jest szósta, idź włożyć, co masz najlepszego, słowem, staraj się wyglądać przyzwoicie. Wstąp po mnie. Mieszkam przy ulicy La Harpe, nad kawiarnią Servel, na czwartym. Pójdziemy najpierw do Dauriata. Trwasz w postanowieniu, nieprawdaż? Otóż zapoznam cię dziś wieczór z królem księgarni i ze śmietanką dziennikarzy. Po przedstawieniu pójdziemy przegryźć coś u mojej przyjaciółki z paroma kompanami, nasz obiad bowiem nie może się liczyć za posiłek. Spotkasz tam Finota, naczelnego redaktora i właściciela dziennika. Chcesz pływać, skacz tedy prosto w wodę.

— Nie zapomnę nigdy tego dnia — rzekł Lucjan.

— Uzbrój się także w swój rękopis i wyglądaj przyzwoicie, nie tyle dla Floryny, ile dla księgarza.

Ta koleżeńska dobroduszość, tuż po rozpaczliwym krzyku poety malującego wojnę literacką, wzruszyła Lucjana równie żywo jak niedawno, na tym samym miejscu, poważne słowa d'Artheza. Rozgrzany perspektywą bliskiej walki, niedoświadczony młodzieniec nie podejrzewał zgoła istoty niedoli moralnych, jakie mu odsłaniał dziennikarz. Nie wiedział, iż stoi na rozdrożu między dwiema różnymi drogami, dwoma kierunkami, reprezentowanymi przez Biesiadę i dziennikarstwo; jedna droga była długa, zaszczytna, pewna; druga usiana skalami i niebezpieczeństwami, pełna bagnistych rynsztoków, w których miało się zbrukać jego sumienie. Charakter niośł go ku drodze najkrótszej, na pozór najprzyjemniejszej, ku środkom stanowczym i szybkim. Nie dostrzegał w tej chwili żadnej różnicy między szlachetną przyjaźnią d'Artheza a łatwym koleżeństwem Stefana. Ruchliwy jego umysł ujrzał w dzienniku broń, po którą czuł się w prawie sięgnąć; czuł się zdatny do władania nią, zapragnął ją chwycić. Olśniony propozycjami nowego przyjaciela, którego dłoń uderzyła o jego rękę z taką pełną wdzięku swobodą, czyż mógł wiedzieć, że w armii prasy każdy potrzebuje przyjaciół, jak generałowie żołnierzy? Lousteau, widząc decyzję Lucjana, werbował go w nadziei przywiązania go do siebie. Dziennikarz znajdował w nim pierwszego przyjaciela, jak Lucjan pierwszego protektora; jeden chciał awansować na kaprała, drugi zostać żołnierzem. Neofita wrócił radośnie do hoteliku, gdzie dopełnił toalety równie starannej, jak w ów nieszczęsny dzień, gdy miał zabłysnąć w łożu margrabiny d'Espard, ale już suknie były mu bardziej do twarzy, już je sobie przyswoił. Włożył piękne obcisłe jasne pantalone, zgrabne buty z pomponami (czterdzieści franków!) i najparadniejszy fracek. Obfite i delikatne włosy blond sfalowały się pod ręką balwierza²⁰¹, który napoił je wonnościami i utrefił w błyszczące pukle. Czoło Lucjana zajaśniało odwagą czerpaną w poczuciu swej wartości i przyszłego zwycięstwa. Ręce, piękne jak u kobiety, umył i wypięłgnował, paznokcie w kształcie migdała załśniły, różowe i zgrabnie obcięte. Na tle czarnego atlasowego kołnierza zarysował się jasny owal podbródka. Nigdy ładniejszy młody człowiek nie zstępował z wyżyn „krajiny łacińskiej”. Piękny jak bóg grecki, Lucjan wziął dorożkę i o trzy kwadransy na siódmą²⁰² stanął u bramy domu, gdzie mieściła się kawiarnia Servel. Odwiedzina poleciła mu wdrapać się na czwarte piętro, dając dość skomplikowane wskazówki topograficzne. Uzbrojony w te informacje, znalazł, nie bez trudu, drzwi na końcu długiego, ciemnego korytarza i ujrzał klasyczny pokój Dzielnicy Łacińskiej. Nędza młodzieńcza ścigała go tu jak na ulicy de Cluny, jak u d'Artheza, u Chrestiena, wszędzie! Ale w każdym miejscu ma ona piętno, jakie nadaje jej charakter pacjenta. Tutaj nędza ta była szpetna. Orzechowe łóżko bez firanek, u stóp którego wałał się liche, okazjnie kupiony dywanik; firanki poślódkle od dymu zepsutego kominka i cygar; na kominku dość zbytkowna lampa, dar Floryny, który dotąd cudem uniknął lombardu; zniszczona mahoniowa komoda, stół zarzucony papierami, parę wystrzępionych piór, książki jedynie te, które nagromadziły się w ciągu ostatnich dni, oto inwentarz tego pokoju. Ohydny widok dopełniały schodzone buty zięjące w kącie, stare, do cna zestrzępione skarpetki; szczątki rozdeptanych cygar, brudne chustki, rozrzucone koszule,

Strój, Pieniądz

Uroda

²⁰¹balwierz (daw.) — fryzjer wykonujący również zabiegi kosmetyczne i felczerskie. [przypis edytorski]

²⁰²trzy kwadransy na siódmą (daw.) — trzy kwadransy po szóstej, czyli za kwadrans siódma. [przypis edytorski]

krawaty. Był to, słowem, biwak literacki, uderzający najopłakaniejszą nagością. Na stoliku nocnym leżało kilka książek przerzucanych dziś rano i fosforowe krzesiwko, na kominku brzytwa, para pistoletów, pudełko cygar. Na ścianie para floretów pod maską. Trzy nędzne krzesła i dwa fotele, odpowiednie chyba dla najnędzniejszego hoteliku na tej ulicy, dopełniały urządzenia. Pokój ten, zarazem niechlujny i smutny, świadczył o życiu bez skupienia i godności: widać było, że lokator sypia w nim, pracuje w pośpiechu, mieszka w nim z musu i opuszcza go co rychlej. Cóż za różnica między tym cynicznym nieładem a schludną, wstydliwą nędzą d'Artheza!... Rady tej, podszeptanej przez wspomnienie, Lucjan nie zdążył usłyszeć, Stefan bowiem nadrobił konceptem, aby osłonić ten dokument plugawego życia.

— Oto moja nora; sale reprezentacyjne są przy ulicy de Bondy, w nowym apartamencie urządzonym przez pigularza dla Floryny. Oblewamy go właśnie dziś wieczór.

Stefan Lousteau miał czarne pantalone, starannie wyczyszczone buty, frak zapięty pod szyję; koszula, którą z pewnością miał zmienić u Floryny, kryła się pod aksamitnym kołnierzem. Czyścił kapelusz, starał się mu nadać połysk nowości.

— Chodźmy — rzekł Lucjan.

— Jeszcze nie, czekam na księgarza, aby zdobyć nieco monety; będzie się może grało, nie mam ani szeląga; zresztą, potrzebuję rękawiczek.

W tej chwili dwaj nowi przyjaciele usłyszeli w korytarzu męskie kroki.

— To on — rzekł Lousteau. — Ujrysz, mój drogi, postać, jaką przybiera Opatrzność, kiedy się objawia poetom. Nim będziesz oglądał w jego chwale Dauriata, księgarza-swiatowca, ujrysz księgarza z Quai des Augustins, księgarza-lichwę, kupca starzyzny literackiej, normandzkiego eksprzekupnia sałaty. Przybysz, stary Tatarzynie! — krzyknął Lousteau.

— Idę, idę — rzekł głos bezdźwięczny niby pęknięty dzwonek.

— Z pieniędzmi?

— Z pieniędzmi!

— Nie ma ich już w ogóle w księgarni — odparł młody człowiek, który wchodząc, obrzucił Lucjana ciekawym spojrzeniem.

— Najpierw jesteś mi pan winien pięćdziesiąt franków — odparł Lousteau. — Następnie, oto dwa egzemplarze *Podróży po Egipcie*²⁰³. Mówią o tym cuda, zatrząsienie rycin, pokup pewny, zamówiono u Finota dwa artykuły, które ja mam pisać. *Item*²⁰⁴, dwa ostatnie romanse Wiktora Ducange, znakomitego dostawcy św. Kołtunerii²⁰⁵. *Item*, dwa egzemplarze drugiego dzieła młodego pióra, Pawła de Kock²⁰⁶, który robi w tym samym rodzaju. *Item*, dwie *Izoldy z Dôle*, ładne dzieło prowincjonalne. Razem sto franków, cena księgarska. Dawaj mi tedy sto franków, Barbusiu.

Barbet brał do ręki książki, przepatrując z uwagą kartki i okładkę.

— Och! Wszystkie w doskonałym stanie — wykrzyknął Lousteau. — *Podróż* nie przecięta ani Paweł de Kock, ani Ducange, ani te tam na kominku: *Rozważania o symbolice*; te dają ci darmo; są tak nudne, że nie chcę tego trzymać ani godziny, obawiam się niestrawności.

— Ale — rzekł Lucjan — w jaki sposób napisze pan o nich?

Barbet skierował na Lucjana zdumione spojrzenie, po czym spojrzał na Stefana, parskając śmiechem:

— Widać, że szanowny pan nie ma nieszczęścia być literatem.

— Nie, Barbet, nie. Ten pan jest poetą, wielkim poetą, który pogrąży Canalisa, Berangera i Delavigne'a. Zajdzie daleko, chyba że się rzuci na łeb do wody, a i wówczas zajęchalby do Saint-Cloud²⁰⁷.

²⁰³*Podróż po Egipcie* — zapewne chodzi o książkę *Voyage historique en Égypte...* autorstwa Dominique Di Pietro, wydaną w 1818, jedną z licznych pozycji, jakie ukazały się we Francji po wyprawie Napoleona do Egiptu, której towarzyszyło wielu historyków, przyrodników i rysowników. [przypis edytorski]

²⁰⁴*item* (łac.) — również, także. [przypis edytorski]

²⁰⁵*kołtuneria* (pogard.) — zbiorowość ludzi zacofanych, ciemnych i nietolerancyjnych; także: mentalność i postawa właściwe takim ludziom. [przypis edytorski]

²⁰⁶*Kock, Paul de* (1794–1871) — francuski pisarz, autor wielu rubasznych, swobodnych obyczajowo powieści o życiu paryskim. [przypis edytorski]

²⁰⁷*zajęchalby do Saint-Cloud* — w miasteczku Saint-Cloud, ok. 10 km od centrum Paryża, Sekwanę przegradzono sieciami w celu wylławiania ciał topielców. [przypis edytorski]

— Gdyby mi wolno było dać panu radę — rzekł Barbet — radziłbym porzucić wiersze, a wziąć się do prozy. Nie chcą już wierszy w antykwarni.

Barbet miał na sobie surducinę zapiętą na jeden guzik, z zatłuszczonym kołnierzem; wszedł w kapeluszu na głowie, na nogach miał grube buty, rozchyłona kamizelka ukazywała pocziwą koszulę z grubego płótna. Twarz okrągła, rozświecona parą chciwych oczu, miała pozory dobroduszości; ale równocześnie w spojrzeniu był ów nieokreślony niepokój ludzi zamożnych, nawykłych, że ich często nagabują o pieniądze. Wydawał się gładki i łatwy, tak chytróść jego była wyścielona tuszą. Przebywszy jakiś czas praktykę jako subiekt, otworzył od dwu lat nędzną antykwarnię, skąd puszczał się między dziennikarzy, autorów i drukarzy, skupując za bezcen egzemplarze gratisowe i zarabiając w ten sposób jakieś dziesięć do dwudziestu franków dziennie. Ciulając grosz do grosza, wietrzył potrzeby każdego, myszkował za dobrą aferą, eskontował²⁰⁸, po piętnaście lub dwadzieścia od sta²⁰⁹, autorom przyciśniętym potrzebą weksle księgarzy, do których szedł nazajutrz kupić, za cenę zniżoną „dla płacącego gotówką”, jakichś kilka dobrych poszukiwanych książek, oddając im własne ich weksle miast pieniędzy. Posiadał pewne wykształcenie, które służyło mu na to, aby starannie unikać poezji i nowoczesnych powieści. Lubił nad wszystko małe przedsięwzięcia, książki użyteczne, których całkowita własność kosztowała go tysiąc franków i które mógł eksploatować do woli, jak np. *Historia Francji dla dzieci*, *Buchalteria w dwudziestu lekcjach*, *Botanika dla panienek*. Wypuścił już z rąk parę dobrych książek, wymęczywszy wprzód autorów dwudziestokrotnymi wizytami, nie mogąc się zdecydować na nabycie. Kiedy mu wymawiano tchórzostwo, pokazywał sprawozdanie ze sławnego procesu, którego skrypt, wycięty z dzienników, nie kosztował go nic, a które przyniosło mu dwa do trzech tysięcy.

Interes, Pieniądz, Książka

Barbet był to księgarz-strachajło, który żyje chlebem i orzechami, wypuszcza jak najmniej weksli, nicuje rachunki, obrywa je, roznosi sam książki nie wiadomo gdzie, ale, koniec końców, sprzedaje i robi pieniądze. Był on postrachem drukarzy, którzy nie wiedzieli, jak z nim sobie radzić: płacił ich z potrąceniem skonta²¹⁰ i obrzynał rachunki, wypatrzwszy chwilę pilnej potrzeby; następnie omijał tych, których raz oporządził, lekając się jakiej podrywki²¹¹.

Interes

— Cóż, idzie interes? — rzekł Lousteau.

— Ech, panie drogi — rzekł poufale Barbet — mam w sklepie sześć tysięcy tomów do zbytu. Owóż, jak mówił pewien doświadczony księgarz, łatwo się książki pisze — ale trudno sprzedaje. To żaden towar.

— Gdybyś zaszedł do jego sklepu, drogi Lucjanie — rzekł Stefan — ujrzałbyś na ładzie dębowej (nabytek z licytacji jakiejś winiarni) nieobciętą łojówkę, wówczas bowiem spala się mniej szybko. W tym blasku ujrzałbyś półki próżne. Aby strzec tej nicości, chłopczyna w niebieskiej kamizeli dmucha sobie w palce, tupie nogami lub wali się po bokach dorożkarską modą. Ot, patrz! Nie więcej książek, niż ja ich mam tutaj. Nikt nie może odgadnąć, co tam właściwie za handel się uprawia.

— Oto trzymiesięczny weksel na sto franków — rzekł Barbet, który nie mógł się wstrzymać od uśmiechu, wydobywając z kieszeni stemplowy papier. — Zabieram pańskie szpargały. Widzisz pan, nie mogę płacić już gotówką, sprzedaż idzie zbyt ciężko. Myślałem, że pan mnie będzie potrzebował, byłem bez grosza, podpisałem ten blankiet, aby panu wygodzić, bo na ogół nie lubię puszczać w świat mego podpisu.

— Żadasz zatem jeszcze mego szacunku i podziękę? — rzekł Lousteau.

— Mimo iż nie da się wyrównać weksła uczuciami, przyjmę, ostatecznie, pański szacunek — odparł Barbet.

— Ale ja potrzebuję rękawiczek, perfumy zaś nie będą na tyle uprzejme, aby przyjąć pański oblig — rzekł Lousteau. — Ot, masz pan wspaniałe sztych, tam w pierwszej szufladzie komody, wart jest osiemdziesiąt franków, egzemplarz przed odbiciem, a po

Pieniądz

²⁰⁸eskontować (daw.) — dyskontować weksel, tj. wykupywać weksel przed terminem jego płatności po potrąceniu pewnej części sumy, na jaką go wystawiono. [przypis edytorski]

²⁰⁹od sta (daw.) — od stu (sta: daw. D. słowa „sto”, odmienianego jak rzeczownik); dziś: procent. [przypis edytorski]

²¹⁰skonto — procentowe zmniejszenie sumy należności udzielane nabywcy towaru, jeżeli płaci należność gotówką, zamiast korzystać z oferowanego przez sprzedawcę odroczenia płatności. [przypis edytorski]

²¹¹podrywka (daw.) — podstęp. [przypis edytorski]

artykule, nagryzmoiliem o tym parę dość uciesznych wierszy. Było co pisać o tym *Hipokracie odrzucającym dary Artakserksesa*²¹². Hę? Ta piękna rycina nadałaby się w salonie lekarzy, którzy odrzucają zbyt kosztowne dary satrapów²¹³ paryskich. Znajdziesz pan jeszcze pod ryciną z trzydzieści romansów. No, bierz wszystko i daj czterdzieści franków.

— Czterdzieści franków! — rzekł księgarz, wydając pisk przestraszonej kury. — Najwyżej dwadzieścia. A i te mogę stracić — dodał Barbet.

— Gdzież te dwadzieścia franków? — odparł Lousteau.

— Daję słowo, nie wiem, czy mam — odparł Barbet, obszukując kieszenie. — Są. Obdzierasz mnie pan, masz na mnie wpływ, w istocie...

— Dalej, chodźmy — rzekł Lousteau, który wziął rękopis Lucjana i zrobił pod węzełkiem znaczek atramentem.

— Ma pan jeszcze co? — spytał Barbet.

— Nie, mój Shyloczku²¹⁴. Ale nastroję panu świetny interes (na którym stracisz tysiąc talarów, żeby cię nauczyć, za to, że mnie okradasz w ten sposób!) — rzekł po cichu Lousteau do Lucjana.

— A pańskie recenzje? — rzekł Lucjan, gdy dorożka wiozła ich w stronę Palais-Royal.

— Ba, nie wiesz, jak się to kleci? Co do *Podróży po Egipcie*, otwarłem książkę i rzuciłem okiem, nie przecinając, przy czym odkryłem jedenaście błędów językowych. Machnę jedną kolumnę, pisząc, że jeżeli autor nauczył się języka kaczek wyrytych na kamieniach egipskich zwanych obeliskami, nie zna w zamian własnego języka, i dowiodę mu tego. Powiem, że zamiast nam mówić o historii naturalnej i starożytnościach, powinien był się raczej zająć przyszłością Egiptu, postępem cywilizacji, sposobami pozyskania Egiptu dla Francji, która, zdobywszy go raz i straciwszy, może go jeszcze zjednać sobie drogą moralnego wpływu. W tym miejscu kuplecik patriotyczny, nadziewany tyradami o Marsylii, Wschodzie, o handlu francuskim.

— A gdyby to był uczynił, cóż byś wówczas powiedział?

— Hm, wówczas powiedziałbym, że zamiast nas piłować polityką powinien był się zająć sztuką, ująć kraj z jego strony malowniczej i terytorialnej. Krytyk daje wówczas upust lamentacjom. Polityka, powiada, zalewa nas, nudzi, pełno jej wszędzie. Żałowałbym owych uroczych historii podróżniczych, w których tłumaczono nam trudności żeglowania, urok pełnego morza, rozkosze przejścia równika²¹⁵, słowem, wszystkie te cuda tak łakome dla ludzi, którzy nie będą podróżowali nigdy. Wciąż pełen entuzjazmu, dworuję sobie mimochodem z podróżników, którzy święcą jako wielkie wydarzenia przelatującego ptaka, latającą rybę, połów, oznaczanie punktów geograficznych, gruntowanie dna. Domagam się na nowo owych specjalów naukowych, zupełnie niezrozumiałych, które pociągają jak wszystko, co głębokie, tajemnicze, niepojęte. Abonent śmieje się, ma za swoje pieniądze. Co do romansów, Floryna jest największą pozeraczką romansów pod słońcem, opowiada mi treść i klecę recenzje wedle jej opinii. Kiedy ją znudziło to, co nazywa gadaniną, wówczas biorę książkę pod uwagę i żądam nowego egzemplarza od wydawcy, który przesyła go czym prędzej, uszczęśliwiony, iż będzie miał pochlebny artykuł.

— Dobry Boże, ale krytyka, święta krytyka? — rzekł Lucjan, przepojony hasłami Biesiady.

— Mój drogi — odparł Lousteau — krytyka to szcztotka, której nie da się używać do lekkich materii, wydarłaby z nich włos do szcztetu. Ale słuchaj, dajmy pokój rzemiosłu. Widzisz ten znaczek? — rzekł, ukazując rękopis *Stokroci*. — Zrobiłem małą kreskę przez sznurek i papier. Jeśli Dauriat przeczyta rękopis, nie zdoła oczywiście zawiązać sznurka dokładnie tak samo. Zatem rękopis jest jak opieczętowany. Nie będzie to bez pożytku dla doświadczeń, które chcesz podjąć. A zauważ, że nie zjawiasz się sam, bez ojca

²¹²*Hipokrat odrzucający dary Artakserksesa* — obraz Anne-Louis Girodeta (1767–1824) z roku 1792, ukazujący odrzucenie darów i zaproszenia perskiego króla przez słynnego lekarza greckiego, który nie chciał pomagać wrogom; w 1816 Jean Massard wykonał miedziorytową reprodukcję obrazu Girodeta. [przypis edytorski]

²¹³*satrapa* — namiestnik prowincji (satrapii) w starożytnej Persji; synonim tyrana. [przypis edytorski]

²¹⁴*Shylock* — chciwy lichwiarz z komedii Szekspira *Kupiec wenecki*. [przypis edytorski]

²¹⁵*rozkosze przejścia równika* — „chrzest równikowy”, obejmujący szereg prób, tradycyjnie urządzany przez załogę statku, przebraną za bóstwa morskie, osobom, które po raz pierwszy przekraczają równik. [przypis edytorski]

chrzestnego w tym kramie, jak owi młodzi panice, co to obchodzą dziesięciu księgarzy, nim znajdą jednego, który im ofiaruje bodaj krzesło...

Lucjan doświadczył już prawdziwości tej uwagi. Lousteau zapłacił dorożkarza, rzucając mu trzy franki, ku zdumieniu Lucjana, uderzonego tą hojnością tuż po takiej nędzy. Następnie przyjaciele zapuścili się w Galerie Drewniane, gdzie królował wówczas księgarski rynek „nowości”. W tej epoce Galerie Drewniane stanowiły jedną z najsłynniejszych osobliwości Paryża. Nie od rzeczy będzie odmalować tutaj ten plugawy bazar; przez trzydzieści sześć lat odgrywał on w życiu paryskim tak wielką rolę, iż niewielu jest dojrzałych mężczyzn, którym by ten opis, niewiarygodny dla młodych, nie sprawił jeszcze przyjemności. W miejsce zimnej, wysokiej i szerokiej Galerii Orleańskiej, cieplarni bez kwiatów, znajdowały się baraki lub, aby rzec ściślej, budy z desek, nędznie pokryte, małe, lichy oświetlone od dziedzińca i ogrodu przez okienka wychodzące na sąsiednie posesje, a podobne do okien w najbrudniejszym szynku za rogatka mi. Potrójny rząd sklepów tworzył dwie galerie, wysokości około dwunastu stóp. Sklepy położone w środku otwarte były na obie galerie, których atmosfera udzielała im swego zaduchu, dach zaś przepuszczał cokolwiek światła przez zawsze brudne szyby. Jamy te nabrały olbrzymiej ceny wskutek napływu publiczności. Mimo że niektóre z nich były tak ciasne, iż liczyły ledwie sześć stóp szerokości a osiem do dziesięciu długości, czynsz roczny sięgał tysiąca talarów. Sklepy wychodzące na ogród i dziedziniec ogrodzone były zielonymi kratkami, może po to, aby tłum swoim naporem nie uszkodził lichy tynkowanych murów, które tworzyły tył magazynów. W ten sposób powstała przestrzeń na parę stóp szeroka, gdzie wegetowały najdziwniejsze produkty nieznaney nauce flory, zmieszane z wytworami rozmaitych nie mniej kwitnących gałęzi przemysłu. Stara gazeta spoczywała na krzaku róży w ten sposób, iż kwiatom retoryki udzielał się zapach skrofulicznych²¹⁶ kwiatów tego lichy pielęgowanego, ale w zamian bogato nawożonego ogródka. Wstążki wszelakich kolorów albo stare prospekty kwitły wśród gałęzi. Strzępy konfekcji dławiły wegetację: widziałeś tam kokardę z wstążek na pęku zieloności i doznawałeś uczucia zawodu, odkrywając atlasową wstążkę w czymś, co z daleka brałeś za dalię. Tak od dziedzińca, jak od ogrodu wyglądał tego fantastycznego pałacu następcą oczom najdziksze obrazy paryskiego niechlujstwa: splukane deszczem malatury, łatanie tynki, stare malowidła, fantastyczne szyldy. Poza tym publiczność zanieczyszczała starannie te zielone kraty, zarówno od ogrodu, jak od dziedzińca. Tak więc po obu stronach plugawy ten i cuchnący szpaler zdawał się delikatnym ludziom bronić przystępu do galerii; ale ludzie delikatni tak samo nie cofali się przed tymi plugastwami, jak książęta z cudownych baśni nie cofają się przed smokami i przeszkodami, którymi złe duchy odgrodziły upragnioną księżniczkę. Tak samo jak dzisiaj, galerie miały pośrodku przejście, wchodziło się tam przez dwa obecne perystyle²¹⁷, zaczęte przed rewolucją i zaniechane dla braku pieniędzy. Piękna kamienna galeria, która prowadzi do Komedii Francuskiej, tworzyła wówczas wąski pasaż o nieproporcjonalnie wysokich ścianach i tak lichy pokryty, że często zaciekał. Nazywano go Galerią Szklaną, dla odróżnienia od Galerii Drewnianych. Dachy tych nor były zresztą wszystkie w tak złym stanie, że dom Orleanów miał proces ze słynnym kupcem jedwabnym, któremu w ciągu jednej nocy niszczył towar na bardzo znaczną sumę. Kupiec wygrał sprawę. Podwójne płótno napuszczone smołą służyło w wielu miejscach za pokrycie. Podłogę Galerii Szklanej, gdzie Chevet zaczął się dorabiać fortuny, jak również podłogę Galerii Drewnianych stanowił naturalny grunt Paryża, pomnożony o sztuczny nasyp, naniesiony butami i trzewikami przechodniów. Co krok nogi natykały się na góry i doliny stwardniałego błota, wymiatane nieustannie przez kupców i wymagające od nowicjuszków niejakiej wprawy w chodzeniu.

Ten żalosny zbiór nieczystości, te zbrukane kurzem i deszczem oszklenia, te budy płaskie i okryte od zewnątrz łachami, te brudne niedokończone mury, ten natłok rzeczy mających coś z obozu Cyganów, coś z jarmarcznych namiotów, z tymczasowych szalowań otaczających w Paryżu pomniki, których się nie buduje, ta fizjonomia, jak gdyby wykrzywiona szpetnym grymasem, doskonale odpowiadała rodzajom handlu, które rożyły się pod tą szopą, bezwstydną, bezczelną, pełną szczebiotu i szalonej wesołości, gdzie

Pieniądz

Handel

²¹⁶skrofuliczny — chory na gruźlicę węzłów chłonnych szyi, dawniej zwaną skrofulami. [przypis edytorski]

²¹⁷perystyl — wewnętrzny dziedziniec otoczony kolumnami. [przypis edytorski]

między rewolucją roku 1789 a rewolucją roku 1830 toczyły się olbrzymie interesy. Przez dwadzieścia lat giełda znajdowała się naprzeciwko, na parterze pałacu. Tak więc opinia publiczna, reputacje tworzyły się i padały tutaj, zarówno jak sprawy polityczne i finansowe. Naznaczano sobie spotkania w tych galeriach przed i po giełdzie. Bank i handel Paryża skupiały się często na dziedzińcu Palais-Royal i chroniły się pod te szopy w czas deszczu. Ta wyrosła nie wiadomo w jaki sposób budowla obdarzona była przedziwną akustycznością. Wybuchy śmiechu rozlegały się donośnie. Wystarczyło, aby w jednym końcu wszczęła się kłótnia, a już w drugim wiedziało się, o co chodzi. Były tam tylko księgarnie: poezja, polityka, powieść; modniarki, wreszcie dziewczęta lekkiego życia zjawiały się jedynie wieczór. Tam wykwitwały nowinki i książki, młode i stare sławy, konspiracje polityki i kłamstwa księgarń. Tam sprzedawało się nowości i publiczność upierała się kupować je tylko tam. Tam sprzedano w ciągu jednego wieczora ileś tam tysięcy pamfletu Pawła Ludwika Courier²¹⁸ albo *Przygód córki królewskiej*²¹⁹, pierwszego pocisku wystrzelonego przez Orleanów²²⁰ w burbońską konstytucję. W epoce, w której Lucjan odwiedził galerię, kilka sklepów posiadało oszklone i dość wykwintne wystawy, ale wszystkie wychodziły na dziedziniec lub ogród. Aż do chwili, w której ta osobliwa kolonia zginęła pod młotem architekta, sklepy położone między dwiema galeriami były zupełnie otwarte, podparte słupami jak budy jarmarczne w miasteczku; poprzez sterty towarów lub oszklone drzwi oko mogło przeniknąć obie galerie. Ponieważ niemożliwe było opalać tę przestrzeń, kupcy mieli tylko małe piecyki i sami sprawowali funkcje straży pożarnej, jedna bowiem nieostrożność mogła pochłonąć w kwadrans to miasteczko z desek wyschłych na słońcu, jak gdyby już rozpalonych przez prostytutkę, pełnych gazy, muślinu, papieru, niekiedy wentylowanych przeciągami. Sklepy modystek pełne były nieprawdopodobnych kapeluszy, przeznaczonych nie tyle na sprzedaż, co na wystawę, wieszanych setkami na żelaznych grzybkach i strojących galerię tysiącem kolorów. Przez dwadzieścia lat przechodnie zadawali sobie pytanie, na jakich głowach kończą swą karierę te zakurzone kapelusze. Modystki, przeważnie brzydkie, ale hoże, wabiły chytrze kobiety i zachęcały do kupna obyczajem i gwarą hal. Gryzетка, o języku równie sprawnym jak jej ślepki, stała na taborecie i nawoływała: „Paniusiu, kup sobie paniusia ładny kapelus! — Dajże pan coś utargować dzisiaj”. Słownik ich, bogaty i malowniczy, mienił się w tysiącznych modulacjach głosu, którym towarzyszyły spojrzenia i docinki pod adresem przechodniów. Księgarze i modystki żyli z sobą w harmonii. W pasażu, pompatycznie nazwanym Galerią Szklaną, mieściły się jeszcze osobliwsze handle. Tam sadowili się brzuchomówcy, szarlatani wszelakiego rodzaju, widowiska, w których nie widzi się nic, i inne, w których pokazują ci świat cały. Tam osiadł człowiek, który zarobił siedem- czy osiemkroć tysięcy franków, wędrując po jarmarkach. Miał on za godło słońce obracające się na czarnym tle, dokoła zaś błyszczały te słowa, wypisane czerwono: „Tutaj ogląda człowiek to, czego nie danym jest oglądać samemu Bogu. Cena: dwa su”. Wywoływacz wpuszczał zawsze tylko dwie osoby — nigdy inaczej. Wszedłszy, znajdowaliście się nos w nos z wielkim zwierciadłem. Naraz głos, zdolny przerazić berlińczyka Hoffmanna, odzywał się jakby za pociśnięciem sprężyny: „Widzicie, panowie, to, czego przez całą wieczność Bogu nie jest dane oglądać, to znaczy *podobnych sobie*. Bóg nie ma podobnego sobie”. Wychodziliście zawstyżeni, nie śmiejąc przyznać się do swej głupoty. Ze wszystkich drzwiczek dobywały się podobne głosy, zachwalające kosmoramy²²¹, widoki Konstantynopola, przedstawienia marionetek, automaty grające w szachy, psy rozpoznające najpiękniejszą kobietę z towarzystwa. Tam kwitnął, w kawiarni Borela, brzuchomówca Fitz-James, nim zginął na

Żart, Interes

Handel

²¹⁸ *Courier*, Paul Louis (1772–1825) — francuski hellenista i publicysta liberalny; jeden z najbardziej zaciekle krytyków rządów Restauracji, atakował je w szeregu listów i pamfletów. [przypis edytorski]

²¹⁹ *Przygody córki królewskiej* (fr. *Aventures de la fille d'un roi*) — alegoryczna opowieść o Karcie Konstytucyjnej Ludwika XVIII, wydana anonimowo przez Jeana Vatout w 1821. [przypis edytorski]

²²⁰ *Orleanowie* — orleańska linia rodu Burbonów; jej przedstawicielem był Ludwik Filip I, ostatni monarcha Francji z rodu Burbonów, który objął władzę po wybuchu rewolucji lipcowej w 1830 oraz abdykacji i ucieczce króla Karola X. [przypis edytorski]

²²¹ *kosmorama* — panoramiczne malowidło przedstawiające widok miasta, wystawiane w zaciemnionym pomieszczeniu, dzięki zastosowaniu soczewek i odpowiedniego oświetlenia dające złudzenie głębi przestrzennej. Pierwszy salon kosmoram otwarto w 1808 w Paryżu, w Palais-Royal. [przypis edytorski]

Montmartre²²², zamieszany między elewów²²³ Szkoły Politechnicznej. Były tam owocarki i kwaciarki, sławny krawiec, na którego wystawie galony wojskowe błyszczą wieczorem niby słońca. Rano aż do drugiej po południu galerie były nieme, posępne i puste. Kupcy gwarzyli niby u siebie w domu. Ogólna schadzka ludności Paryża zaczynała się dopiero około trzeciej, z godziną giełdy. Z chwilą gdy tłum zaczynał napływać, młodzi ludzie, łaknący literatury a pozbawieni pieniędzy, uprawiali bezpłatną lekturę na wystawach księgarskich. Subiektci, mający powierzona straż nad wystawionymi książkami, pozwalali litościwie biedakom przewracać kartki. Dwustustronicowy tom in 12°, jak *Smarra, Piotr Schlehmil, Jan Sbogar, Jocko*²²⁴, łykało się w dwóch posiedzeniach. W owym czasie nie istniały jeszcze wypożyczalnie; kto chciał przeczytać książkę, musiał ją kupić; toteż powieści sprzedawało się w ilościach, które dziś wydałyby się bajeczne. Było coś na wskroś francuskiego w tej jałmużnie na rzecz młodej, łakomej a biednej inteligencji. Ale poezja tego straszliwego bazaru zaczynała promieniować ze schyłkiem dnia. Z przyległych ulic napływało mnóstwo dziewcząt, które mogły przechadzać się tu bez opłaty. Ze wszystkich kątów Paryża ściągały dziewczyny: każda musiała odbyć swoją turę Pałacu. Galerie Kamienne należały do uprzywilejowanych domów, które opłacały prawo wystawiania kobiet ubranych jak księżniczki między tą a tą arkadą i w odpowiadającym jej odcinku ogrodu, podczas gdy Galerie Drewniane były dla prostytutki terenem publicznym, prawdziwym Pałacem, które to słowo oznaczało wówczas świątynię prostytutki. Kobieta mogła tam wejść, wyjść w towarzystwie swej ofiary, uprowadzić ją, gdzie się jej podobało. Otóż kobiety te ściągały wieczorem do Galerii Drewnianych tłum tak ogromny, że można się było posuwać tylko krok po kroku, jak na procesji albo maskaradzie. To powolne tempo, na które nikt się nie skarżył, ułatwiało przegląd. Piękności owe ubierały się w sposób dziś już nieznany, jak nieznana już jest ich moda obnażania się do połowy pleców a bardzo nisko z przodu; toż samo znikły dziwaczne fryzury mające na celu ściągnięcie uwagi: ta po normandzku, owa za Hiszpankę, jedna cała w lokach jak piesek, druga z gładkimi pasmami; nogi w białej pończosze, odsłaniane Bóg wie dokąd, ale zawsze ze smakiem — cała ta poezja bezwstydu przepadła. Tej swobody pytań i odpowiedzi, tego harmonizującego z miejscem publicznego cynizmu nie znajduje się już ani na maskaradach, ani na słynnych dzisiejszych balach. Było to straszne i wesołe razem. Olśniewające ramiona i piersi połyskiwały pośród ciemnych przeważnie ubrań męskich i stwarzały gamę wspólnych kontrastów. Zmieszane głosy i szurkot nóg tworzyły szmer, który słychać było aż w ogrodzie, niby *basso continuo*²²⁵ zahaftowany śmiechem dziewcząt lub krzykami jakiegś niezbyt częstej kłótni. Osoby ze „świata”, najwybitniejsze osobistości ocierały się o najpodejrzaniejsze figury. Te potworne zbliżenia miały w sobie coś dziwnie drażniącego; najzimniejsi z natury ludzie czuli się podnieceni. Toteż cały Paryż cisnął się tam do ostatniej chwili; tłoczył się na drewnianej podłodze, którą architekt wznosił nad piwnicami podczas przebudowy. Olbrzymi i jednogłośnie żał towarzyszył ruinie tego plugawego baraku.

Księgarz Ladvocat usadowił się od kilku dni na rogu pasażu dzielącego w połowie tę galerię, naprzeciw Dauriata, młodego człowieka dziś zapomnianego, ale pełnego inicjatywy: on to pierwszy wykarczował drogę, na której zabłysnął później jego współzawodnik. Sklep Dauriata znajdował się w szeregu bud wychodzących na ogród, księgarnia zaś Ladvocata od dziedzińca. Sklep Dauriata podzielony był na dwie części; jedna stanowiła obszerny magazyn, druga gabinet. Lucjan, który znalazł się tu po raz pierwszy wieczor-

Książka

Prostytutka

²²²Montmartre — historyczna dzielnica w płn. części Paryża, położona na wzgórzu o tej samej nazwie; *zginął na Montmartre*: podczas walk w obronie Paryża przed armiami sprzymierzonych wojsk austriackich, rosyjskich i pruskich, 30 marca 1814. [przypis edytorski]

²²³elew (z fr.) — uczeń, wychowanek. [przypis edytorski]

²²⁴Smarra, Piotr Schlehmil, Jan Sbogar, Jocko — *Smarra albo demony nocy* (1821): opowiadanie fantastyczne Charlesa Nodiera (1780–1844); *Historia cudowna Piotra Schlemihla* (*Peter Schlemiels Schicksale*, 1814): nowela niem. poety Adalberta de Chamisso (1781–1838), o człowieku, który sprzedał swój cień, wydana po francusku w 1822; *Jan Sbogar* (1818): powieść gotycka Charlesa Nodiera; *Jocko, anegdota z niewydanych listów o instynkcie zwierząt* (*Jocko, anecdote détachée des lettres inédites sur l'instinct des animaux*, 1824): książka francuskiego pisarza, tłumacza i wydawcy Charlesa de Pougens (1755–1833). [przypis edytorski]

²²⁵basso continuo (wl.: ciągly bas) — linia głosu basowego stanowiąca podstawę harmoniczną utworu. [przypis edytorski]

rem, stracił głowę od tego widoku, któremu nie oprze się żaden prowincjał ani młokos. Stracił niebawem swego przewodnika.

— Gdybyś był taki śliczny jak ten glancus, wydałabym ci jeszcze reszty — rzekła jakaś dziewczyna do starszego jegomościa, wskazując Lucjana.

Lucjan zaczerwienił się po białka; płynął z falą w stanie oszołomienia i pijaństwa, trudnym do opisanego. Nagabywany spojrzeniami kobiet, wabiony bielą kształtów, wyzywającymi piersiami błyskającymi ze wszystkich stron, ścisnął kurczowo rękopis, bojąc się, aby mu go nie ukradli, niebożętko!

— Przepraszam! — krzyknął, czując, iż ktoś bierze go za ramię, i myśląc, że to jego poezje zwabiły jakiegoś autora.

Poznał świeżego przyjaciela, który rzekł:

— Wiedziałem, że cię to weźmie!

Poeta znalazł się w drzwiach magazynu, dokąd Lousteau go wepchnął. Pełno ludzi czekało tam na chwilę, w której będzie można pomówić z sułtanem księgarni. Drukarze, papiernicy i rysownicy, cisnący się dokoła subiektów, wypytawali ich o interesy w toku lub w planie.

— Patrz, oto Finot, „naczelnym” mego dziennika; ten, z którym rozmawia, to zdolna szelma, Felicjan Vernou; ziółko złośliwe niczym sekretna choroba.

— Pamiętaj, masz dziś premierę, stary — rzekł Finot, zbliżając się do Stefana Lousteau. — Rozporządziłem twoją łóżą.

— Sprzedałeś Braulardowi?

— A choćby, więc cóż? Każesz sobie dać miejsce. Czego ty chcesz od Dauriaty? Ale, ale, porozumieliśmy się, że będziemy pchali Pawła de Kock: Dauriat wziął dwieście, a Ducange odmówił mu powieści. Dauriat chce, mówił mi, stworzyć nową sławę w tym samym rodzaju. Wyśrubujesz Pawła de Kock ponad Ducange’a.

— Ale ja wystawiam z Ducange’em sztukę w Gaieté — zauważył Lousteau.

— Więc dobrze, powiesz mu, że artykuł ja pisałem, że miał być straszny, ty go złągodziłeś, i jeszcze będzie ci wdzięczny.

— Czy nie mógłbyś się postarać o zeskontowanie tego akceptu na sto franków u tu-tejszego kasjera? — rzekł Stefan. — Wiesz, że ucztuujemy dziś razem: oblewa się nowy apartament Floryny.

— Ach prawda, podejmujesz nas — odrzekł Finot z miną człowieka, który coś sobie z trudnością przypomina. — No, Gabusson — rzekł Finot, biorąc akcept Barbety i podając kasjerowi — daj no mu za mnie czterdzieści franków. Podpisze z tyłu, stary!

Gdy kasjer odliczał pieniądze, Lousteau wziął jego pióro i podpisał. Lucjan, cały zmieniony we wzrok i w słuch, nie stracił ani sylaby.

— To nie wszystko, drogi przyjacielu — rzekł Stefan — nie dziękuję ci, wiesz, że jestem ci oddany do grobowej deski. Mam pana de Rubempré przedstawić Dauriatowi i chciałbym, abyś go usposobił życzliwie.

— O co chodzi? — spytał Finot.

— O zbiorek poezji — odparł Lucjan.

— A! — rzekł Finot, wzruszając ramionami.

— Szanowny pan — rzekł Vernou, patrząc na Lucjana — od niedawna widać obcuje z księgarzami, inaczej wcisnąłby pan rzeczony rękopis w najstronniejszy kącik swego domostwa.

W tej chwili przystojny młody człowiek, Emil Blondet, który świeżo zadebiutował w „Journal des débats” szeregiem doniosłych artykułów, wszedł, uściśnął rękę Finota, Stefana i lekko pozdrowił Felicjana Vernou.

— Bądź dziś z nami o północy u Floryny — rzekł Lousteau.

— Już się stało — odparł młody człowiek. — A kto będzie?

— Hm — rzekł Lousteau — będą Floryna i Matifat, król pigularzy; du Bruel, autor, który dał rolę Florynie na debiut; stary Cardot wraz z zięciem Camusotem, dalej Finot...

— Czy twój pigularz umie się postawić przynajmniej?

— Nie da nam samych pigulek, mam nadzieję — rzekł Lucjan.

— Pan jest bardzo dowcipny — rzekł poważnie Blondet, spoglądając na Lucjana. — Czy i ten pan będzie dzisiaj, Stefanie?

— Tak.

— Ubawimy się.

Lucjan zaczerwienił się po białka.

— Długo tam jeszcze, Dauriat? — rzekł Blondet, pukając w szybkę gabinetu.

— Służę ci w tej chwili.

— Dobra — rzekł Lousteau do protegowanego. — Ten młody człowiek, ledwie że starszy od ciebie, jest w „Debatach”. To jeden z książąt krytyki: boją się go. Dauriat przyjdzie słodki jak cukierek i będziemy mogli wytoczyć naszą sprawę temu paszy rysowników i drukarzy. Inaczej ani o jedenastej nie doczekalibyśmy się kolei. Coraz tu rojniej.

Lucjan i Lousteau zbliżyli się do Blondeta, Finota i Vernou, skupiając się w kącie.

— Co on tam robi? — rzekł Blondet do Gabussona, dysponenta, który podszedł się z nim przywitać.

— Kupuje tygodnik: chce go odrestaurować i przeciwstawić „Minerwie”²²⁶, która zanadto wyłącznie służy Eymery’emu²²⁷, oraz „Konserwatystę”²²⁸, który jest zbyt ślepo romantyczny.

— Będzie dobrze płacił?

— Ależ, jak zawsze... zanadto! — rzekł kasjer.

W tej chwili wszedł do księgarni młody człowiek, który świeżo wydał wspaniały romans, rozchwytywany szybko i uwieńczony najpiękniejszym sukcesem, romans, którego drugie wydanie drukowało się dla Dauriata. Młody ów człowiek, o niepospolitym i dziwacznym wyglądzie znamionującym naturę artysty, uderzył żywo Lucjana.

— To Natan — szepnął Lousteau prowincjonalnemu poecie.

Natan, mimo nieposkromionej dumy malującej się w jego fizjonomii, wówczas w kwiecie młodości, przystąpił do dziennikarzy z kapeluszem w dłoni i zachował się niemal uniżenie wobec Blondeta, którego znał dotąd tylko z widzenia. Blondet i Finot stali w kapeluszach na głowie.

— Panie, szczęśliwy jestem ze sposobności, jaką nastęrcza mi przypadek...

— Jest tak zmieszany, że popełnił pleonazm²²⁹ — rzekł Felicjan do Stefana.

— ...aby panu wyrazić moją wdzięczność za piękny artykuł, który zechciałeś poświęcić mi w „Debatach”. Jest pan w połowie twórcą powodzenia mej książki.

— Nie, drogi panie, nie — rzekł Blondet tonem niby to dobrodusznym, a w gruncie protekcyjnym. — Ma pan talent, niech mnie czarci porwą, i rad jestem niezmiernie, że pana poznaję.

— Ponieważ pański artykuł już się ukazał, nie będę wyglądał na człowieka, który schlebia władzy; możemy mówić swobodnie. Czy zrobi mi pan ten zaszczyt i przyjemność, aby zjeść ze mną obiad jutro? Finot też będzie. Lousteau, mój stary, nie odmówisz mi? — dodał Natan, ściskając rękę Stefana. — Och, pan jesteś na pięknej drodze, drogi panie — rzekł do Blondeta — idziesz w ślady Dussaulta, Fiévée, Geoffroy²³⁰; Hoffman mówił o panu Klaudiuszowi Vignon, swemu uczniowi, jednemu z moich przyjaciół, i powiedział, że umrze spokojnie, bo „Journal des débats” ma życie zapewnione. Muszą panu płacić bajecznie?

— Sto franków kolumnę — rzekł Blondet. — Ta cena to nic, skoro się jest obowiązującym czytać książki, czytać ich sto, aby znaleźć jedną, którą się można zająć, jak pańską. Pańskie dzieło sprawiło mi przyjemność, słowo honoru.

— I przyniosło mu tysiąc pięćset franków — szepnął Lousteau do Lucjana.

— Ale pan robi i politykę? — rzekł Natan.

— Tak, miejskami — odparł Blondet.

²²⁶ „Minerwa” — tu: „Minerwa literacka” („Minerve littéraire”), paryska gazeta liberalna, wydawana w l. 1820–1822. [przypis edytorski]

²²⁷ Eymery, Alexis Blaise (1774–1854) — paryski wydawca i autor książek dla dzieci i młodzieży. [przypis edytorski]

²²⁸ „Konserwatysta” — „Le Conservateur”, paryska gazeta ultraroyalistów, wydawana w l. 1818–1820. [przypis edytorski]

²²⁹ pleonazm — wypowiedź „nadmiarowa”; wyrażenie, w którym powielane są te same treści (pot. masło maślane). [przypis edytorski]

²³⁰ Dussault, Fiévée, Geoffroy — umiarkowani rojaliści francuscy, współpracownicy pisma „Journal des débats”: Jean Joseph Dussault (1769–1824): bibliotekarz, dziennikarz i krytyk literacki; Joseph Fiévée (1767–1839): dziennikarz, pisarz, dramaturg; Julien Louis Geoffroy (1760–1828): krytyk literacki. [przypis edytorski]

Lucjan, który czuł się tu niby embrionem, podziwiał książkę Natana, czcił autora jej na równi z bóstwem i głupeł po prostu, widząc taką uniżoność wobec krytyka, którego imię i wpływ były mu obce.

„Czy i ja kiedyś znajdę się w tej roli? Trzebaż tedy wyrzec się godności? — rzekł do siebie. — Włóżże kapelusz, Natanie! Stworzyłeś piękną książkę, a krytyk napisał tylko artykuł”.

Te myśli smagały mu krew w żyłach. Widział od czasu do czasu zjawiających się lekkliwych młodych ludzi, autorów w potrzebie, którzy pragnęli mówić z Dauriatem, ale którzy, widząc sklep pełny, wątpili o możliwości uzyskania audiencji i powiadali sobie, odchodząc: „Wrócę kiedy indziej”. Paru polityków rozmawiało o zwołaniu Izby i o sprawach dnia, w grupie złożonej z politycznych znakomitości. Tygodnik, o który traktował²³¹ Dauriat, miał prawo zabierać głos w polityce. W owym czasie niewiele było tych papierowych mównic: koncesja na dziennik była przywilejem równie poszukiwanym, co na teatr. Jeden z najwpływowszych akcjonariuszy „Constitutionnela” znajdował się w tej grupie polityków. Lousteau cudownie wywiązywał się z obowiązków *cicerone*²³². Z każdym zdaniem Dauriat ogromniał w umyśle Lucjana, który widział całą literaturę i politykę skupione w tym sklepie. Na widok znakomitego poety prostytuującego dziennikarzowi swą muzę, upokarzającego sztukę, tak jak upokorzoną, sprostytuowaną była kobieta pod tymi cuchnącymi arkadami, wielki człowiek z prowincji przechodził straszliwą szkołę. Pieniądz! Oto słowo zagadki²³³. Lucjan czuł się sam, nieznany, ledwie przyczepiony do powodzenia i fortuny nitką wątpliwej przyjaźni. Oskarżał w duchu swoich serdecznych, prawdziwych przyjaciół z Biesiady, iż odmalowali mu świat w fałszywych kolorach, iż przeszkodzili mu rzucić się z piórem w dłoni w wir bitwy.

„Byłbym już Blondetem!” — wykrzyknął w duchu.

Lousteau, który niedawno na wyżynach Luksemburgu krzyczał niby ranny orzeł, który zdawał mu się tak wielki, obecnie kurczył się w oczach Lucjana do nader drobnych rozmiarów. Modny księgarz, ośrodek wszystkich tych egzystencji, wydał mu się naprawdę ważnym człowiekiem. Poeta, ściskając swój rękopis, odczuł drżenie bardzo podobne do strachu. W sklepie na drewnianych, malowanych na marmur piedestałach widniały popiersia Byrona, Goethego i pana de Canalis, od którego Dauriat miał nadzieję uzyskać jaki tom; skoro poeta zajdzie do tego kramu, pogłaszcze go widomy dowód czci. Mimo woli Lucjan malął we własnych oczach, odwaga jego słabła, przewidywał, jaki wpływ będzie miał ów Dauriat na jego egzystencję, i oczekiwał niecierpliwie jego zjawienia.

— I cóż, dzieci — rzekł krótki i gruby człowieczek o twarzy dość podobnej do rzymskiego prokonsula, ale złagodzonej wyrazem dobroduszości, na którą łapali się ludzie powierzchowni — oto jestem właścicielem jedyne go tygodnika, który był do kupienia i który ma dwa tysiące abonentów.

— Kawalarz! Urząd stemplowy wykazuje siedmuset, a i to już ładna cyfra — rzekł Blondet.

— Najświętsze słowo honoru, tysiąc dwustu. Powiedziałem dwa tysiące — dodał zniżonym głosem — na intencję papierników i drukarzy, którzy tam stoją. — Myślałem, że masz więcej taktu, mój stary — podjął głośno.

— Bierzesz współników? — spytał Finot.

— To zależy — rzekł Dauriat. — Chcesz trzecią część własności za czterdzieści tysięcy?

— Zgoda, jeśli pan przyjmie jako współpracowników tu obecnego Emila Blondeta, Klaudiusza Vignona, Scribe’a, Teodora Leclercq’a, Felicjana Vernou, Jay, Jouy²³⁴, Lousteau...

— A czemu nie Lucjana de Rubempré? — rzekł, wpadając buńczucznie w słowo, prowincjonalny poeta.

— I Natana — dokończył Finot.

²³¹traktować — tu: negocjować. [przypis edytorski]

²³²cicerone (wł.) — przewodnik. [przypis edytorski]

²³³słowo zagadki (daw.) — rozwiązanie zagadki. [przypis edytorski]

²³⁴Scribe, Teodor Leclercq (...) Jay, Jouy — Eugène Scribe (1791–1861): autor komedii, wodewilów, librecista, jeden z najbardziej wpływowych i płodnych w historii opery; Théodore Leclercq (1777–1851): dramaturg, autor krótkich sztuk obyczajowych; Antoine Jay (1770–1854): pisarz, dziennikarz i historyk; Victor-Joseph Étienne, zwany de Jouy (1764–1846): dramaturg i librecista. [przypis edytorski]

— A czemu nie każdego z ulicy? — rzekł księgarz, marszcząc brwi i zwracając się do autora *Stokroci*. — Z kim mam przyjemność? — rzekł, mierząc Lucjana lekceważącym spojrzeniem.

— Chwileczkę, Dauriat — rzekł Lousteau. — To ja przyprowadziłem pana. Podczas gdy Finot będzie rozważał propozycję, posłuchaj pan chwilę.

Lucjan uczuł zimny pot na grzbiecie, widząc chłodną i niechętną minę straszliwego padyszacha²³⁵ księgarni, który „tykał” Finota, mimo że Finot mówił mu „pan”, który groźnemu Blondetowi mówił „moje dziecko” i który królewskim ruchem podał rękę Natanowi z poufałym skinieniem głowy.

— Nowy interes, Stefanku? — wykrzyknął Dauriat. — Ależ wiesz przecie, mam tysiąc sto rękopisów. Tak, panowie — wykrzykiwał — złożono mi tysiąc sto rękopisów, spytajcie Gabussona! Po prostu niedługo będę potrzebował osobnej administracji, aby zarządzać składem manuskryptów, całego biura dla ich czytania; będą posiedzenia, głosowanie o ich wartości, diety i stały sekretarz przedkładający mi sprawozdania. Słowem, filia Akademii Francuskiej, z tą różnicą, iż akademicy lepiej będą płatni w Galeriach Drewnianych niż w Instytucie.

— To jest myśl — rzekł Blondet.

— Licha myśl — odparł Dauriat. — To nie moja rzecz grzebać się w elukubracjach²³⁶ wszelkiego jegomości, który chwyta się literatury, kiedy nie może zostać ani kapitalistą, ani szewcem, ani kapralem, ani lokajem, ani kancelistą, ani woźnym! Tu wchodzi się jedynie z gotową reputacją. Bądź sławny, a znajdziesz tu strumienie złota. Oto od dwóch lat trzy wielkości powstały z mojej łaski i dochowałem się trzech niewdzięczników. Natan śpiewa mi sześć tysięcy franków za drugie wydanie książki, która mnie kosztowała trzy tysiące w artykułach, a nie przyniosła na czysto ani tysiąca. Za dwa artykuły Blondeta zapłaciłem tysiąc franków i obiad za pięćset...

— Ależ panie, jeżeli wszyscy księgarze powiedzą tak jak pan, w jaki sposób wydać pierwszą książkę? — spytał Lucjan, w którego oczach Blondet ogromnie stracił na wartości, odkąd usłyszał cyfrę, za jaką Dauriat zdobył artykuły w „Debatach”.

— To mnie nie obchodzi — rzekł Dauriat, uderzając zabójczym spojrzeniem pięknego Lucjana, który przybrał najbardziej ujmującą minę. — Ja się nie bawię w wydawanie książki, w ryzyko dwóch tysięcy, aby zarobić drugie dwa; ja robię w literaturze na wielką skalę: wydaję czterdzieści tomów po dziesięć tysięcy egzemplarzy, jak Panckoucke²³⁷ i Baudouinowie²³⁸. Siłą moich stosunków i artykułów, za które płacę, pcham interes na sto tysięcy talarów, zamiast popychać jeden tomik za dwa tysiące franków. Tyleż trzeba wysiłku, aby wprowadzić w świat nowe nazwisko, autora i jego książkę, co aby puścić *Teatr cudzoziemski*, *Zwycięstwa i zdobycze* albo *Pamiętniki o rewolucji*²³⁹, które są kopalnią złota. Ja nie jestem tu po to, aby być podnóżkiem dla przyszłych sław, ale aby zarabiać i dawać pieniądze ludziom sławnym. Rękopis, za który płacę sto tysięcy, tańszy jest niż ten, za który nieznany autor żąda sześćset franków! Jeżeli nie jestem zupełnym mecenasem, w każdym razie mam prawo do wdzięczności literatów: podbiłem już cenę rękopisów o więcej niż sto procent. Tłumaczę to panu, bo jesteś przyjacielem Stefana, młodzieńcze — rzekł Dauriat do poety, klepiąc go beczelnie poufałym ruchem po ramieniu. — Gdybym rozmawiał ze wszystkimi autorami, którzy szukają wydawcy, trzeba by zamknąć sklep, gdyż traciłbym cały czas na rozmówkach niezmiernie przyjemnych, ale o wiele za

Interes, Książka

²³⁵ *padyszach* — tytuł władców tureckich i perskich. [przypis edytorski]

²³⁶ *elukubracja* — lichey utwór literacki, wypracowany mozolnie przez osobę pozbawioną talentu. [przypis edytorski]

²³⁷ *Panckoucke*, *Charles Louis Fleury* (1780–1844) — francuski wydawca i księgarz, pisarz, tłumacz dzieł Tacyta; zapoczątkował liczącą ponad 200 tomów kolekcję francuskich tłumaczeń klasyki rzymskiej (wyd. 1826–1839, 1842–1849). [przypis edytorski]

²³⁸ *Baudouinowie* — synowie François Jeana Baudouina (1759–1835), który był oficjalnym drukarzem rządu podczas Rewolucji Francuskiej; bracia Charles (1791–1867) i Alexandre (1791–1859), którzy od 1820 również prowadzili księgarnię wydawniczą, od 1828 razem ze swoim młodszym bratem, Hippolytem (ur. 1795). [przypis edytorski]

²³⁹ *Teatr cudzoziemski*, *Zwycięstwa i zdobycze* albo *Pamiętniki o rewolucji* — *Teatr cudzoziemski* (*Théâtres étrangers* 1822–1823): 25-tomowa seria przekładów wydana przez Ladvocata; *Zwycięstwa i zdobycze* (*Victoires et conquêtes...*, 1817–1822): 27-tomowa praca o wojnach Francuzów w l. 1792–1815, wydana przez Panckouckę’a; *Pamiętniki o rewolucji* (*Collection des Mémoires relatifs à la Révolution française*: 1822–1828): 57-tomowa kolekcja pamiętników wydana przez Berville’a i Barrière’a. [przypis edytorski]

drogich. Nie jestem jeszcze dość bogaty, aby słuchać monologów każdej miłości własnej. To się da znieść tylko w teatrze, w klasycznej tragedii.

Wykwintny strój straszliwego Dauriatu dodawał wagi w oczach prowincjonalnego poety temu piekielnie logicznemu wywodowi.

— Cóż to takiego? — rzekł księgarz do Stefana Lousteau.

— Wspaniały tomik wierszy.

Słyszając to słowo, Dauriat obrócił się do Gabussona ruchem godnym Talmy:

— Gabusson, mój przyjacielu, poczawszy od dziś dnia, ktokolwiek przyjdzie proponować mi rękopis... Słyszycie, hej? — rzekł, zwracając się do trzech subiektów wylaniających się spoza stert książek na podniesiony głos pryncypała, który oglądał tymczasem swoje paznokcie i ręce, istotnie ładne. — Ktokolwiek przyniesie mi rękopis, spytacie, czy to wiersze, czy proza. Jeżeli wiersze, odprawcie natychmiast. Wiersze stoczą księgarnię jak robaki.

— Brawo, Dauriat! Świetnie to powiedział — wykrzyknęli dziennikarze.

— To prawda — wykrzyknął księgarz, przemierzając sklep z rękopisem Lucjana w ręku. — Nie wiecie panowie, ile złego spowodowało powodzenie lorda Byrona, Lamartine'a, Wiktora Hugo, Kazimierza Delavigne, Canalisa i Berangera. Ich chwała sprowadziła na nas najazd barbarzyńców. Jestem pewien, że mam w tej chwili wśród rękopisów tyśiąc tomów wierszy zaczynających się luźnymi historiami bez głowy i ogona, na wzór *Korsarza* i *Lary*²⁴⁰. Pod pretekstem oryginalności młodzi ludzie lubują się w niezrozumiałych strofach, w poematach opisowych, w których młoda szkoła mniema, iż toruje nowe drogi, odkrywając na nowo Delille'a²⁴¹! Od dwóch lat poeci roją się jak chrabąszcze. Straciłem na tym w zeszłym roku dwadzieścia tysięcy! Spytajcie Gabussona! Mogą istnieć na świecie poeci nieśmiertelni, znam takich białych i różowych cacusiów, którzy mają jeszcze mleko pod nosem — rzekł do Lucjana — ale w księgarni, młody człowieku, jest tylko czterech poetów: Beranger, Kazimierz Delavigne, Lamartine, Wiktor Hugo; bo Canalis!... to poeta zrobiony sztuką.

Lucjan nie czuł w sobie odwagi, aby się nastroszyć obrażoną dumą wobec tych wpływowych ludzi, którzy śmiali się serdecznie. Zrozumiał, iż zarżnąłby się i okrył śmiesznością, ale miał wściekłą ochotę skoczyć księgarzowi do gardła, zakłócić drażniącą harmonię węzła jego krawatki, zerwać złoty łańcuch połyskujący na piersi, podeptać mu zegarek i rozszarpać jego samego w sztuki. Podrażniona miłość własna otworzyła wrota zemście; uśmiechając się słodko, poprzysiągł księgarzowi śmiertelną nienawiść.

— Poezja jest jak słońce, które rodzi wiekuiste lasy, a także płodzi komary, muchy, moskity — rzekł Blondet. — Nie ma cnoty, która by nie była podszyta przywarą. Literatura wydaje księgarzy...

— I dziennikarzy! — rzekł Lousteau.

Dauriat parsknął śmiechem.

— No, więc coś to takiego? — rzekł, wskazując rękopis.

— Zbiór sonetów, zdolny przypisać Petrarce o rumieniec — rzekł Lousteau.

— Jak to rozumiesz? — spytał Dauriat.

— Zwyczajnie — odparł Lousteau, który spostrzegł sprytny uśmiech na wszystkich wargach.

Lucjan nie mógł się gniewać, ale pocił się w swoim rynsztunku.

— Więc dobrze, przeczytam — rzekł Dauriat, czyniąc królewski gest, świadczący o całej doniosłości ustępstwa. — Jeśli twoje sonety są na wyżynie dziewiętnastego wieku, zrobię z ciebie wielkiego poetę, mój mały.

— Jeśli ma tyle talentu, co urody, nie poniesie pan zbytniego ryzyka — rzekł jeden z najślawniejszych mówców Izby²⁴², rozmawiający z redaktorem „Constitutionnela” i dyrektorem „Minerwy”.

²⁴⁰ *Korsarz, Lara* — powieści poetyckie Byrona z 1814. [przypis edytorski]

²⁴¹ *Delille, Jacques* (1738–1813) — francuski poeta i tłumacz, autor opisowych poematów klasycystycznych (*Ogrody, Ziemianin*). [przypis edytorski]

²⁴² *Jeden z najślawniejszych mówców Izby* — uznawany za wybitnego mówcę generał napoleoński Maximilien Sebastien Foy (1775–1825), jeden z przywódców opozycji w okresie Restauracji. [przypis edytorski]

— Generale — rzekł Dauriat — sława to artykułów za dwanaście tysięcy franków i obiadów za trzy tysiące, spytaj pan autora *Samotnika*... Jeżeli pan Benjamin de Constant zechce napisać artykuł o tym młodym poecie, dobijemy interesu bez targów.

Na to słowo „generale” oraz znakomite nazwisko Beniamina Constanta kramik urósł w oczach wielkiego człowieka z prowincji do rozmiarów Olimpu.

— Lousteau, mam z tobą do pomówienia — rzekł Finot — ale zobaczymy się w teatrze. Dauriat, gotów jestem na interes, ale pod pewnymi warunkami. Przejdźmy do gabinetu.

— Chodź, serdeczko — rzekł Dauriat, przepuszczając Finota i dziesięciu osobom, które nań czekały, dając gestem znak, że jest zajęty.

Miał zniknąć, kiedy Lucjan, pełen niecierpliwości, zatrzymał go.

— Zatrzymuje pan rękopis, kiedyż odpowiedź?

— Hm, młody poeto, znajdź tu za trzy, cztery dni, zobaczymy.

Lousteau pociągnął Lucjana, nie zostawiając mu czasu na pożegnanie ukłonem Felicjana Vernou ani Blondeta, ani Raula Natana, ani generała Foy, ani Beniamina Constanta, którego dzieło *Sto dni* świeżo opuściło prasę. Lucjan spostrzegł zaledwie w przelocie tę jasną i delikatną głowę, tę pociągłą twarz, rozumne oczy, ujmujące usta, słowem człowieka, który przez dwadzieścia lat był Potiomkinem pani de Staël²⁴³ i który prowadził wojnę z Burbonami, tak jak ją prowadził wprzód z Napoleonem, ale który miał umrzeć przygnieciony zwycięstwem.

— Co za sklep! — wykrzyknął Lucjan, usiadłszy w kabriolecie obok Stefana.

— Panorama-Dramatique, a ostro, zarobisz trzydzieści su — rzekł ten do dorożkarza. — Dauriat jest obwieś, który sprzedaje za milion pięćkroć lub sześćkroć książek na rok, jest to niby minister literatury — odparł Lousteau, którego miłość własna czuła się przyjemnie polechtana i który odgrywał wobec Lucjana rolę mistrza. — Chciwość jego, nieustępująca łakomstwu Barbeta, operuje masami. Dauriat ma doskonale wzięcie, szeroką rękę, ale jest próżny; co do inteligencji, ta składa się ze wszystkiego, co słyszy naokoło siebie; sklep jego jest bardzo polecenia godną szkołą. Można tam spotkać najwybitniejszych ludzi. Tam, mój drogi, młody człowiek nauczy się więcej w godzinie, niż schnąć nad księgami przez dziesięć lat. Dyskutuje się artykuły, szkicuje pomysły, wchodzi się w stosunki ze sławnymi lub wpływowymi ludźmi, którzy mogą być użyteczni. Dziś, aby dojść do czegoś, trzeba mieć stosunki. Wszystko jest trafem, jak widzisz. Najniebezpieczniejsza rzecz to mieć rozum samemu w kące.

— Ale co za tupet! — rzekł Lucjan.

— Ba! Kpimy sobie wszyscy z Dauriata — odparł Stefan. — Potrzebujesz go, przejdzie ci po brzuchu; potrzebuje on „Debatów”, Blondet kręci nim jak bakiem. Och, jeśli wejdiesz w literaturę, zobaczysz ładniejsze rzeczy! I cóż ci mówiłem?

— Tak, masz słuszość — odparł Lucjan. — Cierpiałem w tym sklepie okrutniej, niż się spodziewałem wedle twego programu.

— I po cóż poddawać się cierpieniu? To, co nas kosztuje życie, owoc pracowitych nocy, który wysłał naszą mózgowicę, wszystkie wędrówki przez pola myśli, pomnik wzniesiony naszą krwią, staje się dla wydawców dobrym albo złym interesem. Księgarz sprzedaje twój utwór albo nie sprzedaje. Oto cały problem. Książka dla nich to kwestia ryzyka kapitału. Im książka piękniejsza, tym mniej widoków, aby *szała*. Wszelki człowiek wyższy wznosi się ponad masy, powodzenie jego zatem jest w stosunku prostym do czasu potrzebnego, aby ocenić dzieło. Żaden księgarz nie chce czekać. Książka, która wyszła dziś, powinna się rozejść jutro. W myśl tego systemu księgarze odrzucają książki głębsze, które wywalczają sobie powoli zrozumienie i poklask.

— D’Arthez ma słuszość — wykrzyknął Lucjan.

— Znasz d’Artheza? — rzekł Lousteau. — Nie ma nic niebezpieczniejszego niż ci samotnicy, którzy myślą, jak ten chłopak, iż zdołają świat do siebie przyciągnąć. Fana tyzując młode wyobrażenie wiarą, która schlebia, zrazu dając poczucie olbrzymiej siły, ci kandydaci do pośmiertnej sławy przeszkadzają im ruszać się w świecie, wówczas gdy mo-

Interes

Literat, Książka, Interes

²⁴³ Potiomkin pani de Staël — aluzja do relacji łączącej Beniamina Constanta z panią de Staël: Grigorij Potiomkin był faworytem carycy Katarzyny II. [przypis edytorski]

gliby coś zdziałać i coś zdobyć. Ja jestem za systemem Mahometa, który kazawszy górze, aby doń przyszła, wykrzyknął: „Skoro ty nie przyjdiesz do mnie, przyjdę ja do ciebie!”

Wykrzyknik ten, ujmujący dowcipnie kwestię i stawiający ją na ostrzu noża, postawił Lucjana między systemem cierpliwego ubóstwa panującego w Biesiadzie a bojową teorią, jaką rozwijał Lousteau. Toteż poeta z Angoulême zachował milczenie aż do bulwaru du Temple.

Panorama-Dramatique, na której miejscu stoi dziś jakiś dom czynszowy, była to śliczna sala teatralna na wprost ulicy Charlot przy bulwarze du Temple. Dwie dyrekcje padły w tym teatrze, nie zdoławszy zdobyć najmniejszego sukcesu, mimo że debiutował tam Bouffé²⁴⁴, jeden z następców Potiera²⁴⁵, i Floryna, aktorka, która w pięć lat później zyskała taką sławę. Teatry, jak ludzie, podlegają jakimś fatalnościom. Panorama-Dramatique musiała rywalizować z Ambigu, Gaieté, Porte-Saint-Martin i małymi teatrzykami; nie mogła się ostać ich zabiegom, skrępowana warunkami swej koncesji, oraz brakowi dobrych sztuk. Autorowie nie chcieli się narażać teatrom istniejącym dla teatru, którego żywot był problematyczny. Mimo to dyrekcja liczyła na nową sztukę, rodzaj komicznej melodramy młodego autora, współpracownika kilku sław, nazwiskiem du Bruel, który głosił, że sam ją napisał. Sztukę tę przeznaczono na debiut Floryny, dotąd figurantki w Gaieté. Od roku grywała tam drobne role, w których zwróciła na siebie uwagę, nie mogąc jednak uzyskać stałego *engagement*²⁴⁶, tak iż Panorama uprowadziła ją swemu sąsiadowi. Koralia, druga aktorka, również miała debiutować. Kiedy dwaj przyjaciele znaleźli się w przedsionku, Lucjan zdumiał się, widząc potęgę prasy.

— Ten pan jest ze mną — rzekł Stefan do kontrolera, który uklonił się nisko.

— Trudno będzie panu redaktorowi znaleźć miejsce — rzekł naczelny kontroler. — Wolna jest tylko łóżka dyrektora.

Stefan i Lucjan stracili nieco czasu, błędząc po korytarzach i parlamentując²⁴⁷ z bileterkami.

— Chodźmy za kulisy, pogadamy z dyrektorem, weźmie nas do łóż. Przy tej sposobności przedstawię cię bohaterce wieczoru, Florynie.

Na znak Stefana odzwierny wydobył kluczyk i otworzył drzwiczki kryjące się w grubej ścianie. Lucjan posuwał się za przyjacielem; z oświetlonego korytarza znalazł się nagle w czarnej dziurze, która prawie we wszystkich teatrach służy za połączenie między salą a kulisami. Po kilku wilgotnych stopniach prowincjonalny poeta dostał się za kulisy, gdzie go czekało osobiwe widowisko. Wąskie płyty bocznych kulis, wysokość sceny, kinkiety, dekoracje tak ohydne z bliska, uszminkowani aktorzy, dziwaczne i z pospolitych materii sporządzone kostiumy, chłopcy w zatłuszczonych kurtach, zwisające sznury, reżyser przechadzający się w kapeluszu na głowie, statysci siedzący gdzie kto może, płótna zwieszające się z góry, strażacy — ten zespół rzeczy śmiesznych, smutnych, brudnych, ohydnych, jaskrawych tak mało podobny był do tego, co Lucjan oglądał dotąd z sali widzów, że zdumienie jego nie miało granic. Kończono rozwlekły, pocziwy melodramat pt. *Bertram*, sztukę naśladowaną z Maturyna²⁴⁸, którą niezmiernie cenili Nodier²⁴⁹, lord Byron i Walter Scott, ale która nie miała w Paryżu powodzenia.

— Trzymaj się mnie za rękę, jeśli nie chcesz dać nura w zapadnię, ściągnąć sobie lasu na głowę, przewrócić pałacu lub zaczepić guzikiem o chatkę — rzekł Stefan. — Floryna w garderobie, moje złotko? — rzekł do aktorki, która gotowała się do wejścia na scenę, nasłuchując dialogu.

— Tak, kochanie. Dziękuję ci za to, co napisałeś o mnie. Jest to tym ładniej z twojej strony, że Floryna miała przyjść tutaj.

— No, nie sypnij tylko swego efektu, moja mała — rzekł Lousteau. — Rzuć się, łapy do góry! Nie żałuj zdrowia, kropnij jak należy swoje: „Wstrzymaj się, nieszczęśliwy”! Bo jest dwa tysiące franków w kasie.

Teatr

Teatr

Teatr, Artysta

²⁴⁴Bouffé, Hugues (1800–1888) — francuski aktor komiczny. [przypis edytorski]

²⁴⁵Potier, Charles (1775–1838) — francuski aktor komiczny. [przypis edytorski]

²⁴⁶*engagement* (fr.) — angaż, zatrudnienie. [przypis edytorski]

²⁴⁷*parlamentować* (daw.) — wypełniać obowiązki parlamentariusza, prowadzić rokowania. [przypis edytorski]

²⁴⁸Maturin, Charles Robert (1782–1824) — irlandzki pisarz i dramaturg, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli powieści gotyckiej; jego tragedia *Bertram* (1816) cieszyła się w wielkim powodzeniem zarówno w Londynie, jak we Francji, gdzie od 1821 wystawiano jej przeróbkę. [przypis edytorski]

²⁴⁹Nodier, Charles (1780–1844) — francuski pisarz, krytyk, prekursor romantyzmu. [przypis edytorski]

Lucjan ujrzał ze zdumieniem, jak w jednej chwili aktorka mieni²⁵⁰ twarz i woła: „Wstrzymaj się, nieszczęśliwy!” w sposób zdolny ściąć krew w żyłach. W tej chwili była to inna kobieta.

— Więc to jest teatr? — rzekł do Lousteau.

— To samo co sklepik w Galeriach Drewnianych i co dziennik dla literatury, istna kuchnia — odpowiedział nowy przyjaciel.

Zjawił się Natan.

— Dla kogo ty tu jesteś? — spytał Lousteau.

— Przecież robię małe teatry dla „Gazety”²⁵¹, w braku czego lepszego — odparł Natan.

— Chodź więc dziś z nami na kolację i obejdz się dobrze z Floryną, z prawem wzajemności — rzekł Lousteau.

— Służę ci, najchętniej — odparł Natan.

— Wiesz, mieszka teraz przy ulicy du Bondy.

— Kto jest ten śliczny chłopiec z tobą, Lousteau? — rzekła aktorka, schodząc ze sceny.

— O, moja droga, to wielki poeta, człowiek, który będzie sławny. Skoro macie wieczerać razem, Natanie, przedstawiam ci pana Lucjana de Rubempré.

— Nosi pan piękne nazwisko — rzekł Raul.

— Lucjanie! Pan Raul Natan — rzekł Stefan do nowego przyjaciela.

— Na honor, czytałem pana przed dwoma dniami i nie mogłem pojąć, iż ktoś, kto napisał pańską książkę i pański tomik poezji, może być tak pokorny wobec dziennikarza.

— Pogadamy o tym po pańskiej pierwszej książce — odparł Natan z wiele mówiącym uśmiechem.

— Ho, ho, ultra i liberały gruchają z sobą tak czule? — wykrzyknął Vernou, widząc ten tercet.

— Rano jestem przekonany mego dziennika — rzekł Natan — ale wieczór myślę, co chcę: w nocy panuje wolność myśli, obok wszelkich innych wolności.

— Stefanie — rzekł Felician do dziennikarza — Finot przyszedł ze mną i szuka cię. A, idzie właśnie.

— Cóż, nie ma żadnego miejsca? — rzekł Finot.

— Ma je pan zawsze w naszych sercach — rzekła aktorka, zwracając się doń z najśłodszym uśmiechem.

— Cóż tam, Florvilciu, już wyleczyłaś się ze swej miłości? Mówiono, że cię wykradł jakiś rosyjski książę.

— Alboż dzisiaj wykrada się kobiety? — rzekła Florville, aktorka, która wygłosiła owo: „Wstrzymaj się, nieszczęśliwy!” — Przegruchaliśmy dziesięć dni w Saint-Mandé, mój książę wykipił się ze sprawy, płacąc za mnie karę. Dyrektor — dodała Florville, śmiejąc się — będzie prosił Boga, aby mu zesłał więcej rosyjskich książąt: odszkodowania dałyby mu czysty dochód bez kosztów.

— A ty, dziecko — rzekł Finot do ładnej wieśniaczki, która się im przysłuchiwała — gdzieś ty ukradła te diamentowe butony²⁵², które masz w uszkach? Czyś obrobiła jakiego indyjskiego księcia?

— Nie, ale handlarza szuwaksu, Anglika; już pojechał. Nie każdemu się uda, jak Florynie i Koralii, znaleźć milionowych przemysłowców znudzonych rodzinną cnotą; te mają szczęście!

— Spóznisz się na scenę, Florville — krzyknął Lousteau — szuwaks przyjaciółki uderzył ci do głowy!

— Jeśli chcecz mieć sukces — rzekł Natan — to zamiast krzyczeć jak furia: „Ocalo-

Teatr

²⁵⁰mienić (daw.) — zmieniać. [przypis edytorski]

²⁵¹„Gazeta” — „La Gazette”, najstarsza gazeta francuska (tygodnik), założona w roku 1631, wydawana do 1915; w okresie Restauracji otwarcie rojalistyczna. [przypis edytorski]

²⁵²buton (z fr.) — kolczyk w kształcie guzika, na ogół z dużym brylantem. [przypis edytorski]

ny!” wejść zupełnie cicho, dojdź aż pod rampę i powiedz piersiowym głosem: „Ocalony”, jak Pasta²⁵³ mówi „*O patria*”²⁵⁴ w *Tankredzie*²⁵⁵. No, jedź — rzekł, popychając ją.

— Za późno, sygnie się na amen! — rzekł Vernou.

— Co ona zrobiła? Sala wali brawo jak wściekła — rzekł Lousteau.

— Pokazała im cały gors, padając na kolana, to jej ostatnia deska ratunku — rzekła aktorka, wdowa po szuwaksie.

— Dyrektor oddaje nam swoją łóżę, znajdziesz mnie tam — rzekł Finot do Stefana.

Przez labirynt kulis, korytarzy i schodów Lousteau zaprowadził Lucjana na trzecie piętro, do małego pokoiku, gdzie w ślad za nimi dotarli Natan i Vernou.

— Dzień dobry czy dobry wieczór, panowie — rzekła Floryna. — Panie Matifat — rzekła, zwracając się do krótkiego i grubego mężczyzny, stojącego w kącie — ci panowie są władcami moich losów, przyszłość moja jest w ich rękach; ale mam nadzieję, iż będą jutro spoczywać u nas pod stołem, jeśli pan Lousteau niczego nie zaniedbał...

— Cyt! Będziecie miały Blondeta z „Debatów” — rzekł Stefan — prawdziwego Blondeta, samego Blondeta, słowem, Blondeta!

— Och, mój złociutki Lousteau, czekaj, muszę cię uściskać — rzekła, rzucając mu się na szyję.

Na ten wyskok Matifat, ów gruby jegomość, przybrał minę serio. Floryna, wówczas szesnastolatka, była chuda. Piękność jej, niby pełen obietnic pączek kwiatu, mogła się podobać jedynie artystom, którzy wolą szkice od obrazów. Rysy uroczej aktorki zdradzały całą subtelność, jaka ją cechuje; podobna była wówczas do Goethowskiej Mignon²⁵⁶. Matifat, bogaty drogista²⁵⁷ z ulicy Lombardzkiej, mniemał, iż aktoreczka z bulwarów nie będzie zbyt rozrzutna, ale w niespełna rok Floryna schrupała sześćdziesiąt tysięcy. Nic tak nie uderzyło Lucjana, jak ten uczciwy i rzetelny kupiec, wmurowany niby bożek Terminus²⁵⁸ w kąt tego zakamarka odziesięciu kwadratowych stopach powierzchni, obitego ładnym papierem, ozdobionego dużym lustrem, otomanką, parą krzeseł, dywanem, kominkiem i mnóstwem szaf. Garderobiana kończyła ubierać Florynę za Hiszpankę. Zapowiedziana sztuka było to *imbroglio*²⁵⁹, w którym Floryna grała rolę hrabiny.

— Za pięć lat będzie to najładniejsza aktorka w Paryżu — rzekł do Felicjana Natan.

— Słuchajcie, aniołki — rzekła Floryna, obracając się ku dziennikarzom — popiszcie się jutro, jak należy. Wiecie, zatrzymałam powozy na całą noc, odeśle was pijanych jak bele. Matifat wynalazł wino, ba, mówię wam, wino godne Ludwika Osiemnastego²⁶⁰, i wziął kucharza z pruskiej ambasady.

— Widząc pana, oczekujemy rzeczy wprost potwornych — rzekł Natan.

— On wie, że podejmuje ludzi najniebezpieczniejszych w Paryżu — odparła Floryna.

Matifat spojrzał niespokojnie na Lucjana; niezwykła uroda młodego człowieka pobudziła jego zazdrość.

— Ale to jakieś pachole, którego jeszcze nie znam — rzekła Floryna, spostrzegając Lucjana. — Kto z was sprowadził z Florencji Apollina Belwederskiego? Śliczny jak figurka Girodeta²⁶¹.

— Panno Floryno — rzekł Lousteau — oto poeta z prowincji, którego zapomniałem pani przedstawić. Jest pani tak piękna dziś wieczór, że niepodobna pamiętać o obowiązkach godziwej i dozwolonej uprzejmości, która...

— Czy taki bogaty, że bawi się w poezję? — zapytała Floryna.

Uroda

Pieniądz

Uroda

²⁵³ Pasta, Giuditte (1797–1865) — włoska sopranistka, znana z występów w Paryżu. [przypis edytorski]

²⁵⁴ *O patria* (wł.) — O ojczyźnie. [przypis edytorski]

²⁵⁵ *Tankred* — opera Rossiniego z 1813. [przypis edytorski]

²⁵⁶ *Goethowska Mignon* — piękna i delikatna dziewczyna z powieści Goethego *Lata nauki Wilhelma Meistra* (1796). [przypis edytorski]

²⁵⁷ *drogista* (daw.) — właściciel lub sprzedawca w drogerii, sklepie z lekami dostępnymi bez recepty, kosmetykami itp. [przypis edytorski]

²⁵⁸ *Terminus* (mit. rzym.) — bóg strzegący granic; opiekun kamieni granicznych, które w łacinie nosiły tę samą nazwę i były z nim utożsamiane. [przypis edytorski]

²⁵⁹ *imbroglio* (wł.) — dosł.: zamieszanie, zamęt; tu: zawila intryga sceniczna. [przypis edytorski]

²⁶⁰ *Ludwik XVIII* (1755–1824) — król Francji z dynastii Burbonów, objął władzę po abdykacji Napoleona Bonaparte (1814). [przypis edytorski]

²⁶¹ *Girodet de Roussy-Trioson, Anne-Louis* (1767–1824) — francuski malarz i ilustrator, ceniony portrecista. [przypis edytorski]

— Biedny jak Job²⁶² — odparł Lucjan.

— To bardzo kuszące dla nas — odparła aktorka.

Du Bruel, autor sztuki, młody człowiek w surducie, drobny, ruchliwy, mający razem coś z biurokraty, kamienicznika i agenta giełdowego, wszedł nagle.

— Florynciu, serce, umiemy dobrze rolę, co? Żadnych sypek. Pamiętaj się popisać w scenie drugiego aktu, sprytnie, szelmowsko! Powiedz: „Nie kocham pana”, tak jakeśmy to omówili.

— Czemu ty przyjmujesz rolę, w których są takie zdania? — rzekł Matifat do Floryny. Powszechny śmiech przyjął uwagę drogisty.

— Co to szkodzi — rzekła — skoro nie do ciebie mówię, grubasie? Och, to moja rozkosz, te jego odezwania — dodała, spoglądając po autorach. — Słowo uczciwej dziewczyny, płaciłabym mu od sztuki za każde tumaństwo, gdyby to nie była pewna ruina.

— Tak, ale mówiąc to, patrzysz na mnie, gdy przepowiadasz rolę, a to przykre — odparł drogista.

— Więc dobrze, będę patrzeć na mego Stefunia.

Dzwonek rozległ się w korytarzach.

— Idźcie sobie wszyscy — rzekła Floryna — pozwólcie mi odczytać rolę i starać się ją zrozumieć.

Lucjan i Lousteau wyszli ostatni. Lousteau ucałował ramiona Floryny; Lucjan usłyszał aktorkę, jak mówiła:

— Dziś niepodobna. Stare bydlę powiedziało żonie, że wyjeżdża na wieś.

— Cóż, ładna? — spytał Stefan Lucjana.

— Ale, mój drogi, ten Matifat... — wykrzyknął Lucjan.

— Ech, moje dziecko, nic jeszcze nie rozumiesz paryskiego życia — odparł Lousteau. — Są konieczności, którym się trzeba poddać! To tak jakbyś kochał mężatkę, oto wszystko. Trzeba być rozsądnym.

Weszli do łoży parterowej przy samej scenie, gdzie zastali dyrektora teatru i Finota. Na wprost nich, po przeciwnej stronie, siedział Matifat z jednym z przyjaciół nazwiskiem Camusot, kupcem jedwabnym, który popierał Koralię; towarzyszył mu mały pocziwy staruszek, jego teść. Trzej mieszczuchy przecierali szkła lornetek, spoglądając z pewnym niepokojem na ożywiony parkiet. Łoże mieściły ową specjalną publiczność, która wypełnia premiery: dziennikarzy i ich kochanki, kobiety na utrzymaniu i ich amantów, nieco starych bywalców teatralnych, łasych na premierowe wrażenia, osoby ze „świata” lubiące tego rodzaju emocje. W pierwszej łoży znajdował się generalny dyrektor z rodziną, który wkręcił du Bruela do jakiegoś ministerium, gdzie fabrykant wodewilów stworzył sobie czystą synekurę²⁶³. Od obiadu Lucjan wpadał ze zdumienia w zdumienie. Życie literackie, od dwóch miesięcy tak biedne, tak nędzne w jego oczach, tak ohydne w izdebce Stefana, tak pokorne i beczelne zarazem w Galeriach Drewnianych, rozwijało się wśród osobliwych przepychów i pod szczególną postacią. To pomieszenie wyżyn i nizin, kompromisu z sumieniem, talentu i nikczemności, zdrad i uciech, wielkości i niewoli, wprawiało go w oszołomienie, niby człowieka śledzącego z uwagą niesłychane widowisko.

— Myślisz, że du Bruel robi kasę? — spytał Finot dyrektora.

— Hm, to sztuka z intrygą, du Bruel chce się bawić w Beaumarchais’go²⁶⁴. Bulwarowa publiczność nie lubi tego rodzaju, chce, żeby ją wzruszać. Dowcip nie jest tutaj w cenie. Wszystko dziś zależy od Floryny i od Koralii, które są czarujące, urocze. Te dwie istoty mają spódniczki bardzo kuse, wykonując taniec hiszpański mogą porwać publiczność. Ten spektakl to niby partia *écarté*²⁶⁵. Jeżeli dzienniki kropną parę artykułików, mogą w razie powodzenia zarobić trzykroć.

— Już rozumiem: skończy się na sukcesie literackim — rzekł Finot.

Teatr, Interes

²⁶²Job a. Hiob (bibl.) — człowiek doświadczony przez Boga nieszczęściami w celu wypróbowania jego wiary, główny bohater *Księgi Hioba*. [przypis edytorski]

²⁶³synekura (z łac. *sine cura*: bez troski, bez starania) — dobrze płatne stanowisko niewymagające żadnej pracy. [przypis edytorski]

²⁶⁴Beaumarchais, *Pierre Augustin* (1732–1799) — pisarz i dramaturg francuski, autor komedii takich jak *Wesele Figara* czy *Cyrulik sewilski*. [przypis edytorski]

²⁶⁵*écarté* (fr.) — ekarte, rodzaj dwuosobowej gry w karty, popularnej w XIX w. [przypis edytorski]

— Jest zmowa uplanowana przez trzy sąsiednie teatry; będą nawet gwizdali; ale starałem się o to, aby sparować figiel. Przeplaciłem klakę nasłaną przeciw mnie, będą gwizdali niezręcznie. Oto trzech przemysłowcy, którzy, aby zapewnić triumf Koralii i Florynie, wzięli każdy po sto biletów i rozdali je znajomym, gotowym w potrzebie wyrzucić oponentów za drzwi. Obwiesie, zapłacone dwa razy, pozwolą się wyrzucić, a tego rodzaju egzekucja zawsze dobrze usposabia publiczność.

— Dwieście biletów! Cóż za szacowni ludzie! — wykrzyknął Finot.

— Tak. Dajcie mi jeszcze dwie ładne aktorki tak suto utrzymywane jak Floryna i Koralia, a jakoś bym się wypłatał.

Od dwóch godzin w uszach Lucjana wszystko streszczało się w pieniądzu. W teatrze jak w księgarni, w księgarni jak w dzienniku — o sztuce, sławie nie było mowy. Te uderzenia sztancy menniczej, raz po raz walące w głowę jego i serce, stawały mu się męczarnią. Gdy orkiestra grała uwerturę, nie mógł się wstrzymać, aby oklaskom i świstom wzburzonego parteru nie przeciwstawić scen spokojnej i czystej poezji, jakich kosztował w drukarni Dawida, gdy obaj oglądali cuda sztuki, szlachetne triumfy geniuszu, sławę o białych skrzydłach. Przypomniawszy sobie wieczory Biesiady i Iza zabłysła w oczach poety.

— Co tobie? — spytał Lousteau.

— Widzę poezję na śmietniku — rzekł.

— Ech, mój drogi, ty jeszcze masz złudzenia!

— Zatem trzeba tutaj pełzać i cierpieć tego grubego Matifata i Camusota, tak jak aktorki cierpią dziennikarzy, jak my cierpimy księgarnię?

— Mój drogi — rzekł mu do ucha Stefan, pokazując Finota — widzisz tego dryblasa, bez krzty talentu, ale chciwego, żadnego dobić się fortuny za każdą cenę i zręcznego w interesach, człowieka, który u Dauriata wziął ode mnie czterdzieści procent z miną dobroczyńcy? Otóż on ma listy, w których wielu przyszłych geniuszów tarza się przed nim na kolanach dla uzyskania stu franków.

Skurcz wstrętu ścisnął gardło Lucjana, przypomniał sobie: „Finot, moje sto franków?” — ów rysunek, porzucony na stoliku w redakcji.

— Raczej umrzeć — rzekł.

— Raczej żyć — odparł Stefan.

W chwili gdy kurtyna poszła w górę, dyrektor wyszedł i udał się za kulisy, aby wydać parę rozkazów.

— Mój drogi — rzekł Finot do Stefana — mam słowo Dauriata, jestem w jednej trzeciej właścicielem tygodnika. Subskrybowałem trzydzieści tysięcy gotówką pod warunkiem, że będę na czele redakcji i administracji. Jest to wspaniały interes. Blondet powiedział mi, że gotują ograniczenia prasy i że jedynie istniejące pisma zachowają koncesję. Za pół roku trzeba będzie mieć milion, aby stworzyć nowy dziennik, zdecydowałem się więc, choć mam zaledwie dziesięć tysięcy. Posłuchaj. Jeżeli sprawisz, aby Matifat kupił połowę mojej części, czyli jedną szóstą, za trzydzieści tysięcy, dam ci naczelną redakcję mego dzienniczka, dwieście pięćdziesiąt franków na miesiąc. Będziesz moim parawanem. Chcę zawsze mieć wpływ na pismo, pilnować w nim moich interesów, a uchylić pozory, iż mam z tym coś wspólnego. Za wszystkie artykuły będziesz pobierał osobno: pięć franków od kolumny; w ten sposób możesz sobie wykroić piętnaście franków dziennie, płacąc sam po trzy franki i korzystając z darmochoy. To znowu czterysta pięćdziesiąt franków na miesiąc. Ale chcę zachować w dzienniku swobodę napadania lub bronięcia ludzi i spraw wedle tego, jak mi wypadnie, zresztą²⁶⁶ pozwalam ci zadowolić twoje sympatie i nienawiści, o ile nie będą psuły mojej polityki. Może będę ministerialny albo ultra, nie wiem jeszcze, ale chcę zachować po cichu moje stosunki liberalne. Mówię ci wszystko, wiem, że jesteś dobry chłopiec. Być może, oddam ci sprawozdania z Izby, które prowadzę w innym dzienniku, prawdopodobnie nie będę mógł ich zatrzymać. Użyj tedy Floryny do tej małej szacherki i powiedz, aby wzięła w obroty swojego drogiste; mam tylko czterdzieści osiem godzin czasu na zrzucenie się, w razie gdybym się nie mógł wypłacić, Dauriat sprzedał drugi udział za trzydzieści tysięcy franków swemu drukarzowi i swemu dostawcy papieru. On sam ma swój udział gratis i w dodatku dziesięć tysięcy „lukru” wobec tego, iż płaci za całość tylko pięćdziesiąt tysięcy. Ale za rok będzie można odprzedać tygodnik dworowi

Interes

²⁶⁶zresztą (daw.) — co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]

za dwieście tysięcy, jeśli król będzie miał, jak utrzymują, błogosławioną myśl ukrócenia dzienników.

— Ty masz szczęście! — wykrzyknął Lousteau.

— Gdybyś przeszedł przez tę nędzę, jakiej ja zaznałem, nie wymawiałbyś tego słowa. Ale widzisz, dziecko, jak na dzisiejsze czasy, obciążony jestem nieszczęściem bez ratunku: jestem synem kapelusznika, który sprzedaje jeszcze kapelusze przy ulicy du Coq. Jedynie rewolucja mogłaby mnie wynieść w górę; w braku zaś przewrotów społecznych trzeba mi mieć miliony. Nie wiem, czy z tych dwu ewentualności nie jest łatwiej o rewolucję. Gdybym nosił nazwisko twego przyjaciela, byłbym na ładnej drodze. Sza, oto dyrektor. Bądź zdrow — rzekł Finot, wstając. — Idę do Opery, może czeka mnie jutro pojedynek: piszę i podpisuję literą F piorunujący artykuł przeciw dwom tancerkom, protegowanym dwóch generałów. Biorę się do Opery ostro.

— A, tak? — rzekł dyrektor.

— Tak, wszyscy kręcą ze mną — odparł Finot. — Ten orzyna mnie na łóżach, tamten wzdraga się wziąć pięćdziesiąt abonamentów dziennika. Postawiłem Operze ultimatum: sto abonamentów, cztery łóża na miesiąc. Jeżeli przyjmą, mój dziennik będzie miał ośmiuset abonentów rzeczywistych, a tysiąc płatnych. Znam sposoby wydobywania jeszcze dwustu: w styczniu będziemy mieli tysiąc dwieście...

— Przywieźcie nas w końcu do ruiny — rzekł dyrektor.

— Panu szczególnie krzywdą się dzieje, z pańskimi dziesięcioma numerami! Wyrobiłem wam dwa dobre artykuły w „Constitutionnelu”.

— Och, ja się nie skarżę na pana — okrzyknął się dyrektor.

— Do jutra wieczór, Lousteau — odparł Finot. — Dasz mi odpowiedź we Francuskim, na premierze; że zaś sam nie będę mógł napisać sprawozdania, weźmiesz moją łóżę. Daję tobie pierwszeństwo: naharowałeś się za mnie, umiem być wdzięczny. Felicjan Vernou ofiaruje rzec się honorariów na rok i dopłacić dwadzieścia tysięcy za trzecią część dziennika, ale ja chcę zostać absolutnym panem. Bądź zdrow.

— Nie darmo ten nazywa się Finot²⁶⁷ — rzekł Lucjan.

— Och, obwieś zajdzie daleko — odparł Stefan, nie troszcząc się o to, czy wyga, który zamykał właśnie drzwi, usłyszy.

— On?... — rzekł dyrektor. — Będzie milionerem, będzie zażywał powszechnego szacunku i może będzie miał przyjaciół...

— Dobry Boże — rzekł Lucjan — cóż za jaskinia! I ty użyjesz tej rozkosznej dziewczyny do takiej negocjacji? — rzekł, pokazując Florynę strzelającą ku nim oczyma.

— I uda się jej. Nie znasz poświęcenia i sprytu tych drogich stworzonek — odparł Lousteau.

— Okupują wszystkie wady, wymazują wszystkie błędy przez bezmiar, nieskończoność swej miłości, kiedy kochają — ciągnął dyrektor. — Miłość aktorki jest rzeczą tym piękniejszą, im gwałtowniejszy kontrast tworzy z otoczeniem.

— To znaczy znaleźć w błocie diament godny zdobić najdumniejszą koronę — dorzucił Lousteau.

— Ale — podjął dyrektor — Koralia jest coś roztargniona. Nasz młody przyjaciel *wziął* Koralie, sam nie wiedząc o tym, i sprawi, iż popsuje nam ona wszystkie efekty; sypie się, dwa razy nie dosłyszała sufflera. Panie, proszę pana, schowaj się pan w kącie — rzekł do Lucjana. — Jeśli Koralia zakochała się w panu, pójdę jej powiedzieć, że pana nie ma.

— Ech, nie — wykrzyknął Lousteau — powiedz pan, że będzie na dzisiejszej kolacji, że zrobi z nim, co tylko sama zechce, a będzie grała jak druga panna Mars²⁶⁸.

Dyrektor wyszedł.

— Powiedz mi, mój drogi — rzekł Lucjan do Stefana — jak to! Ty nie masz żadnych skrupułów wyciskać przez Florynę trzydziestu tysięcy franków od tego drogisty, za połowę rzeczy, którą Finot nabył za tę cenę?

Lousteau nie zostawił Lucjanowi czasu na dokończenie wywodu.

Interes, Szantaż

²⁶⁷ Nie darmo ten nazywa się Finot — gra słów; fr. *finaud*: spryciarz, człowiek przebiegły. [przypis edytorski]

²⁶⁸ panna Mars (pseud.), właśc. *Anne Françoise Hyppolyte Boutet* (1779–1847) — francuska aktorka komediowa, jedna z największych gwiazd swoich czasów. [przypis edytorski]

— Ależ z jakiejż krainy ty jesteś, moje dziecko? Ten drogista to nie człowiek, to kasa zesłana przez miłość.

— Ale sumienie?

— Sumienie, mój drogi, to kij, który każdy bierze, aby nim grzmocić sąsiada, ale którym nigdy nie posługuje się dla siebie. Co ty, u diaska, za ćwieki sobie w głowę wbijas? Przypadek robi dla ciebie w jednym dniu cud, na który ja czekałem dwa lata, i ty się bawisz w rozważanie środków? Jak to? Ty, który zdajesz się niepozbawiony oleju we łbie, który osiągniesz niezależność myśli, jaką powinni posiadać intelektualni kondotierzy naszego świata, ty babrzesz się w skrupułach zakonnicy obwiniającej się, iż jedząc jajko, zgrzeszyła pożywnością?... Jeśli Florynie się uda, zostanę naczelnym redaktorem, mam dwieście pięćdziesiąt franków stałej pensji, biorę wielkie teatry, zostawiam Felicjanowi Vernou wodewile, ty na początek obejmujesz po mnie bulwary. Dostaniesz trzy franki od kolumny, machniesz jedną na dzień, trzydzieści na miesiąc, razem dziewięćdziesiąt franków; będziesz miał za sześćdziesiąt franków książek do spuszczenia u Barbeta; możesz zażądać w swoich teatrach po dziesięć biletów miesięcznie, razem czterdzieści biletów do sprzedania za czterdzieści franków Barbetowi od teatrów, z którym cię zapoznam. W ten sposób liczę cię na dwieście franków miesięcznie. Będziesz mógł, idąc na rękę Finotowi, umieścić ten i ów stufrankowy artykuł w jego nowym tygodniku, w razie jeżeli rozwiniesz talent transcendentalny, bo tam podpisuje się nazwiskiem, nic nie może być „puszczone”, jak w naszym dzienniczku. Będziesz miał wówczas sto talarów na miesiąc. Mój drogi, niejeden szczerzy talent, jak ten biedny d'Arthez, który jada co dzień u Flicoteaux, dziesięć lat się naszamota, nim zarobi sto talarów. Wyrobisz sobie piórem cztery tysiące franków rocznie, nie licząc książek, jeśli będziesz pracował. Otóż podprefekt ma tylko tysiąc talarów pensji i musi sterczeć w swoim okręgu jak... Nie mówię ci o przyjemności bezpłatnego teatru, ta przyjemność stanie ci się rychło katorgą, ale będziesz miał wstęp za kuliszy czterech bud. Bądź twardy i cięty przez miesiąc lub dwa, posypią się zaproszenia, kolacyjki u aktorek; protektorzy ich będą tańczyć koło ciebie; będziesz jadł u Flicoteaux tylko w dnie, w które nie będziesz miał trzydziestu su w kieszeni ani zaproszenia na obiad. O piątę w Luksemburgu nie wiedziałeś, gdzie głowę skłonić nazajutrz po południu, i oto stajesz się jednym ze stu matadorów²⁶⁹, którzy narzucają opinię Francji. Za trzy dni, jeśli się nam powie, że możesz, za pomocą trzydziestu konceptów — po trzy dziennie — przywieść kogo zechcesz do tego, iż przeklinać będzie życie; możesz sobie stworzyć harem aktorek, możesz położyć dobrą sztukę i kazać światu tłoczyć się na lichej. Jeżeli Dauriat odmówi wydrukowania *Stokroci* bezpłatnie, możesz go zmusić, aby pokorny i skruszony przyszedł błagać cię o nie, ofiarowując dwa tysiące franków. Miej talent i kropnij w trzech różnych pismach trzy artykuły, które zagrozą jakiej ukartowanej spekulacji Dauriata albo książce, na którą liczy, a ujrzyś, jak będzie się drapał na twoje poddasze i wystawał jak dziad na odpuszcie. Wreszcie, co do twego romansu, księgarze, którzy obecnie wyprawiali cię wszyscy mniej lub więcej grzecznie za drzwi, będą stali w ogonku w twoim gabinecie; ba, rękopis, który stary Doguerneau szacował na czterysta franków, dojdzie do czterech tysięcy! Oto korzyści zawodu dziennikarza. Dlatego też bronimy nowicjuszom przystępu; nie tylko trzeba olbrzymiego talentu, ale i szczęścia, aby się tam dostać. I ty prawujesz się ze swoim szczęściem!... Patrz, gdybyśmy się nie spotkali dziś u Flicoteaux, mógłbyś jeszcze trzy lata wystawać po księgarniach albo przymierać głodem, jak d'Arthez, na strychu. Kiedy d'Arthez stanie się uczony jak Bayle²⁷⁰ i wielki jak Rousseau, my dobijemy się fortuny, będziemy panami jego losu i sławy. Finot będzie posłem, właścicielem wielkiego pisma; my, czym sami zechcemy: parami Francji albo klientami więzienia za długi.

— I Finot sprzeda swój dziennik ministrom, którzy mu więcej zapłacą, jak sprzedaje pochwały pani Bastienne, oczerniając pannę Wirginię i dowodząc, że kapelusze pierwszej są ładniejsze od tych, które wychwalał z początku! — wykrzyknął Lucjan, przypominając sobie scenę, której był świadkiem.

— Jesteś głuptas, mój drogi — odparł sucho Lousteau. — Finot trzy lata temu cho-

Sumienie

Interes, Pieniądz

Pieniądz, Bieda, Bogactwo

²⁶⁹matador (daw.) — przen. osoba wyższego stanu, mająca wysoką pozycję a. zajmująca ważne stanowisko; znakomitość. [przypis edytorski]

²⁷⁰Bayle, Pierre (1647–1706) — francuski filozof, historyk i publicysta, autor *Słownika historycznego i krytycznego* (1695), jeden z fundatorów myśli społecznej Oświecenia. [przypis edytorski]

dził w dziurawych butach, jadał obiady u Tabara po osiemnaście su, gryzmołił prospekty po dziesięć franków, ubranie zaś trzymało mu się na ciele za pomocą tajemnicy równie nieprzeniknionej, jak tajemnica niepokalanego poczęcia; dziś Finot ma na wyłączną własność swój dziennik, szacowany na sto tysięcy; łącznie z abonentami płacącymi a nieobsyłanymi, z abonentami rzeczywistymi i „podatkami pośrednimi”, ściągany przez jego wuja, zarabia dwadzieścia tysięcy rocznie; ma co dzień najwspanialsze obiady, od miesiąca kabriolet; wreszcie, od jutra stanie na czele tygodnika, z szóstą częścią własności za nic, z pięciomaset frankami miesięcznie, do których dorzuci tysiąc franków od artykułów uzyskanych gratis, za które każe sobie płacić współnikom. Ty pierwszy, jeśli Finot zechce ci zapłacić pięćdziesiąt franków za stronicę, przyniesiesz mu z radością trzy artykuły darmo. Kiedy będziesz w analogicznym położeniu, będziesz mógł sądzić Finota: sądzić nas mogą tylko równi. Czyż nie masz przed sobą olbrzymiej przyszłości, jeśli będziesz ślepo posłuszny wszystkim strategiom nienawiści, jeśli będziesz atakował, kiedy Finot ci powie: „Atakuj!”, a chwalił, kiedy ci powie: „Chwal!” Kiedy sam będziesz się chciał zemścić na kimś, możesz mordować swego przyjaciela lub wroga paroma wierszami wsuniętymi co rano w naszym dzienniczku, mówiąc mi: „Lousteau, zabijmy tego człowieka!” Dorzńiesz swą ofiarę „zasadniczym” artykułem w tygodniku. Wreszcie, jeżeli sprawa jest dla ciebie pierwszorzędnej wagi, Finot, któremu potrafisz uczynić się potrzebnym, pozwoli ci zadać ostatni cios maczugą w wielkim dzienniku o dziesięciu lub dwunastu tysiącach abonentów.

— Sądzisz zatem, że Floryna potrafi namówić pigularza na ów interes? — spytał Lucjan, olśniony.

— Spodziewam się! Oto właśnie antrakt, pójdę szepnąć jej słówko, ubijemy to tej nocy. Skoro wytłumaczę jej, o co idzie, Floryna rozwinie cały spryt, swój i mój.

— I pomyśleć, że pocziwy kołtun siedzi tam z rozdziawioną gębą, podziwiając Florynę, i nie przeczuwa, że tu gotuje się zamach na jego trzydzieści tysięcy!...

— Znowu głupstwo! Powiedziałby kto, że go się okrada! — wykrzyknął Lousteau. — Ależ, mój drogi, jeśli ministerium kupi pismo, za pół roku pigularz dostanie pięćdziesiąt tysięcy za swoich trzydzieści. Przy tym dla Matifata nie idzie tu o dziennik, ale o Florynę. Kiedy będzie wiadomo, że Matifat i Camusot (bo podzielił się tym interesem) są właścicielami tygodnika, we wszystkich dziennikach pojawią się przychylnie artykuły o Florynie i Koralii. Floryna stanie się sławna, znajdzie może *engagement* na dwanaście tysięcy w innym teatrze. Słowem, Matifat oszczędzi tysiąc franków miesięcznie, którą to sumę kosztowały go podarki i obiady dla dziennikarzy. Nie znasz się ani na ludziach, ani na interesach.

— Biedny człowiek! — rzekł Lucjan. — Spodziewa się, iż czeka go przyjemna noc.

— Tymczasem — odparł Lousteau — urządzi mu pilę proroka Izajasza²⁷¹ aż do skutku, póki nie pokaże Florynie rejentálnego aktu kupna. I nazajutrz ja będę naczelnym redaktorem i będę zarabiał tysiąc franków na miesiąc. Nareszcie koniec nędzy! — wykrzyknął kochanek Floryny.

Lousteau wyszedł, zostawiając Lucjana oszołomionym, zgubionym w otchłani myśli, szybującym ponad światem takim, jak jest. Ujrzawszy w Galeriach Drewnianych maszynię księgarni i kuchnię sławy, przeszedłszy się po kulisach teatru, poeta spostrzegł podszewkę sumień, grę kółek paryskiego życia, mechanizm świata. Zazdrościł szczęścia Stefanowi, podziwiając Florynę na scenie, zapominając na chwilę o Matifacie. Zadumała ta trwała czas nieokreślony, może pięć minut. To była wieczność. Płomienne myśli paliły duszę Lucjana, gdy zmysły jego rozżarzyły się od widoku tych aktorek o rozwiązanych oczach podkreślonych szminką, o lśniących piersiach ujętych w rozkoszne staniki, w krótkich spódnicach falujących lubieżnie i odsłaniających nogi w czerwonych pończochach z zielonymi strzałkami, obute w sposób zdolny przyprowadzić widzów o szaleństwo. Dwa rodzaje zepsucia szły równoległymi liniami, jak dwie fale, które w czas powodzi dążą do zlania się z sobą; pożerały poetę wspartego na łokciu w łoży, z ramieniem na aksamitnym oparciu, z ręką przewieszoną przez poręcz, z oczami utkwionymi w kurtynę. Lucjan tym dostępniejszy był urokom tego życia splecionego z błyskawic i chmur, iż zamigotało mu ono niby świetny fajerwerk po głębokiej nocy pracowitego, cichego, jednostajnego

Pożądanie

²⁷¹ Izajasz — prorok biblijny; od jego imienia pochodzi tytuł *Księgi Izajasza*. [przypis edytorski]

go życia. Nagle miłosne światło oka, przebijając kurtynę, spłynęło na roztargnione oczy Lucjana. Poeta, zbudzony z odrętwienia, poznał oko Koralii, które paliło go żarem; spuścił głowę i popatrzył na Camusota: właśnie siadał z powrotem w łożu. Amator ten był to poczciwy, otyły i pulchny kupiec jedwabny z ulicy des Bourdonnais, sędzia w Izbie Handlowej, ojciec czworga dzieci, powtórnie żonaty, posiadacz osiemdziesięciu tysięcy renty. Człeczyna ten, liczący pięćdziesiąt sześć lat, z wianuszkami siwiejących włosów na głowie, miał obłudną minę człowieka, który spija ostatnie słodkie życie i nie chce się z nim rozstać, nie wyczerpawszy swego konta rozkoszy, a połknąwszy wprzód tysiąc i jedno utrapień handlu. To łysawe czoło, te lica rumiane niby u mnicha zdawały się nie dość szerokie, aby pomieścić rozkwit ukontentowania²⁷² sięgający zenitu: Camusot był bez żony i słyszał, jak oklaskują Koralię do szaleństwa. Koralia skupiała w sobie wszystkie próżności bogatego mieszcza; dzięki niej czuł się wielkim panem dawnych czasów. W tej chwili miał uczucie, że dzieli w połowie triumf aktorki; a miał je tym słuszniej, iż opłacił ten triumf z własnej kieszeni. Rolę tę uświęcał swą obecnością teść Camusota, upudrowany staruszek, z okiem swawolnym, mimo to pełen godności. Skrupuły Lucjana obudziły się na nowo, przypomniał sobie czystą, egzaltowaną miłość, jaką przez rok żywił dla pani de Bargeton. Fantazja poety rozwinęła białe skrzydła, błękitne mgły wspomnień otoczyły wielkiego człowieka z Angoulême, który znów utonął w zadumie. Kurtyna się podniosła. Koralia i Floryna były na scenie.

— Moja droga, on myśli o tobie tyle, co o sultanie tureckim — szepnęła Floryna, gdy Koralia wygłaszała jakąś kwestię.

Lucjan nie mógł wstrzymać się od śmiechu i spojrzał na Koralię. Kobieta ta, jedna z najbardziej uroczych i rozkosznych aktorek paryskich, rywalka pani Perrin i panny Fleuriet, do których była podobna i których los miała podzielić, miała typ w najwyższym stopniu przemawiający do zmysłów. Koralia przedstawiała najpiękniejszy model semickiej piękności: pociągła owalna twarz o tonach kości słoniowej, usta czerwone jak granat, bródka delikatna jak brzeg czary. Pod powiekami przepalonymi żrenicą czarną jak heban, pod odgiętymi rękami odgadywało się omdlewające spojrzenie, w którym w tej chwili połyskiwały wszystkie żary pustyni. Nad tymi oczyma, obwiedzionymi oliwkowym kręgiem, rysowały się sklepione i obfite brwi. Na brunatnym czole, strojnym dwoma pasmami hebanu, w których migotały w tej chwili, niby na lakierowym pantofelku, światełka kulis, mieszkająca wspaniałość myśli, zdolna obudzić wiarę w iskrę geniuszu. Ale, podobna w tym do wielu aktorek, Koralia, bez inteligencji mimo taniej werwy kulis, bez wykształcenia mimo swoich doświadczeń alkowych²⁷³, miała jedynie polot zmysłów i dobroć kobiet stworzonych do miłości. Czyż można było zresztą zaprzatać się duchową stroną tej dziewczyny, wówczas gdy olśniewała oczy krągłymi i gładkimi ramionami, delikatnymi paluszkami, złotymi tonami karku oraz piersią opiewaną przez *Pieśń nad Pieśniami*²⁷⁴, ruchliwą i wygiętą szyją, nóżkami o cudownie wytwornej linii, obleczonymi w czerwony jedwab? Piękności te, o poezji prawdziwie wschodniej, uwydatniał jeszcze hiszpański kostium, modny wówczas w teatrach. Koralia przejmowała salę rozkoszą: wszystkie oczy ścisnęły jej zręczną i smukłą kibić, pieściły andaluzyjskie kłęby, nadające spódnice lubieżne skręty. Była chwila, w której Lucjan, widząc tę istotę grającą jedynie dla niego, troszczącą się o Camusota tyle co ulicznik z paradyżu²⁷⁵ o ogryzek, stawiał miłość zmysłową powyżej miłości czystej, użycie powyżej pragnienia: demon rozpusty podszeptął mu straszliwe myśli.

„Nie znam całego świata miłości, która się przewala przy obfitym stole, przy winie, w rozkoszach materii — rzekł sobie. — Więcej żyłem dotąd myślą niż rzeczywistością. Człowiek, który chce wszystko malować, winien wszystko znać. Oto moja pierwsza wspaniała uczta, pierwsza orgia wśród tego dziwnego świata: czemuż nie posmakować raz owych sławnych rozkoszy, w których tarzali się magnaci ubiegłego wieku, żyjąc w alkowie tych istot? Choćby tylko po to, aby te uczucia przenieść w strefy prawdziwej miłości, czyż nie trzeba poznać rozkoszy, doskonałości, uniesień, sposobów, finezji, jakie kryje miłość

Uroda

Uroda, Kobieta

²⁷²ukontentowanie (daw., z łac.) — zadowolenie. [przypis edytorski]

²⁷³alkowa (daw.) — sypialnia. [przypis edytorski]

²⁷⁴*Pieśń nad Pieśniami* — hebrajski poemat miłosny z IV–III w. p.n.e., zaliczany do ksiąg dydaktycznych Starego Testamentu. [przypis edytorski]

²⁷⁵paradyz (daw.) — najwyższe usytuowane i najtańsze miejsca w teatrze. [przypis edytorski]

kurtyzan i aktorek? Czyż to nie jest poezja zmysłów? Dwa miesiące temu te kobiety zdawały mi się bóstwami strzeżonymi przez groźne smoki; oto jedna z nich, piękniejsza od Floryny, której zazdrościłem Stefanowi: czemu nie skorzystać z jej kaprysu, skoro najwięksi panowie kupują za cenę skarbów jedną noc u tych kobiet? Ambasadorowie, kiedy stawiają stopę w te otchłanie, nie troszczą się o wczoraj ani o jutro. Byłbym głupcem, gdybym miał więcej skrupułów niż królowie i książęta, zwłaszcza gdy nie kocham jeszcze nikogo”.

Lucjan nie myślał już o Camusocie. Objawwszy wobec przyjaciela najgłębszy wstręt do najszeptniejszego podziału, wpadał w tę czeluść, tonął w żądzę, ciągnięty jezuityzmem²⁷⁶ namiętności.

— Koralia szaleje za tobą — rzekł Lousteau, wchodząc. — Twoja piękność, godna marmurów Grecji, robi za kulisami istne spustoszenie. Szczęśliwy jesteś, mój drogi. W osiemnastym roku Koralia może za kilka dni mieć sześćdziesiąt tysięcy franków rocznie za swą urodę. Jest jeszcze bardzo cnotliwa. Sprzedana przez matkę przed trzema laty za sześćdziesiąt tysięcy, zebrała dotąd same tylko udręczenia i szuka szczęścia. Wstąpiła do teatru z rozpacz, nienawidziła de Marsaya, swego pierwszego nabywcy; wyszedłszy z tej katorgi (król naszych dandysów rzucił ją niebawem), znalazła pocziwego Camusota, którego nie kocha oczywiście ani odrobinę; ale że jest dla niej jak ojciec, znosi go i pozwala się kochać. Odrzuciła już najbogatsze propozycje; trzyma się swego Camusota za to, że jej nie dręczy. Jesteś tedy jej pierwszą miłością. Och! Skoro cię ujrzała, uczuła niby postrzał w piersi: Floryna poszła jej przemawiać do rozsądku w garderobie, gdzie płacze z przyczyny twego chłodu. Sztuka padnie, Koralia nie wie już, co mówi, i bywaj zdrowe, *engagement* do Gymnase, które Camusot jej gotował!

— Ba!... Biedna dziewczyna! — rzekł Lucjan. Słowa te polechtały wszystkie jego próżnostki, uczuł, iż serce wzdyma mu się od dumy. — Spada na mnie, mój drogi, w jeden wieczór więcej wydarzeń niż przez całe osiemnaście lat życia.

Tu Lucjan opowiedział amory z panią de Bargeton i swą nienawiść do Châteleta.

— Czekaj no, dziennikowi brakuje właśnie w tej chwili ofiary, weźmiemy się do twego barona. Ten baron to piękniś z czasów Cesarstwa, zawzięty ministeriał, nada się nam jak obszył. Uważałem go nieraz w Operze. Widzę stąd twoją *grandezę*²⁷⁷, bywa często w łożu margrabiny d'Espard. Baron umizga się do twego eksidełu, istnej ościstej ryby. Czekaj! Finot przysłał mi wiadomość, że dziennik nie ma skryptu; jeden z redaktorów, szelma Hektorek Merlin, któremu obcięto białe, wypłatał nam psikus. Finot w rozpacz gryzmolił atak na Operę. Mam myśl: mój drogi, napisz ty recenzję ze sztuki, przysłuchaj się, przemysł. Ja pójde do gabinetu dyrektora kropnąć jakie trzy kolumny na barona i na twoją Beatrycę²⁷⁸: jutro będą się diablo skrobali za ucho.

— Więc oto jak i gdzie robi się dziennik? — rzekł Lucjan.

— Zawsze tak — odparł Lousteau. — Od dziesięciu miesięcy, jak w nim jestem, dziennik zawsze jest bez kopii o ósmej wieczór.

Kopię nazywa się w gwarze drukarskiej rękopis przeznaczony już do składania. Ogół zapewne mniema, iż autor nadsyła jedynie kopię swego dzieła. A może kryje się w tym ironiczna interpretacja łacińskiego wyrazu *copia* (obfitość), jako że kopii stale braknie.

— Wielki projekt, który nie urzeczywistni się nigdy, to aby mieć materiał na kilka numerów naprzód — ciągnął Lousteau. — Oto dziesiąta i nie ma ani wiersza. Aby świetnie skończyć numer, podbechtałem Felicjana Vernou i Natana: machną ze dwadzieścia dowcipów na posłów, na kanclerza Crusoe²⁷⁹, ministrów, w ostateczności na naszych przyjaciół. W takim wypadku zmasakrowałoby się własnego ojca; człowiek jest jak korsarz, który nabija armaty złupionymi talarami, aby nie zginąć. Wysil się w recenzji na dowcip, a pozyskasz sobie Finota: jest wdzięczny z wyrachowania. To w rezultacie

²⁷⁶ *jezuityzm* — tu: zasady i zachowanie właściwe jezuitom; *jezuici*: męski zakon katolicki, istniejący, aby bronić Kościoła katolickiego przed reformacją; jezuitom przypisywano zakłamanie, przewrotność i bezwzględność, stosowanie zasady, że cel uświęca środki. [przypis edytorski]

²⁷⁷ *grandezza* (z wł.) — wielka dama. [przypis edytorski]

²⁷⁸ *Beatrycze* — ukochana wł. poety Dantego, umieszczona przez niego w *Boskiej komedii* jako przewodniczka po raju. [przypis edytorski]

²⁷⁹ *kanclerz Crusoe* — tak nazywano wicehrabiego Charlesa Henriego Dambray (1760–1829), kanclerza Francji w okresie Restauracji. [przypis edytorski]

najlepszy i najpewniejszy rodzaj wdzięczności! Oczywiście po tej, jaką okazuje nam lombard...

— Cóż za ludzie, ci dziennikarze!... — wykrzyknął Lucjan. — Jak to! Więc trzeba sięść do stołu i być dowcipnym?

— Absolutnie tak, jak się zaświeca kinkiet... póki nie braknie oliwy.

W chwili gdy Lousteau otwierał drzwi, weszli dyrektor i du Bruel.

— Panie — rzekł autor do Lucjana — pozwól mi pan od siebie powiedzieć Koralii, że ją odwieziesz do domu po kolacji, albo moja sztuka padnie. Biedna dziewczyna nie wie już, co mówi ani co robi, gotowa płakać, gdzie trzeba się śmiać, a śmiać się, gdzie trzeba płakać. Już zaczynają gwizdać. Może pan jeszcze ocalić sztukę. Przecie to znów nie takie nieszczęście przespać się ze śliczną dziewczyną.

— Panie, nie jest w moim zwyczaju znosić rywali.

— Nie powtarzaj jej pan tego — rzekł dyrektor, spoglądając na autora — dziewczyna zdolna by była wyrzucić Camusota i zrujnowałaby się na gładkiej drodze. Ten godny właściciel „Złotego Kokona” daje Koralii dwa tysiące franków miesięcznie, płaci wszystkie kostiumy i klakę.

— Ponieważ pańskie przyrzeczenie nie obowiązuje mnie do niczego, ratuj pan sztukę — rzekł Lucjan tonem łaskawego sułtana.

— Ale nie bądź pan twardy dla tego uroczego stworzenia — rzekł błagalnie du Bruel.

— Paradne! Mam więc równocześnie pisać recenzję ze sztuki i robić słodkie oczy do pierwszej naiwnej, niech będzie! — wykrzyknął poeta.

Autor znikł, dawszy znak Koralii, która od tej chwili grała cudownie. Bouffé, piastujący rolę starego alkada²⁸⁰, w której objawił po raz pierwszy swój talent w zakresie „starców”, wyszedł na środek sceny, oznajmił wśród grzmotu oklasków:

— Panowie, sztuka, którą mieliśmy zaszczyt wam przedstawić, jest pióra Raula i Cursy'ego.

— A, Natan umaczał palce w tej sztuce! — rzekł Lousteau. — Nie dziwi mnie już jego obecność.

— Koralia! Koralia! — ryczał rozszalały parter.

Z łoży, w której siedzieli dwaj kupcy, rozległ się piorunowy głos:

— I Floryna!

— Floryna i Koralia! — powtórzyło wówczas kilka głosów.

Kurtyna się podniosła, Bouffé ukazał się z dwiema aktorkami, którym Matifat i Camusot rzucili po wieńcu; Koralia podniosła swój i podała go Lucjanowi. Dla Lucjana te dwie godziny spędzone w teatrze były niby sen. Kulisy, mimo swych okropności, zaczęły dzieło czarnoksięstwa. Poeta, jeszcze niewinny, zaciągnął się tchem wyuzdania i powietrzem rozkoszy. W tych brudnych, zastawionych rekwizytami korytarzach, oświetlonych kopącymi i zatłuszczonymi lampkami, panuje jakby zaraza, która pożera duszę. Życie przestaje tam być święte i rzeczywiste. Człowiek śmieje się z rzeczy poważnych, a rzeczy niemożliwe²⁸¹ wydają się prawdziwe. Był to dla Lucjana niby narkotyk, a Koralia zanurzyła go do reszty w radosnym pijaństwie. Żyrandol zgasł. W sali pozostały już tylko garderobiane, z charakterystycznym hałasem zbierając podnóżki i zamykając łóża. Rampa, zdmuchnięta od jednego zamachu niby świeczka, ziała strasliwym zaduchem. Kurtyna znów się podniosła. Latarka spuściła się z powały. Strażacy rozpoczęli ront²⁸² w towarzystwie maszynistów. Po feerii sceny, po widoku łóż pełnych ładnych kobiet, po oszałamiających światłach, po wspaniałej magii dekoracji i nowych kostiumów — chłód, ohyda, ciemność, pustka. To było wstrętne. Lucjan stał pogrążony w nieopisanym zdumieniu.

— Cóż, idziesz? — rzekł Lousteau z wyżyn sceny. — Skacz z łoży tutaj.

Jednym skokiem Lucjan znalazł się na scenie. Ledwie poznał Florynę i Koralie; rozebrane, zawinięte w ciepłe płaszcze, na głowach miały kapelusze o czarnych woalach; podobne były motylom, które wróciły w swą larwę.

— Czy będzie pan tak łaskaw podać mi ramię? — rzekła Koralia z drżeniem.

²⁸⁰alkad (z hiszp.: sędzia) — najwyższy urzędnik miasta lub gminy w Hiszpanii; burmistrz a. wójt. [przypis edytorski]

²⁸¹niemożliwy (daw.) — niemożliwy. [przypis edytorski]

²⁸²rout (daw.) — patrol. [przypis edytorski]

— Chętnie — odparł Lucjan, który uczuł serce aktorki na swoim, tłukące się jak u schwytanego ptaka.

Aktorka, przyciskając się do poety, doznawała rozkoszy kotki, która trze się o nogę pana z lubieżnym żarem.

— Więc będziemy jedli kolację razem! — rzekła.

Wszyscy czworo wyszli i ujrzeli dwa pojazdy na wprost wyjścia artystów. Koralia kazała Lucjanowi wsiąść do dorożki, gdzie już znajdował się Camusot i jego teść, zacny pan Cardot. Ofiarowała również miejsce du Bruelowi. Dyrektor pojechał z Floryną, Matifatem i Stefanem Lousteau.

— Straszne są te dorożki — rzekła Koralia.

— Czemu nie ma pani powozu? — odparł du Bruel.

— Czemu? — wykrzyknęła z irytacją. — Nie chcę mówić o tym w obecności pana Cardot, który z pewnością kształcił swego zięcia. Czy uwierzyłby pan, że ten oto pan Cardot, jak go widzicie, stary i chuderlawy, daje Florentynie ledwie pięćset franków na miesiąc, akurat tyle, ile trzeba, aby zapłacić mieszkanie i szmatki i mieć co włożyć do gęby? Stary margrabia de Rochegude, który ma sześćset tysięcy renty, ofiarowuje mi powóz od dwóch miesięcy. Ale ja jestem artystka, a nie taka...

— Będzie pani miała powóz pojutrze, panno Koralio; nigdy mi pani o tym nie wspominała.

— Czyż o to trzeba prosić? Jak to, więc kiedy się kocha kobietę, pozwala się jej brodzić w błocie lub naraża się ją, aby łamała nogi, idąc pieszo? Jedni chyba rycerze łokcia radzi widzą zablocone falbanki.

Mówiąc te słowa z irytacją, od której Camusotowi pękało serce, Koralia odszukała nogę Lucjana i ścisnęła ją między swymi, ujęła go za rękę i tuliła ją. Zamilkła, cała skupiona w nieopisanej rozkoszy, w jakiej te biedne stworzenia znajdują nagrodę za wszystkie przeszłe zgryzoty, za swe nieszczęścia; chwile te rozwijają w ich duszy poezję obcą innym kobietom, nieznaną, na szczęście, tych gwałtownych kontrastów.

— Grała pani w końcu tak dobrze jak panna Mars — rzekł du Bruel do Koralii.

— Tak — rzekł Camusot — z początku widać było, że pannie Koralii coś przeszkadza; ale od końcowych scen drugiego aktu była wprost bajeczna. Ma połowę zasługi w pańskim powodzeniu.

— A ja połowę w jej — rzekł du Bruel.

— Ot, bajecie, i tyle — rzekła zmienionym głosem.

Aktorka skorzystała z chwili ciemności, aby podnieść do ust rękę Lucjana, i ucałowała ją, zlewając łzami. Lucjan uczuł się wzruszony do szpiku. Pokora zakochanej kurtyzany kryje w sobie przepychy zdolne zawstydić aniołów.

— Pan łaskawy ma pisać recenzję — rzekł du Bruel do Lucjana — może pan wtrącić cudowny ustęp o naszej drogiej Koralii.

— Och, chciej pan nam oddać tę małą przysługę — rzekł Camusot błagalnym głosem — znajdziesz we mnie człowieka bardzo oddanego w każdej okoliczności.

— Ależ dajcie panu spokój — krzyknęła aktorka, wściekła — napisze, co będzie chciał. Papo Camusot, kupuj mi powozy, a nie pochwały!

— Będzie je pani miała bardzo tanio — odparł grzecznie Lucjan. — Nigdy nie pisywałem w dziennikach, nie znam ich obyczajów, będzie pani miała pierwociny mego pióra...

— To paradne! — rzekł du Bruel.

— Oto ulica de Bondy — rzekł stary Cardot, którego wybuch Koralii ściął z nóg.

— Ja będę miała pierwociny twego pióra, a ty mego serca — szepnęła Koralia w przełotnej chwili, przez którą została sama z Lucjanem w powozie.

Pośpieszyła za Floryną do sypialni, aby przywdziać posłaną tam wprzód toaletę. Lucjan nie znał zbytku, jaki roztaczają u aktorek albo u swoich kochanek wzbogaceni przemysłowcy chcący używać życia. Mimo iż Matifat, który nie miał fortuny tak znacznej jak jego przyjaciel Camusot, nie bardzo się wysadził, Lucjan zdumiał się, widząc jadalnię artystycznie przybraną, wybitą zielonym sukniem usianym ćwiekami o złożonych łebkach, piękne lampy, wazony pełne kwiatów, dalej salon obity żółtym jedwabiem w brązowy

Dom

deseń, najmodniejsze meble, pyszny świecznik Thomire'a²⁸³, perski dywan. Zegar, kandelabry, kominek, wszystko było w dobrym smaku. Matifat polecił urządzenie całego Grindotowi, młodemu architektowi, który mu stawiał dom i który znając przeznaczenie apartamentu, wypieścił go z osobliwym staraniem. Toteż Matifat, zawsze kupiec, z niesłychaną ostrożnością dotykał najmniejszej bagateli, ciągle zdawał się mieć przed oczyma cyfrę rachunku i patrzył na te wspaniałości jak na klejnoty nieopatrznie wyjęte z puzderka.

„Nie ma co! Trzeba będzie tak samo urządzić Florentynę!” — oto myśl, którą czytało się w oczach starego Cardot.

Lucjan zrozumiał naraz, czemu stan pokoju, w którym mieszkał Lousteau, nie trapił dziennikarza, posiadającego serce Floryny. Jako tajemny król owych festynów, Stefan korzystał z tych wszystkich pięknych rzeczy. Toteż mimo woli przyjmował pozycję pana domu, stojąc przed kominkiem i rozmawiając z dyrektorem, który winał du Bruelowi.

— Skrypt! Skrypt! — krzyknął Finot, wchodząc. — Nic nie ma w skrzynce. Zecerzy wzięli do składania mój artykuł i niebawem skończą.

— Idziemy — rzekł Stefan. — Znajdziemy stół i światło w buduarze²⁸⁴ Floryny. Jeśli pan Matifat zechce nam dostarczyć papieru i atramentu, sklecimy dziennik, gdy panie będą się ubierać.

Cardot, Camusot i Matifat znikli, skwapliwie szukając piór, scyzoryków i innych potrzebnych przyborów. W tej chwili jedna z najładniejszych tancerek owego czasu, Tulia, wpadła do salonu.

— Moje drogie dziecko — rzekła do Finota — będziesz miał swoich sto abonamentów, nie będą kosztowały dyrekcję ani grosza, już je umieszczono, narzucono je chórom, orkiestrze i baletowi. Twój dzienniczek jest tak zabawny, że nikt nie będzie się skarżył. Będziesz miał łożę. Oto za pierwszy kwartał — rzekła, podając dwa banknoty. — Zatem nie pastw się już nade mną!

— Jestem zgubiony — wykrzyknął Finot. — Przepadł naczelny artykuł do jutrzejszego numeru, bo w ten sposób trzeba mi cofnąć mą bezwstydną napaść...

— Cóż za świetna myśl, moja boska Lais²⁸⁵! — wykrzyknął Blondet, który wszedł za tancerką z Natanem, Vernou i wprowadzonym przezeń Klaudiuszem Vignon. — Zostaniesz z nami na kolacji, najmiłsza, albo cię zgniotę jak motyla, do którego jesteś podobna. Jako tancerka, nie wzniesiesz tutaj żadnej rywalizacji. Co do piękności, to jesteście wszystkie zanadto sprytnie, aby być zazdrosne o siebie publicznie.

— Mój Boże! Przyjaciele, du Bruel, Natan, Blondet, ratujcie mnie! — wykrzyknął Finot. — Trzeba mi pięciu kolumn.

— Wypełnię dwie moją recenzją — rzekł Lucjan.

— Ja z mego tematu wycisnę jedną — rzekł Lousteau.

— No więc, Natan, Vernou, du Bruel, zróbcie mi koncepty na zamknięcie numeru. Poczciwy Blondet mógłby mi wygodzić dwiema kolumnkami na pierwszą stronicę. Pędzę do drukarni. Na szczęście Tulia ma powóz.

— Tak, ale siedzi w nim księżę z ambasadorem niemieckim — rzekła.

— Zaprosimy księcia i ambasadora — rzekł Natan.

— Brawo! Niemiec tego pije, nabożnie słucha, nagadamy mu tyle bezecenstw, że będzie miał gotowy raport dla swojego dworu — wykrzyknął Blondet.

— Któż jest z nas wszystkich dość poważną osobistością, aby zejść z nimi gadać? — rzekł Finot. — Ty, du Bruel, ty jesteś biurokrata, sprowadź księcia de Rhétoré, ambasadora i podaj ramię Tulii. Mój Boże, ależ ta Tulia piękna dziś wieczór!...

— Będzie nas trzynaścioro! — rzekł Matifat, blednąc.

— Nie, czternaścioro — rzekła Florentyna, wchodząc — przychodzę pilnować mi lorda Cardot („melort Kerdet”).

— Zresztą — rzekł Lousteau — Blondet przyszedł z Klaudiuszem Vignon.

²⁸³ *Thomire, Pierre-Philippe* (1751–1843) — francuski rzeźbiarz i brązownik, najwybitniejszy wytwórca ozdobnych przedmiotów ze złoczonego brązu w okresie Cesarstwa. [przypis edytorski]

²⁸⁴ *buduar* — pokój pani domu służący do odpoczynku. [przypis edytorski]

²⁸⁵ *Lais* — imię słynnych z piękności kurtyzan greckich: Lais z Koryntu (ok. 425 p.n.e.) oraz Lais z Hykkary na Sycylii (zm. 370 p.n.e.). [przypis edytorski]

— Przywiódłem go, izby pił — odparł Blondet, biorąc kałamarz. — No, wy tam chłopcy, ruszcie dowiec na te pięćdziesiąt sześć butelek wina, które wypijemy — rzekł do Natana i do Vernou. — Zwłaszcza bacność na du Bruela, to urodzony kawalarz, podgrzeje go tylko, a wycisnie zeń parę soczystych konceptów.

Lucjan, pobudzony chęcią zdania egzaminu wobec tak wybitnych osobistości, napisał swój pierwszy artykuł na okrągłym buduarowym stoliku Floryny, przy blasku różowych świec zapalonych przez Matifata.

PANORAMA-DRAMATIQUE

Pierwsze przedstawienie „Alkada w opałach”, imbroglia w 3 aktach. — Debiut panny Floryny. — Panna Koralia. — Bouffé. Wchodzą, wychodzą, rozmawiają, przechadzają się, szukają czegoś, a nie znajdują nic, ciągły gwar, zamęt... Alkad zgubił córkę, a odnajduje czapkę: czapka coś nie na jego miarę, ani chybi, to czapka złodzieja. Gdzie złodziej? Znow wchodzą, wychodzą, mówią, przechadzają się, szukają w najlepsze. Wreszcie alkad znajduje jakiegoś mężczyznę bez swej córki i córkę bez mężczyzny, ku zadowoleniu tego godnego urzędnika, ale nie publiczności. Spokój wraca, alkad chce badać więźnia. Stary sędzia zasiada w wielkim sędziowskim fotelu, odwijając sędziowskie rękawy. Hiszpania jest jedynym krajem, gdzie widzi się alkadów nurzających się w owych wielkich rękawach, gdzie widzi się na szyjach alkadów owe krezy, które w teatrach paryskich stanowią połowę ich funkcji. Ten alkad, który tyle się nadreptał kroczeniem astmatycznego starca, to Bouffé, Bouffé, następca Potiera, młody człowiek, który tak dobrze odtwarza staruszków, że najstarsi z publiczności odmłodnieli od śmiechu. Jest przyszłość stu starców w tym obnażonym czole, w tym trzęsącym się głosie, w tych piszczelach uginających się pod ciałem Geronta²⁸⁶. Ten młody aktor jest tak stary, że przeraża: widz czuje lęk, aby ta starość nie udzieliła się jak zaraźliwa choroba. Cóż za cudowny alkad! Cóż za paradny uśmiech niepokoju! Cóż za ważna głupota! Cóż za ośła godność, coś za niepewność prawoznawcza! Jak ten człowiek wie dobrze, że wszystko na przemian może być fałszem i prawdą! Jakże on godny zostać ministrem konstytucyjnego króla! Każde pytanie alkada nieznajomy odbija pytaniem; Bouffé odpowiada w ten sposób, iż pytany odpowiedziami alkada wyjaśnia wszystko za pomocą pytań. Ta scena wysokiego komizmu, w której wieje jakby dech Moliere, wprawiła salę w szal radości. Wszyscy na scenie zdawali się zadowoleni; ale, co do mnie, nie jestem zdolny powiedzieć, o ile sprawa jest jasna lub ciemna: była przy śledztwie córka alkada, wcielona przez prawdziwą córkę Andaluzji, Hiszpankę o hiszpańskich oczach, hiszpańskiej cerze, hiszpańskiej kibici, hiszpańskim chodzie, Hiszpankę od stóp do głowy, ze sztyletem za podwiązką, miłością w sercu, krzyżykiem na piersiach. Z końcem aktu ktoś mnie zagadnął, jak idzie sztuka, odparłem: „Ma czerwone pończochy z zieloną strzałką, stópkę ot tycią, w lakierowanych pantofelkach, i najpiękniejszą nogę w Andaluzji”. Ach, ta córka alkada! Kiedy się na nią patrzy, miłość przychodzi do ust, rodzi straszliwe pragnienia, ma się ochotę skoczyć na scenę i ofiarować jej swą chatkę i serce albo trzydzieści tysięcy liwrów renty i swoje pióro. Ta córka Andaluzji jest najpiękniejszą aktorką w Paryżu. Koralia — trzeba ją nazwać po imieniu — potrafiłaby być hrabiną lub gryzetską. Nie wiadomo, pod jaką postacią podobałaby się więcej. Będzie, czym zechce, urodzona jest do *wszystkiego*; czyż to nie najwyższa pochwała dla bulwarowej aktorki?

W drugim akcie zjawia się Hiszpanka z Paryża, z twarzyczką kamei²⁸⁷ i morderczymi oczami. Zapytałem znowuż, skąd przybywa; powiedziano mi, że zza kulis i że nazywa się Floryna; ale, na honor, nie mogłem w to uwierzyć, tyle miała ognia w ruchach, tyle szalu w swej miłości. Ta rywalka cór-

Teatr

²⁸⁶Geront (z gr. *geron*: starzec) — w sztukach Moliere (*Szelmostwa Skapena*, *Lekarz mimo woli*) typ łatwowiernego starca. [przypis edytorski]

²⁸⁷kamea (z wł.) — ozdoba z kamienia szlachetnego lub półszlachetnego z płaskorzeźbą, często portretową. [przypis edytorski]

ki alkada jest żoną magnata wykrojonego z płaszcza Almavivy²⁸⁸, którego materia starczy na stu magnatów z bulwarów. Floryna nie miała wprawdzie ani czerwonych pończoch z zieloną strzałką, ani lakierowanych trzewiczków, ale miała mantylę, welon, którym posługiwała się bajecznie; urodzona dama! Pokazała w sposób wprost cudowny, że tygrysica może się stać kotką. Po ciętych słówkach, jakie obie Hiszpanki wymieniły z sobą, zrozumiałem, że musi tu być jakiś dramat zazdrości w powietrzu. Potem, kiedy wszystko miało się ułożyć, głupota alkada poplątała rzecz na nowo. Cały ten świat pochodni, bogaczy, lokajów, Figarów, magnatów, alkadów, dziewczyn i kobiet zaczął na nowo szukać, chodzić, wracać, krążyć. Intryga zawikłała się, a ja pozwoliłem się jej wikłać; te dwie kobiety, zazdrosna Floryna i szczęśliwa Koralia, zamotały mnie do reszty w fałdy swoich spódniczek i mantylek i zaproszyły mi oko swymi maleńkimi nóżkami.

Zdołałem dotrzeć do trzeciego aktu jako tako spokojnie, nie ściągnąwszy interwencji komisarza policji ani nie zgorszywszy sali; od tej chwili wierzę w potęgę publicznej i religijnej moralności, którymi tak bardzo zajmują się izby poselskie, iż można by mniemać, że w ogóle już nie ma moralności we Francji. Zdołałem zrozumieć, że chodzi o mężczyznę, który kocha dwie kobiety, nie będąc kochany, lub też jest kochany, nie kochając, który nie kocha alkadów i którego alkadowie nie kochają, ale który, to pewne, jest dzielny człowiekiem kochającym kogoś, samego siebie lub, w braku lepszego przedmiotu, Boga, zostaje bowiem mnichem. Jeżeli chcecie wiedzieć więcej, pędźcie do Panorama-Dramatique. Już was uprzedziłem należycie, że trzeba iść pierwszy raz, aby się oswoić z triumfalnymi czerwonymi pończosz-
kami, z nóżką pełną obietnic, z oczami, przez które sący się promień słońca, z finezjami kobiety-paryżanki przebranej za córę Andaluzji i córy Andaluzji przebranej za paryżankę; następny raz, aby się ucieszyć sztuką, która ubawi was do łez rolę starca, a wzruszy do łez postacią zakochanego magnata. Sztuka powiodła się w dwojakim sposobie. Autor, który, jak powiadają, miał za współpracownika jednego z naszych wielkich poetów, palnął w samo sedno sukcesu z dwururki, nabiwszy każdą lufę rozkoszną dziewczuszką, toteż omal nie ubił na śmierć widowni, oszalałej z rozkoszy. Nogi tych dwóch dziewczyn kryły swoim wdziękiem cały dowcip autora. Mimo to, kiedy obie rywalki zeszły ze sceny, spostrzegano się, że dialog jest zręczny, że dosyć triumfalnie dowodzi wartości sztuki. Autora wymieniono wśród oklasków, które przypisywały o niepokój architekta; ale autor, oswojony z wybrykami pijanego Wezuwiusza kipiącego pod żyrandolem²⁸⁹, nie zadrżał: jest nim pan de Cursy. Co się tyczy dwóch aktorek, odtńczyły słynne bolero sewilskie, które znalazło niegdyś łaskę przed ojcami głośnego soboru, a które cenzura przepuściła mimo niebezpiecznej wymowy póź. To bolero wystarczy, aby ściągnąć wszystkich starców, którzy nie wiedzą, co począć ze swą resztką zasobów miłosnych; jestem na tyle liतोściwy, iż uprzedzam ich, aby doskonale przetrarli lornetki.

Gdy Lucjan pisał te stronicę, które sprawiły rewolucję w dziennikarstwie, odsłaniając nowy i oryginalny sposób ujęcia przedmiotu, Lousteau gryzmolił artykułik, rzekomo obyczajowy, pod tytułem *Ekspiękniś*, który zaczynał się tak:

Piękniś z czasów Cesarstwa jest to człowiek zawsze długi i szczupły, dobrze zakonserwowany, który nosi sznurówkę i krzyż Legii. Nazywa się coś w rodzaju Potelet²⁹⁰; aby zaś być dobrze widzianym na dworze, baron Cesarstwa przyozdobił się maleńkim „du”: jest baronem du Potelet z gotowością

²⁸⁸ *Almaviva* — hiszpański hrabia z komedii Pierre’a Beaumarchais’go: *Cyrulik sewilski* (1775) oraz *Wesele Figara* (1792); od jego imienia obszerne kolisty płaszcze męskie bez rękawów nazywano *almawiuq*. [przypis edytorski]

²⁸⁹ *wybryki pijanego Wezuwiusza kipiącego pod żyrandolem* — mowa o żywiołowo reagującej publiczności zajmującej miejsca na najwyższym piętrze, pod świecznikami, od których buchało gorąco. [przypis edytorski]

²⁹⁰ *potelet* (fr.) — słupek, pacholek. [przypis edytorski]

wrócenia do dawnego Poteleta na wypadek rewolucji. Człowiek dwulicowy, zresztą jak jego imię, nadskakuje diuszom²⁹¹ w salonach Saint-Germain, odznaczawszy się wprzód jako chlubny, pożyteczny i przyjemny nosiogniek siostry człowieka, którego wstyd zabrania mi nazwać. Jeżeli du Potelet zapiera się swych usług przy Jej Cesarskiej Wysokości, wyśpiewuje jeszcze romanse swej poufnej dobrodziejki...

Artykuł był stekiem osobistych aluzji dość płaskich, jak to w owej epoce, rodzaj ten bowiem później wydoskonalono znakomicie, zwłaszcza w „Figarze”²⁹². Lousteau przeprowadzał naszpikowaną błazeństwami paralelę między panią de Bargeton, do której baron du Châtelet się zaleca, a ościstą rybą; koncept wyzyskano z werwą zdolną zabawić nawet tych, którzy nie znali osób. Châtelet porównany był do czapli. Amory czapli, która nie mogła przełknąć ościstej ryby, opisane były z nieprzepartym komizmem. Żart ten, rozprowadzony na kilka artykułów, miał, jak wiadomo, ogromny rozgłos w Dzielnicy Saint-Germain i był jedną z tysięcy przyczyn obostrzeń wprowadzonych w prasie. W godzinę potem Blondet, Lousteau, Lucjan wrócili do salonu, gdzie rozmawiali biesiadnicy, książę, ambasador i cztery kobiety, trzech kupcy, dyrektor teatru i Finot. Chłopiec z drukarni, strojny w sakramentalną papierową czapkę, przyszedł już nacierać o skrypt.

— Zecerzy odejdą, jeśli im nic nie przyniosę.

— Masz, daj im dziesięć franków i niech czekają — odparł Finot.

— Jeśli im dam tych dziesięć franków, proszę pana, urzną się i dobranoc z numerem.

— Zdrowy rozsądek tego pacholęcia przeraża mnie — rzekł Finot.

Właśnie w chwili gdy ambasador przepowiadał świetną przyszłość temu urwisowi, weszli trzej autorowie. Blondet przeczytał nader dowcipny artykuł przeciw romantykom. Koncept Stefana Lousteau przyjęto śmiechem. Aby nie wywoływać zbytniego oburzenia w Dzielnicy Saint-Germain, książę de Rhétoré poradził wsunąć mimochodem jakiś komplement dla pani d’Espard.

— No, a pan, młody człowieku, przeczytaj nam, co napisałeś — rzekł Finot.

Kiedy Lucjan, który drżał ze strachu, skończył, salon rozebrzmiał od oklasków, aktorki ścisnęły neofitę, trzej kupcy dusili go w objęciu, du Bruel podał mu rękę i miał lzy w oczach, dyrektor wreszcie zapraszał go na obiad.

— Nie ma już dzieci — rzekł Blondet. — Ponieważ pan de Chateaubriand²⁹³ zużył już epitet „boskiego dziecięcia” dla Wiktora Hugo, muszę powiedzieć panu po prostu, że jesteś człowiekiem z sercem, głową i stylem.

— Pan de Rubempré należy do dziennika — rzekł Finot, dziękując Stefanowi i rzucając mu przebiegle spojrzenie handlarza żywym towarem.

— Jakie dowcipy sfabrykowaliście? — rzekł Lousteau do Blondeta i du Bruela.

— Oto płody du Bruela — rzekł Natan.

...Widząc, jak bardzo wicehrabia d’A...²⁹⁴ zaprzęta sobą publiczność, wicehrabia Demostenes²⁹⁵ powiedział wczoraj: „Może zostawią mnie w spokoju”.

²⁹¹ diuszesa (z fr. *duchesse*) — księżna. [przypis edytorski]

²⁹² „Le Figaro” — francuska gazeta wydawana w Paryżu; powstała w 1826 jako tygodnik satyryczny; obecnie jeden z największych i najstarszych z dzienników francuskich. [przypis edytorski]

²⁹³ Chateaubriand, François-René de (1768–1848) — francuski pisarz i polityk, inicjator romantyzmu w literaturze francuskiej. [przypis edytorski]

²⁹⁴ wicehrabia d’A... — d’Arlincourt. [przypis edytorski]

²⁹⁵ wicehrabia Demostenes — Louis François Sosthènes de La Rochefoucauld (1785–1864), francuski polityk, ultraroyalista; 5 grudnia 1815 ośmieszył się publicznie, kiedy po jego mowie w parlamencie hrabia d’Artois, późniejszy król Karol X, skomplementował go, iż przemawia jak Demostenes (znakomity ateński mówca, słynny z żarliwych mów w obronie demokracji przeciwko królowi Macedonii Filipowi). La Rochefoucauld odpowiedział wówczas: „Sire, nawet jeśli nie mam elokwencji Demostenesa, to przynajmniej mam jego miłość do króla”. Za panowania Karola X La Rochefoucauld został Dyrektorem Generalnym Sztuk Pięknych (1824–1830); zyskał wówczas rozgłos, wydając zarządzenie regulujące długość sukni tancerek w Operze oraz nakazując umieszczenie listków figowych na posągach w Luwrze. [przypis edytorski]

...Pewna dama powiedziała do pewnego rojalisty, który ganił metodę pana Pasquier²⁹⁶ jako wznawiającą system Decazes'a²⁹⁷: „Tak, ale ma łydki na wskroś monarchiczne”.

— Po takim początku nie pytam już o dalsze, wszystko będzie doskonale — rzekł Finot. — Biegnij, zanieś im to — rzekł do chłopca. — Dziennik trochę spóźniony, ale to nasz najlepszy numer — rzekł, zwracając się do pisarzy, którzy już spoglądali na Lucjana z odcieniem niechęci.

— Ma głowę ten chłopak — rzekł Blondet.

— Artykuł bardzo tęgi — rzekł Klaudiusz Vignon.

— Do stołu! — wołał Matifat.

Księżę podał ramię Florynie, Koralia pociągnęła Lucjana, tancerka miała z jednej strony Blondeta, z drugiej niemieckiego ambasadora.

— Nie rozumiem, czemu wy napadacie na panią de Bargeton i na barona du Châtelet, którego, jak słyszę, mianowano prefektem Charenty i referendarzem stanu.

— Pani de Bargeton potraktowała Lucjana jak chłystka — rzekł Lousteau.

— Takiego pięknego młodego człowieka! — zdziwił się ambasador.

Kolacja, podana na nowym srebrze, sewrskiej porcelanie, cieniutkim i lśniącym obrusie, tchnęła solidnym przepychem. Chevet przygotował menu, wina wybrał najsłynniejszy specjalista, przyjaciel kupieckiej trójcy. Lucjan, który po raz pierwszy oglądał z bliska zbytek paryski, stapał z jednej niespodzianki w drugą, ale ukrywał swe zdumienie, jako „człowiek z głową, sercem i stylem”, na którego pasował go Blondet.

Mijając salon, Koralia szepnęła do ucha Florynie:

— Zrób to dla mnie i upij Camusota tak, aby musiał tu nocować.

— Wzięło cię? — spytała Floryna, posługując się gwarą kulis.

— Nie, moja droga, kocham! — odparła Koralia z cudownym ściągnięciem ramion.

Słowa te zabrzmiały w uchu Lucjana całą gamą pokus. Koralia była wyśmienicie ubrana, toaleta uwydatniała umiejętnie jej uroki, każda bowiem kobieta posiada sobie właściwe doskonałości. Suknia jej, jak i suknia Floryny, zrobiona była z cudownej materii, dotąd nieznanej, nazwanej jedwabnym muslinem; ten przywilej „nowalii” należał na kilka dni do Camusota, potężnego odbiorcy fabryk lionskich, jako szefa firmy „Pod Złotym Kokonem”. Tak więc miłość i strój, owa barwiczka i zapach kobiety, podnosiły urok szczęśliwej Koralii. Rozkosz oczekiwana i która się nie wymknie, wywiera potężny czar na młodych ludzi. Być może pewność jest w ich oczach całym urokiem podejrzanych lokali, może jest ona tajemnicą długotrwałych wierności? Miłość czysta, szczerą, słowem, pierwsza miłość, połączona z jednym z owych kapryśnych zachceń, jakim podlegają te biedne istoty, a także z podziwem wywołanym niezwykle pięknnością Lucjana, tchnęła inteligencję w serce Koralii.

— Kochałabym cię, choćbyś był brzydki i chory! — szepnęła mu do ucha, siadając do stołu.

Cóż za słowo dla poety! Camusot rozwił się w mgłę; Lucjan nie widział go już, parząc na Koralię. Zali²⁹⁸ człowiek będący samym użyciem i samą wrażliwością, znudzony szarzyzną prowincji, przyciągany otchłaniami Paryża, znużony nędzą, szarpany przymusową wstrzemięźliwością, zmęczony klasztornym życiem ulicy de Cluny, pracami bez rezultatu, mógł się wyrwać z tej świetnej uczty? Lucjan tkwił jedną nogą w łóżku Koralii, a drugą w lepie dziennikarstwa, za którym tyle się nagonił, nie mogąc go dosięgnąć. Po tyłu daremnych czatach przy ulicy du Sentier znajdował dziennik przy stole, pijący na umór, wesoły, dobroduszny. Kosztował zemsty za wszystkie swe cierpienia w artykule mającym nazajutrz przeszyć dwa serca, w które dawno, ale na próżno, pragnął przelać wściekłość i ból, jakimi go napojono. Patrząc na Stefana, powiadał sobie: „Oto przyjaciel!”, nie podejrzewając, że już Lousteau obawia się go jako niebezpiecznego rywala.

Strój, Kobieta

²⁹⁶ *Pasquier, Etienne Denis* (1767–1862) — francuski polityk, umiarkowany rojalista; w l. 1819–1821 minister spraw zagranicznych. [przypis edytorski]

²⁹⁷ *Decazes, Élie de* (1780–1860) — francuski polityk, umiarkowany monarchista, premier w l. 1819–1820; zmuszony do ustąpienia po zabójstwie księcia de Berry, gdyż ultraroyalści zarzucali mu, że zbyt liberalną polityką umożliwił zamach. [przypis edytorski]

²⁹⁸ *zali* (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

Lucjan popełnił ten błąd, iż pokazał cały talent: artykuł mierny byłby dlań o wiele korzystniejszy. Blondet przeciwważył zawiść pożerającą Stefana, mówiąc Finotowi, że trzeba kapitulować przed talentem, skoro jest tej miary. Ten wyrok rozstrzygnął o postępowaniu Stefana, który postanowił zostać przyjacielem Lucjana i porozumieć się z Finotem, aby wyzyskać nowego przybysza, utrzymując go w niedostatku. Postanowienie to, powzięte szybko i zrozumiane przez tych dwóch ludzi w całej rozciągłości, wyraziło się w paru zdaniach na ucho:

— Ma talent.

— Będzie wymagający!

— Och!

— Dobrze!

— Ileż to wieczoram w towarzystwie francuskich dziennikarzy, zawsze doświadczam uczucia pewnego niepokoju — rzekł dyplomata niemiecki ze spokojną i godną dobroduszością, zwracając się do Blondeta, którego spotkał już u hrabiny de Montcornet. — Jest jedno powiedzenie Blüchera²⁹⁹, które panom dane jest urzeczywistnić.

— Jakże? — spytał Natan.

— Kiedy Blücher przybył na wzgórze Montmartre, wraz z Saakenem³⁰⁰, w tysiąc osiemset czternastym — darujcie mi, panowie, że przenoszę was myślą w ten dzień tak dla was fatalny — Saaken, który był brutalem, rzekł: „Zatem puścimy z dymem Paryż!” — „Niechże Bóg broni, Francja umrze tylko z tego!” — odparł Blücher, ukazując ten wielki wrzód, który rozciągał się u ich stóp, rozżarzony i dymiący, w dolinie Sekwany. Błogosławię Boga, że nie ma dzienników w moim kraju — ciągnął po pauzie ambasador. — Jeszcze nie opamiętałem się z przerażenia, o jakie mnie przyprawił ten mały człowieczek ubrany w czapkę z papieru, który w dziesiątym roku posiada rozum starego dyplomaty. Toteż dziś wieczór mam uczucie, jakbym wieczerał w towarzystwie lwów i panter, które czynią mi ten zaszczyt, że chowają swoje pazury.

— Nie ulega wątpliwości — rzekł Blondet — że moglibyśmy powiedzieć i udowodnić Europie, że Wasza Eksceleńcja zwymiotował dzisiejszego wieczoru węża, że omal go nie zaszczerpił pannie Tulii, najpiękniejszej z naszych tancerek. Na ten temat moglibyśmy snuć komentarze o Ewie, Biblii, pierwszym i ostatnim grzechu. Ale proszę się uspokoić, Eksceleńcja jest naszym gościem.

— To byłby dobry kawał — rzekł Finot.

— Wydrukowalibyśmy szereg rozpraw naukowych o wszelakiego rodzaju węzach znalezionych w sercu i ciele człowieka, aby wreszcie dojść do ciała dyplomatycznego — rzekł Lousteau.

— Moglibyśmy pokazać jakiegokolwiek węża w tej oto flaszy po nalewce wiśniowej — dorzucił Vernou.

— Eksceleńcja gotów by w końcu uwierzyć — rzekł Vignon do dyplomaty.

— Panowie, nie budźcie pazurów, które śpią! — wykrzyknął książę de Rhétoré.

— Wpływ, potęga dziennika są dopiero w zaraniu — rzekł Finot — dziennikarstwo przechodzi okres dzieciństwa, rośnie. Wszystko za dziesięć lat podda się królestwu prasy. Myśl rozświeci wszystko, myśl...

— Splugawi wszystko — rzekł Blondet, wpadając w słowo.

— Koncept! — rzekł Klaudiusz Vignon.

— Będzie tworzyła królów — rzekł Lousteau.

— A burzyła monarchie — rzekł dyplomata.

— Toteż — rzekł Blondet — gdyby prasa nie istniała, lepiej byłoby jej nie wynajdować, ale istnieje, żyjemy nią.

— Umrzecie na nią — rzekł dyplomata. — Czy nie widzicie, że podniesienie mas (przyjmijmy, że je oświecacie) utrudni wielkość jednostki; że sięjąc w sercu niższych klas krytykę, będziecie zbierali bunt i będziecie jego pierwszymi ofiarami? Co rozbijają w Paryżu, kiedy przychodzi do rozruchów?

²⁹⁹ Blücher, Gebhard Leberecht von (1742–1819) — feldmarszałek, dowódca armii pruskiej w czasie wojen napoleońskich, m.in. pod Lipskiem i Waterloo. [przypis edytorski]

³⁰⁰ Osten-Saaken, Fabian Gottlieb von (1752–1837) — rosyjski książę, feldmarszałek; podczas kampanii sprzymierzonych w l. 1814–1815 współpracował z Blücherem; 19 marca 1814 został wyznaczony gubernatorem woj-skowym Paryża. [przypis edytorski]

— Latarnie — rzekł Natan — ale jesteśmy zbyt skromni, aby się obawiać; wybija nam tylko szyby.

— Jesteście narodem zbyt inteligentnym, aby dać się rozwinąć jakimukolwiek rządowi — rzekł ambasador. — Inaczej rozpoczęlibyście piórem podbój Europy, której oręż wasz nie umiał utrzymać.

— Dzienniki są złem — rzekł Klaudiusz Vignon. — Można było spożytkować to zło, ale rząd chce je zwalczać. Przyjdzie do starcia. Kto ulegnie? Oto pytanie.

— Rząd! — rzekł Blondet. — Toż krzyczę to do upadłego. We Francji dowcip silniejszy jest niż wszystko, dzienniki zaś, oprócz dowcipu wszystkich inteligentnych ludzi razem, mają i hipokryzję Tartufe'a³⁰¹.

— Blondet, Blondet — rzekł Finot — idziesz za daleko! Są tutaj abonenci.

— Ty jesteś właścicielem jednego z handlów trucizny, bądźże tedy w strachu, ale ja sobie kpię ze wszystkich waszych kramów, mimo że z nich żyję!

— Blondet ma słuszość — rzekł Klaudiusz Vignon. — Dziennik, miast być kapłaństwem, stał się orężem partii; z oręża stał się handlem i jak każdy handel, wyzuł się ze czci i wiary. Wszelki dziennik jest, jak powiada Blondet, kramem, gdzie sprzedaje się publiczności frazes dowolnej barwy. Gdyby istniał dziennik garbatych, udowadniałby rano i wieczór piękność, dobroć, potrzebę garbu. Dziennik ma za zadanie już nie oświecać, ale schlebiać mniemaniom. Toteż wszystkie dzienniki staną się z czasem nikczemne, obłudne, bezwstydne, kłamliwe, mordercze; będą zabijać myśli, systemy, ludzi i przez to właśnie będą kwitły. Będą miały przywilej wszystkich abstrakcji: będzie zło, nie będzie winnego. My, to jest ja, Vignon, ty, Lousteau, ty, Blondet, ty, Finot, będziemy Arystydesami, Platonami, Katonami, mężami na miarę Plutarcha³⁰²; będziemy wszyscy niewinni, będziemy mogli umyć ręce od wszelkiego bezceństwa. Napoleon wytłumaczył to zjawisko moralne czy niemoralne, jak wolicie, wspaniałym określeniem, które podyktowały mu jego studia nad Konwentem: „Zbrodnia zbiorowa nie obciąża nikogo”. Dziennik może sobie pozwolić na rzeczy najhaniebniejsze, nikt nie uważa, aby był osobiście zbrukany.

— Ale władza stworzy ustawy karne — rzekł du Bruel — już je gotuje.

— Ba — rzekł Natan — co może prawo przeciw francuskiemu dowcipowi, najlotniejszemu ze wszystkich rozkładających środków?

— Myśl można zubożyć tylko myślą — podjął Vignon. — Terror, despotyzm mogą jedynie zdławić francuskiego ducha, którego język nada się cudownie do aluzji, do dwuwykładności. Im dalej prawo pójdzie w represji, tym bardziej myśl wybuchnie, jak para w maszynie z kłapą bezpieczeństwa. I tak: król robi wszystko dobrze; jeżeli dziennik będzie przeciw niemu, wówczas wszystko składa się na ministra, i na odwrót. Jeżeli dziennik wymyśli bezwstydny potwarz, ktoś mu ją powiedział. Z jednostką, która czuje się pokrzywdzona, skwituje się, przeprasząc ją z całą lojalnością. Jeśli zawłoką dziennik przed kratki sądowe, skarży się, że nie zażądano sprostowania, ale zażądajcie go, odmówi, śmiejąc się, bagatelizując swą zbrodnię. Wreszcie oplwa swą ofiarę, kiedy triumf jej stanie się jasny. Jeżeli go ukarzą, jeżeli go dotkną zbyt ciężką grzywną, postawi skarżącego pod pręgierz, jako wroga swobód, kraju i oświaty. Powie, że taki a taki pan jest złodziejem, dowodząc, że jest najuczciwszym człowiekiem pod słońcem. Zatem zbrodnie dziennika — bagatele! Jego napastnicy — potwory! Temu, kto go czyta co dzień, dziennik może w określonym czasie wmówić, co zechce. Dalej wszystko, co mu się nie podoba, będzie niepatriotyczne, on zaś nie myli się nigdy. Posłuży się religią przeciw religii, konstytucją przeciw królowi; sponiewiera władzę, jeśli władza nie pójdzie mu na rękę, pochwali ją, gdy będzie służyła namiętnościom pospółstwa. Aby zdobyć abonentów, będzie wymyślał najbardziej wzruszające baśnie albo też błaznował. Dziennik podałyby własnego ojca na surowo, przyprawionego solą conceptów, raczej niżby miał nie zająć lub nie zabawić czytelników; stanie się aktorem, wkładającym popioły syna do urny, aby płakać naturalnymi łzami, kochanką poświęcającą wszystko dla ukochanego.

— Jednym słowem: to lud *in folio*³⁰³ — rzekł Blondet, przerywając.

³⁰¹Tartufe — główny bohater komedii Moliera *Świętoszek*. [przypis edytorski]

³⁰²Plutarch z *Cheronei* (ok. 50–ok. 125) — grecki filozof, historyk, moralista; autor popularnego zbioru zestawionych parami życiorysów sławnych Greków i Rzymian (*Żywoty równoległe*). [przypis edytorski]

³⁰³*in folio* (łac.) — o książce: w formacie złożonego na pół arkusza drukarskiego; ogólnie: wielkich rozmiarów. [przypis edytorski]

— Lud pełen hipokryzji i bez szlachetności — mówił dalej Vignon — wygna ze swego łona talent, jak Ateny wygnały Arystydesa³⁰⁴. Ujrzymy, jak dzienniki, prowadzone zrazu przez ludzi wybitnych, podpadną później pod władzę najmienniejszych, którzy będą mieli ciągłość i podatność gumelastyki³⁰⁵, zbywającą geniuszom, lub pod władzę kramarzy, których stać będzie na to, aby kupować sobie pióra. Widzimy już dziś takie rzeczy! Ale za dziesięć lat lada świeżo upieczony student będzie się uważał za wielkiego człowieka, wstąpi na kolumnę dziennika, aby policzkować swoich poprzedników, będzie ich włókł za nogi, aby zająć ich miejsce. Napoleon miał wielką słuszość, nakładając kaganiec prasie. Założyłbym się, że gdyby dzienniki opozycyjne zdołały stworzyć rząd, atakowałyby z całą zajadłością tymi samymi artykułami i argumentami, jakimi dziś mierzą w rząd królewski, ten własny rząd, gdyby im czego odmówił. Im więcej będzie się czyniło ustępstw dziennikarzom, tym bardziej dzienniki staną się wymagające. Miejsce dziennikarzy, którzy się dorobili, zajmą dziennikarze zgłodniaли i biedni. Rana jest nieuleczalna, stanie się z każdym dniem złośliwsza, zuchwalsza; im większe będzie zło, tym bardziej będzie bezkarne, aż do dnia, w którym powstanie zamęt między dziennikarzami dla ich mnogości, jak przy wieży Babel. Wiemy wszyscy, ilu nas tu jest, że dzienniki pójdą w niewdzięczności dalej niż sami królowie; w spekulacji i rachunkach dalej niż najbrutalniejszy przemysł; że pożrą nasze inteligencje, sprzedając co rano swój tani bazar intelektualny; ale będziemy pisywać w nich wszyscy, jak ludzie, którzy pracują w kopalni rtęci, wiedząc, że w niej umrą. Tam, obok Koralii, siedzi młody człowiek... Jak się nazywa? Lucjan! Jest piękny, jest poetą i, co więcej dlań warte, człowiekiem z głową; otóż przejdzie przez parę tych zamtuzów myśli zwanych dziennikami, rzuci tam najpiękniejsze myśli, wysuszy mózg, skazi duszę, popełni bezimienne podłości, które w walce hasel zastąpiły chytryść, łupiestwo, pożogi, trucicielstwo kondotierów. Kiedy wreszcie, jak tysiąc innych, roztrwoni swój piękny talent na korzyść akcjonariuszy, ci handlarze trucizny pozwolą mu umrzeć z głodu, jeśli będzie miał pragnienie, a z pragnienia, jeśli będzie cierpiał głód.

— Dziękuję — rzekł Finot.

— Ech, Boże — rzekł Klaudiusz Vignon — wiedziałem o tym, jestem w tej kaźni i przybycie nowego skazańca sprawia mi przyjemność. Blondet i ja jesteśmy więcej wari od jegomościów, którzy spekulują naszym talentem, a mimo to zawsze będziemy ich łupem. Mamy obok inteligencji serce, brak nam pazurów wyzyskiwacza. Jesteśmy leniwi, marzyciele, lubimy myśleć, dociekać; wypiją nasz mózg i potępią nas za niemoralność!

— Myślałam, że będziecie zabawniejsi — wykrzyknęła Floryna.

— Floryna ma słuszość — rzekł Blondet — kurację chorób społecznych zostawmy szarlatanom zwany męzami stanu. Jak mówi Charlet³⁰⁶: „Nie plujmy do zupy, którą musimy jeść!”

— Wiecie, jakie wrażenie robi na mnie Vignon? — rzekł Lousteau, wskazując Lucjana. — Jednej z owych grubych damulek z pewnych domów, co to mówią do studenta: „Mój mały, za młody jesteś, aby przychodzić tutaj...”

Koncept ten, przyjęty ogólnym śmiechem, spodobał się Koralii. Trójka kupców jadła i piła, przysłuchując się.

— Cóż za naród, w którym spotyka się tyle dobrego i złego! — rzekł ambasador do księcia. — Panowie, jesteście rozrzutnicy, którzy nie mogą się zrujnować.

Tak więc, błogosławieństwem przypadku, żadnej nauki nie brakło Lucjanowi na kraju przepaści, w którą miał się stoczyć. D'Arthez naprowadził poetę na szlachetną drogę pracy, budząc w nim hart, dla którego nie istnieją przeszkody. Lousteau z samolubnych pobudek starał się go zrazić, malując mu dziennikarstwo i literaturę w prawdziwym świetle. Lucjan nie chciał wierzyć w tyle ukrytego zepsucia; oto słyszał wreszcie dziennikarzy obnażających z krzykiem swe niedole, widział ich przy robocie, targających trzewia swej

³⁰⁴Arystydes (ok. 530–ok. 467 p.n.e.) — ateński polityk i wódz, nazywany Sprawiedliwym; uczestnik bitwy pod Maratonem (490); był zwolennikiem walki z Persją na lądzie i sprzeciwiał się polityce Temistoklesa, który dążył do budowy wielkiej floty obronnej. Kiedy Temistokles przeforsował swój plan, doprowadził do wygnania Arystydesa z Aten przez ostracyzm (ok. 483). Wobec inwazji perskiej Arystydes został wezwany do powrotu i wybrany na jednego z wodzów, walczył pod Salaminą (480) i Platejami (479); odegrał ważną rolę podczas tworzenia Ateńskiego Związku Morskiego. [przypis edytorski]

³⁰⁵gumelastyka (daw.) — kauczuk, guma. [przypis edytorski]

³⁰⁶Charlet, Nicolas Toussaint (1792–1845) — francuski malarz i grafik. [przypis edytorski]

żywicieli w jasnowidzeniu przyszłości. Zajrzał tego wieczoru w samą głęb rzeczy. Miał zadrzeć od grozy na widok serca paryskiego zepsucia, które tak dobrze osądził Blücher, on rozkoszował się i upajał lotnym dowcipem tej szajki. Ci ludzie, tak imponujący pod damasceńską³⁰⁷ zbroją swych nałogów i pod błyszczącym szyszakiem³⁰⁸ zimnej analizy, wydali mu się wyżej od poważnych i zrównoważonych druhów z Biesiady. Przy tym Lucjan smakował pierwszych rozkoszy bogactwa, był pod urokiem zbytku, przepychów stołu; wybredne jego instynkty budziły się; pił pierwszy raz szacowne wina, smakował przednie potrawy wykwentnej kuchni; widział ambasadora, księcia, tancerkę, jak w towarzystwie dziennikarzy podziwiają ich okrutną władzę; czuł straszliwą żądzę zapanowania nad tym światem królów, czuł w sobie siłę, aby ich zwyciężyć. Wreszcie, siedziała przy nim Koralia, której dał oto kosztować triumfu za pomocą kilku frazesów, patrzył na nią w blasku jarzących świec, przez opar półmisków i mgłę pijaństwa, zdawała mu się boską, miłość czyniła ją tak piękną! Ta dziewczyna była zresztą najładniejszą, najbardziej uroczą aktorką w Paryżu. Biesiada, owo niebo szlachetnej inteligencji, musiała ulec wobec tej pełni pokus. Sąd znawców polaskotał autorską próżność Lucjana: zakosztował pochwały przyszłych rywali! Powodzenie artykułu i zdobycie Koralii to były dwa triumfy zdolne zawrócić i nie tak młodą głowę.

Podczas tej rozmowy całe zgromadzenie jadło wyśmienicie i piło potężnie. Lousteau, sąsiad Camusota, wlał mu niepostrzeżenie parę razy kirszu³⁰⁹ do wina i podniecił jego ambicję wypicia duszkiem. Manewr przeprowadzony był tak zręcznie, że kupiec nie poznał się na nim: uważał się w swoim rodzaju za równie sprytnego, jak dziennikarze. Ostre koncepty zaczęły krążyć, kiedy podano deser i ciężkie wina. Dyplomata, człowiek wielkiego taktu, z chwilą, gdy spostrzegł, iż „kwiat inteligencji” chyli się ku rozpasaniu, jakim zwykle kończą się te orgie, dał znak księciu i tancerce i wszyscy troje znikli. Z chwilą gdy Camusot stracił przytomność, Koralia i Lucjan, którzy przez całą wieczność zachowywali się jak zakochana para piętnastolatków, zbiegli czym prędzej po schodach i wskoczyli do dorożki. Ponieważ Camusot leżał pod stołem, Matifat sądził, że znikł w towarzystwie aktorki; zostawił swoich gości, palących, pijących, śmiejących się, dysputujących, i wymknął się za Florynę, która udała się na spoczynek. Dzień zaskoczył walczących lub raczej Blondeta, nieustraszonego pogromcę flaszek, jedyne, który mógł mówić i który zagrzewał śpiących do wypicia toastu na cześć różanopalczy Aurory³¹⁰.

Lucjan nie był zahartowany w orgiach paryskich; był jeszcze przytomny na schodach, ale powietrze dopełniło miary jego pijaństwa, które objawiło się ohydnie. Koralia i jej pokojówka musiały wnieść poetę na pierwsze piętro ładnego domu przy ulicy du Vendôme, gdzie mieszkała aktorka. Na schodach Lucjan omal nie zemdlął i pochorował się gruntownie.

— Prędko, Berenice — wykrzyknęła Koralia — herbaty! Zrób herbaty!

— To nic, to powietrze — mówił Lucjan — i... ja nigdy tyle nie piłem.

— Biedne dziecko! Niewinne to jak jagniątko — rzekła Berenice, tęga Normandka, której brzydota dorównywała piękności Koralii.

Wreszcie bez jego wiedzy położono Lucjana do łóżka Koralii. Z pomocą Berenice aktorka rozebrała z macierzyńskiej troskliwością poetę, który powtarzał:

— To nic, to powietrze. Dziękuję, mamusiu.

— Jak on ślicznie mówi: mamusiu! — wykrzyknęła Koralia, całując go we włosy.

— Co to za rozkosz kochać takiego aniołka, proszę pani! Gdzie go pani wyłowiła? Nie myślałam, aby mógł istnieć chłopiec tak ładny jak pani sama — rzekła Berenice.

Lucjan chciał spać, nie wiedział, gdzie jest, nie widział nic; Koralia dała mu przełknąć parę filiżanek herbaty, następnie zostawiła go śpiącego.

— Odźwierna ani nikt nie widział nas? — spytała Koralia.

— Nie, czekałam na panią.

³⁰⁷*damasceński* — wykonany z bardzo cenionej, twardej stali produkowanej w okolicach Damaszku w Syrii; powierzchnię stali damasceńskiej pokrywały powstałe w procesie produkcji charakterystyczne wstęgowe wzory. [przypis edytorski]

³⁰⁸*szyszak* — rodzaj stożkowatego hełmu bez przyłbicy. [przypis edytorski]

³⁰⁹*kirsch* (z niem. *Kirschwasser*) — bezbarwny, wysokoprocentowy alkohol destylowany z czereśni lub wiśni. [przypis edytorski]

³¹⁰*Aurora* (mit. rzym.) — bogini zorzy porannej, Jutrzenka, odpowiednik Eos w mit. gr., określanej przez Homera jako „różanopalcę”. [przypis edytorski]

— Wiktoria nic nie wie?

— Ani dudu! — odparła Berenice.

W dziesięć godzin później, koło południa, Lucjan obudził się pod wzrokiem Koralii, która patrzała nań, jak śpi! Poeta zrozumiał ją. Aktorka była jeszcze w strojnej wieczorowej sukni, zupełnie poplamionej, z której miała uczynić relikwię. Lucjan uznał poświęcenie, delikatność prawdziwej miłości, która wymagała nagrody: spojrzał na Koralię. W jednej chwili Koralia, rozebrana, wśliznęła się jak wąż do łóżka. O piątej z wieczora poeta spał kołyszany boskimi rozkoszami, ujrzał przez chwilę pokój aktorki, rozkoszny twór zbytku, cały biały i różowy, świat cudów i zalotnego wykwintu, przewyższający jeszcze to, co Lucjan widział u Floryny. Koralia już wstała; o siódmej musiała być w teatrze. Przypatrzyła się jeszcze swemu poecie uśpionemu rozkoszą, upiła się, nie mogąc się napaść tą szlachetną miłością, która kojarzyła zmysły z sercem i serce ze zmysłami, aby je wraz doprowadzić do szczytu upojen. To ubóstwienie, które pozwala kochankom być dwójgiem tu na ziemi, a w niebie miłości tworzyć jednię, było jej rozgrzeszeniem. Której zresztą kobiecie nadziemska piękność Lucjana nie byłaby starczyła za wymówkę? Klęcząc przy łóżku, szczęśliwa miłością wolną od wszelkiej domieszki, aktorka czuła się jakby uświęcona. Rozkosze te zmąciło wejście Berenice.

— Camusot! — krzyknęła. — Wie, że pani jest.

Lucjan zerwał się, myśląc, z wrodzoną szlachetnością, o tym, aby nie szkodzić Koralii. Berenice odsunęła portierę. Wpadł do rozkosznej gotowalni³¹¹, gdzie Berenice i jej pani przeniosły z niesłychaną chyżością ubranie Lucjana. Kiedy kupiec wszedł do pokoju, buty poety uderzyły oko Koralii: Berenice ustawiła je przed ogniem dla wygrzania, oczyściwszy je potajemnie. Obie zapomniały o tych butach, będących niby aktem oskarżenia. Berenice wyszła, zamieniwszy z panią niespokojne spojrzenie. Koralia zanurzyła się w kozetce i wskazała Camusotowi fotel. Zaczny człowiek, który ubóstwiał Koralię, patrzył na buty i nie śmiał podnieść oczu na kochankę.

„Czy mam się obrazić o tę parę butów i rozstać z Koralią? To by była, w istocie, przesadna wrażliwość. Buty są wszędzie. Te byłyby bardziej na miejscu na wystawie u szewca albo na bulwarach, zażywając przechadzki na nogach mężczyzny. Natomiast tu, bez nóg, powiadają wiele rzeczy sprzecznych z paragrafem wierności. Ha, trudno, mam pięćdziesiąt lat: powinienem być ślepy jak amor”.

Ten kompromisowy monolog daremnie szukałby usprawiedliwienia. Owa para butów to nie były rozpowszechnione dziś trzewiki, których do pewnego stopnia człowiek roztargniony mógłby nie zauważyć; była to, jak przepisywała ówczesna moda, para wysokich butów, bardzo wykwintnych, z pomponikami, które lśniły się na obcisłych pantalonach³¹², prawie zawsze jasnego koloru, i w których przedmioty odbijały się jak w zwierciadle. Tak więc buty kłuły w oczy pocziwego kupca i, powiedzmy też, kłuły go zarazem w serce.

— Co panu? — spytała Koralia.

— Nic — odparł.

— Zadzwoń — rzekła Koralia, uśmiechając się z tchórzostwa Camusota. — Berenice — rzekła do Normandki, skoro ta się zjawiała — pamiętaj o haczykach, abym mogła wreszcie włożyć te przekłete buty. Nie zapomnij przynieść mi ich wieczorem do garderoby.

— Jak to!... Twoje buty?... — rzekł Camusot, oddychając swobodnie.

— A cóż pan sądzi? — spytała wyniośle. — Och, ty grubasie głupi, ty może myślałeś?... Ach, on byłby zdolny przypuszczać!... — rzekła do Berenice. — Mam męską rolę w sztuce Ikxa, a nigdy nie przebierałam się za mężczyznę. Szewc teatralny przysłał mi te buty, abym się przyzwyczajała chodzić, nim dostarczy mi bucików wykonanych na miarę; włożyłam je, ale tak mi dolegały, żeśm zdjęła, a i tak trzeba będzie włożyć znowu.

— Nie kładź, skoro cię cisną — rzekł Camusot, którego buty te cisnęły również, ale w serce.

— Pewnie — rzekła Berenice — że lepiej by pani zrobiła, zamiast się dręczyć jak przed chwilą; aż pani płakała, proszę pana! O, gdybym ja była mężczyzną, nigdy bym nie

³¹¹gotowalnia (daw.) — pomieszczenie do ubierania się. [przypis edytorski]

³¹²pantalony (z fr., daw.) — dziś: spodnie. [przypis edytorski]

pozwoliła płakać kobiecie, którą bym kochała! Lepiej by pani zrobiła, zamawiając bućki z cieniutkiego safianu. Ale dyrekcja tak skąpi na wszystkim! Doprawdy, powinien by pan zamówić dla pani...

— Tak, tak — rzekł kupiec. — Dopieroś wstała? — spytał Koralii.

— W tej chwili, wróciłam dopiero o szóstej, naszukawszy się ciebie wszędzie: przez ciebie trzymałam dorożkę siedem godzin. Oto pańska troskliwość! Zapomnieć o mnie dla butelki! Muszę się szanować, skoro teraz mam grywać co wieczór, dopóki *Alkad* będzie robił kasę. Nie chcę zadać kłamu recenzji tego młodego człowieka.

— Piękny chłopiec — rzekł Camusot.

— Uważasz? Nie lubię tego typu mężczyzn, zanadto podobni do kobiety, przy tym taki lalus nie umie kochać jak wy, stare pierniki sklepowe. Tacy jesteście namolni!

— Czy pan będzie jadł obiad z panią? — spytała Berenice.

— Nie, niewyraźnie się dziś czuję.

— Byłeś ładnie wstawiony wczoraj. Tak, staruszk: przede wszystkim nie lubię mężczyzn, którzy piją...

— Musisz coś ofiarować temu młodemu człowiekowi — rzekł kupiec.

— Och, tak, wolę ich płacić w ten sposób, niż robić to, co Floryna. No, dalej, stare ladaco kochane, idź sobie albo kup mi powóz, abym nie potrzebowała tracić czasu.

— Jutro pojedziesz własnym powozem na obiad, który daje twój dyrektor w Rocher de Cancale. Nowa sztuka nie idzie w niedzielę.

— Chodź, muszę coś zjeść — rzekła Koralia, pociągając Camusota.

W godzinę później Lucjan otrzymał wolność z ręki Berenice, towarzyszki dziecinnych lat Koralii, istoty równie sprytnej, równie lotnej dowcipem, jak korpulentnej ciałem.

— Niech pan zostanie. Koralia wróci sama, chce nawet odprawić Camusota, jeżeli pana mierzi — rzekła Berenice do Lucjana — ale, drogie dziecię jej serca, nadto jesteś aniołem, aby chcieć jej ruiny. Powiedziała mi sama, gotowa jest rzucić wszystko, opuścić ten raik, aby żyć z tobą na poddaszu. Och! Małoż to zazdrośnicy, zawistni nakładli jej do głowy, że pan nie masz złamanego szeląga, że mieszkasz w Dzielnicy Łacińskiej! Poszłabym za wami, widzisz, prowadziłabym wam gospodarstwo. Ale pocieszyłam to biedne dziecko. Nieprawdaż, mój złoty panie, że pan ma za dużo rozumu, aby się pchać w podobne głupstwa? Och, zobaczy pan, że tamten gruby ma tylko trupa, a pan jesteś ukochany, najmilszy, bóstwo, któremu się oddaje duszę. Gdybyś wiedział, jak Koralia jest urocza, kiedy przerabia ze mną rolę! Rozkoszne dziecko, delicje! Warta była, aby Bóg jej zesłał takiego anioła, brzydziło ją już życie. Była taka nieszczęśliwa przy matce, która ją biła, sprzedała ją! Tak, panie, matka, własną córkę! Gdybym miała córkę, obsługiwałabym ją jak moją małą Koralie, z której zrobiłam niby swoje dziecko. To pierwszy raz, że się jej coś wiedzie, pierwszy raz miała porządne oklaski. Zdaje się, że z okazji tego, co pan napisał, przygotowano tęgą klakę na drugie przedstawienie. Kiedy pan spał, Braulard przyszedł tu uradzać z Koralią.

— Co za Braulard? — spytał Lucjan, któremu się zdawało, że słyszał już to nazwisko.

— Szef klaki; przyszedł porozumieć się o ustępy, które trzeba wybić. Mimo że niby przyjaciółka, Floryna mogłaby łatwo spłacać jej psikusa i zgarnąć wszystko dla siebie. Całe bulwary się trzęsą po pańskim artykule. Cóż za łóżko godne książęcych amatorów!... — rzekła, kładąc na łóżku kołderkę na nogi, całą z koronek.

Zapaliła świece. Przy świetle Lucjan, oszołomiony, w istocie miał wrażenie, iż znalazł się w zaczarowanym pałacu. Najbogatsze tkaniny „Złotego Kokona”, wybrane przez Camusota, dostarczyły materii na obicia i draperie okienne. Poeta stąpał po królewskim dywanie. Palisander mebli odbijał powierzchnią swych rzeźb igrające po nim błyski światła. Biały marmurowy kominek lśnił kosztownymi drobiazgami. Dywanik przed łóżkiem był z puchu łabędzia, lamowany sobolami. Czarne aksamitne pantofle, wysłane purpurowym jedwabiem, mówiły o rozkoszach, jakie czekały poetę *Stokroci*. Rozkoszna lampa zwisała z jedwabnego stropu. W cudownych żardinierach jaśniały wyborowe kwiaty, wdzięczne paprocie, bezwonne kamelie. Wszędzie same obrazy niewinności. Jak sobie wyobrazić w tej ramie aktorkę i teatr? Berenice zauważyła oszołomienie Lucjana.

— Ładnie? — rzekła spieszonym głosem. — Nie lepiej wam będzie kochać się tu niż na poddaszu? Wstrzymaj ją pan od tego szaleństwa — ciągnęła, przysuwając przed

Bogactwo

Lucjana bogaty stoliczek zastawiony potrawami odkradzionymi z obiadu pani, by kucharka nie mogła podejrzewać obecności kochanka.

Lucjan spożył z apetytem obiad podany przez Berenice na rzeźbionym srebrze, na malowanych talerzach po ludwiku sztuka. Zbytek ten działał na jego duszę tak, jak dziewczyna z ulicy, z nagą, połyskującą piersią i dobrze obciągniętymi białymi pończochami, działa na wypuszczonego z liceum uczniaka.

— Szczęśliwy ten Camusot! — wykrzyknął.

— Szczęśliwy? — podjęła Berenice. — Och! Oddałby pewnie swój majątek, żeby być na pańskim miejscu i zamienić swą łysinę na te blond kędziory.

Zachęciła Lucjana, któremu podała najrozkoszniejsze wino, jakie Bordeaux wypiełgnowało dla bogatego Anglika, aby wrócił do łóżka, czekając na Koralię, i przespał się tymczasem nieco. W istocie łóżko to, które tak podziwiał, kuśliło Lucjana. Berenice wyczytała to pragnienie w oczach poety, uczuła się szczęśliwa za swą panią. O wpół do jedenastej Lucjan obudził się pod przepojonym miłością spojrzeniem. Koralia stała nad nim w najrozkoszniejszym negliżu. Poeta przespał się, pijany był już tylko pragnieniem. Berenice wysunęła się, pytając:

— O której jutro?

— O jedenastej; przyniesiesz nam śniadanie do łóżka. Nie ma mnie dla nikogo przed drugą.

O godzinie drugiej nazajutrz aktorka i jej kochanek byli już ubrani; siedzieli naprzeciw siebie, jak gdyby poeta przyszedł złożyć wizytę swej protegowanej. Koralia ukąpała, uczesała, skropiła, ubrała Lucjana; posłała dlań do Colliau po tuzin pięknych koszul, tuzin halsztuków, tuzin chustek, tuzin par rękawiczek w cedrowej skrzynce. Słyszając turkot powozu, rzuciła się z Lucjanem do okna. Oboje ujrzeli Camusota wysiadającego ze wspaniałego pojazdu.

— Nie myślałam — rzekła — aby można było tak znienawidzić jakiegoś człowieka i jego zbytku...

— Jestem zbyt biedny, aby pozwolić, byś się rujnowała przeze mnie — rzekł Lucjan, przechodząc w ten sposób pod kaudyńskie jarzmo³¹³.

— Katusiu najśodszy — rzekła, przyciskając Lucjana do serca — kochasz mnie tedy? — Zaprosiłam pana — rzekła do Camusota, wskazując Lucjana — aby mnie odwiedził dziś rano, myśląc, że przejedziemy się po Polach Elizejskich dla spróbowania powozu.

— Jedźcie sami — rzekł smutnie Camusot — nie będę z tobą na obiedzie; to imieniny żony, zapomniałem.

— Biedny Musot, toż się wynudzisz! — rzekła, skacząc na szyję kupcowi.

Była pijana ze szczęścia, że sama pierwszy raz wsiądzie z Lucjanem do tego pięknego pojazdu, że sama z nim pojedzie do Lasku; w przystępie radości robiła wrażenie, że kocha Camusota, którego obsypała tysiącem czułości.

— Chciałbym móc ci dawać codziennie powozy! — rzekł biedny człowiek.

— Dalej, panie, już druga — rzekła aktorka do Lucjana, a równocześnie, widząc jego zawstydzenie, pocieszyła go cudownym gestem.

Koralia zbiegła po schodach, pociągając Lucjana, który słyszał z dala sapanie przemysłowca; włókł się za nimi jak foka, nie mogąc ich doścignąć. Poeta doświadczył najbardziej upajającej rozkoszy: Koralia, którą szczęście robiło uroczą, ścigała zachwycone oczy strojem pełnym smaku i elegancji. Paryż Pól Elizejskich podziwiał tę parę. W alei Lasku Bulońskiego powóz ich spotkał pojazd pań d'Espard i de Bargeton, które zmierzyły Lucjana z wyrazem zdziwienia, a którym on rzucił wzdądlawe spojrzenie poety przeczuwającego swą sławę i żadnego sycić się swą potęgą. Chwila, w której tym rzutem oka mógł wypłuć na te dwie kobiety uczucie zemsty, jakie wyrosło w jego sercu, była jedną z najśodszych w życiu i rozstrzygnęła może o jego losie. Lucjan stał się na nowo pastwą furii pychy; zapragnął wypłynąć w świecie, znaleźć wspaniałą odwet; wszystkie małości społeczne, zdeptane niegdyś nogami pracowitego druha Biesiady, wyłoniły się w jego duszy. Zrozumiał całą doniosłość ataku podjętego dlań przez Stefana; Lousteau

³¹³ *kaudyńskie jarzmo* — znak zniewolenia i upokorzenia; podczas drugiej wojny samnickiej wojsko rzymskie, otoczone w Wąwozie Kaudyńskim (321 p.n.e.), musiało się poddać; żołnierze zostali rozbrojeni i jako pokonani zmuszeni do przejścia kolejno „pod jarzmem”, jakie nakładano wołom do orki; w tym przypadku wykonano je z włóczni. [przypis edytorski]

szedł na rękę jego namiętnościom, gdy Biesiada, ów zbiorowy mentor, czyniła wrażenie, że pragnie je unicestwić na korzyść nudnych cnót i prac, które Lucjan zaczynał uważać za bezużyteczne. Pracować! Czyż to nie jest śmierć dla dusz chciwych użycia? Toteż z jaką łatwością pisarze osuwają się w *far niente*³¹⁴, słodczye łatwego i wykwintnego życia aktorek i kurtyzan! Z jaką łatwością zapamiętują się w rozkoszach kulinarnych! Lucjan czuł nieprzepartą ochotę snuć dalej godziny tych dwóch szalonych dni.

Obiad w Rocher de Cancale był rozkoszny. Lucjan zastał wszystkich gości Floryny, prócz ambasadora, księcia i tancerki oraz prócz Camusota. W miejsce nieobecnego kupca przybyło dwóch sławnych aktorów oraz Hektor Merlin w towarzystwie uroczej kochanki, znanej pod mianem pani du Val-Noble, najpiękniejszej i najwytworniejszej z owych kobiet, które tworzyły wówczas w Paryżu wyjątkowe społeczeństwo istot skromnie dziś nazwanych loretkami³¹⁵. Lucjan, który od czterdziestu ośmiu godzin żył w raju, dowiedział się o powodzeniu swego artykułu. Widząc, iż go fetują, podziwiają, poeta nabrał pewności siebie; spał iskrami, stał się owym Lucjanem de Rubempré, który przez kilka miesięcy błyszczał w literaturze i w świecie artystów. Finot, ten człowiek niezaprzeczonej zřeczności w odgadywaniu talentów, który wietrzył je jak Sinobrody³¹⁶ zapach świeżego ciała, chodził koło Lucjana, starając się go wciągnąć w huf dziennikarzy, którymi dowodził. Lucjan wziął się na lep pochlebstw. Koralia zauważyła manewry tego pożeracza mózgów i chciała przestrzec Lucjana, aby się miał na baczności.

— Nie zobowiązuje się, kochanie — szepnęła swemu poecie — zaczekaj; chcę cię wyzyskać, pomówimy o tym wieczorem.

— Ba — rzekł Lucjan — czuję się na siłach, aby być równie twardy i przebiegły jak oni.

Finot, któremu ani w głowie było poróżnić się z Hektorem Merlinem o jego psikusa, zapoznał dziennikarza z Lucjanem. Koralia i pani du Val-Noble poczęły się kumać z sobą, obsypywały się czułościami i uprzejmościami. Pani du Val-Noble zaprosiła Lucjana i Koralię na obiad. Hektor Merlin, najniebezpieczniejszy ze wszystkich dziennikarzy obecnych na tym obiedzie, był to mały człowieczek, suchy, o zaciśniętych wargach, dławiący w sobie niepomiarłą ambicję, zazdrość bez granic, delektujący się wszystkim złem, jakie działo się dookoła niego, korzystając ze swarów, które podsycił, mający wiele inteligencji, mało woli, ale zastępujący wolę instynktem, który wiedzie arywistów³¹⁷ w sfery oświetlone złotem i potęgą. Obaj z Lucjanem uczuli do siebie wzajemną antypatię; nie trudno wytłumaczyć, czemu. Merlin miał to nieszczęście, iż mówił do Lucjana głośno to, co Lucjan myślał po cichu. Przy deserze zdawało się, iż węzły najserdeczniejszej przyjaźni łączą tych ludzi, z których każdy uważał się za wyższego od drugich. Lucjan jako nowo przybyły był przedmiotem ich załotów. Rozmawiano z całym wylaniem³¹⁸. Hektor Merlin jedyny nie brał udziału w ogólnym weselu. Lucjan spytał go o powód tej wstrzeźliwości.

— Hm, patrzę na pana, jak wchodzisz w świat literatury i dziennika, pełen złudzeń. Wierzysz w przyjaciół. My wszyscy jesteśmy przyjaciółmi lub wrogami, wedle okoliczności. Pierwsi godzimy w siebie bronią, która powinna by nam służyć tylko dla gnębienia obcych. Przekonasz się niedługo, że nie zdobędziesz nic pięknymi uczuciami. Jeśli z natury jesteś dobry, stań się zły. Bądź drapieżny z wyrachowania. Jeżeli nikt ci nie zdradził tej naczelnej maksymy, ja ci ją zdradzę; a nie jest to byle co. Aby być kochanym, nie rozstawaj się nigdy z kochanką, nie wycisnąwszy jej trochę łez z oczu; aby dojść do czegoś piórem, rań cały świat, nawet przyjaciół, wyciskaj łzy miłości własnej, cały świat będzie ci się łasił.

Hektor Merlin był rad, widząc z miny Lucjana, że słowa jego wchodzą w neofitę jak ostrze sztyletu. Zaczęto grać. Lucjan przegrał wszystko, co miał. Wyszedł, uprowadzony przez Koralię, słodczye miłości dały mu zapomnieć o straszliwych wzruszeniach gry, która

³¹⁴*far niente* (wł.) — próżnowanie, beczynność. [przypis edytorski]

³¹⁵*loretka* (daw.) — kobieta z półświatka paryskiego; od nazwy zamieszkiwanej przez wiele z nich dzielnicy Matki Boskiej Loretańskiej, zbudowanej wokół kościoła o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

³¹⁶*Sinobrody* — postać z baśni Charles'a Perraulta, stary, zamożny szlachcic, zabijający w tajemniczy sposób swoje kolejne żony. [przypis edytorski]

³¹⁷*arywista* (z fr.) — człowiek bez skrupułów dążący do zdobycia pozycji, pieniędzy lub władzy; karierowicz. [przypis edytorski]

³¹⁸*z wylaniem* (daw.) — wylewnie; serdecznie, dając wyraz uczuciom. [przypis edytorski]

później miała w nim znaleźć jedną ze swych ofiar. Nazajutrz, wychodząc od kochanki i wracając do Dzielnicy Łacińskiej, znalazł w sakiewce całą przegraną sumę. Ta pamięć dziewczyny osmuciła go zrazu; chciał biec do aktorki i zwrócić dar, który go upokarzał; ale był już na ulicy La Harpe, powlókł się dalej ku hotelowi. Idąc, wracał wciąż myślą do postępcu Koralii, ujrzał w nim dowód macierzyństwa, jakim u tych kobiet barwi się miłość. U nich namiętność obejmuje wszystkie uczucia. Tak brnąc w myślach, Lucjan znalazł wreszcie furtkę, mówiąc sobie: „Kocham ją, będziemy żyli z sobą, nie opuszczę jej nigdy”.

Któż, o ile nie jest Diogenesem, nie zrozumiałby wrażeń Lucjana, kiedy wstępował po zabloconych i cuchnących schodach, kiedy usłyszał zgrzyt klucza w zamku, kiedy ujrzał brudną podłogę i nędzny kominek w pokoju, ohydny swą nagością i nędzą. Znalazł na stole rękopis swego romansu i parę słów od Daniela:

Nasze grono jest prawie że zadowolone z Twego dzieła, drogi poeto. Możesz je przedstawić, ich zdaniem, z większą niż wprzód ufnością, przyjaciółom i wrogom. Czytaliśmy świetną recenzję z Panorama-Dramatique, musisz budzić tyle zazdrości w świecie literackim, ile żalu wśród nas.

Daniel

— Żalu? Co on chce powiedzieć? — rzekł Lucjan, zdziwiony tonem wyszukanej grzeczności, jaki panował w liście.

Byłże już obcym w Biesiadzie? Pochłonawszy rozkoszne owoce, jakie mu podała Ewa z rajy kulis, tym więcej przykładał wagi do szacunku i przyjaźni druhów z ulicy des Quatre-Vents. Jakiś czas trwał w zadumie, ogarniając myślą swą teraźniejszość w tej izdebce i przyszłość w pokoju Koralii. Rzucony na pastwę wahań, zaszczytnych i hańbiących na przemian, usiadł i zaczął badać własne dzieło, zwrócone mu przez przyjaciół. Jakież było jego zdumienie! Rozdział po rozdziale, biegle i oddane pióro tych wielkich, mimo iż nieznanymi jeszcze ludzi zmieniło jego nędzę w bogactwa. Dialog pełny, zwarty, zwięzły, drgający życiem zastąpił jego gawędy; uczuł, do jakiego stopnia były one czczym gadulstwem w porównaniu do tych rozmów, tchnących duchem epoki. Jego portrety, nieco miękkie, nabrały wyrazu i koloru; wiązały się z ciekawymi zjawiskami ludzkiego życia za pomocą obserwacji fizjologicznych, będących zapewne dziełem Bianchona, ujętych subtelnie i głęboko. Opisy, wprzód gadatliwe, stały się pełne treści i życia. Oddał druhom dziecię niewydarzone, lichy odziane, a odnajdował rozkoszną dziewczynę w białej sukni, z różową szarfą dookoła kibici i na szyi, czarującą istotę. Noc zastała Lucjana z oczyma mokrymi od łez; szlachetność ta przygniatała go; czuł wartość podobnej lekcji, podziwiał te poprawki, które szerzej mu otwierały oczy na literaturę i sztukę niż cztery lata lektury, porównań i studiów. Poprawienie źle naszkicowanego kartonu, dotknięcie mistrza na żywym dziele zawsze mówią więcej niż teorie i obserwacje.

— Co za przyjaciele! Co za serca! Jakież jestem szczęśliwy! — wykrzyknął, ściskając rękopis.

Pociągnięty uniesieniem właściwym poetycznym i wrażliwym naturom, pobiegł do Daniela. Wstępując na schody, czuł się jednakże mniej godny tych serc, których nic nie zdołało sprowadzić ze ścieżki honoru. Jakiś głos mówił mu, że gdyby Daniel pokochał Koralię, nie zgodziłby się na Camusota. Znał też głęboką odrazę Biesiady do dziennikarzy, a sam się już po trosze do nich liczył. Zastał przyjaciół, z wyjątkiem Meyraux, który wyszedł właśnie, w rozpacz malującej się na wszystkich twarzach.

— Co wam jest, drodzy? — rzekł Lucjan.

— Dowiedzieliśmy się przed chwilą o strasznej katastrofie; największy umysł epoki, najukochańszy przyjaciel, ten, który przez dwa lata był naszym światłem...

— Ludwik Lambert — rzekł Lucjan.

— Znajduje się w stanie katalepsji³¹⁹, która nie zostawia żadnej nadziei — rzekł Bianchon.

³¹⁹*katalepsja* — odrętwienie, zesztynienie mięśni powodujące zastygnięcie ciała, często w nienaturalnej pozycji; występuje przy niektórych zaburzeniach psychicznych, chorobach mózgu oraz zatruciach. [przypis edytorski]

— Umrze z ciałem bez czucia, a głową w niebie — dodał uroczyście Michał Chrestien.
 — Umrze, jak żył — rzekł d'Arthez.
 — Miłość, wkradłszy się jak ogień w przestworza jego mózgu, zażęgła w nim pożar — rzekł Leon Giraud.
 — Tak — rzekł Józef Bridau — wzbila go aż do stref, w których tracimy go z oczu.
 — My to jesteśmy godni pożałowania — rzekł Fulgencjusz Ridal.
 — Wyleczy się może! — wykrzyknął Lucjan.
 — Sądząc z tego, co mówi Meyraux, nie ma nadziei. Głowa jego jest teatrem zjawisk, nad którymi medycyna nie ma władzy.
 — Istnieją jednak środki... — rzekł d'Arthez.
 — Tak — rzekł Bianchon — jest tylko kataleptykiem, my możemy go zrobić idiotą.
 — Nie móc ofiarować geniuszowi Zła głowy w zamian za tę głowę! Oddałbym moją własną! — krzyknął Michał.
 — A co by się stało z federacją europejską? — rzekł d'Arthez.
 — Och, prawda — rzekł Michał Chrestien — nim się należy do jednego człowieka, należy się do ludzkości.
 — Szedłem tu z sercem pełnym podzięków dla was wszystkich — rzekł Lucjan. — Zamieniliście mój liczman³²⁰ w ważkie złoto.
 — Podziękuj! Za kogo nas bierzesz? — rzekł Bianchon.
 — Przyjemność była po naszej stronie — dodał Fulgencjusz.
 — Zatem jesteś dziennikarzem? — rzekł Leon Giraud. — Rozgłos twego pierwszego występu doszedł aż do Dzielnicy Łacińskiej.
 — Jeszcze nie — odparł Lucjan.
 — Chwała Bogu! — rzekł Michał Chrestien.
 — Mówiłem wam przecie — dodał d'Arthez. — Lucjan jest z tych serc, które znają wartość czystego sumienia. Czyż to nie jest pokrzepiający wiatyk³²¹: kłaść co wieczora głowę na poduszkę, mogąc sobie rzec: „Nie sądziłem niczyich dzieł; nie sprawiłem nikomu zgrzyoty; dowcip mój nie wdzierał się jak sztylet w duszę żadnego prostaczka; żart mój nie zmącił niczyjego szczęścia, nie zakłócił nawet szczęśliwej głupoty, nie nękał niesprawiedliwie geniuszu; gardziłem łatwym triumfem złośliwości; zwłaszcza nie skłamałem nigdy swoim przekonaniom”.
 — Ale — rzekł Lucjan — można chyba zachować to wszystko, nawet pracując w dzienniku. Gdybym ostatecznie miał tylko ten sposób do życia, musiałbym się go chwycić.
 — Och! Och! Och! — rzekł Fulgencjusz, podnosząc ton przy każdym wykrzykniku. — Kapitulujemy!
 — Będzie dziennikarzem — rzekł poważnie Leon Giraud. — Ach! Lucjanie, gdybyś chciał być z nami, w chwili gdy mamy stworzyć dziennik, w którym nigdy prawda ani sprawiedliwość nie będą obrażone, gdzie będziemy rozszerzać nauki pożyteczne dla ludzkości, może...
 — Nie będziecie mieli ani jednego abonenta — odparł makiawelicznie Lucjan, przerywając Leonowi.
 — Będą mieli pięciuset, wartych pięciuset tysięcy — odparł Michał Chrestien.
 — Trzeba wam będzie kapitałów — podjął Lucjan.
 — Nie — rzekł d'Arthez — ale poświęcenia.
 — Przysięgłby ktoś, że to sklep z pachnidłami — wykrzyknął Michał Chrestien, wachając komicznym ruchem głowę Lucjana. — Widziano cię w powozie wybitym jedwabiami, zaprzężonym w rumaki godne dandysa, z kochanką iście księżącą, Koralią.
 — Więc cóż — rzekł Lucjan — czy w tym co złego?
 — Mówisz tak, jakbyś się poczuwał! — krzyknął Bianchon.
 — Pragnąłbym dla Lucjana — rzekł d'Arthez — Beatrycze, szlachetnej kobiety, która by go podtrzymała w życiu...
 — Ależ Danielu, czy miłość nie jest wszędzie jednaka? — rzekł poeta.

Cnota, Sumienie

³²⁰liczman — żeton zastępujący monetę, przen. coś bezwartościowego. [przypis edytorski]

³²¹wiatyk — w chrześcijaństwie (zwł. w katolicyzmie) komunია święta podawana choremu na łożu śmierci. [przypis edytorski]

— Och — rzekł republikanin — w tym jestem arystokratą. Nie mógłbym nigdy kochać kobiety, którą aktor całuje na oczach publiczności, kobiety, którą „tykają” za kulisami, która płaszczy się wobec parteru i mizdrzy się do niego, która tańczy, podkaszując spódniczki, i przebiera się po męsku, aby pokazać to, co ja pragnę sam jeden mieć prawo oglądać. Albo gdybym kochał podobną kobietę, opuściłaby teatr, a ja oczyściłbym ją moją miłością.

— A gdyby nie mogła opuścić teatru?

— Umarłbym ze zgryzoty, z zazdrości, z tysiąca mąk. Nie można wydrzeć miłości z serca, tak jak się wyrywa ząb.

Lucjan sposepniał, zamyślił się.

„Kiedy się dowiedzą, że się godzę na Camusota, będą mną gardzić” — pomyślał.

— Ot, co tu gadać — rzekł nieubłagany republikanin z okrutną dobroduszością — możesz być wielkim pisarzem, ale zawsze będziesz pajacem.

Wziął kapelusz i wyszedł.

— Twardy jest Michał Chrestien — rzekł poeta.

— Twardy i zbawienny jak obcegi dentysty — rzekł Bianchon. — Michał widzi twą przyszłość, w tej chwili może płacze nad tobą na ulicy.

D'Arthez był łagodny i kojący, starał się pokrzepić Lucjana. Po upływie godziny poeta opuścił Biesiadę, nękany sumieniem, które krzyczało: „Będziesz dziennikarzem!”, jak czarownica krzyczy Makbetowi³²²: „Będziesz królem!”. Na ulicy spojrzął w okna ciepłego d'Artheza, oświecone słabym światłem, i wrócił do siebie z sercem zasmuconym, duszą niespokojną. Jakieś przeczucie mówiło mu, że ostatni raz przycisnęli go do serca jego prawdziwi przyjaciele. Wchodząc w ulicę Cluny przez plac Sorbony, poznał zaprzęg Korali. Aby ujrzeć na chwilę swego poetę, aby mu powiedzieć proste dobranoc, aktorka przebyła przestrzeń od bulwaru du Temple do Sorbony. Lucjan ujrzał swą kochankę we łzach na widok jego poddasza; chciała być biedną jak jej kochanek, płakała, układając koszule, rękawiczki, krawaty i chustki do nosa w ohydnej hotelowej komodzie. Rozpacz jej była tak wielka, tak prawdziwa, wyrażała tyle miłości, że Lucjan, któremu tak wymawiano tę miłość aktorki, ujrzał w Korali świętą, gotową przywdziać włosienicę nędzy. Aby przybyć tu, czarująca istota chwyciła się pozoru: uprzedziła swego kochanka, iż spółka Camusot, Koralia i Lucjan ma odwzajemnić spółce Matifat, Floryna i Lousteau ich wieczrę, oraz spytała Lucjana, czy nie zależy mu specjalnie na jakimś zaproszeniu. Lucjan odpowiedział, iż pomówi ze Stefanem. Zabawiwszy chwilę, aktorka odfrunęła, ukrywając Lucjanowi, że Camusot czeka na dole. Nazajutrz o ósmej rano Lucjan poszedł do Stefana, nie zastał go, pobiegł do Floryny. Dziennikarz i aktorka przyjęli kamrata w ładnej sypialni, gdzie sobie usłali gniazdko małżeńskie, i wszyscy troje spożyli przednie śniadanko.

— Mój drogi — rzekł Lousteau, kiedy znaleźli się przy stole i gdy Lucjan wspomniał o projektowanej przez Koralię wieczry — radzę ci pójść ze mną do Felicjana Vernou, zaprosić go i zaprzyjaźnić się z nim, o ile można się zaprzyjaźnić z podobnym ziołkiem. Felicjan wprowadzi cię może do politycznego dziennika, w którym pitrasi felieton i gdzie będziesz mógł kwitnąć w *zasadniczych* artykułach na pierwszej stronicy. To pismo, jak i nasze, należy do partii liberalnej, będziesz liberałem, to dzisiaj hasło dnia; zresztą, gdybyś chciał przejść na stronę ministerialną, uzyskasz tym lepsze warunki, im okażesz się niebezpieczniejszym. Czy Hektor Merlin i jego pani du Val-Noble, u której bywa kilku wielkich panów, młodych dandysów i milionerów, nie prosili ciebie i Korali na obiad?

— Owszem — odparł Lucjan — i ty także masz być z Floryną.

Podczas piątkowego pijaństwa i niedzielnego obiadu Lucjan i Lousteau doszli do tego, że byli z sobą na ty.

— Więc dobrze, spotkamy Merlina w dzienniku, to chłopak, który pójdzie rychło w ślady Finota; staraj się być z nim dobrze, winienesz go zaprosić wraz z jego damą; może ci być niebawem użyteczny. Człowiek, który tak dyszy nienawiścią jak on, potrzebuje wspólników; dopomoże ci, aby mieć w potrzebie twoje pióro.

³²²*Makbet* — tytułowy bohater tragedii Szekspira, waleczny wódz szkocki, który za sprawą ambicji, wzbudzonych w nim przez czarownice, tytułując go przyszłym królem, i nakłoniony przez żonę zamordował prawowitego króla i zagarnął tron. Poczucie winy i paranoiczna podejrzliwość popychały go do kolejnych zbrodni, aż do fatalnego końca w zamku oblężonym przez zbuntowanych rycerzy. [przypis edytorski]

— Pański debiut narobił dość hałasu, aby usunąć wszystkie przeszkody — rzekła Floryna do Lucjana — niech się pan śpieszy wyzyskać to, inaczej pójdziesz rychło w zapomnienie.

— Kapitalna sprawa, o której mówiliśmy kiedyś — podjął Lousteau — stała się ciemnem! Finot, ten człowiek bez cienia talentu, jest dyrektorem i naczelnym redaktorem tygodnika Dauriata, właścicielem szóstej części, która go nic nie kosztuje, i ma sześćset franków pensji miesięcznie. Ja, mój drogi, jestem od dziś rana „naczelnym” naszego dzienniczka. Wszystko się odbyło, jak przewidywałem owego wieczoru; Floryna była wspaniała, zakasowała księcia de Talleyrand³²³.

— Trzymamy mężczyzn przez ich przyjemności — rzekła Floryna — dyplomaci biorą ich jedynie miłością własną; dyplomaci widzą ich w pompie, my w negliżu; jesteśmy tedy mocniejsze.

— Dobijając targu, Matifat popełnił jedyny dowcip, jaki mu się wymknął w całym żywocie pigularza: „Ostatecznie — rzekł — ten interes jest w zakresie mego przemysłu!”

— Podejrzewam Florynę, że mu go podszeptała! — wykrzyknął Lucjan.

— Zatem, drogi adonisie³²⁴ — podjął Lousteau — zrobiłeś pierwszy krok do fortuny.

— Urodził się pan w czepku — rzekła Floryna. — Iluż młodych ludzi drepce lata całe po Paryżu, nie mogąc umieścić jednego artykułu. Będzie z panem tak jak z Emilem Blondetem. Widzę już za pół roku pańską ważną fizjonomię! — dodała z uśmiechem, spoglądając drwiąco na Lucjana.

— A ja! Czyż nie tkwię w Paryżu trzy lata — rzekł Lousteau — a dopiero od wczoraj Finot daje mi stałych trzysta franków na miesiąc za naczelną redakcję, pięć za kolumnę i sto za arkusz w tygodniku.

— Jakże, i pan nic na to? — zawołała Floryna, patrząc na Lucjana.

— Zobaczymy — rzekł Lucjan.

— Mój drogi — rzekł Lousteau, dotknięty — ułożyłem wszystko, jakbyś był moim bratem; ale nie odpowiadam za Finota. Finot będzie obłożony przez sześćdziesięciu obwiesiów, którzy jutro, pojutrze zaczną się licytować *in minus*³²⁵. Przrzekłem za ciebie, możesz się zrzucić, jeśli chcesz. Nie oceniasz swego szczęścia — rzekł dziennikarz po pauzie. — Będziesz tym samym należał do kategorii, której członkowie atakują swoich nieprzyjaciół w kilku dziennikach i wspomagają się wzajem.

— Chodźmy przede wszystkim do Felicjana Vernou — rzekł Lucjan, któremu pilno było zapoznać się z groźnymi sępami literatury.

Lousteau posłał po kabriolet; dwaj przyjaciele pomknęli na ulicę Mandar, gdzie Vernou mieszkał na drugim piętrze w domu o ciemnej sieni. Lucjan zdumiał się, zastając tego ostrego, wzdorczego i wybrednego krytyka w jadalnym pokoju bezgranicznie pospolitym, z lichą kraciastą tapetą w ułożone symetrycznie kwiatki, z rycinami w złożonych ramach. Krytyk siedział przy stole z kobietą zbyt brzydką, aby nie była legalną żoną, i dwójgim drobnych dzieci, usadowionych w wysokich krzeselkach z poręczami, żeby smarkacze nie pospadali. Zaskoczony w cycowym³²⁶ szlafroku sporządzonym z starej sukni żony, Felicjan podniósł się z miną dość kwaśną.

— Po śniadaniu jesteś, Lousteau? — rzekł, podając krzesło Lucjanowi.

— Idziemy od Floryny — rzekł Stefan — tameśmy śniadali.

Lucjan nie przestawał się przyglądać pani Vernou, która podobna była do pocziwej, grubej kucharki, z dość białą cerą, ale niesłychanie pospolitej. Na nocnym czepeczku z tasiemkami miała zawieszany fular³²⁷, poza który przelewały się ściśnięte a obfite policzki. Szlafrok bez paska, spięty pod szyją, spadał luźnymi fałdami, czyniąc ją podobną do kopca. Obdarzona rozpaczliwie kwitnącym zdrowiem, dama miała policzki niemal fioleto-
letowe, a palce w kształcie kielbasek. Ta kobieta wytłumaczyła nagle Lucjanowi zagadkę

Żona, Kobieta, Uroda

Żona, Małżeństwo

³²³Talleyrand, właśc. książę Charles-Maurice de Talleyrand-Périgord (1754–1838) — francuski dyplomata i polityk; zasłynął jako inteligentny, cyniczny i bezwzględny pragmatyk, pełniąc funkcje agenta dyplomatycznego lub ministra spraw wewnętrznych kolejnych rządów: Dyktatoratu, Napoleona, Burbonów i Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

³²⁴adonis — tu iron.: piękny mężczyzna, wzór urody męskiej; w mit. gr. Adonis był pięknym młodzieńcem, w którym kochały się boginie Afrodyta i Persefona. [przypis edytorski]

³²⁵in minus (łac.) — na niekorzyść; na zniżkę. [przypis edytorski]

³²⁶cycowy — wykonany z cycu (z hol. *sits*), tj. taniego materiału bawełnianego, perkalu. [przypis edytorski]

³²⁷fular — chustka jedwabna na szyję. [przypis edytorski]

Felicjana Vernou. Chory na swoje małżeństwo, nie dość bezwzględny, aby opuścić żonę i dzieci, ale dość poeta w duszy, aby się wciąż tym dręczyć, człowiek ten nie mógł nikomu przebaczyć powodzenia, musiał być nierad ze wszystkiego, wciąż nierad z samego siebie. Lucjan zrozumiał kwaskowaty wyraz, jaki mroził tę zawistną fizjonomię, cierpkość, jaką dziennikarz zaprawiał rozmowę, zjadliwość stylu, zawsze wyostrego i zatrutego jak sztylet.

— Przejdźmy do gabinetu — rzekł Felicjan, wstając — chodzi zapewne o sprawy literackie.

— Tak i nie — odparł Lousteau. — Mój stary, chodzi o kolację.

— Przyszedłem — rzekł Lucjan — prosić pana w imieniu Koralii.

Na to imię pani Vernou podniosła głowę.

— ...Na kolację od dziś za tydzień — ciągnął Lucjan. — Zastanie pan to samo towarzystwo co u Floryny, z dodatkiem pani du Val-Noble, Merlina i kilku innych. Będzie partyjka.

— Ale, mój drogi, mamy tego dnia iść do pani Mahoudeau — rzekła żona.

— Co ma jedno z drugim? — rzekł Vernou.

— Gdybyśmy nie poszli, czułaby się dotknięta, a zależy ci na niej, kiedy chodzi o eskont weksli księgarzy.

— Słyszysz, mój drogi, ta kobieta nie rozumie, że kolacja zaczynająca się o północy nie przeszkadza iść na wieczór, który kończy się o jedenastej! I ja żyję, pracuję w tym domu! — dodał.

— Ma pan tyle wyobraźni! — odparł Lucjan, który tym słówkiem zrobił sobie z Felicjana śmiertelnego wroga.

— Zatem — podjął Lousteau — przychodzisz, ale to nie wszystko. Pan de Rubempré zostaje jednym z naszych, popieraj go zatem w swoim dzienniku; przedstaw go jako chwata zdolnego uprawiać wielką literaturę, aby mógł umieścić przynajmniej dwa artykuły na miesiąc.

— Owszem, jeżeli chce przystać do nas, atakować naszych wrogów, a bronić przyjaciół, z prawem wzajemności, wspomnę o nim dziś wieczór w Operze — odparł Vernou.

— Zatem do jutra, stary — rzekł Lousteau, ściskając rękę Felicjana z oznakami gorącej przyjaźni. — Kiedy wychodzi twoja książka?

— Ba — rzekł ojciec rodziny — to zależy od Dauriata; ja skończyłem.

— Jesteś zadowolony?

— Tak i nie...

— Podgrzejemy sukces — rzekł Lousteau, wstając i składając ukłon żonie kolegi.

To nagle wyjście umotywowane było wrzaskami dwojga dzieci, które posprzeczwały się i zaczęły sobie wzajem ochlapywać twarze zupą, czerpiąc ją pełnymi łyżkami.

— Widziałeś, moje dziecko — rzekł Stefan do Lucjana — kobietę, która nie wiedząc o tym, czyni wiele spustoszeń w literaturze. Biedny Vernou nie może nam przebaczyć swojej żony. Powinno by się go uwolnić od niej w dobrze zrozumianym interesie publicznym. Uniknęlibyśmy potoku jadowitych krytyk, wycieczek przeciw wszystkim sukcesom i wszystkim reputacjom. Co począć z taką kobietą, obciążoną dwojgiem potwornych smarkaczy? Widziałeś Rigaudina w *Domu na loterii*³²⁸ Picarda; otóż tak samo jak Rigaudin, Vernou nie będzie się bił, ale sprawi, że inni będą się bili; wydziobałby sobie oko, byle w zamian wydziobać oba najlepszemu przyjacielowi; ujrzyś go depczącego każdego trupa, chichoczącego nad każdym nieszczęściem, atakującego książąt, hrabiów, margrabiów, szlachtę, bo jest plebejuszem, atakującego bezżenne sławy z przyczyny swej żony, prawiącego wciąż o moralności, mówiącego kazania o szczęściu domowym i obowiązkach obywatela. Słowem, ten tak moralny krytyk nie przepuści nikomu, nawet dzieciom. Żyje przy ulicy Mandar z żoną, która mogłaby grać „mamamuszi” w *Mieszczaninie szlachcicem* Moliera³²⁹, oraz z dwojgiem małych Verniątek, brzydkich jak grzech śmiertelny; sili

³²⁸ *Dom na loterii* — *La maison en loterie*, jednoaktowa komedia Picarda i Radeta z roku 1817. Jednym z jej bohaterów jest Rigaudin, zdeformowany, garbaty urzędnik pracujący u notariusza; rolę tę odgrywał słynny Hugues Bouffé. [przypis edytorski]

³²⁹ *mamamuszi* w „*Mieszczaninie szlachcicem*” Moliera — w komedii *Mieszczanin szlachcicem* marzący o szlachectwie pan Jourdain zostaje przez rzekome poselstwo od syna sultana tureckiego mianowany *mamamuszim*, co ma oznaczać „wojewodę”. [przypis edytorski]

się smagać szyderstwem Dzielnicę Saint-Germain, gdzie nigdy noga jego nie postanie, i każe margrabinom przemawiać językiem, jakim mówi jego żona. Oto człowiek, który bez ustanku naszczekuje na jezuitów, znieważa dwór, wmawia wąż intencje wskrzeszenia pańszczyzny, prawa starszeństwa³³⁰ i który gotów jest głosić wojny krzyżowe w imię równości, on, który nikogo nie uważa za równego sobie. Gdyby był kawalerem, gdyby mógł błyszczyć, gdyby miał wzięcie poetów-rojalistów wysiadujących synekury, upstrzonych krzyżami Legii, byłby optymistą. Dziennikarstwo składa się z tysiąca podobnych pobudek. To wielki taran, wprawiany w ruch przez drobne nienawiści. Masz teraz ochotę do żeniaczki? Vernou nie ma już serca, żółć wszystko w nim zalała. Toteż jest on dziennikarzem w każdym calu, dwurękim tygrysem, który rozdziera wszystko, jak gdyby pióro jego cierpiało na wściekliznę.

— To ofiara ginofobii³³¹. Ma talent?

— Ma spryt. To chodzący artykuł. Vernou płodzi artykuły, zawsze będzie robił artykuły i nic tylko artykuły. Najuporczywsza praca nie zdoła nigdy skleić książki z jego kartek. Felicjan niezdolny jest począć dzieło, rozłożyć proporcje, połączyć harmonijnie osoby za pomocą planu, który rozpoczyna się, zawiązuje i zmierza do głównego punktu; ma idee, ale nie zna faktów; bohaterowie jego to utopie filozoficzne albo liberalne; wreszcie, styl odznacza się szukaną oryginalnością, jego wydęte zdanie padłoby na płask, gdyby je krytyka nakłuła szpileczką. Toteż obawia się ogromnie dzienników, jak wszyscy ci, którzy potrzebują hałasu reklamy, aby się utrzymać na powierzchni.

— Ależ to gotowy felieton! — wykrzyknął Lucjan.

— Z tych, moje dziecko, które trzeba sobie mówić, ale nigdy nie trzeba ich pisać.

— Stajesz się naczelnym redaktorem — rzekł Lucjan.

— Gdzie mam cię wysadzić? — spytał Lousteau.

— U Koralii.

— Aha, jesteście zakochani — rzekł Lousteau. — Cóż za błąd! Zrób z Koralii to, co ja robię z Floryny, spiżarnię, ale wolność ponad wszystko!

— Świętego zawiódłbyś do piekła — rzekł, śmiejąc się, Lucjan.

— Piekło ojczyzną szatanów — odparł Lousteau.

Lekki, błyszczący ton nowego przyjaciela, sposób, w jaki odnosił się do życia, paradoksy jego, zmieszane z maksymami paryskiego makiawelizmu, mimowiednie działały na Lucjana. W teorii poeta uznawał niebezpieczeństwo tych poglądów, w praktyce pojmował ich użyteczność. Dobiwszy do bulwaru du Temple, przyjaciele postanowili, iż spotkają się między czwartą a piątą w redakcji, gdzie zjawi się bez wątpienia i Hektor Merlin. Lucjan w istocie tonął w rozkoszach szczerzej miłości kurtyzany, z rasy kobiet, które wpijają pazury w najczulsze miejsca duszy, naginając się z nieprawdopodobną gibkością do wszystkich pragnień, schlebając leniwym nałogom i czerpiąc w nich swą siłę. Miał już we krwi rozkosze Paryża, polubił łatwe, obfite i wystawne życie, jakie aktorka stwarzała mu u siebie. Zastał Koralie i Camusota pijanych radością. Teatr Gymnase ofiarował jej od Wielkanocy *engagement*, którego warunki, sformułowane jasno, przewyższały nadzieje Koralii.

— Panu zawdzięczamy ten triumf — rzekł Camusot.

— Och! Z pewnością, gdyby nie on, *Alkad* zrobiłby kłapę, nie byłoby prasy i tkwiłabym na bulwarach jeszcze sześć lat.

Skoczyła mu na szyję w obecności Camusota. Wybuch aktorki miał coś dziwnie miękiego w swej żywości, tkliwego w rozigraniu: kochała! Jak wszyscy ludzie w chwili wielkiego bólu, Camusot opuścił oczy i spostrzegł na szwie butów Lucjana kolorową nitkę używaną przez modnych szewców, znaczącą się ciemnożółtym kolorem na czarnej błyszczącej cholewce. Oryginalny kolor tej nitki zaprzął był Camusota podczas monologu o niewytłumaczonej obecności pary butów przed kominkiem Koralii. Wyczytał, czarnymi literami na białej i miękkiej skórcie podszewki, adres głośnego wówczas szewca: „Gay, ulica Michodière”.

— Panie — rzekł do Lucjana — ma pan bardzo piękne buty.

³³⁰prawo starszeństwa — prawo feudalne przyznające najstarszemu synowi pierwszeństwo i główny udział w dziedziczeniu; zniesione przez rewolucję w 1789; w czasach Restauracji rząd Josepha de Villele'a usiłował je przywrócić (1826). [przypis edytorski]

³³¹ginofobia, właśc. gynofobia a. gynefobia (z gr.) — lęk przed kobietami. [przypis edytorski]

— Wszystko ma piękne — rzekła Koralia.
— Chciałbym się przenieść do pańskiego szewca.
— Och — rzekła Koralia — jak to trąci kramikiem pytać każdego o adresy! Chcesz nosić modne buciki, dobre dla młodego? Ładny będzie z ciebie chłoptaś! Zachowaj swoje buty z cholewami, odpowiednie dla obywatela na stanowisku, który ma żonę, dzieci i kochankę.

— Gdyby pan zechciał zdjąć jeden but na próbę, wyświadczyłby mi pan niezmierną grzeczność — rzekł uparcie Camusot.

— Nie potrafiłbym go potem włożyć bez haczyków — rzekł Lucjan, rumieniąc się.

— Berenice przyniesie, znajdą się — rzekł kupiec piekielnie jowialnym tonem.

— Camusot — rzekła Koralia, rzucając mu spojrzenie przepełnione bezlitosną wzdarcą — miej pan odwagę swojej nikczemności! No, powiedz wszystko. Uważasz, że buty pana de Rubempré podobne są do moich? Zabraniam panu zdejmować — rzekła do Lucjana. — Tak, panie Camusot, tak, to najzupełniej te same, które owego dnia stały przed kominkiem: ten pan, ukryty w mojej gotowni, czekał na nie, spędził noc tutaj. Czy to myślałeś, powiedz? Myśl, owszem, bardzo proszę. To szczerza prawda. Oszukuję pana. Cóż dalej? Tak mi się podoba!

Usiadła bez gniewu, z miną najswobodniejszą w świecie, patrząc na Camusota i Lucjana, którzy nie śmieli spojrzeć na siebie.

— Uwierzę tylko w to, co sama zechcesz — rzekł Camusot. — Nie żartuj, zbłądziłem, przyznaję.

— Albo jestem bezwstydną ladacnicą, która za pierwszym spotkaniem rzuciła się temu panu na szyję, albo biedną nieszczęśliwą istotą, pierwszy raz świadomą prawdziwej miłości, za którą upędzają się wszystkie kobiety. W obu wypadkach trzeba mnie albo rzucić, albo wziąć, jak jestem — rzekła, miażdżąc kupca gestem królowej.

— Byłaby to prawda? — rzekł Camusot, który z zachowania Lucjana poznał, że Koralia nie żartuje, i który żebrał, aby go oszukano.

— Kocham Koralie — rzekł Lucjan.

Słyszając te słowa, powiedziane wzruszonym głosem, Koralia skoczyła na szyję poety, utuliła go i obróciła głowę w stronę kupca, ukazując mu cudowną grupę miłosną, jaką tworzyła z Lucjanem.

— Biedny Musot, zabierz wszystko, co mi dałeś, nie chcę nic od ciebie, kocham jak szalona tego dzieciaka, nie za jego talent, ale za urodę. Wolę nędzę z nim niż miliony z tobą.

Camusot padł na fotel, utopił twarz w rękach i trwał w milczeniu.

— Czy chce pan, abyśmy sobie poszli? — rzekła z nieprawdopodobnym okrucieństwem.

Lucjan uczuł zimno w plecach, czując, iż spada na nie kobieta, aktorka i gospodarstwo.

— Zostań tu, zachowaj wszystko, Koralio — rzekł kupiec słabym i bolesnym głosem, płynącym z głębi duszy — nie chcę ci nic odbierać. Włożyłem wprawdzie sześćdziesiąt tysięcy w to urządzenie, ale nie mógłbym ścierpieć myśli, że moja Koralia jest w nędzy. A jednak znajdziesz się w nędzy, i to niedługo. Mimo iż ten pan posiada zapewne świetne talenty, nie potrafią ci one zapewnić egzystencji. Oto co nas czeka wszystkich, nas starych! Pozwól mi, Koralio, odwiedzić cię niekiedy: mogę ci być użyteczny. Zresztą, wyznaję, niepodobieństwem byłoby mi żyć bez ciebie.

Pokora tego biedaka, wyzutego z całego szczęścia w chwili, gdy zdało mu się ono najpewniejsze, wzruszyła Lucjana, ale nie Koralie.

— Przychodź, biedny Musot, przychodź, ile masz ochotę — rzekła — będę cię lepiej znosiła, nie musząc cię oszukiwać.

Camusot zdawał się rad, iż nie wygnano go z raju ziemskiego, gdzie bez wątpienia miał cierpieć, ale gdzie spodziewał się wrócić z czasem do wszystkich praw, polegając na przypadkach paryskiego życia i na pokusach, jakie otoczą Lucjana. Stary wyga, osiwiały w handlu, pomyślał, że prędzej czy później ten piękny młodzieniec dopuści się jakiej niewierności; aby go móc szpiegować, aby go zgubić w sercu Koralii, chciał zostać ich przyjacielem. Ta podłość prawdziwego uczucia przeraziła Lucjana. Camusot zaprosił młodą parę na obiad do Véry'ego w Palais-Royal, oni zaś nie odmówili.

Zdrada, Miłość

— Co za szczęście! — wykrzyknęła Koralia, skoro Camusot odszedł. — Skończyły się ciupy w Dzielnicy Łacińskiej, będziesz mieszkał tu, nie będziemy się rozstawać; weźmiesz, dla zachowania pozorów, mieszkanko przy ulicy Charlot, i niech żyje miłość.

Odańczyła swój hiszpański taniec z furją, w której malowała się niepohamowana namiętność.

— Pracując usilnie, mogę zarobić pięćset franków na miesiąc — rzekł Lucjan.

— Mam tyleż samo w teatrze, nie licząc *feu*³³². Camusot będzie mnie zawsze ubierał, kocha mnie! Mając tysiąc pięćset franków miesięcznie, będziemy żyli jak krezusy.

— A konie, woźnica, służba? — rzekła Berenice.

— Będę robiła długi — wykrzyknęła Koralia.

I znów zaczęła tańczyć *gigę*³³³ z Lucjanem.

— Trzeba w takim razie przyjąć propozycję Finota — wykrzyknął Lucjan.

— Dalej — rzekła Koralia — ubieram się i odwożę cię do redakcji; zaczekam w po-
wozie na bulwarach.

Lucjan siadł na sofie, patrzył na aktorkę robiącą toaletę i pogrążył się w smutnych refleksjach. Byłby wolał raczej zostawić Koralii wolność niż brać na siebie takie zobowiązania; ale była tak piękna, tak ślicznie zbudowana, tak ponętna, iż poeta dał się uwieść malowniczym pozorom życia cyganerii i rzucił rękawicę w twarz Fortuny. Berenice miała się zająć przeprowadzeniem i instalacją Lucjana. Następnie triumfująca, piękna, szczęśliwa Koralia porwała ukochanego poetę i przejechała przez cały Paryż, aby dotrzeć na ulicę Saint-Fiacre. Lucjan wbiegł lekko po schodach i z pańską miną wkroczył do redakcji. Pomidor, wiecznie z plikiem stemplowanego papieru na głowie, oraz stary Giroudeau oznajmili mu, z miną dość obłudną, że nie ma nikogo.

— Ależ współpracownicy muszą się gdzieś spotykać, aby się porozumieć co do numeru — rzekł.

— Prawdopodobnie, ale redakcja mnie nie obchodzi — rzekł kapitan gwardii, który wziął się do sprawdzania opasek ze swym wiecznym: hum, hum!

W tej chwili przypadkiem — szczęśliwym czy nieszczęśliwym? — Finot wszedł, aby wtajemniczyć wuja w rzekomą abdykację i polecić mu dozór swoich interesów.

— Nie ma co robić dyplomacji z panem, należy do dziennika — rzekł do wuja Finot, ściskając równocześnie rękę Lucjana.

— A, pan należy?... — wykrzyknął Giroudeau, zdziwiony gestem siostrzeńca. — No no, drogi panie, nietrudno panu przyszło się dostać.

— Chcę z panem omówić warunki, aby pana nie wykiwał nasz Stefanek — rzekł Finot, obejmując Lucjana bystrym spojrzeniem. — Będzie pan brał po trzy franki od kolumny wszelkiego tekstu, włącznie ze sprawozdaniami z teatrów.

— Nikomu jeszcze nie dawałeś takich warunków! — rzekł Giroudeau, patrząc ze zdumieniem na Lucjana.

— Będzie miał cztery bulwarowe teatrzyki, masz dbać o to, aby mu nikt jego łóż nie zwędził i aby bilety oddawano mu do rąk. Radzę panu mimo to kazać je sobie odsyłać do domu — rzekł, zwracając się do Lucjana. — Zobowiązuje się pan dostarczać, poza krytyką, dziesięć artykułów do działu „Rozmaitości”, w przybliżeniu na dwie kolumny, po pięćdziesiąt franków miesięcznie, przez rok. Czy to panu dogadza?

— Owszem — rzekł Lucjan, który miał ręce spętane okolicznościami.

— Wuj — rzekł Finot, zwracając się do kasjera — zredaguje umowę i podpiszemy, wychodząc.

— Kogo mam zaszczyt?... — spytał Giroudeau, wstając i uchylając czarnej jedwabnej czapeczki.

— Lucjan de Rubempré, autor recenzji z *Alkada* — odparł Finot.

— Młodzieńcze — wykrzyknął stary wojskowy, uderzając w czoło Lucjana — masz tu kopalnię złota. Nie jestem literatem, ale pański artykuł przeczytałem od deski do deski, zrobił mi przyjemność. Takich mi dawajcie! To się nazywa humor. Zaraz sobie pomyślałem: „To nam ściągnie abonentów!” I przyszli, przyszli. Sprzedaliśmy pięćdziesiąt numerów.

³³²*feu* (fr. dosł.: światło) — w teatrze: dodatkowe wynagrodzenie płacone od występu. [przypis edytorski]

³³³*giga* — żywy, skoczny taniec ludowy pochodzenia angielskiego. [przypis edytorski]

— Czy moja umowa ze Stefanem Lousteau spisana w podwójnym egzemplarzu i gotowa do podpisu? — rzekł Finot do wuja.

— Tak — odparł Giroudeau.

— Połóż na umowie z panem wczorajszą datę, aby Lousteau już był związany tymi warunkami.

Finot ujął pod ramię nowego współpracownika z pozorami koleżeństwa, które chwyciło poetę, i pociągnął go na schody, mówiąc:

— Masz tedy pozycję zapewnioną. Przedstawię cię sam *moim* pracownikom. Następnie wieczór Lousteau wprowadzi cię do teatrów. Możesz zarobić sto pięćdziesiąt franków miesięcznie w dzienniczku, który będzie prowadził Lousteau: toteż staraj się żyć z nim dobrze. Już dziś ten hultaj będzie miał pretensje do mnie, że mu związałem co do pana ręce: ale pan masz talent, nie chcę, abyś był zdany na łaskę „naczelnego”. Co się nas tyczy, może mi pan dać do dwóch arkuszy na miesiąc do mego tygodnika, ofiaruję panu dwieście franków. Nie mów nikomu o tym układzie, zadziobaliby mnie dawniejsi, już podrażnieni sukcesem przybysza. Palnij, w tych rozmiarach, cztery artykuły, podpisz dwa nazwiskiem, a dwa pseudonimem, aby nie wyglądało, że odbierasz chleb innym. Zawdzięczasz swą pozycję Blondetowi i Vignonowi, którzy uważają, że masz przyszłość. Dlatego nie daj się zjeść w kaszy. Zwłaszcza strzeż się przyjaciół. Co do nas obu, zawsze możemy się porozumieć. Idź na rękę mnie, ja będę szedł tobie. Masz za czterdzieści franków łóż i biletów do sprzedania i za sześćdziesiąt książek do spuszczenia. Ten drobny przemysł oraz artykuły dadzą ci czterysta pięćdziesiąt franków miesięcznie. Mając głowę na karku, potrafisz wycisnąć co najmniej dwieście franków ponadto z księgarzy, którzy ci będą opłacać recenzje i prospekty. Ale jesteś *mój*, nieprawdaż? Mogę liczyć na pana?

Lucjan uściśnął rękę Finota z wylewem niesłychanej radości.

— Niech nie wygląda, żeśmy się porozumieli — rzekł Finot Lucjanowi do ucha, otwierając drzwi do izdebki na piątym piętrze, w głębi długiego korytarza.

Lucjan ujrzał Stefana Lousteau, Felicjana Vernou, Hektora Merlina i jeszcze dwóch dziennikarzy, których nie znał. Siedzieli przy stole przykrytym zielonym sukniem, przy dobrym ogniu, na krzesłach lub fotelach; palili cygara i śmiali się. Stół był zarzucony papierami, stał na nim prawdziwy kałamarz pełen atramentu, pióra dość liche, ale dzielnie wprawiane w ruch przez dziennikarzy. Przybysz zrozumiał, że tutaj wysmaża się wielkie dzieło.

— Panowie — rzekł Finot — celem zebrania jest wprowadzenie na moje miejsce i stanowisko druha naszego, Stefana Lousteau: obejmuje naczelną redakcję dziennika, który ja zmuszony jestem opuścić. Ale mimo iż moje poglądy ulegają zmianie, nieuchronnej dla objęcia redakcji tygodnika, którego przeznaczenie znacie, przekonania moje zostały te same i jesteście nadal przyjaciółmi. Jestem wam szczerze oddany i liczę na wzajemność. Okoliczności są zmienne, zasady są stałe. Zasady są osią, na której kręci się igła politycznego barometru.

Współpracownicy parsknęli jednogłośnie śmiechem.

— Któż ci podsunął te aforyzmy? — spytał Lousteau.

— Blondet — odparł Finot.

— Wiatr, deszcz, burza, pogoda — rzekł Merlin — wszystko po kolei.

— Zresztą — rzekł Finot — nie brnijmy w metafory: każdy, kto zechce umieścić u mnie artykuł, znajdzie Finota. Ten pan — rzekł, przedstawiając Lucjana — należy do waszego grona. Podpisałem z nim, Lousteau.

Każdy wyraził parę pochlebnych słów Finotowi z powodu jego wyniesienia i nowych przeznaczeń.

— Jedziesz zatem oklep ku przyszłości na grzbiecie tygodnika — rzekł jeden z dziennikarzy nieznanym Lucjanowi.

— Byle nie na naszym...

— Pozwolisz nam nadal przypiekać naszym wrogom?

— Ile tylko zechcecie! — rzekł Finot.

— Och — rzekł Lousteau — dziennik nie może się cofać. Pan Châtelet obraził się, nie popuścimy go cały tydzień.

— Co się stało? — spytał Lucjan.

Pieniądz, Interes

— Przyszedł żądać zadośćuczynienia — rzekł Vernou. — Ekspiękniś Cesarstwa trafił na starego Giroudeau, który z najzimniejszą krwią wskazał jako autora artykułu Filipa Bridau, Filip zaś poprosił barona o wskazanie czasu i broni. Na tym sprawa utknęła. Obecnie gotujemy się przeprosić barona w jutrzejszym numerze. Każde zdanie jest pchnięciem sztyletu.

— Gryźcie go do żywego, zgłosi się do mnie — rzekł Finot. — Zaskarbię sobie jego względy, poskramiając was; ma stosunki w ministerium, capnie się przy tej okazji jakąś profesurkę albo trafikczkę³³⁴. Bardzo szczęśliwie, że dał się wciągnąć do gry. Kto z was chce napisać w moim tygodniku zasadniczy artykuł o książce Natana?

— Daj Lucjanowi — rzekł Lousteau. — Hektor i Vernou kropną sprawozdania w swoich pismach.

— Żegnam was, panowie, spotkamy się oko w oko u Barbina³³⁵ — rzekł Finot, śmiejąc się.

Lucjan uszczknął parę komplementów z okazji wstępu do groźnego ciała dziennikarzy, Lousteau przedstawił go jako człowieka, na którego można liczyć.

— Lucjan prosi was gromadnie, panowie, na wieczerzę do swej damy, pięknej Koralii.

— Koralia przechodzi do Gymnase — rzekł Lucjan do Stefana.

— Hej, panowie, rozumie się samo przez się, że będziemy popierali Koralie, hę? We wszystkich dziennikach umieścicie parę wierszy o nowym *engagement* i o jej talencie. Podniesiecie takt i zręczność dyrekcji Gymnase; czy możemy jej przyznać i inteligencję?

— Przynajmy i inteligencję — rzekł Merlin. — Fryderyk³³⁶ ma tam sztukę ze Scribe'em.

— Och, w takim razie dyrektor Gymnase jest najbardziej przewidującym i najprzenikliwszym ze spekulantów — rzekł Vernou.

— Hola! A nie piszcie o książce Natana, póki się nie porozumiemy; zaraz wam powiem, czemu — rzekł Lousteau. — Trzeba nam się przysłużyć nowemu koledze. Lucjan ma dwie książki do zbicia: zbiorek sonetów i romans. Wystarczy parę artykułików, a od dziś za trzy miesiące będzie wielkim poetą! Posłużymy się jego *Stokrociami*, aby sponiewierać ody, ballady, medytacje, całą poezję romantyczną.

— To byłoby zabawne, gdyby jego sonety były lichotą — rzekł Vernou. — Co myślisz o swoich sonetach, Lucjanie?

— Aha, jak pan je uważa? — rzekł jeden z nieznanych.

— Tęgie są — rzekł Lousteau — słowo honoru.

— Dobrze, bardzom rad z tego — rzekł Vernou — cisnę je na łeb tym poetom z zakrystii, którzy mi już kością w gardle stają.

— Jeżeli Dauriat dziś wieczór nie weźmie *Stokroci*, kropniemy artykuł po artykule przeciw Natanowi.

— Ale cóż Natan na to? — wykrzyknął Lucjan.

Pięciu dziennikarzy parsknęło śmiechem.

— Będzie uszczęśliwiony — rzekł Vernou. — Zobaczysz, jak my to urządzimy.

— Zatem ten pan jest *nasz*? — rzekł jeden z dwóch dziennikarzy, których Lucjan nie znał.

— Tak, tak, Fryderyku, bez kawałów. Widzisz, Lucjanie — rzekł Stefan do neofity — jak my postępujemy z tobą; myślę, że i ty nie cofniesz się w potrzebie. Kochamy wszyscy Natana, i będziemy go *rzynać*. A teraz podzielmy cesarstwo Aleksandrowe³³⁷. Fryderyku, chcesz Komedię Francuską i Odeon?

— Jeżeli panowie się zgodzą — rzekł Fryderyk.

Wszyscy skłonili głowy, ale Lucjan dostrzegł w oczach błyski zawiści.

³³⁴traficzka — zdrobn. od trafika: sklep z wyrobami tytoniowymi. Handel tytoniem wymagał uzyskania koncesji. [przypis edytorski]

³³⁵spotkamy się (...) u Barbina — cytat z komedii Moliera *Uczone białogłowy* (akt III, scena V); *Claude Barbin* (ok. 1628–1698): paryski księgarz, wydawca m.in. Moliera i La Fontaine'a. [przypis edytorski]

³³⁶Fryderyk — Frédéric Dupetit-Méré (1785–1827), francuski dramaturg, autor i współautor licznych sztuk, z których niemal wszystkie opublikował jako „Fryderyk”. [przypis edytorski]

³³⁷podzielmy cesarstwo Aleksandrowe — po śmierci Aleksandra Macedońskiego (323 p.n.e.) jego wodzowie podzielili się władzą, przyznając sobie części jego imperium, z którym utworzyli potem własne państwa. [przypis edytorski]

— Ja zatrzymuję Operę, Włochów³³⁸ i Operę Komiczną — rzekł Vernou.
 — Zatem Hektor weźmie wodewile — rzekł Lousteau.
 — Jak to! Ja wcale nie będę miał teatrów? — rzekł drugi z dziennikarzy nieznanych Lucjanowi.
 — Więc dobrze, Hektor zostawi ci Variétés, a Lucjan Porte-Saint-Martin — powiedział Stefan. — Oddaj mu Porte-Saint-Martin, durzy się jak wściekły w Fanny Beaupré — rzekł do Lucjana — weźmiesz w zamian Cirque-Olimpique. Ja będę miał Bobino, Funambules i panią Saqui... Co mamy do dziennika na jutro?
 — Nic.
 — Nic?
 — Nic.
 — Panowie, wystąpcie świetnie na mój pierwszy numer. Baron du Châtelet i jego rybka nie starczą na dłużej niż tydzień. Autor *Samotnika* już zużyty.
 — Sosten-Demosten przestał być zabawny — rzekł Vernou — wszyscy go od nas przejęli.
 — Tak, trzeba nam nowej padliny — rzekł Fryderyk.
 — Panowie, a gdyby tak ośmieszyć cnotliwych mężów z prawicy? Gdyby napisać, że panu de Bonald czuć nogi? — wykrzyknął Lousteau.
 — Może by zacząć serię portretów mówców ministerialnych? — rzekł Hektor Merlin..
 — Zrób to, moje dziecko — rzekł Lousteau — znasz ich, to twoi ludzie, będziesz mógł zadowolić parę wewnętrznych antypatyjek. Skubnij Beugnota, Syrieysa de Mayrinhac³³⁹ i innych. Artykuły mogą być gotowe z góry, zdejmie nam to z głowy kłopot o numer.
 — Gdybyśmy wymyślili jakąś odmowę pogrzebu³⁴⁰ z okolicznościami mniej lub więcej obciążającymi? — rzekł Hektor.
 — Nie dojadamy resztek po wielkich dziennikach konstytucyjnych, które mają swoje fiszki z księżmi, pełne takich kaczek — odparł Vernou.
 — Kaczka? — rzekł Lucjan.
 — Kaczką — objaśnił Merlin — nazywamy fakt, który ma pozór rzeczywistości, ale który wymyśla się dla ożywienia kroniki, kiedy jest mdła. Kaczka to pomysł Franklina³⁴¹, który wynalazł gromochron, kaczkę i republikę. Ten dziennikarz tak dobrze wziął na kawał encyklopedystów swymi zamorskimi kaczkami, że w *Historii filozoficznej Indii* Raynal³⁴² przytacza dwie takie kaczusie jako autentyczne fakty.
 — Nie wiedziałem o tym — rzekł Vernou. — Cóż to za kaczkę?
 — Historia o Angliku, który sprzedał swoją oswobodzicielkę, Murzynkę, uczyniwszy ją wprzód matką, aby wydobyć z niej więcej pieniędzy. Następnie wzniosła obrona młodej dziewczyny brzemiennej, która w końcu wygrała sprawę. Kiedy Franklin przybył do Paryża, przyznał się u Neckera³⁴³ do swych kaczek, ku wielkiej konfuzji paryskich filozofów. I oto jak nowy świat po dwakroć zakazał stary.

³³⁸Włochów — tj. Comédie-Italienne, teatr paryski, założony w XVII w., gdzie w przeciwieństwie do Comédie-Française oferowano repertuar włoski. [przypis edytorski]

³³⁹Beugnot, Syrieys de Mayrinhac — Jacques Claude Beugnot (1761–1835): polityk francuski, umiarkowany rojalista, w 1814 członek rządu tymczasowego, w 1815 z powodu braku poparcia ultraroyalistów otrzymał honorową funkcję ministra stanu bez teki, od 1816 jako poseł, bronił wolności prasy, w 1820 wycofał się z życia publicznego; Jean Jacques Félix Syrieys de Mayrinhac (1777–1831): polityk francuski, skrajny monarchista, w l. 1824–1828 radca stanu i dyrektor generalny ds. rolnictwa. [przypis edytorski]

³⁴⁰odmowa pogrzebu — samobójcom i wolnomyślicielom Kościół katolicki odmawiał pochówku, co było powodem ataków liberalnej opozycji na rząd, wspierający katolicyzm jako oficjalną religię Francji. [przypis edytorski]

³⁴¹Franklin, Benjamin (1706–1790) — amerykański polityk i publicysta, jeden z autorów *Deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych*. Był też malarzem i naukowcem, wynalazcą m.in. piorunochronu. [przypis edytorski]

³⁴²Raynal, Guillaume (1713–1796) — francuski historyk, pisarz i filozof epoki oświecenia; autor *Filozoficznej i politycznej historii kolonii i handlu Europejczyków w obu Indiach* (*L'Histoire philosophique et politique des établissements et du commerce des Européens dans les deux Indes*, 1770), w której krytykował postępowanie kleru i władz wobec ludności kolonii. [przypis edytorski]

³⁴³Necker, Jacques (1732–1804) — finansista i polityk genewski, minister finansów, a potem minister stanu Ludwika XVI. [przypis edytorski]

— Dziennik — rzekł Lousteau — uważa za prawdziwe wszystko, co jest prawdopodobne. To nasze założenie.

— Sąd karny postępuje nie inaczej — rzekł Vernou.

— A zatem dziś wieczór, o dziewiątej, tutaj — rzekł Merlin.

Wszyscy powstali, uścisnęli sobie ręce i zamknięto posiedzenie wśród objawów wzruszającej serdeczności.

— Cóżes ty zadał Finotowi — rzekł Stefan do Lucjana, schodząc — że zawarł z tobą pisemną umowę? Jesteś jedyny, z którym wiąże się w ten sposób.

— Ja? Nic, sam mi się ofiarował — rzekł Lucjan.

— Ostatecznie, choćbyś i miał z nim swoje układy, byłbym z tego bardzo kontent, tym silniejsi będziemy obaj.

Na parterze Stefan i Lucjan spotkali Finota, który wziął Stefana do reprezentacyjnego gabinetu.

— Podpisz pan umowę, aby nowy redaktor myślał, że datuje się od wczoraj — rzekł Giroudeau, podsuwając Lucjanowi dwa arkusiki stemplowego papieru.

Podczas czytania umowy Lucjan usłyszał między Stefanem a Finotem dość żywą dyskusję, której tematem były dochody „w naturze”. Stefan chciał mieć udział w tych podatkach, ściąganych przez starego Giroudeau. Musiało dojść do porozumienia, gdyż dwaj przyjaciele opuścili redakcję w zupełnej zgodzie.

— O ósmej w Galerjach Drewnianych, u Dauriata — rzekł Stefan do Lucjana.

W tej chwili zjawił się jakiś młody człowiek żądny pracy w piśmie, z tą samą spłoszoną i niespokojną miną, jaką Lucjan miał kiedyś. Lucjan ujrzał z tajoną przyjemnością, jak Giroudeau używał sobie na neoficie; słuchał żarcików, którymi stary wojskowy zwodził swego czasu i Lucjana; własny interes uczynił mu zupełnie zrozumiałym ten manewr, który stawiał zapory niemal nie do przebycia między debutantami a poddaszem, do którego wnikali wybrańcy.

— Nie ma zbytku pieniędzy dla współpracowników — rzekł do kapitana.

— Gdyby was było więcej, każdy z was miałby mniej — odparł Giroudeau. — Ot, co!

Ekswojskowy puścił w ruch ołowianą laskę, wyszedł z wiekuistym „hum, hum” i nie taił zdumienia, widząc, jak Lucjan wsiada do pięknego pojazdu czekającego na bulwarach.

— Teraz wy jesteście żołnierze, a my cywile — rzekł stary wiarus.

— Słowo daję, mam wrażenie, że ci młodzi ludzie to najpocziwsi chłopcy w świecie — rzekł Lucjan do Koralii. — Jestem tedy dziennikarzem, z gwarancją zarobienia sześciuset franków miesięcznie, pracując jak koń; ale ulokuję moje dwa dzieła i stworzę nowe; przyjaciele zorganizują mi bajeczny sukces! Zatem puszczamy się na bystre wody!

— Zdobędziesz świat, jedyny; ale nie bądź tak dobry, jak jesteś piękny, zarżnąłbyś się. Bądź z ludźmi szelmą, to daje pozycję.

Koralia i Lucjan pojechali do Lasku, gdzie znów spotkali margrabinę d’Espard, panią de Bargeton i barona Châtelet. Pani de Bargeton obrzuciła Lucjana powłóczyстым spojrzaniem, które mogło uchodzić za ukłon. Camusot zamówił paradny obiad, Koralia, czując się wolna, była tak miła dla biednego kupca, że nie pamiętał, aby przez czternaście miesięcy ich stosunku widział ją kiedykolwiek tak uroczą i powabną.

„Trudno — rzekł sobie w duchu — porozumiejmy się jakoś, *mimo wszystko*!”

Camusot ofiarował tajemnie Koralii, iż przepisze na jej imię sześć tysięcy renty z kapitału, jaki posiadał w obligacjach państwowych, w sekrecie przed żoną, jeżeli zechce być nadal jego kochanką; godził się przymknąć oczy na amory z Lucjanem.

— Zdradzać takiego anioła?... Ale spójrz na niego, biedny szympanse, i spójrz na siebie! — rzekła, wskazując na poetę, którego Camusot spoił lekko, dolewając mu wina.

Camusot postanowił czekać, aż nędza odda mu z powrotem kobietę, którą nędza mu już raz wydała.

— Będę zatem tylko twoim przyjacielem — rzekł, całując ją w czoło.

Lucjan zostawił Koralie z Camusotem, aby się udać do Galerii Drewnianych. Jakież zmiany zaszły w jego umyśle od chwili wdarcia się w tajemnice dziennika! Wmieszał się bez obawy w tłum fałujący w Galerjach, spoglądał nań wyniośle, bo miał kochankę, wszedł do Dauriata niedbałym krokiem, bo był dziennikarzem. Znalazł tam wielkie zebranie, uścisnął rękę Blondeta, Natana, Finota, całej literatury, z którą żył za pan brat

od tygodnia; uważał się sam za znaczną osobistość i pochlebiał sobie, iż prześcignie kolegów; kropelka wina, którą miał jeszcze w żyłach, posłużyła mu znakomicie, skrzył się dowcipem, pokazał, że umie krakać między wronami. Mimo to Lucjan nie spotkał się z niemy lub głośnym uznaniem, jakiego się spodziewał; spostrzegł pierwszy odruch zazdrości w tym światku, nie tyle niespokojnym, ile ciekawym, jakie miejsce zajmie nowa gwiazda i ile pochłonie z powszechnego podziału. Finot, który widział w Lucjanie kopalnię do wyeksploatowania, Lousteau, który uważał, iż ma prawo do niego, byli jedyni, na których ustach poeta spotkał uśmiech. Lousteau, który już przybrał tony naczelnego redaktora, zapukał w szybę gabinetu Dauriata.

— Za momencik, mój drogi — odparł księgarz, podnosząc głowę ponad zielone firaneczki i poznając Stefana.

Momencik trwał godzinę, po której Lucjan i jego kompan weszli do sanktuarium.

— I cóż, myślał pan o sprawie naszego przyjaciela? — rzekł nowy naczelny redaktor.

— Oczywiście — rzekł Dauriat, rozpierając się sułtańsko w fotelu. — Przejrzałem zbioręk, dałem go odczytać człowiekowi wytrawnego smaku, dobremu sędziemu, sam bowiem nie mam pretensji znać się na tym. Ja, mój przyjacielu, kupuję sławę już gotową, jak ów Anglik kupował miłość. Jest pan równie tęgim poetą, jak ślicznym chłopcem, młodzieńcze — ciągnął Dauriat. — Słowo uczciwego człowieka (nie mówię: księgarza, zauważcie to!), pańskie sonety są wspaniałe, nie czuć w nich pracy, co jest naturalne, kiedy się ma natchnienie i werwę. Wreszcie umiesz pan rymować: jeden z przymiotów nowej szkoły. Pańskie *Stokrocie* to piękna książka, ale to nie jest interes, ja zaś mogę się zajmować jedynie szerokimi przedsięwzięciami. Sumiennie mówiąc, nie mogę wziąć pańskich sonetów, niepodobna byłoby mi pchnąć je, nie dają widoków zysku zdolnych pokryć koszty sukcesu. Zresztą, pan nie pójdziesz drogą poezji, pański tomik będzie odosobniony. Jesteś młody, młodzieńcze! Przynosisz mi wiekuisty zbioręk pierwszych wierszy, jakie wychodząc ze szkół, popełniają wszyscy literaci, na których zależy im zrazu, a z których żartują sobie później. Lousteau, pański przyjaciel, musi mieć jakiś poemat zagrzebany wśród starych skarpetek. No, powiedz, nie masz tam jakiegoś poematu, na który byłbyś przysięgał, Lousteau? — rzekł Dauriat, rzucając Stefanowi porozumiewawcze spojrzenie.

— Ba, w jakież sposób mógłbym inaczej pisać prozą? — rzekł Lousteau.

— Ot, widzisz pan, nawet mi nigdy o tym nie mówił; to człowiek, który rozumie się na księgarstwie i na interesach — podjął Dauriat. — Dla mnie — rzekł przyjaźnie do Lucjana — kwestia nie w tym, czy pan jesteś wielkim poetą; masz w sobie wiele, bardzo wiele; gdybym był początkującym księgarzem, popełniłbym ten błąd, iż skusiłbym się na wydanie pańskich wierszy. Ale przede wszystkim dziś wspólnicy i kapitaliści odmówiliby mi kredytu; wystarczy im, żem na tym towarze stracił dwadzieścia tysięcy w przeszłym roku, nie chcą słyszeć o poezji, a to są moi tyrani. Jednakże kwestia nie w tym. Przypuszczam, że będziesz wielkim poetą, ale czy będziesz płodny? Czy będziesz znośił regularnie sonety? Czy dobiejesz do dziesięciu tomów? Czy staniesz się *interesse*? Otóż nie, będziesz pan rozkosznym pisarzem prozą, masz za wiele dowcipu, aby go psuć przez średniówki³⁴⁴, możesz z łatwością zarobić trzydzieści tysięcy franków rocznie w dziennikach i nie zamienisz ich na trzy tysiące, które dałyby ci, z wielkim mozolem, hemistychy³⁴⁵, strofy i inne wywijasy!

— Wiesz, Dauriat, że Lucjan należy do dziennika? — rzekł Lousteau.

— Wiem — odparł Dauriat — czytałem jego artykuł i w dobrze zrozumianym jego własnym interesie odrzucam *Stokrocie*! Tak, drogi panie, dam panu za pół roku od dziś więcej pieniędzy za artykuły, o które pana przyjdę prosić, niż za pańską poezję bez odbiorców!

— A sława? — wykrzyknął Lucjan.

Dauriat i Lousteau zaczęli się śmiać.

— Ba — rzekł Lousteau — chłopię długo przechowuje iluzję!

— Sława — odparł Dauriat — to dziesięć lat wytrwałości i sto tysięcy franków straty

Literat, Poeta, Interes

Sława, Książka, Interes

³⁴⁴*średniówka* — przerwa intonacyjna rozdzielaająca wers wiersza na dwie w przybliżeniu równe części. [przypis edytorski]

³⁴⁵*hemistych* — półwers, w poezji nowożytniej: połówka wersu wyodrębniona przez średniówkę. [przypis edytorski]

lub zysku dla księgarza. Jeśli pan znajdzie szaleńców, którzy wydrukują twoje poezje, za rok nabierzesz dla mnie szacunku, dowiadując się o rezultatach ich machinacji.

— Czy ma pan rękopis tutaj? — rzekł Lucjan zimno.

— Oto jest, drogi panie — odparł Dauriat, którego ton stał się znacznie słodszy.

Lucjan wziął rulon, nie patrząc na sznurek, tak wszystko przemawiało za tym, że Dauriat czytał *Stokrocie*. Wyszedł ze Stefanem, nie zdając się zgnębiony ani niezadowolony. Dauriat przeprowadził obu przyjaciół do sklepu, mówiąc o swym piśmie i o dzienniku Stefana. Lucjan bawił się niedbale rękopisem *Stokroci*.

— Czy myślisz, że Dauriat czytał albo dał do czytania twoje sonety? — szepnął mu Stefan.

— Tak — odparł Lucjan.

— Popatrz na pieczęć.

Lucjan spostrzegł, iż atrament i sznurek znajdują się w stanie niezamąconej spójności.

— Który sonet zwrócił szczególnie pańską uwagę? — rzekł Lucjan do księgarza, błędąc z wściekłości.

— Wszystkie są godne uwagi, drogi panie — odparł Dauriat — ale ten o stokrotnie jest rozkoszny, kończy się myślą bardzo subtelną i głęboką. Z niego odgadłem sukces, jaki uzyska pańska proza. Toteż poleciłem pana natychmiast Finotowi. Dawaj nam pan artykuły, zapłacimy je dobrze. Widzisz pan, myśleć o sławie to bardzo pięknie, ale nie zapominaj o tym, co realne, i bierz, co się nastrocza. Kiedy będziesz bogaty, wówczas możesz pisać wiersze.

Poeta wyszedł nagle w galerię, aby nie wybuchnąć, był wściekły.

— I cóż, dzieciaku — rzekł Lousteau, który siedł za nim — bądźże spokojny, bierz ludzi za to, czym są, za środki. Chcesz mieć odwet?

— Za wszelką cenę — rzekł poeta.

— Oto egzemplarz książki Natana, który Dauriat właśnie mi wręczył; drugie wydanie pojawia się jutro, przeczytaj jeszcze raz utwór i kropnij artykuł równający go z ziemią. Felicjan Vernou nie może cierpieć Natana, którego triumf szkodzi, w jego mniemaniu, przyszłemu sukcesowi jego dzieła. Jedną z manii tych małych duszyczek jest pojęcie, że nie ma miejsca pod słońcem na dwa powodzenia. Toteż umieści skwapliwie twój artykuł w wielkim dzienniku, w którym pracuje.

— Ale co można powiedzieć przeciw tej książce? Jest tak piękna! — rzekł Lucjan.

— Ech, dziecko, naucz się rzemiosła — rzekł, śmiejąc się Lousteau. — Książka, chociażby była arcydziełem, musi stać się pod twoim piórem stekiem idiotyzmów, dziełem niezdrowym i niebezpiecznym.

— Ale jak?

— Zmienisz piękności w wady.

— Niezdolny jestem do podobnej sztuki.

— Mój drogi, dziennikarz jest akrobatą, musisz się przyzwyczaić do trudności zawodu. Ot, jestem dobry kolega: podam ci sposób postępowania w podobnych okolicznościach. Uwaga, malcze! Zaczynasz od tego, iż pochwalisz piękności książki; wówczas możesz sobie zrobić przyjemność i napisać, co o niej myślisz. Publiczność powie: „To przynajmniej krytyk wolny od zazdrości, z pewnością będzie bezstronny”. Od tej chwili publiczność uważa twoją krytykę za sumienną. Zdobywszy zaufanie czytelnika, zaczniesz ubolewać, iż musisz potępić drogę, na jaką podobne książki wiodą nasze piśmiennictwo. „Czyliż Francja, powiesz, nie panuje nad inteligencją całego świata? Dotąd z wieku na wiek pisarze francuscy przodowali Europie na drodze analizy, filozoficznego badania za pomocą potęgi stylu i oryginalnej formy, jaką dawali myślom”. Tutaj wsuniesz dla zbudowania kołtuna pochwałę Woltera, Russa, Diderota, Monteskiusza, Buffona. Wytłumaczysz, jak we Francji język jest nieubłagany, udowodnisz, że jest on jak gdyby pokostem powlekającym myśl. Wyrzucisz z siebie parę aksjomatów, jak np.: „Wielki pisarz we Francji jest zawsze wielkim człowiekiem, język zniewala go do ustawicznego myślenia; nie tak w innych krajach” *et caetera*³⁴⁶. Udowodnisz swą tezę, porównując Rabenera³⁴⁷, satyryka-

³⁴⁶*et caetera* (łac.) — i tak dalej. [przypis edytorski]

³⁴⁷*Rabener, Gottlieb Wilhelm* (1714–1771) — niemiecki satyryk i publicysta okresu oświecenia. [przypis edytorski]

-moralistę niemieckiego, z La Bruyère'em³⁴⁸. Nic tak nie stawia krytyka, jak kiedy mówi o nieznanym cudzoziemskim autorze. Kant³⁴⁹ jest piedestałem Cousina³⁵⁰. Raz wszedłszy na ten teren, rzucasz formułę, która streszcza i tłumaczy głupcom naszych genialnych ludzi w ubiegłym wieku, nazywając ich literaturę „literaturą idei”. Zbrojny tą formułą, rzucasz wszystkich znakomitych nieboszczyków na łeb autorom żyjącym. Tłumaczysz, iż za naszych czasów powstaje nowa literatura, która nadużywa dialogu (najłatwiejszej z form literackich) i opisów, uwalniających od myślenia. Romanse Woltera, Diderota, Sterne'a, Le Sage'a³⁵¹ tak treściwe, tak głębokie, przeciwstawiasz powieści nowożytnej, gdzie wszystko wyraża się obrazami i którą Walter Scott zbyt mocno udramatyzował. W takim rodzaju jest miejsce tylko dla wynalazcy. „Romans à la”³⁵² Walter Scott to *rodzaj*, a nie system”, powiesz. Rzucasz gromy na ten oplakany rodzaj, w którym myśl się rozgadnia, w którym klepie się ją na blaszki, rodzaj dostępny wszystkim, rodzaj, w którym każdy może stać się twórcą tanim kosztem, rodzaj, który nazwiesz wreszcie „literaturą obrazów”. Zwalisz te argumenty na Natana, wykazując, że jest naśladowcą i że ma tylko pozory talentu. Brak jego książkę wielkiego zwanego stylu osiemnastego wieku; udowodnisz, iż autor zastąpił uczucia anegdotą. Ruch nie jest życiem, obraz nie jest myślą! Miotaj takie sentencje, publiczność je potem powtarza. Mimo zalet dzieła wyda ci się ono zgubne i niebezpieczne, otwiera świątynię sławy tłumom: ukazujesz w oddali armię pisarków skwapliwie naśladowujących tę formę, tak łatwą do opanowania. Tutaj grzmiące lamentacje nad upadkiem smaku, pochwała panów Etienne, Jouy, Tissot, Gosse, Duval, Jay, Beniamina Constant, Aignan, Baour-Lormian³⁵³, Villemain, koryfeuszów³⁵⁴ napoleońskiego liberalizmu, pod których protektoratem jest dziennik Felicjana. Wskażesz tę chlubną falangę opierającą się inwazji romantyków, broniącą myśli i stylu przeciw obrazowi i gadulstwu, podtrzymującą ciągłość szkoły wolteriańskiej przeciw szkole angielskiej i niemieckiej, tak jak siedemnastu mówców lewicy walczy w imię narodu przeciw wstecznikom. Wsparty tymi nazwiskami, czczonymi przez ogromną większość Francuzów, która zawsze będzie w opozycji, możesz zmiażdżyć Natana, którego dzieło, mimo iż zawiera znakomite piękności, daje we Francji palmę literaturze bez idei. Z tą chwilą nie chodzi już o Natana i jego książkę, rozumiesz? Ale o chwałę Francji! Obowiązkiem uczciwych i odważnych piór jest przeciwstawić się tym obcym nalotom. Tu głaszczesz ambicję abonenta. Wedle ciebie, Francja jest mądra ryba, niełatwo ją podejść. Jeżeli księgarzowi za pomocą sposobów, w które nie chcesz wchodzić, udało się wyłudzić sukces, prawdziwa publiczność rychło zrobi porządek z pomyłką pięciuset dudków³⁵⁵, którzy stanowią jej awangardę. Powiesz, że zdolawszy rozprzedać jedno wydanie, księgarz bardzo jest zuchwały, puszczając się na drugie; bolejesz, że tak sprytny wydawca tak mało rozumie ducha swego kraju. Oto główne linie. Posól to trochę konceptem, zapraw odrobiną octu, a Dauriat jest gotów. Ale nie zapomnij, mówiąc o Natanie, ubolewać nad omyłką człowieka, któremu, jeżeli opuści tę drogę, literatura współczesna zawdzięczać będzie piękne dzieła.

Lucjan słuchał Stefana zdumiony; w miarę jak dziennikarz mówił, spadała mu łuska z oczu, odkrywał prawdy literackie, o których mu się nie śniło.

— Ależ w tym, co mówisz — wykrzyknął — jest wiele sensu i słuszności!

³⁴⁸ La Bruyère, Jean de (1645–1696) — eseista francuski, autor dzieła *Charaktery, czyli Przymioty Teofrasta* (1688), zawierającego satyryczne portrety współczesnych i ostrą krytykę społeczeństwa. [przypis edytorski]

³⁴⁹ Kant, Immanuel (1724–1804) — niemiecki filozof oświeceniowy, twórca rewolucyjnej doktryny filozofii krytycznej, czołowa postać nowożytnej filozofii. [przypis edytorski]

³⁵⁰ Cousin, Victor (1792–1867) — francuski filozof i historyk filozofii, popularyzator niemieckiej filozofii klasycznej. [przypis edytorski]

³⁵¹ Le Sage a. Lesage, Alain-René (1668–1747) — powieściopisarz i dramaturg francuski, zasłynął jako autor powieści *Diabeł kulawy* oraz *Przypadki Idziego Blasa*. [przypis edytorski]

³⁵² à la (fr.) — na wzór, na sposób przypominający coś innego. [przypis edytorski]

³⁵³ Gosse, Duval, (...) Baour-Lormian — Étienne Gosse (1773–1834): francuski dramaturg i dziennikarz; Alexandre Vincent Pineux Duval (1767–1842): francuski dramaturg, librecista i aktor, członek Akademii Francuskiej; Pierre Baour-Lormian (1770–1854): francuski poeta i pisarz, tłumacz *Pieśni Ojana* i *Jerozolimy wyzwolonej*, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

³⁵⁴ koryfeusz — przewodnik chóru w teatrze starogreckim; przen.: lider, przodownik nowych działań w jakimś środowisku, zwłaszcza artystycznym lub naukowym. [przypis edytorski]

³⁵⁵ dudek (daw., pot.) — głupiec. [przypis edytorski]

— Czyż mógłbyś inaczej rozbić w puch książkę Natana? — rzekł Lousteau. — Oto, moje dziecko, pierwszy typ recenzji, jakiej się używa, aby ubić książkę. To oskard krytyka. Ale są jeszcze inne formułki! Wykształcisz się w nich z czasem. Kiedy będziesz absolutnie zmuszony mówić o człowieku, którego nie lubisz (niekiedy właściciel dziennika lub naczelny redaktor nie mogą tego uniknąć), rozwinięsz negatyw tego, co nazywamy „artykułem zasadniczym”. Umieszczasz na czele artykułu tytuł książki, którą polecono ci omówić; zaczynasz od rozważań ogólnych, w których można mówić o Grekach i Rzymianach, wreszcie powiadasz: „Te rozważania prowadzą nas do książki pana X. Y., która będzie treścią następnego artykułu”. I następny artykuł nie pojawia się nigdy. Dławi się w ten sposób książkę między dwiema obietnicami. Tu nie piszesz artykułu przeciw Natanowi, ale przeciw Dauriatowi, trzeba użyć oskarda. Pięknego dzieła oskard nie naruszy; w złą książkę wchodzi po same bebechy; w pierwszym wypadku rani jedynie księgarza, w drugim oddaje przysługę publiczności. Tych form krytyki literackiej używa się również w polityce.

Okrutna lekcja Stefana otwierała nowe horyzonty wyobraźni Lucjana, który cudownie chwycił to rzemiosło.

— Chodźmy do dziennika — rzekł Lousteau — zastaniemy tam przyjaciół i omówimy szturm generalny przeciw książce Natana, to ich ubawi, zobaczysz.

Przybywszy na ulicę Saint-Fiacre, wdrapali się na poddasze, gdzie się wysmażał dziennik. Lucjan z równym zdumieniem, jak zachwytem patrzył na szczególniejszy entuzjazm, z jakim koledzy uchwalili zniszczyć książkę Natana. Hektor Merlin wziął ćwiartkę papieru i nakreślił tych kilka wierszy, które zaniósł do swego dziennika:

Zapowiadają drugie wydanie książki p. Natana. Pragnęliśmy zachować milczenie o tym utworze, ale pozór sukcesu zmusza nas do zamieszczenia artykułu nie tyle o dziele, ile o ogólnej tendencji młodej literatury.

Na czele konceptów do jutrzejszego numeru Lousteau umieścił to zdanie:

*** Księgarz Dauriat puszcza w świat drugie wydanie książki p. Natana. Czyżby nie znał starożytnego aksjomu³⁵⁶: *Non bis in idem*³⁵⁷? Cześć nieszczęśliwej odwadze!

Słowa Stefana były jak gdyby pochodnią dla Lucjana, któremu żądza zemśczenia się na księgarzu zastąpiła sumienie i inspirację. Trzy dni nie wychodził z pokoju Koralii, gdzie pracował przy kominku, obsługiwany przez Berenice i pieszczony w chwilach znużenia przez uważną i milczącą Koralie. Wreszcie Lucjan przepisał na czysto artykuł, mniej więcej trzy kolumny, w których wznosił się do zdumiewającej wysokości. O dziewiątej wieczór pobiegł do dziennika, zastał kolegów i przeczytał im swą pracę. Słuchali poważnie. Felicjan nie rzekł słowa, wziął artykuł i zbiegł po schodach.

— Co jemu się stało? — wykrzyknął Lucjan.

— Niesie artykuł do drukarni! — rzekł Hektor Merlin. — To arcydzieło, w którym nie ma ani słowa do ujęcia, ani wiersza do dodania.

— Wystarczy ci pokazać drogę! — rzekł Lousteau.

— Chciałbym widzieć minę Natana, kiedy będzie to czytał jutro — rzekł inny, na którego twarzy jaśniało łagodne zadowolenie.

— Bezpieczniej być twoim przyjacielem — rzekł Hektor Merlin do Lucjana.

— Więc dobrze? — spytał żywo Lucjan.

— Na Blondecie i Vignonie skóra ścierpie — rzekł Lousteau.

— Oto — dodał Lucjan — artykułik, który nabazgrałem dla ciebie i który, w razie powodzenia, mógłby rozpocząć serię podobnych utworów.

— Przeczytaj — rzekł Lousteau.

Lucjan odczytał jeden z rozkosznych szkiców, które stworzyły powodzenie dzienniczka: w dwóch kolumnach malował jakiś drobny szczegół życia paryskiego, figurę, typ, zwykle wydarzenie lub jakąś osobliwość. Próbką ta, zatytułowana *Przechodnie Paryża*,

³⁵⁶aksjom (daw.) — aksjomat: pewnik, niewzruszona zasada. [przypis edytorski]

³⁵⁷*non bis in idem* a. *ne bis in idem* (łac.) — dosł.: nie dwukrotnie w tej samej (sprawie); zasada prawna zabraniająca ponownych działań prawnych w sprawie już raz rozstrzygniętej. [przypis edytorski]

była napisana w tym nowym i oryginalnym stylu, w którym myśl wylania się ze zderzenia słów, gdzie brzęk przysłówków i przymiotników działa podniecająco na czytelnika. Artykuł ten był równie odmienny od poważnego i głębokiego studium o Natanie, jak *Listy perskie*³⁵⁸ różni się od *Ducha praw*³⁵⁹.

— Jesteś urodzony dziennikarz — rzekł Lousteau. — To pójdzie jutro, dawaj takich, ile chcesz.

— He, he — rzekł Merlin — Dauriat wściekły jest o dwa pociski, jakie cisnęliśmy w jego kramik. Byłem właśnie u niego; kłął, wymyślał na Finota, który tłumaczył mu, iż odprzedał ci swój dziennik. Wziąłem go na stronę i szepnąłem mu tyle: „*Stokrocie* będą pana kosztowały drogo! Przychodzi do pana człowiek z talentem, a pan odprowadzasz go z kwitkiem, gdy my go przyjmujemy z otwartymi ramionami!”

— Dauriat będzie jak rażony gromem po twoim artykule — rzekł Lousteau do Lucjana. — Widzisz, dziecko, co to jest dziennik? Ale twoja zemsta postępuje! Baron du Châtelet był tu już pytać o twój adres; dziś rano zamieściliśmy krwawą notatkę przeciw niemu, ekspięknął ma słabą głowę, jest w rozpacz. Nie czytałeś? Paradne! Patrz: „Kondukt żalobny Czapli oplakiwanej przez ościstą Rybkę”. Pani de Bargeton nikt w wielkim świecie nie nazywa inaczej niż Rybką, a Châteleta inaczej niż baron Czapla.

Lucjan wziął dziennik i nie mógł się wstrzymać od śmiechu, czytając małe arcydzieło żartu, stworzone przez Felicjana Vernou.

— Będą kapitulować — rzekł Hektor Merlin.

Lucjan, z weselem w duszy, dorzucił swą część do kilku konceptów i „słówek”, jakimi kończono dziennik, pałac i gwarząc, opowiadając sobie wypadki dnia, śmieszności kolegów lub jakieś nowe szczegóły ich charakteru. Rozmowa ta, drwiąca, dowcipna, złośliwa, zapoznała Lucjana z obyczajami i osobistymi właściwościami personelu literatury.

— Podczas gdy będą składać dziennik — rzekł Lousteau — obejdę z tobą teatryki, przedstawię cię w kontroli i za kulisami; później zajdziemy do Floryny i Koralii w Panoraminie i pogzimy się z nimi troszkę w garderobie.

I obaj, trzymając się poufale pod rękę, poszli od teatru do teatru, gdzie Lucjan wkroczył jako „redaktor”, komplementowany przez dyrektorów, zjadany spojrzeniami przez aktorki, świadome sukcesu, jaki jeden jego artykuł zapewnił Koralii i Florynie, zaangażowanym jedna do Gymnase na dwanaście tysięcy, druga na osiem do Panoramy. Lucjan spotykał się wszędzie z owacjami, które powiększały go we własnych oczach i dawały mu miarę własnej potęgi. O jedenastej dwaj przyjaciele wkroczyli do Panorama-Dramatique, gdzie niedbały tonik Lucjana zrobił furorę. Zastali tam Natana. Natan podał rękę pociec, który przyjął ją i uściśnął.

— Ejże, szanowni mistrze — rzekł, patrząc na Lucjana i Lousteau — chcecie mnie pogrzebać?

— Czekaj do jutra, mój drogi, zobaczysz, jak Lucjan chwycił cię za grdykę. Słowo honoru, będziesz zadowolony. Kiedy autor spotka się z tak poważną krytyką, książka zyskuje na tym.

Lucjan był czerwony ze wstydu.

— Czy ostra? — spytał Natan.

— Poważna — rzekł Lousteau.

— Więc nie zrobicie mi krzywdy? — podjął Natan. — Hektor Merlin mówił w *foyer* Wodewilu, że wióry ze mnie lecą.

— Pozwól mu mówić i czekaj — rzekł Lucjan, który pomknął do garderoby Koralii, biegnąc za aktorką, gdy schodziła ze sceny w swym powabnym kostiumie.

Nazajutrz, w chwili gdy Lucjan jadł śniadanie z Koralią, usłyszeli kabriolet, którego turkot na ulicy, zwykle dość cichej, zapowiadał wykwinny pojazd; także konik lekkim krokiem swoim i sposobem, w jaki zatrzymał się w miejscu, zdradzał rasę. Jakoż, wychyliwszy się przez okno, Lucjan dojrzał wspaniałego angielskiego konia oraz Dauriata, który wysiadając, rzucił lejce grumowi.

³⁵⁸ *Listy perskie* — powieść epistolarna Monteskiusza, satyra na system społeczny feudalnej Francji, opublikowana anonimowo w 1721. [przypis edytorski]

³⁵⁹ *Duch praw* — składający się z 31 ksiąg traktat polityczny Monteskiusza, opublikowany w 1748, zawierający analizę znanych ówczesnie form ustrojowych i popularyzujący koncepcję trójpodziału władzy. [przypis edytorski]

— To księgarz! — krzyknął Lucjan do kochanki.

— Niech czeka — rzekła bez namysłu Koralia do Berenice.

Lucjan uśmiechnął się z tupetu młodej dziewczyny, która tak cudownie wchodziła w jego interesy, i podszedł uściskać ją z prawdziwą czułością: miłość natchnęła ją sprytem! Pośpiech impertynenckiego księgarza, nagle ukorzenie się tego księcia szarlatanów były w związku z okolicznościami, które dziś poszły prawie zupełnie w zapomnienie, tak bardzo ruch księgarski przeobraził się od lat piętnastu. Od roku 1816 do 1827, epoki, w której czytelnie literackie, zrazu utworzone dla czytania dzienników, zaczęły dostarczać nowych książek za pewną opłatą i kiedy powiększenie podatku prasy stworzyło anons³⁶⁰, księgarz nie miał innych sposobów ogłaszania wydawnictw, jak tylko recenzje w felietonie albo na łamach gazet. Do roku 1822 dzienniki francuskie ukazywały się w tak małych rozmiarach, że wielkie pisma zaledwie przekraczały wymiar dzisiejszych pisemek brukowych. Broniąc się tyranii dziennikarzy, Dauriat i Ladvocat pierwsi wymyślili afisze, ściągając nimi uwagę Paryża, rozwijając bogactwo fantastycznych czcionek, dziwaczny dobór barw, winiety³⁶¹, a później litografie³⁶², które uczyniły z afisza poemat dla oczu a często rozczarowanie dla sakiewki amatorów. Afisze stały się tak oryginalne, że jeden z maniaków zwanych kolekcjonerami posiada kompletny zbiór paryskich afiszów. Ten sposób ogłaszania, zrazu ograniczony do sklepowych szyb i bulwarowych wystaw, później rozszerzony na całą Francję, ustąpił z kolei anonsovi. Mimo to afisz, który uderza jeszcze oczy, gdy anons, a czasem i dzieło poszły już w zapomnienie, będzie istniał zawsze, zwłaszcza odkąd zaczęto malować go na murach. Anons dostępny dla wszystkich za opłatą — pomysł, który zmienił czwartą stronicę dziennika w pole równie urodzajne dla urzędu podatkowego, jak dla spekulantów — zrodził się pod rygorami stempla, poczty i przymusowych kaucji. Ograniczenia te, wymyślone za czasu pana de Villele³⁶³, który mógł był wówczas zabić dzienniki, pospolitując je, stworzyły, przeciwnie, rodzaj przywileju, czyniąc założenie nowego pisma prawie niemożliwym. W roku 1821 dzienniki miały tedy prawo życia i śmierci nad płodami myśli i przedsięwzięciami księgarskimi. Kilkuwierszowy anons, umieszczony w kronice paryskiej, płaciło się straszliwie drogo. Intrygi w łonie redakcji, wieczorem zaś na polu bitwy w drukarni, w godzinie, gdy warunki łamania rozstrzygały o przyjęciu lub odrzuceniu tego lub owego artykułu, dochodziły do takiego nasilenia, że poważne firmy księgarskie miały na żołdzie literata dla redagowania tych artykułków, gdzie trzeba było zamknąć wiele myśli w niewielu słowach. Ci pokątni dziennikarze, płatni dopiero po umieszczeniu, czatowali czasami noce całe w drukarni, aby widzieć, jak idą pod prasę bądź to duże artykuły, uzyskane sam Bóg wie jak, bądź owych kilka wierszy, które później przybrały nazwę reklamy. Dziś obyczaje literatury i księgarni zmieniły się tak bardzo, że wielu ludzi uważałoby za bajkę straszliwe wysiłki, przepokupstwa, podłostki, intrygi, jakie żądza uzyskania tych reklam podsuwała księgarzom, autorom, męczennikom sławy, wszystkim galernikom skazanym na konieczność nieustannego sukcesu. Obiady, drobne usługi, podarki, wszystko wprawiano w ruch, aby pozyskać dziennikarzy. Następująca anegdota lepiej niż wszystkie zapewnienia wytłumaczy ścisły związek między krytyką a księgarnią.

Pewien człowiek wielkiej miary i idący ku temu, aby stać się mężem stanu, w owym czasie młody, dworny, a zarazem redaktor wielkiego dziennika, stał się beniaminkiem³⁶⁴ słynnej firmy księgarskiej. Pewnego dnia, w niedzielę, na wsi, gdzie zamożny księgarz ugasał wybitnych dziennikarzy, pani domu, wówczas młoda i ładna, pociągnęła do parku znakomitego autora. Pierwszy komisant³⁶⁵, zimny, poważny i metodyczny Niemiec,

³⁶⁰anons — ogłoszenie. [przypis edytorski]

³⁶¹winieta — ozdoba graficzna drukowanego tekstu, którą może stanowić ornament lub dekoracyjnie ujęta scena figuralna. [przypis edytorski]

³⁶²litografia (z gr.) — obrazek odbity za pomocą płyty kamiennej, na którą uprzednio naniesiono rysunek. [przypis edytorski]

³⁶³Villele, Jean Baptiste de (1773–1854) — francuski polityk i arystokrata, przywódca frakcji ultrakonserwatywnej, premier Francji (1821–1828); jego rząd zaostriżył przepisy dotyczące prasy, przywrócił cenzurę prewencyjną i wprowadził karę śmierci za świętokradztwo. [przypis edytorski]

³⁶⁴beniaminek — ulubione, najmłodsze dziecko; ulubieniec. [przypis edytorski]

³⁶⁵komisant — człowiek sprzedający (lub kupujący) przedmioty na rzecz zleceńodawcy, ale we własnym imieniu, za co pobiera określoną prowizję; dawniej: agent handlowy, przedstawiciel przedsiębiorstwa. [przypis edytorski]

myślący jedynie o interesach, przechadzał się pod rękę z jakimś felietonistą, rozmawiając o przedsięwzięciu, o które go się radził; wśród rozmowy wyszli poza park i zapuścili się do lasu. Naraz w gąszczu Niemiec spostrzega coś, co mu przypomina pryncypałową; bierze lornetkę, daje znak młodemu dziennikarzowi, aby umilkł i oddalił się, i sam ostrożnie kieruje kroki w inną stronę.

— Co pan tam zobaczył? — spytał dziennikarz.

— Drobnostkę — odparł. — Nasz wielki artykuł przechodzi. Jutro będziemy mieli przynajmniej trzy kolumny w „Debatach”.

Drugi fakt wytłumaczy tę potęgę recenzji.

Książka pana de Chateaubriand o ostatnim Stuarcie spoczywała w magazynach w stanie „marynaty”. Jeden artykuł napisany przez młodego człowieka w „Debatach” sprawił, iż książkę wyprzedano w ciągu tygodnia. W czasach kiedy, aby przeczytać książkę, trzeba ją było kupić, a nie wypożyczyć, sprzedawano do dziesięciu tysięcy egzemplarzy niektórych dzieł o tendencji liberalnej, wysławianych przez dzienniki opozycji, ale też nie istniały jeszcze nieprawne przedruki belgijskie³⁶⁶. Wstępne ataki przyjaciół Lucjana oraz jego artykuł zdolne były wstrzymać sprzedaż książki Natana. Natan cierpiał jedynie w miłości własnej, nie miał nic do stracenia, był zapłacony; ale Dauriat mógł stracić trzydzieści tysięcy. W istocie przemysł księgarski tak zwanych nowości streszcza się w tym oto zagadnieniu handlowym: ryza czystego papieru warta jest piętnaście franków; zadrukowana, warta jest, wedle sukcesu, albo pięć, albo trzysta. Jeden artykuł *pro* lub *contra* rozstrzygał często w owych czasach tę finansową kwestię. Dauriat, który miał pięćset ryz do sprzedania, przybiegał tedy kapitulować. Z sułtana księgarz stawał się niewolnikiem. Odczekawszy jakiś czas, szemrając, robiąc możliwie największy hałas i parlamentując z Berenice, uzyskał wreszcie wstęp do Lucjana. Hardy księgarz przybrał uśmiech dworaka, wchodzącego na dwór, ale zaprawny tupetem i dobroduszością.

— Nie przerywajcie sobie, aniołki! — rzekł. — Jakież uroczne te dwie turkaweczki! Robicie na mnie wrażenie pary gołąbków! Kto by powiedział, śliczna pani, że ten człowiek, który wygląda na młodą dziewczynę, to tygrys o pazurach ze stali, które rozdzierają reputację, tak jak muszą rozdzierać pani peniuary, skoro nie zdejmujesz ich dość szybko?

I zaczął się śmiać, nie dokończywszy konceptu.

— Drogi panie... — ciągnął dalej, siadając obok Lucjana. — Pani, jestem Dauriat — wtrącił, zwracając się do Koralii.

Księgarz uznał za potrzebne strzelić swoim nazwiskiem, uważając, że Koralia przyjmuje go nie dość czule.

— Czy pan już po śniadaniu? Chce pan nam dotrzymać towarzystwa? — rzekła aktorka.

— Ależ owszem, lepiej rozmawia się przy stole — odparł Dauriat. — Przy tym, przyjmując pani śniadanie, zyskam prawo zaproszenia jej na obiad wraz z moim przyjacielem Lucjanem, powinniśmy bowiem być teraz przyjaciółmi, niby dłoń i rękawiczka.

— Berenice! Ostryg, cytryny, masła i szampańskie — rzekła Koralia.

— Jest pan zbyt sprytny, aby nie wiedzieć, co mnie sprowadza — rzekł Dauriat, patrząc na Lucjana.

— Przychodzi pan nabyć sonety?

— Otóż to — odparł Dauriat. — Przede wszystkim obustronne zawieszenie broni.

Wydobył z kieszeni wytworny pugilares³⁶⁷, wyjął zeń trzy tysiącfrankowe bilety³⁶⁸, położył na talerzu i podał Lucjanowi dworskim ruchem, mówiąc:

— Czy pan zadowolony?

— Owszem — odparł poeta, który uczył, iż zalewa go nieopisana błogość na widok fantastycznej sumy.

Książka, Interes

³⁶⁶przedruki belgijskie — brak odpowiednich umów między państwowych powodował, że poczytne powieści wydawane w odcinkach w prasie francuskiej były na bieżąco składane do druku w Belgii, w której jednym z języków jest francuski, i wydawane w postaci książki zaraz po opublikowaniu ostatniego odcinka, bez wiedzy i zgody autorów i bez płacenia im honorariów; praktyka ta pozbawiała autorów, również Balzaca, dodatkowych dochodów. [przypis edytorski]

³⁶⁷pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

³⁶⁸bilet (daw.) — tu: bilet bankowy, banknot, drukowane pieniądze. [przypis edytorski]

Lucjan powściągał się, ale miał ochotę śpiewać, skakać, wierzył w tej chwili w cudowną lampę, w czarnoksiężników, wierzył w swój geniusz.

— Zatem *Stokrocie* są moje — rzekł księgarz — ale nie będzie pan zaczepiał nigdy żadnego z moich wydawnictw?

— *Stokrocie* są pańskie; ale nie mogę wiązać mego pióra; należy ono do moich przyjaciół, jak ich pióro do mnie.

— Ależ ostatecznie stajesz się pan jednym z moich autorów. Wszyscy moi autorzy są moimi przyjaciółmi. Zatem przyrzekasz nie szkodzić interesom firmy, nie uprzedziwszy mnie o atakach, iżbym mógł im zapobiec.

— Zgoda.

— Na pańską sławę — rzekł Dauriat, podnosząc szklankę.

— Widzę, że pan czytał *Stokrocie* — rzekł Lucjan.

— Moje dziecko, kupić *Stokrocie*, nie znając ich, to najpiękniejszy komplement, na jaki może pozwolić sobie księgarz. Za pół roku będziesz wielkim poetą; będziesz miał prasę, boją się ciebie, nie będę miał najmniejszego kłopotu ze sprzedażą pańskiej książki. Ja jestem ten sam kupiec co przed czterema dniami. Nie ja się zmieniłem, ale pan: w zeszłym tygodniu pańskie sonety były dla mnie warte tyle, co liście kapusty; dziś pozycja pańska zrobiła z nich banknoty.

— Zatem — rzekł Lucjan, którego sułtańska rozkosz posiadania pięknej kochanki przy boku, jak również pewność powodzenia czyniły drwiącym i cudownie impertynentem — jeżeli nie czytał pan moich sonetów, czytał pan w każdym razie mój artykuł.

— Tak, drogi panie, czyż byłbym przyszedł tak szybko? Na nieszczęście, ten straszliwy artykuł jest bardzo piękny. Och! Pan masz olbrzymi talent. Wierzę mi, korzystaj z chwili powodzenia — rzekł z dobroduszością, która pokrywała głęboką złośliwość tego zdania. — Ale musiał pan dostać dziennik; czytałeś?...

— Jeszcze nie — rzekł Lucjan — a wszak to pierwszy raz drukuję większy ustęp prozą; Hektor musiał odesłać numer do mnie, na ulicę Charlot.

— Masz, czytaj!... — rzekł Dauriat, naśladując Talmę w *Manliuszu*³⁶⁹.

Lucjan wziął dziennik, który Koralia mu wyrwała.

— Dla mnie pierwociny twojego pióra, pamiętasz — rzekła, śmiejąc się.

Dauriat był niezwykle słodki i dworski, obawiał się Lucjana, zaprosił go z Koralią na wielki obiad, jaki wydawał z końcem tygodnia dla dziennikarskiej rzeszy. Zabrał rękopis *Stokroci*, mówiąc *swemu* poecie, aby wstąpił, kiedy zechce, do Galerii podpisać umowę. Zawsze wierny królewskiemu wzięciu, którym starał się imponować ludziom powierzchownym, i pragnąc uchodzić raczej za mecenasa niż za księgarza, zostawił trzy tysiące franków bez pokwitowania, odsunął niedbałym gestem ofiarowany przez Lucjana kwit i odjechał, ucałowawszy rękę Koralii.

— I cóż, kochanie, czy widziałbyś dużo takich świstków, gdybyś siedział w swej dziurze i grzebał się w szpargałach u świętej Genowefy? — rzekła Koralia do Lucjana, który opowiedział jej całą swą egzystencję. — Wiesz, ci twoi przyjaciele z ulicy des Quatre-Vents robią na mnie wrażenie wielkich dudków.

Jego bracia z Biesiady — dudki! Lucjan wysłuchał tego wyroku, śmiejąc się. Przeczytał swój artykuł w druku, kosztował tej niewymownej radości autorów, tej pierwszej rozkoszy miłości własnej, której myśl zażywa tylko raz. Czytając i odczytując swój artykuł, Lucjan lepiej czuł jego doniosłość i wagę. Druk jest dla rękopisu tym, czym teatr dla kobiet, wydobywa piękność i wady; zabija lub daje życie: błąd skacze do oczu równie jasno, jak piękna myśl. Lucjan, upojony, nie myślał już o Natanie. Natan był stopniem pod jego nogami, tonął w radości, widział się bogatym. Dla chłopca, który niedawno schodził promenadą z Beaulieu do Angoulême i wracał do Houmeau na stryszek u Postela, gdzie cała rodzina żyła za tysiąc dwieście franków rocznie, suma ofiarowana przez Dauriatą była bogactwem Krezusa³⁷⁰! Wspomnienie, żywe jeszcze, ale które miało się zaćmić w nieustającym karnawale paryskiego życia, przeniosło go na plac du Mûrier. Przypomniał sobie piękną, szlachetną Ewę, Dawida i biedną matkę; natychmiast wyprawił Berenice,

³⁶⁹ *Manliusz Kapitolin*ski, fr. *Manlius Capitolinus* — tragedia Antoine'a de La Fosse (1653–1708) z roku 1698. [przypis edytorski]

³⁷⁰ *Krezus* (595–546 p.n.e.) — król Lidii słynący ze swojego wielkiego bogactwa; jego imię jest obecnie synonimem bogacza. [przypis edytorski]

aby zmieniła banknot, przez ten czas napisał liścik do rodziny; następnie posłał Berenice na pocztę, lękając się, iż jeżeli się spóźni, nie będzie mógł nadać pięciuset franków, które przeznaczył matce. Dla niego, dla Koralii restytucja³⁷¹ ta przedstawiała się jako dobry uczynek. Aktorka uściskała Lucjana, wysławiała go jako wzór synów i braci, obsypywała go pieścizotami. Tego rodzaju rysy zachwycają owe dziewczęta, które wszystkie mają serca na dłoni.

— Mamy teraz — rzekła — codziennie zaproszenie na obiad przez cały tydzień, zrobimy sobie małe zapusty³⁷²; dość się napracowałeś.

Koralia, pragnąc się nacieszyć pięknnością mężczyzny, którego wszystkie kobiety miały jej zazdrości, zawiozła go jeszcze raz do Stauba, Lucjan nie był dla niej jeszcze dość dobrze ubrany. Stamtąd para kochanków pojechała do Lasku i wróciła na obiad do pani du Val-Noble, gdzie Lucjan zastał Rastignaca, Bixiou, des Lupeaulx, Finota, Blondeta, Vignona, barona de Nucingen, Beaudenorda, Filipa Bridau, wielkiego muzyka Contiego³⁷³, cały świat artystów, spekulantów, ludzi, którzy przeplatają wielką pracę silnymi wzruszeniami i którzy wszyscy przyjęli Lucjana wyśmienicie. Lucjan, pewien siebie, szafował dowcipem tak, jakby to nie był jego towar, i zyskał sobie miano tęgiego chwata, pochwałę bardzo wówczas w modzie wśród tych kamratów.

— Ha, trzeba się będzie przekonać, co on ma w brzuchu — rzekł Teodor Gaillard do jednego z poetów protegowanych przez dwór, który myślał o założeniu rojalistycznego dzienniczka, nazwanego później „Jutrzenką”.

Po obiedzie dwaj dziennikarze pojechali ze swymi paniami do Opery, gdzie Merlin miał łożę i gdzie znów znalazła się cała kompania. Tak więc Lucjan wrócił jako triumfator tam, gdzie kilka miesięcy przedtem runął tak ciężko. Pojawił się w *foyer* pod ramię z Merlinem i Blondetem, patrząc prosto w twarz dandysom, którzy niegdyś bawili się jego kosztem. Miał Châteleta pod nogami! De Marsay, Vandenesse, Manerville, lwy epoki, wymienili z nim parę wyzywających spojrzeń. Zapewne musiała być mowa o pięknym, eleganckim Lucjanie w łoży pani d'Espard, gdzie Rastignac złożył długą wizytę, gdyż margrabina i pani de Bargeton lornetowały Koralię. Czyżby Lucjan obudził żal w sercu pani de Bargeton? Myśl ta zaprzętała poetę: na widok Korynny z Angoulême żądza zemsty miotała jego sercem jak w owym dniu, w którym odczuł wgardę tej kobiety i jej kuzynki na Polach Elizejskich.

— Czyś pan przyjechał z prowincji z jakimś amuletem? — rzekł Blondet, wchodząc w kilka dni później, około jedenastej, do Lucjana, który jeszcze nie wstał z łóżka. — Piękność jego — rzekł, pokazując Lucjana Koralii, którą ucałował w czoło — robi spustoszenia od piwnicy po strych, w górze, w dole. Przychodzę cię zarekwirować, mój drogi — dodał, ściskając rękę poecie — wczoraj we Włoskim hrabina de Montcornet poleciła mi, abym cię przyprowadził. Nie odmówisz, mam nadzieję, kobiecie uroczej, młodej, u której zastaniesz elitę wykwintnego świata

— Jeżeli Lucjan jest pocziwy — rzekła Koralia — nie pójdzie do pańskiej hrabiny. Na co mu potrzebne wycierać frak po salonach? Znudziliby się.

— Chcesz zatem zmonopolizować, dziecko, swego nadwornego trubadura? — rzekł Blondet. — Byłabyś zazdrosna o przyzwoite kobiety?

— Tak — wykrzyknęła Koralia — gorsze są niż my.

— Skądże to wiesz, koteczko? — rzekł Blondet.

— Od ich mężów — odparła. — Zapomina pan, że miałam de Marsaya pół roku.

— Czy myślisz, dziecko — rzekł Blondet — że mi wiele zależy na tym, aby wprowadzić do hrabiny de Montcornet mężczyznę tak pięknego jak twój małżonek? Jeżeli się sprzeciwiasz, nie ma o czym mówić. Ale chodzi tu mniej, jak sądzę, o kobiety niż o to, aby wyblagać u Lucjana odpust i przebaczenie dla biednego nieboraka, codziennej pastwy dziennika. Baron du Châtelet jest na tyle dziecinny, że bierze te artykułiki poważnie. Margrabina d'Espard, pani de Bargeton i salon hrabiny de Montcornet interesują się Czaplą, toteż przyrzekłem doprowadzić do pojednania między Laurą a Petrarką, między panią de Bargeton a Lucjanem.

³⁷¹restytucja — przywrócenie dawnego stanu; także: zwrot bezprawnie posiadanej rzeczy. [przypis edytorski]

³⁷²zapusty (daw.) — karnawał. [przypis edytorski]

³⁷³Conti — muzyk z powieści Balzaca. [przypis edytorski]

— Ha! — wykrzyknął Lucjan, któremu wszystkie żyły zaczęły pulsować i który uczuł rozkosz zadowolonej zemsty — postawiłem im tedy nogę na brzuchu! Sprawileś w tej chwili, że ubóstwiałem moje pióro, ubóstwiałem moich przyjaciół, ubóstwiałem złowrogą potęgę prasy. Nie pisałem jeszcze sam ani słowa o Rybce i o Czapli. Pójdę, kochasiu — rzekł, biorąc Blondeta wpół — tak, pójdę, ale wówczas, kiedy ta para uczuje ciężar tej rzeczy tak lekkiej!

Wziął pióro, którym skreślił artykuł o Natanie, i potrząsnął nim.

— Jutro cisnę im dwie małe kolumnienki na głowę. Później zobaczymy. Nie lękaj się niczego, Korolio; nie chodzi o miłość, ale o zemstę, i chcę, aby była zupełna.

— To mi człowiek! — rzekł Blondet. — Gdybyś wiedział, Lucjanie, jak rzadkim jest spotkać podobny wybuch w zużytych paryskim świecie, mógłbyś się ocenić. Będzie z ciebie tęgą ladacą — rzekł, posługując się nieco energiczniejszym wyrażeniem — jesteś na drodze, która prowadzi do władzy.

— Wyflynie — rzekła Koralia.

— Ba! Dość już zrobił drogi w sześć tygodni.

— A kiedy będzie go dzielić od jakiego berła tylko szerokość trupa, może sobie uczynić stopień z ciała Koralii — dodała.

— Kochacie się jak w złotym wieku — rzekł Blondet. — Winszuję ci artykułu — podjął, patrząc na Lucjana — pełen jest nowych myśli. Zdobyłeś sobie ostrogi³⁷⁴.

Lousteau, Hektor Merlin i Vernou zaszli odwiedzić Lucjana, który uczuł się mile poglaskany ich względami. Felicjan przyniósł Lucjanowi sto franków honorarium. Dziennik poczuwał się do obowiązku wynagrodzenia pracy tak udanej, aby pozyskać sobie autora. Koralia, widząc zebraną kapitułę³⁷⁵ dziennikarzy, posłała po śniadanie do Cadran-Bleu, najbliższej restauracji; skoro Berenice oznajmiła, że wszystko gotowe, zaprosiła gości do pięknej jadalni. Przy śniadaniu, kiedy szampańskie uderzyło do wszystkich głów, odsłoniła się racja wizyty, jaką składali Lucjanowi koledzy.

— Nie masz zamiaru — rzekł Lousteau — robić sobie nieprzyjaciela z Natana? Natan jest dziennikarzem, ma przyjaciół, wypłatałby ci jaką psotę przy twojej pierwszej publikacji. Czy nie masz zamiaru wydać *Gwardzysty Karola Dziewiątego*? Widzieliśmy Natana dziś rano, jest w rozpacz; ale ty kropniesz artykułik, w którym bryźniesz mu w twarz samymi pochwałami.

— Jak to? Po moim artykule przeciw jego książce chcecie...? — spytał Lucjan.

Blondet, Merlin, Lousteau, Vernou przerwali mu homerycznym śmiechem³⁷⁶.

— Zaprosiłeś go tutaj na kolację pojutrze? — rzekł Blondet.

— Artykuł — ciągnął Lousteau — nie jest podpisany. Felicjan, który nie jest taki nowicjusz jak ty, miał tę ogłędność, aby podznaczyć go literą C, którą możesz odtąd podpisywać artykuły w jego dzienniku, należącym do skrajnej lewicy. My wszyscy jesteśmy w opozycji. Felicjan okazał tę delikatność, iż nie chciał wiązać twoich przyszłych przekonań. W kramiku Hektora, który jest prawe centrum, możesz podpisywać L. Atakuje się anonimowo, ale można podpisać pochwałę.

— Nie chodzi o podpis — rzekł Lucjan — ale nie mam nic do powiedzenia na korzyść książki.

— Wierzyłeś zatem w to, coś pisał? — rzekł Hektor.

— Tak.

— Och, mój chłopcze — rzekł Blondet — uważałem cię za tęższego! Nie, słowo honoru daję, patrząc na twoje czoło, przypisywałem ci wszechmoc podobną tej, jaką mają wielkie umysły, których potężna organizacja zdolna jest ujmować każdą rzecz pod jej dwoistą postacią. Moje dziecko, w literaturze wszelka idea ma swoją prawą i lewą stronę; nikt nie może przysiąc, która jest lewa. Wszystko jest dwustronne w dziedzinie myśli. Idee mają dwie twarze. Janus³⁷⁷ jest mitem krytyki i symbolem geniuszu. Jedynie Bóg

Twórczość

³⁷⁴*Zdobyłeś sobie ostrogi* — częścią ceremoniału pasowania na rycerza było przypięcie ostróg, dokonywane przez stojącego wyżej w hierarchii społecznej. [przypis edytorski]

³⁷⁵*kapituła* — rada przełożonych zakonu, tu ogólnie: zgromadzenie. [przypis edytorski]

³⁷⁶*homeryczny śmiech* — niepohamowany, głośny, szczery śmiech, jakim śmieją się bogowie w *Iliadzie* Homera. [przypis edytorski]

³⁷⁷*Janus* (mit. rzym.) — bóg początków, przejść i zmian, opiekun drzwi, bram i mostów, zwyczajowo przedstawiany z dwiema twarzami. [przypis edytorski]

jest trójkątem! Co stawia Moliera i Corneille'a³⁷⁸ w rzędzie mistrzów, jeśli nie ta zdolność mówienia „tak” ustami Alcesta, a „nie” ustami Filinta³⁷⁹; Augusta i Cynny³⁸⁰? Rousseau w *Nowej Heloizie* napisał list za i przeciw pojedynkowi; czy ważyłbyś się rozstrzygnąć, jakie było jego prawdziwe mniemanie? Kto z nas mógłby wydać sąd między Klaryssą a Lowelasem³⁸¹, Achillesem a Hektorem? Który z nich jest bohaterem Homera? Jaka była intencja Richardsona? Krytyka powinna oglądać dzieła pod wszelkim kątem. Słowem, my jesteśmy wielcy protokolanci.

— Obstawiasz przy tym, coś napisał? — rzekł drwiąco Felicjan. — Ależ my jesteśmy handlarze frazesów, żyjemy z naszego kramiku. Kiedy będziesz chciał stworzyć wielkie i piękne dzieło, słowem, książkę, będziesz mógł zakląć w nią swoją myśl, duszę, wżyć się w nią, bronić jej; ale artykuł, czytany dziś, zapomniany jutro, to warte dla mnie tylko tyle, ile za to płacą. Jeżeli przywiązujesz wagę do podobnych dzieciństw, niedługo zaczniesz żegnać się znakiem krzyża i wzywać Ducha Świętego, aby napisać prospekty dla księgarni.

Wszyscy dziwili się skrupułom Lucjana i do reszty podarli w strzępy jego suknię młodzieńczą, aby mu włożyć męską togę dziennikarza.

— Czy wiesz, czym pocieszył się Natan, przeczytawszy twój artykuł? — rzekł Lousteau.

— Skąd mogę wiedzieć?

— Wykrzyknął: „Artykułik mija, dzieło zostaje”. Ten człowiek przyjdzie tu za dwa dni na wieczerzę, powinien słać się u twoich nóg, całować twoje ostrogi i mówić ci, że jesteś wielkim człowiekiem.

— To byłoby zabawne — rzekł Lucjan.

— Zabawne? — odparł Blondet. — To konieczne.

— Moi drodzy, ja chciałbym, i owszem — rzekł Lucjan, nieco „zaprószone” — ale jak to zrobić?

— Otóż — rzekł Lousteau — napisz do dziennika Merlina trzy kolumny, w których odeprzesz samego siebie. Ubawiwszy się wściekłością Natana, powiedzieliśmy mu, że niebawem będzie nam dziękował za tęgą polemikę, którą sprawimy, że książkę jego rozchwytają w ciągu tygodnia. W tej chwili jesteś dlań szpiegiem, kanalią, hultajem; pojutrze będziesz wielkim człowiekiem, otwartą głową, mężem na miarę Plutarcha! Natan uściska cię jako najlepszego przyjaciela. Dauriat kapitulował, masz trzy tysiące w kieszeni: sztuka się udała. Teraz potrzebny ci szacunek i przyjaźń Natana. Wykierowany powinien być tylko księgarz. Powinniśmy prześladować i gnębić tylko naszych wrogów. Gdyby chodziło o człowieka, który zdobył imię bez nas, o niewygodny talent, który trzeba by unicestwić, nie obstawalibyśmy za podobną repliką; ale Natan to nasz kompan; sam Blondet postarał się, aby książkę zaatakowano w „*Mercure*”³⁸², aby mieć przyjemność odpowiedzi w „*Debatach*”. Toteż pierwsze wydanie rozeszło się w lot!

— Moi drodzy, słowo uczciwego człowieka, niezdolny jestem napisać dwóch słów pochwały o tej książce...

— Znów zarobisz sto franków — rzekł Merlin. — Natan przyniesie ci już dziesięć ludwików, nie licząc artykułu, który możesz umieścić u Finota i za który dostaniesz sto franków od Dauriata, a sto od redakcji: łącznie dwadzieścia ludwików!

— Ale co powiedzieć?

— Oto jak mógłbyś się z tego wypłatać, moje dziecko — odparł Blondet, skupiając się. — Zawiść, która się czepia tęgich dzieł, jak robak zdrowych owoców, próbowała ukąsić tę książkę, powiesz. Aby odkryć w niej wady, krytyk musiał ukuć specjalne teorie, rozróżnić dwie literatury: idei i obrazów. Tu powiesz, mój mały, że ostatnim wyrazem

³⁷⁸ *Corneille, Pierre* (1606–1684) — francuski dramaturg, autor tragedii klasycystycznych. [przypis edytorski]

³⁷⁹ *Alcest i Filint* — bohaterowie komedii Moliera *Mizantrop* (1666): Alcest występuje przeciwko obłudzie arystokracji francuskiej, Filint jest wobec niej tolerancyjny. [przypis edytorski]

³⁸⁰ *August i Cynna* — bohaterowie tragedii Pierre’a Corneille’a *Cynna, czyli łaskawość Augusta* (1643): Cynna zobowiązuje się zabić cesarza Augusta dla pomśzczenia ojca swojej ukochanej, jednak dobroć i hojność władcy stawiają go przed dylematem. [przypis edytorski]

³⁸¹ *Klaryssa i Lowelas* — para głównych bohaterów powieści *Klaryssa czyli historia młodej damy* (1748) Samuela Richardsona. [przypis edytorski]

³⁸² „*Mercure de France*” — pierwsze francuskie czasopismo literackie, założone w 1672 jako „*Mercure Galant*”, zmieniło nazwę w 1724; wydawane do 1825, dwukrotnie wskrzeszane, ostatecznie przestało się ukazywać w 1965. [przypis edytorski]

sztuki pisarskiej jest zamknąć ideę w obrazie. Starając się dowieść, że obraz to cała poezja, będziesz ubolewał nad naszym językiem, który ma tej poezji tak skąpo, wspomniesz o zarzutach, jakie czynią cudzoziemcy *pozytywizmowi* naszego stylu, i pochwalisz pana de Canalis i Natana za usługi, jakie oddają Francji *deprozaizując* język. Rozbij w puch poprzednią swą argumentację, wykazując, iż postąpiliśmy naprzód od osiemnastego wieku. Wymyśl *postęp* (cudowna mistyfikacja dla kołtunów)! Nasza młoda literatura operuje obrazami, w których spotykają się wszystkie rodzaje, komedia i dramat, opisy, charakter, dialog, spojone węzłami zajmującej intrygi. Powieść, która wymaga uczucia, stylu i obrazu, jest najpotężniejszym nowożytnym tworem; zajęła miejsce komedii, która w nowoczesnym społeczeństwie nie jest możliwa ze swymi starymi prawidłami. W swoich koncepcjach, które wymagają i dowcipu La Bruyère'a, i jego wnikliwego spojrzenia, obejmuje ona fakt i ideę, charakter ujęte na modłę Moliere, wielkie dramaty Szekspirowskie i najdelikatniejsze odcienie namiętności, jedyny skarb, jaki zostawili nam poprzednicy. Toteż powieść jest o wiele wyższa od zimnej i matematycznej dyskusji, od suchej analizy osiemnastego wieku. „Powieść — rzekniesz sentencjonalnie — to epepeja, z tą poprawką, że jest zabawna”. Cytuj *Korynnę*, powołuj się na panią de Staël. „Osiemnasty wiek wszystko ujął w pytańnik, dziewiętnasty ma za zadanie wyciągnąć konkluzję; jakoż wyciąga ją za pomocą realności, które żyją i chodzą; wprowadza w grę namiętność, czynnik nieznaný Wolterowi. (Tu tyrada przeciw Wolterowi). Co do romansów Russa, to są tylko poubierane rozumowania i systemy. Julia i Klara³⁸³ to entelechie³⁸⁴, nie mają ciała ani kości”. Możesz haftować na ten temat i powiedzieć, że winni jesteśmy pokojowi i Burbonom literaturę młodą i oryginalną, bo pamiętaj, że piszesz w dzienniku prawego centrum. Naigrawaj się z fabrykantów systemów. Wreszcie możesz wykrzyknąć w pięknym uniesieniu: „Oto jak ocena naszego kolegi roi się od błędów, od kłamstw! I czemu? Aby poniżyć piękne dzieło, aby oszukać publiczność i dojść do tego wniosku: Książka, która idzie, nie idzie. *Proh pudor!*”³⁸⁵ Koniecznie *proh pudor!* To szanowne przekleństwo podnieca czytelnika. Wreszcie lamentuj nad upadkiem krytyki! Konkluzja: „Jest tylko jedna literatura, literatura książek zajmujących. Natan wszedł na nową drogę, zrozumiał swoją epokę i odpowiada jej potrzebom. Potrzebą epoki jest dramat. Dramat jest pragnieniem wieku, w którym polityka jest nieustającym mimodramem. Czyż nie mieliśmy — powiesz — w ciągu dwudziestu lat czterech dramatów: Rewolucji, Dyktatoratu, Cesarstwa i Restauracji?” Stąd toczysz się wartko w dytyramb³⁸⁶ pochwały i oto drugie wydanie rozchwywane! Oto jak: w przyszłą sobotę napiszesz ćwiartkę w naszym tygodniku i podpiszesz ją „de Rubempré”, nazwiskiem. W tym ostatnim artykule powiesz: „Właściwością pięknych dzieł jest, że wznecają bogate dyskusje. W tym tygodniu taki a taki dziennik powiedział to a to o książce Natana, ten a ten odpowiedział mu na to wymownie”. Krytykujesz obu krytyków: C. i L., mówisz mi mimochodem komplement z okazji mego pierwszego artykułu w „Debatach” i kończysz, twierdząc, że książka Natana jest najpiękniejszym dziełem epoki. To nie obowiązuje do niczego, to się mówi o wszystkich książkach. Zarobiłeś czterysta franków w ciągu tygodnia, oprócz przyjemności, iż gdzieś po drodze napisałeś prawdę. Ludzie rozsądni przyznają słuszość albo panu C., albo L., albo Rubemprému, może wszystkim trzem! Mitologia, która niewątpliwie jest jednym z największych wymysłów ludzkich, umieściła prawdę na dnie studni³⁸⁷: czyż nie trzeba wiader, aby ją wyciągnąć? Dałeś publiczności trzy zamiast jednego. *Ecco*³⁸⁸, mój chłopcze. A teraz naprzód, marsz!

Lucjan był oszołomiony; Blondet ucałował go w oba policzki, mówiąc:

— Idę do budy.

³⁸³*Julia i Klara* — postaci z sentymentalnej powieści epistolarnej *Nowa Heloiza* (1761) Jeana Jacques'a Rousseau. [przypis edytorski]

³⁸⁴*entelechia* — w filozofii Arystotelesa: działająca celowo w organizmie żywym wewnętrzna tendencja a. siła, kształtująca jego materię i powodująca rozwój; tu w znaczeniu: czysta forma, abstrakcja. [przypis edytorski]

³⁸⁵*proh pudor* (łac.) — o hańbo. [przypis edytorski]

³⁸⁶*dytyramb* (lit.) — rozwinięta w kulturze greckiej pieśń pochwalna, utrzymana w patetycznym tonie. [przypis edytorski]

³⁸⁷*Mitologia (...) umieściła prawdę na dnie studni* — stwierdzenie, iż prawda leży w głębinach (często tłumaczone: na dnie studni), pochodzi nie z mitologii, lecz od Demokryta z Abdery, filozofa greckiego z V w. p.n.e., cytowanego przez Diogenesa Laertiosa (ks. IX, 72). [przypis edytorski]

³⁸⁸*ecco* (wł.) — ot, otóż. [przypis edytorski]

Każdy poszedł do swojej budy. Dla tych *mocnych* ludzi dziennik był tylko budą. Wszyscy mieli się spotkać wieczorem w Galeriach Drewnianych, gdzie Lucjan zamierzał wstąpić, aby podpisać umowę z Dauriatem. Floryna i Lousteau, Lucjan i Koralia, Blondet i Finot obiadowali w Palais-Royal, gdzie du Bruel podejmował dyrektora Panorama-Dramatique.

— Mają słuszość — wykrzyknął Lucjan — ludzie powinni być narzędziami w rękach tęgich chwatów. Czteryście franków za trzy artykuły! Doguereau zaledwie chciał mi je dać za książkę, która kosztowała mnie dwa lata pracy.

— Bądź krytykiem — rzekła Koralia — baw się! Czyż ja się nie przebieram dziś za Andaluzijkę, jutro za Cygankę, pojutrze za chłopca? Rób jak ja, fikaj im kozły za ich pieniądze i żyjmy szczęśliwie.

Lucjan, oczarowany paradoksem, dosiadł swą inteligencją tego kapryśnego muła, syna Pegaza³⁸⁹ i oślicy Balaama³⁹⁰. Jął galopować po błoniach myśli podczas przejażdżki w Lasku i odkrył nowe piękności w tezie Blondeta. Zjadł obiad jak człowiek, który czuje się szczęśliwy, podpisał u Dauriata umowę, mocą której odstępował mu na zupełną własność rękopis *Stokroci*, nie przewidując w tym żadnego podstępu; wreszcie wstąpił do dziennika, gdzie nakreślił dwie kolumny, i wrócił na ulicę Vendôme. Nazajutrz rano uczuł, iż wczorajsze myśli wykiełkowały w jego głowie, jak bywa w mózgach pełnych soku, jeszcze nie zużytych. Lucjan z rozkoszą obmyślał nowy artykuł, wziął się z zapalem do pracy. Pióro jego znalazło piękności płynące z tarcia słów. Był dowcipny i drwiący, wzniosł się nawet do oryginalnych poglądów na uczucie, myśl i obraz w literaturze. Umysł jego, wrażliwy i lotny, odnalazł, aby pochwalić Natana, pierwsze wrażenia doznane przy czytaniu książki w bibliotece publicznej. Z krwawego i cierpkiego krytyka, z przezabawnego kpiarza Lucjan zmienił się w poetę w ostatnich kilku zdaniach, które kołysały się majestatycznie niby kadzielnice przed ołtarzem.

— Sto franków, Korolio! — rzekł, ukazując osiem ćwiartek zapisanych, gdy aktorka się ubierała.

Korzystając z werwy, nakreślił od niechcienia zapowiedziany Blondetowi pamfletik na barona du Châtelet i panią de Bargeton. Zakosztował tego ranka jednej z najmilszych dziennikarzom tajemnych rozkoszy: rozkoszy ostrzenia złośliwości, szlifowania zimnej klingi, która wbija się w serce ofiary, a zarazem rzeźbienia rękojeści dla czytelników. Publiczność podziwia misterną robotę tej rękojeści, nie czuje żądła, nie wie, że dyszące zemstą ostrze konceptu ryje się w skrwawionej umiejętności miłości własnej, przesytej tysiącem ciosów. Ta straszliwa rozkosz, posępna i samotnicza, smakowana bez świadków, jest niby pojedynkiem z nieobecnym, zabijanym na odległość ukluciem pióra, jak gdyby dziennikarz miał ów fantastyczny talizman bajek arabskich. Paszkwil to geniusz nienawiści, nienawiści, która czerpie sok ze wszystkich złych namiętności, tak samo jak miłość skupia w sobie wszystkie przymioty. Dlatego nie ma człowieka, który by nie był dowcipny w zemście, jak nie ma takiego, którego by nie upajała miłość. Mimo łatwości, pospolitości tego dowcipu we Francji, trafia on zawsze do smaku. Artykułik ten miał doprowadzić i doprowadził do szczytu reputację złośliwości i niegodziwości dzienniczka; wszedł aż do dna dwu serc, zranił głęboko panią de Bargeton, eks-Laure, i barona du Châtelet, rywala Lucjana.

— No, dalej, teraz do Lasku; konie zaprzężone, niecierpliwią się — rzekła Koralia — nie trzeba się zabijać pracą.

— Zawieźmy artykuł o Natanie do Hektora. Stanowczo dziennik jest jak włócznia Achillesa, goi rany, które zadaje³⁹¹ — rzekł Lucjan, poprawiając jeszcze kilka wyrażań.

Para kochanków pomknęła i ukazała się w całej świetności temu Paryżowi, który niegdyś wyparł się Lucjana, a który obecnie zaczynał się nim zajmować. Zająć Paryż sobą, kiedy się zrozumiało ogrom tego miasta i trudność stania się w nim *czymś*, to źródło upajającej rozkoszy, która też odurzyła Lucjana.

³⁸⁹ Pegaz (mit. gr.) — skrzydlaty koń, symbol natchnienia poetyckiego i malarskiego. [przypis edytorski]

³⁹⁰ oślica Balaama — oślica, na której podróżował biblijny prorok Balaam i która przemówiła do niego ludzkim głosem, kiedy niewidzialny dla niego anioł zastąpił drogę (Lb 22–23). [przypis edytorski]

³⁹¹ jak włócznia Achillesa, goi rany, które zadaje — wg mitów greckich rana, którą Achilles zadał swoją włócznią Telefosowi, synowi Heraklesa i królowej tegejskiej Auge, nigdy się nie goiła, mogło ją uleczyć jedynie to samo ostrze. [przypis edytorski]

— Moje kochanie — rzekła aktorka — wstąpmy do krawca przynaglic twoje ubrania i przymierzyć je, o ile są gotowe. Jeżeli pójdziesz do swoich cacanych damul, chcę, abyś zakasował tego potwora de Marsay, młodego Rastignaca i wszystkich Ajuda-Pintów, Maksymów de Trailles, Vandenesse'ów, słowem wszystkich elegantów. Pamiętaj, że jesteś kochankiem Koralii. Ale nie spłatasz mi jakiego figla, co?...

W dwa dni później, w wilię kolacji wydanej przez Lucjana i Koralie dla przyjaciół, teatrzyk Ambigu wystawiał nową sztukę, z której Lucjan miał pisać sprawozdanie. Zjadłszy obiad, kochankowie udali się piechotą z ulicy Vendôme do Panorama-Dramatique, szli przez bulwar du Temple po stronie kawiarni Tureckiej, która w owym czasie stanowiła jeden z modniejszych punktów. Lucjan słyszał zachwyty nad swoim szczęściem i nad pięknnością kochanki. Jedni mienili Koralie najpiękniejszą kobietą w Paryżu, drudzy znajdowali, iż Lucjan jest jej godny. Poeta czuł się w swoim środowisku. To było jego życie. Biesiadę zaledwie że pamiętał! Te wielkie duchy, ci ludzie, których tak podziwiał dwa miesiące temu, dziś rodziły w nim pytanie, czy oni nie byli trochę głupiutcy ze swymi pojęciami i swym purytyzmem³⁹². Miano dudków, rzucone lekko przez Koralie, wykielkowało w umyśle Lucjana i wydało owoce. Odprowadziwszy Koralie do garderoby, krążył chwilę po kulisach, gdzie przechadzał się jak sułtan: wszystkie aktorki pieściły go spojrzzeniami i słówkami pełnymi pochlebstwa.

„Trzeba iść do Ambigu pełnić swoje rzemiosło” — rzekł sobie.

W Ambigu sala była pełna; nie było miejsca dla Lucjana. Lucjan udał się za kulisy, czyniąc cierpkie wymówki, że go nie ulokowano. Sekretarz, który nie znał go jeszcze, oświadczył, iż posłano dziennikowi dwie łóża, i odprawił poetę z kwitkiem.

— Będę pisał o sztuce wedle tego, ile usłyszę — rzekł Lucjan, dotknięty.

— Jaki pan głupi! — rzekła pierwsza amantka do reżysera. — To amant Koralii.

Natychmiast sekretarz zwrócił się do Lucjana i rzekł:

— Niech pan będzie łaskaw zaczekać, pomówię z dyrektorem.

Tak więc najdrobniejsze szczegóły dowodziły Lucjanowi potęgi dziennika i pieściły jego próżność. Dyrektor przybył i uzyskał od księcia de Rhétoré i tancerki Tulii, którzy zajmowali łóża na proscenium, że zaprosili Lucjana do siebie. Książę zgodził się, poznając Lucjana.

— Doprowadził pan dwie osoby do rozpacz — rzekł młody człowiek, opowiadając o baronie du Châtelet i pani de Bargeton.

— Cóż dopiero będzie jutro? — rzekł Lucjan. — Dotychczas przyjaciele moi bawili się nimi jak woltyżerowie, ale dzisiejszej nocy strzelam ostrymi kulami. Jutro zobaczycie, czemu sobie drwimy z Poteleta. Artykuł zatytułowany jest: „Potelet w tysiąc osiemset jedenastym a Potelet w tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym”. Châtelet będzie typem ludzi, którzy zaparli się swego dobroczyńcy, przechodząc do Burbonów. Skoro dam im uczuć wszystko, *co mogę*, pójdę do pani de Montcornet.

Podczas rozmowy z księciem Lucjan sypał iskrami dowcipu; pragnął za wszelką cenę dowieść młodemu magnatowi, jak grubą omyłkę popełniły panie d'Espard i de Bargeton, lekceważąc go; ale zdradził niechcący swoją słabość, próbując podtrzymać swoje prawa do nazwiska de Rubempré, kiedy przez złośliwość księcia de Rhétoré nazwał go panem Chardonem.

— Powinien by pan — rzekł książę — zostać rojalistą. Pokazałeś, że masz talent, pokaż teraz, że masz głowę. Jedynym sposobem uzyskania dekretu króla, który by panu wrócił tytuł i nazwisko macierzystych przodków, jest prosić o to w nagrodę usług oddanych dynastii. Liberały nigdy cię nie zrobią hrabią! Widzisz pan, Restauracja da sobie w końcu radę z prasą, jedyną naprawdę niebezpieczną potęgą. Nadto długo zwlekano, już powinna by mieć kaganiec na pysku. Skorzystaj pan z ostatnich chwil tej wolności, aby się okazać groźnym. Za kilka lat nazwisko i tytuł będą we Francji bogactwem pewniejszym niż talent. Może pan w ten sposób mieć wszystko: talent, szlachectwo i urodę; świat będzie przed tobą otworem. Bądźże więc na razie liberałem, ale jedynie po to, aby dobrze sprzedać swój rojalizm.

³⁹²purytyzizm (z łac. *puritas*: czystość) — ruch religijno-społeczny dążący w XVI–XVII w. do zwiększenia czystości doktrynalnej Kościoła anglikańskiego oraz propagujący surowe zasady moralne i obyczaje; przen.: rygorystyczność, surowość zasad moralnych. [przypis edytorski]

Księżę prosił Lucjana, aby przyjął zaproszenie na obiad, jakie zamierzał mu przesłać ambasador, z którym wieczerał u Floryny. W jednej chwili Lucjan uległ czarowi refleksji młodego panka oraz szczęściu, iż otwierają się przed nim drzwi salonów, z których kilka miesięcy temu czuł się na zawsze wygnany. Podziwiał potęgę myśli. Prasa i inteligencja są tedy dźwignią obecnego społeczeństwa. Lucjan zrozumiał, że Lousteau już może żałuje, iż otworzył mu wrota świątyni; sam czuł już, z własnego popędu, potrzebę trudnych do przebycia zapór dla tych, którzy się cisną z prowincji do Paryża. Gdyby poeta jakiś przyszedł do niego, tak jak on się rzucił w ramiona Stefana, nie śmiał pytać sam siebie, z jakim by się spotkał przyjęciem. Młody książę spostrzegł głęboką zadumę Lucjana i nie omylił się co do przyczyn: odsłonił ambitnemu chłopcu, bez określonej woli, ale nie bez pragnień, cały horyzont polityczny, tak jak dziennikarze ukazali mu z krążanka świątyni, niby zły duch Jezusowi, świat literatury i jego bogactwa. Lucjan nieświadom był małego spisku uknutego przez ludzi, których dzienniczek w tej chwili ranił, spisku, w którym pan de Rhétoré maczał palce. Młody książę przeraził salon pani d'Espard, prawiąc cuda o talentach i dowcipie Lucjana. Uproszony przez panią de Bargeton, aby wysondował dziennikarza, miał nadzieję spotkać go w Ambigu-Comique. Ani wielki świat, ani dziennikarze nie kryli żadnych głębin, nie wierzyli w jakieś uplanowane zdrady. Ani jedna, ani druga strona nie układała planu; makiawelizm ten działa, można rzec, z dnia na dzień i polega na tym, aby być zawsze przytomnym, gotowym na wszystko, umieć wyzyskać tak złe, jak i dobre, śledzić chwilę, w której namiętność wyda im człowieka. Na kolacji u Floryny młody książę poznał charakter Lucjana, brał go na lep próżności i ćwiczył się na nim jako przysły dyplomata.

Po przedstawieniu Lucjan pobiegł na ulicę Saint-Fiacre napisać recenzję. Krytyka jego była z wyrachowaniem, ostra i gryząca; znajdował przyjemność w tym, aby spróbować swej siły. Melodram był lepszy niż w Panorama-Dramatique; ale dziennikarz chciał się przekonać, czy może, jak mu mówiono, zabić dobrą sztukę i dać sukces lichej. Nazajutrz, siedząc przy śniadaniu z Koralią, rozwinął dziennik, powiedziawszy jej, że w puch rozbił Ambigu-Comique. Jakież było jego zdumienie, kiedy po artykuliku o pani de Bargeton i Châtelecie ujrzał recenzję z Ambigu tak doskonale ocukrzoną przez noc, że — przy zachowaniu dowcipnego rozbioru sztuki — wypadła zeń konkluzja pochlebna. Sztuce wróżono wielkie powodzenie. Trudno odmalować wściekłość Lucjana; postanowił rozmówić się ze Stefanem. Uważał się już za nieodzownego i obiecywał sobie, iż nie da sobą rządzić, wyzyskiwać się jak dudek. Aby rozwinąć całą swą potęgę, napisał artykuł, w którym streszczał i ważył wszystkie sądy o książce Natana: artykuł przeznaczony był do przeglądu Dauriata i Finota. Następnie, raz się rozgrzawszy, nakreślił jedną z sylwetek swego cyklu „Rozmaitości” dla małego dzienniczka. W pierwszym kipieniu werwy młodzi dziennikarze płodzą artykuły z miłością i oddają w ten sposób niebacznie wszystkie swoje kwiaty. Dyrektor Panorama-Dramatique dawał premierę nowego wodewilu, aby zostawić Florynie i Korali wolny wieczór. Przed kolacją miała być partyjka. Lousteau wstąpił po recenzję napisaną zawczasu o sztuce, którą Lucjan widział na generalnej próbie, aby być zupełnie spokojnym o numer. Kiedy Lucjan przeczytał mu jedną z tych uroczych impresji z bruku Paryża, które stworzyły powodzenie pisma, Stefan ucałował poetę z dubeltówki, nazywając go opatrnością dzienników.

— Czemu zatem pozwalasz sobie zmieniać ducha moich artykułów? — rzekł Lucjan, który nakreślił tę świętą stronicę jedynie po to, aby dać większą siłę swym wyrzutom.

— Ja? — wykrzyknął Lousteau.

— Któż tedy zmienił moją recenzję?

— Mój drogi — rzekł Stefan, śmiejąc się — nie znasz jeszcze tajemnic redakcji. Ambigu bierze u nas dwadzieścia abonamentów, z których dostarczamy tylko dziewięć: dyrektor, kapelmistrz, reżyser, ich kochanki i trzech współwłaściciele teatru. Każdy z bulwarowych teatrzyków płaci w ten sposób dziennikowi osiemset franków. Tyleż przedstawiają łoża, które dają Finotowi, nie licząc abonamentu aktorów i autorów. Hycel wybija w ten sposób osiem tysięcy franków z samych bulwarów. Z małych teatrów możesz sądzić o dużych! Rozumiesz? Musimy być bardzo pobłażliwi.

— Rozumiem, że nie mam prawa pisać tego, co myślę...

— Ech! Cóż ci to szkodzi, skoro i ty masz swój udział? — wykrzyknął Lousteau. — Zresztą, mój drogi, co masz za pretensję do tego teatru? Trzeba jakiejś przyczyny, aby

Interes

zerznąć sztukę. Różąc, aby różnić, skompromitowalibyśmy pismo. Później, kiedy dziennik atakowałby z racją, nie robiłby już żadnego efektu. Czy dyrektor ci w czym uchybił?

— Nie zatrzymał mi miejsca.

— Dobrze — rzekł Lousteau. — Pokażę twój artykuł dyrektorowi, powiem, że go złagodził, i lepiej na tym wyjdiesz, niż gdybyś go ogłosił. Poproś go jutro o bilety, podpisze ci czterdzieści *in blanco*³⁹³ na cały miesiąc, a ja cię zaprowadzę do człowieka, z którym się porozumiesz co do ulokowania ich; kupi je od ciebie z opustem pięćdziesiąt na sto od ceny przy kasie. Na biletach robi się ten sam handel co na książkach. Zobaczysz innego Barbeta, szefa klaki, mieszka niedaleko stąd, mamy czas, chodź.

— Ale, mój drogi, Finot uprawia haniebane rzemiosło, ściągając na niwie myśli takie dwuznaczne podatki. Wcześniej czy później...

— Ech! Czy ty spadłeś z księżycą? — wykrzyknął Lousteau. — Za kogo ty bierzesz Finota? Pod jego fałszywą dobroduszością, pod tą miną Turcareta³⁹⁴, pod powłoką ignorancji i głupoty siedzi w nim cała chytrłość kramarza, z jakiego wyszedł. Czyś nie widział w biurze dziennika, w klatce z nagłówkiem „Kasa”, żołnierza Cesarstwa, wujaszka Finota? Ten wuj jest nie tylko uczciwym człowiekiem, ale ma to szczęście, iż uchodzi za głupca. Otóż on jest z góry skompromitowany we wszystkich transakcjach pieniężnych. W Paryżu człowiek ambitny wygrał los na loterii, jeśli ma przy sobie kreaturę, która godzi się przyjąć tę wątpliwą rolę. W polityce, jak w dziennikarstwie, jest mnóstwo wypadków, w których szef nie powinien wchodzić w grę. Gdyby Finot stał się figurą polityczną, wuj zostałby jego sekretarzem i pobierałby na swój rachunek kontrybucje, jakie urzędy nasze ściągają od wielkich afer. Giroudeau, którego na pierwszy rzut oka wzięłoby się za głupca, ma właśnie na tyle sprytu, aby być nieodgadniętym. Stoi na straży, abyśmy nie byli co dzień pastwą krzyków, pretensji, debutantów, reklamacji, i nie sądzę, by miał równego sobie w którym dzienniku.

— Tak — rzekł Lucjan — widziałem go przy robocie.

Stefan i Lucjan udali się na ulicę Faubourg-du-Temple, gdzie naczelny redaktor zatrzymał się przed okazałym domem.

— Czy pan Braulard jest u siebie? — spytał odzwierne.

— Jak to, *pan*? — rzekł Lucjan. — Szef klaki jest *panem*?

— Mój drogi, Braulard ma dwadzieścia tysięcy franków renty, klientelę jego tworzą wszyscy autorowie dramatyczni bulwarów: mają u niego bieżący rachunek jak u bankiera. Bilety autorskie i inne gratisówki to towar; Braulard zajmuje się jego lokatą. Popracuj trochę w statystyce: użyteczna nauka, byle jej nie nadużywać. Licząc po pięćdziesiąt biletów na wieczór z każdego teatru, masz dwieście pięćdziesiąt dziennie; jeżeli jeden w drugi warte są po dwa franki, Braulard płaci sto dwadzieścia pięć franków dziennie autorom i kupuje widoki zarobienia tyluż. Tak więc same bilety autorskie dają mu blisko cztery tysiące na miesiąc, razem czterdzieści osiem tysięcy rocznie. Przyjmij dwadzieścia tysięcy straty, bo nie zawsze może umieścić wszystkie bilety.

— Czemu?

— Och! Widzowie, którzy kupili po prostu w kasie, mają pierwszeństwo przed gratisowymi, którzy nie posiadają miejsc zarezerwowanych. Słowem, teatr zachował sobie tutaj głos decydujący. Bywają dnie ładnej pogody, a lichych spektaklów. Ogółem Braulard zarabia może trzydzieści tysięcy na tym artykule. Potem, ma swoją klakę: drugi przemysł. Floryna i Koralia siedzą u niego w kieszeni; gdyby się mu nie opłacały, nie miałyby brawa przy wejściu i zejściu ze sceny.

Lousteau udzielał tych objaśnień półgłosem, wchodząc na schody.

— Paryż jest szczególną krainą — rzekł Lucjan, widząc interes czający się we wszystkich kątach.

Schludna służąca wprowadziła dziennikarzy do pana Braularda. Handlarz biletów, siedzący na okazałym fotelu przy wielkim biurku, podniósł się, widząc Stefana. Braulard, otulony w miękką flanelową kurtę, miał pantalonki ze strzemiączkami i czerwone pantofle, ni mniej ni więcej jak jaki lekarz lub adwokat. Lucjan ujrzał w nim człowieka z gminu,

³⁹³*in blanco* (z wł.) — o formularzu, dokumencie itp.: niewypełniony, zawierający tylko podpis wystawiającego. [przypis edytorski]

³⁹⁴*Turcaret* — tytułowy bohater komedii Alaina-Reného Lesage’a z 1709, nieuczciwy, bezwzględny i rozwiązły finansista. [przypis edytorski]

spasionego dostatkim: twarz pospolita, szare oczki pełne chytrłości, ręce klakiera, cera, po której orgie spłynęły jak deszcz po dachu, siwiejące włosy, głos nieco przygasły.

— Przychodzi pan zapewne w sprawie panny Floryny, a pan szanowny w sprawie panny Koralii? Poznaję pana. Niech pan będzie spokojny — rzekł do Lucjana — kupuję klientelę Gymnase, będę dbał o pańską damę i uprzedzę ją o kawałach, jakie chciano by jej płać.

— Propozycja będzie mile przyjęta, mój drogi Braulard — rzekł Lousteau — ale na razie przychodzimy o bilety redakcyjne wszystkich bulwarowych teatrów: ja jako naczelny, pan jako sprawozdawca.

— Aha, tak, Finot sprzedął dziennik. Wiedziałem o tym. Finot jedzie ostro. Zaprosiłem go na obiad z końcem tygodnia. Jeżeli panowie uczynicie mi ten zaszczyt i przyjemność, aby przybyć również, możecie przyprowadzić swoje małżonki; zapowiada się szeroka zabawa; będziemy mieli Adelę Dupuis, Ducange'a, Fryderyka Du Petit-Méré, moją kochankę pannę Millot; będziemy śmiać się tego! A pić jeszcze tężej.

— Ducange musi być w opałach: przegrał proces!³⁹⁵

— Pożyczyłem mu dziesięć tysięcy; powodzenie *Calasa*³⁹⁶ zwróci mi je; podgrzałem je też należycie! Ducange to chłopak z talentem, da sobie radę...

Lucjanowi zdawało się, że śni, słysząc tego człowieka oceniającego talenty autorów.

— Koralia wyrabia się — rzekł Braulard tonem kompetentnego sędziego. — Jeżeli będzie grzeczna, poprę ją po cichu przeciw intrygom przy debiucie w Gymnase. Posłuchaj pan: na jej intencję rozmieszczę na galerii chwatów, którzy będą uśmiechać się i robić szmerek, aby pociągnąć oklaski. To sztuczka, która stawia aktorkę. Podoba mi się Koralia, musi pan z niej być zadowolony, to sercowa kobieta. He, he! Już ja tam potrafię wygwizdać, kogo zechcę...

— Uregulujmyż sprawę z biletami — rzekł Lousteau.

— Dobrze, zajdę po nie osobiście do pana w pierwszych dniach każdego miesiąca. Ten pan jest pańskim przyjacielem, będę go traktował na równi z panem. Masz pan pięć teatrów, dadzą panu trzydzieści biletów; to będzie coś około siedemdziesięciu pięciu franków miesięcznie. Może chce pan coś naprzód? — rzekł handlarz biletów, wracając do biurka i wyciągając zeń szufladę pełną talarów.

— Nie, nie — rzekł Lousteau — zachowamy tę deskę ratunku na czarną godzinę.

— Panie — rzekł Braulard do Lucjana — przyjdę na konferencję z Koralią w tych dniach, porozumiemy się.

Lucjan rozglądał się nie bez głębokiego zdziwienia po gabinecie, gdzie ujrzał bibliotekę, ryciny, przyzwoite urządzenie. Przechodząc przez salon, zauważył umeblowanie równie oddalone od tandety, jak od przesadnego zbytku. Jadalnia wydała mu się najlepiej zagospodarowana; śmiejąc się, podniósł ten szczegół.

— Ba! Braulard to gastronom — rzekł Lousteau. — Obiady jego, słynne w literaturze dramatycznej, są w harmonii z jego kasą.

— Mam dobre wina — rzekł skromnie Braulard. — Oho, idą moi *entuzjaści* — wykrzyknął, słysząc zachrypnięte głosy i szmer charakterystycznych kroków na schodach.

Wychodząc, Lucjan minął się z cuchnącą kohortą³⁹⁷ klakierów i handlarzy biletami. Wszyscy byli w kaszkietach, w wytłoczonych pantalonach, wytartych surdutach, o twarzach łajdackich, sinych, zielonkawych, ziemistych, wynędzniałych; długie brody, oczy dzikie i obłeśne zarazem: ohydna klasa ludności, która żyje i roi się na bulwarach Paryża; rano sprzedaje łańcuszki bezpieczeństwa, złote precjoza po dwadzieścia pięć su, wieczorem bije brawo w blasku kinkietów; słowem, nagina się do wszystkich plugawych konieczności Paryża.

³⁹⁵Ducange (...) przegrał proces — w 1821 Ducange wydał powieść *Walentyne* (*Valentine ou le Pasteur d'Uzès*), w której opisał zbrodnie popełnione przez rojalistów na południu Francji podczas tzw. białego terroru, po upadku Napoleona w roku 1815. Powieść skonfiskowano, zaś autor został skazany siedem miesięcy więzienia. [przypis edytorski]

³⁹⁶*Calas* — trzyaktowy dramat Ducange'a z roku 1819, którego bohaterem jest Jean Calas, protestant z Tuluzy torturowany i stracony w 1762 za rzekome morderstwo swojego syna, który chciał przejść na katolicyzm. [przypis edytorski]

³⁹⁷kohorta — w armii staroż. Rzymu: dziesiąta część legionu; pogard.: agresywna gromada, banda. [przypis edytorski]

— Oto Rzymianie! — rzekł Lousteau, śmiejąc się. — Oto sława aktorek i autorów. Widziana z bliska, nie jest piękniejsza od naszej.

— Trudno — odparł Lucjan, żegnając się — zachować złudzenia co do czegośkolwiek w Paryżu. Wszystko jest opodatkowane, wszystko się sprzedaje, fabrykuje, nawet powodzenie.

Gośćmi zaproszonymi przez Lucjana byli: Dauriat, dyrektor Panoramy, Matifat i Floryna, Camusot, Lousteau, Finot, Natan, Hektor Merlin i pani du Val-Noble, Felician Vernou, Blondet, Vignon, Filip Bridau, Marieta, Giroudeau, Cardot i Florentyna, Bixiou. Lucjan zaprosił również przyjaciół z Biesiady. Tancerka Tulia, która, jak mówiono, była dość łaskawa dla du Bruela, również znalazła się na liście, ale bez księcia; także właściciele dzienników, gdzie pracowali Natan, Merlin, Vignon i Vernou. Razem zebrало się około trzydziestu osób, jadalnia Koralii nie mogła pomieścić więcej. Około ósmej, w blasku świeczników, meble, obicia, kwiaty tego mieszkania przybrały ów odświętny wygląd, który zbytowski paryskiemu użycza pozorów bajki. Lucjan uczuł nieuchwytne drgnienie szczęścia, zadowolonej próżności i nadziei, widząc się panem tego przybytku; nie zastanawiał się już, jak ani przez kogo spełniło się to dotknięcie różdżki. Floryna i Koralia, ubrane z szalonym zbytkiem i z artystycznym smakiem aktorek, uśmiechały się do poety z prowincji, jak dwa anioły gotowe mu otworzyć pałac marzeń. Lucjan niemalże śnił. W kilka miesięcy życie jego uległo tak gwałtownej przemianie, tak nagle przeszedł z nędzy do dostatku, iż chwilami zdejmował go niepokój, jak ludzi, którzy śniąc, czują, że śpią. Mimo to na widok tej pięknej rzeczywistości oko jego wyrażało ufność, której zawistni daliby nazwę pyszałkostwa. On sam również się zmienił. Codziennie sycony miłością, przybladł, oczy jego zamglily się słodkim znużeniem; słowem, wedle określenia pani d'Espard, miał minę „kochaną”. Piękność jego zyskiwała na tym. Świadomość własnej potęgi i siły przebiegała w fizjonomii rozświetlonej miłością i doświadczeniem. Spoglądał wreszcie twarzą w twarz literaturze i społeczeństwu, czując moc przechadzania się po nich jako władca. Temu poecie, w którym refleksja miała się obudzić dopiero pod brzemieniem niedoli, terażniejszość zdawała się bez trosk. Powodzenie wzdymało żagle jego barki, miał na rozkazy narzędzia potrzebne dla swych zamiarów: urządzony dom, kochankę, której zazdrościł mu cały Paryż, pojazd, wreszcie nieobliczalne sumy w kalamarzu. Dusza jego, serce i umysł przeobraziły się w jednakim stopniu; nie myślał już o ważeniu środków w obliczu tak pięknych rezultatów. Ten tryb domu wyda się tak słusznie podejrzany ekonomistom, którzy stykali się z życiem paryskim, że godzi się wskazać podstawę, mimo iż wątplą, na jakiej spoczywało materialne szczęście aktorki i jej drogiego poety. Nie zdradzając się z tym, Camusot upoważnił po cichu dostawców Koralii, aby jej zostawili kredyt jeszcze trzy miesiące. Konie, służba, wszystko miało tedy iść jak czarami dla tych dwojga dzieci, śpieszących się używać i używających wszystkiego z rozkoszą. Koralia wzięła Lucjana za rękę i pokazała mu teatralną perspektywę jadalni zastawionej wspaniale, oświetlonej kandelabrami o czterdziestu świecach: oczarowała go królewskim zbytkiem deseru i *menu*, które było dziełem Chevet'a. Lucjan pocałował Koralię w czoło, przyciskając ją do serca.

— Zwycięzę, mój aniele — rzekł — i nagrodzę ci tyle miłości i poświęcenia.

— Ba! — rzekła — jesteś zadowolony?

— Byłbym chyba bardzo niewdzięcznym!

— Ten uśmiech płaci mi wszystko — odparła, zbliżając wężowym ruchem usta do ust Lucjana.

Zastali Florynę, Stefana Lousteau, Matifata i Camusota zarządzających stoliki do gry. Przyjaciele Lucjana schodzili się: wszyscy ci ludzie nazywali się już przyjaciółmi Lucjana! Grano od dziewiątej do północy. Szczęściem dla siebie, Lucjan nie znał żadnej gry; ale Lousteau przegrał tysiąc franków i pożyczył je od Lucjana, który nie wyobrażał sobie, aby się mógł wymówić, skoro przyjaciel żąda. Koło dziesiątej pojawili się Michał, Fulgencjusz i Józef. Lucjan, który podszedł do nich, znalazł twarze dość chłodne i poważne, aby nie rzec niechętne. D'Arthez nie mógł przyjść, kończył swoją książkę. Leon Giraud zajęty był pierwszym numerem nowego pisma. Biesiada wysłała swoich trzech artystów, którzy mogli się czuć mniej nieswojo od innych wśród orgii.

— I cóż, drodzy — rzekł Lucjan, przybierając lekki ton wyższości — przekonacie się, że *mały pajac* może się stać *wielkim politykiem*.

— Serdecznie pragnę, abym się omylił — rzekł Michał.

— Żyjesz z Koralią w oczekiwaniu czegoś lepszego? — spytał Fulgencjusz.

— Tak — odparł Lucjan tonem, który silił się uczynić swobodnym. — Koralia miała pocziwego starego kupca, który ją ubóstwiał, ale wylała go za drzwi. Jestem szczęśliwszy od twego brata Filipa, który nie umie dać sobie rady z Marietą — dodał, spoglądając na Józefa Bridau.

— Słowem — rzekł Fulgencjusz — stałeś się obecnie człowiekiem jak drudzy, zrobisz karierę.

— Człowiekiem, który, w jakiegokolwiek sytuacji, dla was zostanie zawsze ten sam — rzekł Lucjan.

Michał i Fulgencjusz spojrzeli po sobie, wymieniając drwiący uśmieszek, który Lucjan spostrzegł i który objaśnił mu śmieszność jego frazesu.

— Koralia jest cudownie piękna — wykrzyknął Bridau. — Cóż by to mógł być za wspaniały portret!

— I dobra — rzekł Lucjan. — Słowo honoru, anielska jest; ale zrób jej portret; weź ją, jeżeli chcesz, za model swojej Wenecjanki, którą starucha przyprowadza senatorowi.

— Każda kobieta, która kocha, jest anielska — rzekł Michał Chrestien.

W tej chwili Raul Natan rzucił się na Lucjana z furią przyjaźni, wziął go za ręce i uściśnął je.

— Mój dobry przyjacielu, nie tylko jesteś wielkim człowiekiem, ale co więcej, masz duszę, co dziś jest rzadsze od geniuszu — rzekł. — Umiesz być przyjacielem. Krótko mówiąc, jestem twój na życie i śmierć, nie zapomnę nigdy tego, coś w tym tygodniu zrobił dla mnie.

Lucjan, uszczęśliwiony pochlebstwami człowieka, którym zajmowała się fama, spojrzał na przyjaciół z Biesiady z odcieniem wyższości. Przyczyną wybuchu Natana stała się użyczona mu przez Merlina korekta artykułu, który miał się ukazać nazajutrz.

— Zgodziłem się napaść na ciebie — rzekł Lucjan do ucha Natana — jedynie pod warunkiem, że sam będę mógł odpowiedzieć. Jestem zawsze twój, możesz na mnie liczyć.

Wrócił do przyjaciół z Biesiady, szczęśliwy z okoliczności usprawiedliwiającej poniekąd frazes, z którego śmiał się Fulgencjusz.

— Niech się pojawi książka d'Artheza, a jestem w tym położeniu, że mogę mu być użytecznym. Ta jedna okoliczność skłoniłaby mnie do pozostania w dzienniku.

— Czy jesteś w nim wolny? — rzekł Michał.

— O tyle, o ile jest nim człowiek nieodzowny — odparł z fałszywą skromnością Lucjan.

Okolo północy biesiadnicy siedli do stołu, zaczęła się orgia. Rozmowy były swobodniejsze niż u Matifata, nikt bowiem nie przypuszczał rozbieżności uczuć między trzema wysłannikami Biesiady a przedstawicielami dzienników. Te młode umysły, zdeprawowane szkołą paradoksu, zaczęły zmagać się z sobą i podrzucać jak piłkę najstrasliwsze aksjomy swoistego kodeksu, który płodziło naówczas dziennikarstwo. Klaudiusz Vignon, który pragnął zachować krytyce jej dostojny charakter, zaczął powstawać przeciw tendencji małych dzienniczków do osobistych wycieczek, mówiąc, że z czasem pisarze dojdą do tego, iż zaczną zagryzać sami siebie wzajem. Lousteau, Merlin i Finot wzięli otwarcie w obronę ten system walki, twierdząc, iż stanie się on jak gdyby stemplem, za pomocą którego będzie się cechować³⁹⁸ talent.

— Wszyscy, którzy oprą się tej próbie, to ludzie naprawdę tędzy — rzekł Lousteau.

— Zresztą — wykrzyknął Merlin — podczas owacji zgotowanych wielkim ludziom trzeba około nich, jak około triumfatorów rzymskich, koncertu zniewag³⁹⁹.

— Ba — rzekł Lucjan — wszyscy, z których się będzie drwiło, gotowi w takim razie uwierzyć w swój triumf.

³⁹⁸ *cechować* — tu: umieszczać na przedmiocie cechę, tj. znak urzędu, fabryki itp.; znakować. [przypis edytorski]

³⁹⁹ *podczas owacji zgotowanych wielkim ludziom trzeba około nich, jak około triumfatorów rzymskich, koncertu zniewag* — za zwyczajnym wodzem, odbywającym w rydwanie triumf w starożytności. Rzymie, stał niewolnik, powtarzający mu: „Pamiętaj, że jesteś (tylko) człowiekiem”. [przypis edytorski]

— Przysiaglby ktoś, że mówisz o sobie! — wykrzyknął Finot.
 — *Faciamus experimentum in anima vili*⁴⁰⁰ — wtrącił Lucjan.
 — I biada tym, których dziennik nie będzie zaczepiał, którym rzuci wieńce w początkach kariery! Ci będą siedzieć jak święci w swoich niszach, nikt nie zwróci na nich uwagi — rzekł Vernou.
 — Powie się im jak Champcenetz⁴⁰¹ margrabiemu de Genlis, gdy zbyt miłośnie pa-trzył na jego żonę: „Idźcie, dobry człowieku, jużście dostali” — rzekł Blondet.
 — We Francji sukces zabija — rzekł Finot. — Jesteśmy zbyt zazdrośni jedni o dru-gich, aby nie chcieć zapomnieć i nie przyczyniać się do zapomnienia triumfów drugiego.
 — To fakt, że jedynie walka daje życie w literaturze — rzekł Klaudiusz Vignon.
 — Jak w naturze, gdzie wynika z dwóch zmagających się zasad — wykrzyknął Ful-gencjusz. — Tryumf jednej nad drugą to śmierć.
 — Jak w polityce — dorzucił Michał Chrestien.
 — Właśnieśmy tego dowiedli — rzekł Lousteau. — Dauriat sprzeda w tym tygodniu dwa tysiące egzemplarzy Natana. Czemu? Bo książka zaczepiona spotyka się z tęgą obroną.
 — W jaki sposób podobny artykuł — rzekł Merlin, wyjmując korektę jutrzejszego dziennika — nie zmusiłby do rozchwytania edycji?
 — Przeczytajcie mi artykuł — rzekł Dauriat. — Jestem księgarzem wszędzie, nawet przy kolacji.
 Merlin odczytał triumfalny artykuł Lucjana, który spotkał się z oklaskiem.
 — Czyż ten artykuł mógłby powstać bez pierwszego? — spytał Lousteau.
 Dauriat wydobył korektę trzeciej krytyki i przeczytał ją. Finot słuchał z uwagą te-go artykułu, przeznaczonego do drugiego numeru jego tygodnika, i, w roli naczelnego redaktora, przesadził w entuzjazmie.
 — Panowie — rzekł — gdyby Bossuet⁴⁰² żył za naszych czasów, nie napisałby inaczej.
 — Bardzo wierzę — rzekł Merlin. — Bossuet byłby dzisiaj dziennikarzem.
 — Za zdrowie Bossueta Drugiego! — rzekł Klaudiusz Vignon, podnosząc szklankę i skłaniając ironicznie głowę przed Lucjanem.
 — Za zdrowie mego Krzysztofa Kolumba! — odparł Lucjan, wznosząc zdrowie Dau-riata.
 — *Bravo!* — krzyknął Natan.
 — Czy to przydomek?⁴⁰³ — spytał złośliwie Merlin, spoglądając na Lucjana i na Finota.
 — Jeżeli pójdziecie tym trybem — rzekł Dauriat — nie będziemy mogli wam na-dążać; panowie — rzekł, wskazując na Matifata i Camusota — przestaną was rozumieć. Żart jest jak wena; skoro ją prąść zbyt cienko, pęka, powiedział Bonaparte.
 — Panowie — rzekł Lousteau — jesteśmy świadkami faktu poważnego, niepojęte-go, niesłuchanego, w istocie zdumiewającego. Czy nie podziwiacie szybkości, z jaką nasz przyjaciel zmienił się z prowincjała w dziennikarza?
 — Był urodzonym dziennikarzem — rzekł Dauriat.
 — Moje dzieci — rzekł wówczas Finot, wstając i trzymając butelkę szampańskiego — wszyscy popieraliśmy i wspomagali początki naszego amfitriona⁴⁰⁴ w karierze, która przeszła wszelkie oczekiwania. W dwa miesiące zdobył sobie ostrogi pięknymi artykułami, których nie potrzebuję wymieniać; proponuję, aby go ochrzcić formalnie dziennikarzem.
 — Dajcie wieniec z róż, aby stwierdzić jego podwójne zwycięstwo — rzekł Bixiou, spoglądając na Koralie.
 Koralia dała znak służącej, która poszła poszukać starych sztucznych kwiatów w pu-delkach aktorki. Ledwie gruba Berenice przyniosła kwiaty, którymi przystroili się po-

⁴⁰⁰ *Faciamus experimentum in anima vili* (łac.) — zrobmy doświadczenie na duszy lichy (daw. o doświadcze-niach na zwierzętach). [przypis edytorski]

⁴⁰¹ *Champcenetz, Louis René Quentin de Richebourg de*, zwany kawalerem de *Champcenetz* (1760–1794) — francuski dziennikarz, znany z dowcipu. [przypis edytorski]

⁴⁰² *Bossuet, Jacques-Bénigne* (1627–1704) — francuski biskup, kaznodzieja i pisarz, teoretyk absolutyzmu, wy-bitny mówca. [przypis edytorski]

⁴⁰³ *Czy to przydomek?* — włoskie słowo *bravo*, jako wykrzyknik oznaczające „doskonałe! świetnie!”, jako rze-czownik oznacza „najemny bandyta, zbir”. [przypis edytorski]

⁴⁰⁴ *amfitrion* (daw.) — gościnny pan domu, gospodarz wydający ucztę a. fundator przyjęcia; od imienia króla Tyrynsu i Teb w mit. gr. [przypis edytorski]

cieszenie co najpijański, w mig uwito wieniec z róż. Finot, jako arcykapłan, wylał kilka kropel szampańskiego na piękną jasną głowę Lucjana, wymawiając z przekomiczną powagą sakramentalne słowa.

— W imię Stempla, Kaucji i Grzywny, ja ciebie chrzczę dziennikarzem. Niechaj artykuły będą ci lekkie.

— I płacone bez odliczania białego! — rzekł Merlin.

W tej chwili Lucjan ujrzał zasmucone twarze Michała Chrestien, Józefa Bridau i Fulgencjusza Ridal, którzy wzięli kapelusze i wyszli wśród wrzawy złorzeczeń.

— A to mi osobliwi goście! — rzekł Merlin.

— Fulgencjusz był dobry chłopiec — dodał Lousteau — ale *oni* przewrócili mu w głowie moralami.

— Kto? — spytał Klaudiusz Vignon.

— Młodzi ludzie pełni namaszczenia, którzy zbierają się w tinglu⁴⁰⁵ filozoficznym i religijnym przy ulicy des Quatre-Vents i trapią się ogólnym sensem ludzkości — rzekł Blondet.

— Och, och, och!

— ...Starają się dociec, czy obraca się ona dokoła siebie — ciągnął dalej Blondet — czy też posuwa się naprzód. Byli w wielkim kłopotcie między linią prostą a krzywą, trójkąt biblijny wydał im się nonsensem, wówczas zjawił się między nimi jakiś prorok, który oświadczył się za spiralą.

— Ostatecznie, jeżeli to głupstwo, trzeba przyznać, iż bywają głupstwa niebezpieczniejsze — wykrzyknął Lucjan, który chciał bronić Biesiady.

— Bierzesz tego rodzaju teorie za czcze słowa — rzekł Felicjan Vernou — ale przychodzi chwila, w której zmieniają się one w strzały z fuzji albo w gilotynę.

— Dopiero znajdując się w punkcie — rzekł Bixiou — szukania myśli opatrnościowej szampańskiego wina, sensu humanitarnego pantalonów ze strzemiączkami i małego zwierzątka, które porusza światem. Zbierają z ziemi upadłych wielkich ludzi, jak Vico, Saint-Simon, Fourier⁴⁰⁶. Bardzo się boję, aby nie zawrócił w głowie pocziwemu Józskowi Bridau.

— Oni są przyczyną — rzekł Lousteau — że Bianchon, mój krajan i kolega, boczy się na mnie od jakiegoś czasu...

— Czy tam uczą gimnastyki i ortopedii ducha? — spytał Merlin.

— Możliwe — odparł Finot — skoro Bianchon wziął się na ich facecje⁴⁰⁷.

— Ba — rzekł Lousteau — i tak będzie wielkim lekarzem!

— Wszak ich widomą głową jest niejaki d'Arthez — rzekł Natan — ów niepozorny młody człowiek, który ma połknąć nas wszystkich?

— To geniusz! — zawołał Lucjan.

— Wolę kieliszek kseresu⁴⁰⁸ — rzekł z uśmiechem Klaudiusz Vignon.

W tej chwili każdy objaśniał sąsiadowi własny charakter. Kiedy inteligentni ludzie dojdą do tego, iż chcą eksplikować⁴⁰⁹ samych siebie, dawać klucz do swego serca, pewne jest, że rumak pijaństwa unosi ich w pełnym galopie. W godzinę potem biesiadnicy, stawszy się najlepszymi przyjaciółmi, mianowali się wielkimi ludźmi, ludźmi mocnymi, do których należy przyszłość. Lucjan, w roli gospodarza, zachował jeszcze nieco przytomności: słuchał sofizmatów⁴¹⁰, które wniknęły wewnątrz i dokończyły dzieła demoralizacji.

— Moje dzieci — rzekł Finot — stronnictwo liberalne musi ożywić swą polemikę; w tej chwili nie ma nic do wystrzelenia przeciw rządowi, a pojmujecie, w jakim kło-

Pijaństwo

⁴⁰⁵tingel (z niem., daw.) — podrzędna kawiarnia lub restauracja, miejsce występów piosenkarzy, tancerzy, striptizerek; także: tingel-tangel. [przypis edytorski]

⁴⁰⁶Vico, Saint-Simon, Fourier — Giambattista Vico (1668–1744): włoski filozof, historyzof i myśliciel społeczny, prekursor nowoczesnego historyzmu i teorii rozwoju społecznego; Henri de Saint-Simon (1760–1825): francuski pisarz i filozof, socjalista utopijny; Charles Fourier (1772–1837): francuski socjalista utopijny. [przypis edytorski]

⁴⁰⁷facecja (daw.) — żart, dowcip, anegdota. [przypis edytorski]

⁴⁰⁸kseres (ang. sherry) — białe, wzmocnione wino hiszpańskie, zawierające 16–20% alkoholu, pochodzące z Andaluzji, z rejonu Jerez de la Frontera. [przypis edytorski]

⁴⁰⁹eksplikować (daw., z łac.) — tłumaczyć, wyjaśniać. [przypis edytorski]

⁴¹⁰sofizmat — pozornie poprawne rozumowanie rozmyślnie dowodzące nieprawdziwej tezy, w rzeczywistości opierające się na zatajonym błędzie. [przypis edytorski]

pocie znajduje się wówczas opozycja. Kto z was chce napisać broszurę, w której będzie żądał przywrócenia praw starszeństwa, abyśmy mogli podnieść krzyk przeciw tajemnym zamysłom dworu? Broszura dobrze płatna.

— Ja — rzekł Hektor Merlin — to wchodzi w zakres moich przekonań.

— Twoje stronnictwo powiedziałoby, że je kompromitujesz — odparł Finot. — Felicianie, kropnij ty broszurę. Dauriat wyda, zachowamy tajemnicę.

— Ile? — spytał Vernou.

— Sześćset franków! Podpiszesz „hrabia C...”

— Stoi! — rzekł Vernou.

— Chcecie zatem wznieść kaczkę do wyżyn polityki? — spytał Lousteau.

— To sprawa Chabot⁴¹¹ przeniesiona w sferę idei — rzekł Finot. — Wmawia się w rząd intencje i judzi się przeciw niemu opinie.

— Nigdy nie potrafię wyjść ze zdziwienia, patrząc, że rząd pozostawia ster myśli hultajom takim jak my — rzekł Klaudiusz Vignon.

— Jeżeli ministerium popełni to głupstwo, aby zstąpić w arenę — rzekł Finot — uderzymy w surmy wojenne; jeżeli się zacieknie, rozjążymy kwestię, pchniemy ją między masy. Dziennik nie ryzykuje nic, gdy władza ma zawsze wszystko do stracenia.

— Francja pozostanie bezsilna do dnia, w którym dziennik będzie wyjęty spod praw — rzekł Klaudiusz Vignon. — Robicie z dnia na dzień postępy — rzekł do Finota. — Staniecie się jezuitami, z tą różnicą, że bez wiary, bez przewodniej myśli i jedności.

Wszyscy skierowali się do zielonych stolików. Brzask świtu przyćmił niebawem płonące świece.

— Twoi przyjaciele z ulicy des Quatre-Vents byli smutni jak skazańcy — rzekła Koralia do kochanka.

— Jak sędziowie — odparł poeta.

— Oho! Sędziowie są zabawniejsi, to numery! — odparła Koralia.

Miesiąc spłynął Lucjanowi wśród kolacji, obiadów, śniadań, wieczorów; nieprzeparty prąd wciągnął go w wir łatwych prac i uciech. Przestał rachować. Potęga rachunku pośród komplikacji życia to znanie woli, której poeci, ludzie słabi lub powierzchowni, nie potrafią nigdy wykrzesać. Jak większość dziennikarzy, Lucjan żył z dnia na dzień, wydając w miarę, jak zarabiał, nie myśląc o stałych ciężarach paryskiego życia, tak miazdzących dla cyganów. Strój jego i wzięcie rywalizowały z najsłynniejszymi dandysami. Koralia lubiła, jak wszyscy fanatycy, stroić swoje bożyszcze; rujnowała się, aby dać ukochanemu poecie ów wytworny rynsztunek elegantów, którego tak pożyłkował podczas pierwszej przechadzki w Tuileries. Miał przeto cudowne laski, zachwycającą lornetkę, diamentowe spinki, pierścionki do rannych krawatów, sygnety, olśniewające kamizelki wszystkich odcieni. Niebawem zyskał reputację dandysa. W dniu, w którym udał się na zaproszenie niemieckiego dyplomaty, metamorfoza jego wzbudziła tajoną zazdrość młodych ludzi, którzy dotąd dzierżyli berło w królestwie *fashionu*⁴¹² jak de Marsay, Vandenesse, Ajuda-Pinto, Maksym de Trailles, Rastignac, książę de Maufrigneuse, Beaudenord, Manerville etc.⁴¹³ Światowcy zazdrośni są między sobą niegorzej od kobiet. Hrabina de Montcornet i margrabina d'Espard, na których cześć był ów obiad, wzięły Lucjana między siebie i zasypały go uprzejmościami.

— Czemu przestał pan pokazywać się w świecie? — spytała margrabina. — Miał pan wszystkie warunki, aby go rozrywano, fetowano... Muszę się wyklócić! Należała mi się od pana wizyta i dotąd czekam na nią. Kiedyś widziałam pana w Operze, nie raczyłeś odwiedzić mnie ani nawet się uklonić...

— Kuzynka pani udzieliła mi odprawy w sposób tak niedwuznaczny...

— Nie zna pan kobiet — przerwała pani d'Espard. — Zraniłeś anielskie serce, duszę najszlachetniejszą, jaką znam. Nie wie pan, co Luiza chciała uczynić dla pana i jak troskliwie obmyśliła plan. Och! Byłoby się jej powiodło — dodała na nieme zaprzeczenie

⁴¹¹Chabot, François (1759–1794) — francuski polityk czasów rewolucji 1789, członek Konwentu Narodowego; w lecie 1793 otrzymał wielkie łapówki od akcjonariuszy Kompanii Indyjskiej w zamian za sfałszowanie dokumentów, za część pieniędzy zawarł fikcyjne małżeństwo z córką bogatego bankiera, żeby usprawiedliwić nagłe wzbogacenie się; aresztowany i zgilotynowany. [przypis edytorski]

⁴¹²fashion (ang.) — moda, styl. [przypis edytorski]

⁴¹³etc. (łac.) — skrót od *et caetera*: i tak dalej. [przypis edytorski]

Lucjana. — Czyż mąż, który obecnie umarł, jak mu się to dawno należało, z niestrawności, nie miał jej wcześniej czy później uczynić wolną? Czy wyobraża pan sobie, że miała ochotę zostać panią Chardon? Tytuł hrabiny de Rubempré wart był, aby na niego zapracować. Widzi pan, miłość to wielka próżność, która, zwłaszcza w małżeństwie, winna być w zgodzie z innymi próżnościami. Mogłabym pana kochać do szaleństwa, to znaczy na tyle, aby wyjść za pana, a i tak byłoby mi ciężko nazywać się panią Chardon. Przyznaj pan! A teraz widział pan trudności życia w Paryżu, wiesz, ilu trzeba kołować, aby dojść do celu; otóż niech pan zrozumie, że, jak dla nieznanego chłopca bez majątku, Luiza marzyła o faworze niemal fantastycznym, nie mogła tedy niczego zaniedbać. Panu nie brak sprytu, ale my, kiedy kochamy, mamy go więcej niż najsprytniejszy mężczyzna. Luiza chciała użyć tego pociesznego Châteleta... Zawdzięczam panu wiele przyjemności, pańskie koncepty na niego ubawiły mnie serdecznie! — wtrąciła.

Lucjan nie wiedział, co myśleć. Wtajemniczony w perfidie dziennikarstwa, nie znalazł jeszcze makiawelizmu *świata*, toteż mimo całej przenikliwości czekały go twarde lekcje.

— Jak to, pani — rzekł poeta, zaciekawiony tym zwrotem — alboż pani nie popiera Czapli?

— Ależ rozumie pan, że w świecie trzeba nam się cackać z najokrutniejszymi wrogami, udawać, że nas bawi towarzystwo nudziarzy, i często trzeba nam poświęcić, na pozór, przyjaciół, aby im tym lepiej służyć. Taki z pana jeszcze nowicjusz? W jaki sposób pan, który chcesz być pisarzem, możesz nie znać najpotoczniejszych kłamstw świata? Jeżeli moja kuzynka pozornie poświęciła pana dla Czapli, czy to nie było konieczne, aby wyzyskać ten stosunek na pańską korzyść? To figura bardzo dobrze widziana w obecnym ministerium! Aby panu zabezpieczyć możliwość pojednania, wytłumaczyliśmy Châteletowi, iż do pewnego stopnia pańskie ataki są dlań korzystne. Rząd postarał się wynagrodzić baronowi pańskie prześladowania. Toż des Lupeaulx powiedział kiedyś ministrom: „Podczas gdy dzienniki ośmieszają Châteleta, zostawiają w spokoju ministerium!”

— Pan Blondet zrobił mi nadzieję, że będę miała przyjemność widzieć pana u siebie — rzekła hrabina de Montcornet, korzystając z chwili, w której margrabina zostawiła Lucjana refleksjom. — Spotka pan kilku artystów, pisarzy oraz kobietę, która pała najwyższym pragnieniem poznania pana, pannę des Touches, jeden z talentów rzadkich wśród naszej płci. Zapewne zechce pan tam bywać. Panna des Touches, Kamil Maupin, jeśli pan woli, osoba bardzo bogata, posiada jeden z najwybitniejszych salonów w Paryżu: powiedziano jej, że pan jest równie piękny, jak utalentowany, umiera z ochoty poznania pana.

Lucjanowi nie pozostało nic, jak tylko rozpuścić się w podziękowaniach; równocześnie obrzucił Blondeta spojrzeniem zawiści. Między kobietą typu i stanowiska hrabiny de Montcornet a Koralia było tyleż różnicy, co między Koralia a dziewczyną z ulicy. Hrabina, osoba piękna, młoda i inteligentna, posiadała jako osobliwą cechę białosć, właściwą kobietom Północy; matka jej była z domu księżniczka Szerbełow; toteż ambasador rozwijał dla niej najwyszukańszą uprzejmość.

Margrabina kończyła właśnie niedbale skrzydełko kurczęcia.

— Biedna Luiza — rzekła do Lucjana — ona jest panu tak życzliwa! Byłam powiernicą przyszłości, jaką dla pana marzyła; byłaby wiele zniosła, ale jakże pan ją zranił, odsyłając jej listy! Możemy przebaczyć okrucieństwa; zawsze są one dowodem pamięci; ale obojętność!... Obojętność jest jak lód podbiegunowy, ścina wszystko. No, przyznaj pan, straciłeś prawdziwe skarby z własnej winy. Po co zrywać? Gdyby nawet pańska ambicja ucierpiała, czyż nie chodzi tu o przyszłość, o nazwisko, które ci trzeba zdobyć? Luiza myślała o tym wszystkim.

— Czemuż nic nie mówiła? — odparł Lucjan.

— Ech! Boże, to ja poradziłam jej, aby pana nie wciągać do sekretu. Ot, mówiąc między nami, kiedy widziałam pana tak mało obytym w świecie, miałam obawy: lękałam się, aby pańskie niedoświadczenie, pańska nieopatrna gorączka nie zniszczyły albo nie spaczyły jej obliczeń a naszych planów. Czy może pan dziś przypomnieć sobie samego siebie? Przyznaj pan: oglądając dziś swego sobowtóra, byłbyś mojego zdania. Nie jest pan podobny do siebie. Oto jedyny błąd, jakiśmy popełnili. Ale czyż znajdzie się jeden człowiek wśród tysiąca, który by z takim talentem jednoczył tak cudowną zdolność dostrojenia się do właściwego tonu? Nie przypuszczałam, abyś pan był tak zdumiewającym

wyjątkiem. Przeobraziłeś się tak szybko, wtajemniczyłeś się tak łatwo w sekrety Paryża, że nie poznałam pana po prostu w Lasku Bulońskim miesiąc temu.

Lucjan słuchał wielkiej damy z niewymowną przyjemnością; pochlebnym słówkom towarzyszyła minka tak ufna, tak otwarta, naiwna, pani d'Espard zdawała się mu tak serdecznie życzliwa, że uwierzył w jakiś cud, podobny cudowi pierwszego wieczora w Panorama-Dramatique. Od owego szczęśliwego dnia cały świat uśmiechał się doń; Lucjan przypisywał swojej młodości moc talizmanu, zapragnął tedy wypróbować margrabinę, przyrzekając sobie, że się nie da wywieść w pole.

— Jakież były, proszę pani, te plany, które dziś stały się chimera⁴¹⁴?

— Luiza chciała wyjednać u króla dekret zezwalający panu nosić nazwisko i tytuł rodziny de Rubempré. Chciała pogrzebać Chardona. Ten pierwszy sukces, tak łatwy wówczas, a który dziś przekonania pańskie czynią prawie niemożliwym, przedstawiał dla pana całą fortunę. Będzie pan traktował te rzeczy jako urojenia i drobiazgi; ale my znamy życie i wiemy, jak rzetelną wartość posiada tytuł hrabiowski, o ile stroi wytwornego, czarującego młodego człowieka. Każ pan oznajmić wobec kilku młodych milionowych Angielek albo w ogóle wobec jakiejś bogatej herytiery⁴¹⁵ pana Chardona albo hrabiego de Rubempré, wywołasz dwa wręcz przeciwne odruchy. Choćby nawet tonął w długach, hrabia zawsze znajdzie serca otwarte, uroda jego stanie się niby diament w bogatej oprawie. Na pana Chardona nie zwrócono by nawet uwagi. Nie stworzyliśmy tych pojęć, spotykamy się z nimi wszędzie, nawet wśród mieszczaństwa. W tej chwili depcze pan swój los. Patrz na tego przystojnego młodego człowieka, wicehrabiego Feliksa de Vandenesse: jest jednym z dwu osobistych sekretarzy króla. Król dosyć lubi inteligentnych młodych ludzi; ten chłopiec przybył z zapadłej prowincji z walizką nie o wiele cięższą niż pańska; pan masz tysiąc razy więcej talentu, ale czy należysz do wielkiej rodziny? Czy masz nazwisko? Zna pan referendarza des Lupeaulx; nazwisko jego przypomina pańskie, zwie się Chardin; ale nie sprzedałby za milion swego folwarczku des Lupeaulx, zostanie kiedyś hrabią des Lupeaulx, a wnuk jego będzie wielkim panem. Jeżeli dalej zechcesz postępować fałszywą drogą, na którą wszedłeś, jesteś zgubiony. Patrz pan, o ile pan Blondet okazał się rozsądniejszy! Pracuje w dzienniku, który wspiera władzę, jest dobrze widziany przez wpływowe sfery, może bez niebezpieczeństwa bratać się z liberałami, jest *dobrze myślący*; toteż wcześniej lub później zrobi karierę; umiał sobie wybrać przekonania i protektorów. Ta młoda osoba, pańska sąsiadka, jest z domu de Troisville, ma trzech parów Francji i dwóch posłów w rodzinie; wyszła bogato za męża dzięki nazwisku; prowadzi otwarty dom, będzie miała wpływy i poruszy cały polityczny świat dla swego Emilka. Do czego prowadzi pana taka Koralia? Do tego, iż za kilka lat znajdziesz się przywalony długami, wyssany... Źle pan lokujesz swą miłość i źle kierujesz życiem. Oto co mówiła mi kiedyś w Operze kobieta, nad którą podoba się panu znęcać. Ubolewając nad złym użyciem, jaki czynisz z talentu i młodości, myślała nie o sobie, ale o panu.

— Ach, gdyby to było prawdą! — wykrzyknął Lucjan.

— Jakież interes przypuszcza pan w kłamstwie? — rzekła margrabina, obrzucając Lucjana zimnym i wyniosłym spojrzeniem, które na nowo grążyło go w nicości.

Lucjan, zmieszany, nie podjął już rozmowy, margrabina, obrażona, nie odezwała się więcej. Był dotknięty, ale uznał, iż popełnił niezręczność, i postanowił ją naprawić. Zwrócił się do pani de Montcornet i zaczął mówić o Blondecie, wysławiając talent młodego pisarza. Spotkał się z łaskawym przyjęciem hrabiny, która na znak margrabiny d'Espard zaprosiła go na swój najbliższy wieczór, pytając, czy nie ujrzałby z przyjemnością pani de Bargeton, która mimo żaloby zgodziłaby się może przyjść: nie chodzi o wielki raut, ale o małe zebranie, ot, między przyjaciółmi.

— Pani margrabina twierdzi, że wszystkie winy są po mojej stronie, kuzynce jej zatem przystoi okazać się pobłażliwą.

— Niech pan powstrzyma niedorzeczne napaści, których jest przedmiotem i które łączą jej nazwisko z człowiekiem dla niej niesympatycznym, a niebawem podpiszecie pokój. Pan mniemał podobno, że ona zaparła się pana: co do mnie, widziałam ją bardzo

Pozycja społeczna

⁴¹⁴*Chimera* (mit. gr.) — ziejący ogniem potwór z głową lwa, ciałem kozy i ogonem węża; przenośnie: urojenie, mrzonka. [przypis edytorski]

⁴¹⁵*herytier*a (daw.) — posażna panna, dziedziczka znacznego majątku. [przypis edytorski]

zasmuconą tym, że pan ją rzucił. Czy to prawda, że ona opuściła swoje strony z panem i dla pana?

Lucjan spoglądał na hrabinę z uśmiechem, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Jak pan mógł nie ufać kobiecie, która tyle dla pana poświęciła? A zresztą osoba tak piękna i rozumna jak ona miała prawo żądać, aby ją kochano *mimo wszystko*. Pani Bargeton kochała pana nie tyle dla pana samego, ile dla twego talentu. Niech mi pan wierzy, talent to dla kobiety więcej niż uroda — rzekła, spoglądając ukradkiem na Emila Blondeta.

Lucjan poznał w pałacu ambasadora różnicę, jakie istnieją między wielkim światem a wyjątkowym światkiem, w którym żył od pewnego czasu. Te dwa przepychy nie miały z sobą żadnego podobieństwa, żadnego punktu styczności. Wysokość i rozkład pokojów w tym apartamencie, jednym z najbogatszych w Dzielnicy Saint-Germain, stare złocenia w salonach, wykuint ozdób, poważne bogactwo szczegółów, wszystko było mu nowe, obce; ale, ostrzelany ze zbytkiem, nie okazał zdziwienia. Zachowanie jego było równie odległe od pewności siebie i arogancji, jak od uniżoności i służalstwa. Poeta zrobił dobre wrażenie i podobał się tym, którzy nie mieli racji być mu nieprzyjaźni; jedynie młodszy ludzie, w których to nagle pojawienie się poety w wielkim świecie, powodzenie jego i uroda z góry budziły zazdrość, patrzyli nań niechętnie. Wstając od stołu, podał ramię pani d'Espard, która je przyjęła. Widząc Lucjana przedmiotem względów pani d'Espard, Rastignac podszedł doń, powołując się na swój charakter krajana i przypominając pierwsze spotkanie u pani du Val-Noble. Młody szlachcic okazał chęć zbliżenia z prowincjonalnym wielkim człowiekiem, zapraszając, aby przyszedł doń którego ranka na śniadanie, i ofiarowując się zapoznać go ze złotą młodzieżą. Lucjan przyjął.

— Kochany Blondet również będzie łaskaw — rzekł Rastignac.

Ambasador przyłączył się do grupy utworzonej przez margrabiego de Ronquerolles, księcia de Rhétoré, de Marsaya, generała de Montriveau, Rastignaca i Lucjana.

— Bardzo dobrze — rzekł do Lucjana ze swą niemiecką dobroduszością, pod którą ukrywał niebezpieczną bystrość spojrzenia — zawarł pan pokój z margrabiną d'Espard, jest panem zachwycony, a wiemy wszyscy — dodał, spoglądając po mężczyznach wkoło — że niełatwo jest w swoich gustach.

— Margrabina ubóstwia dowcip — rzekł Rastignac — a mój znakomity krajana ma go na sprzedaż.

— Niebawem sam spostrzeże, jaki zły handel uprawia — rzekł żywo Blondet — przyjdzie do nas, rychło ujrzymy go w swoim obozie.

Wszczął się dokoła Lucjana cały chór na ten temat. Ludzie poważni rzucili despotycznym tonem kilka głębokich zdań, młodzi pokpiwali sobie z liberałów.

— Zagrał, jestem pewny — rzekł Blondet — w cetno i lichu⁴¹⁶, prawica czy lewica, ale teraz będzie miał czas wybrać.

Lucjan zaczął się śmiać, przypominając sobie scenę ze Stefanem w Ogrodzie Luksemburskim.

— Wziął sobie za przewodnika — ciągnął Blondet — niejakiego Lousteau, zbira brukowych dzienników, który widzi jedynie pięć franków w każdej kolumnie, którego polityka zasadza się na powrót Napoleona i, co jeszcze głupsze, we wdzięczność i patriotyzm lewicy. Jako Rubempré, Lucjan musi mieć skłonności arystokratyczne; jako dziennikarz, powinien być za władzą; inaczej nigdy nie zostanie Rubemprém ani sekretarzem ambasady.

Lucjan, któremu dyplomata podał kartę zapraszającą do wista⁴¹⁷, obudził zdumienie, wyznając, iż nie zna tej gry.

— Mój drogi — szepnął mu Rastignac — przyjdź pan wcześniej do mnie w dniu, w którym zechcesz zjeść liche śniadanie, nauczę cię wista; zniesławiasz nasze królewskie miasto Angoulême! Powtórzę ci słówko pana de Talleyrand, który rzekł, iż kto nie posiada tej gry, gotuje sobie bardzo smutną starość.

Oznajmiono referendarza des Lupeaulx, beniaminka rządu na sekretnych usługach ministerstwa, sprytnego i ambitnego człowieka, który się wciskał wszędzie. Przywitał

⁴¹⁶*cetno i lichu* — dawna gra w zgadywanie, czy druga osoba trzyma w dłoni parzystą (cetno), czy nieparzystą (lichu) liczbę przedmiotów. [przypis edytorski]

⁴¹⁷*wist* — gra karciana dla czterech osób, popularna w XVIII i XIX w., poprzednik brydża. [przypis edytorski]

Lucjana, z którym spotkał się już u pani du Val-Noble, a powitanie jego miało odcień przyjaźni, zdolnej oszukać Lucjana. Zastając tutaj młodego dziennikarza, człowiek ten, który w polityce starał się być przyjacielem całego świata, aby nigdy nie wpaść, zrozumiał, iż Lucjan zdobędzie w świecie tyleż sukcesu, co w literaturze. Odgadł w poecie ambitnego człowieka i zasypał go uprzejmościami, oświadczeniami przyjaźni, zainteresowania, nawiązując od razu tym sposobem ściślejszą znajomość, a oszałamiając Lucjana deszczem obietnic i słów. Des Lupeaulx miał za zasadę dobrze znać tych, których się chciał pozbyć, kiedy widział w nich rywali. Jakoż Lucjan spotkał się z dobrym przyjęciem u wszystkich. Zrozumiał, co zawdzięcza księciu de Rhétoré, ambasadorowi, pani d'Espard, pani de Montcornet. Nim się pożegnał, podszedł porozmawiać z każdą z tych pań, rozwijając wszystkie uroki dowcipu.

— Co za pretensjonalność! — rzekł des Lupeaulx do margrabiny, gdy Lucjan wyszedł.

— Zepsuje się, nim dojrzeje — rzekł de Marsay do margrabiny z uśmiechem. — Musicie panie mieć jakieś ukryte pobudki, aby mu tak przewracać w głowie.

Lucjan zastał Koralie w dziedzińcu, ukrytą w powozie; przyjechała, aby czekać na niego; pamięć jej wzruszyła go. Opowiedział Koralii wieczór. Ku zdziwieniu Lucjana aktorka pochwaliła nowe idee, które błękały się już po jego głowie, i zachęciła go mocno, aby się zaciągnął pod sztandar ministerialny.

— Z liberałami możesz oberwać tylko guza, konspirują, zabili księcia de Berry⁴¹⁸. Czy obalą kiedy rząd? Nigdy! Przez nich nie dojdiesz do niczego, gdy po przeciwnej stronie zostaniesz hrabią. Możesz oddać usługi, zostać parem Francji, ożenić się bogato. Bądź rojalistą. Zresztą to należy do szyku — rzekła, rzucając słowo, które dla niej stanowiło najwyższy argument. — Val-Noble, u której byłam na obiedzie, powiedziała mi, że Teodor Gaillard zakłada stanowczo dziennik rojalistyczny „Jutrzenka”, aby odpowiadać na ataki waszego świstka i „Zwierciadła”⁴¹⁹. Wedle niego, pan de Villele i jego ludzie znajdą się w gabinecie przed upływem roku. Staraj się skorzystać z tej zmiany, stając przy nich wówczas, gdy jeszcze są niczym; ale nie mów nic Stefanowi ani innym: byłiby zdolni wypłacać ci jakąś sztuczkę.

W tydzień potem Lucjan stawiał się u pani de Montcornet, gdzie doświadczył najgwałtowniejszego wyruszenia, widząc kobietę, którą niegdyś tak kochał, a której jego żarciki przeszły serce. Luiza także się przeobraziła! Stała się znowu tym, czym byłaby bez wpływów prowincji: wielką damą. Żaloba jej odznaczała się wdziękiem i wyszukaniem, które nie dowodziły zbyt smutnego wdowieństwa. Lucjan mniemał, iż odgrywa pewną rolę w tej zalotności, i nie mylił się; ale pokosztował już, niby Sinobrody, świeżego mięsa i przez cały ten wieczór wahał się między piękną, zakochaną, rozkoszną Koralie a chudą, wyniosłą, okrutną Luizą. Nie umiał się zdobyć na to, aby poświęcić aktorkę dla wielkiej damy. Pani de Bargeton, która widząc Lucjana pięknym i pełnym uroku, odgrzebała w sercu dawną miłość, czekała na tę ofiarę przez cały wieczór; ale wszystkie kuszące słowa, zalotne minki spaliły na panewce; toteż opuściła salon z nieodwołalną żądzą zemsty.

— I cóż, drogi Lucjanie — rzekła ze szlachetną i pełną wdzięku dobrocią — miałeś być moją dumą, tymczasem mnie obrałeś za pierwszą ofiarę. Przebaczyłam ci, moje dziecko, myśląc, że jest jeszcze resztką miłości w takiej zemście.

Pani de Bargeton wzmacniała swą pozycję tym zdaniem, któremu towarzyszyło iście królewskie spojrzenie. Lucjan, który tysiącokrotnie wierzył w swe prawa do zemsty, znalazł się w roli winowajcy. Nie było mowy ani o jego straszliwym liście pożegnalnym, ani o pobudkach zerwania. Wielkie damy mają cudowny talent zmniejszania swych błędów, obracając je w żart. Mogą i umieją wszystko wymazać jednym uśmiechem, udanym zdziwieniem. Nie przypominają sobie nic, tłumaczą wszystko, dziwią się, pytają, komentują, amplifikują⁴²⁰, łają i w końcu osiagają to, iż wywabiają swą winę tak, jak się wywabia

Dama

⁴¹⁸ Karol Ferdynand d'Artois, książę de Berry (1778–1820) — syn przyszłego króla Karola X; 13 lutego 1820 został zaatakowany i śmiertelnie ranny przez bonapartystowskiego robotnika Louvela, kiedy opuszczał budynek paryskiej opery. [przypis edytorski]

⁴¹⁹ „Zwierciadło widowisk, literatury, obyczajów i sztuki” — „Le Miroir des spectacles, des lettres, des moeurs et des arts”, francuski liberalny dziennik ilustrowany, wydawany w Paryżu w l. 1821–1823. [przypis edytorski]

⁴²⁰ amplifikować (daw.) — przesadzać, przerysowywać w opowiadaniu. [przypis edytorski]

plamę, lekko przepierając ją w wodzie z mydłem; widziałeś, że są czarne, stają się w jednej chwili białe i niewinne; ty sam czujesz się szczęśliwy, iż nie obwiniono cię o jakąś zbrodnię nie do odpuszczenia. Przez chwilę Lucjan i Luiza odzyskali złudzenia, mówili językiem przyjaźni, ale Lucjan, pijany nasyconą próżnością, pijany Koralią, która, powiedzmy to, czyniła mu życie łatwym, nie umiał odpowiedzieć jasno na to pytanie, które Luiza podkreśliła westchnieniem: „Czy jesteś szczęśliwy?”. Melancholijne „nie” byłoby się stało fortuną Lucjana. Poeta uznał za właściwe rozwieść się nad stosunkiem do Koralii; podniósł bezinteresowność jej uczucia, słowem, wszystkie brednie zadurzonego mężczyzny. Pani de Bargeton zagryzła wargi. Kości padły. Pani d’Espard wraz z panią de Montcornet podeszła do kuzynki. Lucjan uczył się, można rzec, bohaterem wieczoru, te trzy kobiety otoczyły go względami, uprzejmościami, czułościami, w które zamotały go z nieskończoną sztuką. Powodzenie Lucjana w tym wielkim i błyszczącym świecie było tedy nie mniejsze niż w dziennikarstwie. Piękna panna des Touches, tak sławna pod nazwiskiem Kamila Maupina, której panie d’Espard i de Bargeton przedstawiły Lucjana, zaprosiła go na którąś środę na obiad; słynna już uroda poety wyraźnie uczyniła na niej żywe wrażenie. Lucjan starał się dowieść, że inteligencja jego przewyższa jeszcze urodę. Panna des Touches wyraziła swój zachwyt z tą szczerością i z tym ujmującym zapalem, na który biorą się ci, co nie znają do gruntu paryskiego życia, gdzie przesyt czyni ludzi tak spragnionymi wszelkiej nowości.

— Gdybym się jej podobał tak jak ona mnie — rzekł Lucjan do Rastignaca i de Marsaya — skrócilibyśmy fabułę romansu...

— Zbyt dobrze umiecie oboje je pisać, aby je z sobą przeżywać naprawdę — odparł Rastignac. — Czyż para autorów może naprawdę się kochać? Zawsze przychodzi chwila, w której zbierają wzajem z siebie wzorki⁴²¹...

Artysta, Miłość

— Prześniłbyś pan wcale niezgorszy sen na jawie — dodał, śmiejąc się de Marsay. — Ta urocza dziewczyna ma trzydzieści lat, to prawda, ale ma blisko osiemdziesiąt tysięcy franków renty. Jest cudownie kapryśna, a typ jej piękności zapowiada długie trwanie. Koralia jest gąską, drogi panie, dobra, aby się „postawić” z początku, bo nie wypada, aby ładny chłopiec był bez kochanki; ale jeżeli nie zaczepisz się o kogoś z towarzystwa, aktorka zaszkodzi ci na dłuższą metę. No dalej, młodzieńcze, wyparuj Contiego, który ma właśnie śpiewać z Kamilem Maupinem. Od najdawniejszych czasów poezja miała krok przed muzyką.

Skoro Lucjan usłyszał pannę des Touches i Contiego, nadzieje jego rozpięchły się.

— Conti za dobrze śpiewa — rzekł do pana des Lupeaulx.

Lucjan wrócił do pani de Bargeton; pociągnęła go do salonu, gdzie zastał margrabinę d’Espard.

— No i cóż, nie zechcesz zająć się nim? — rzekła pani de Bargeton do kuzynki.

— Ależ niech pan Chardon — rzekła margrabina tonem zarazem lekceważącym i pełnym pokusy — postawi się tak, aby można było popierać go bez ujmy. Jeżeli chce uzyskać dekret, który mu pozwoli opuścić nędzne nazwisko ojca a przybrać macierzyste, czyż nie powinien bodaj należeć do nas?

— Nim miną dwa miesiące, ułożę wszystko — rzekł Lucjan.

— Zatem — rzekła margrabina — poproszę mego ojca i wuja, którzy pełnią służbę przy królu, aby wspomnieli kanclerzowi o panu.

Dyplomata oraz te dwie kobiety dobrze odgadli czuły punkt Lucjana. Poeta, oczarowany arystokratycznym blaskiem, odczuwał męki, słysząc, jak go zwą panem Chardonem, gdy naokoło widział w salonach jedynie ludzi noszących pięknie dźwięczące nazwiska, poprawne w tytuł. To cierpienie powtarzało się wszędzie, gdzie się pojawiał. Równą męką było dlań wracać do zajęć zawodowych, skąpawszy się poprzedniego dnia w wielkim świecie, gdzie dzięki pojazdowi i służbie Koralii prezentował się przyzwoicie. Nauczył się jeździć konno, aby galopować przy powozie pani d’Espard, panny des Touches i hrabiny de Montcornet: przywilej, którego tak zazdrościł w pierwszych dniach pobytu w Paryżu. Finot chętnie dostarczył swemu cennemu współpracownikowi wolnego wstępu do Opery, gdzie Lucjan stracił wiele wieczorów, ale odtąd liczył się do specjalnego świata

⁴²¹zbierać wzorki (z kogoś) (daw. pot.) — dopatrywać się czyichś wad, niestosowności, drobniagowo krytykować, obgadywać. [przypis edytorski]

elegantów tej epoki. Poeta, oddając Rastignacowi i złotej młodzieży wspaniałe śniadanie, popełnił ten błąd, iż wydał je u Koralii; był zbyt młody, zbyt poeta i zbyt naiwny, aby znać pewne odcienie: aktorka, wyborna dziewczyna, ale bez wychowania, czyż mogła go nauczyć życia? Prowincjał odsłonił, w sposób najoczywistszy, tym młodym ludziom, na ogół najgorzej dlań usposobionym, owo poufne współżycie z aktorką, którego każdy młody człowiek po cichu zazdrości, ale które wszyscy głośno zohydza. Najkrwawiej jeszcze tegoż wieczora żartował na ten temat Rastignac, mimo iż podtrzymywał się w świecie podobnymi środkami, ale zachowując pozory. Lucjan szybko nauczył się wista. Gra stała się u niego namiętnością. Koralia, widząc w tym tarczę przeciw wszelkiej rywalizacji, nie tylko nie upominała Lucjana, ale zachęcała go w marnotrawstwie, z zaślepieniem właściwym doskonałemu uczuciu, które zawsze widzi jedynie teraźniejszość i wszystko, nawet przyszłość, poświęca chwili. Prawdziwa miłość ma wiele podobieństwa z dzieciństwem: jego brak zastanowienia, nierozwagę, rozrzutność, śmiechy i płacze.

W epoce tej kwitło towarzystwo młodych ludzi, bogatych, biednych, pędzących próżniacze życie, zwanych *viveurami*, którzy w istocie, żyli z niewiarygodną beztroską; tędy szermierze przy stole i jeszcze tężsi bibosze⁴²². Wszyscy nie liczący się z pieniędzmi, przepłatający najdzikszymi koncepcjami ową egzystencję już nie szaloną, ale wściekłą, nie cofali się przed żadną niemożliwością, czynili sobie chlubę ze swoich wybryków, trzymanych bądź co bądź w pewnych granicach; eskapady ich odznaczały się taką oryginalnością i dowcipem, że nie sposób było ich nie przebaczyć. Fakt ten jest najjaskrawszym oskarżeniem helotyizmu⁴²³, na jaki Restauracja skazała młodzież. Młodzi ludzie, którzy nie wiedzieli, na co obrócić swe siły, nie tylko rzucali je w dziennikarstwo, w konspirację, w literaturę i sztukę, ale trwonili je w najdziwniejszych wybrykach, tyle było soku i jurności w młodej Francji. Pracując, młodzież ta żądała władzy i użycia; oddając się sztuce, pragnęła skarbów; próżniacząc się, chciała żyć pełnią namiętności; na wszelki sposób chciała miejsca, a polityka nie dawała go jej nigdzie. *Viveurzy* byli to ludzie prawie bez wyjątku obdarzeni wybitnymi zdolnościami; niektórzy zatracili je w tym wyczerpującym życiu, niektórzy mu się oparli. Najśłynniejszy z nich i najinteligentniejszy, Rastignac, wszedł z czasem, prowadzony przez de Marsaya, na poważną drogę, na której się odznaczył. Koncepty, jakim oddawali się ci ludzie, stały się tak sławne, że dostarczyły tematu licznym wodewilom. Lucjan, pchnięty przez Blondeta w tę kompanię rozrzutników, zabłysnął w niej obok Bixiou, jednego z najzłośliwszych i najokrutniejszych kpiarzy. Przez całą zimę życie Lucjana było zatem długim pijaństwem, przerywanym łatwymi pracami dziennikarstwa; ciągnął dalej serię artykułików i czynił ogromny wysiłek, aby wydać od czasu do czasu kilka stronic tejże krytyki. Ale praca była wyjątkiem, poeta oddawał się jej jedynie pod naporem konieczności; śniadania, obiady, wycieczki, prośzone wieczory, gra zabierały mu cały czas, a Koralia pochłaniała resztę. Lucjan bronił się myśli o jutrze. Widział zresztą, iż wszyscy jego rzekomi przyjaciele żyli jak on, łatając drogo opłacanymi prospektami dla księgarzy, premiami za pewne artykuły potrzebne dla ryzykownych przedsięwzięć, przejadając dochody i mało troszcząc się o przyszłość. Dopuszczony do dziennikarstwa i literatury na prawach równego, Lucjan spostrzegł trudności piętrzące się, w razie gdyby chciał wznieść się wyżej: każdy godził się go mieć równym, nikt wyższym. Nieznacznie⁴²⁴ zrezygnował tedy ze sławy literackiej, mniemając, iż kariera polityczna jest łatwiejsza.

— Intryga budzi mniej zawiści niż talent, podziemne jej zabiegi nie ściągają niczyjej uwagi — orzekł Châtelet, z którym Lucjan się pojednał. — Intryga to zresztą rzecz wyższa od talentu: z niczego robi się coś, gdy olbrzymie zasoby talentu służą przeważnie po to, aby unieszcześliwić swego posiadacza.

Poprzez to życie, płynące w orgiach z dnia na dzień, mimo ciągłych postanowień pracy, Lucjan ścigał tedy swą przewodnią myśl: pokazywał się pilnie w świecie, nadskaakiwał pani de Bergeton, margrabinie d'Espard, hrabinie de Montcornet, nie opuszczał ani jednego wieczoru panny des Touches; zjawiał się w salonach przed jakąś bibką, po obiedzie wydawanym przez autorów lub księgarzy; opuszczał salon, śpiesząc na kolację,

Lenistwo, Zabawa

⁴²²bibosz (z łac.) — człowiek lubiący pić alkohol w wesołym towarzystwie; opój, pijak. [przypis edytorski]

⁴²³helotyizm — niewolnictwo; heloci byli niewolnikami państwowymi w staroż. Sparcie. [przypis edytorski]

⁴²⁴nieznacznie — niezauważalnie, niepostrzeżenie. [przypis edytorski]

owoc jakiegoś zakładu; *ekspens*⁴²⁵ paryskiej konwersacji i gra pochłaniały resztę myśli i sił, jakie zostawiały mu jego wybryki. Poeta nie miał już owej jasności myśli, owego zimnego spojrzenia, potrzebnych, aby obserwować dokoła siebie, aby zachować ów najszybszy takt, jaki ludzie pnący się w górę muszą rozwijać bez ustanku; niepodobna mu było rozeznaczyć momentów, w których pani de Bargeton wracała ku niemu, oddalała się zraniona, wybaczała mu i potępiała go na nowo. Châtelet ocenił groźne atuty rywala i stał się przyjacielem Lucjana, aby go utrzymać na tej zawrotnej drodze. Rastignac, zazdrosny o krajana, widząc zresztą w baronie pewniejszego i użyteczniejszego sprzymierzeńca, współdziałał z Châteletem. I tak, w kilka dni po spotkaniu angulemskiego Petrarki z jego Laurą, Rastignac pogodził poetę i starego piękniś Cesarstwa, wydając wspaniałą kolację w Rocher de Cancale. Lucjan, który codziennie wracał nad ranem i wstawał koło południa, nie umiał bronić się miłości, będącej zawsze tuż i zawsze z otwartymi ramionami. W ten sposób sprężyna jego woli, wciąż wątła lenistwem, które czyniło go obojętnym na piękne postanowienia powzięte w chwilach jasnowidzeń, straciła resztę siły i nie odpowiadała z czasem nawet najsilniejszym upomnieniom nędzy. Zrazu Koralia, szczęśliwa, że Lucjan się bawi, utrzymywała go w tym szalonym życiu, widząc w nim zakład stałości jego uczuć i więzów przez owo życie stwarzanych. Później słodka i tkliwa dziewczyna znalazła dość siły, aby upominać kochanka i zachęcać go do pracy; nieraz musiała zwracać mu uwagę, że niewiele zarobił w ciągu miesiąca. Para kochanków zadłużała się z przerażającą szybkością. Półtora tysiąca franków pozostałe z honorarium *Stokroci*, jak również pierwsze pięćset franków zapracowane w dzienniku znikły szybko. W ciągu kwartału artykuły przyniosły poecie nie więcej niż tysiąc franków, a miał uczucie, że ogromnie pracował. Ale Lucjan nabrał łatwego poglądu na życie, właściwego zadłużającej się młodzieży. Długi mają wdzięk w dwudziestu pięciu latach; później nikt ich już nie przebacza. Trzeba zauważyć, że istnieją dusze istotnie poetyczne, ale obdarzone słabą wolą, natury żyjące odczuwaniem po to, aby oddać swoje uczucia za pomocą obrazów; ludziom takim zbywa zasadniczo na zmyśle moralnym, który winien towarzyszyć wszelkiej obserwacji. Poeci wolą raczej chłonąć wrażenia niż wchodzić w innych, aby studiować mechanizm uczuć. Toteż Lucjan nie dociekał przyczyny ubytków, jakie co pewien czas spostrzegał w gronie młodych utracjuszków; nie zastanawiał się nad przyszłością tych rzekomych przyjaciół, z których jedni mieli napięte sukcesje⁴²⁶, drudzy pewne widoki, inni uznane talenty, inni znów niezłomną wiarę w przyszłość oraz bezwzględność w środkach. Lucjan ufał w swą gwiazdę, polegając na tych głębokich zasadach Blondeta: „Wszystko się jakoś układa. — Nic nie może stać się ludziom, którzy nic nie mają. — Możemy stracić jedynie fortunę, której szukamy! — Płynąc z prądem, zawsze się gdzieś zapłynie. — Człowiek z głową, raz zyskawszy punkt zaczepienia, dochodzi do wszystkiego, kiedy sam zechce!”

W ciągu tej zimy, wypełnionej tyloma uciechami, udało się wreszcie Teodorowi Gaillardowi i Hektorowi Merlinowi znaleźć kapitały, jakich wymagało założenie „Jutrzenki”. Pierwszy numer ukazał się dopiero w marcu 1822. Interes ten traktowano w salonie pani du Val-Noble. Wytworna i sprytna kurtyzana posiadała pewien wpływ na bankierów, wielkich panów i pisarzy z obozu rojalistów, nawykłych zbierać się w jej salonie dla omawiania spraw niepodobnych do omawiania gdzie indziej. Hektor Merlin, któremu przeznaczono redakcję „Jutrzenki”, miał mieć za prawą rękę Lucjana, obecnie swego najbliższego przyjaciela, któremu zarazem obiecano felieton jednego z ministerialnych dzienników. Tę zmianę frontu przygotowywał Lucjan po cichu, wśród życia tonącego w uciechach. Dzieciak uważał się za wielkiego polityka, knując ten „zamach stanu”, i liczył, iż hojność ministerium pozwoli mu załatwić najpilniejsze rachunki oraz uśmierzyć tajemne kłopoty Koralii. Aktorka, zawsze z uśmiechem na ustach, ukrywała swą rozpacz; ale Berenice, śmielsza, uświadamiała Lucjana co do sytuacji. Jak wszyscy poeci, ten wielki człowiek „na pniu” roztkliwiał się przez chwilę, przyrzekał pracować, zapomniał o przyrzeczeniu i topił przelotną troskę w hulance. Koralia, spostrzegając chmury na czole kochanka, lajała Berenice i mówiła swemu poecie, że wszystko będzie dobrze.

Panie d'Espard i de Bargeton czekały nawrócenia Lucjana, aby za pośrednictwem Châteleta wyprosić, jak mówiły, u ministra ową tak upragnioną zmianę nazwiska. Lucjan

Lenistwo, Bieda

Lenistwo, Poeta, Praca

⁴²⁵*ekspens* (daw.) — wydatek, koszt. [przypis edytorski]

⁴²⁶*sukcesja* — następstwo prawne, w wyniku którego zbywca przenosi swoje prawa na nabywcę np. spadek, spuścizna. [przypis edytorski]

przyszedł ofiarować *Stokrocie* margrabinie d'Espard, mile na pozór pogłaskanej wyróżnieniem, które autorzy uczynili rzadkim, odkąd stali się potęgą. Kiedy Lucjan zachodził wieczór do Dauriatu i pytał, co się dzieje z książką, księgarz przedstawiał niezbite racje, aby opóźnić oddanie jej do druku. Raz Dauriat miał na głowie wydawnictwo, które pochłaniało mu każdą chwilę; to znów miał się ukazać nowy tom Canalisa, któremu lepiej było nie wchodzić w drogę; nowe *Medytacje* pana de Lamartine były pod prasą, dwa zaś wybitne zbiorki poezji nie mogą się zjawić równocześnie; autor winien zresztą polegać na czuciu księgarza. Tymczasem potrzeby Lucjana stały się tak nagłe, że uciekł się do Finota, który udzielił mu paru zaliczek na artykuły. Kiedy wieczorem, przy kolacji, poeta-dziennikarz tłumaczył swoją sytuację towarzyszom hulanek, topili jego skrupuły w potokach szampańskiego wina mrożonego konceptem. Długi! Alboż istnieje *silny człowiek* bez długów! Długi przedstawiają zaspokojone potrzeby, wymagające nalogi. Człowiek dochodzi do czegoś jedynie pod żelazną ręką konieczności.

— Wielkim ludziom, wdzięczny bank pobożny⁴²⁷ — wykrzykiwał Blondet.

— Wszystkiego chcieć, znaczy wszystko być dłużnym — mówił Bixiou.

— Nie: wszystko być dłużnym, to znaczy wszystkiego użyć! — odpowiedział des Lupeaulx.

Viveurzy umieli wytłumaczyć temu dziecku, że długi będą złotą ostrogą, którą popędzi konie zaprzężone do wozu fortuny. Następnie ów wieczny Cezar ze swymi czterdziestoma milionami długów⁴²⁸ i Fryderyk II⁴²⁹ pobierający od ojca dukata miesięcznie, i wciąż te same słynne demoralizujące przykłady wielkich ludzi, ukazywanych od strony ich błędów, a nie we wszechpotężnej wytrwałości i geniuszu! W końcu powóz, konie i meble Koralii zafantowano⁴³⁰ imieniem wierzycieli, których łączne kwoty dochodziły czterech tysięcy. Kiedy Lucjan pobiegł do Stefana zażądać tysiąca franków, które mu pożyczył, Lousteau pokazał mu pozwy, które dokumentowały u Floryny analogiczną sytuację; ale przez wdzięczność obiecał poczynić kroki, aby ulokować *Gwardzistę Karola IX*.

— W jakim sposób Floryna tak zabrnęła? — spytał Lucjan.

— Matifat wystraszył się — odparł Lousteau — straciliśmy go; ale jeżeli Floryna zechce, drogo przypłaci on swą zdradę! Opowiem ci całą sprawę.

W trzy dni po daremnej wizycie Lucjana u kolegi para kochanków spożywała smutno śniadanie przy kominku pięknej sypialni. Berenice usmażyła na kominku sadzone jajka, kucharka bowiem, stangret, służba, wszystko odeszło. Niepodobna było rozporządzać zajętymi meblami. Nie było w domu ani jednego złotego lub srebrnego przedmiotu, ani też żadnej wartościowej rzeczy; wszystko zmieniło się w kwity lombardowe, tworząc tomik *in octavo*⁴³¹, bardzo pouczający. Berenice ocaliła dwa nakrycia. Dziennik oddawał nieoszacowane usługi Lucjanowi i Koralii, utrzymując w ryzach krawca, modystkę i właścicieli magazynów, którzy drżeli wszyscy przed obrazą dziennikarza, zdolnego zohydzić ich zakłady. W czasie śniadania wpadł Lousteau, wołając:

— Hura! Niech żyje *Gwardzista Karola Dziewiątego*! Spuściłem za sto franków książek, moje dzieci, podzielmy się!

Wręczył pięćdziesiąt franków Koralii i posłał Berenice, aby przyniosła jakieś treściwe śniadanie.

— Wczoraj jedliśmy obaj z Hektorem obiad u księgarzy i za pomocą przebiegłych insynuacji przygotowaliśmy sprzedaż twego romansu. Jesteś w układach z Dauriatem, ale Dauriat leni się, nie chce dać więcej niż cztery tysiące franków za dwa tysiące egzemplarzy, a ty żądasz sześć tysięcy. Zrobiliśmy cię dwa razy większym od Waltera Scotta. Och! Masz na warsztacie nieporównane dzieła! Przedstawiasz nie jedną książkę, ale całą aferę; jesteś autorem nie jednego romansu, ale staniem się całą kolekcją! To słowo „kolekcja”

⁴²⁷bank pobożny (w oryg.: wł. *monte di pietà*) — lombard dobroczynny, instytucja udzielająca ubogim nieoprocenowanych pożyczek pod zastaw. [przypis edytorski]

⁴²⁸Cezar ze swymi czterdziestoma milionami długów — rzymski wódz i polityk Juliusz Cezar, sprawując urząd edyla, zaciągnął ogromne długi na organizację igrzysk, żeby zdobyć popularność wśród ludu. [przypis edytorski]

⁴²⁹Fryderyk II Wielki (1712–1786) — król Prus z dynastii Hohenzollernów, panował w latach 1740–1786, stał się twórcą potęgi państwa pruskiego. [przypis edytorski]

⁴³⁰zafantować (daw.) — zając za długi. [przypis edytorski]

⁴³¹*in octavo* (łac.: w ósemce) — daw. format książki, w którym z trzykrotnie złożonego na pół arkusza papieru powstaje osiem kart; obecnie określenie książek mających typowy współczesny rozmiar: ok. 20–25 cm wysokości. [przypis edytorski]

chwyciło. Dlatego nie zapominaj swej roli; masz w tece *Wielki Lauzun, czyli Francja za Ludwika Czternastego; Kotylion Pierwszy, czyli pierwsze dni Ludwika Piętnastego; Królowa i Kardynał, czyli obraz Paryża z czasów Frondy; Syn Conciniego, czyli Intrzygi kardynała Richelieu!*... Romanse te oznajmi się na okładce. Nazywamy to zablagowaniem sukcesu. Tłoczy się książki na okładce, aż staną się sławne; autor wówczas ma o wiele większe imię przez dzieła, których nie napisał, niż przez te, które napisał naprawdę. „Pod prasą” to hipoteka literatury. No, dalej, pośmiejmy się trochę! Ot, jest i szampańskie. Wyobrażasz sobie, Lucjanie, że spekulanci wybałuszili oczy wielkie jak ten spodek... Wy macie jeszcze spodki?

— Zajęte — odparła Koralia.

— Rozumiem i ciągnę dalej — rzekł Lousteau. — Księgarze uwierzą w twoje rękopisy, skoro ujrzą jeden. Księgarz ma zwyczaj żądać skryptu, udaje, że go czyta! Zostawmy księgarzom ich próżnostkę; nigdy nie czytają książek; inaczej nie drukowaliby ich tyle. Daliśmy do zrozumienia z Hektorem, że za pięć tysięcy franków ustąpiłbyś prawa do trzech tysięcy egzemplarzy w dwóch wydaniach. Daj mi rękopis, pojutrze mamy tam być na śniadaniu; dorżniemy ich!

— Któż to taki? — rzekł Lucjan.

— Dwaj wspólnicy, dobre chłopaki, dość gładcy w interesach, nazwiskiem Fendant i Cavalier. Pierwszy to dawny dysponent Vidala i Porchona, drugi to jeden z najsprytniejszych komiwojażerów, obaj prowadzą interes ledwie od roku. Straciwszy nieco na romansach z angielskiego, chwaty chcą teraz eksploatować wyroby tubylców. Chodzą wieści, że ci dwaj handlarze bibuły puszczają w obieg jedynie cudze kapitały, ale jest ci, jak sądzę, obojętne, z jakiego źródła będą pieniądze.

Na trzeci dzień dwaj dziennikarze stawili się na śniadanie przy ulicy de Serpente, w dawnej dzielnicy Lucjana, gdzie Lousteau zachował zawsze swój pokój. Lucjan, który wstąpił po przyjaciela, ujrzał izdebkę w tym stanie, w jakim znajdowała się w ów pamiętny wieczór, gdy wprowadzono go w świat literatury, ale nie zdziwił się już: edukacja, jaką przeszedł, wtajemniczyła go w odwrotne strony życia dziennikarzy, pojmował wszystko. Wielki człowiek z prowincji otrzymał już, postawił na kartę i przegrał honorarium niejednego artykułu, tracąc równocześnie ochotę do napisania go; nakreślił niejedną kolumnę wedle przemysłnych procedurów, jakie mu rozwinął Lousteau, kiedy wędrowali ulicą La Harpe do Palais-Royal. Zależny od Barbeta i Braularda, „spławił” książki i bilety; wreszcie, nie cofał się przed żadną pochwałą ani atakiem. W tej chwili był rad, że wyciągnie ze Stefana wszystkie możliwe korzyści, nim się odwróci plecami do liberałów, którym obiecywał sobie dopieć tym skuteczniej, im lepiej ich wystudiował. Ze swej strony Lousteau otrzymywał, z uszczerbkiem Lucjana, sumę pięciuset franków w gotówce od panów Fendanta i Cavaliera, tytułem prowizji za to, iż sprokurował tego przyszłego Waltera Scotta księgarzom, będącym w poszukiwaniu za Scottem krajowym.

Księgarnia Fendant i Cavalier było to jedno z przedsiębiorstw bez kapitału, jakich wiele powstawało wówczas i będzie powstawać zawsze, dokąd papiernie i drukarnie będą dawały księgarzowi kredyt na rozegranie owej partii *écarté* zwanej wydawnictwem. Wówczas jak i dziś kupowało się od autorów dzieła za weksle sześć-, dziesięć-, dwunastomiesięczne: sposób płatności oparty na naturze sprzedaży, którą reguluje się w księgarstwie za pomocą walorów jeszcze dłużej terminowych. Tą samą monetą księgarz płacił papierników i drukarzy i miał w ten sposób przez rok gratis całą księgarnię, złożoną z jakich dwunastu lub dwudziestu dzieł. Przypuściwszy dwa lub trzy sukcesy, owoc dobrych interesów pokrywał niedobór złych: w ten sposób księgarnia stawiała na nogach, gromadząc książkę na książkę. Jeżeli wszystkie operacje okazały się wątpliwe albo jeżeli, nieszczęściem, księgarze trafiali na dobre książki, idące z wolna, smakowane i ocenione dopiero przez prawdziwą publiczność, jeśli uzyskali eskont na uciążliwych warunkach, jeśli sami bankrutowali, zgłaszali spokojnie niewypłacalność, bez żadnej troski, przygotowani z góry na ten rezultat. W ten sposób wszystkie szanse były na ich korzyść, rzucali na zielony stolik spekulacji kapitał cudzy, nie własny. Fendant i Cavalier znajdowali się w tym położeniu: Cavalier wniósł do spółki fachową wiedzę, Fendant — spryt handlowy. Kapitał spółki zasadał się na kilku tysiącach franków, oszczędzonych z trudem przez ich kochanki; w bilansie przedsiębiorstwa przyznali sobie obaj kierownicy dość znaczne pensje, które skrupulatnie obracali na obiady dla dziennikarzy i autorów i na bilety do

Interes, Książka

teatrów, gdzie, jak mówili, robią się interesa. Obaj ci hultaje uchodzili za sprytnych; ale Fendant był przebieglejszy. Zgodnie ze swym nazwiskiem, Cavalier podróżował⁴³², Fendant kierował sprawami w Paryżu. Spółka ta była tym, czym będzie zawsze spółka między dwoma księgarzami — pojedynkiem.

Wspólnicy zajmowali parter starego pałacu przy ulicy Serpente; biuro znajdowało się na końcu wielkich salonów, zmienionych na magazyny. Wydali już wiele romansów, jak: *Wieża Północy*, *Kupiec z Benares*, *Źródło w grobowcu*, *Tekeli*, romanse Galta, angielskiego autora, który nie przyjął się we Francji. Powodzenie Waltera Scotta zwróciło uwagę księgarzy na produkty angielskie; wszyscy księgarze, jako prawdziwi Normandowie, mieli nabitą głowę podbojem Anglii⁴³³; szukali tam Waltera Scotta, jak później szukano asfaltu w kamienistych terenach, bitumu w bagnach i realizowano zyski z projektowanych kolei żelaznych. Jedną z największych niedorzeczności paryskiego handlu jest to, że chce zawsze znaleźć sukces w analogii, gdy on leży w przeciwieństwie. W Paryżu zwłaszcza powodzenie zabija powodzenie. Toteż pod tytułem *Strzelcy, czyli Rosja przed stu laty* Fendant i Cavalier dodawali spokojnie wielkimi literami: „w rodzaju Waltera Scotta”. Fendant i Cavalier potrzebowali gwałtownie sukcesu: dobra książka mogła im pomóc do spławienia stosów zadrukowanego papieru. Złakomili się nadzieją artykułów w dziennikach, co stanowiło wówczas kardynalny warunek sprzedaży, niezmiennie rzadko bowiem zdarza się, aby księgarz nabył książkę dla jej istotnej wartości; prawie zawsze wydaje ją z przyczyn obcych jej zaletom. Fendant i Cavalier widzieli w Lucjanie dziennikarza, a w jego książce towar, którego pierwsze wpływy ułatwią im miesięczne wypłaty. Dziennikarze zastali wspólników w biurze, umowa była gotowa, weksle podpisane. Szybkość ta zachwyciła Lucjana. Fendant był to drobny i chudy człowieczek z odstręczającą fizjonomią: rysy Kalmuka⁴³⁴, niskie czoło, zapadły nos, wąskie usta, błyszczące czarne oczki, twarz pomięta, cera żółtawa, głos podobny do rozbitego dzwonka, słowem, pozory skończonego opryszka; ale wynagradzał te braki cukrową słodyczą, dochodził do celu siłą wymowy. Cavalier, pucołowaty mężczyzna, którego raczej wzięłoby się za konduktora dyliżansu niż za księgarza, miał włosy ryżawe, twarz żywą, okrągłą talię i miodopłynne gadulstwo komiwojażera.

— Nie będzie między nami sporów — rzekł Fendant, zwracając się do dziennikarza. — Czytałem książkę, jest bardzo literacka; odpowiada nam tak dalece, że już oddałem rękopis do druku. Umowę spisaliśmy na podstawie ustnego porozumienia; zresztą nie wychodzimy nigdy poza granice, jakieśmy tam zakreślili. Weksle na sześć, dziewięć i dwanaście miesięcy; zeskontuje je pan łatwo, zwrócimy koszty dyskontu. Zastrzegliśmy sobie prawo dania książce innego tytułu: nie podoba się nam *Gwardzista Karola Dziewiątego*, nie dość pobudza ciekawość: jest wielu królów imieniem Karol, a w średnich wiekach było tylu gwardzistów! A! Gdybyś pan powiedział *Żołnierz Napoleona*! Ale *Gwardzista Karola Dziewiątego*!... Cavalier musiałby mieć cały wykład historii, nim by ulokował egzemplarz na prowincji.

— Gdybyś pan znał ludzi, z którymi mamy do czynienia! — wykrzyknął Cavalier.

— *Noc świętego Bartłomieja*⁴³⁵ byłaby lepsza — dodał Fendant.

— *Katarzyna Medycejska, czyli Francja za Karola Dziewiątego* — rzekł Cavalier — to by bardziej przypominało Waltera Scotta.

— Wreszcie, zdecydujemy to, kiedy dzieło będzie wydrukowane — rzekł Fendant.

— Jak panowie chcecie — rzekł Lucjan — byle tytuł mi odpowiadał.

Po przeczytaniu i podpisaniu umowy, wymianie duplikatów Lucjan schował do kieszeni weksle z nieopisanym zadowoleniem. Następnie wszyscy czterej udali się do mieszkania Fendanta, gdzie czekało ich najpospolitsze śniadanie: ostrygi, befsztyki, nereczki na szampańskim i ser brie; ale *menu* temu towarzyszyły wyborne wina, dzięki Cavalierowi, który znał komiwojażera „robiącego w winach”. W chwili gdy siadali do stołu, zjawił

⁴³²Zgodnie ze swym nazwiskiem, Cavalier podróżował — fr. *cavalier*: kawalerzysta, jeździec. [przypis edytorski]

⁴³³jako prawdziwi Normandowie, mieli nabitą głowę podbojem Anglii — rycerze z księstwa Normandii, w pln.-zach. Francji, pod wodzą Wilhelma Zdobywcy w 1066 podbili Anglię. [przypis edytorski]

⁴³⁴Kalmuk — członek ludu mongolskiego zamieszkującego okolice M. Kaspijskiego, do pocz. XX w. czowniczego. [przypis edytorski]

⁴³⁵noc św. Bartłomieja — rzeź dokonana przez katolików w Paryżu w nocy z 23 na 24 sierpnia 1572 r., której ofiarą padło 3 tys. hugenotów (francuskich protestantów), na czele z ich przywódcą, admirałem Coligny, i która dała sygnał do dalszych rzezi w całej Francji; krwawą rozprawę z heretykami pochwalił papież Grzegorz XIII, złożył też specjalne podziękowania Katarzynie Medycejskiej jako inicjatorce zająć. [przypis edytorski]

się drukarz; chciał zrobić niespodziankę Lucjanowi, przynosząc dwa pierwsze arkusze korekty.

— Chcemy jechać jak najszybciej — rzekł Fendant — rachujemy na pańską książkę, a diabelnie nam potrzeba sukcesu.

Śniadanie, zaczęte w południe, skończyło się dopiero koło piątej.

— Gdzież znaleźć pieniądze? — rzekł Lucjan do Lousteau.

— Chodźmy do Barbeta — odparł Stefan.

Przyjaciele, nieco podnieceni winem, puścili się w kierunku Wybrzeża.

— Koralia jest w najwyższym stopniu zdumiona katastrofą, jaka spotkała Florynę; Floryna powiedziała jej o tym dopiero wczoraj, przypisując tobie to nieszczęście: była tak rozżalona, iż zdawało się, że jest gotowa cię puścić — rzekł Lucjan do Stefana.

— To prawda — odparł Lousteau, który nie wytrwał w ostrożności i otworzył serce Lucjanowi. — Mój przyjacielu, bo jesteś moim przyjacielem, Lucjanie, pożyczyłeś mi tysiąc franków i upomniałeś się o nie dopiero raz... Strzeż się gry. Gdybym nie grał, byłbym szczęśliwy. Długów mam jak włosów na głowie. Mam w tej chwili komornika i woźnego trybunału na karku; kiedy idę do Palais-Royal, zmuszony jestem omijać przylądki.

W języku *viveurów* „omijać przylądek” znaczy robić koło, bądź aby nie przejść blisko wierzyciela, bądź aby ominąć miejsce, w którym go można spotkać. Lucjan, który też nie wszystkie ulice przebywał swobodnie, znał ów manewr, mimo iż nie znał nazwy.

— Dużoś winien?

— Nędza! Tysiąc talarów ocaliłoby mnie. Chciałem się ustatkować, przestać gry i aby zlikwidować interesy, puściłem się na lekki szantaż.

— Cóż to takiego szantaż? — spytał Lucjan, który nie znał tego słowa.

— Szantaż to wynalazek prasy angielskiej, świeżo przemycony do Francji. Rycerze jego to ludzie, którym stanowisko pozwala jakoby rozrządzać dziennikiem. Nigdy właściciel dziennika ani naczelny redaktor nie może ściągnąć podejrzenia, iż maczał palce w szantażu. Ma na to panów Giroudeau, Filipów Bridau i innych. Tacy majsterkowie udają się do człowieka, który dla pewnych przyczyn nie pragnie, aby się nim zajmowano. Wielu ludzi ma na sumieniu mniej lub więcej oryginalne grzeszki. Jest w Paryżu wiele podejrzanых fortun, zdobytych na drodze mniej lub więcej legalnej, często zbrodniczej, które dostarczyłyby rozkosznych anegdotek, jak na przykład owa żandarmeria Fouchégo⁴³⁶ osaczająca policję, która, nie będąc wtajemniczona w fabrykację fałszywych biletów banku angielskiego, miała aresztować tajnych drukarzy popieranych przez ministra; dalej historia diamentów księcia Galathione, sprawa Maubreuil, sukcesja Pombretona i inne. Mistrz szantażu zdobywa jakiś papier, jakiś ważny dokument i naznacza schadzki dwuznacznemu bogaczowi. Jeżeli człowiek skompromitowany nie zgodzi się wybulić żądanej sumy, szantażysta grozi mu prasą, gotową się nim zająć, odsłonić jego machinacje. Bogacza strach oblatuje, opłaca się. Sztuka się udaje. Puszczasz się na jaką ryzykowną operację, która może upaść wskutek ataków dziennika: nastawiają na ciebie szantażystę, który proponuje odkupienie artykułów. Są ministrowie, którzy układają się z szantażystami, że dziennik będzie atakował ich działalność polityczną, a nie osobę, albo którzy wydają na łup siebie samych, a proszą zmiłowania dla swoich kochanek. Des Lupeaulx, mały referendarzyk, którego znasz, jest nieustannie zajęty tego rodzaju negocjacjami. Hultaj ten wyrobił sobie cudowną pozycję w samym centrum władzy przez swoje stosunki: jest zarazem mandatarium prasy i ambasadorem ministrów, prowadzi szacherkę miłości własnych; rozciąga nawet ten przemysł na sprawy polityczne, uzyskuje milczenie dzienników o takiej a takiej pożyczce, koncesjach, udzielonych bez konkursu i obwieszczeń, rzucając ochlap żbikom bankowym liberalów. Ty zrobiłeś mały szantażyk z Dauriatem, dał ci tysiąc talarów, aby cię powstrzymał od zohydzenia Natana. W osiemnastym wieku dziennikarstwo było w powijkach, szantaż uprawiało się za pomocą pamfletów, których zniszczenie opłacały

Szantaż

⁴³⁶ *Fouché, Joseph* (1759–1820) — francuski polityk, oceniany jako przebiegły i bezwzględny karierowicz; członek Konwentu w okresie rewolucji francuskiej, głosował za skazaniem Ludwika XVI na śmierć, odpowiedzialny za krwawe stłumienie powstania w Lyonie w 1793, minister policji podczas panowania Napoleona, po jego upadku w 1815 został prezydentem rządu tymczasowego, następnie ministrem policji króla Ludwika XVIII. [przypis edytorski]

faworyty i wielcy panowie. Wynalazcą szantażu jest Aretino⁴³⁷, bardzo wielki człowiek we Włoszech, który opodatkowywał królów, tak jak za naszych czasów ten lub ów świstek opodatkowuje aktorów.

— Cóż za zamach wykonał na Matifata, aby wydobyć swoje tysiąc talarów?

— Postarałem się, aby napadnięto Florynę w sześciu pismach, Floryna zaś poszła użalić się Matifatowi. Matifat poprosił Braularda, aby odkrył przyczynę napaści. Braulard złapał się, przywieziony na hak przez Finota. Finot, na którego rachunek robiłem ten szantażyk, powiedział mu, że to ty chcesz zniszczyć Florynę w interesie Koralii. Giroudeau przyszedł oświadczyć poufnie Matifatowi, że wszystko by się ułożyło, gdyby się zgodził sprzedać swoją szóstą część w tygodniku Finota za dziesięć tysięcy. W razie powodzenia Finot dawał mi tysiąc talarów. Matifat miał dobić sprawę, szczęśliwy, iż odzyska dziesięć tysięcy z trzydziestu, które uważał za utopione w błocie; od kilku dni Floryna kładła mu w uszy, że tygodnik Finota coś nie idzie. Zamiast dywidendy była mowa o podwyższeniu kapitału. Przed ogłoszeniem bankructwa dyrektor Panorama-Dramatique potrzebował spuścić parę akceptów z *grzeczności*; otóż, aby je ulokować przez Matifata, uprzedził go o sztuczce Finota. Matifat, jako wytrawny kupiec, zerwał z Floryną, zatrzymał swoją szóstą część i teraz on ma nas w ręku. Finot i ja wyjemy z rozpacz. Mieliliśmy nieszczęście zaatakować człowieka, któremu nie zależy na kochance, nędznika bez serca i duszy. Na nieszczęście, przemysł Matifata nie podlega wpływowi prasy, niepodobna dosięgnąć tego kramarza. Nie krytykuje się drogistę, tak jak się krytykuje kapelusze, galanterię, teatry lub dzieła sztuki. Kakao, pieprz, farby, politura, opium to rzeczy, których nie da się zdeprecjonować. Floryna goni resztkami, Panoramę zamykają jutro, więc nie wie, co z sobą począć.

— Wskutek zwinięcia teatru Koralia debiutuje za kilka dni w Gymnase — rzekł Lucjan — będzie mogła dopomóc Florynie.

— Nigdy! — rzekł Lousteau. — Koralia nie jest orlicą, ale i tak nie będzie na tyle głupia, aby sobie ściągać rywalkę. Interesy diabła się zbakierowały. Ale cóż! To Finot tak się napał odzyskać swoją szóstą część.

— Dlaczego?

— Toż to bajeczny interes, mój drogi. Są widoki sprzedania dziennika za trzysta tysięcy. Finot miałby tedy trzecią część, prócz komisowego od współników, które podzieliłby z nim des Lupeaulx. Dlatego mam zamiar podsunąć mu projekt nowego szantażu.

— Zatem szantaż to znaczy: „pieniądze lub życie”?

— O wiele więcej — rzekł Lousteau — to „pieniądze lub honor”. Przedwczoraj dzienniczek, którego właścicielowi odmówiono kredytu, napisał, że zegarek repetierowy⁴³⁸ wysadzany diamentami, należący do jednej z grubych ryb stolicy, znajduje się dziwnym sposobem w rękach żołnierzy gwardii królewskiej, i zapowiedział opowieść tego wydarzenia, godną *Tysiąca i jednej nocy*. Gruba ryba czym prędzej pośpieszyła zaprosić naczelnego redaktora na obiad. Naczelną redaktora z pewnością coś na tym zarobił, ale historia współczesna straciła anegdotkę o zegarku. Za każdym razem, kiedy ujrzysz prasę rozjuszoną na jakieś wpływowe osobistości, wiedz, że się pod tym kryją odrzucone eskonty, odmowa jakiejś usługi. Ten szantaż wkraczający w dziedzinę prywatnego życia to rzecz, której najbardziej lękają się bogaci Anglicy: odgrywa on dużą rolę w sekretnych dochodach brytyjskiej prasy, nieskończenie bardziej zdemoralizowanej niż nasza. My jesteśmy dziećmi! W Anglii kupuje się kompromitujący list w cenie pięciu do sześciu tysięcy franków, aby go odprzedać z zyskiem.

— Jakież masz sposób, aby dosięgnąć Matifata? — rzekł Lucjan.

— Mój drogi — odparł Lousteau — otóż ten plugawy korzennik pisywał do Floryny listy najosobliwsze w świecie: ortografia, styl, myśli, wszystko sięga szczytów komizmu. Matifat boi się bardzo żony: możemy tedy, nie wymieniając go, nie dając możliwości skar-

Szantaż

Szantaż

Szantaż

⁴³⁷ Aretino, Pietro (1492–1556) — włoski pisarz z czasów Odrodzenia, poeta, satyryk, znany ze skandalizujących dialogów; zarabiał na oszczerstwach i szantażu, m.in. oplacali go równocześnie król francuski Franciszek I oraz rywalizujący z nim cesarz Karol V. [przypis edytorski]

⁴³⁸ zegarek repetierowy — zegarek za naciśnięciem przycisku wydzwaniający godziny, kwadranse, a nawet minuty; modeli takich używano przed upowszechnieniem się sztucznego oświetlenia, żeby umożliwić określenie czasu w ciemności. [przypis edytorski]

gi, osiągnąć go na łonie larów i penatów⁴³⁹, gdzie się mniema zupełnie bezpiecznym. Wyobraź sobie jego wściekłość, skoro ujrzy pierwszy felieton romansiku obyczajowego pod tytułem „Zaloty drogisty”, otrzymawszy uprzednio lojalne ostrzeżenie o przypadku, jaki oddał w ręce redakcji pewnego dziennika listy, gdzie mówi o małym Kupidynku⁴⁴⁰, gdzie pisze „podózka” zamiast poduszka, gdzie mówi o Florynie, iż pomagała mu przeżyć przełęcz życia, co może budzić przypuszczenie, iż porównywa ją do mulicy. Słowem, za pomocą tej cudacznej korespondencji można przyprowadzić abonentów o konwulsje śmiechu przez jakie dwa tygodnie. Zastraszy go się delikatnie możliwością anonimowego listu, którym wtajemniczyłoby się żonę w klucz tego konceptu. Rzecz w tym, czy Floryna zgodzi się zdradzić, że maczała palce w prześladowaniu Matifata? Ona ma jeszcze zasady, to znaczy nadzieje. Może chowa listy dla siebie, chce sama coś z nich wykroić. To kuta dziewczyna, moja wychowanka. Ale kiedy spostrzeże się, że odwiedzi komornika to nie kawał, kiedy Finot zrobi jej odpowiedni prezencik lub nadzieję *engagement*, Floryna wyda listy, które ja w zamian za brzęczące talary doręczę Finotowi, Finot odda korespondencję w ręce wuja, a Giroudeau doprowadzi drogistę do kapitulacji.

Zwierzanie to otrzeźwiło Lucjana. Pomyślał, że ma przyjaciół bardzo niebezpiecznych; następnie rozważył, że nie trzeba zrywać z nimi, może bowiem potrzebować ich straszliwych wpływów, w razie gdyby pani d'Espard, pani de Bargeton i Châtelet chybili słowa. Dwaj dziennikarze dotarli właśnie do wybrzeża, pod nędzny sklepik Barbeta.

— Barbet — rzekł Stefan do księgarza — mamy pięć tysięcy Fendanta i Cavaliera na sześć, dziewięć i dwanaście; chce pan?

— Za tysiąc talarów — rzekł Barbet z niewzruszonym spokojem.

— Tysiąc talarów! — wykrzyknął Lucjan.

— Nie dostanie pan nigdzie tyle — odparł księgarz. — Ci panowie ogłoszą bankructwo przed upływem kwartału; ale ja wiem u nich o dwóch dobrych książkach o sprzedaży twardej, ale pewnej; oni nie mogą czekać, wezmą je w cenie gotówkowej i zwrócę im ich własne akcepty: w ten sposób zdobędę dwa tysiące opustu na towarze.

— Chcesz stracić dwa tysiące? — rzekł Stefan do Lucjana.

— Nie! — wykrzyknął Lucjan, przestraszony tym pierwszym interesem.

— Źle robisz — odparł Stefan.

— Nie pozbędzie pan ich papieru nigdzie — rzekł Barbet. — Dzieło pańskie jest ostatnim atutem Fendanta i Cavaliera; mogą wydrukować książkę, jedynie zostawiając ją w depozycie u drukarza, sukces ocali ich ledwie na pół roku, prędzej czy później trzasną! Ci ludzie wypijają więcej lampeczek, niż sprzedają książek! Dla mnie akcepty ich przedstawiają wartość, może pan tedy uzyskać kwotę wyższą od tej, jaką dadzą eskontery, którzy będą zważali na każdy podpis. Rzemiosło eskontera polega na ocenianiu, czy w razie upadłości każdy z trzech podpisów może dać trzydzieści od sta; pan zaś daje tylko dwa podpisy, z których żaden nie wart ani dziesięć procent.

Przyjaciele spojrzeli po sobie zdumieni, iż z ust tego prostaka wychodzi analiza, w której niewiele słowach mieści się cały duch eskonta.

— Bez gadania, Barbet — rzekł Lousteau. — Gdzie możemy z tym iść?

— Stary Chaboisseau, Quai Saint-Michel, wie pan, robił bilans ostatniego miesiąca u F.? Jeżeli nie godzicie się na moją propozycję, idźcie do niego, ale wróćcie do mnie i wtedy dam tylko dwa tysiące pięćset.

Stefan i Lucjan udali się na Quai Saint-Michel, gdzie w małym domku, w głębi dużej sieni, mieszkał Chaboisseau, jeden z eskonterów księgarskich. Znaleźli go na drugim piętrze, w mieszkaniu umeblowanym najoryginalniej w świecie. Ów pokątny bankier, zresztą milioner, lubił styl grecki. Gzyms pokoju stanowił desek grecki. Łóżko udrapowane purpurową materią i ustawione grecką modą wzdłuż ściany, niby tło obrazu Dawida⁴⁴¹, o formie bardzo czystej, pochodziło z epoki Cesarstwa, kiedy wszystko wyrabiano w tym stylu. Fotele, stoły, lampy, świeczniki, najdrobniejsze akcesoria, z pewnością dobierane cierpliwie u antykwariuszy, oddychały delikatnym i wątłym, ale wytwornym wdziękiem

⁴³⁹ *Lary i Penaty* (mit. rzym.) — bóstwa opiekuńcze domu i rodziny, często wymieniane i czczone razem; przen.: ognisko domowe, dom, rodzina. [przypis edytorski]

⁴⁴⁰ *Kupidyn* a. *Amor* (mit. rzym.) — bóg miłości, przedstawiany jako skrzydlaty chłopczyk z łukiem. [przypis edytorski]

⁴⁴¹ *David, Jacques-Louis* (1748–1825) — francuski malarz, główny reprezentant klasycyzmu. [przypis edytorski]

starożytności. Ten mitologiczny i lekki styl tworzył osobliwą sprzeczność z obyczajami eskontera. Jest rzeczą godną uwagi, że najdziwniejsze typy znajdują się pomiędzy ludźmi handlującymi pieniędzem. Ludzie ci to, można powiedzieć, rozpustnicy myśli. Mogąc wszystko posiadać, a co za tym idzie, z góry przesyleni, czynią ogromne wysiłki, aby się wyrwać ze swej obojętności. Kto się im umie przyglądać, znajdzie zawsze jakąś manię, jakiś zakątek serca, przez który można ich osiągnąć. Chaboisseau zamknął się w starożytności jak w niezdobytym obozie.

— Lubuje się w antyku i sam wygląda jak antyk, zobaczysz — uśmiechnął się Stefan.

Chaboisseau, mały człeczyna o upudrowanych włosach, w zielonkawym surducie, orzechowej kamizelce, ubrany w czarne pluderki, pstrokate pończochy i trzewiki skrzypiące przy każdym kroku, wziął weksle, obejrzał, następnie oddał je Lucjanowi z powagą.

— Panowie Fendant i Cavalier to przemili chłopcy, młodzi ludzie pełni inteligencji, ale chwilowo nie posiadam gotówki — rzekł łagodnie.

— Mój przyjaciel byłby skłonny do ustępstw — zauważył Stefan.

— Nie wziąłbym tych walorów za żadną cenę — rzekł mały człowieczek, którego słowa przecięły propozycję Stefana niby nóż gilotyny.

Przyjaciele skierowali się ku drzwiom; mijając przedpokój, do którego przeprowadził ich ostrożnie Chaboisseau, Lucjan ujrzał stos książek, które eskonter, dawny księgarz, był zakupił; oczom romansopisarza błysło dzieło architekta Ducerceau o pałacach królewskich i sławnych zamkach Francji, których plany wyrysowane są tam z wielką dokładnością.

— Czy odstąpiłby mi pan to dzieło? — rzekł Lucjan.

— Owszem — rzekł Chaboisseau, z eskontera stając się znów księgarzem.

— Cena?

— Pięćdziesiąt franków.

— To drogo, hm... a potrzebne mi jest; ale jako zapłatę miałbym tylko walory, których pan nie chce.

— Ma pan tam jeden akcept pięćsetfrankowy na sześć miesięcy, wezmę go — rzekł Chaboisseau, który zapewne winien był księgarzom jakąś resztkę rachunku na powyższą sumę.

Przyjaciele wrócili do greckiego pokoju, gdzie Chaboisseau sporządził rachunek na sześć od sta tytułem procentu i sześć od sta komisowego, razem trzydzieści franków; doliczył pięćdziesiąt franków, cenę dzieła Ducerceau, i z kasy pełnej błyszczących talarów wydobył czterysta dwadzieścia franków.

— He, he! Panie Chaboisseau, akcepty są albo wszystkie dobre, albo wszystkie złe, czemuż nie zeskontuje pan innych?

— Ja nie eskontuję, ja realizuję należność za sprzedaną książkę — odparł mały człowieczek.

Stefan i Lucjan śmieli się jeszcze z Chaboisseau, nie przeniknąwszy jego manewru, kiedy przybyli do sklepu Dauriata, gdzie poprosili Gabussona, aby im wskazał eskontera. Wzięli kabriolet na godzinę i pomknęli na bulwar Poissonière, opatrzeni listem polecającym, jaki dał Gabusson, zapowiadając, wedle swego wyrażenia, najbardziej osobliwego i dziwnego „pasażera”.

— Jeżeli Samanon nie weźmie weksli — rzekł Gabusson — nikt ich wam nie zeskontuje.

W jednej osobie antykwarz na parterze, kupiec starzyzny na pierwszym piętrze, handlarz zakazanych rycin na drugim, Samanon trudnił się prócz tego pożyczaniem na fanty. Żadnej z Hoffmannowskich figur, żadnego ze złowrogich skąpców Waltera Scotta nie da się porównać z tym, co społeczna i paryska natura pozwoliła sobie stworzyć w tym człowieku, o ile w ogóle Samanon był człowiekiem. Lucjan nie mógł powstrzymać odruchu grozy na widok małego, zasuszonego starca, którego kości zdawały się przebijać skórę zupełnie wyschlą, upstrzoną żółtymi i zielonymi plamami, niby malowidło Tycjana albo Pawła Veronese⁴⁴² oglądane z bliska. Samanon miał jedno oko nieruchome i lodowate, drugie błyszczące i żywe. Skąpiec, który zdawał się posługiwać martwym okiem przy eskoncie, drugiego zaś używał przy sprzedaży bezwstydnym rycin, nosił nędzną, zrudziałą

Interes

Skąpiec

⁴⁴²Veronese, Paolo (1528–1588) — włoski malarz renesansowy. [przypis edytorski]

peruczkę, spod której wymykały się siwe włosy; żółte czoło miało wygląd groźny, policzki zapadały się nad kwadratowymi szczękami, zęby, jeszcze białe, sterczały z warg niby u ziewającego konia. Kontrast oczu i grymas ust, wszystko to dawało mu wyraz jakiejś dzikości. Twarda i kolczasta szczec na brodzie musiała być kłująca na kształt szpilek. Kusa, wyszarzała surducina, zetlona na hubkę, czarny spłowiwały halsztuk, wytarty od brody i odsłaniający szyję pomarszczoną jak u indyka, świadczyły, iż starzec niezbyt dbał o to, aby staranną toaletą okupić naturalne braki. Dziennikarze zastali go przy straszliwie brudnym biurku, zajętego przyklejaniem etykietek do jakichś starych, nabytych na licytacji książek. Wymieniwszy spojrzenie, w którym odbijały się tysiące pytań obudzonych istnieniem podobnej osobistości, Lucjan i Lousteau przywitali go, podając list Gabussona i weksle Fendanta i Cavaliere. Podczas gdy Samanon czytał, wszedł do ciemnego sklepu człowiek o twarzy zdradzającej wysoką inteligencję, ubrany w kusy tużurek⁴⁴³, który zdawał się wykrojony z blachy, tak był stwardniały od aliażu⁴⁴⁴ tysiąca obcych substancji.

— Potrzeba mi mego fraka, czarnych spodni i atłasowej kamizelki — rzekł do Samanona, podając kartkę z numerem.

Samanon pociągnął mosiężną rączkę dzwonka, na którego dźwięk zeszła kobieta, sądząc z bogactwa kolorów wyglądająca na Normandkę.

— Pożycz panu jego ubrania — rzekł, wyciągając rękę do pisarza. — Z panem to prawdziwa przyjemność robić interesy; ale jeden z pańskich przyjaciół przyprowadził mi młodego urwisa, który mnie diabelnie wykierował.

— Jego ktoś wykierował! — rzekł artysta do dziennikarzy, wskazując Samanona głęboko komicznym ruchem.

Ów wielki człowiek czynił tak, jak czynią lazarony⁴⁴⁵, aby wypożyczyć na dzień święteczny swoje ubranie z *monte di pietà*: złożył trzydzieści su, które żółta i popękana ręka eskontera zgarnęła i wpuściła do kasy.

— Cóż ty za osobliwy handel uprawiasz? — rzekł Lousteau do wielkiego artysty, który wydany na pastwę opium, pochłonięty kontemplacją zaczarowanych pałaców, nie chciał lub nie mógł tworzyć.

— Ten człowiek szacuje fanty o wiele wyżej niż bank pobożny, a co ważniejsze, ma to okropne miłosierdzie, iż pozwala odebrać odzież w ważnych okazjach — odparł. — Mam dziś być na obiedzie u Kellerów z moją kochanką. Łatwiej mi się wystarać o trzydzieści su niż o dwieście franków; przychodzę tedy wydobyć moją garderobę, która od pół roku przyniosła temu miłosiernemu lichwiarzowi sto franków. Samanon pożarł już moją bibliotekę tom po tomie.

— I grosz po groszu — uśmiechnął się Lucjan.

— Dam panu tysiąc pięćset franków — rzekł Samanon do Lucjana.

Lucjan cofnął się gwałtownie, jak gdyby eskonter zatopił mu w serce rozżarzony pręt żelazny. Samanon oglądał uważnie bilety, rozpatrując daty.

— A i to jeszcze — rzekł kupiec — musiałbym się rozmówić z Fendantem i przejrzyć jego książki. Pan nie jesteś wiele wart — rzekł do Lucjana — żyjesz z Koralią i meble masz zajęte.

Lousteau spojrział na Lucjana, który odebrał akcepty i wypadł ze sklepu, mówiąc:

— Czy to diabeł?

Poeta spoglądał przez kilka chwil na sklepik: był tak mizerny, przegródki z ponumerowanymi książkami były tak brudne i nędzne, iż na widok jego każdy przechodzień musiał się uśmiechnąć, pytając samego siebie: „Cóż za przemysł tu się uprawia?”

W kilka chwil wielki nieznajomy, który w dziesięć lat później miał brać udział w olbrzymim, mimo iż na kruchych podstawach opartym przedsięwzięciu saintsimonistów, wyszedł bardzo przyzwoicie ubrany, uśmiechnął się do dziennikarzy i skierował się wraz z nimi do pasażu Panoramy, aby tam uzupełnić toaletę, dając sobie wyszczotkować obuwie.

⁴⁴³tużurek — rodzaj dwurzędowego surduta z ciemnej wełny. [przypis edytorski]

⁴⁴⁴aliaż (daw.) — stop, mieszanina. [przypis edytorski]

⁴⁴⁵lazaron (daw., z wł. *lazzarone*) — bezdomny włóczęga uliczny, żebrak. [przypis edytorski]

— Kiedy się widzi Samanona wchodzącego do księgarni, papierni lub drukarni, to znaczy, iż wchodzi tam śmierć — rzekł artysta. — Samanon jest jak grabarz, który przychodzi brać miarę na trumnę.

— Nie zeskontujesz już akceptów — rzekł Stefan do Lucjana.

— Tam, gdzie Samanon odmawia — mówił nieznajomy — nikt nie przyjmuje, on jest *ultima ratio*⁴⁴⁶! To jeden z naganiaczy Gignoneta, Palmy, Werbrusta, Gobsecka i innych krokodyliów pływających po rynku Paryża, z którymi człowiek będący w drodze do zrobienia lub stracenia fortuny wcześniej lub później musi się spotkać.

— Jeżeli nie możesz zeskontować weksli po pięćdziesiąt za sto, trzeba je wymienić za gotówkę.

— A to jak?

— Daj Koralii, wpakuje je Camusotowi. Burzysz się — ciągnął Lousteau, widząc, iż Lucjan rzucił się gwałtownie. — Cóż za dzieciństwo! Czy możesz kłaść na szalę swoją przyszłość o podobne głupstwo!

— Tyle wiem, że te pieniądze zaniósę Koralii — rzekł Lucjan.

— Drugie głupstwo! — wykrzyknął Lousteau. — Nie załatasz nic czterystu frankami, gdzie potrzeba czterech tysięcy. Zachowaj tyle, aby było za co spać się w razie przegranej, i idź grać.

— Rada wcale roztropna — rzekł wielki nieznajomy.

O cztery kroki od Frascati⁴⁴⁷ słowa te miały magiczną siłę. Przyjaciele odprawili kabriolet i weszli do domu gry. Zrazu wygrali trzy tysiące franków, spadli z powrotem na pięćset, znów wygrali trzy tysiące siedemset; następnie spadli do pięciu franków, odnaleźli się w dwu tysiącach i rzucili na „parę”, aby je podwoić od jednego zamachu; „para” nie wyszła od pięciu obrotów, zaryzykowali więc całą sumę. „Niepara” wyszła jeszcze raz. Lucjan i Lousteau zbiegli tedy po schodach tego słynnego przybytku, straciwszy dwie godziny na morderczych wzruszeniach. Zachowali sto franków. Na schodach małego perystylu o dwu kolumnach podtrzymujących blaszany daszek, w który niejedno oko wpatrywało się z miłością lub rozpaczą, Lousteau rzekł, widząc rozplomienione oko Lucjana:

— Przejdźmy tylko pięćdziesiąt.

Wrócili. W godzinie doszli do tysiąca talarów; postawili cały tysiąc na „czerwone”, które przeszło już pięć razy, rachując na traf, który spowodował poprzednią przegraną. Wyszło „czarne”. Była szósta.

— Schowajmy na obiad tylko dwadzieścia pięć — rzekł Lucjan.

Nowa próba trwała krótko, dwadzieścia pięć franków utonęło w dziesięciu obrotach. Lucjan rzucił z wściekłością dwadzieścia pięć franków na cyfrę swoich lat i wygrał; nic nie zdoła opisać drżenia jego ręki, kiedy wziął grabki dla ściągnięcia talarów, które bankier rzucał po jednemu. Dał dziesięć ludwików Stefanowi i rzekł:

— Uciekaj do Véry’ego.

Lousteau zrozumiał, pobiegł zamówić obiad. Lucjan, zostawszy sam, postawił całe trzydzieści ludwików na „czerwone” i wygrał. Ośmielony tajemnym głosem, jaki słyszą niekiedy gracze, zostawił wszystko na „czerwonym” i wygrał: uczuł w żołądku palenie jakby rozżarzonych węgli! Mimo głosu przesunął sto dwadzieścia ludwików na „czarne” i przegrał. Doznał wówczas rozkosznego uczucia, jakie następuje u graczy po straszliwych wzruszeniach, kiedy nie mając już nic do rzucenia na stół, opuszczają płomienisty pałac, gdzie się trawią ich ulotne marzenia. Znalazł Stefana u Véry’ego, gdzie, jak powiada La Fontaine, zanurzył się w rozkoszach kuchni i utopił zgryzoty w winie. O dziewiątej był tak pijany, że nie mógł zrozumieć, czemu odźwierna z ulicy Vendôme odsyła go na ulicę de la Lune.

— Panna Koralia opuściła apartament i przeniosła się do domu, którego adres wypisano tutaj.

Lucjan, zbyt pijany, aby się czemukolwiek dziwić, wrócił do fiakra: kazał się zawieźć na ulicę „księżycową”⁴⁴⁸, w myśli płodząc kalambury na temat tego miana. W ciągu po-

⁴⁴⁶*ultima ratio* (łac.) — ostatni argument, środek ostateczny. [przypis edytorski]

⁴⁴⁷*Frascati* (*café Frascati*) — lokal przy bulwarze Montmartre w Paryżu, mieścił elegancką restaurację i dom hazardu. [przypis edytorski]

⁴⁴⁸ulica „księżycowa” — wspomniana ulica de la Lune (fr. *la lune*: księżyc). [przypis edytorski]

ranka gruchnęła upadłość Panorama-Dramatique. Aktorka, przerażona, sprzedawała czym prędzej, za zgodą wierzycieli, całe urządzenie staruszkowi Cardot, który, aby nie zmieniać przeznaczenia apartamentu, pomieścił w nim Florentynę. Koralia zapłaciła, zlikwidowała wszystko i zaspokoili właściciela. Przez czas potrzebny do tej operacji, którą Berenice nazywała „wielkim praniem”, wierna sługa urządziła przy pomocy nabytych okazjnie najniezbędniejszych mebli trzy pokoiki na czwartym piętrze przy ulicy de la Lune, o dwa kroki od Gymnase. Koralia oczekiwała Lucjana, ocaliwszy z tego rozbicia swą miłość bez skazy i woreczek z tysiąc dwustoma frankami. Pod wpływem pijaństwa Lucjan opowiedział swoje nieszczęścia.

— Dobrze zrobiłeś, aniele — rzekła aktorka, tuląc go. — Berenice potrafi wpakować twoje weksle Braulardowi.

Nazajutrz rano Lucjan obudził się w upajających rozkoszach, jakimi obsypała go Koralia. Aktorka dwoiła swą miłość i tkliwość, jak gdyby chcąc skarbami serca wynagrodzić niedostatek. Była czarująca z włosami wymykającymi się spod fularu, biała i świeża, ze śmiejącymi się oczami, ze szczebiotem wesołym jak promień wschodzącego słońca, które wdarło się przez okna, aby ozłocić tę uroczą nędzę. Pokój, jeszcze schludny, obity był zielonkawym papierem z czerwoną obwódką, ozdobiony dwoma lustrami, jednym w ramie kominka, drugim nad komodą. Nabyty okazjnie dywan, który Berenice wbrew woli Koralii kupiła za własne grosze, okrywał nagą i zimną podłogę. Garderoba kochanków mieściła się w szafie z lustrem i w komodzie. Mahoniowe meble pokryte były niebieską bawełną. Berenice ocaliła z rozbicia zegar, dwie porcelanowe wazy, cztery srebrne nakrycia i pół tuzina łyżeczek. Jadalnia, która znajdowała się obok sypialni, przypominała mieszkanie urzędnika o tysiącu dwustu frankach pensji. Kuchnia wychodziła na korytarz. Berenice sypiała o pięterko wyżej, na poddaszu. Czynn wynosił nie więcej niż sto talarów. Ten ohydny dom miał bramę wjazdową tylko z pozoru. Odźwierny mieszkał w małej norze z wybitym na schody okienkiem, przez które nadzorował siedemnastu lokatorów. Ul taki nazywa się w stylu notarialnym „domem czynszowym”. Lucjan znalazł biurko, fotel, atrament, pióra i papier. Wesołość Berenice, która liczyła na debiut Koralii w Gymnase, radosny szczebiot aktorki oglądającej rolę — spory kajecik związany niebieską wstążką — rozpędziły niepokój i smutek wytrzeźwionego poety.

— Byleby w świecie nie dowiedziano się o tej degrengoladzie⁴⁴⁹ — rzekł — damy sobie jakoś radę. Ostatecznie, mamy przed sobą cztery tysiące pięćset franków! Wyzyskam moją nową pozycję w dziennikach rojalistycznych. Jutro inaugurujemy „Jutrzenkę”; znam się już na dziennikarstwie, ja im pokażę!

Koralia, która widziała w tych słowach jedynie miłość, ucałowała usta, które je wy mówiły. W tej chwili Berenice nakryła stół przy kominku i podała skromne śniadanko złożone z jajecznicy, dwóch kotletów i kawy ze śmietanką. Ktoś zapukał. Trzej szczerzy przyjaciele, d'Arthez, Leon Giraud i Michał Chrestien, ukazali się zdziwionym oczom Lucjana, który żywo wzruszony prosił, by podzielili z nim śniadanie.

— Nie — rzekł d'Arthez. — Przychodzimy dla spraw poważniejszych niż proste słowa pociechy. Wiemy wszystko, wracamy z ulicy Vendôme. Znasz moje zapatrywania, Lucjanie. W każdej innej okoliczności cieszyłbym się widząc, iż podzielasz moje przekonania polityczne; ale w sytuacji, w jakiej się postawiłeś, pisując w liberalnych dziennikach, nie mógłbyś przejść do naszych szeregów bez splamienia na zawsze swego charakteru i skalania egzystencji. Przychodzimy cię zaklinać w imię naszej przyjaźni, mimo iż się rozluźnia, abyś się nie plamił w ten sposób. Atakowałeś romantyków, prawicę i rząd; nie możesz obecnie bronić rządu, prawicy i romantyków.

— Pobudki, które każą mi tak czynić, wynikają z wyższej kategorii pojęć; cel usprawiedliwi wszystko — rzekł Lucjan.

— Nie rozumiesz może obecnej sytuacji — rzekł Leon Giraud. — Rząd, dwór, Burboni, stronnictwo absolutystyczne albo, jeżeli chcesz wszystko zamknąć w ogólnym wyrażeniu, system antykonstytucyjny, który dzieli się na kilka frakcji, całkowicie rozbieżnych, gdy chodzi o środki zwalczania rewolucji, jest co najmniej w zgodzie co do ko-

Dom

⁴⁴⁹ *degrengolada* — upadek moralny lub materialny, stoczenie się. [przypis edytorski]

nieczności okiełzania prasy. Założenie „Jutrzenki”, „Pioruna”⁴⁵⁰, „Białego Sztandaru”⁴⁵¹, trzech dzienników przeznaczonych do odgryzania się potwarzom, obelgom, szyderstwom prasy liberalnej (czego bynajmniej nie pochwalam, i to właśnie niezrozumienie wielkości naszego posłannictwa skłoniło nas do założenia godnego i poważnego dziennika, który rychło zdobędzie sobie posłuch) — rzekł Leon, czyniąc nawias — otóż ta rojalistyczna i ministerialna artyleria jest pierwszą próbą represaliów⁴⁵², podjętych, aby liberałom oddać cios za cios, ranę za ranę. Cóż myślisz, iż stąd wyniknie, Lucjanie? Abonenci są w przewadze po lewicy. W prasie, jak na wojnie, zwycięstwo będzie po stronie silnych batalionów. Ty będziesz należał do bezecznych, kłamców, wrogów ludu; tamci będą obrońcami ojczyzny, ludźmi honoru, męczennikami, mimo iż bardziej może obłudni i przewrotni od was. Środek ten pomnoży zgubny wpływ prasy, uprawniając i uświęcając jej najwstrętniejsze metody. Zniewagi i wycieczki osobiste staną się jednym z jej praw publicznych, przyjętym dla uciechy abonentów i siłą obustronnej praktyki utrwalonym jako niewzruszony obyczaj. Kiedy zło ujawni się w całej rozciągłości, prawa ograniczające prasę, cenzura, wprowadzona po zabójstwie księcia de Berry i uchylona od czasu otwarcia Izby, powróci. Czy wiesz, co lud francuski wyciągnie za wniosek z tego sporu? Da ucho podszeptom liberałów, uwierzy, że Burboni chcą zaczepić istotne zdobycze rewolucji, a pewnego pięknego dnia powstanie i wypędzi Burbonów. Nie tylko ty splamisz swoje życie, ale znajdziesz się w szeregach zwyciężonych. Jesteś zbyt młody, zbyt nowy w prasie, zbyt mało znasz jej tajemnych sprzężyn; obudziłeś zbyt wiele zazdrości, aby się oprzeć ogólnej nagonce, jaka zacznie się przeciw tobie w prasie postępowej. Wpadniesz w wir furii stronnictw, które są jeszcze w paroksyzmie gorączki; z tą różnicą, iż od brutalnych postępów w roku tysiąc osiemset piętnastym i tysiąc osiemset szesnastym⁴⁵³ gorączka ich przeszła w idee, w walkę na słowa w Izbie i w polemikę prasy.

— Moi przyjaciele — rzekł Lucjan — nie jestem dudkiem ani „poetą”, jakiego chcecie widzieć we mnie. Co bądź by się mogło zdarzyć, zdobędę korzyść, jakiej triumf partii liberalnej nie dałby mi nigdy. Kiedy wy zwyciężycie, moja sprawa będzie gotowa.

— Obetniemy ci... włosy — rzekł, śmiejąc się Michał Chrestien.

— Będę miał wówczas dzieci — odparł Lucjan — i choćbyście mi ucięli głowę, będzie to bez znaczenia.

Trzej przyjaciele nie zrozumieli Lucjana, u którego stosunki z wielkim światem rozwinęły w najwyższym stopniu dumę rodową i arystokratyczne próżnostki. Poeta widział, słusznie zresztą, olbrzymią fortunę w swej urodzie i talencie, popartych nazwiskiem i tytułem hrabiego de Rubempré. Panie d'Espard, de Bargeton i de Montcornet trzymały go tą nitką, jak dziecko trzyma chrząszcza. Lucjan fruwał już tylko w ograniczonym kole. Te słowa: „Jest nasz, jest dobrze myśłący!” — powiedziane trzy dni przedtem w salonie panny des Touches, upoiły go zarówno jak powinszowania książąt de Lenoncourt, de Navarreins i de Grandlieu, Rastignaca, Blondeta, pięknej księżnej de Maufrigneuse, hrabiego d'Esgrignon, pana des Lupeaulx, najwpływowszych i najlepiej widzianych wśród członków partii rojalistycznej.

— Ano, powiedzieliśmy wszystko — rzekł d'Arthez. — Trudniej ci będzie niż komukolwiek zachować czystość pióra i własny szacunek. Będziesz bardzo cierpiał, o ile cię znam, kiedy uczujesz wzgardę tych właśnie, którym się sprzedasz.

Pożegnali Lucjana bez przyjacielskiego uścisku dłoni, Lucjan pozostał przez kilka chwil zamyślony i smutny.

— Ech! Zostawże tych dudków — rzekła Koralia, wskazując mu na kolana i zaplatając piękne, świeże ramiona dokoła szyi poety — oni biorą życie serio, a życie to żart. Zresztą będziesz hrabią Lucjanem de Rubempré. Jeżeli będzie trzeba, obrobię figury z kancelarii. Wiem, jak się wziąć do tego rozpustnika des Lupeaulx: postara się o dekret. Czy ci nie

⁴⁵⁰ „Piorun” — „La Foudre”, ultraroyalistyczna gazeta paryska, wydawana w l. 1821–1823. [przypis edytorski]

⁴⁵¹ „Biały Sztandar” — „Le Drapeau Blanc”, rojalistyczny dziennik paryski, wydawany w l. 1819–1827. [przypis edytorski]

⁴⁵² *represalia* — środki odwetowe stosowane przez państwo w odpowiedzi na bezprawną działalność innego państwa. [przypis edytorski]

⁴⁵³ *brutalne postępy w roku 1815 i 1816* — tzw. biały terror, masowe wyroki śmierci i mordy dokonywane na republikanach i bonapartystach przez władze i zbrojne grupy rojalistyczne po ostatecznym upadku Napoleona, głównie na południu Francji. [przypis edytorski]

powiedziałam, że kiedy ci będzie brakowało jednego stopnia, aby osiągnąć cel, możesz postawić nogę na trupie Koralii?

Nazajutrz Lucjan pozwolił umieścić swoje nazwisko między współpracownikami „Ju-trzenki”. Nazwisko to otrąbiono jako zdobycz w prospekcie rozrzuconym, za staraniem ministerium, w stu tysiącach egzemplarzy. Lucjan stawiał się na triumfalnej wieczerzy, która trwała dziewięć godzin, u Roberta, o dwa kroki od Frascati. Brali w niej udział koryfeusze prasy rojalistycznej: Martainville, Auger, Destains⁴⁵⁴ i mnóstwo żyjących jeszcze autorów, którzy w owym czasie, wedle uświęconego wyrażenia, „budowali monarchię i religię”.

— Damy im bobu, panom liberałom! — wołał Hektor Merlin.

— Panowie — odparł Natan, który zaciągnął się pod tę flagę, sądząc trafnie, iż w karierze teatralnej, o której myślał, lepiej jest mieć władzę za sobą niż przeciw — jeżeli robimy z nimi wojnę, róbmyż ją serio; nie strzelajmy kulkami z chleba! Atakujmy wszystkich pisarzy klasycznych i liberalnych bez różnicy płci i wieku, przepuśćmy wszystkich przez ostrze naszego języka i nie dawajmy pardonu⁴⁵⁵.

— Bądźmy honorowi, nie dajmy się brać na egzemplarze, podarki, pieniądze księgarzy. Stwórzmy odrodzenie dziennikarstwa.

— Brawo! — rzekł Martainville. — *Justum et tenacem propositi virum!*⁴⁵⁶ Bądźmy nieubłagani i kąśliwi! Zrobię z Lafayette’a⁴⁵⁷ to, czym jest: pajaca!

— Ja — rzekł Lucjan — biorę na siebie bohaterów „Constitutionnela”, sierżanta Merciera⁴⁵⁸, *Dzieła wszystkie* pana de Jouy, znamienitych mówców lewicy!

O pierwszej z rana dziennikarze, którzy utopili wszystkie swoje odcienie myśli w płomienistym ponczu, zawotowali jednogłośnie walkę na śmierć i życie.

— Urzędnicy się monarchiczno-religijnie — rzekł na odchodnym jeden z najsławniejszych romantyków.

To historyczne powiedzenie puszczane w kurs przez księgarza, który też uczestniczył w biesiadzie, ukazało się nazajutrz w „Zwierciadle”, ale zdradę przypisano Lucjanowi.

Odstępstwo to dało sygnał do strasznego harmideru w dziennikach liberalnych. Lucjan stał się codziennym łupem; kluto go szpileczkami w najokrutniejszy sposób; opowiadano nieszczęsne koleje jego sonetów, powiadomiono publicznie, że Dauriat wołał stracić tysiąc talarów niż je drukować, nazywano go „poetą bez sonetów”!

Jednego ranka, w tym samym dzienniku, w którym zadebiutował tak świetnie, Lucjan przeczytał następujących kilka wierszy, napisanych wyłącznie dla niego, dla publiczności bowiem koncept ten był niezrozumiały:

*** Jeżeli księgarz Dauriat nadal będzie się upierał nie drukować sonetów
przyszłego francuskiego Petrarki, postąpimy sobie jak szlachetni wrogowie,
otworzymy nasze szpalty tym utworom. Muszą być interesujące, sądząc po
próbce, której udzielił nam jeden z przyjaciół autora.

I pod tą straszną zapowiedzią poeta przeczytał następujący sonet, który oblał gorącymi łzami:

W wytwornym, pełnym kwiatów błyszczących ogrodzie
Zeszła roślinka, nikła dość i podła; ale
Głosząc swe przyszłe blaski, zaczęła zuchwale
Cuda prawić o swoim szlacheństwie i rodzie.

⁴⁵⁴Martainville, Auger, Destains — Alphonse Martainville (1776–1830): francuski dziennikarz polityczny i dramaturg, redaktor „Białego Sztandaru”; Luis Simon Auger (1772–1829): francuski dziennikarz, krytyk literacki i dramaturg, przeciwnik romantyzmu, w czasach Restauracji współpracownik pism rojalistycznych i cenzor królewski; Eugène Destains (1793–1830): francuski pisarz i dziennikarz. [przypis edytorski]

⁴⁵⁵pardon (daw.) — oszczędzenie przeciwnika w walce. [przypis edytorski]

⁴⁵⁶Justum et tenacem propositi virum... (łac.) — początek ody Horacego (*Ody* III, 3, 1): Męża sprawiedliwego i niewzruszonego... (nikt nie zwiędzie z drogi i nic nim nie zachwieje). [przypis edytorski]

⁴⁵⁷Lafayette, Marie-Joseph de (1757–1834) — francuski polityk, liberał i dowódca wojskowy, uczestnik wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Rewolucji Francuskiej i rewolucji lipcowej; podczas Restauracji należał do liberalnych członków Izby Deputowanych. [przypis edytorski]

⁴⁵⁸sierżant Mercier — dowódca oddziału Gwardii Narodowej, który 4 marca 1823 odmówił wykonania rozkazu usunięcia z sali obrad Izby Deputowanych posła Jacques’a Antoine’a Manuela, wykluczonego przez rojalistyczną większość za ostrą krytykę rządu, planującego interwencję wojskową w Hiszpanii. [przypis edytorski]

Cierpiano ją; gdy jednak niewdzięczne nasienie
Zaczęło żyć bez sromu⁴⁵⁹ swe zacniejsze siostry,
Uczyniono sąd nad nią: wyrok, niezbyt ostry,
Orzekł, iżby poparła swoje pochodzenie.

Wówczas zakwitła. Ale nigdy na jarmarku
Kuglarza nie wydrwiono tak szpetnie, jak ową
Nowalię, która, w rzeczy, była zielskiem prostym;

Ogrodnik, idąc, prętem nadkręcił jej karku,
Nad grobem jej li osieł zaryczał grobowo,
Bo też ten rajski kielich był zwyczajnym ostem⁴⁶⁰.

Vernou robił aluzję do namiętności Lucjana do gry i napiętnował zawczasu *Gwardzi-
stę* jako utwór antynarodowy, w którym autor bierze stronę katolickich zbirów przeciw
kalwińskim ofiarom. W ciągu tygodnia wojna zaostrzyła się. Lucjan liczył na swego przy-
jaciela Lousteau, który mu był winien tysiąc franków i z którym miał tajne układy; ale
Lousteau stał się zaciętym wrogiem Lucjana. Oto jak. Od trzech miesięcy Natan kochał
się we Florynie i nie wiedział, jak sprzątnąć ją Stefanowi, dla którego zresztą dziewczyna
ta była opatrnością. Wśród nędzy i rozpacz, w jakiej znajdowała się aktorka pozbawio-
na *engagement*, Natan, współpracownik Lucjana, zaszedł do Koralii i poprosił ją, by się
wystarała dla Floryny o rolę w jego sztuce, sam podejmując się wyrobić jej warunko-
we miejsce w Gymnase. Floryna, parta ambicją, nie zawahała się. Miała czas poznać do
gruntu Stefana Lousteau. Natan był to człowiek ambitny literacko i politycznie, człowiek,
który miał tyleż energii, co potrzeb, gdy u Stefana nałogi zabijały wolę. Aktorka, która
chciała wrócić na widownię w nowym blasku, wydała listy drogisty Natanowi, Natan zaś
zmusił Matifata do odkupienia ich za upragnioną przez Finota szóstą część dziennika.
Floryna najęła wówczas wspaniały apartament przy ulicy Hauteville i przyjęła protekto-
rat Natana w obliczu całego dziennikarstwa i teatru. Wydarzenie to tak strasznie zraniło
Stefana, iż płakał pod koniec obiadu, jaki przyjaciele wydali, aby go pocieszyć. Wśród
tej orgii biesiadnicy osądzili, że Natan był w porządku. Dziennikarze, jak Finot i Ver-
nou, znali miłość dramaturga do Floryny; ale, zdaniem wszystkich, Lucjan, pośrednicząc
w tej sprawie, chybił najświętszym prawom przyjaźni. Duch partii, chęć usłużenia no-
wym przyjaciółom, będące jego pobudką, czyniły ten postępek świeżego rojalisty nie do
wybaczenia.

— Natan działał uniesiony logiką namiętności, gdy wielki człowiek z prowincji, jak
go nazywa Blondet, powodował się rachunkiem! — wykrzykiwał Bixiou.

Toteż zagładę Lucjana, intruza, chłystka, który chciał połknąć ich wszystkich, po-
stanowiono jednogłośnie i obmyślono ją głęboko. Vernou, który nienawidził Lucjana,
podjął się szcuć go do upadłego. Aby się uchylić od zapłacenia Stefanowi tysiąca ta-
larów, Finot oskarżył Lucjana, że przeszkodził mu zarobić pięćdziesiąt tysięcy, wydając
Natanowi sekret akcji wymierzonej przeciw drogiście. Natan, za radą Floryny, zachował
sobie Finota, odprzedając mu jego upragnioną „szóstą” za piętnaście tysięcy. Lousteau,
który stracił tysiąc talarów, nie darował Lucjanowi tej szczyrby. Rany miłości własnej
stają się nieuleczalne, skoro wsączy się w nie kwas straty pieniężnej. Żadne wyrażenie,
żaden obraz nie oddadzą wściekłości, jaka chwyta pisarzy, kiedy ich miłość własna cierpi,
ani energii, jaką znajdują w chwili, gdy ich draśnię zatruta strzała szyderstwa. Ci, któ-
rych energia i opór potęgują się pod wpływem ataku, ulegają rychło. Ludzie spokojni,
którzy obmyślają zemstę dopiero po głębokim zapomnieniu, w jakim utonie obelżywy
artykuł, ci okazują w literaturze prawdziwy hart ducha. Dlatego słabi na pierwszy rzut
oka wydają się silni; ale ich opór trwa tylko chwilę. Pierwsze dwa tygodnie Lucjan, roz-
wścieczony, sypał istny grad artykułów w rojalistycznych dziennikach, gdzie dzielił ciężar

⁴⁵⁹srom (daw.) — wstyd. [przypis edytorski]

⁴⁶⁰ten rajski kielich był zwyczajnym ostem — w oryginale wykorzystano dosłowne znaczenie nazwiska bohatera:
fr. *chardon*: oset. [przypis edytorski]

krytyki z Hektorem Merlinem. Codziennie na wyłomie „Jutrzenki” skrzył się ogniem całego swego talentu, wspomagany przez Martainville’a, jedyne go człowieka, który wspierał go bez ubocznej myśli i którego nie wprowadzono w sekret paktów przypieczętowanych żartobliwie przy butelce lub u Dauriata, za kulisami wreszcie, między dziennikarzami dwóch stronnictw, których sekrety rzemiosła łączyły zawsze potajemnie. Kiedy Lucjan ukazywał się w *foyer* Wodewilu, nie traktowano go z koleżeńską; jedynie ludzie z jego stronnictwa podawali mu rękę, podczas gdy Natan, Hektor Merlin, Teodor Gaillard kumali się bez sromu z Finotem, Lousteau, Vernou i paroma innymi, uznanymi za „dobrych chłopców”. W owej epoce *foyer* Wodewilu stanowiło główną kwaterę plotek literackich, rodzaj buduaru, gdzie zachodzili ludzie wszystkich stronnictw, politycy i rządowcy. Po reprimendzie udzielonej w pewnym wysokim trybunale, prezydent, który zarzucił jednemu ze swych kolegów, iż zamiata togą deski kulis, sam spotkał się z połajaniem „toga w togę” w *foyer* w Wodewilu. Lousteau z Natanem podali tam wreszcie sobie ręce, Finot przychodził tam prawie co wieczór. Kiedy Lucjan miał czas, studiował tam nastrój swych wrogów; nieszczęśliwy chłopiec spotykał zawsze nieubłagany chłód.

W owym czasie zjadliwość stronnictwa rodziła nienawiści o wiele poważniejsze niż dzisiaj. Na dłuższą metę wszystko osłabiło się przez zbyt napięte sprężyny. Dziś krytyka, uczyniwszy *auto da fé*⁴⁶¹ z książką pisarza, podaje mu rękę. Ofiara musi uściskać ofiarnika pod grozą śmieszności. W razie odmowy pisarz zowie się antyspołeczny, niemożliwy w pożyciu, źle wychowany, przesiąknięty miłością własną, nieprzystępny, niekoleżeński, obraźliwy. Dziś, kiedy autor otrzymał zdradziecki cios w plecy, kiedy uniknął zastawionych z bezwstydną obłudą pułapek, kiedy zniósł najgorsze napaści, patrzy, jak jego mordercy przychodzą mu rzec dzień dobry i mają pretensje do jego szacunku, ba, przyjaźni! Wszystko tłumaczy się i usprawiedliwia w epoce, w której przerobiono cnotę na występki, tak jak ochrzczono niektóre występki cnotami. Kamaraderia⁴⁶² stała się najświętszą ze swobód. Przywódcy najsprzeczniejszych obozów mówią ze sobą grzecznymi półsłówkami, uprzejmymi aluzjami. W owym czasie, jeżeli kto jeszcze pamięta, dla pewnych pisarzy rojalistycznych i pewnych pisarzy liberalnych odwagą było znaleźć się w jednym teatrze. Padły najnienawistniejsze wyzwiska. Spojrzenia były naładowane jak pistolety, lada iskra mogła spowodować wystrzał, sprzeczki. Któż nie słyszał, jak sąsiad jego klnie przez zęby za wejściem kilku ludzi specjalnie wystawionych na ataki przeciwnego stronnictwa? Istniały wówczas jedynie dwie partie, rojalistów i liberalów, romantyków i klasyków, ta sama nienawiść pod dwiema formami, nienawiść, która pozwala zrozumieć szafoty Konwentu. Lucjan, stawszy się zaciekle rojalistą i romantykiem, z liberała i zagorzałego wolterianina, jakim był w początkach, odczuł ciężar wszystkich nienawiści unoszących się nad głową człowieka najbardziej znienawidzonego liberałom owej epoki, Martainville’a, jedyne go, który go bronił i lubił. Solidarność ta zaszkodziła Lucjanowi. Stronnictwa są niewdzięczne wobec własnych patroli, opuszczają chętnie swoich strażników. W polityce zwłaszcza, dla tych, którzy chcą *dojść*, ważne jest, aby szli z korpusem armii. Główną złośliwością małych dziennikarzy było sparzyć Lucjana i Martainville’a. Liberalizm rzucił ich sobie w ramiona. Ta fałszywa czy prawdziwa przyjaźń ściągnęła na nich obu artykuły napisane żółcią Felicjana, rozjadłego powodzeniem Lucjana w „świecie” i wierzącego, jak wszyscy dawni koledzy, w jego bliskie wywyższenie. Rzekomą „zdradę” poety zatruto tedy i ubrano w najbardziej obciążające okoliczności. Lucjana nazwano małym Judaszem, a Martainville’a wielkim Judaszem, Martainville’a bowiem oskarżono, słusznie czy nie, że wydał swego czasu most w Pecq⁴⁶³ armiom nieprzyjacielskim... Lucjan zauważył, śmiejąc się do pana des Lupeaulx, iż co do niego, wydał z pewnością swoim przyjaciołom *most osli*⁴⁶⁴. Zbytek Lucjana, mimo iż fałszywy i oparty na kredycie, drażnił jego przyjaciół, którzy nie mogli mu darować ani wykwintnego pojazdu, dla nich

⁴⁶¹*auto da fé* (port.: akt wiary) — końcowy etap procesu inkwizycyjnego: publiczna deklaracja potwierdzenia lub odrzucenia religii katolickiej przez oskarżonego przed jego spaleniem na stosie; uroczyste spalenie na stosie heretyka lub dzieła heretyckich. [przypis edytorski]

⁴⁶²*kamaraderia* a. *kameraderia* (daw.) — zażyłość koleżeńską, koleżeństwo. [przypis edytorski]

⁴⁶³*most w Pecq* — drewniany most we wsi Pecq, po którym 1 lipca 1815 armie Wellingtona i Blüchera przeszły przez Sekwanę. [przypis edytorski]

⁴⁶⁴*osli most* — zapewne aluzja do popularnej anegdoty: król Filip Macedoński na wiadomość, że pewne miasto jest nie zdobycia, miał zapytać, czy nie ma do niego ścieżki dość szerokiej, by zmieścić się osioł obciążony złotem. [przypis edytorski]

bowiem rozpierał się w nim wciąż jeszcze, ani przepychów z ulicy Vendôme. Wszyscy czuli instynktownie, że człowiek młody i piękny, inteligentny i zepsuty przez nich może dojść do wszystkiego; toteż aby go obalić, wprawili w ruch wszystkie środki.

Na kilka dni przed występem Koralii w Gymnase Lucjan wszedł pod ramię z Hektorem Merlinem do *foyer* Wodewilu. Merlin wyrzucał przyjacielowi, iż popierał Natana w sprawie z Floryną.

— Zrobiłeś sobie tak z Lousteau, jak z Natana śmiertelnych wrogów. Dawałem ci dobre rady; nie skorzystałeś z nich. Rozdawałeś pochwały i siałeś dobrodziejstwa, będziesz okrutnie ukarany za swe dobre uczynki. Floryna i Koralia nigdy nie będą na jednej scenie żyły w zgodzie: jedna będzie chciała zgasić drugą. Masz tylko nasze pisma, aby bronić Koralii; Natan, poza przewagą, jaką daje mu autorstwo, rozporządza w kwestiach teatru dziennikami liberalnymi i jest w prasie nieco dłużej od ciebie.

Zdanie to odpowiadało tajemnym obawom Lucjana, który nie znajdował ani u Natana, ani u Gaillarda szczerości, do jakiej miał prawo; ale nie mógł się skarżyć; był tak świeżo nawrócony! Gaillard miażdżył Lucjana, mówiąc, że nowi przybysze muszą długi czas przebywać próbę, nim stronnictwo będzie mogło im zaufać. Poeta spotkał w łonie rojalistycznych i ministerialnych dzienników zazdrość, o jakiej nie śnił, zazdrość, która objawia się u wszystkich ludzi w obliczu kłaska do podziału i czyni ich podobnymi do psów gryzących się o żer: te same warczenia, ta sama postawa, natura. Płatali jedni drugim tysiące tajemnych sztuczek, aby sobie zaszkodzić w oczach władzy, oskarżali się o brak gorliwości, i dla pozbycia się konkurenta wymyślali najprzewrotniejsze machinacje. Liberalowie, z dala od władzy i faworów, nie mieli żadnego powodu do walk wewnętrznych. Widząc tę skłębioną sieć ambicji, Lucjan nie miał ani dość odwagi, aby dobyć szpady i rozciąć jej węzły, ani też nie czuł w sobie cierpliwości, aby je rozplątywać; nie umiał być ani Aretinem, ani Beaumarchais'm, ani Fréronem⁴⁶⁵ swojej epoki, trwał w jednym pragnieniu: uzyskać swój dekret, rozumiał bowiem, iż ta restytucja przyniesie mu korzystne małżeństwo. Przyszłość zależeć będzie wówczas jedynie od przypadku, któremu przyjdzie w pomoc jego uroda. Lousteau, który objawił mu tyle zaufania, posiadał jego sekret; dziennikarz wiedział, gdzie zranić śmiertelnie poetę z Angoulême, toteż w dniu, w którym Merlin przyprowadził Lucjana do Wodewilu, Stefan zastawił mu straszliwą pułapkę, w którą ten dzieciak miał się złapać i runąć.

— Oto nasz piękny Lucjan — rzekł Finot, pociągając referendarza des Lupeaulx, z którym gwarzył, w stronę poety, któremu ścisnął ręce z wylewem serdecznej przyjaźni. — Nie znam przykładu równie szybkiego triumfu — rzekł Finot, spoglądając kolejno na Lucjana i na referendarza. — W Paryżu fortuna jest dwojakiego rodzaju: albo materialna, pieniądze, które każdy może zdobyć, albo moralna, stosunki, pozycja, wstęp do świata niedostępnego dla pewnych osób, bez względu na majątek. Otóż mój młody przyjaciel...

— *Nasz przyjaciel* — poprawił des Lupeaulx, rzucając Lucjanowi serdeczne spojrzenie.

— Nasz przyjaciel — podjął Finot, ściskając rękę Lucjana — wyciągnął pod tym względem świetny los. Co prawda, Lucjan ma więcej zasobów, talentu, dowcipu niż wszyscy, którzy mu zazdroszczą; następnie ta jego bajeczna uroda... Dawni przyjaciele nie mogą mu przebaczyć powodzenia, powiadają, że ma szczęście.

— Tego rodzaju szczęście — rzekł des Lupeaulx — nie zdarza się nigdy głupcem ani niezdarem. Ba! Czyż można nazwać szczęściem los Bonapartego? Było przed nim dwudziestu generałów dowodzących armią we Włoszech, jak obecnie jest stu młodych ludzi chcących się dostać do salonu panny des Touches, którą już swatają z tobą, mój drogi — rzekł des Lupeaulx, klepiąc po ramieniu Lucjana. — Och! Och! Jesteś w wielkich łaskach. Panie d'Espard, de Bargeton i de Montcornet szaleją za tobą. Wszak jesteś dziś wieczór na balu u pani Firmiani, a jutro na raucie u księżnej de Grandlieu?

— Tak — rzekł Lucjan.

— Pozwól, że ci przedstawię młodego bankiera, pana du Tillet, człowieka godnego ciebie. Umiał sobie w krótkim przeciągu czasu zdobyć ładne stanowisko.

⁴⁶⁵Fréron, Louis-Marie-Stanislas (1754–1802) — francuski polityk i dziennikarz; od 1790 redagował radykalną gazetę „Orateur du Peuple” (Mówca ludowy), wyróżniającą się ostrością ataków na monarchię, po obaleniu rządów Robespierre’a w 1794 prezentował w niej z kolei agresywny antyjakobinizm. [przypis edytorski]

Lucjan i du Tillet skłonili się, zawiązali rozmowę, bankier zaprosił Lucjana na obiad. Finot i des Lupeaulx, równie szczerwani i dosyć znający się wzajem, aby zawsze zostać przyjaciółmi, niby ciągnęli dalej zaczęłą rozmowę; zostawili Lucjana, Merlina, du Tilleta i Natana i przeszli w stronę kanapki w rogu *foyer*.

— He, he! Drogi przyjacielu — rzekł Finot — powiedz mi pan prawdę! Czy pozycję Lucjana można brać serio? Wiesz pan, iż stał się on codzienną pastwą moich panów pisarzy; otóż, nim dam im wolną rękę, chciałem się pana poradzić, czy nie lepiej byłoby schować puginał⁴⁶⁶ do pochwy i wspierać go po cichu.

Tu referendarz i Finot spojrzeli po sobie, czyniąc dłuższą pauzę, z głęboką uwagą.

— Jak to, drogi panie — rzekł des Lupeaulx — czy pan sobie wyobraża, że margrabia d'Espard, baron du Châtelet i pani de Bargeton, która postarała się dla barona o prefekturę i tytuł hrabiego, aby sobie zgotować triumfalny powrót do Angoulême, przebaczą Lucjanowi jego napaści? Pchnęli go w rojalizm, aby go unicestwić. Dziś szukają pozorów, aby odmówić tego, co przyrzekli temu dzieciakowi; znajdzie pan! Oddasz obu paniom ogromną przysługę: przyjdzie dzień, że przypomną sobie o tym. Posiadam sekret tych dwóch dam; nienawidzą Lucjana tak, że aż mnie to zdumiało. Lucuś mógł się pozbyć najsrozszej nieprzyjaciółki, pani de Bargeton, niechając⁴⁶⁷ ataków jedynie pod warunkami, jakim wszystkie kobiety lubią się poddawać, rozumie pan? Jest młody, piękny, byłby utopił tę nienawiść w potokach miłości, zostałby wówczas hrabią de Rubempré, Rybka byłaby mu uzyskała miejsce przy osobie króla, jakieś synekury! Lucjan to był materiał na bardzo miłego lektora dla Ludwika XVIII, byłby bibliotekarzem, nie wiem już gdzie, referendarzem świeżego powietrza, dyrektorem jakichś tam Drobnych Przyjemności⁴⁶⁸. Głuptas spudłował zupełnie. Może tego nie chcą mu przebaczyć. Miał podyktować warunki przyjął je. W dniu, w którym Lucjan dał się złapać na obietnicę dekretu, Châtelet uczynił wielki krok. Koralia zgubiła tego chłopca. Gdyby nie żył z aktorką, zapłonąłby na nowo do Rybki i byłby ją dostał.

— Zatem możemy go uprzętnąć — rzekł Finot.

— Jak? — spytał od niechcenia des Lupeaulx, który chciał ubrać się w tę zasługę wobec pani d'Espard.

— Mamy z nim umowę, która zobowiązuje go do współpracownictwa w dzienniczku Stefana; wyciśniemy zeń artykuły tym łatwiej, że jest bez grosza. Skoro kanclerzowi jaki artykułik wyda się zbyt dowcipny i skoro mu się dowiedzie, że Lucjan jest autorem, uzna go za człowieka niegodnego łaski królewskiej. Aby zamącić do reszty w głowie wielkiemu człowiekowi z prowincji, przygotowaliśmy upadek Koralii; ujrzy swą kochankę wygwizdaną i bez ról. Z chwilą gdy raz dekret zawieszą na czas nieograniczony, wyśmieją naszą ofiarę za jej arystokratyczne pretensje; roztrąbimy matkę akuszerkę i ojca aptekarza. Lucjan ma energię jedynie na pozór, ulegnie, wyprawimy go tam, skąd przyszedł. Natan sprzedał mi przez Florynę szóstą część tygodnika, którą posiadał Matifat, udało mi się odkupić udział fabrykanta papieru, jestem sam z Dauriatem; możemy się porozumieć, pan i ja, aby oddać dziennik na usługi dworu. Popierałem Natana i Florynę jedynie pod warunkiem zwrotu mojej szóstej części, sprzedali mi ją, muszę im iść na rękę, ale przedtem chciałem zbadać widoki Lucjana...

— Jesteś pan godny swego nazwiska — rzekł des Lupeaulx, śmiejąc się. — He, he! Lubię ludzi pańskiego kroju...

— Więc cóż, może się pan postarać o stałe *engagement* dla Floryny? — rzekł Finot.

— Tak; ale uwolnij nas pan od Lucjana; Rastignac i de Marsay nie chcą już słyszeć o nim.

— Śpijcie w pokoju — rzekł Finot. — Natan i Merlin będą mieli zawsze w zanadrzu artykuły, którym Gaillard obiecał pierwszeństwo. Lucjan nie zdoła umieścić ani wiersza; odetniemy mu środki żywności. Aby bronić siebie i Koralii, będzie miał jedynie dziennik Martainville'a: jeden przeciw wszystkim, niepodobna mu będzie dać sobie rady.

⁴⁶⁶ *puginał* — sztylet; krótki miecz. [przypis edytorski]

⁴⁶⁷ *niechąć* (daw.) — zaniechać, porzucić. [przypis edytorski]

⁴⁶⁸ *Drobne Przyjemności Króla* (fr. *Menus-Plaisirs du Roi*) — przed Wielką Rewolucją Francuską (1789) oraz w czasach Restauracji (1814–1830) specjalny urząd zajmujący się organizacją ceremonii, uroczystości i widowisk dworskich, odpowiedzialny również za wystrój, kostiumy i rekwizyty. [przypis edytorski]

— Wskażę panu tklive punkty ministra, ale odda mi pan rękopis artykułu, który każesz napisać Lucjanowi — odparł des Lupeaulx, któremu ani się śniło zdradzać, że ów przyrzeczony Lucjanowi dekret był prostym żarciem.

Des Lupeaulx opuścił *foyer*. Finot podszedł do Lucjana i owym dobrodusznym tonem, na który wzięło się tyłu, wytłumaczył mu przyczyny, dla których nie może się wyrzec jego współpracownictwa. Finot wzdrygał się przed procesem rujnującym nadzieje, jakie przyjaciel jego widzi w obozie rojalistów. Finot (powiadał sam) lubi ludzi dość śmiałych, aby ryzykować zmianę przekonań. Czyż on i Lucjan nie mają się nieraz spotkać w życiu, czy nie potrzebują od siebie wzajem tysiąca drobnych usług? Lucjan, ciągnął dalej, potrzebuje oddanego człowieka wśród liberałów, aby w danym razie zaatakować ministeriałów lub rojalistów, gdyby mu nie chcieli iść na rękę.

— Jeżeli będą z tobą nieszczerzy, cóż poczniesz? — dodał Finot na zakończenie. — Jeżeli jakiś minister, sądząc, iż trzyma cię na powrozie twego odstępstwa, przestanie się ciebie obawiać i odeśle cię z kwitkiem, czy nie będzie ci trzeba piesków, którzy by go chwycili za łydki? Otóż patrz: poróżniłeś się na śmierć ze Stefanem, dyszy zemstą. Z Felicjanem nie gadacie do siebie. Ja jeden ci zostałem. Jednym z przykazań mego zawodu jest żyć w zgodzie z ludźmi naprawdę silnymi. Możesz w świecie, w którym bywasz, odplacić mi usługi, jakie ci oddam w prasie. Ale interes przede wszystkim! Dawaj mi artykuły czysto literackie, nie skompromitują cię, a dopełnisz warunków.

Lucjan ujrzał w propozycjach Finota jedynie przyjaźń zmieszaną ze sprytną rachubą. Jego pochlebstwa, podkreślone jeszcze przez pana des Lupeaulx, dodały mu otuchy: podziękował Finotowi!

W życiu ludzi ambitnych i wszystkich tych, którzy mogą osiągnąć cel jedynie przy pomocy ludzi i okoliczności, dzięki mniej lub więcej dobrze obmyślonemu i przeprowadzonemu planowi postępowania, zdarzają się okrutne chwile, w których jakaś nieznana potęga poddaje ich okrutnym próbom: wszystko naraz zawodzi, ze wszystkich stron nici trzaskają lub płaczą się, nieszczęście zjawia się na wszystkich punktach. Kiedy wśród tego moralnego rozprzężenia człowiek straci głowę, jest zgubiony. Ludzie, którzy umieją się oprzeć pierwszej fali owego buntu rzeczy martwych, którzy skupiają się w sobie, pozwalając minąć nawałnicy, lub ratują się, wspinając się straszliwym wysiłkiem w sferę wyższą, to ludzie istotnie silni. Każdy człowiek, chyba że się urodził bogaty, ma to, co trzeba nazwać fatalnym tygodniem. Dla Napoleona tygodniem takim był odwrót spod Moskwy. Ta okrutna chwila nadeszła dla Lucjana. Wszystko w świecie i w literaturze układało się dlań zbyt pomyślnie; był nadto szczęśliwy, miał ujrzeć, jak ludzie i rzeczy obracają się przeciw niemu. Pierwsza boleść była najżywsza i najokrutniejsza, dosięgła go tam, gdzie mniemał, iż nic mu nie grozi: w serce jego i miłość. Koralia mogła nie być zbyt inteligentna, ale obdarzona piękną duszą, miała zdolność wypowiadania się w owych nagłych rzutach, które tworzą wielką aktorkę. Ten dziwny fenomen, o ile nie stał się drugą naturą przez długie przyzwyczajenie, bywa igraszką kaprysu, charakteru, a często cudownej wstydlivosti, jakiej podlegają młode jeszcze artystki. W duszy naiwna i lękliwa, na zewnątrz śmiała i swobodna, jak powinna być aktorka, Koralia, jeszcze zakochana, ucierpiała przez swą miłość w talencie scenicznym. Sztuka oddawania uczuć, ta wzniosła obłuda, nie odniosła jeszcze u niej triumfu nad naturą. Wstyd jej było dawać widzom to, co należało się jedynie miłości. Następnie miała słabość właściwą prawdziwym kobietom. Czując się powołana do królowania w teatrze, potrzebowała sukcesu. Niezdolna grać przed salą, w której nie czuła sympatii, drżała zawsze, wychodząc na scenę: chłód publiczności mroził ją. To straszliwe wzruszenie sprawiało, że każda rola była dla niej nowym debiutem. Oklaski rodziły w niej rodzaj pijaństwa obojętnego dla miłości własnej, ale niezbędnego dla odwagi. Szmerek niezadowolenia lub milczenie publiczności odejmowały jej wszystkie zasoby: sala pełna, uważna, spojrzenia życzliwe i pełne podziwu elektryzowały ją; wówczas współżyła ze szlachetnymi drgnieniami wszystkich tych dusz, czuła w sobie moc podniesienia ich, wzruszenia. Ta dwojaka reakcja była dowodem nerwowej i genialnej zarazem organizacji, zdradzając również delikatność i tklivość biednego dziecka. Lucjan nauczył się z czasem cenić skarby tego serca, poznał, ile było dziewczęcego w Koralii. Niewprawna w aktorskim fałszu, Koralia nie umiała się bronić przed rywalizacją i przed intrygami kulis, w których Floryna, dziewczyna równie niebezpieczna, równie zepsuta, jak przyjaciółka jej była prosta i szlachetna, pływała jak ryba w wodzie. Koralia czekała, aż role

Artysta

przyjdą do niej; była zbyt dumna, aby żebrać u autorów i poddawać się ich hańbiącym warunkom, aby ulegać lada pismakowi, który postraszy ją swą miłością i piórem. Talent, sam z siebie rzadki w tej tak osobliwej sztuce aktorskiej, jest tylko jednym z warunków powodzenia; talent jest nawet długo szkodliwy, o ile nie łączy się ze zmysłem intrygi, na którym najzupełniej zbywało Koralii. Przewidując cierpienia, jakie czekały kochankę przy debiucie, Lucjan chciał jej za wszelką cenę zapewnić triumf. Pieniądze pozostałe ze sprzedaży ruchomości, zarobki Lucjana, wszystko poszło na kostiumy, urządzenie garderoby, na wszelkie koszty debiutu. Na kilka dni przedtem Lucjan podjął upokarzający krok, na który zdobył się przez miłość: wziął akcepty Fendanta i Cavaliera i udał się na ulicę Bourdonnais, pod „Złotego Kokona”, ofiarować je Camusotowi do eskontu. Poeta nie był jeszcze tak zepsuty, aby na zimno iść do tego ataku. Wiele wycierpiał po drodze, przeszedł najcięższe chwile, powiadając sobie kolejno: Tak! — Nie! Mimo to dotarł do małego gabinetu, czarnego, zimnego, z oknem na dziedziniec, gdzie zasiadał poważnie już nie wielbiciel Koralii, dobroduszny walkoń, hulaka, niedowiarek Camusot, którego znał, ale poważny ojciec rodziny, kupiec zbrojny cnotami i chytrą, zamaskowany urzędową powagą sędziego trybunału handlowego, broniony surowym chłodem szefa firmy, otoczony komisantami, kasjerami, zielonymi tekami, rachunkami i próbkami, przywalony żoną, mający przy boku skromnie odzianą córkę. Lucjan, zbliżając się, zadrżał od stóp do głowy; godny przemysłowiec objął go lekceważącym i obojętnym spojrzeniem, które poeta już widywał w oczach lichwiarzy.

— Przynoszę panu pewne walory, byłbym tysiącnie zobowiązany, gdyby pan zechciał je wziąć — rzekł, stojąc przed kupcem, który nie ruszył się z fotela.

— Pan mi także coś wzięłeś — rzekł Camusot — przypominam sobie.

Lucjan wyjaśnił położenie Koralii, półgłosem szepcząc do ucha handlarza jedwabiu, który mógł wyczuć bicie serca upokorzonego poety. Nie było w intencjach Camusota, aby Koralia padła. Kupiec, słuchając, spojrzał na podpisy i uśmiechnął się: był sędzią trybunału handlowego, znał położenie księgarzy. Dał cztery tysiące pięćset franków Lucjanowi pod warunkiem, aby wypisał na conceptach: „Wartość otrzymano w jedwabiu”. Lucjan udał się natychmiast do Braularda i załatwił wszystko szczodłą ręką, aby zapewnić Koralii pełny sukces. Braulard sam stawiał się, jak przyrzekł, na generalną próbę, umówił się o miejsca, w których „Rzymianie” mają puścić w ruch swoje żywe łopaty i porwać za sobą tłum. Lucjan oddał resztę pieniędzy kochance, tając przed nią bytność u Camusota; uspokoił Koralię i Berenice, które nie wiedziały już, jak wiązać koniec z końcem. Martainville, jeden z najlepszych wówczas znawców teatru, zaszedł kilka razy, aby przerobić rolę z Koralią. Lucjan uzyskał u kilku rojalistycznych dziennikarzy obietnicę przychylnych recenzji, nie przewidywał tedy nieszczęścia. W wiliu debiutu zdarzyła się rzecz złowroga w następstwach dla Lucjana. Pojawiła się książka d’Artheza. Naczelny redaktor dał książkę Lucjanowi jako najzdolniejszemu sprawozdawcy; nieszczęsną reputację w tym kierunku zawdzięczał poeta artykułom o Natanie. W redakcji było pełno, wszyscy współpracownicy byli zebrani. Martainville przyszedł porozumieć się co do pewnego punktu ogólnej polemiki, podjętej przez rojalistyczne dzienniki przeciw liberałom. Natan, Merlin, wszyscy współpracownicy „Jutrzenki” rozmawiali o dwutygodniku Leona Girauda, tym niebezpieczniejszym, iż ton jego był roztropny, spokojny i umiarkowany. Zaczęto mówić o zebraniach z ulicy des Quatre-Vents, nazywano je Konwentem. Uchwalono, że dzienniki rojalistyczne wydadzą śmiertelną i systematyczną wojnę niebezpiecznym przeciwnikom, którzy stali się w istocie doktrynerami⁴⁶⁹, ową fatalną sektą zadającą Burbonom rozstrzygający cios, z chwilą gdy małosłowna zemsta skłoniła najświetniejszego rojalistycznego pisarza⁴⁷⁰ do połączenia się z nimi. D’Arthez, którego przekonań absolutystycznych nie znano, objęty ogólną klątwą, miał być pierwszą ofiarą. Książka jego miała być, wedle uświęconego wyrażenia, *zjeżdżona*. Lucjan odmówił artykułu. Odmowa ta wywołała najgwałtowniejsze zgorszenie u matadorów rojalizmu, przybyłych na konferencję. Oświadczone Lucjanowi stanowczo, że neofita nie może mieć woli: że jeżeli mu nie dogadza wierność dla tronu i religii, może wrócić do dawnego obozu. Merlin

⁴⁶⁹ doktrynerzy — tak w kręgach rojalistycznych nazywano opozycję liberalną. [przypis edytorski]

⁴⁷⁰ zemsta skłoniła najświetniejszego rojalistycznego pisarza... — François-René de Chateaubriand, który od 1822 był ministrem spraw zagranicznych, w 1824 został przez ultraroyalistycznego premiera de Villèle’a zwolniony ze stanowiska i przeszedł do liberalnej opozycji. [przypis edytorski]

i Martainville wzięli go na bok i zwrócili przyjacielsko uwagę, że wydaje Koralię na pastwę dzienników liberalnych, które zięją przeciw niemu nienawiścią, a niweczy możliwość obrony w pismach ministerialnych i rojalistycznych. Aktorka (mówili) stanie się z pewnością przedmiotem zaciętej polemiki, zapewniającej ów rozgłos, za którym tak wzdychają w teatrze kobiety.

— Nie rozumiesz się na rzeczy — rzekł Martainville — Koralia będzie grała trzy miesiące w krzyżowym ogniu dzienników i zarobi trzydzieści tysięcy na prowincji podczas letniego urlopu. Dla czczych skrupułów, które człowiek polityczny powinien deptać, zabijasz Koralię i swoją przyszłość, pozbawiasz się chleba.

Lucjan stanął w konieczności wyboru między d'Arthezem a Koralią; kochanka będzie zgubiona, o ile on nie zarznie d'Artheza w wielkim dzienniku i w „Jutrzence”. Biedny poeta wrócił do domu, mając śmierć w duszy; usiadł w izdebce przy kominku i przeczytał książkę d'Artheza, jedną z najpiękniejszych w literaturze współczesnej. Uronił łzy przy niejednej stronie, wahał się długo, wreszcie napisał drwiący artykuł, z tych, które umiał przyprowadzić tak dobrze: wziął w ręce tę książkę tak, jak dzieci biorą pięknego ptaka, aby go oskubać i zadrzeć. Zatrute jego koncepty były tej natury, iż mogły zaszkodzić książce. Kiedy odczytywał to piękne dzieło, wszystkie dobre uczucia Lucjana obudziły się; przebiegł Paryż o północy, dotarł do mieszkania d'Artheza, ujrzał przez szyby drżący blask czystego i wstydliwego światła, które tak często oglądał ze słusznym podziwem dla szlachetnej wytrwałości tego prawdziwie wielkiego człowieka; nie miał siły, aby wejść na górę, stał kilka chwil na progu. Wreszcie, popchnięty przez swego dobrego anioła, zapukał, zastał d'Artheza przy książce, bez ognia.

— Co się stało? — rzekł młody pisarz na widok Lucjana, przeczuwając, że mogło go sprowadzić tylko straszliwe nieszczęście.

— Twoja książka jest wspaniała — wykrzyknął Lucjan z oczami pełnymi łez — a oni kazali mi ją napaść.

— Biedny chłopcze, twarde jesz chleb! — rzekł d'Arthez.

— Proszę cię tylko o jedną łaskę, zachowaj tajemnicę tych odwiedzin i zostaw mnie w moim piekle, przy tym warsztacie potępieńca. Nie dochodzi się może do niczego, póki najtkliwsze miejsca naszego serca nie stwardnieją w podeszwę.

— Zawsze ten sam! — rzekł d'Arthez.

— Czy uważasz mnie za nikczemnika? Nie, d'Arthezie, ja jestem biedne dziecko pijanej miłości.

I wytłumaczył mu swoje położenie.

— Zobaczmyż artykuł — rzekł d'Arthez, wzruszony tym, co Lucjan powiedział o Koralii.

Lucjan podał rękopis, d'Arthez przeczytał i nie mógł się wstrzymać od uśmiechu.

— Cóż za fatalny użytek z talentu! — wykrzyknął.

Ale umilkł, widząc Lucjana w fotelu, przygniecionego prawdziwą boleścią.

— Czy pozwolisz mi poprawić artykuł? Odeślę ci go jutro — podjął. — Kpiny poniżają dzieło, sumienna i poważna krytyka jest niekiedy pochwałą, potrafię uczynić twój artykuł bardziej zaszczytnym i dla ciebie, i dla mnie. Zresztą, ja sam tylko znam dobrze swoje wady!

— Wstępując na skalistą górę, znajduje się niekiedy owoc, aby uśmierzyć żary strasznego pragnienia; oto właśnie taki owoc! — rzekł Lucjan, który rzucił się w ramiona d'Artheza, wypłakał się w nich i ucałował go w czoło, mówiąc: — Mam uczucie, że powierzam ci moje sumienie, abys mi je oddał kiedyś.

— Uważam periodyczną skruchę za wielką obłudę — rzekł uroczyście d'Arthez — żał jest wówczas niby premia dawana złym postępcom. Skrucha jest dziewictwem, które dusza nasza winna jest Bogu; człowiek, który kaja się dwa razy w życiu, jest strasznym obłudnikiem. Lękam się, że ty widzisz w swoich aktach żalu jedynie rozgrzeszenie.

Słowa te spiorunowały Lucjana, który wolnym krokiem wrócił do domu. Nazajutrz poeta zaniósł do dziennika artykuł przerobiony przez d'Artheza; ale od tego dnia trawiła go melancholia, którą nie zawsze zdołał pokryć. Kiedy wieczorem ujrzał salę Gimnazjum pełną, doświadczył owych straszliwych wzruszeń, jakie daje debiut w teatrze, a które zwiększyły się u niego o całą potęgę miłości. Wszystkie jego próżności były w grze, spojrzenie poety ogarniało fizjonomie, jak spojrzenie obwinionego ogarnia twarze przysię-

głych i sędziów; każdy szmer przyprowadził go o dreszcz; najmniejsze wydarzenia na scenie, wejście i wyjście Koralii, najlżejsze załamanie głosu wzruszały go ponad miarę. Sztuka, w której debiutowała Koralia, była z tych, które padają, ale które podnoszą się; padła. Wchodząc na scenę, Koralia nie usłyszała żadnego brawa; uderzył ją niezwykle chłód sali. Z łóż, oprócz łoża Camusota, nie padł ani jeden oklask. Balkon i galerie uciszyły kupca kilkakrotnym „psst”. Galerie nakazały milczenie klace, kiedy wybuchała w salwach wyrażnie przesadzonych. Martainville oklaskiwał dzielnie, obłudna zaś Floryna, Natan, Merlin towarzyszyli mu. Z chwilą gdy kurtyna zapadła ostatecznie, mnóstwo osób znalazło się w garderobie Koralii, ale tłum ten powiększył jej ból przez pociechy, jakimi ją obsypywano. Aktorka wróciła do domu w rozpacz, a chodziło jej nie tyle o siebie, co o Lucjana.

— Braulard zdradził nas — rzekł.

Koralia dostała straszliwej gorączki, cios ugodził ją w samo serce. Nazajutrz niepodobna jej było grać; zrozumiała, iż kariera jej jest podcięta. Lucjan ukrył przed nią dzienniki, rozpierzchł je w jadalni. Wszystkie przypisywały upadek sztuki Koralii: nadto zaufała siłom; ona, tak rozkoszna aktorka bulwarów, nie była na swoim miejscu w Gymnase; pchnęła ją tam ambicja niewątpliwie chwalebna, ale nie obliczyła się ze środkami, źle ujęła rolę. Lucjan odczytał wycieczki przeciw Koralii, przyprowadzone wedle obłudnej recepty jego artykułów o Natanie. Wściekłość godna Milona krotńskiego⁴⁷¹, kiedy uczuł ręce uwięzione w dębie, który sam rozszczępił, ogarnęła Lucjana — pobladł z gniewu: przyjaciele jego dawali Koralii, we frazeologii kąpiącej dobrocią, życzliwością i dobrą wolą, najobłudniejsze rady. Powinna grywać, pisano, rolę, o których ci przewrotni autorowie bezecnych recenzji wiedzieli, że są najzupełniej sprzeczne z jej talentem. Tak pisały dzienniki rojalistyczne, obrobione zapewne przez Natana. Co do dzienników liberalnych i małych świstków, te sypały zjadliwe drwiny, ileż razy uprawiane przez Lucjana! Koralia usłyszała szlochanie, wyskoczyła z łóżka, ujrzała dzienniki, wydarła je z rąk Lucjana i przeczytała. Następnie wróciła do łóżka i leżała w milczeniu. Floryna była w spisku, przewidziała jego skutki, umiała rolę Koralii, przerabiała ją z Natanem. Dyrekcja, której zależało na sztuce, zdecydowała się oddać rolę Koralii Florynie. Dyrektor zaszedł do biednej aktorki, była we łzach, bez siły; ale kiedy usłyszała przy Lucjanie, że Floryna umie rolę i że niepodobieństwem jest cofnąć sztukę, zerwała się, wyskoczyła z łóżka.

— Będę grała! — wykrzyknęła.

Padła zemdlna. Floryna objęła rolę i zdobyła nią reputację, podniosła bowiem sztukę; miała we wszystkich dziennikach owacje, od których datuje się jej imię. Tryumf Floryny doprowadził Lucjana do ostatecznej rozpacz.

— Nędznica, której ty dałaś chleb w rękę! Jeżeli Gymnase chce, może odkupić *engagement*. Będę hrabią de Rubempré, zrobię majątek i ożenię się z tobą.

— Cóż za szaleństwo! — rzekła Koralia, rzucając mu blade spojrzenie.

— Szaleństwo! — wykrzyknął Lucjan. — Otóż za kilka dni będziesz mieszkała w wykwiśniętym domu, będziesz miała powóz i ja napiszę dla ciebie rolę!

Wziął dwa tysiące franków i pobiegł do Frascati. Nieszczęśliwy wytrwał tam siedem godzin, szarpany przez furie, z twarzą na pozór spokojną i chłodną. W ciągu wieczora przechodził najzmienniejsze koleje: miał już do trzydziestu tysięcy franków i wyszedł bez grosza. Za powrotem zastał Finota, który czekał nań, aby się dopominać o artykułki, Lucjan popełnił ten błąd, iż począł się żalić.

— Ha, nie wszystko w życiu jest różowe — odparł Finot. — Zrobiłeś tak brutalnie „w prawo zwrot”, że musiałeś stracić poparcie prasy liberalów, o wiele silniejszej niż dzienniki ministerialne i rojalistyczne. Nie trzeba nigdy przechodzić z jednego obozu do drugiego, nie usławszy sobie dobrze łóżka, w którym by się można pocieszyć po przypuszczalnych stratach. W każdym wypadku roztropny człowiek naradza się z przyjaciółmi, przedstawia swoje racje, doprowadza ich do tego, że doradzają mu jego zaprzaństwo; stają się wówczas współnikami, ubolewają nad nim i wówczas można się porozumieć jak Natan i Merlin ze swymi kolegami, co do wymiany usług. Wilki nie zjadają się wzajem. Ty okazałeś w tej całej sprawie niewinność baranka. Musisz pokazać zęby nowemu stronnictwu, aby

⁴⁷¹ *Milon z Krotony* (VI w. p.n.e.) — zapaśnik grecki słynny ze swojej siły, zwycięzca wielu zawodów; kiedy zobaczył w lesie pięć drzewa z wbitymi klinami, próbował go rozerwać, jednak kliny obsunęły się, ręce uwięzły mu w szczelinie i bezbronny Milon zginął rozszarpany przez wilki. [przypis edytorski]

wydobyć zeń jaki kasek. Obecnie z konieczności poświęcono cię dla Natana. Nie będę ci ukrywał hałasu, zgorszenia i krzyków, jakie podnosi twój artykuł przeciw d'Arthezowi. Marat⁴⁷² jest święty w porównaniu do ciebie! Gotują się ataki na ciebie, twoja książka padnie ofiarą. Jak daleko zaszedł twój romans?

— Oto ostatnie arkusze — rzekł Lucjan, pokazując zwitek korekt.

— Przypisują ci niepodpisane paszkwile w dziennikach ministerialnych i rojalistycznych na tego d'Arthezika. Obecnie co dzień szpileczki w „Jutrzence” kierują się przeciw owym panom z ulicy des Quatre-Vents, a koncepty są tym krwawsze, iż są zabawne. Istnieje poza tygodnikiem Leona Girauda cała koteria polityczna, poważna i niebezpieczna, koteria, w której rękach znajdzie się wcześniej czy później władza.

— Nie przestąpiłem progu „Jutrzenki” od tygodnia.

— A zatem pomyśl o moich artykułkach, machnij bodaj pięćdziesiąt od ręki, zapłacę ryczałtem, ale muszą być w tonie dziennika.

I Finot podał od niechcenia Lucjanowi temat zabawnego pamfletu przeciw kancle-rzowi, opowiadając rzekomą anegdotę, która, jak twierdził, obiega salony.

Aby odrobić kłęski gry, Lucjan odnalazł, mimo przygnębienia, werwę i świeżość dowcipu i napisał trzydzieści artykułków, po dwie kolumny każdy. Ukończywszy, udał się do Dauriata, pewien, iż spotka tam Finota, któremu chciał je oddać po kryjomu; miał się zresztą rozmówić z księgarzem w sprawie *Stokroci*. Zastał sklep pełen swoich wrogów. Z wejściem poety zapanowało milczenie, rozmowy ustały. Widząc się tak wyświeconym⁴⁷³ z dziennikarstwem, Lucjan uczuł przypływ energii i rzekł sam do siebie, podobnie jak w alei Luksemburgu:

— Zwycięzę!

Dauriat nie był ani protekcyjny, ani słodki, okazał się drwiący, obwarował się w swoim prawie: wyda *Stokrocie*, gdy zechce, zaczeka, aż pozycja Lucjana zapewni sukces książki, kupił ją na zupełną własność. Kiedy Lucjan nadmienił, iż Dauriat z natury transakcji zobowiązany jest wydać *Stokrocie*, księgarz stanął na stanowisku przeciwnym i rzekł, iż prawniczo nie można go zmusić do przedsięwzięcia, które uważa za niekorzystne, i że on sam rozstrzyga o właściwej chwili. Jest zresztą rozwiązanie, które uzna każdy trybunał. Lucjan ma prawo zwrócić tysiąc talarów, odebrać dzieło i oddać je w ręce jakiego księgarza rojalistycznego!

Lucjan odszedł, bardziej dotknięty umiarkowaniem księgarza niż swego czasu autokratyczną pompą pierwszego zetknięcia. Tak więc *Stokrocie* nie mają widoków druku aż do chwili, kiedy Lucjan będzie miał za sobą poparcie potężnego koleżeństwa lub też stanie się sam przez się niebezpieczny! Poeta wrócił do domu wolno, wydany na łup zniechęcenia, które parłoby go do samobójstwa, gdyby czyn szedł w ślady myśli. Ujrzał Koralię w łóżku, bladą i cierpiącą.

— Dajcie jej rolę albo umrze — rzekła Berenice, gdy Lucjan ubierał się, aby iść na ulicę Mont-Blanc do panny des Touches, na raut, gdzie miał spotkać Blondeta, Vignona, des Lupeaulx, panie d'Espard i de Bargeton.

Bohaterami wieczoru mieli być: Conti, wielki kompozytor, zarazem jeden z najświetniejszych głosów poza zawodowymi śpiewakami, panie Cinti i Pasta⁴⁷⁴ oraz panowie Garcia, Levasseur⁴⁷⁵ i paru świetnych amatorów z wielkiego świata. Lucjan prześliznął się do miejsca, gdzie siedziała margrabina, kuzynka jej i pani de Montcornet. Nieszczęśliwy chłopiec przybrał ton lekki, radosny, zadowolony; żartował, okazał się takim, jakim był w dniach świetności, nie chciał, aby się wydawało, iż potrzebuje świata. Podniósł usługi, jakie oddaje rojalistom, i jako dowód przytoczył krzyki nienawiści liberalów.

⁴⁷²Marat, Jean-Paul (1743–1793) — francuski polityk i dziennikarz okresu Rewolucji Francuskiej, bliski współpracownik Robespierre'a i Saint-Justa, jakobin; zabity przez Charlotte Corday z obozu żyrondystów. [przypis edytorski]

⁴⁷³wyświecony (daw.) — wypędzony, wygnany. [przypis edytorski]

⁴⁷⁴Cinti i Pasta — Laura Cinti-Damoreau, właśc. Laura Cinthie Montalant (1801–1863): francuska sopranistka, sławna z ról w operach Rossiniego; Giuditta Pasta (1797–1865): włoska sopranistka, znana z występów w Paryżu. [przypis edytorski]

⁴⁷⁵Garcia, Levasseur — Manuel del Pópulo Vincente Garcia (1775–1832): hiszpański śpiewak (tenor) i kompozytor; Nicolas Prosper Levasseur (1791–1871): francuski śpiewak (bas), związany szczególnie z rolami w operach Rossiniego. [przypis edytorski]

— Będiesz za to hojnie wynagrodzony, drogi przyjacielu — rzekła pani de Bargeton, zwracając się doń z wdzięcznym uśmiechem. — Udaj się pojutrze do kancelarii dworskiej z Czapłą i z panem des Lupeaulx, a zastaniesz dekret podpisany przez króla. Kanclerz ma go jutro zanieść do Zamku; ale jutro jest Rada, wróci późno; mimo to gdybym dowiedziała się o rezultacie w ciągu wieczora, posłę do pana. Gdzie pan mieszka?

— Przyjdę — odparł Lucjan, wstydząc się powiedzieć, iż mieszka na ulicy de la Lune.

— Książęta de Lenoncourt i de Navarreins wspomnieli o panu królowi — podjęła margrabina — chwalili w panu jedno z owych bezwzględnych poświęceń, które wymaga świetnej nagrody, aby pana pomścić za prześladowania liberalnej prasy. Zresztą nazwisko i tytuł de Rubempré, do których masz prawo przez matkę, odzyskają dawny blask w pana osobie. Król powiedział Jego Dostojności dziś wieczór, aby mu przyniesiono dekret uprawniający imię⁴⁷⁶ Lucjana Chardona do nazwiska i tytułu hrabiów de Rubempré, w charakterze wnuka ostatniego hrabiego przez matkę. „Popierajmy szczygły, gdy nuca na chwałę dobrej sprawy” — rzekł, przeczytawszy pański sonet o lilii, który szczęśliwie przypominała sobie moja kuzynka i który dała księciu. „Zwłaszcza kiedy król może zrobić ten cud, aby je zmienić w orły” — odparł pan de Navarreins.

Lucjan rozplynął się w słowach wdzięczności, które mogłyby rozczulić kobietę mniej głęboko zranioną, niż nią była Luiza d'Espard de Négrepelisse. Im Lucjan był piękniejszy, tym bardziej pożądała zemsty. Des Lupeaulx miał słuszość. Lucjan okazał brak wycucia: nie odgadł, że dekret, o którym mu mówiono, był jedną z owych drwin, na jakie umiała sobie pozwalać pani d'Espard. Ośmielony tym sukcesem i pochlebnym wyróżnieniem panny des Touches, został do drugiej rano, aby pomówić z nią na osobności. Lucjan dowiedział się w redakcji rojalistycznych dzienników, że panna des Touches była cichą współpracowniczką sztuki, w której miała grać mała Fay⁴⁷⁷, cudo obecnej chwili. Skoro salony się opróżniły, zaciągnął pannę des Touches na kanapkę do buduaru i opowiedział jej w sposób tak wzruszający nieszczęścia Koralii i swoje, iż znamienita hermafrodytka⁴⁷⁸ przyrzekła mu się postarać o główną rolę dla Koralii.

Nazajutrz po tym wieczorze, w chwili gdy Koralia, uszczęśliwiona przyrzeczeniem panny des Touches, wracała do życia i siedziała przy śniadaniu ze swoim poetą, Lucjan czytał dzienniczek liberalny, gdzie znajdowała się dotkliwa anegdota wymyślona na kanclerza i jego żonę⁴⁷⁹. Najczarniejsza złośliwość kryła się pod iskrzącym dowcipem. Król Ludwik XVIII był cudownie wyprowadzony na scenę i ośmieszony w sposób nie dający się uchwycić. Oto ów fakt, któremu liberalna partia starała się dać pozory prawdy, ale który tylko pomnożył liczbę jej dowcipnych potwarzy.

Namiętność Ludwika XVIII do dwornej i czulej korespondencji, pełnej subtelności i madrygałów⁴⁸⁰, wytłumaczono tam jako ostatni wyraz jego skłonności miłosnych, które stawały się teoretyczne: od faktów przechodziły do pojęć. Dostojna kochanka⁴⁸¹, tak okrutnie zaczepiona przez Bérangera pod imieniem Oktawii, powzięła bardzo poważne obawy. Korespondencja zaczynała omdlewać. Im więcej Oktawia rozwijała dowcipu, tym bardziej amant jej stawał się mdły i chłodny. W końcu Oktawia odkryła przyczynę nienłości: władzę jej zachwiał powab i pieprzyk nowej korespondencji królewskiego listopisa z żoną wielkiego kanclerza. Zaczynała ta kobieta, przedstawiona jako osoba niezdolna skłęcić bileciku, mogła być jedynie i po prostu odpowiedzialnym wydawcą zuchwałej ambicji. Kto więc był ukryty pod tą spódniczką? Po dłuższej obserwacji Oktawia odkryła, że król korespondował ze swoim ministrem. W mig ukuła plan. Wsparta przez wiernego przyjaciela, zatrzymuje jednego dnia ministra w Izbie za pomocą gwałtownej dyskusji i stara

⁴⁷⁶imie — skrót od wyrażenia grzecznościowego *jego miłość*, stawianego przeważnie przed nazwiskiem. [przypis edytorski]

⁴⁷⁷Fay, Léontine (1810–1876) — francuska aktorka komediowa; debiutowała w wieku pięciu lat, następnie podróżowała po Belgii i Francji jako „cudowne dziecko”, od 1820 występowała w paryskim teatrze Gymnase. [przypis edytorski]

⁴⁷⁸hermafrodyta — istota dwupłciowa; tu: o kobiecie, która publikuje pod męskim pseudonimem. [przypis edytorski]

⁴⁷⁹kanclerza i jego żonę — mowa o Pierre Francois Hercule de Serre (1776–1824), prawniku i polityku, który był ministrem sprawiedliwości w l. 1818–1821, oraz jego żonie, która była faworytą Ludwika XVIII przed hrabiną du Cayla. [przypis edytorski]

⁴⁸⁰madrygał — gatunek krótkiego poematu miłosnego z motywami sielankowymi. [przypis edytorski]

⁴⁸¹Dostojna kochanka — Zoé Victoire Talon, zwana hrabiną du Cayla (1784–1850), faworyta Ludwika XVIII. [przypis edytorski]

się o sam na sam, w którym porusza miłość własną króla, odsłaniając szalbierstwo. Ludwik XVIII, w przystępie burbońskiego i królewskiego gniewu, wybucha przeciw Oktawii, nie chce wierzyć; Oktawia ofiarowuje bezpośredni dowód, prosząc króla, aby skreślił słówko, wymagając bezzwłocznej odpowiedzi. Nieszczęśliwa kobieta, zaskoczona, posyła do Izby po męża; ale wszystko przewidziano: w tej chwili znajdował się na trybunie. Kobieta wydaje z siebie siódme poty, zbiera cały dowcip i kładzie go w list ściśle tyle, ile go posiada.

— Kanclerz Waszej Królewskiej Mości dopowie jej resztę⁴⁸² — wykrzyknęła Oktawia, śmiejąc się z rozczarowania króla.

Mimo iż kłamliwy, artykuł dotykał do żywego kanclerza, żonę jego i króla. Des Lupeaulx, któremu Finot dochował wiecznego sekretu, był, powiadają, autorem anegdoty. Dowcipny ten i jadowity artykułik wprawił w radość liberałów i partię brata królewskiego⁴⁸³; Lucjan zabawił się nim, nie widząc w tym nic więcej prócz uciechnej „kaczki”. Nazajutrz wstąpił do referendarza des Lupeaulx i Châteleta. Baron szedł podziękować Jego Dostojności. Imć Châtelet, mianowany radcą stanu do nadzwyczajnych poruczeń, otrzymywał tytuł hrabiego, z przyrzeczeniem prefektury Charenty, z chwilą gdy obecny prefekt dosłuży kilku miesięcy do pełnej emerytury. Hrabia du Châtelet („du” bowiem pomieszczono w dekrete) wziął Lucjana do powozu z oznakami serdecznej przyjaźni. Gdyby nie artykuły Lucjana (powiadał) nie byłby może doszedł do celu tak prędko: prześladowania liberałów stały się dlań piedestałem. Des Lupeaulx znajdował się w ministerstwie, w gabinecie generalnego sekretarza. Na widok Lucjana urzędnik aż skoczył ze zdumienia i spojrzął na referendarza.

— Jak to! Pan śmie się tu pojawiać? — rzekł do zdumionego Lucjana. — Jego Dostojność podał pański dekret, przygotowany, ot, widzisz pan! (Pokazał pierwszy lepszy papier przedarty na czworo). Minister żądał poznać autora potwornego wczorajszego artykułu i oto rękopis — rzekł generalny sekretarz, podając Lucjanowi jego skrypt. — Podajesz się pan za rojalistę, a jesteś współpracownikiem tego bezecnego świstka, który przyprawia o siwiznę ministrów, psuje krew centrum i wlecze nas do przepaści. Śniasz z „Korsarzem”⁴⁸⁴, „Zwierciadłem”, „Constitutionnelem”, „Kurierem”⁴⁸⁵; jesz obiad z „Codzienną” i „Jutrzenką”, a wieczerasz z Martainville’em, najstraszliwszym wrogiem ministerium, pchającym króla do absolutyzmu, co spowodziłoby rewolucję szybciej niż program najsłabszej lewicy! Jesteś pan bardzo sprytnym dziennikarzem, ale nie będziesz nigdy politycznym człowiekiem. Minister wskazał pana jako autora artykułu królowi, który oburzony połajał księcia de Navarreins, pierwszego ochmistrza! Zrobiłeś sobie wrogów tym potężniejszych, im bardziej byli wprzód życzliwi. To, co uważam za naturalne u wroga, u przyjaciela staje się straszne.

— Ależ pan jesteś chyba zupełnym dzieckiem, mój drogi — rzekł des Lupeaulx. — Skompromitowałeś mnie. Panie d’Espard i de Bargeton, pani de Montcornet, które ręczyły za pana, muszą być wściekle. Książę wyładował swój gniew na margrabinie, a margrabina musiała połajać kuzynkę. Nie chodź pan tam! Zaczekaj.

— Oto Jego Dostojność, uciekaj pan! — rzekł generalny sekretarz.

Lucjan znalazł się na placu Vendôme, ogłuszony jak człowiek, który otrzymał w głowę cios maczugą. Wrócił pieszo przez bulwary, usiłując rozpatrzeć się w samym sobie. Ujrzał się igraszką ludzi zawistnych, chciwych i przewrotnych. Czymże był w tym świecie ambicji? Dzieckiem, które biegło za uciechami i rozkoszami próżności, poświęcając im wszystko; poetą bez głębszego zastanowienia, lecącym od światła do światła jak motyl, bez stałego planu, jak niewolnik okoliczności, myśląc dobrze, a czyniąc źle. Sumienie stało mu się bezlitosnym katem. W rezultacie nie miał grosza, a czuł się wyczerpany pracą i cierpieniem. Jego artykuły musiały ustępować miejsca artykułom Merlina i Natana. Szedł tak przed siebie, zatopiony w refleksjach; idąc, ujrzał w kilku czytelnich literackich,

Upadek

⁴⁸²Kanclerz... dopowie resztę — znane w drastycznej legendzie powiedzenie Stanisława Leszczyńskiego, które tu sparodiowano. [przypis tłumacza]

⁴⁸³partia brata królewskiego — skupiona wokół hr. Artois, późniejszego Karola X, grupa skrajnych rojalistów. [przypis edytorski]

⁴⁸⁴„Korsarz” — „Le Corsaire”, francuska gazeta liberalna, poświęcona literaturze i sztuce, wydawana w l. 1823–1858. [przypis edytorski]

⁴⁸⁵„Kurier francuski” — „Le Courier français”, francuski dziennik liberalny, wydawany w l. 1820–1851. [przypis edytorski]

które zaczęły obok dzienników dawać do czytania i książki, afisz, gdzie pod dziwacznym tytułem, zupełnie mu nieznanym, jaśniało jego nazwisko: „Przez Lucjana Chardona de Rubempré”. Dzieło jego wyszło, on sam o tym nie wiedział, dzienniki milczały! Stał ze zwisłymi ramionami, bez ruchu, nie widząc grupy młodych ludzi z najwykwintniejszego świata, wśród których znajdowali się Rastignac, de Marsay i kilku innych. Nie zwrócił uwagi na Michała Chrestiena i Leona Girauda, którzy zbliżali się ku niemu.

— Czy pan jesteś imć Chardon? — rzekł Michał tonem, który szarpnął wewnętrznymi łańcuchami Lucjana niby strunami.

— Czyż mnie nie znacie? — spytał, błędąc.

Michał plunął mu w twarz.

— Oto honorarium za pańskie artykuły przeciw d’Arthezowi. Gdyby każdy w sprawie swojej lub swoich przyjaciół zachował się jak ja, prasa zostałaby tym, czym być powinna: czcigodnym i czczonym kapłaństwem.

Lucjan zachwiał się i oparł na Rastignacu, do którego rzekł, zarówno jak do Marsaya:

— Panowie, nie odmówicie mi, gdy was poproszę, abyście byli moimi świadkami. Ale chcę wprzód zrównać szanse i sprawić, by rzecz stała się bez ratunku.

Wymierzył żywo policzek Michałowi, który nie spodziewał się tego. Dandysi i przyjaciele Michała rzucili się między republikanina a rojalistę, nie chcąc, aby zajęcie przybrało charakter bójki ulicznej. Rastignac ujął Lucjana i zaprowadził go do siebie, na ulicę Taitbout, o dwa kroki od tej sceny, która rozegrała się na bulwarze de Gand, w porze obiadowej. Okoliczność ta ocaliła ich przed zwyczajnym w takich razach zbiegowiskiem. De Marsay wstąpił po Lucjana, którego dwaj dandysi zmusili, aby spożył z nimi wesoło obiad w kawiarni Angielskiej, gdzie się upili.

— Mocny jesteś na szpady? — spytał de Marsay.

— Nigdy nie miałem szpady w ręku — odparł Lucjan.

— Na pistolety? — rzekł Rastignac.

— W życiu nie strzelałem.

— Masz tedy za sobą traf, jesteś groźnym przeciwnikiem, możesz położyć swego partnera — rzekł de Marsay.

Lucjan zastał, bardzo szczęśliwie, Koralię w łóżku, uśpioną.

Aktorka dostała nieoczekiwanie rolę w małej sztuce, znalazła odwet, zbierając zasłużone, a nie kupione oklaski. Wieczór ten, którego nie spodziewali się jej wrogowie, skłonił dyrektora do oddania jej głównej roli w sztuce Kamila Maupina, odkrył bowiem wreszcie przyczynę niepowodzenia Koralii przy debiucie. Podrażniony intrygami Floryny i Natana dla „położenia” aktorki, na której mu zależało, dyrektor obiecał Koralii poparcie właścicieli teatru.

O piątej rano Rastignac wstąpił po Lucjana.

— Kiepsko musi ci się powodzić, mój drogi, skoro mieszkasz na takiej ulicy — rzekł za całe powitanie. — Bądźmy pierwsi na miejscu, na drodze do Clignancourt; to jest w dobrym tonie, a zresztą powinniśmy świecić przykładem.

— Oto program — rzekł de Marsay, z chwilą gdy powóz potoczył się Przedmieściem Saint-Denis. — Pistolety, dwadzieścia pięć kroków, idąc do mety powoli, do piętnastu. Każdy ma prawo do pięciu kroków i trzech strzałów, nie więcej. Co bądź się stanie, obaj zobowiązujecie się na tym poprzestać. My nabijamy pistolety przeciwnika, jego świadkowie twoje. Broń wybrali wspólnie świadkowie u rusznikarza. Mogę ci powiedzieć, żeśmy pomogli przypadkowi, strzelacie się pistoletami kawaleryjskimi.

Dla Lucjana życie stało się złym snem; obojętne mu było żyć albo umrzeć. Odwaga właściwa samobójcom pomogła mu tedy rozwinąć całą brawurę w oczach świadków. Stał, nie ruszając się, w miejscu. Obojętność ta zrobiła wrażenie zimnego rachunku; osądzono poetę za tęgiego gracza. Michał doszedł aż do mety. Przeciwnicy dali ognia równocześnie, stopień zniewagi bowiem uznano za równy. Za pierwszym strzałem Chrestien drasnął podbródek Lucjana, którego kula przeszła o dziesięć stóp nad głową przeciwnika. Za drugim — kula Michała utkwiała w kołnierzu surduta; na szczęście był grubo pikowany i usztywniony płótnem. Za trzecim — Lucjan otrzymał kulę w pierś i upadł.

— Trup? — spytał Michał.

— Nie — odparł chirurg — wyliże się.

— Tym gorzej — rzekł Michał.

Pojedynek

— Och, tak, tym gorzej — powtórzył Lucjan, zalewając się łzami.

O południu nieszczęsne dziecko znalazło się u siebie w łóżku; trzeba było pięciu godzin i wielkich ostrożności, aby go przewieźć. Mimo iż stan nie był rozpaczliwy, wymagał uwagi; gorączka mogła sprowadzić komplikacje. Koralia zdławiła rozpacz i zgryzoty. Przez cały czas niebezpieczeństwa spędzała noce z Berenice przy łóżku, ucząc się roli. Groźny stan trwał dwa miesiące. Biedna istota grała niekiedy rolę żądającą wesołości, gdy w duchu mówiła sobie: „Biedny Lucjan może umiera w tej chwili”.

Przez cały czas pielęgnował Lucjana Bianchon. Poeta zawdzięczał życie poświęceniu tego przyjaciela, mimo iż tak żywo dotkniętego. D’Arthez zwierzył Horacemu tajemnicę odwiedzin Lucjana, usprawiedliwiając biednego poetę. W chwili przytomności (Lucjan miał atak bardzo poważnej gorączki nerwowej) Bianchon, który podejrzewał d’Artheza o wybieg wspaniałomyślności, wypytał chorego; Lucjan oświadczył, iż oprócz poważnego krytycznego artykułu nie pisał żadnej notatki o książce d’Artheza.

Z końcem miesiąca Fendant i Cavalier zgłosili upadłość. Bianchon szepnął aktorce, aby utuliła ten straszny cios Lucjanowi. Słynny romans *Guardzista Karola IX*, ogłoszony pod dziwnym tytułem, nie miał żadnego powodzenia. Aby wycisnąć trochę pieniędzy przed upadłością, Fendant, bez wiedzy Cavaliera, sprzedał hurtem to dzieło kramarzom, którzy pozbywali się go po niskiej cenie w drodze kolportażu. W tej chwili książka Lucjana stroiła parapety mostów i wybrzeży Sekwany. Pokątni księgarze, którzy wzięli pewną ilość egzemplarzy, stanęli w obliczu znacznej straty wskutek tego obniżenia ceny: cztery tomy in 12°, zakupione po cztery franki pięćdziesiąt, szły obecnie po dwa i pół. Speculanci wydawali krzyki zgrozy, a dzienniki zachowywały najgłębsze milczenie. Barbet nie przewidział tej „klapy”, wierzył w talent Lucjana; wbrew swoim obyczajom ubrał się w dwieście egzemplarzy; perspektywa straty doprowadzała go do szaleństwa; wygadywał na Lucjana niemożliwe rzeczy. Barbet powziął postanowienie heroiczne: przez upór, właściwy skąpcom, złożył egzemplarze w kącie magazynu i pozwolił kolegom wyzbywać się książki za bezcen. Później, w roku 1824, kiedy piękna przedmowa d’Artheza, zalety książki i dwa artykuły napisane przez Leona Girauda przywróciły temu dziełu jego wartość, Barbet wyprzedał swoje egzemplarze pojedynczo, po cenie dziesięciu franków. Mimo ostrożności Berenice i Koralii niepodobna było przeszkodzić Hektorowi Merlinowi odwiedzić umierającego przyjaciela; jakoż dał mu wypić, kropla po kropli, gorzki kielich tego „bulionu”! Jest to słowo używane w księgarstwie dla określenia haniebnej operacji, jakiej dokonali Fendant i Cavalier, wydając książkę nowicjusza. Martainville, jedyny wierny Lucjanowi, napisał wspaniały artykuł w obronie dzieła; ale zaciętrzewienie i liberałów, i ministerialnych przeciw naczelnemu redaktorowi „Arystarcha”⁴⁸⁶, „Proporca”⁴⁸⁷ i „Białego Sztandaru” było takie, iż wysiłki tego niezmordowanego atlety, oddającego zawsze liberałom dziesięć obelg za jedną, zaszkodziły Lucjanowi. Mimo żywości ataków rojalistycznego szermierza żaden dziennik nie podjął rękawicy. Koralia, Berenice i Bianchon zamknęli drzwi rzekomym przyjaciołom Lucjana, którzy protestowali z oburzeniem, ale niepodobna ich było zamknąć woźnym trybunału. Wskutek upadłości Fendanta i Cavaliera akcepty podlegały natychmiastowemu pościgowi, na mocy jednego z paragrafów kodeksu handlowego, godzącego dotkliwie w prawa żyranta⁴⁸⁸, który w ten sposób pozbawiony jest przywilejów terminu. Najbardziej bezlitosnym prześladowcą Lucjana stał się Camusot. Widząc to nazwisko, aktorka zrozumiała straszliwy i upokarzający krok, do którego zmuszony był poeta, dla niej tak anielski; pokochała go za to dziesięć razy więcej, lecz nie mogła się zdobyć na to, aby iść błagać Camusota. Przyszedszy szukać swego jeńca, straż trybunalska zastała go w łóżku i wzdrygała się go ująć; udali się do Camusota, nim zwrócili się do prezydenta trybunału z prośbą o wskazanie domu zdrowia, gdzie będą mogli umieścić dłużnika. Camusot przybiegł natychmiast na ulicę de la Lune. Koralia zeszła i wróciła na górę, trzymając w ręku akt pościgu, w którym w myśl dopisku na akceptce traktowano Lucjana jako kupca. W jaki sposób uzyskała te papiery od Camusota? Jakie dała obietnice? Milczała głucho, ale wróciła wpółmartwa. Koralia grała

Książka, Pieniądz

⁴⁸⁶ „Arystarch francuski” — „L’Aristarque français”, francuska gazeta rojalistyczna, poświęcona polityce, historii i literaturze, wydawana w l. 1815–1827. [przypis edytorski]

⁴⁸⁷ „Proporzec” — „L’Oriflamme”, paryska gazeta poświęcona „literaturze, nauce i sztuce, historii oraz doktrynom monarchicznym i religijnym”, wydawana w l. 1824–1825. [przypis edytorski]

⁴⁸⁸ żyrant — poręczyciel; tu: osoba poręczająca za kogoś spłatę sumy weksla. [przypis edytorski]

w sztuce Kamila Maupina i wiele przyczyniła się do sukcesu znakomitej hermafrodytki literackiej. Kreacja tej roli była ostatnią iskierką tej pięknej lampy. Podczas dwudziestego przedstawienia, w chwili gdy Lucjan, już prawie zdrowy, zaczynał przechadzać się, jeść i mówić o powrocie do pracy, Koralia rozchorowała się: trawiła ją tajemna zgryzota. Berenice mniemała zawsze, iż aby ocalić Lucjana, przyrzekła wrócić do Camusota. Aktorka zaznała tej męki, iż patrzyła, jak jej rolę oddają Florynie. Natan zagroził wojną teatrowi Gymnase, gdyby Floryna nie dostała jej po Koralii. Grając do ostatniej chwili, aby nie dać sobie wydrzeć roli, Koralia wyczerpała ostatek sił: podczas choroby Lucjana teatr udzielił jej paru zaliczek, nie mogła nic żądać z kasy. Mimo najlepszej chęci Lucjan nie mógł jeszcze pracować, zresztą pielegnował Koralię na zmianę z Berenice, biedne stadło⁴⁸⁹ doszło przeto do ostatecznej nędzy. Lucjan miał przynajmniej to szczęście, iż znalazł w Bianchonie biegłego i oddanego lekarza, który przy tym wyrobił mu kredyt w aptece. Niebawem dostawcy i gospodarz domu dowiedzieli się o położeniu Koralii i Lucjana. Meble zajęto. Modniarka i krawiec, nie lękając się już dziennikarza, zaczęli ścigać parę cyganów wszelkimi środkami. W końcu już tylko aptekarz i masarz dawali kredyt nieszczęśliwym dzieciom. Lucjan, Berenice i biedna chora musieli blisko tydzień jadać tylko wieprzowinę, pod wszelkimi pomysłowymi i urozmaiconymi formami, jakie jej dają masarze. Wędlina, rozpalająca z natury, pogorszyła stan chorej. Lucjan, zmuszony nędzą, udał się do Stefana Lousteau przypomnieć tysiąc franków, które ten dawny przyjaciel, ten zdrajca, był mu winien. Był to wśród wszystkich nieszczęść krok, który go kosztował najwięcej. Lousteau nie mógł już pokazać się u siebie, na ulicy la Harpe, sypiał u przyjaciół, ścigany, tropiony jak zając. Lucjan zdołał znaleźć swego złowrogiego inicjatora w świat literacki jedynie u Flicoteaux. Lousteau jadał przy tym samym stoliku, gdzie Lucjan spotkał go, na swoje nieszczęście, w dniu, w którym wydarł się d'Arthezowi. Lousteau ofiarował mu obiad i Lucjan przyjął! Kiedy wychodząc od Flicoteaux, Klaudiusz Vignon, obiadujący tam tego dnia, Lousteau, Lucjan i wielki nieznajomy, który zastawiał garderobę u Samanona, chcieli się udać do kawiarni Voltaire na kawę, nie mogli złożyć trzydziestu su, gromadząc wszystkie miedziaki, jakie im zostały w kieszeniach. Zapuscili się w Ogród Luksemburski w nadziei spotkania jakiego księgarza i ujrzeli w istocie jednego z najsłynniejszych drukarzy owego czasu, którego Lousteau poprosił o czterdzieści franków. Lousteau podzielił sumę na cztery równe części: każdy wziął jedną część. Nędza zdławiła u Lucjana wszelką dumę, wszelkie uczucie; płakał wobec trzech artystów, opowiadając swoje położenie. Ale każdy z kolegów miał równie straszliwy dramat do opowiedzenia; kiedy każdy wytrząsnął swoją paczkę, poeta okazał się najmniej nieszczęśliwy z czterech... Toteż wszyscy musieli zapomnieć i swoich nieszczęść, i swoich myśli, które zdwajały nieszczęście. Lousteau pobiegł do Palais-Royal rzucić na stół ruletki dziewięć franków, które mu zostały. Wielki nieznajomy, mimo iż miał anielską kochankę, udał się do plugawego domu zanurzyć się w kałuży niebezpiecznych rozkoszy. Vignon poszedł do Rocher de Cancale z zamiarem wypicia tam dwóch flaszek bordeaux, aby się wyzuć z rozumu i pamięci. Lucjan opuścił Klaudiusza Vignona na progu, odmawiając udziału w wieczery. Uściskowi ręki, jaki wielki człowiek z prowincji wymienił z jedynym dziennikarzem, który nie okazał się jego wrogiem, towarzyszyło okropne ściśnięcie serca.

— Co robić? — spytał.

— Na wojnie jak na wojnie — odparł wielki krytyk. — Książka twoja jest piękna, ale zrobiła ci zawistnych, czeka cię długa i trudna walka. Talent to straszliwa choroba. Każdy pisarz nosi w sercu potwora, który, podobny tasiemcowi w jelitach, pożera w nim uczucia, w miarę jak się rozwijają. Kto kogo pokona? Choroba człowieka — czy człowiek chorobę? Zaiste, trzeba być wielkim człowiekiem, aby utrzymać równowagę między geniuszem a charakterem. Talent rośnie, serce wysycha. O ile nie jest kolosem, o ile nie ma barków Herkulesa, człowiek zostaje albo bez serca, albo bez talentu. Ty jesteś wątły i nikły, ulegniesz — dodał, wchodząc do restauracji.

Lucjan wrócił do domu, rozmyślając nad tym straszliwym wyrokiem, którego głęboka prawda oświeślała mu życie literackie.

„Pieniędzy!” — krzyczał w nim głos.

⁴⁸⁹stadło (daw.) — małżeństwo, związek małżeński; para małżeńska; tu: gospodarstwo domowe. [przypis edytorski]

Wystawił sam na własne zlecenie trzy tysiącfrankowe weksle płatne za jeden, dwa i trzy miesiące od daty, naśladując z doskonałą sztuką podpis Dawida Sécharda; poręczył je swoim nazwiskiem i nazajutrz zaniósł do Métiviera, handlarza papieru z ulicy Serpente, który przyjął je bez trudności. Lucjan napisał parę słów do szwagra, aby go uprzedzić o tym zamachu na jego kasę, przyrzekając, wedle zwyczaju, wystarać się o gotówkę na termin. Po spłaceniu długów Koralii i Lucjana zostało trzysta franków, które poeta oddał wiernej Berenice, prosząc, aby mu odmówiła, w razie gdyby chciał zaczerpnąć z tych pieniędzy: lękał się, by go nie porwała chęć spróbowania szczęścia w grze. Lucjan, ożywiony posępną, zimną i milczącą wściekłością, wziął się do pisania najdowcipniejszych artykułków, czuwając przy blasku lampy obok łóża Koralii. Kiedy szukał w głowie myśli, widział tę ubóstwianą istotę, białą jak porcelana, piękną pięknoscią umierających, uśmiechającą się doń bladymi wargami, z oczami błyszczącymi jak oczy kobiet, które podcina zarówno choroba, jak zgryzota. Lucjan posyłał artykuły do dzienników; ale ponieważ nie mógł sam obchodzić redakcji, aby męczyć naczelników redaktorów, artykuły nie pojawiały się. Kiedy się zdecydował udać do dziennika, Teodor Gaillard, który udzielił mu już zaliczek i który później skorzystał z tych diamentów literackich, przyjmował go chłodno.

— Bierz się w kupę, mój drogi; nie znać już twego dawnego dowcipu, nie daj się, miej werwę! — mówił.

— Ten Lucus miał w brzuchu tylko swoją powieść i pierwsze artykuły — wykrzykiwali Felicjan Vernou, Merlin i wszyscy zawistni, kiedy była mowa o Lucjanie u Dauriata lub w Wodewilu. — Przysyła nam rzeczy wprost oplakane.

„Nie mieć nic w brzuchu” — wyrażenie uświęcone w dziennikarskiej gwarze, mieści w sobie ostateczny wyrok, od którego, skoro raz padnie, trudno apelować. To słówko, obnoszone wszędzie, zabijało Lucjana, bez jego wiedzy zresztą, wówczas bowiem miał utrapienia przechodzące jego siły. Pośród druzgocącej pracy, ścigany za akcepty Dawida Sécharda, uciekał się do doświadczenia Camusota. Dawny protektor Koralii był na tyle szlachetny, aby wesprzeć Lucjana. To okropne położenie trwało dwa miesiące, znaczone mnogimi papierami stemplowymi, które za radą Camusota Lucjan odsyłał do Desroches’a, przyjaciela Blondeta, Bixiou i des Lupeaulx.

Z początkiem sierpnia Bianchon powiedział poecie, że Koralia jest stracona i że ma przed sobą już tylko kilka dni. Berenice i Lucjan strawili te nieszczęsne dni, płacząc, niezdolni ukryć łez przed biedną dziewczyną, rozpaczającą, iż śmierć rozłącza ją z Lucjanem. Dziwnym nawrotem Koralia zażądała, aby Lucjan sprowadził jej księdza. Aktorka chciała pojednać się z Kościołem i umrzeć w pokoju. Koniec jej był chrześcijański, skrucza szczerą. Ta agonია i śmierć do reszty odjęły Lucjanowi siły i odwagę. Poeta trwał w zupełnym odrętwieniu, siedząc w fotelu przy łóżku Koralii, nie przestając patrzeć na nią do chwili, w której oczy aktorki przesłoniły się całunem śmierci. Była piąta rano. Ptasek jakiś zabłąkał się między doniczki z kwiatami za oknem i zawiódł śpiew. Berenice, na kolanach, całowała rękę Koralii, stygnącą pod jej łzami. Na kominku leżało jedenaście su. Lucjan wyszedł popychany rozpaczą, która doradzała mu żebrać jałmużny na pogrzeb kochanki lub też rzucić się do stóp margrabiny d’Espard, hrabiego du Châtelet, pani de Bargeton, panny des Touches lub groźnego dandysa de Marsaya: nie czuł już w sobie dumy ani siły. Aby wydobyć trochę pieniędzy, zaciągnąłby się na żołnierza! Dotarł, wolnym i opieszalym krokiem, dobrze znanym u ludzi nieszczęśliwych, do willi panny des Touches, wszedł, nie zwracając uwagi na nieład swego stroju, i poprosił, aby go oznajmiono.

— Pani położyła się o trzeciej rano, nikt nie może wejść do niej, aż zadzwoni — odparł kamerdyner.

— Kiedyż zwykle dzwoni?

— Nigdy przed dziesiątą.

Lucjan napisał wówczas rozpaczliwy list, z tych, w których błyszcząca nędza nie ukrywa już niczego. Niegdyś, kiedy Lousteau mówił mu o prośbach zanoszonych przez młode talenty do Finota, Lucjan powątpiewał o możliwości takich upodleń: dziś pióro unosiło go może poza granice, w jakie niedola wtrąciła jego poprzedników. Wraciał ogłupiały i zgorączkowany przez bulwary, nie podejrzewając, jakie straszliwe arcydzieło podyktowała mu rozpacz; spotkał Barbeta.

— Barbet, pięćset franków? — rzekł, podając mu rękę.

— Nie, dwieście — odparł księgarz.

Śmierć

— Ach, więc ty masz serce!
— Tak, ale mam też i interesy. Straciłem na panu dużo pieniędzy — dodał, opowiadawszy mu bankructwo Fendanta i Cavaliera — dajże mi pan coś zarobić.

Lucjan zadrżał.

— Jesteś pan poetą, musisz umieć robić wszelkiego rodzaju wiersze — ciągnął księgarz. — Potrzeba mi lekkich piosenek, aby je wmieszać w piosenki zaczerpnięte z rozmaitych autorów; w ten sposób zabezpieczam się od procesu o nadużycie i będę mógł sprzedawać na bulwarach ładny zbiorek po pół franka. Jeśli się pan podejmie przysłać jutro dziesięć dobrych piosenek pijackich albo też trochę pikantnych... ten... rozumiesz?... dam panu dwieście franków.

Lucjan wrócił do domu: zastał Koralię wyciągniętą prosto i sztywno na marach, zawiniętą w liche płótno, które Berenice zszywała, płacząc. Gruba Normandka zapaliła cztery świece w rogach łóżka. Na twarzy Koralii błyszczał ten kwiat piękności, który tak głośno przemawia do żywych, zwiastując im zupełny spokój. Podobna była do młodych dziewczątek chorych na blednicę⁴⁹⁰; zdawało się chwilami, że te fioletowe wargi rozchyliły się i wyszepcą imię Lucjana, to samo, które, złączone z imieniem Boga, poprzedziło jej ostatnie tchnienie. Lucjan polecił służącej, aby zamówiła w zakładzie kondukt nie przekraczający dwustu franków, z nabożeństwem w skromnym kościółku Zwiastowania. Skoro Berenice wyszła, poeta siadł przy stole, przy ciele biednej kochanki, i ułożył dziesięć swawolnych piosenek na popularne melodie. Doświadczył niepojętych męczarni, nim zdołał się wziąć do pracy, ale wreszcie poddał inteligencję swoją usługom konieczności, tak jak gdyby nic nie przeszedł. Dopelniał już strasznego wyroku Klaudiusza Vignona co do rozdziału, jaki następuje pomiędzy sercem a mózgiem. Co za noc spędził biedny dzieciak, wypruwając z siebie wiersze, przeznaczone, by je śpiewano w szynku, a pisane przy blasku żałobnych świec, obok księdza, który modlił się za Koralię!... Nazajutrz rano Lucjan, ukończywszy ostatnią piosenkę, próbował ją podłożyć pod modną wówczas melodię; słysząc, jak śpiewa, Berenice i ksiądz zlekli się, czy nie oszalał.

Śmierć

W piosence, przyjaciele,
Morał to rzecz jałowa,
Na co dumać zbyt wiele
I składać górne słowa;
Gdy Bakcha⁴⁹¹ sok cudowny
Rozgrzeje nam żołądek,
Ten wówczas jest wymowny,
Kto gwizdże na rozsądek!
A więc,
A więc:
Pijmy, żyjmy,
Żyjmy, pijmy,
Z reszty sobie drwijmy!

Kto pije, żyje zdrowo,
Hipokrat⁴⁹² tak powiada,
A że tam to lub owo
Już służbę wypowiada,
Do czarta z miłostkami,
Kiep⁴⁹³ wzdycha do kochanek:
Wystarczym sobie sami,
Byle był pełny dzbanek!
A więc,

⁴⁹⁰blednica (daw. med.) — niedokrwistość związana z niedoborem żelaza, występująca głównie u młodych dziewcząt i kobiet. [przypis edytorski]

⁴⁹¹Bachus a. Bakchus (mit. rzym.) — bóg wina, odpowiednik greckiego Dionizosa (Bachosa). [przypis edytorski]

⁴⁹²Hippokrates (ok. 460–ok. 370 p.n.e.) — lekarz grecki, prekursor współczesnej medycyny. [przypis edytorski]

⁴⁹³kiep (daw.) — dureń, głupiec. [przypis edytorski]

A więc:
Pijmy, żyjmy,
Żyjmy, pijmy,
Z reszty sobie drwijmy!

Skąd się tu bierze człowiek,
Odgadnąć nie jest sztuka,
Lecz po zamknięciu powiek
Do jakich wrót zapuka?
Któż by się troszczył o to!
Raz żyjem! Tam do licha!
Z podwójną więc ochotą
Raj sączy dziś z kielicha!

A więc,
A więc:
Pijmy, żyjmy,
Żyjmy, pijmy,
Z reszty sobie drwijmy!

W chwili gdy poeta śpiewał ten straszliwy ostatni kuplet, weszli Bianchon i d'Arthez i zastali go w paroksyzmie przygnębienia: wylewał strumienie łez i nie miał już sił, aby przepisać na czysto piosenki. Kiedy wśród łkań odmalował swoje położenie, ujrzał łzy w oczach słuchaczy.

— To — rzekł d'Arthez — maże wiele błędów!

— Szczęśliwi, którzy znajdują piekło na ziemi — rzekł poważnie ksiądz.

Widok pięknej umarłej, uśmiechającej się do wieczności, widok kochanka kupującego jej grób za pomocą podkasanych piosenek, Barbet opłacający koszty ostatniej posługi, te cztery świece dokoła aktorki, której spódniczka i czerwone pończochy z zielonymi strzałkami przyprawiły niegdyś o dreszcz całą salę, wreszcie przy drzwiach ksiądz, który pojednał ją z Bogiem, wracający do kościoła, aby odmówić mszę za zbawienie tej, która tyle kochała! — wszystkie te wielkości i ohydy, te cierpienia zmiażdżone ciężarem konieczności zmroziły wielkiego pisarza i wielkiego lekarza. Usiedli, nie mogąc wymówić słowa. Wszedł służący i oznajmił pannę des Touches. Piękna i szlachetna dziewczyna zrozumiała wszystko, podeszła żywo do Lucjana, uściśliła mu dłoń i wsunęła w nią dwa tysiącfrankowe bilety.

— Już nie czas — rzekł, rzucając jej martwe spojrzenie.

D'Arthez, Bianchon i panna des Touches opuścili Lucjana dopiero wówczas, kiedy ukołysali jego rozpacz najśłodszyimi słowami⁴⁹⁴; ale wszystkie sprężyny były w nim strzaskane. O południu Biesiada, z wyjątkiem Michała Chrestien, którego wszelako wywiedziono z błędu co do rozmiarów winy Lucjana, znalazła się w kościółku Zwiastowania; oprócz nich Berenice, panna des Touches, dwie podrzędne aktorki z Gymnase, garderobiana Koralii i nieszczęśliwy Camusot. Mężczyźni odprowadzili aktorkę aż na Père-Lachaise. Camusot, który płakał gorącymi łzami, przyrzekł uroczyście Lucjanowi zakupić na wieczny czas kawał ziemi i wznieść na nim kolumienkę z napisem:

KORALIA

pod spodem zaś:

Zmarła
w dziewiętnastym roku życia
w sierpniu 1822

Lucjan został sam aż do zachodu słońca na tym pagórku, z którego oczy jego obejmowały Paryż.

⁴⁹⁴najśłodszyimi słowy (starop. forma N. Im) — dziś: najśłodszyimi słowami. [przypis edytorski]

„Któż będzie mnie kochał? — pytał sam siebie. — Prawdziwi przyjaciele gardzą mną. Cokolwiek bym uczynił, wszystko wydawało się szlachetne i piękne tej, która tu leży! Mam już tylko siostrę, Dawida i matkę! Co oni tam myślą o mnie?”

Biedny wielki człowiek z prowincji wrócił na ulicę de la Lune, gdzie doznał tak silnego wrażenia na widok pustego mieszkania, że przeniósł się do lichego hotelu na tej samej ulicy. Dwa tysiące panny des Touches opłaciły wszystkie długi, ale dopiero łącznie z sumą uzyskaną ze sprzedaży mebli. Berenice i Lucjan zostali ze stoma frankami, które żywiły ich dwa miesiące. Czas ten spędził Lucjan w chorobliwym przygnębieniu: nie mógł ani pisać, ani myśleć, poddał się boleści; Berenice litowała się, patrząc na niego.

— Gdyby pan zechciał wrócić do swoich, w jaki sposób zdołasz się tam dostać? — odparła na wykrzyk Lucjana, który wspominał siostrę, matkę i Dawida.

— Pieszko — odparł.

— I tak trzeba pieniędzy na życie i noclegi. Gdybyś pan robił dwanaście mil dziennie, potrzebowałbyś przynajmniej dwudziestu franków.

— Będę je miał — odparł.

Wziął ubranie i wykwinutą bieliznę, zostawił jedynie to, co ściśle potrzebne, i udał się do Samanona, który ofiarował pięćdziesiąt franków za wszystko. Błagał lichwiarza, aby dał przynajmniej tyle, ile trzeba na opłacenie dyliżansu; nie mógł go zmiękczyć. W napadzie wściekłości Lucjan pobiegł, jak stał, do Frascati, spróbował szczęścia i wrócił bez grosza. Kiedy się znalazł w nędznym pokoju, prosił Berenice, aby mu dała szal Koralii. Z kilku spojrzeń, zwłaszcza gdy Lucjan przyznał się do nieszczęśliwej gry, zacna dziewczyna zrozumiała zamiar nieszczęsnego poety: chciał się powiesić.

— Czy pan oszalał, panie Lucjanie? — rzekła. — Idź się pan przejść i wróć o północy, postaram się o pieniądze; ale idź pan na bulwary i nie zapuszczaj się ku wybrzeżu.

Lucjan przechadzał się po bulwarach, ogłuszony boleścią, przyglądając się ekwipażom⁴⁹⁵, przechodniom, czując się sam, mały w tej ciżbie Paryża, która wirowała smagana tysiącem interesów. Oglądając myślą brzegi Charenty, uczuł pragnienie rodzinnego szczęścia; uczuł jeden z owych błysków siły, zwodzących wszystkie te wpółkobiece natury, nie chciał dać za wygraną, nim nie wyleje serca na łono Dawida i nie zasięgnie rady trojga aniołów, które mu pozostały. Wąłesając się, ujrzał Berenice, odświeżone wystrojone, rozmawiającą z jakimś mężczyzną na błotnistym bulwarze Bonne-Nouvelle, gdzie wystawała na rogu ulicy de la Lune.

— Co ty robisz? — rzekł Lucjan, przerażony podejrzeniami, jakie powziął na widok Normandki.

— Oto dwadzieścia franków, które mogą mnie kosztować drogo, ale pan pojedzie! — odparła, wsuwając cztery pięciofrankówki w rękę poety.

Berenice uciekła, nim Lucjan zdążył się opatrzyć; trzeba bowiem powiedzieć na jego chlubę: pieniądze te paliły mu ręce, chciał je oddać, ale musiał je zachować jako ostatni stygmat Paryża.

Jardies 1832 — Paryż, maj 1839

⁴⁹⁵ekwipaż (daw.) — lekki, ekskluzywny pojazd konny; tu ogólnie: powóz. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-komedia-ludzka-stracone-zludzenia-wielki-czlowiek-z-prowincji/>

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, *Stracone złudzenia. Wielki człowiek z prowincji w Paryżu*, przeł. i wstępem opatrzył Tadeusz Żeleński-Boy, "Czytelnik", Warszawa 1957

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Dorotę Kowalską. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Bartłomiej Nawrocki, Paulina Choromańska, Piotr Ostrowski, Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.